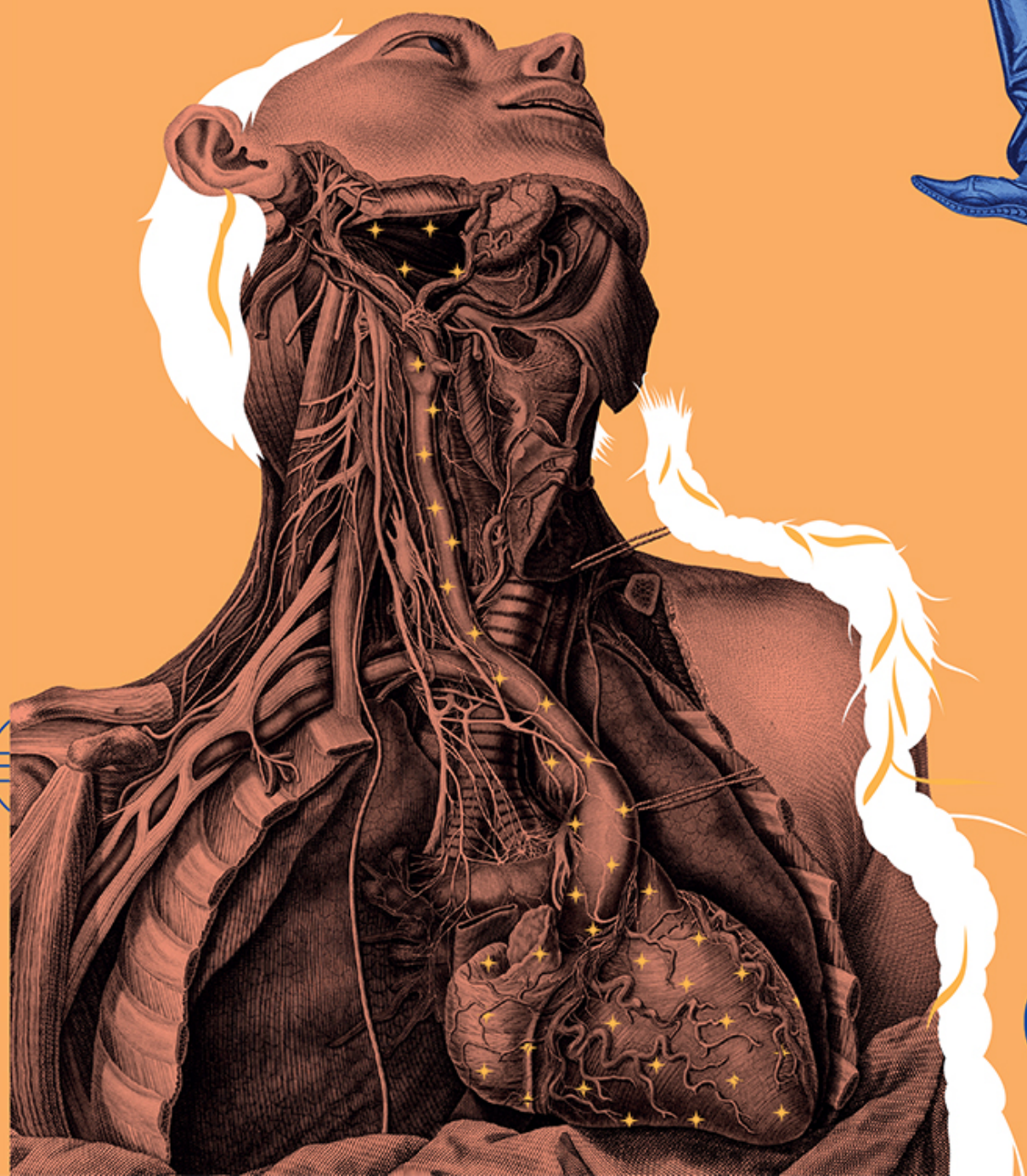


Maciej
Hen

Segretario





Maciej Hen

Segretario

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Opieka redakcyjna: PIOTR TOMZA

Redakcja: MAŁGORZATA TARNOWSKA

Korekta: ANNA DOBOSZ, AGNIESZKA STĘPLEWSKA, ANETA TKACZYK

Konsultacje: EDYTA GAWRON, IRENEUSZ KANIA

Projekt okładki i stron tytułowych, opracowanie graficzne oraz mapy: KIRA PIETREK

Ilustracje: KIRA PIETREK, na podstawie grafik z serwisów Freepik.com i Flaticon.com

Na okładce wykorzystano ilustrację drzeworytu autorstwa Maksymiliana Cerchy z 1871 roku przedstawiającą nagrobek Filipa Kallimacha w kościele Świętej Trójcy w Krakowie wykonany przez Wita Stwosza oraz rysunek modelu anatomicznego z książki *Tabulae neurologicae ad illustrandam historiam anatomicam cardiacorum nervorum, noni nervorum cerebri, glossopharyngaei, et pharyngaei ex octavo cerebri Antoniego Scarpy z 1794 roku.*

Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Maciej Hen

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07822-8

Autor pracował nad książką w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: eLitera s.c.

LIST I

Gredechin Specht

najzacniejszej i sercu stale

najdroższej Enneleyn Weidemann

mnogie przesyła pozdrowienia.

Ach, dobry Boże, ileż to dni minęło od owego mglistego poranka, kiedy opuszczałam rodzinne strony, wiedząc, że może już nigdy tam do was nie powrócę? Ile też wody musiało się od tego czasu przetoczyć przez koryto naszego Neckaru, w którym latem – pamiętasz? – pluskałyśmy się bez opamiętania, podczas gdy ojciec twój drzemał po obiedzie, aż za którymś razem skaleczyłaś sobie stopę o sterczący z dna kamień. Tuszę, że te wspomnienia nie całkiem ci się w głowie zatarły, choć nie mogę być nawet pewna, czy moje imię coś ci jeszcze mówi.

Ba, nawet jeśliś nie bez reszty mnie zapomniała, masz, przyznaję, dobre powody, by wspominać mnie źle – jako istotę płochą, niestałą i niesłowną – a to dlatego, że ci przez wszystkie te lata, co ich, jeśli dobrze liczę, dziewięć w przyszłym miesiącu upłynie, nie dałam żadnego znaku życia. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak gorączkowo musiałaś czekać na wieści ode mnie w pierwszych tygodniach po moim zniknięciu, i nie myśl, że nie zdaję sobie sprawy, jak bardzo ci się one od samego początku należały, choćby i najkrótsze, na kolanie skreślone, żebyś tylko wiedziała, że żyję i nie przydarzyło mi się nic złego. I to należały ci się nie tylko jako przyjaciółce od serca, ale też jako tej, która w istocie obmyśliła dla mnie ów szatański plan, dzięki któremu moje życie potoczyło się o wiele ciekawszą drogą niż ta, co mi była przypisana z urodzenia. Uwierz mi, proszę, moja droga, niezapomniana i wielkoduszna, że i mnie samą doprowadzały do rozpacz i wręcz do łez (które jednak musiałam ukrywać) niezliczone przeszkody, jakie mi stale uniemożliwiały przesłanie ci czegokolwiek przez wszystkie te lata, choć muszę też przyznać ze

skrucą, że z czasem do tej niemożności przywykłam i nieomal się z nią pogodziłam.

Ostatnio jednak stan rzeczy w tej mierze uległ zmianie, z czego teraz z wielką radością korzystam, aby próbować się przed tobą z tak długiego milczenia usprawiedliwić i zdać ci pokrótce sprawę z tego, co się ze mną przez cały ten czas działo.

Pamiętasz, kiedyśmy się w wilię mego wyjazdu żegnały, wśród łez i obietnic tak wielu, sądziłyśmy obie, iż wyprawiając się w nieznane u boku pana Celtisa, po to, by pod jego skrzydłami zgłębiać wyższe dziedziny wiedzy, mogę się spodziewać, że mi ów mąż, nad swój młody wiek uczony, poznawszy mą użyteczność, zacznie z czasem jakowąś lafę wypłacać, choćby i niewielką, lub przynajmniej zapewni mi w swoich podróżach chleb i dach nad głową. Otóż wiedz, moja Enneleyn, iż te nasze rachuby nie sprawdziły się wcale.

Pan Celtis przyjął bowiem z góry, że skoro to ja się z własnej woli uczepiłam poły jego płaszcza, tedy wszystkie usługi, które mu oddaję, są jedynie wyrazem mej głębokiej wdzięczności za przywilej obcowania z jego osobą. Czy może bardziej za to, że raczy się dzielić ze mną swą wiedzą bez żadnej w monecie zapłaty. Opowiem ci za chwilę dokładniej, jak mu narzuciłam swoje towarzystwo. Pierwej jednak chcę ci uświadomić, iż z Norymbergi bez zatrzymania podążyliśmy do Augsburga, z Augsburga do Ingolstadt, z Ingolstadt do Ratyzbony, z Ratyzbony z powrotem do Norymbergi, stamtąd do Würzburga – i tak przez blisko dwa lata włóczyliśmy się po wszystkich ziemiach cesarstwa, nigdzie miejsca nie zagrzewając, jak jacy niedźwiedznicy. Przyznaję, że całkiem bez korzyści dla mnie te wędrówki nie były, choćby i przez to samo, żeśmy przez cały niemal czas znad końskich grzbietów prowadzili ze sobą rozmowy, dzięki którym doskonaliłam się w łacinie. Ba, nie tylko w łacinie, ale też w dotrzymywaniu kroku tak wielkiemu umysłowi w jego rozważaniach. Chyba zresztą były to zrazu wyłącznie jego monologi, od czasu do czasu przerywane pytaniem retorycznym: „Czyż nie tak, Starkfaust?”. Ja w odpowiedzi bąkałam nieśmiało: „W rzeczy samej, mistrzu mój”, albo coś w tym rodzaju. W miarę jednak, jak się z moim położeniem oswajałam, zdarzało się coraz częściej, że mu w omawianym przedmiocie zadawała pytania, które, zda mi się, nieco rozmowę ożywiały. Czasem nawet odważałam się wygłaszać z siodła własne, naiwne przemyślenia. I powiem ci, że je pan Celtis wcale nie

zawsze kwitował samym tylko pobłażliwym uśmiechem, ale zdarzało mu się niekiedy wdawać ze mną w na wpół poważną dysputę. Nie po to ci o tym piszę, żeby się przed tobą chełpić, a w każdym razie nie tylko po to. Przede wszystkim bowiem chcę ci dać wyobrażenie o tym, jak mało miałam w tych podróżach czasu choćby na obmyślenie tego, co bym miała do ciebie napisać, a zwłaszcza jakim sposobem mam ci moje pismo przekazać. A weź przy tym pod uwagę, że gdy tylko z konia zsiadałam, miał dla mnie pan Celtis zawsze jakieś zajęcia. A to z ksiąg grubych polecał mi wypisać wskazane przez siebie ustępy, a to znów kaftan mu oczyścić i buty albo zacerować gacie. Muszę mu tu jednak oddać tę zasługę, że niektóre z owych zadań miały jedynie moją naukę na celu – gdy na przykład kazał mi co wieczór przy świetle łożowego ogarka treść naszych rozmów z pamięci spisywać (po łacinie, rzecz jasna) albo rozwiązywać na piśmie ćwiczenia z greki. Te ostatnie, warto tu dodać, brał ze skryptu pochodzącego podobno od samego Barlaama z Kalabrii, nauczyciela Petrarki i Boccaccia.

Czyż zatem zdołałam już choć trochę rozproszyć twą urazę, Enneleyn, mojej duszy siostrzyco? Jeśli nie, zważ jeszcze, że mimo wszystko udało mi się razu jednego, gdyśmy wyruszali z Moguncji, w ostatniej chwili wcisnąć naprędce skreśloną kartkę dla ciebie gońcowi w barwach de Tassisów – tylko czyś ty ją aby otrzymała? Pisałam ci w niej, o ile dobrze pamiętam, że sakiewka moja coraz lżejsza, a do tego myślę sobie z wielkim przestachem, iż na gościńcu mogę spotkać zbójów, jako że wszystko, co mam, muszę nosić przy sobie, bojąc się grosze moje bankowi powierzyć, boć przecie w kantorach lubią się bacznie przyglądać i chytrze przepytować każdego, kto się ze skryptami po wypłatę zgłasza.

Tak bowiem, jak mi radziłaś, przed wyjazdem cały mój majątek, przez ojca mego kosztem krwi przelanej i kalectwa nabyty, spieniężyłam przy pomocy wuja Engelberta. Wuj co prawda przy sposobności tego spieniężenia większość zagarnął dla siebie, lecz niech mu to wyjdzie na zdrowie, skoro mimo wszystko całych szesnaście funtów w srebrze mi wręczył. I tak przecież więcej nie mogłabym na sobie dźwigać. Z tego cztery funty od razu mi poszły na konia dobrego (nazwałam go Farsell), do tego siodło, uprząż, no i kilka sztuk odzieży, niezbędnych do wprowadzenia naszego planu w życie.

Tamtego dnia, szesnastego kwietnia 1487 roku, tak jakeśmy to sobie obmyśliły, skoro świt opuściłam miasto bramą koło zamku. Zaspany

strażnik, zajęty podnoszeniem bramy, nawet na mnie nie spojrzął, kiedy pod nią przejeżdżałam. Po półgodzinie jazdy, w lesie pod Gaibergiem, dokonałam mojej przemiany. Najtrudniej było odciąć warkocz, bo mój nóż, dobry do chleba, do takich celów, jak się okazało, był za tępy. Udało mi się go w końcu jako tako wyostrzyć o znaleziony przy ścieżce spory, jajowaty kamień, przysypany do połowy zeszłorocznymi liśćmi dębu, i wtedy poszło już łatwiej, choć bez bólu się nie obeszło. Pozbywszy się warkocza, rozrzuciłam włosy z tyłu, żeby swobodnie opadały na kark i ramiona. Okazało się, że mi to wyszło ciut krzywo, ale nie przejmowałam się tym, bo przecież chłopaki nieraz są krzywo przycięci. Niewiele myśląc, rozebrałam się szybko do samego mieszka – ten przypięłam sobie jeszcze przed wyjściem z domu – zaczęłam wciągnąć nogawice, wzięłam trzewiki, ubrałam się w koszulę i kaftan, a na wierzch narzuciłam opończę. Dziewczyńskie szatki razem z warkoczem upchałam do dziupli wypatrzonej w starym dębie, i tym samym zamknęłam za sobą moje dawne życie. Wdrapałam się znów na mego dzielnego rumaka, wyjechałam z lasu na gościniec i co koń wyskoczy pognałam prosto na wschód.

Od razu poczułam, że w męskim stroju człowiek trzyma się w siodle o wiele pewniej i wygodniej, można więc sobie pozwolić na nieco szybszą jazdę niż przy naszych dawnych przejażdżkach po wzgórzach za cmentarzem albo wzdłuż rzeki. Dzięki temu przed wieczorem byłam w Rothenburgu, gdzie zatrzymałam się na nocleg, i już następnego popołudnia dotarłam do Norymbergi, w samą porę, by z daleka zobaczyć, jak strażę przepuszczają przez bramę zamkową naszego młodego znajomego. Nie mogłam podejść bliżej, bo jeden za drugim wjeżdżały tamtędy orszaki coraz to nowych księżąt Rzeszy, jeden świetniejszy od drugiego, przybywające na uroczyste obrady Reichstagu, toteż halabardnicy woleli takich jak ja gapiów w odpowiedniej odległości utrzymywać. Oddaliłam się tedy, żeby znaleźć sobie miejsce w gospodzie i pożywić się napędce, po czym pieszo pod Burg powróciłam, by wypatrywać pana Celtisa za jego stamtąd powrotem.

Już całkowite ciemności zapadły i kupowałam właśnie od żagiewnika zapaloną pochodnię, gdy świeżo uwieńczony przez cesarza poeta laureat znów się w bramie pojawił. Po jego chwiejnym kroku znać było, że wyróżnienie swoje świętował był na zamku bez przesadnej dbałości o zachowanie antycznego umiaru. Zbliżając się doń z mym łuczywem, już

miałam przemówić, gdy on zwróciwszy na mnie wzrok, odezwał się pierwszy.

– Chłopcze, za pozwoleniem – zapytał odrobinę tylko bełkotliwie – czy byłbyś uprzejmy poświęcić mi w drodze do gospody Pod Panieńskim Orłem?

Powiedział „chłopcze”, zatem wiedziałam już, że nie tylko mnie nie poznaje, ale nawet mu przez myśl nie przejdzie, że mogę nie być tym, za kogo chcę uchodzić. To mi dodało odwagi.

– Salve, poeta laureate, decus litterarum et eloquentiae! I – zadeklamowałam z zapałem. On na to, przyjemnie zdziwiony, zrobił wielkie oczy, a ja ciągnęłam beczelnie, stale po łacinie: – Będzie to dla mnie zaszczyt choć przez chwilę tak wielkiemu człowiekowi przyświecać i móc przy tej okazji poprosić pokornie, by zechciał swą mądrością rozświetlać mroki mej niewiedzy. Wszelako nie jestem tutejszy, więc co się tyczy odnalezienia drogi Pod Panieńskiego Orła, muszę się zdać na twoją, panie, znajomość miasta.

Tak go zatkało, że tylko wskazał mi kierunek i ruszyliśmy w milczeniu przed siebie.

– Nietutejszy? – powtórzył po kilku krokach moje słowa. – Z jakiegoż to kraju?

– Z Palatynatu Reńskiego – odrzekłam zgodnie z prawdą.

– Z Palatynatu? – zdumiał się. – Toś ty Niemiec? Po kiego więc licha rozmawiamy po łacinie?

– Wybacz, panie, chciałem się tylko twojej znakomitości nieco dać poznać – przyznałam z pokorą, uparcie trzymając się łaciny. – A to dlatego, że chcę cię, panie, prosić, byś mnie przyjął jako swego ucznia.

– Ucznia? – zaśmiał się. – Nie trzymam uczniów przy sobie. Na uniwersytetach gromadnie ich nauczam.

I na to miałam przygotowaną odpowiedź.

– Kiedy ja na uniwersytet za młody jestem.

Spojrzał na mnie nieco bystrzej, aż się złękłam, czy mnie nie rozpozna.

– To ile ty masz lat? – zapytał.

– Dwanaście, przesławny panie – odrzekłam bez zająknięcia, dwa lata sobie odejmując.

– W istocie, to za mało – przyznał. – Ja miałem szesnaście, studia w Kolonii zaczynając. – Przyjrzał mi się znów spod oka, lecz snadź przy

migotliwym światłem pochodni niewiele zobaczył. – Duży wyrosłeś jak na swój wiek – zauważył.

Prawda to, już wtedy byłam, jak pamiętasz, dziewczką rosną niespotykanie (a jeśli chcesz wiedzieć, od tego czasu przybyło mi ćwierć łokcia).

Potem przez dłuższą chwilę szliśmy z Celtisem, nic nie mówiąc, aż wreszcie on zwrócił się do mnie tonem dobrotliwym:

– I czegoż ty, dziecię, po mnie się spodziewasz?

– Pragnę cię, natchniony panie, prosić, abyś mnie nauczał – odparłam bez namysłu – po to, bym z czasem mógł pójść twoim śladem. – I zaraz dodałam: – A ja ze swej strony postaram ci się, jak tylko zdołam, odwdziżyć.

– Jak tylko zdołasz? – Odchrząknął kilkakrotnie, jakby z zakłopotaniem, i po chwili milczenia zagadnął kpiącym tonem: – Ciekawym, jak to sobie wyobrażasz.

– Nie wiem – odrzekłam z dziecięcą prostotą. – Wszystko, czego tylko łaskawy pan sobie życzyć będziesz, ja jestem gotów czynić, o ile, rzecz jasna, będzie to w mojej mocy.

– W twojej mocy! – zaśmiał się na te słowa. – A to ci rezolut! – Oddalił się na stronę, beknął z cicha, po czym powracając w krąg światła mojej zagwi, podjął już bez prześmiewki: – Ale, zauważ, pominąwszy już wszystko inne, jakże ja cię mam przyjąć na ucznia, skoro jestem stale w podróży? Pomyślałeś o tym, chłopcze? Jak cię zwą właściwie?

– Georg – przedstawiłam się mym nowym imieniem i zaraz dodałam to nazwisko, przez ciebie obmyślane. – Georg Starkfaust.

– Starkfaust, hm... – zadumał się. – Pugnus Fortis... Nie. Trzeba by ci coś innego wymyślić. Ale powiedz mi, Starkfaust, co na to twój ojciec?

– Ojciec mój drogi odumarł mnie przed rokiem – odrzekłam zgodnie z prawdą.

– A matka? – dopytywał.

– Nie żyje od dawna. Nawet jej nie pamiętam.

– Ach tak... – Pokiwał głową z należną powagą. – Masz przecie chyba jakichś krewnych?

Opowiedziałam mu o wuju Engelbercie, na wszelki wypadek dając mu na imię Ulrich. Z ojca mego, wojennego inwalidy, zrobiłam młynarza z Knittlingen, będąc prawie pewną, że nigdy do Knittlingen nie zawitamy, ale poza tym w mojej opowieści nie było ani krzty zmyślenia.

Kiedyśmy wreszcie stanęli na progu gospody Pod Panieńskim Orłem, doszłam akurat do tego, jakem mego konia nabyła. I chyba ten koń właśnie sprawił, że się pan Celtis wyzybił resztek wobec mnie uprzedzeń.

Nazajutrz o świcie, tak jak mi polecił, stawiałam się w gotowości do drogi w tym samym miejscu, gdzieśmy się byli rozstali. Mimo wszystko obawiałam się trochę, że w świetle dnia może mnie rozpoznać. Wprawdzie od czasu jego wyprowadzki z waszego domu na Haspelgasse, gdzie mnie nieraz przelotnie był widywał, gdym was odwiedzała, minęły dobre dwa lata, w ciągu których urosłam o łokieć prawie i gęba mi się mocno wydłużyła, czy mnie jednak nie zapamiętał lepiej, niżbym chciała, żadnej pewności mieć nie mogłam.

Jakoż w istocie, kiedyśmy już ruszyli nieśpiesznie drogą na Heilbronn, pan Celtis po dłuższym pomrukiwaniu do siebie samego i odchrząkiwaniu nieoczekiwanie odezwał się do mnie w zwykłej niemieckiej mowie:

– Wiesz co, Starkfaust? Cały czas nie mogę się uwolnić od wrażenia, że już cię gdzieś wcześniej widziałem, choć mi się to na zdrowy rozum wydaje niemożliwe.

– Może Pan Bóg – rzekłam na to z udawaną naiwnością – nadając rysy ludzkim twarzom, powtarza czasem jakiś wzór, w którym znalazł upodobanie.

Pan Celtis roześmiał się w pierwszej chwili, ale zaraz potem zmarszczył brwi i pouczył mnie surowo, na łacinę dla większej powagi przechodząc, iż słowa moje wskazują na to, że załęgła się we mnie zgubna pycha i nadmierne o sobie mniemanie, czego on zdecydowanie nie pochwala. Po czym, już bez karcącej nuty w głosie, jakby mi chciał powierzyć sekret jaki, przemówił dalej w te słowa:

– Co do mnie, sądzę, że to ludzka dusza z jakiegoś powodu utrwała sobie rysy twarzy niektórych osób, dawno temu, może nawet w niemowlęctwie przelotnie widzianych, i gdy potem u kogoś na podobne natrafi, rozpoznaje je z radością. – I po chwili zadumy dodał: – A czasem ze zgrozą.

Więcej ześmy już nigdy do tych kwestii nie wracali. Z czasem przestałam się obawiać, że sobie kiedyś pan Celtis uświadomi, skąd mu się moje lico znajomym wydaje. Sen z powiek spędzała mi jeszcze niekiedy tylko myśl o tym, że wędrując nieustannie po wszystkich miastach Rzeszy, możemy kiedyś zajechać i do Heidelbergu, gdzie by z pewnością ktoś mógł mnie rozpoznać. Umyśliłam sobie zatem, że gdyby

do tego doszło, pod lada pozorem rozłączę się z doktorem Celtisem na dni kilka. Szczęśliwie nie okazało się to konieczne, jako że przez całe dwa lata udawało nam się Heidelberg omijać.

Po tych przydługich wstępach wypada mi jak najkrótszą drogą doprowadzić moją opowieść do miejsca, z którego do ciebie piszę, to jest do Krakowa, stolicy Królestwa Polskiego. Dotarliśmy tam z Dalmacji przez Ilirię i Węgry. Z Dalmacji mówię, bowiem po drugiej już zimie spędzonej na końskim grzbiecie opuściliśmy w końcu ziemie niemieckie, przeprawiając się morzem z Triestu do Raguzy. Kiedy indziej spróbuję opowiedzieć, co czułam, nie widząc wokół siebie jak okiem sięgnąć nic prócz falującego morskiego przestworu, na później też odkładam opisanie uroków wiosny w słonecznych krajach Południa, gdzieśmy wówczas wysiedli na ląd. Teraz natomiast, jeśli pozwolisz, objaśnię ci, dlaczego po tak długim życiu tułaczym zatrzymaliśmy się na dłużej, i to właśnie w tym Krakowie, mieście tłoczonym, wesołym, hałaśliwym, dobre trzy razy od naszego Heidelbergu bardziej rozległym, chociaż od Norymbergi, zda mi się, nieco jednak szczuplejszym; mieście, dodam, którego mieszkańcy, z jakiegoś sobie tylko znanego powodu, za coś lepszego od innych się mają.

Rzecz ciekawa, większość z nich wywodzi się z rodzin niemieckich, z dawna tutaj osiadłych, i ciekawie jest przyglądać się, ile jeszcze zachowali w sobie niemieckości – jeśli w ogóle można mówić o czymś takim jak niemieckość, pomijając oczywiście język. Z tym językiem zresztą to nie taka prosta u nich sprawa – większość niby umie mówić albo nawet i pisać po niemiecku, ale ich niemczyzna to jakaś zamierzchła gwara, w żadnej części Niemiec już nieużywana, i chyba mocno też skażona wpływami mowy tutejszej, która jest bardzo odległa od wszystkich języków naszego łacińskiego kręgu, do tego stopnia, że mój obecny patron, pan Kallimach, określa ją pół żartem jako „scytyjską”, a o sobie chętnie mówi, że jest „Tusko-Scytą”, jako że pochodzi z Toskanii, a tu znalazł drugą ojczyznę. Może zresztą nie tylko żartem on Polaków do Scytów zalicza, skoro, w istocie, zdaniem wielu autorytetów wywodzą się oni od Sarmatów, ci zaś, jak można przeczytać choćby u Herodota, zrodzili się ze związków wojowników scytyjskich z Amazonkami.

Miejscowa ludność wyznaje wprawdzie chrześcijaństwo, i to już, jak czytałam, od pięciu stuleci, ale... ale chociażby w ostatnią sobotę widziałam tu na własne oczy pogański obrzęd, odprowadzany na

pradawnym kurhanie, pod którym mają jakoby spoczywać szczątki mitycznego króla Krakusa, Romulusa tego Rzymu. Szepnął mi o tym rano na Akademii któryś z kolegów szkolarzy, a że z powodu odwołania repetytorium miałam akurat wolne popołudnie i słońce przygrzewało już prawdziwie wiosennie, wybrałam się z ciekawości na przechadzkę za miasto, w okolice rzezonego kopca. Od miejsca, w którym mieszkam, idzie się do niego ledwie półtorej mili, może dwie. Już z daleka widać było takie mrowie ludzi, jakby tam cały Kraków się zebrał. I sam kurhan, podobny do kardynalskiego kapelusza, i otaczające go błonia obleźli tak gęsto, że aż się bałam, czy się zaraz nie potratują, zwłaszcza że zamiast stać spokojnie, przez cały czas się żwawo przemieszczali. Jedni co prędzej wchodzili na szczyt kopca, drudzy schodzili, by dołączyć do stojących na dole i wraz z nimi próbować coś złapać z rzeczy, które tamci toczyli z góry na dół po zboczu, wśród ogólnej wesołości, śpiewów, tańców, gwizdów i pokrzykiwań. Krótko mówiąc, cały ten obrzęd, zwany z jakichś powodów rękawką (czyli coś jakby Ärmelchen), sprowadza się do turlania ze szczytu kurhanu najrozmaitszych pokarmów – z tych, co się turlać dają, czyli na przykład gotowanych jaj (nierzadko pięknie ozdobionych) albo jabłek, buraków czy nawet odpowiedniego kształtu bułek. Ale widziałam też, że ktoś spuszczał po zboczu sznurowaną szynkę, co oczywiście ci na dole, w większości biedacy, przyjęli z wielką radością, choć możliwe, że złorzeczyli w duchu tym, którzy stojąc najbliżej, zdołali ją pochwycić (zdaje się, że nie obeszło się tam bez bójki). Najbardziej podobały mi się śpiewy. Ich treści nie zdołałam uchwycić, chociaż już sporo po polsku rozumiem, ale to była jakaś inna polszczyzna, a może w ogóle inny jakiś język, którym mówiono w tym kraju na długo przedtem, zanim zawitali tu pierwsi misjonarze.

To turlanie przysmaków po ziemi przypomniało ci pewnie nasze dziecięce zabawy w Krainę Pasibrzuchów, ale możesz mi wierzyć – jako że coś niecoś już wcześniej o tej rękawce zdarzyło mi się słyszeć – iż za tymi, zdawałoby się, niewinnymi igraszkami kryje się tu mroczny kult zmarłych i oddawanie czci bożkowi śmierci. Na pewno trudno jest tubylcom wyzwolić się całkowicie z zakorzenionego w nich głęboko przesądu, wobec uwodzicielskiej mocy związanych z nim rytuałów. Przyznam, że mnie samej chwilami skóra cierpła na grzbiecie od tych niby radosnych zaśpiewów, które przez cały czas wznosiły się nad kurhanem, a szczególnie wtedy, gdy się melodia pięła w górę i głosy śpiewających

spotykały się tam na długo wytrzymywanych nutach, wibrujących zakazanymi współbrzmieniami. Wiem mniej więcej, na czym to polegało, gdyż trzy lata temu, w quadrivium, musiałam między innymi zgłębiać zasady muzyki. Mogłabym więc wyłożyć ci to bardziej szczegółowo, ale chyba już zanadto się rozpisałam o całym tym zdarzeniu, które w gruncie rzeczy niewiele wnosi do sedna mojej opowieści.

Wróć więc raczej do objaśnienia, dlaczego doktor Celtis, a wraz z nim siłą rzeczy i ja, zatrzymaliśmy się na dłużej w Krakowie. Otóż on przybył tu z zamiarem pogłębienia swojej wiedzy właśnie w dziedzinie nauk matematycznych, szczególnie astronomii. Mają bowiem w Krakowie Polacy wcale dobry uniwersytet, zwany tutaj Akademią, na którym w tamtych latach nauczał jeszcze sławny Albertus de Brudzewo (rzecz ciekawa, tu, w Polsce, ludzie zamiast „Albert” mówią „Wojciech”, co się po naszymu wymawia mniej więcej: „Weutschäch”), mędrzec z wielką brodą, wielce też uczony i przez innych uczonych w całym chrześcijańskim świecie poważany. Na jego właśnie wykłady Celtis ucęszczał z pilną pokorą, w czym ja, niestety, nie mogłam mu towarzyszyć, a dlaczego, to ci za chwilę wyjaśnię. Bez względu jednak na to z niemałą ulgą przyjął wiadomość, iż osiadzimy gdzieś wreszcie na dłużej, już choćby z tego powodu, że jakkolwiek doceniam urok ciągłych odmian, jakie zapewnia życie wędrowne, to jednak po pewnym czasie, wskutek znużenia trudami nieustannej podróży, ciekawość dla tych odmian we mnie przygasła. Zważ, że przez te dwa szalone lata nie miałam czasu nigdzie się nawet dokładniej rozejrzeć, miejscowych ludzi poznać i dowiedzieć się, czym żyją, co ich dręczy, a co im się marzy.

Dopiero też odkąd osiedliśmy w Krakowie, mogłam wreszcie znaleźć wolną chwilę, by do ciebie napisać. Tyle że tu z kolei kłopot z tym był do dziś taki, iż nie kursowała w Polsce regularnie żadna poczta, nie licząc królewskiej, ale z tej zwykli poddani korzystać nie mogą. Odkąd więc tu jestem, nie miałam żadnej sposobności, aby ci cokolwiek przesłać. Co nie znaczy, że się o taką sposobność nie starałam – cała okolica wiedziała, że gdyby się ktoś stąd wybierał do Palatynatu, ma mnie zawczasu powiadomić. Łudziłam się przez całe siedem lat, że w końcu ktoś taki się znajdzie, boć przecie tu, jak już wspominałam, od pokoleń sami prawie Niemcy mieszkają i wielu z nich czasem jeździ do Niemiec, odwiedzić dalekich krewnych albo też w interesach rozmaitych. Niestety akurat w nasze strony, czy nawet w ich poblize, przez cały ten czas nie

wyprawiał się nikt. Aż wreszcie dom Fuggerów otworzył w Krakowie swoją faktorię i po roku ogłosił, że będzie co dziesięć dni wysyłał konwój pocztowy do Augsburga – pierwszy odchodzi już jutro o świcie! Stamtąd przesyłki do innych miast cesarstwa przejmie poczta de Tassisów. Jak mnie zapewniano, do Augsburga tabor Fuggerów przybędzie od jutra za dziesięć dni, szóstego kwietnia, a w drogę powrotną wyruszy stamtąd po dalszych dziesięciu. Tych drużyn pocztowych mają Fuggerowie aż cztery i będą je wyprawiać po dwie, w obie strony jednocześnie, i z chwilą gdy jedna z nich dotrze do, powiedzmy, Augsburga, to jeszcze inna, która tam na nią, przyjmując tymczasem przesyłki, czekała od dziesięciu dni, natychmiast wyruszy do Krakowa – i to samo będzie się działo w drugą stronę. To znaczy tak ma być, a jak będzie, to się dopiero okaże. Nie wiem też, jak często z kolei kurierzy de Tassisów między Heidelbergiem a Augsburgiem kursują – to jakieś cztery dni jazdy w każdą stronę – lecz jeśli konstelacje ułożą się pomyślnie, to według moich wyliczeń jest szansa, że odpowiedź twoja na ten list – o ile zechcesz mi odpowiedzieć; ale zechciej, proszę! – dojdzie mnie dwudziestego szóstego kwietnia, czyli za niecały miesiąc. Chciałoby się wcześniej, ale wzięwszy pod uwagę wszystkie czynniki, wygląda na to, że jednak nie da rady. Trzeba więc się cieszyć z tego, co jest możliwe – no to się cieszę i mam nadzieję, że ty też. Prawdę mówiąc, chce mi się skakać do góry na myśl o tym dniu kwietniowym, ale tego, ma się rozumieć, poważnemu studentowi czynić nie przystoi, zwłaszcza kiedy jest kobietą. Najważniejsze jednak, że teraz wreszcie mogę ci, Enneleyn utęskniona moja, wszystkie dotychczasowe zaniedbania wynagrodzić.

Tylko czy cię ten list odnajdzie? Nie sądzę, abyś wciąż na Haspelgasse mieszkała, może nawet nie ma cię wcale w Heidelbergu. W dniu mego wyjazdu miałaś już lat piętnaście, więc chyba od dawna żoną komuś jesteś, a pewnie i dziątek słodkich gromadka cię otacza; och, widzę je prawie, jakbym tam przy was była, te liczka miłe, rumiane, do twego tak podobne! Mam jednak nadzieję, że ojciec twój zacny, doktor Weidemann, żyje jeszcze i można go stale na Haspelgasse odnaleźć, a gdy otrzyma mój list, na pewno dopilnuje, aby do twych rąk on dotarł.

Byłabym zapomniała: winnam ci przecie wyjaśnić, czemu już siedem lat w tym Krakowie siedzę i wcale się z niego nie ruszam, podczas gdy, jak mogłaś zauważyć, doktor Celtis (teraz już, słyszę, profesor) wrócił ostatnio do Heidelbergu, o czym wiem od mego obecnego mistrza

i pryncypała, pana Kallimacha. Żeby ci to wytłumaczyć, muszę się znów cofnąć do pierwszego lata mojego w Krakowie pobytu. Miałam już wtedy, w 1489 roku, lat szesnaście w rzeczywistości, a dla świata czternaście, co było na uniwersytet wciąż trochę za mało. Celtis zapewniał mnie jednak, że o ile prawdziwie nauki studiować pragnę i stać mnie na chesne, on może za mnie osobiście poręczyć przed rektorem Matthiasem de Cobilino. A przecież – któż to może wiedzieć lepiej niż ty, przyjaciółko najmiłsza – tylko po to swego imienia, krewnych i stron rodzinnych się wyrzekłam, nie mówiąc już o domu i majątku, nie z inną też myślą w tę awanturniczą błazenadę się wdałam, jak żeby się naukom móc oddać bez reszty, w poszukiwaniu klucza do zagadek bytu. Stało się więc, że wpisałam się jako Georg Starkfaust z Knittlingen na listę studentów pierwszego roku trivium w Akademii Krakowskiej, wpłacając z góry dziewięć groszy, za co można tu sobie kupić dwie miary żyta (ale miara u nich to jak dziesięć naszych) albo pół beczki piwa. Było mnie na to stać, bo po tych dwóch latach z posiadanych na początku dwunastu funtów srebra zostało mi wciąż prawie osiem, a wkrótce potem z ogromnym żalem sprzedałam też mojego wiernego Farsella, z niewielką tylko stratą i, co było dla mnie ważne, oddając go w dobre ręce.

Lecz kiedy już wysypałam na ławę przed kanclerzem Akademii pieczołowicie zawczasu odliczonych sto osiem tutejszych miedzianych denarów (nauczyłam się już w czasie mych peregrynacji, że srebrem lepiej bez potrzeby ludziom w oczy nie błyskać), ten mnie niespodziewanie zapytał, w której z siedmiu burs Akademii chcę zamieszkać. Spróbuj sobie przedstawić, Enneleyn, jak się na te słowa nogi pode mną ugięły. Spać w jednej izbie z tuzinem rozbrykanych wyrostków, z jednej z nimi korzystać latryny... Co tam latryna – jakże bym ja miała choćby szaty zmieniać! Już przecie w podróży z panem Celtisem było mi to wielką przeszkodą, ale pan Celtis był jeden tylko i, jak mi się zdawało, celowo unikał okoliczności, w których mógłby mnie gołą widzieć albo ja jego, przez co, choć mi to było na rękę, dręczyła mnie obawa, czy on się aby czego nie domyśla. Dopiero dużo później, z powodu pewnych rzeczy, których się o nim dowiedziałam, zaświtało mi inne tego zachowania wyjaśnienie.

Aby nieco zyskać na czasie, odpowiedziałam kanclerzowi, że muszę wpierw w mieście zasięgnąć języka, i tegoż wieczora zaczęłam Celtisa wypytywać, jak by tu uniknąć zamieszkania w bursie. Próbował mnie

zrazu przekonywać, że niepotrzebnie się tego obawiam, gdyż on swoje czasy burszowskie w Kolonii wspomina jak najlepiej. Ja jednak, jak się domyślasz, upierałam się przy swoim, nie ujawniając zarazem, mimo natarczywych indagacji, przyczyn mojej dla burs niechęci. Pan Celtis widocznie znalazł sobie w końcu własne jej wytłumaczenie, gdyż przyglądając mi się badawczo spod oka, oznajmił, że chyba już wie, co dla mnie może zrobić. Gdybym była szlachetnego rodu, tłumaczył, mogłabym gdzieś na mieście poszukać sobie stacji, byleby któryś z bakalarzy albo lepiej magistrów zobowiązał się mnie regularnie nawiedzać dla sprawdzenia, czy się godnie sprawuję. Ale że ledwie synem młynarza jestem, mogę najwyżej zamieszkać u któregoś z nauczycieli, tyle że on, doktor Celtis, ma na to jeszcze lepszy pomysł. I tak to mój niezrozumiały dla nikogo kaprys doprowadził mnie do progu domu pana Kallimacha na tutejszym podzamczu.

Pamiętam, jak gdyby to było wczoraj: kiedyśmy zastukali w drzwi mosiężną kołatką, dopiero po dłuższym czasie z wewnątrz dały się słyszeć nadchodzące kroki i zaraz po nich szcęk otwieranej zasuw. W progu stanął po chwili przygarbiony, niemłody już jegomość, z włosami barwy na wpół spopielonych węgli, rosnącymi bujnie po bokach, skąd opadały falami na ramiona, nad czołem zaś mocno przerzedzonymi. Był to we własnej osobie sam gospodarz, pan Kallimach, ubrany bardzo wytwornie, w krótką dzienną suknię w porzeczkowym kolorze, z szerokimi rękawami rozciętymi z przodu od grzbietu dłoni aż po pachę, u góry ściśle dopasowaną, od pasa w dół bufiastą; do tego obcisłe nogawice z czarnego sukna i lekkie czarne trzewiczki z niezbyt długimi noskami. Co mnie, pamiętam, w tej pierwszej chwili uderzyło, to blask bijący z jego oczu – wielkich, myślących, misternie wykrojonych, obwiedzionych ciemną oprawą rzęs, i ciepłe, łagodne brzmienie jego głosu. Powitał nas z miłym uśmiechem i zaprosił do środka, tłumacząc, że sam nas wprowadza, bo służbie dał wychodne z powodu przypadającej tego wieczora wigilii Dnia Świętego Jana, obchodzonej w tych stronach bardzo hucznie, z tańcami wokół ognisk zapalanych na leśnych polanach i poszukiwaniem w głębi lasu kwiatu paproci. Tak, tak, paproci. Weszliśmy więc z ulicy, z której, po wyjątkowo skwarnym dniu, wciąż buchał żar jak z pieca, do chłodnego wnętrza domu, przyjemnie pachnącego esencją różaną i woskowymi świecami. Ściemniało się już, więc gospodarz, usadziwszy nas za stołem, oddalił się na chwilę, by przynieść więcej światła. Kiedy

powracał, zauważyłam, że idąc, przechyliła się nieco na lewą stronę, i nie wiem dlaczego, ale wydało mi się to czarujące.

Usiadł z nami, po czym, przyjrząwszy mi się życzliwie, odezwał się swym szmerzącym głosem:

– A więc to ty jesteś tym chłopcem, o którym takie cuda słyszę?

Stropiłam się na to, bo choć, jak wiesz, nie jestem przesadnie skromna, to jednak nie chciałam wyjść w jego oczach na pyszałka.

– Mam nadzieję, dostojny panie, że nie słyszałeś o mnie nic złego – wybąkałam cicho, po czym zaraz się przedstawiłam. – Zwą mnie Georg Starkfaust, przybywam z Palatynatu i zamierzam podjąć studia na tutejszej Akademii.

Kallimach skłonił głowę na znak aprobaty.

– Zgadza się, to właśnie o tobie słyszałem – rzekł z uśmiechem. – A do tego tu obecny mój przyjaciel, pan Celtis, zaleca mi cię do pomocy w porządkowaniu papierów.

Zapewniłam od razu, że chętnie się tego podejmę, na co on z namysłem pokiwał głową, po czym znów z uśmiechem, ale tym razem jakby trochę kpiącym, zagadnął niewinnie:

– A powiedz mi, miły chłopcze, gdybyś był Kallimachem, o co byś chciał zapytać Georga Starkfausta w dniu waszego poznania?

Możesz łatwo zgadnąć, że w pierwszej chwili na te słowa odjęło mi mowę, ale w końcu jakimś cudem wycisnęłam z siebie resztkę konceptu.

– Zapytałbym go, znakomity panie – odezwałam się niepewnie – czy się cieszy, że będzie mi mógł swej przydatności dowieść.

Pan Kallimach był na tyle wyrozumiały, że pokiwał na to głową.

– Dobrze pytanie – stwierdził łagodnie. – I nawet zadam ci je później. Najpierw chcę cię jednak zapytać o coś innego. Rozumiem, że pragniesz się uczyć. Powiedz mi, proszę, dlaczego.

Dlaczego? Rozpaczliwie szukałam w głowie jakiejś zgrabnej formułki, która by potrzebę zdobywania wiedzy uzasadniała, ale zawstydziłam się nagle, że moje prawdziwe myśli zabrzmiały jak jakieś egzaltowane bajdurzenia, a jakoś nie umiałam tak na poczekaniu znaleźć w ich miejsce czegoś, co by było w miarę do rzeczy.

– Doprawdy nie wiem – przyznałam w końcu bezsilnie. – Chyba z ciekawości.

Pan Kallimach klasnął na to w ręce i nachyliwszy się ku mnie, jakby chciał, żebym mu się na ucho zwierzyła, zapytał cicho:

– Więc nie dla zapewnienia sobie lepszego losu?

– Tak, to też – przytaknęłam chętnie. – W pierwszej chwili nie przyszło mi to do głowy, ale nie wątpię, iż także i z tego powodu uczyć się warto.

– W takim razie – zapytał, prostując się na powrót – co dla ciebie tym lepszym losem będzie? Słyszę, że jesteś synem młynarza. Czyli co, chcesz zostać kanonikiem, z czasem może biskupem?

Zawahałam się. Czułam, że w tym pytaniu tkwi jakiś podstęp. Nie ciągnęło mnie nigdy do stanu duchownego, znasz mnie, ale sęk w tym, że nie potrafiłam zgadnąć, jakiej on po mnie oczekuje odpowiedzi.

– Nie zastanawiałem się nad tym do tej pory – odrzekłam tedy wymijająco. – A czy tego chcieć powinienem?

– To zależy od ciebie – nie ułatwiał mi odpowiedzi, wciąż przyglądając mi się badawczo. – Ale wiesz... – ciągnął, podkreślając każde słowo miękkim ruchem szczupłej dłoni – tłuste prebendy, przywileje wszelkie, no i na tamtym świecie nagroda... Pomyśl.

Zdawało mi się, że dostrzegam w jego oczach iskielki rozbawienia.

– Ufam w miłosierdzie Boże – oznajmiłam, ręce pobożnie składając – którym Chrystus Pan każdego na równi obdarza. A co do tych wszystkich innych dóbr... Nie, za pozwoleniem, raczej pozostanę w stanie świeckim – podsumowałam stanowczo.

Pan Kallimach spojrział na pana Celtisa z porozumiewawczym uśmiechem, na co ten, spuszczaając oczy, pokiwał głową, nie wiedziałam, czy aby nie w uznaniu mej porażki. Zaraz jednak, uniósłszy palec dla zwrócenia gospodarza uwagi i zerkając na niego znacząco, nagle zwrócił się do mnie po grecku:

– Nun de eipe tauto Hellenisti – co znaczy: „Teraz powiedz to samo po grecku”. Na co ja, przełknąwszy ślinę, przetłumaczyłam naprędce to, com uprzednio rzekła:

– Ej dokej soi, o beltiste, laikos ge menejn an bulojmen.

Usłyszawszy to, Celtis zwrócił się z triumfalną miną w stronę pana Kallimacha, ten zaś bez słowa wstał, wyszedł z izby i wrócił niebawem, niosąc pękata butelkę wina z trzema pucharkami.

– Pinomen! – zawołał, co po grecku znaczy: „Napijmy się!”.

Wypiliśmy więc, a nazajutrz stawiałam się ze swoim skromnym dobytkiem do pana Kallimacha dyspozycji. I odtąd mam nie tylko dach nad głową zapewniony, ale też skromną pensyjkę, którą mi nowy mistrz mój wypłaca jako swemu zaufanemu kanceliście, z czego po opłaceniu

czesnego na Akademii zostaje mi drugie tyle na moje potrzeby. Nie to jest jednak dla mnie najważniejsze, lecz możność obcowania na co dzień z mym pryncypałem. Wiele musiałabym zapisać stron, żeby ci dać bliższe pojęcie o tym wielkim mężu – na początek niech ci wystarczy, że jest on ważnym doradcą tutejszego króla Olbrachta (mówiłam ci wprawdzie, że Polacy zamiast „Albert” mówią zwykle „Wojciech”, w tym jednak wypadku ograniczyli się do podmienienia samogłosek; to tylko jeden z wielu przykładów na to, jak kapryśne i nieprzewidywalne bywają zachowania tego ludu). Ten Olbracht panuje w Polsce od czterech lat za ledwie i jest dość młody jak na króla – nie tak dawno temu był pan Kallimach jego wychowawcą, tak jak i prawie wszystkich jego braci, choć i sam on też jeszcze nie jest stary. To jest, owszem, ma już pięćdziesiąt dziewięć lat, ale te lata służą mu jak mało komu.

To, że już powiedziałam: „doradca królewski”, nie oznacza bynajmniej, że powiedziałam wszystko, co o nim powiedzieć należy. Jest on w pierwszym rzędzie poetą łacińskim, biegłym i natchnionym, o wiele od pana Celtisa wyżej w tej sztuce stojącym, a przy tym człowiekiem wielkiej wiedzy i mądrości. Celtis poznał był go jeszcze za czasów swojej podróży po Włoszech, dokąd, jak pamiętasz, zmierzał, gdy stancję w waszym gościnnym domu opuszczał. Tak się bowiem szczęśliwie złożyło, że w tym samym czasie pan Kallimach, sam zresztą będąc Włochem rodowitym, posłował do Wenecji z ważną misją od króla polskiego, ale nie tego młodego, swojego wychowanka, tylko jeszcze jego ojca, Kazimierza. Tam więc, w Wenecji, się z Celtisem spotkali i widocznie przypadli sobie do serca, skoro potem w Krakowie, odkąd się odnaleźli, wciąż nie mogli się do syta swoim towarzystwem nacieszyć, a przynajmniej tak mi się do pewnego momentu wydawało. Pan Celtis jednak po roku Kraków opuścił, kierując się na Węgry, a niebawem, jak wieść niesie, powrócił do Niemiec.

Ja zaś już szósty rok studiuje na uniwersytecie tutejszym, pracując zarazem u pana Kallimacha, i dobrze się mam. Muszę ci się pochwalić, że dwa lata temu ukończyłam facultatem artium, najpierw trivium, to jest kurs gramatyki, retoryki i dialektyki, a po dwóch latach przeszłam do wyższego stadium nauki sztuk wyzwolonych, quadrivium, które ukończywszy, otrzymałam tytuł magistra – co nie jest takie łatwe, ledwie co dwudziesty student taki tytuł zdobywa, innym musi wystarczyć bakalaureat. Przy tej okazji wyjaśniam, dlaczego nie mogłam w swoim

czasie razem z doktorem Celtisem na wykłady Alberta Bruciusa z astronomii uczęszczać: otóż matematyki, astronomii i muzyki uczą na quadrivium, gdzie nie można studiować bez pomyślnego trivium ukończenia. Ale i na quadrivium na owego Alberta nie trafiłam, gdyż zrezygnował był już wówczas z nauczania astronomii, ograniczając się tylko do filozofii Arystotelesowej wykładania, co może było jednym z powodów, dla których Celtisowi nie chciało się już dłużej w Krakowie zostawać. Nie wiem też, czy mam czego żałować, że ominęły mnie przesławne wykłady Bruciusa, gdyż bodaj czy nie więcej skorzystałam z nauk jego następcy, Michaela Falkenera z Wrocławia, który bardziej niż ku samym tylko suchym pomiarom ruchów ciał niebieskich skłania się ku zgłębianiu tajemnego wpływu gwiazd na bieg rzeczy. Siła mi to dało do myślenia, a teraz z kolei już trzeci rok studiuje na facultas medica i jeśli cierpliwości mi starczy, może i te studia skończę. Zostały mi jeszcze dwa lata.

Tyle nowin o sobie mam dla ciebie na początek, moja kochana Enneleyn. Więcej ci napiszę w następnym liście, za dni czterdzieści, jeśli się wszystko dobrze ułoży. Bywaj zdrowa i pisz do mnie, pamiętaj, że stale masz we mnie całym sercem oddaną przyjaciółkę. Listy do mnie adresuj na Georga Starkfausta w domu pana Filipa Kallimacha przy Kanoniczej ulicy.

Pisałam w Krakowie
w czwartek,
24 marca
1496
roku.

LIST II

Najznakomitszej
Enneleyn Pfeiffer z Weidemannów
jej przyjaciółka Gredechin Specht
serdeczne przesyła pozdrowienia.

Ile radości mi sprawił twój list, moja Enneleyn, nie potrafię słowami wyrazić. Prawdę mówiąc, bez wielkich nadziei wybrałam się do faktorii Fuggerów, aby się wywiedzieć, czy jest coś dla mnie w poczcie, co miała dziś przybyć z Augsburga. Siedzi tam za pulpitem taki gruby jegomość z brodawką na nosie, który na moje pytanie odpowiedział burkliwie, że na razie poczty nie ma, a kiedy będzie, nie wiadomo. Nienawidzę takiego gadania, tym bardziej że dziesięć dni temu, kiedy miała tu dotrzeć poprzednia drużyna, to samo mi mówił.

– Jak to: nie wiadomo? – przemówiłam dobrze podniesionym głosem. – Przecież to muszą być ci sami, co stąd wyjeżdżali w marcu, dwudziestego siódmego! Dziesięć dni jazdy tam, dziesięć postoju i znów dziesięć na powrót, to wychodzi, że muszą być dziś!

Gbur na to wzruszył tylko ramionami i pouczył mnie cierpko, że opóźnienia w drodze są rzeczą zwyczajną i żebym się lepiej tak mocno do dat ściągniętych spod powały nie przywiązywała. Na to już nie wytrzymałam i nawrzeszczałam na niego, przypominając, że przed miesiącem heroldzi wszystko to, co dziś mówię, raz po raz ogłaszali z muzyką po całym Krakowie, wynosząc przy tym dom Fuggerów pod niebiosą, że niby dzięki nim doczekaliśmy się nareszcie regularnej poczty, jaką inne królestwa mają od dawna. I wystaw sobie, że wszystko to wykrzykiwałam, jak umiałam, w miejscowym narzeczu. Bo chociaż, jak ci już pisałam, prawie każdy tu Niemiec, to jednak, wskutek pewnego bardzo dawnego zatargu, nie jest w Krakowie dobrze widziane, żeby sobie tutejsi po niemiecku gwarzyli na ulicy. Jedynie w kościele dopuszcza się kazania i ogłoszenia parafialne w naszym języku, ale mówi się, że i te

lada chwila mają być zniesione i zostaną już tylko same polskie. Ja wprawdzie zaliczam się do przyjezdnych, więc nikt nie powinien mi mieć za złe, że się przy tej czy innej okazji odezwę w obcej mowie, ale że siedzę tu już siedem lat i ludzie mnie znają, też muszę się w miarę możliwości do tutejszych zasad stosować. A wierz mi, że diabła zje, kto się po polsku prawidłowo wysławiać nauczy. Na szczęście oni, jeśli widzą starania, nie mają tak bardzo za złe kaleczenia swojego języka, bo to ich, uważasz, nawet mile głaszcze. Tak są bowiem z tej swojej świszczącej gęganiny dumni, iż wydaje im się, że skoro ktoś z takim trudem próbuje ją podchwytwać, to widać musi być nią równie jak oni zachwycony.

Jednak ponuraka z brodawką moja niezdarna polszczyzna ani wzruszyła, ani ubawiła. Tyle tylko uzyskałam, iż ręce na piersiach krzyżując, oznajmił mi z wyniosłą miną, że co prawda tabor ich ma przybyć dzisiaj, ale czy przybędzie, to się okaże.

Rada nierada oddaliłam się więc i powróciłam do domu pana Kallimacha, w którym mieszkam chwilowo tylko z Agnieszką, gospodynią jego, i kilkorgiem służby, bo on sam od kilku miesięcy w ważnych sprawach królestwa w Toruniu przebywa, mieście północnym, tak od Krakowa odległym jak od Heidelbergu Hanower. Ledwie wszak do papierów zasiadła, ledwie sobie pióro przycięła, gdy usłyszałam stukanie kołatki. Śpieszę do drzwi, otwieram, a tam człowiek jakiś stoi i pyta, czy tu mieszka Georg Starkfaust. Ach, nieomal bicie własnego serca posłyszałam, list! List mi przyniósł od ciebie, moja dobra Enneleyn, i to jednak dzisiaj! A do tego jakież w nim wieści wspaniałe!

Dobry Boże, troje dzieci i wszystkie zdrowe! Jakżeż ty musisz być szczęśliwa! Cieszę się jak głupia, że tak ci się w stanie małżeńskim powiodło, że, jak mi piszesz, mąż cię dobrze traktuje, rad twoich słucha, ręki na ciebie nie podnosi i stale czułością obdarza (spodziewam się, że nigdy przeciw twojej woli). No dobrze, powiem ci całkiem szczerze, bo chyba mojej winy w tym nie ma, że nie przypominam sobie w ogóle pana Pfeiffera z Heidelbergu – może za moich czasów był w innej parafii? A ciekawam bardzo, jaki on jest, ten twój Dietmar; czy urodziwy? Powiedźże prawdę, ja przecież wiem, że nie to jest najważniejsze, ale i tak powiedz, żebym sobie mogła lepiej twoje szczęście przedstawić. Zatem: gruby on, chudy czy średni? Jasny, ciemny czy rudy? Może bródkę nosi? Może łysy jest albo siwy zupełnie? Syn, powiadasz, mistrza ceglarskiego, więc chyba nie może być stary – stary sam byłby mistrzem.

Opowiedzże, jak to on się o ciebie starał, czym twego znakomitego ojca pozyskał przychylność, a czym do twojego serca przemówił. Pisz mi poza tym o psotach twoich dziatki, o tym, jak wolne chwile spędzasz (jeśli takie miewasz) i czym swój bystry umysł zajmujesz. Czy dałaś synkowi na imię Wolfram, po naszym ukochanym poecie, jakieś to sobie obiecywała? Nie masz pojęcia, jak się cieszę z tego, że ci nie przeszło zamiłowanie do ksiąg, czego się, przyznam szczerze, trochę obawiałam, wiedząc, jak ciężkie brzemie wzięłaś dobrowolnie na swoje delikatne barki, wychodząc za mąż.

Co do mnie, jestem, jak mi się zdaje, wciąż taka sama, jaką mnie pamiętasz, mimo że odkąd zostawiłam za sobą błonia nad Neckarem, życie prowadzę zgoła odmienne, a tak się od tamtej pory zżyłam z moją maską, że choćbyś mnie w środku nocy ze snu zerwała, ja ci się w postaci przecierającego oczy Starkfausta ukazę. Ten Starkfaust jednak nie jest niczym innym jak czczą zjawą, czy raczej kukłą jarmarczną, którą ja, Gredechin, z niejaką wprawą poruszam. Dzięki tej kukle osiągnęłam, co osiągnęłam, i nadal mogę sobie stawiać coraz to nowe cele. Albo, jak wolisz, możemy przyjąć na odwrót – że dzięki tajemnemu wsparciu mojego kobiecego umysłu Starkfaust, sam z siebie bałwan bezwolny, nie zbłądził się jak dotąd ani na krakowskiej wszechnicy, ani przed panem Kallimachem, ani też wobec jego uczonych przyjaciół.

Jak już wspominałam, mistrz mój jest chwilowo zajęty w Toruniu jakąś ważną misją przez króla mu powierzoną. Jaką, nie wiem, gdyż są to sprawy sekretne, ale mogę się domyślać, że muszą mieć związek z pomysłami, które pan Kallimach nieraz otwarcie głosił w towarzystwie, iż trzeba by przenieść rycerzy Marii Panny z północnych rubieży Polski na południowo-wschodnie, do obrony przed Turkami i Tatarami. Że to nie byłoby głupie, każdy przyzna, ale ba! – łatwo powiedzieć. Kłopot w tym, że Polacy od niepamiętnych czasów drą z zakonem koty, raz po raz wszczynając z nim okrutną wojnę. To przecież z Polakami walcząc, stracił był pod Schwetzin rękę mój świętej pamięci ojciec, stając dzielnie w wojskach zacieźnych pana Kaspara von Nostitz po stronie maryjnych rycerzy – małoż to razy mi o tym pawił, z dumą, odwinąwszy rękaw, podsuwając mi pod nos ohydny kikut, do świńskiej rapetki podobny? Dlatego teraz, kiedy o tym piszę, zastanawiam się, jakaż to mojej własnej woli osobliwość kazała mi osiąść właśnie tu, między tymi ludźmi, co mego

rodziciela okaleczyli tak strasznie – i nie znajduję na to pytanie dobrej odpowiedzi.

Ciekawam, swoją drogą, czy uda się panu Kallimachowi wcielić w życie swe zamiary – o ile je trafnie zgaduję. Czynień to zastrzeżenie, gdyż mimo że, jak wiesz, głupia nie jestem, przyznaję jednak otwarcie, iż do mego mistrza kanclerskiej głowy bardzo mi daleko. Przy nim jestem jak giermek, co za swym panem tylko broń nosi, a na turnieju, zagrzewając go z ław, próbuje mu podpowiadać, jakim sztychem najlepiej zwalić przeciwnika z siodła, jakby sam był stoczył Bóg wie ile walk z dobrym skutkiem.

Wyznam ci w skrytości, że bardzo mi tęskno za panem Filipem – tak ma Kallimach na imię, a ja w myślach pozwalałam sobie czasem tak się z nim spoufalać – brakuje mi jego łagodnego głosu i opowieści, które nim snuje, tak zajmujących, jakbyś samego Wolframa słuchała; cknę mi się też za jego dowcipem ostrym (choć, po prawdzie, nieraz jak coś powie, ja aż nie wiem, gdzie oczy podziąć), za jego wiedzą niezmierną, którą zawsze tak chętnie się dzieli, za tymi oczami rozumnymi, pięknie wykrojonymi, za nosem orlim, podbródkiem kształtnym i policzkami jakby w kamieniu wykutymi.

Pewnie ci teraz chodzi po głowie, że się w nim niechybnie zadurzyła? Nie, moja Enneleyn, tak źle jeszcze nie jest. Wielbię go i szanuję jako swego mistrza, pragnę pilnie podążać ścieżkami, które mi wskazuje – i do tego się ograniczam. A to, że jest do tego wszystkiego pięknym mężczyzną, podaję ci tylko po to, by ci przybliżyć jego obraz.

Zresztą jakież by to miało sens, skoro on we mnie młodzieńca widzi, nie dziewczkę. I tak musi pozostać, jeśli mam nadal podążać tą drogą. Wiele w ciągu minionych dziewięciu lat nad tymi sprawami rozmyślałam. Wiem przecie, jakie jest kobiety przyrodzone powołanie i że go spełniać w tym stanie rzeczy nie zdołam. Skoro jednak mogą mniszki miłości ziemskiej się wyrzec, czemu i ja bym nie mogła? Trzeba czasem umieć z czegoś zrezygnować, by się o wyższe dobro ubiegać. Przy tym więc cały czas stałam i dalej stać będę.

Lecz mimo wszystko nieraz nie wiem, co mam myśleć i jak się zachować, kiedy na przykład Filip zatrzymuje na mnie dłużej te swoje wielkie, błyszczące oczy, a ja czuję się nagle, jakby on mnie tym spojrzeniem z sukien odzierał, i ze wstydu ogarnia mnie zaraz fala gorąca. Byłyżby to moje własne grzeszne urojenia, czy też w istocie

trafnie odczytuję myśli, które mu czasem przechodzą przez głowę, jak to się zdarza każdemu zdrowemu mężczyźnie? Lecz jeśli tak, to jakże ja mam te myśli rozumieć? Kogóż on tymi oczami rozbiera? Młodzieńca, za którego mnie ma? Jak Jowisz Ganimeda? Czy też przeczuwa może, albo się wręcz domyśla, że pod tymi męskimi sukniami znajdzie ciało kobiece, co prawda niezbyt wybujałe, ale jednak kobiece?

Enneleyn droga, bądź tak dobra i daj mi, proszę, znać, jeśli ktoś jeszcze oprócz ciebie może czytać, co ja ci tu wypisuję – lepiej, żebym o tym wiedziała, nie uważasz? Nie chodzi tu tylko o moją wstydlivość, lecz o to zwłaszcza, żebyśmy niechcący nie nadużyły zaufania, jakim mnie mój mistrz obdarza, powierzając mi swoje sprawy najskrytsze. Choćby i to, o czym mi kiedyś napomknął, wspominając swoje rzymskie czasy, iż go wówczas oskarżano o sodomie, zresztą, jak twierdzi, całkiem bezpodstawnie.

Rzucali na niego te pomówienia dawni przyjaciele z rzymskiego towarzystwa. Chcieli przez to, jak on sądzi, odwrócić uwagę śledczych od własnych postępów. Kiedy mi po raz pierwszy o tych rzeczach napomknął, nie wiedziałam zupełnie, o co chodzi, więc go zaczęłam dopytywać, a to, co usłyszałam w odpowiedzi, wstrząsnęło mną równie silnie, jak z pewnością wstrząśnie i tobą, gdy następne zdanie przeczytasz.

Wiedz zatem, moja Enneleyn, że kiedy żadnej z nas jeszcze na świecie nie było, Kallimach zamierzał się targnąć na życie samego papieża! I to już nie jest żadne pomówienie; sam mi to wyznał z całą otwartością. Jak się domyślasz, nie mogłam tych jego słów przełknąć bez zakrztuszenia.

– Jak to? – wyjąkałam. – Dlaczego? Toż to grzech najcięższy!

– Tak sądzisz? – odrzekł spokojnie, niemal z rozbawieniem. – Ciekawe, bo następny papież całkiem nas od winy uwolnił.

– Nas? – powtórzyłam z zadziwieniem. – To było was więcej?

Tę rozmowę mieliśmy ze sobą w drugim roku mojego u niego zatrudnienia, miałam więc wtedy lat siedemnaście, a że w jego oczach uchodziłam za jeszcze o dwa lata młodszego chłopca, wołałam udać bardziej naiwną, niż byłam w istocie. Na moje pytanie odpowiedział Kallimach dopiero po dłuższej chwili. Zapatrzywszy się w szklane gomółki wypełniające ramy potrójnego okna i zwielokrotniony w nich obraz odwróconych dachami w dół domów z przeciwka, z wolna odezwał się do mnie w te słowa:

– Nie mogę ci wyjawić wszystkiego, Georgiuszu – tak zwykle mnie nazywa, chcąc mi okazać łaskawość; gdy musi mnie wyłajać, zwraca się do mnie z włoska per segretario. – Wszystkiego ci wyjawić nie mogę, bo choć od tamtej pory minęły już dwadzieścia dwa lata... – Tu muszę przypomnieć dla jasności, że rozmawiałam z nim o tym sześć lat temu. – Choć minęły dwadzieścia dwa lata – mówił zatem – w dalszym ciągu wiążą mnie względy dyskrecji wobec pewnych osób. Ale tak, w istocie, było nas wielu. Przez to właśnie zamiar nasz wydał się, zanim jeszcze przybrał wyraźniejsze kształty. My się dopiero spieraliśmy, w jaki sposób i przy jakiej okazji najlepiej będzie Pię Maryję wyprawić przed oblicze Pana, a już cały Rzym o tym mówił.

– Pię Maryję? – Nie rozumiałam.

– Tak żeśmy go przezywali – wyjaśnił, wciąż nie odrywając oczu od okna. – Nabożna Maryja. Kiedy on był dopiero kardynałem, Pius II, jego poprzednik, mówił na niego „Boska Maryja”, co było i tak, przyznasz, dość złośliwe. A myśmy to „Divina” jeszcze przerobili na „Pia”, bo świątobliwa mina, z jaką się stale obnosił, okropnie nas śmieszyła, przy jego znanym wszystkim zamiłowaniu do przepychu, rozpusty i najdziwniejszych rozrywek.

– A czy ci przyjaciele – chciałam wiedzieć – którzy cię, mistrzu czcigodny, o tak odrażające pomawiali praktyki, także byli w spisek na życie jego świątobliwości zamieszani?

– Jeszcze jak! – Zaśmiał się na cały głos. – Zwłaszcza Platina! On najwięcej ze wszystkich na Pię Maryję był cięty, bo ten, jak tylko zasiadł na tronie Piotrowym, zaraz mu bez dania racji odebrał posadę abrewiatora w kancelarii papieskiej, którą był sobie biedak od jego poprzednika kupił za niemałe przecież pieniądze.

– Z pewnością mógł się czuć skrzywdzony – poważylam się na własną ocenę owego Platiny, kimkolwiek on był – ale czy to powód, żeby aż nastawać na Ojca Świętego życie?

– No nie, tak od razu nie nastawał. Najpierw tylko, razem z innymi zwolnionymi abrewiatorami, a było ich parę tuzinów, koczował przed papieskim pałacem wiele dni, w oczekiwaniu na przyjęcie, aż wreszcie, gdy się go doczekali, przemówił w imieniu ich wszystkich, bardzo ostro, grożąc Nabożnej Maryi interwencją książąt, królów i samego cesarza, albo nawet zwołaniem soboru!

– To chyba Jego Świątobliwości nie przekonało? – zapytałam niewinnie.

– Nie naigrawaj się z tego, segretario – skarcił mnie Kallimach, przybierając nagle ton poważny. – Trzeba podziwiać Platiny nieustraszoną odwagę, którą się wyróżniał wśród ludzi pióra jako dawny żołnierz książąt Mantui. Choć może lepiej by było dla niego, gdyby był w owej chwili umiał swoją wojowniczą naturę powstrzymać.

Opowiedział mi dalej mistrz mój, że kazał Paweł II od razu zawlec owego wojowniczego Platine do więzienia, gdzie marzył biedak całą zimą, bez żadnego choćby garnca z żarem, i cudem wszystkich płuc z siebie nie wykasłał. Że mimo to szyję ocalił, zawdzięczał tylko młodemu kardynałowi Gonzadze, swemu wychowankowi, któremu udało się przekonać papieża, iż jego więzień ma w głowie pomieszane. W końcu więc wypuścił Paweł II schorowanego Platine na wolność, ale po trzech latach znowu go uwięził, razem z wieloma innymi podejrzanymi o spisek na jego życie, i tylko mego mistrza nie udało mu się dosięgnąć, mimo wielkich starań. Może i jego by też w końcu dorwał, ale wcześniej „wyciągnęła ta pularda tłuste nóżki – jak się mój pryncypał wyraził – bo jej któraś żyłka pękła z rozkoszy, kiedy się z jednym ze swoich młodzianków zabawiała”. A wtedy następny papież, Sykstus IV, od razu dał Platynie posadę prefekta biblioteki papieskiej. I bardzo słusznie zrobił, powiada Kallimach, nie znalazłby nikogo lepszego. Zdążył się jeszcze Filip z Platiną zobaczyć na kilka lat przed jego śmiercią, kiedy w roku 1477, czyli dziewięć lat po tamtych wydarzeniach, przybył znów do Rzymu, już jako poseł polskiego króla. Wspominając przy mnie to spotkanie, popadł nagle w posępną zadumę i zamilkł, wpatrzony w płomień świecy. W końcu zaśmiał się cicho i zaraz na mnie przeniósł spojrzenie.

– Wyjaśniliśmy sobie wtedy co nieco – rzekł powoli, patrząc mi w oczy, ale jakby do siebie, z twarzą wciąż rozświetloną uśmiechem. – I padliśmy sobie w ramiona.

– Mimo tych oszczerstw, które na ciebie rzucał? – nie mogłam się oprzeć zdziwieniu. Kallimach rozłożył na to ręce i zastygł w jednej z tych swoich włoskich póz, których różnorodności nigdy ci przedstawić nie zdołam.

– Och, musiał się jakoś bronić – rzucił następnie lekkim tonem, wstając, by przynieść więcej światła. – To już, mój drogi, nie była sprawa o jego

niewyparzoną gębę. To już chodziło o mordercze sprzysiężenie na głowę Świętego Kościoła, a do tego były jeszcze zarzuty o bluźnierstwa, herezję i świętokradztwo.

Słuchałam go, nie wiedząc, co mam o tym wszystkim myśleć, bo choć podkreślał owych zarzutów wagę, to w jego głosie i sposobie mówienia pobrzmiwały nutki prześmiewcze. Spoważniał dopiero, gdy mówił o tym, że Paweł II zdawał się czerpać niechrześcijańską przyjemność z patrzenia na męki, którym poddawano owych podejrzanych o spisek na jego życie nieboraków. Platina osobiście zdał Kallimachowi sprawę, jak go nagiego, rozciągniętego na kole, oprawcy tłukli grubymi pałami po łokciach i kolanach, a papież przyglądał się temu z wyściełanego fotela, racząc się z upodobaniem plasterkami melona (nie mogę odżałować, że kiedy byłam w Dalmacji, melony jeszcze nie dojrzały, bo podobno są pyszne!), wśród wesołej pogawędki z wicekanclerzem, który torturami komenderował. Mistrz mój, mówiąc mi o tym, pięści zaciskał i z oczu wściekle iskry miotał.

– Taka we mnie, kiedym o tym słuchał, do szacownego nieboszczyka wezbrała nienawiść – wysyczał na koniec spomiędzy zaciśniętych zębów – iż gdyby rządzeniem niebios stanął nagle zmartwychwstały przede mną, byłbym go naprawdę gotów gołymi rękami na miejscu udusić. – Tu spojrział na mnie przytomniej. – Co? – zapytał szybko. – Co ci tam chodzi po głowie?

– Och, zastanawiam się tylko – pośpieszyłam z odpowiedzią – jak to się dzieje, że po tylu latach wciąż tli się w mistrzu ta stara nienawiść.

– Ależ nie! – zaprzeczył żywo. – To nienawiść zupełnie nowa. Tamta, dawna, była tylko młodzieńczą pustotą. Słusznie zeznawał Platina na mękach, że ja plotę, co mi ślina na język przyniesie, ale słów moich głupich w czyn zamienić nigdy bym się nie poważył. Mówił to, rozumiesz, wiedząc, że im przynajmniej na razie umknąłem, więc jakkolwiek całą winę za planowanie zamachu zrzucił na mnie, starał się ją zarazem, na ile się dało, pomniejszyć. Powtarzał im uparcie, że jestem zbyt opasły, zbyt gnuśny i przyjemnościom życia oddany, żeby się na taki czyn porwać.

Te jego słowa mnie jeszcze bardziej zadziwiły, gdyż, możesz mi wierzyć, Kallimach opasły wcale nie jest, nawet teraz, będąc już dobrze w latach posunięty. Gdym go jednak o to zapytała, odrzekł, że może i rzeczywiście w swoich rzymskich czasach jadał trochę za dobrze, i to w znacznej

mierze za sprawą tegoż Platiny, który sprowadzał na spotkania ich kompanii zaprzyjaźnionego kucharza, ponoć istnego czarodzieja w swym fachu. To mi nasunęło na myśl pewien bardzo zastanawiający wiersz łaciński, który wpadł mi kiedyś w ręce przy porządkowaniu Filipa rękopisów. Mówi w nim poeta, że niepotrzebne mu kosztowne przysmaki, które Platina szykuje na wspólną wieczerzę; on, Kallimach, zadowolony się chętnie kasztanami, jagodami derenia i wszystkim innym, co zdobi stół wieśniaka, byleby współbiesiadnikiem był jakiś „biały jak śnieg Lepido”, przyciśnięty mocno bokiem do jego boku. Dosłownie: lateri haesisset strictius ille meo! A widzi mi się, że ten Lepido nie mógł być tylko figurą poetycką, skoro Platina, człowiek niewątpliwie z krwi i kości, miał go ściągnąć na ucztę, którą chyba w istocie wyprawiał.

Widzę, Enneleyn, jak w tym miejscu unosisz brwi i zastanawiasz się, czy aby na pewno całkiem bezpodstawne były wysuwane przeciw memu mistrzowi brzydkie oskarżenia. Zaraz ci wyłożę, co ja o tym myślę, wpierw jednak chcę ci dorzucić coś niecoś o tym, co się tyczy snuty przez niego w młodości morderczych zamiarów. Rzecz w tym, że przytoczywszy mi, co Platina o nim mówił na mękach, że niby taki był z niego spasiony wałkoń, do czynu niezdolny, wyznał mi raptem, że chociaż wydawało mu się wtedy, iż poważnie zamyśla wraz z innymi papieża uśmiercić, to dzisiaj wie na pewno, że w ogóle żadnego człowieka zabić by nigdy nie mógł.

– Nawet na polu bitwy? – zapytałam, wspomniawszy mego ojca opowieści.

– A, tak. Słuszna uwaga. – Kiwnął głową, łypiąc na mnie bystro. – Na wojnie to co innego. Jakbym widział, że ktoś z mieczem na mnie pędzi, to pewnie też bym po miecz sięgnął, by się bronić. Nie wiem tylko – zaśmiał się – co by z tego wyszło! Prawda – dodał z namysłem – jako młody chłopaczek, gdym był w konwikcie w Ferrarze, uprawiałem się trochę w sztuce wywijania bronią, ale przez tyle lat te nauki zupełnie z mojego umysłu wyparowały. Może jeszcze tylko moje ręce, nogi, tors, bez udziału myśli pamiętają coś niecoś z tego, jak się mają ustawiać do walki, lecz czy tak jest w istocie, nie wiem, nie sprawdzałem.



Droga Enneleyn, wracam po dłuższej przerwie do mego listu. Przed tygodniem oderwały mnie nagle od niego pilne zadania zleczone mi z Torunia przez mego pryncypała. A do tego miałam przez ten czas duży kłopot z naszą gospodynią, o której ci już tu wspominałam. Jejmość Agnieszka jest, uważasz, wdową po zamożnym rękawiczniku, ale że bracia nieboszczyka męża podle wyzuli ją z dziedzictwa, pod pozorem, że nie doczekała się od niego potomstwa – jakby to była jej wina! – więc na to jej przyszło, że musi na stare lata służyć w obcym domu. Może trochę przesadzam z tymi starymi latami – na pewno jest po czterdziestce, może nawet dobrze po czterdziestce, tylko trzeba ci wiedzieć, że tutejsze kobiety zwykle zachowują świeżość dłużej, niż to bywa w naszych stronach. Co do Agnieszki, to jest jeszcze całkiem niczego sobie; kto wie, może i sama bym się na nią połaściła, gdybym, rzecz jasna, była prawdziwym młodzieńcem. Ale, jak wiesz, nie jestem, a zresztą do niedawna byłam przekonana, że Agnieszka po cichu wzdycha do Kallimacha. Tak mi się zawsze wydawało, bo ona nawet do szorowania podłóg zakłada zawsze którąś z najlepszych swoich sukien wierzchnich, i tylko, żeby ich nie ubrudzić, trzyma pod sobą na ziemi łokieć grubego sukna, który stopniowo przesuwają. A do tego po domu chodzi nie w czepcu, ale z rozpuszczonymi włosami, zawsze pięknie zakręconymi w złociste grajczarki i zawsze pachnącymi czymś miłym, chyba kwiatem akacji. Więc, jak powiadam, myślałam, że to mojemu pryncypałowi chce się ona tak nadobną wydać. Oj, jak bardzo się myliłam! Może i zresztą wcześniej było tak, jak mi się wydawało, ale że Filipa nie ma w domu już od ponad pięciu miesięcy, to się miało prawo zmienić. Szczerze powiedziawszy, dopiero kiedy wiosna nastąpiła na dobre, spostrzegłam się, że ona przy swoich zajęciach raz po raz popatruje na mnie figlarnie, uśmiecha się słodko jak młode dziewczętko, ni to do siebie, ni to do mnie, przechodzi mimo mnie kocim krokiem, ledwie że nie mrużąc, a przedwczoraj, gdyśmy się na schodach mijały, otarła się o mnie niby niechcący, aż poczułam przez cztery warstwy materii – dwie na niej i dwie na mnie – jak jej duże piersi przetaczają się przez moje ramię, najpierw jedna, potem druga. Nie było to doznanie niemiłe, nie w tym rzecz, ale jeszcze nigdy, odkąd jestem Starkfaustem, groźba zdemaskowania nie wydawała mi się tak bliska. Zamarłam tedy, a ona, schodząc, obejrzała się za siebie i chyba spostrzegła moją głupią minę, bo się cicho zaśmiała, i ten jej

śmieszek, odbity echem od kamiennej posadzki, dochodził mnie z dołu jeszcze długo po tym, jak zniknęła za załomem schodów.

Och, kiedyż wreszcie Filip wróci z tego przekłętego Torunia i uwolni mnie od niebezpiecznego sam na sam z tą kobietą! Chyba, niestety, nieprędko to będzie, skoro mi zleca kurierem takie zadania jak to, z którego się właśnie szczęśliwie wywiązałam. Musiałam załatwić z przedstawicielem domu bankowego Bonerów wystawienie weksła trasowanego na pewną dość znaczną sumę, przy czym trata miała być wypłacona memu pryncypałowi w Toruniu przez dom bankowy Papenów. Nie wiem, jakim cudem mi się to udało, jako że w żadnej mierze nie jestem mocna w tego rodzaju operacjach, gdzie żadna z biorących w nich udział stron ani przez chwilę nie widzi pieniędzy, których one dotyczą. Dziwi mnie też, dlaczego Kallimach powierzył taką sprawę właśnie mnie. Prawda, że tym razem nie mogłem, jak to miał w zwyczaju, skorzystać z usług swego zaufanego notariusza, pana Jana, a to z tego prostego powodu, że zabrał go ze sobą do Torunia (ciekawe, w jakim celu), ale mogłem się zwrócić choćby do któregoś ze swoich byłych uczniów, pnących się szybko po szczeblach do chwały, a wierz mi, trochę tu takich jest, i na ich wdzięczną uczynność zawsze mogłoby liczyć. No cóż, jak się możesz domyślać, nie tylko się dziwię, że mnie tak wyróżnił, ale też jestem z tego powodu dumna jak paw.

Mniejsza zresztą o moją dumę, piszę ci o tym z innego powodu. Otóż przy okazji poszukiwania dokumentów potrzebnych do przeprowadzenia owej transakcji natrafiłam przypadkiem na wiele ciekawych zapisków z Kallimachowej przeszłości. Niektóre były nadpalone, pewnie ocalałe z pożaru jego poprzedniego krakowskiego domu, który spłonął był na dwa lata przed moim tu przybyciem. Mogłabym się nad wszystkim, co tam wyczytałam, rozwodzić na wielu stronach, przychodzi mi jednak do głowy, że może ciebie te rzeczy aż tak bardzo nie obchodzą, dlatego też postaram się ograniczyć do rozsądnych rozmiarów moją chęć dzielenia się z tobą wszystkim, co mnie tu tak żywo porusza.

Zanim do tego przejdę, musisz wiedzieć, że po owej mojej pierwszej z Filipem rozmowie o jego dawnych rzymskich sprawkach, którą ci już pokrótce streściłam, udało mi się w ciągu następnych pięciu lat jeszcze tego i owego o nich wywiedzieć. Wygląda mi na to, że ich pierwotną przyczyną był przemożny wpływ niejakiego Pomponiusza Letusa, któremu zaczął Filip ulegać wkrótce po swoim przybyciu do Rzymu, jako

bardzo młody jeszcze człowiek. Ów Pomponiusz, choć niewiele od niego starszy, już od pięciu lat wykładał wówczas retorykę i gramatykę na Sapienzy, uniwersytecie tamtejszym. Miał przy tym taki dar dzielenia się swą wiedzą, ponoć rzeczywiście ogromną, że w krótkim czasie zgromadził wokół siebie krąg zapatrzonych w niego zapaleńców, których zarażał swoimi marzeniami o wskrzeszeniu dawnych obyczajów rzymskich z czasów świetności imperium. Gdy się zbierze do kupy wszystko, co mi się o tym człowieku udało dowiedzieć, wydaje się pewne, że gardzi on jawnie naszymi czasami, uważając je za barbarzyńskie, a wielbi jedynie, jak już wspomniałam, Rzym starożytny. Jeśli nadto dobrze zrozumiałam niektóre zasłyszane napomknięcia, wychodzi na to, że przynajmniej w młodości zdarzało mu się naigrawać z wiary chrześcijańskiej, a już na pewno z naszego Świętego Kościoła i jego kapłanów.

I co ty na to, Enneleyn? Przeszły ci ciarki po plecach? Och, to wszystko jeszcze nic, już ci więcej mówię, czytaj dalej.

Jak to się stało w ogóle, że Filip trafił do Pomponiusza trzódki? Otóż najniewinniej w świecie, poprzez wielce poważanego kardynała Bessariona. Był to sędziwy Grek, który chociaż do rzymskiego Kościoła przystąpił, po staremu, zwyczajem prawosławnych patriarchów, nosił wielką brodę. Rozczytany w dziełach dawnych autorów, miał w swym domu zbiór ponad siedmiuset bezcennych rękopisów, greckich i łacińskich, i spraszał do siebie gości na głośne czytanie. A było to w czasie, kiedy Kallimach dał się już nieco poznać wśród rzymskich poetów, będąc na posadzie sekretaria u kardynała Roverellego z Rawenny, jak ja teraz u niego. Ja co prawda na razie wierszy nie piszę, ale kto wie, może i we mnie się ten dar w odpowiednim czasie objawi.

Wróćmy jednak do Bessariona. Miał on zwyczaj zabierać swoich gości na przechadzki po mieście – wzorem Arystotelesa, którego starał się usilnie pogodzić z Platonem – i za którymś razem, ścieżką ukrytą wśród zarośli, poprowadził całe towarzystwo do ruin term Karakalli. Tam właśnie napotkali Pomponiusza Letusa, który, jak to zapamiętał Kallimach, stał tam sam zupełnie, wpatrzony nieruchomo w pokruszone marmury zalane miedzianym blaskiem zachodzącego słońca, do tego stopnia pogrążony w myślach, że długo nie słyszał kroków ani odgłosów rozmów zbliżającej się gromadki.

– Być może jednak tylko udawał – dodał mistrz mój z leciutkim uśmieszkiem, opowiadając mi o tym. – Równie dobrze mógł był Bessarion

zawczasu z Pomponiuszem ustalić, że tam będzie na nas czekał. Bo, rozumiesz, chłopcze, raczej nie wypadało księciu Kościoła tak wprost zalecać swoim gościom znajomości z osobnikiem podejrzanym o skłanianie się ku pogaństwu. Ale nie mam wątpliwości, że Bessarion sprzyjał zarówno samemu Pomponiuszowi, jak i całej gromadce cudaków, która go otaczała. Widocznie też nie potępiał nas za dziecinne rojenia o usunięciu Pawła II, skoro to on właśnie przesłał mi wiadomość, iż mam być na rozkaz papieża pojmany i wtrącony do lochu, i tylko dzięki temu ostrzeżeniu udało mi się w porę wziąć nogi za pas.

Samego Pomponiusza Letusa opisywał mi Kallimach jako człowieka nikłego wzrostu, ale pełnego życia, raz po raz obracającego się na pięcie, jakby w miejscu nie potrafił ustać, o spojrzeniu tak bazyliżkowym, że gdy je choć na chwilę utkwiał w którymś ze słuchaczy, ten, mając całkiem w głowie zamącone, poddawał się bezwolnie jego słowom. To się zgadzało z tym, co mi już wcześniej opowiadał o Pomponiuszu Celtis, gdyż i on się z nim zetknął podczas swojej włoskiej podróży, a później znowu często słyszałam, jak sobie o nim gawędził z moim pryncypałem tutejszy uczony doktor Jan Ursyn, który też był chodził w Rzymie na Letusa wykłady, bodajże w czasie, kiedy ja się z Celtisem po całych Niemczech włóczyłam, a teraz jako docens extraneus prowadzi na moim wydziale repetytoria, na które i ja uczęszczam.

Przez pierwsze trzy lata pozostawania Filipa w Pomponiusza kręgu mogłoby się zdawać, że członkowie tego bractwa w swym zauroczeniu dziedzictwem starożytnych ograniczają się jedynie do studiowania pozostawionych przez nich dzieł literackich. Zbierali się w Letusowym domu na Kwirynale, recytowali poezje albo odgrywali komedie starożytnych autorów, spożywali podawane przez gospodarza skromne potrawy (chyba że, jak ci już mówiłam, Platinie udawało się sprowadzić do Pomponiuszowego domu owego rozchwytywanego w całym Rzymie kucharza) i popijali obficie winem, które Letus wyrabiał z własnych winogron, osobiście uprawianych ściśle według zaleceń z *Rerum rusticarum* Warrona. Ale, jak się okazało, to wszystko było dopiero pierwszym stopniem wtajemniczenia. Drugim było przekształcenie tych luźnych spotkań towarzyskich w sodalicję, która przyjęła miano Akademii Rzymskiej. A już do trzeciego kręgu dalece nie wszystkich dopuszczano, a jedynie wybranych – pozostali nie mieli nawet pojęcia o jego istnieniu. Na początku wyglądało to całkiem niewinnie. Któregoś wieczora wziął

Pomponiusz Filipa na bok i zapytał, czy jest gotów na przyjęcie łacińskiego imienia.

– Wreszcie się doczekałem! – Śmiał się, mówiąc mi o tym. – To był wyraz uznania, tak mi się przynajmniej wydawało. Bo do tych najbardziej z akademików poważanych nikt tam się nie zwracał inaczej niż nadanymi im imionami łacińskimi. Weźmy Platineę: że się naprawdę nazywał po prostu Sacchi, Bartolomeo Sacchi – kogo to dziś obchodzi? A i sam nawet P o m p o n i u s L æ t u s – wydeklamował te imiona z komicznym namaszczeniem – też musiał mieć kiedyś jakieś pospolite nazwisko, dziś nikt nawet nie wie jakie! Prawda, każdy rozumie, że on się niechętnie nim posługuje, będąc synem naturalnym księcia Salerno z jakąś kalabryjską wieśniaczką, czym się zresztą nigdy nie przechwala, i z możliwymi krewniakami żadnych stosunków utrzymywać sobie nie życzy. A w tamtych moich rzymskich czasach Pomponiusz do każdego prawie ze swych najbliższych towarzyszy mówił: „Lucyliuszu”, „Asklepiadeuszu”, „Lepidusie” – podczas gdy ja wciąż pozostawałem zwyczajnym sobie Buonaccorsim!

Takie bowiem było jego pierwotne nazwisko: Buonaccorsi. Prawdę mówiąc, Filip z dawna był sobie umyślił, żeby przybrać imię po Kallimachu z Cyreny, poecie aleksandryjskim, którego wielce podziwiał. Że jednak duma nie pozwoliła mu ujawnić przed Pomponiuszem, jak niecierpliwie czekał na tę chwilę, tedy udając zaskoczenie, zapytał, czy to imię, które mu rodziciele nadali, nie jest wystarczająco łacińskie. „Jest greckie – przypomniał Letus, zawsze zadowolony, gdy mógł kogoś pouczyć – i jako takie można by je z biedą uznać za stosowne dla ciebie, ale powiedz mi, Filipie, na czyją cześć ci to imię nadano? Może Filipa, króla Macedonii, ojca wielkiego Aleksandra?”. „Nie – zaprzeczył mój mistrz szczerze. – Świętego Filipa Apostoła, w którego dniu na świat przyszedłem”.

Nie uwierzysz, Enneleyn, piszę o tym do ciebie w tym właśnie dniu, pierwszego maja, w pięćdziesiąte dziewiąte Kallimacha urodziny. Musi w tym być jakiś znak. Tylko jak go odczytać? Może ta liczba, pięćdziesiąt dziewięć, ma tu coś do rzeczy, jak sądzisz? Będę się musiała nad tym zastanowić. W każdym razie Pomponiusz, słysząc o patronacie świętego, podniósł triumfalnie palec i ze śmiechem zawołał: „O! Sam widzisz!”, nie zadając sobie trudu, by objaśnić, z jakiego powodu wydaje mu się on dla młodego Buonaccorsiego nieodpowiedni. Kiedy wówczas Filip ostrożnie

wystąpił z myślą, że może w takim razie odpowiednim patronem byłby dla niego Kallimachos z Cyreny, Letus, skądinąd znany z niechęci do greki, uznał jednak po zastanowieniu, że w ostateczności można owego Greka do łacińskiego dziedzictwa przypisać, skoro go sam wielki Katullus za swego mistrza podawał.

Na tym więc stanęło. W samą, uważasz, niedzielę wielkanocną 1465 roku, która się wówczas dziwnym trafem zbiegła z Parilią, świętem założenia Rzymu, zwołał Pomponiusz najbardziej zaufanych akademików w ruiny pałacu Augusta na Palatynie na tajemną ceremonię chrztu powtórnego. Wielokrotnie próbowałam się od Filipa dowiedzieć, jak ona przebiegała, ale stale jak tylko mógł uchylał się od odpowiedzi i tyle tylko mi zdradził, że nie był to chrzest z wody zimnej, lecz gorącej. Członkowie bractwa, obmywszy go dobrze całego w tej wodzie, natarli mu następnie członki wonnymi olejkami i głowę przybrali wieńcem z wawrzynu, a ciało oblekli w togę. Coś tam jednak więcej być musiało, czułam to wyraźnie, w co wolał mnie on nie wprowadzać, być może moje własne dobro mając przede wszystkim na względzie. Mogę się tylko domyślać, że musiało to być coś o wiele bardziej gorszącego niż obchody bachanaliów w rzymskich katakumbach, w których uczestniczył potem dwukrotnie, rok po roku, i o których chętnie i dużo opowiadał. Mogłabym ci napisać dokładniej, co mi o nich mówił, jeśli sobie zażyczysz, ale na razie wolę dać ci raczej za mało niż za wiele, zwłaszcza gdyby to miało się okazać więcej, niżeli twa skromność znieść może. Jak się możesz domyślać, w mojej męskiej skórze zdarza mi się słyszeć takie mężczyzn rozmowy, które zwyczajnie nigdy żeńskich uszu nie dochodzą. O owych bachanaliach mogę ci dziś przytoczyć jedno tylko Kallimacha spostrzeżenie, które mnie naprawdę zadziwiło. Rzekł mi raz mianowicie, że nie cieszyło go to święto tak, jak cieszyć mogło, gdyż nie mając w swoim bractwie żadnych kobiet, musieli do odgrywania bachantek najmować za opłatą rzymskie meretrices. Jego zdaniem psuło to całe obchody, w fałsz je zamieniając i udawanie, gdyż bachantkami według niego winny być stateczne w innym czasie dziewice i matrony, prawdziwie szaloną muzyką i Bachusa boską mocą odmienione.

Bardzo bym ci chciała zaręczyć, że to, co mówiono o mojego uwielbianego Filipa osobliwej skłonności do jego własnej płci, było tylko łągarstwem i potwarzą najpodlejszą, ale choćbym nie wiem jak sobie to w głowę wbijała, zawsze przecie pozostanie we mnie wątpliwość. Dopiero

co, przy okazji owego wyszukiwania papierów potrzebnych do przesłania pieniędzy do Torunia, trafiłam przypadkiem na odpis jakiegoś tekstu włoskiego, z dopiskiem na górze po łacinie: „Zobacz, Kallimachu, jak ci ten jegomość buty szyje”. Po włosku rozumiem dużo mniej, niżbym chciała, ale zdaje mi się, że była tam mowa o jakichś Filipowych wierszach sławiących miłość sodomską. A wyznam ci, że już dużo wcześniej, ze dwa albo trzy lata temu, wpadł mi w ręce pewien dawny wiersz Kallimacha, też mogący co nieco dawać do myślenia. Powtarzają się w nim zachwyty nad urodą jakiegoś Lucydusa. Odważyłam się zapytać Filipa, kogo ten wiersz dotyczy, na co otwarcie mi wyznał, bez najmniejszego zakłopotania, iż znał w swoim czasie w Rzymie pewnego młodego człowieka tak pięknego, że nie sposób było wobec jego urody przejść obojętnie. „Ale to – zaznaczył – było tak, jakbyś patrzył w zachwycie na malowidło jakiegoś mistrza czy posąg ze starożytnych ruin wydobyty”. To mi się nawet zgadza z tym, jak porównuje w tym wierszu członki Lucydusa do *saxis Phidiaca manu politis*, czyli „kamieni Fidiaszową ręką wygładzonych”.

Mam nadzieję, iż cię nie urażam, podając tłumaczenie, bo choć zakładam, że mimo babskich zajęć, jakie na siebie przyjęłaś, nie zaprzestałaś uprawiać się w łacinie, byłoby jednak przecież całkowicie zrozumiałe, gdyby z nauk, których nam obu twój czcigodny ojciec udzielał, to i owo z głowy ci wypadło. Rozchmurz się, powiem ci coś, co cię ubawi: przez jakiś czas ów opiewany przez Kallimacha Lucydus mnie w snach nawiedzał. Nie wiem, skąd wiedziałam, że to właśnie on, nie wiem nawet, jak właściwie wyglądał, ale to pewna, że był świetlisty, piękny jak anioł i że od płomienia, który we mnie rozpalał, biorąc mnie w swe alabastrowe ramiona, topniałam jak woskowa świeca.

Notabene, ten prawdziwy Lucydus, ten, którego Filip miał na myśli, jak mi się zupełnie inną drogą ustalić udało, od kilkunastu lat jest biskupem pewnej diecezji niedaleko Rzymu! Czy wciąż jest z twarzy Wenerze podobny, a z włosów – Febowi, jak go opiewał Filip, nie wiadomo, gdyż w tamtym czasie miał lat siedemnaście, a dziś według moich wyliczeń musi mieć pięćdziesiąt pięć. Co samo w sobie nic nie znaczy, gdyż, jak ci wiadomo, różnie się czas z mężczyznami obchodzi, ale powiedzmy sobie szczerze, że zwykle łagodniej ich traktuje niż nas.

Pamiętam, że wtedy Filip, chcąc widocznie przez porównanie wykazać, jak względnie niewinne były jego nad Lucydem zachwyty, pokazał mi

dwa krótkie epigramaty Pomponiusza. Jeden o zadku – tak, tak, moja droga, o zadku właśnie! – c u l o conciliatur Amor, divitiae c u l o, c u l o tribuentur honores i tak dalej. Nie będę tego tłumaczyć; nawet jeśli coś ci z tego umknie, nie sądzę, abyś była na tym wielce stratna. Nie mogę się jednak powstrzymać przed przybliżeniem ci drugiego z tych wierszy Letusa, De mulieribus & cinædo, jak dla mnie, jeszcze bardziej sprośnego. Zastanawia się w nim autor, dlaczego zadki są tak chłodne, a przodki tak gorące. „Matka natura – odpowiada sam sobie – mądrze rozdziela rzeczy i ich przewagi, po to, aby można było używać kobiety i latem, i zimą”. A jeśli nadal chcesz wierzyć, że mowa tu wyłącznie o naszej płci, to spójrz na tytuł; jest w nim użyte słówko c i n æ d o, oznaczające chłopca wprawnego w tańcu zadka, który wdzięcznie poruszając na przemian to jednym, to drugim półdupkiem, kusi do zakosztowania sodomskich rozkoszy. Wiem to, bo mi sam Kallimach znaczenie tego słowa wyłożył.

Co do niego samego, to wydaje mi się, że jeśli nawet tego rodzaju przewrotne skłonności kiedykolwiek objawiał, to dawno się od nich uwolnił. Co innego, jeśli chodzi o bardziej pospolite grzechu rozumienie. Ma on do kobiet słabość niezaprzeczalną, o czym się mogłam wiele razy naocznie przekonać. A nawet gdybym nie widziała, jak na nie patrzy, i nie słyszała, jak z nimi rozmawia i jak o nich mówi, to wystarczy mi poczytać inne jego wiersze, te już w Polsce pisane, żeby odczuć, jaki żar z nich bucha – jeśli wiesz, co mam na myśli. Tym bardziej nie potrafię sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego się w takim razie nie ożeni. Przecież wtedy mógłby sobie bez żadnych przeszkód spełniać te wszystkie zachcianki, które mu jego bujna natura podsuwa. Przychodzi mi do głowy jedno tylko tego wytłumaczenie, trochę głupie, wiem, ale innego na razie nie mam, mianowicie takie, że jego tylko to pociąga, o czym wie, że tego dostać nie może, chyba z wielkim trudem, albo też w grzech popadając. A teraz, kiedy już od pięciu miesięcy siedzi w tym Toruniu dalekim (a i wcześniej dużo czasu tam spędzał w ostatnich latach), z rzadka tylko dając o sobie znać i wystawiając mnie na niecne pokusy ze strony naszej powabnej gospodyni, narasta we mnie niemądre podejrzenie, że bardziej go tam jaka spódnica trzyma niż niecierpiące zwłoki sprawy królestwa.

Już widzę, jak mi palcem grozisz, przypominając, że to nie moja przecież sprawa – i masz stokrotną rację. I sama nie mam prawa zatruwać sobie myśli takimi urojeniami, a tym bardziej tobie nie powinnam zajmować nimi głowy, jakbyś własnych trosk miała nie dość.

Widząc więc, że trochę się zapędziłam, kończę na tym mój list i obiecuję, że w następnym postaram się być choć trochę rozsądniejsza.

I, ach, byłabym zapomniała: dziękuję ci z całego serca za te pogłoski, któreś o mnie tak przytomnie rozpuściła. Nie pomyślałyśmy o tym w swoim czasie, a przecież gdyby nie to, że w ten sposób z góry uprzedziłaś wszelkie pytania, które mogły komuś przychodzić do głowy, już się nie muszę martwić, że mnie ktoś będzie szukał. Ha! Na położną się uczyć pojechałam, i to w Moguncji – wspaniałaś to wymyśliła, moja, wciąż ta sama, Enneleyn!

Bądź mi więc zdrowa i pisz mi dalej o wszystkim, co ci się w życiu przydarzy, jak też i o tym, co ci po głowie chodzi. A jeśli uznasz to za stosowne, kłaniaj się też ode mnie swemu panu małżonkowi.

Dałam rankiem
w środę,
4 maja
1496,
w Krakowie.

LIST III

Enneleyn droga, piszę do ciebie wystrzępionym piórem i resztką inkaustu, nie czekając na twoją odpowiedź na mój list poprzedni, bo tyle się dzieje, że wolę ci bez zwłoki o tych wszystkich rzeczach opowiedzieć, póki mam je świeżo w pamięci.

A z tego rzecz pierwsza, to że wrócił wreszcie z Torunia mój pryncypał, dzięki czemu jejmość Agnieszka nie będzie już mogła dzień po dniu osaczać mnie swymi powabami – a przynajmniej taką mam nadzieję, bez względu na to, co być może przez mą nieczułość tracę. Trudno! Grunt, że jest Filip, po z górą pięciu długich miesiącach niewidzenia go. Pięciu? Co ja mówię! Nie było go od grudnia, ale i przez całą resztę zeszłego roku prawie wcale go nie było, bo albo siedział w tymże Toruniu, albo po innych miastach Polski się włóczył za królem, a jeszcze sporo czasu spędził tamtego lata na ważnych rozmowach w stolicy sąsiedniej Litwy, gdzie panuje młodszy brat tutejszego króla, książę Aleksander. Tak że już prawie odwykłam od jego widoku i brzmienia jego głosu zapomniałam.

Aż wreszcie w ostatnią sobotę, gdym wracała z popołudniowych zajęć na wszechnicy, natknęłam się na Rynku na byłego pisarza miejskiego, wikariusza tutejszego kościoła archiprezbiterialnego, księdza Heydeckego, przemilego małego człowieczka z dużą głową, Pomorzanina z urodzenia, który zawsze gdy mnie widzi, zatrzymuje się, żeby sobie chwilę ze mną pogwarzyć po niemiecku. I wystaw sobie, tym razem zaskoczył mnie pytaniem, czy pryncypał mój jest już w domu. Z dalszej rozmowy wynikało, że Kallimach z Torunia wyjechał, kierując się do Krakowa, i we wtorek widział się z nim w swojej siedzibie biskup jednej z po drodze leżących diecezji, o czym właśnie tego ranka ksiądz Heydecke otrzymał od niego wiadomość. Usłyszawszy to, pod pierwszym lepszym pretekstem się z zacnym karzełkiem pożegnałam i pognałam na Kanoniczą takim pędem, że aż się za mną ludzie oglądali. Nie muszę ci przecież tłumaczyć, że skoro do Heydeckego już zdołały dotrzeć wieści o Kallimachu

widzianym w podróży do Krakowa, to i on sam w każdej chwili mógł nam się w domu objawić – a bardzo chciałam mu zgotować należyte przyjęcie. Wpadłam do domu jak burza i od wejścia zarządziłam, żeby kucharka Dorota z dziewczką kuchenną Kasią natychmiast na targ pobiegły po wszystko, co tam im będzie potrzebne do przygotowania sutej wieczerzy, Agnieszka z pokojową Eudokią miały stół przystroić obrusami i dopilnować, żeby wszystko w domu aż lśniło od czystości i pachniało esencją różaną, sługa Jakub miał nanieść wody i opału, wybrać spod kuchni popiół i być gotów w każdej chwili do pomocy każdemu innemu ze służby, a dwóm stajennym, Szymkowi i Tigraszkowi, kazałam pięknie wyczesać czwórkę siwych koni i pomóc woźnicy Marcinowi w wyczyszczeniu i nawoskowaniu purpurowej karety – bo taką tu mamy, naprawdę!

A kiedy już się szczęśliwie z przydzielonymi zadaniami uporali, kazałam im wszystkim dobrze się umyć, wypachnić, odświeżnie ubrać, włosy przyczesać i tak na naszego pana czekać. Młodszego z chłopców stajennych, Szymona, posłałam, by stał na ulicy na czatach i dał nam znać, gdy tylko pana z daleka wypatrzy, a tymczasem ja z Agnieszką, Jakubem, Dorotą, Eudokią i Kasią, przysiadłszy na ławie pod oknem, dla uspokojenia bicia serc po trochu podkradaliśmy z miski pierwsze w tym roku poziomki, zakupione w celu uczczenia powrotu Kallimacha.

Na szczęście było ich pod dostatkiem, bo minęła dobra godzina, zanim Szymek wpadł do przedsionka z krzykiem:

– Idzie! Idzie nasz pan!

Zerwaliśmy się wszyscy z ławy tak raptownie, żeśmy mało nie wytrącili sobie nawzajem z rąk miski z poziomkami, którą każde z nas chciało na stół zaraz odnieść. Wyszliśmy całą szóstką przed dom i stanęliśmy w szyku powitalnym – ja w środku, po mej prawicy Agnieszka, po lewicy Jakub, i dalej po bokach pozostali. A Filip rzeczywiście nadchodził właśnie od północnej strony, to jest od miasta, bo my na południowym krańcu Krakowa mieszkamy, tuż pod zamkiem królewskim. Szedł różnym krokiem, w lekkim kaftanie, ledwie biodra okrywającym (choć tego dnia, mimo letniej pory, za ciepło nie było), z gębą już z daleka od ucha do ucha roześmianą, a za nim toczyła się z turkotem kryta plandeką fura, pełna skrzyń i tobołów, a obok niej pacholek prowadził za uzdę konia, z którego widać zachciało się Kallimachowi przed wjazdem w Kanoniczą zsiąść i dojść do domu pieszo.

– Ciao! – zakrzyknął, machając do nas. – Widzę, że mi się nie udało moja niespodzianka! Któż to był taki vigilans? Madonna Agnieszka?

– Nie ja, nie ja! – zaśmiała się powabna gospodyni i wskazała na mnie.
– To nasz pan Jorguś z góry wszystko wiedział!

– A, Georgiusz! – Kallimach spojrział na mnie rozpromieniony. – Młode uszy, młode oczy... Quidem, czas najmilszy życia młodość. Ale: uwaga! – Podniósł dłoń nad głową, z jednym palcem wysuniętym, i pokręcił nią. – Stary Kallimach jeszcze broń nie składa! Przekonacie się.

Weszliśmy tedy wszyscy do domu, a kiedy tragarze z pomocą naszego Jakuba wnieśli wszystkie rzeczy z wózka, dostali po monecie i drzwi się za nimi zamknęły, Filip sięgnął do jednego z przywiezionych na tym wózku skórzanych saków.

– Ha! – rzekł, spoglądając czule na nas wszystkich (czy może raczej gdzieś w przestrzeń za nami). – Nie myślałem, że mi będziecie brakowali tak. Ale mam dla was małe podarki...

Wszystko to mówił do nas po polsku, z rzadka tylko wtrącając zwroty łacińskie i chyba też z rzadka popełniając – jak mi się zdaje – drobne błędy, co ja ci się tu staram oddać, tłumacząc jego odezwania na niemiecki. Kallimach mieszka już w tym kraju dwadzieścia sześć lat i przez cały ten czas stara się doskonalić w miejscowym języku, najmując nauczycieli, którzy z nim dwa razy w tygodniu lekcje odbywają. Na pewno mówi po polsku o wiele lepiej niż ja, chociaż jestem młoda i, powiem nieskromnie, do języków mam dar rzadko spotykany, ale, jak się domyślasz, i on ten dar posiada, a lata usilnej pracy robią przecież swoje. Mimo to ciągle jeszcze wyczuwam w jego wysławianiu się po polsku pewną sztywność, no i cudzoziemski zaśpiew. Sama też mam takowy, chociaż inny niż on, bo też pewnie nie można się tego całkiem wyzbyć, kiedy się przyswaja jakąś nową mowę, mając już w sobie utrwalony język, w którym się wyrastało. Co prawda i w tym rodzimym, jak zauważyłam, traci się z czasem przyrodzoną płynność, a nawet zdarza się, że zabarwia się on obcym nalotem. Wyznam ci w sekrecie, że od jakiegoś czasu słyszę to już w mojej własnej niemczyźnie, kiedy – niezbyt często – trafia mi się okazja, żeby z kimś tu po niemiecku pogwarzyć, tak jak z księdzem Heydeckem. Skończy się na tym, że będę jednakowo płynnie mówić sześcioma czy siedmioma językami, ale w każdym z nich będę brzmiała jak cudzoziemka – czy raczej cudzoziemiec! – nie mając już żadnego, który byłby mój własny. Oczywiście żartuję, ale nie do końca.

Dam ci tu za przykład mojego pryncypała. Zdaje mi się (choć pewna być nie mogę), że tryby jego włoskiej mowy przez te wszystkie lata nieco rdzą się okryły i nie obracają się już tak swobodnie, jak powinny. Z czego to wnoszę? A z tego, że kiedy się z innymi tutejszymi Włochami spotyka, rozmawiają ze sobą po włosku i po polsku jednocześnie, raz po raz przeskakując z jednej mowy na drugą. I cóż by ich do tego popychało, jak nie poczucie, że w ten sposób łatwiej i wierniej mogą swoje myśli wyrazić?

Ale miałam ci mówić o podarkach. Każde z nas dostało od pana Kallimacha po woreczku pysznych, chrupiących toruńskich pierniczków, a nadto dla Jakuba był czerwony pikowany kubrak, dla Agnieszki sztuka ciemnozielonego achsamentu, dość wielka na suknię wierzchnią – wszystkiego ci nie wymienię, ale nikt ze służby, możesz mi wierzyć, nie musiał się zadowolić samymi tylko pierniczkami.

Ja dostałam pięknie oprawioną drukowaną księgę Rosa medicinæ Jana Anglika. Zaraz w poniedziałek po Pięćdziesiątnicy (którą oni tu nazywają Grünes Fest) wzięłam to dzieło ze sobą do Akademii na zajęcia, żeby się przed innymi studentami pochwalić. Takie się zrobiło wokół mnie poruszenie przed rozpoczęciem porannego wykładu, i ścisk taki, że aż sam profesor de Regulis, nasz dziekan, raczył się zainteresować. Wszedł pomiędzy nas, brodząc w słomie, dla naszej wygody grubo rozesełanej na kamiennej posadzce, i władczo wyciągnął rękę po moją księgę. Nieśpiesznie przerzucając karty, zapytał, czy ta Rosa należy do mnie. Potwierdziłam, że otrzymałam ją na własność, w podarku od pana Kallimacha.

– No proszę, w Pawii drukowane. – Pokiwał głową z uznaniem. Ze znanstwem powiódł palcami po skórzanej oprawie, rozcapierzył karty, pstryknął po nich paznokciem i zaraz wciągnął nosem wydobywający się spomiędzy nich zapach, po czym, znów powracając od niechcienia do wertowania księgi, orzekł łaskawie: – Dobra robota. I ho, ho, magistrze Starkfaust, to aż z Włoch Kallimach dla pana to cacko sprowadził?

– Nie, zdaje mi się, że je kupił w Toruniu – sprostowałam.

– A, w Toruniu, możliwe – zgodził się chętnie. – Ci Prusacy mają do wielu rzeczy lepszy dostęp. Cóż, Hanza, wiadomo. Szkoda tylko... – Tu urwał, oddał mi księgę i już miał się przeprawiać przez słomę z powrotem do swojej katedry, kiedy ośmieliłam się dopytać.

– Czego szkoda, najuczeńszy profesorze?

Odrzekł mi z pewnym wahaniem:

– Widzi pan, Starkfaust, nie chciałbym tu w żaden sposób podważać autorytetu znakomitego Kallimacha, który jest niezaprzeczalnie mężem ogromnej wiedzy, ale on sam na pewno chętnie przyzna, że akurat medycyna nie jest jego najmocniejszą stroną. Gdyby był mnie zapytał o zdanie, odradziłbym mu zakup tej cokolwiek przywiędłej angielskiej róży w podarku dla tak obiecującego adepta naszej sztuki jak pan. Lepsze by już było Philonium Valescusa z Taranty, równie stare, ale wciąż niezastąpione, albo, z dzieł nowszych, choćby znakomity Hortus sanitatis pańskiego rodaka Jacoba Meydenbacha. Ale, oczywiście, umówmy się, że to wszystko zostanie między nami – zastrzegł na koniec z krzywym uśmiechem, niewątpliwie mając świadomość, że przysłuchiwało mu się trzydziestu magistrów, nawykłych chłonać każde jego słowo.

Po czym bez dalszych wstępów przeszedł do wykładu z dziewiątej części Liber continens Razesa. Czy twój zacny ojciec w dalszym ciągu tak chętnie się odwołuje do tej sławnej księgi? Widzisz, Enneleyn, ja wszystko pamiętam, a ty? Co się tyczy twojego taty, wyznam ci szczerze, że im więcej zdobywam wiedzy na własny rachunek, tym bardziej doceniam zrządzenie sił wyższych, które go postawiło na mojej drodze. Być może ty, stykając się z nim na co dzień, pośród powszednich trosk, nie widzisz aż tak dobrze tego, co ja, dzięki memu oddaleniu, widzę coraz wyraźniej – mianowicie jak niezwykłego człowieka jesteś dzieckiem. Wierzę z całego serca (wybacz ten ton górnotny), że przywilej, którego przez to dostąpiłaś, nie pójdzie na marne, i mimo tak wielu zajęć domowych znajdziesz jednak czas i siły na swoje lektury. Więcej: że te same radości z nich wypływające, które tak chętnie dzieliłaś ze mną, będziesz mogła dzielić ze swoimi dziećmi, a nawet – kto wie? – z małżonkiem! Bo i dlaczego by nie?

No właśnie – dlaczego by nie? Nie myśl sobie, iż puściłam mimo uszu to, coś mi napisała, że próżno się go starałaś w pierwszych latach waszego stadła wciągnąć do czytania. Przeciwnie, zwróciłam na to uwagę i bardzo mnie to zasmuciło. Ale skoro, jak powiadasz, książeczkę do nabożeństwa w kościele pilnie śledzi, znaczy to, że nie samo czytanie sprawia mu trudność, jak wielu innym, a tylko nie natrafił jeszcze na odpowiednią dla siebie lekturę. Z tego, co mi o nim mówisz, widzę, że głupi nie jest, a z usposobienia człowiek z niego raczej pogodny, niż jakiś ponurak, to może znajdzie mu na początek coś prostego i wesołego, coś, co

by go mogło ubawić. Ot, wyszedł ostatnio spod prasy w Bazylei Statek głupców Sebastiana Branta, poemat tak komiczny, że ludzie tarzają się ze śmiechu przy czytaniu. A gdyby ci się to wydało dla twego Dietmara za ciężkie na początek, to są przecież do nabycia jakieś zbiory facecji, krotochwil rozmaitych, dobrych do opowiadania przy piwie. Albo może na odwrót, jakaś historia miłości, ściskająca za serce, by mu się nadała? Może taki, dajmy na to, Tristan Gotfryda ze Strasburga przemówi mu do duszy, tak jak kiedyś mnie i tobie – jak myślisz?

Skoro już przy tym jesteśmy, to Filipa, mojego mistrza i dobroczyńcę, mam powody podejrzewać, że w owym Toruniu, albo gdzieś po drodze, natrafił na jakąś Izold Złotowłosą, która mu teraz stale w głowie siedzi. Umiem ja już, po tylu latach przebywania z nim pod jednym dachem, rozpoznać te jego męskie zamroczenia – kilka już takich widziałam i wiem, że to jest jak nagła gorączka, co trawi człowieka, trzęsie nim, majaki najdziksze przed oczy podsuwa – a któregoś dnia mija bez śladu. Tyle że tym razem, obawiam się, tak łatwo mu nie minie. Z czego to wnoszę? Ano z tego, że – inaczej niż zwykle – on się nie pali, żeby mi o tym mówić. Ja go, rozumiesz, podpytuję, rzecz jasna bez natarczywości, ale tak, żeby mu dać okazję do otworzenia przede mną duszy, gdyby miał na to ochotę – a on nie, uchyla się od odpowiedzi, milczy albo na inny przedmiot rozmowę kieruje. Jakby się lękał zbrukać swoją świętą tajemnicę, powierzając ją uszom niegodnym. A przecież widzę, że sęk tu nie w moich niegodnych uszach, tylko w czymś innym. Ale w czym właściwie, na razie nie umiem zgadnąć.

Że coś jednak z tym Toruniem jest na rzeczy, tego jestem pewna. Nie zdziwiłabym się nawet, gdyby się okazało, że to się ciągnie od blisko trzech lat, kiedy to pierwszy raz na dłużej w Prusach się zatrzymał. To był od początku dla mnie czas niełatwy, jako że już od ponad roku go wtedy nie widziałam, odkąd po śmierci starego króla, w czerwcu 1492 roku, usunął się pośpiesznie z Polski, żeby, jak mówił, zejść wrogom z oczu, i aż do następnej jesieni przycupnął w Wiedniu, w jakimś, zdaje się, nędznym zajeździe. Ale zanim wyjechał, mieliśmy krótką rozmowę, w której przykazał mi – nie, właściwie poprosił – bym się pod jego nieobecność zajęła porządkowaniem jego osobistych papierów, a potem jeszcze zwołał całą służbę i przykazał im słuchać się mnie we wszystkim aż do jego powrotu. Żebyś sobie teraz nie myślała, że się nadymam jak ta żaba, co na wóz wskoczyła i skrzeczy: „jedziemy!”, muszę tu od razu zastrzec, że

władza, której mi wtedy Kallimach udzielił, dotyczyła jedynie prostych spraw domowych, gdyż te bardziej odpowiedzialne – urzędowe i pieniężne – przydzielił zaufanemu swemu, Janowi Potowi, człowiekowi może niezbyt lotnemu, ale bezwzględnie mu oddanemu, a podobno zwykle, gdy się rozważa, komu by tu swoje interesy powierzyć, patrzy się w pierwszym rzędzie na oddanie i lojalność. Nie chcę przez to powiedzieć, że mojego oddania nie mógł być Kallimach pewny, ale przynajmniej wreszcie, że tamten góruje też nade mną latami i doświadczeniem, toteż, wobec tylu jego przewag, lepiej będzie, jeśli na tym urwę te jałowe dywagacje, w które się, nie wiem, po jakie licho, zapędziłam. Teraz już zresztą pan Jan jest od roku na posadzie przy królu, więc wszystkie jego zadania dotychczasowe spadły na mnie.

I żebyś też sobie nie myślała, że moje ochmistrzowanie w Kallimachowym domu to była sama radość, muszę ci przypomnieć, że kiedy mi je powierzał, byłam na drugim roku quadrivium, gdzie stale trzeba wbijać sobie do głowy diabelnie trudną wiedzę matematyczną, co bez względu na mój szczery zapał pochłaniało mi jednak, razem z obowiązkami domowymi, tyle czasu, że w końcu niewiele go zostawało na sen. I podczas gdy ja każdego dnia obrzękłymi z niewyspania oczami wypatrywałam powrotu Filipa z wiedeńskiego oddalenia, on, owszem, zjechał w końcu do Polski, w grudniu poprzedniego roku, ale o Kraków w pierwszej chwili nawet nie zahaczył, tylko ze Śląska od razu pociągnął na północ, aż dotarł do dolnego biegu Wisły (rzeki prawie tak wielkiej jak Ren, która dzieli całe polskie królestwo na pół), gdzie właśnie leży ten przeklęty Toruń. I tam osiadł wtedy na dobrych kilka miesięcy, więc razem z tym Wiedniem zrobiły się z tego dwa lata bez kwartału.

W Krakowie zjawił się wreszcie dopiero na wiosnę zeszłego roku i przyznam ci się, że w pierwszej chwili trudno mi wtedy było dawną z nim nawiązać poufałość. Może to dlatego, żeśmy się z nim tak długo nie byli widzieli, a może bardziej przez to, że ja tymczasem dorosłam, byłam już magistrem sztuk wyzwolonych i od roku studiowałam medycynę, więc może to on nie był pewny, czy nadal ma mnie jak pacholika pobłaźliwie strofować, czy raczej jak kogoś dojrzałego zapytywać o zdanie. Ale w moich oczach to zwłaszcza on bardzo się zmienił przez czas mojej z nim rozłąki. A nawet gdyby żadne z nas się nie zmieniło, to zwyczajnie niewiele było po jego przyjeździe okazji do rozmowy. On całymi dniami przesiadywał u króla na Wawelu, zamku tutejszym, nieraz do późnej

nocy, a do domu wpadał tylko czasem w ciągu dnia jak po ogień, a to żeby coś sprawdzić w którejś z ksiąg, a to żeby koszulę zmienić, a wtedy mnie i tak na ogół w domu nie było, gdyż starałam się jak najpilniej uczęszczać na zajęcia, żeby nie zostawać w tyle za innymi szkolarzami.

Tak było, dopóki król Olbracht nie wyjechał na Węgry, spotkać się ze swoim starszym bratem Władysławem, królem tamtejszym. Musiał mieć jakąś ważną do brata sprawę, czy może brat do niego, nie wiadomo, w każdym razie zabrał ze sobą w drogę dwóch młodszych braci, takich zupełnych jeszcze młokosów, Zygmunta i Fryderyka (chwilę wcześniej prymasem tu mianowanego), a na dokładkę szwagra ich wszystkich, margrabiego Fryderyka Hohenzollerna z Brandenburgii, który, jak sądzę, specjalnie w tym celu zajechał na kilka dni przedtem w gościnę do Krakowa. Do pełnego składu brakowało im tylko trzeciego po starszeństwie z braci, Aleksandra, wielkiego księcia Litwy, co pewnie znaczy, że król Olbracht miał w tym szlachetnym gronie zabierać głos także w jego imieniu. Zresztą czort jeden wie, o czym tych pięciu tam na Węgrzech ze sobą radziło. Ja przynajmniej tego nie wiem, a nawet gdybym coś wiedziała, albo się choćby domyślała, to i tak nie napisałabym o tym w liście. Czego, gdy rozważysz wszelkie okoliczności, nie będziesz mi mogła mieć za złe. A przy tym – cóż to może w gruncie rzeczy ciebie czy mnie obchodzić? Zostawmy, co królewskie, królom, a co cesarskie... czy jak to tam było.

Dla mnie liczyło się wyłącznie to, że nie wzięli ze sobą Kallimacha i dzięki temu częściej go mogłam widywać. Tylko że pod koniec lata on znów pojechał do Torunia, z jakąś, tak zakładałam, niezwykle ważną misją – i cały miesiąc go nie było. Wreszcie przecież wrócił i nawet pobył w Krakowie kilka tygodni, ale z końcem października znowu się wybrał, zgadnij dokąd? Tak jest, Enneleyn, do Torunia. I o ile ostatecznie mogłam zrozumieć, że kiedy w zaprzeszłym roku sam król się tam do Prus udał z wielkimi fanfarami, to w jego świcie, ponad tysiąc konnych liczącej, nie mogło, oczywiście, zabraknąć Filipa, nawet łącznie z tym, że wrócił stamtąd dopiero po pół roku z okładem – ale że przed świętami Bożego Narodzenia znów go tam poniosło, to ja już doprawdy nie wiem, jaki to mogło mieć sens, jeśli nie taki, jakiego się domyślałam. Bo skoro już musiał wyjechać, to dlaczego nie trzymał się króla? Król, trzeba ci wiedzieć, przez cały ten czas nawet do Torunia nie zajrzał, co mnie wcale nie dziwi – chyba dość się tam nasiedział przed rokiem i potem zaprzętały go już na

pewno inne sprawy. Ciekawa więc bardzo jestem, cóż to za interesa tak pilne i w dodatku, na co wszystko wskazuje, wymagające wielkich nakładów pieniężnych, tak długo trzymały Filipa w owych Prusach dalekich, podczas gdy cały dom był na mojej głowie.

Zauważ przy tym, że ja przecież muszę być codziennie na wykładach i do repetytoriów ciężko zakuwać po nocach, bo studia medyczne, moja droga, to już naprawdę nie przelewki, zapytaj ojca. Najgorsza z tego jest anatomia. Trzeba opanować budowę ciała ludzkiego aż do najdrobniejszego szczegółu – co się na nie składa, jak te części składowe wyglądają, czemu która z nich służy i gdzie dokładnie się mieści – bo bez tego, jak nam stale klarują, nie rozpoznamy potem u chorego źródła i natury jego dolegliwości. Na porannym wykładzie profesor rozkrawa na naszych oczach całą świnię, wydobywa z niej poszczególne organy wewnętrzne, rozwarstwa tkanki, rozdziela mięśnie i kości obnaża, a po obiedzie (bardzo marnym, ale może to i lepiej) to my z kolei musimy taką samą krwawą robotę powtarzać na drugiej świni pod nadzorem któregoś z prywatnych docentów. Ledwie się z tym uporamy, gdy wchodzą ludzie od rzeźnika, by nadkrojone przez nas ścierwo załadować na taczkę i zawieźć do jatki, gdzie sprawniejsi od nas oprawcy dokończą zaczętego przez nas dzieła.

Czy wiesz, że kiedy byłam bardzo mała, próbowałam rozbierać żywe ślimaki? Nie chciałam ich krzywdzić, tylko byłam ciekawa, jak wygląda cały ślimak, razem z tymi członkami, które są schowane w muszelce. Usiłowałam więc wyciągać żyjątko z jego domku za stopę, ale że ona natychmiast, wyslizgując mi się z palców, chowała się cała w środku, wzięłam się na inną metodę – starałam się delikatnie, tak żeby się ślimaczkowi nic nie stało, stłuc mu muszelkę jak skorupkę ugotowanego jaja, i w ten go sposób obnażyć. Ale, jak się domyślasz, za każdym razem sprawiałam tylko przez to stworzeniu straszny koniec. Początkowo myślałam, że widać nie dość zręcznie je ze skorupki obieram i raz po raz ponawiałam próby, aż w końcu, widząc smutny wynik tych moich doświadczeń, rozryczałam się w głos. A akurat przechodził opodal pewien szczupły pan z krzaczastymi brwiami złocistej barwy, który na widok płaczącego dziecka zatrzymał się, pytając, czy mi się co stało. Wskazałam mu, wciąż chlipiąc, rozbite skorupki i poszarpane ciała mych ofiar. On wtedy, nachyliwszy się, przyjrzał się uważnie memu dziełu, zaczem zapytał dobrotliwie, w jakim celu bawię się w takie rzeczy, skoro mnie

one do łez doprowadzają. A gdym mu szczerze wyłuszczyła, co mną powodowało, objaśnił mi krótko, na czym polegał mój błąd, a potem zagadnął, czy chcę się może pobawić z jego córeczką Enneleyn, o rok ode mnie starszą. I tak się to wszystko między nami zaczęło, moja droga.

Na szczęście świń nie każą nam krajać za życia, poza tym więcej z tego jest jednak pożytku niż z rozbioru ślimaków. Świnia bowiem, jak się okazuje, budową prawie wcale się od człowieka nie różni, jeśli nie liczyć racic i ogonka, nieco inne ma tylko proporcje ciała i kształt niektórych kości, zwłaszcza czaszki.

Ale odkąd król powrócił do Krakowa, będziemy mieli niejedną okazję, by studiować te różnice i utrwałać je sobie w pamięci, dzięki temu, że ruszyły na nowo śmiertelne kaźnie złoczyńców na tutejszym Rynku, pod nieobecność monarchy zamieniane zwykle na wieczyste albo nawet czasowe wyświecenie z miasta. Król Olbracht jednak, jak mówią, pilnuje zawsze, by winowajcy ponieśli za swe zbrodnie karę odpowiednią dla zaspokojenia sprawiedliwości i dania odstrasżającego przykładu. Sam też swą monarszą powagą uświęca wykonanie wyroku, chętnie pokazując się wśród rajców, którzy z arkad wieńczących budynki więzienia przy ratuszu obserwują z obowiązku, czy wszystko się odbywa zgodnie z wydanym przez nich orzeczeniem.

My, jako facultas medica, mamy ten przywilej, a raczej obowiązek – nazwij to, jak chcesz – by dla celów naukowych przyglądać się ścinaniu głów z bliska. Wiele razy w ciągu ostatnich dwóch lat zdarzyło mi się zaznać tej szczególnej przyjemności, więc nabrałam przekonania, że umiem już na to widowisko patrzeć bez zgrozy i łez, z czysto medycznego punktu widzenia – ale nie. To, czego doświadczyłam zaledwie wczoraj, w środę, wciąż jeszcze we mnie tkwi i tak mną potrząsa, że chyba na przyszłość będę się musiała jakoś od tego rodzaju rozrywek wyłgać.

Rzecz w tym, że skazaniec – młody chłopak, na oko w moim wieku, z rudą czupryną kręconą jak u barana – żadną miarą nie chciał się dać zaciągnąć na szafot. Od samej furty więziennej szamotał się na wszystkie strony jak ryba wyjęta z więcierza, próbując za wszelką cenę wyrwać się z rąk prowadzących, tak że droga, którą mieli do przebycia, czyli jakieś piętnaście sążni, zajęła im chyba z dziesięć pacierzy, jeśli nie więcej. Wrzeszczał przy tym przeraźliwie i szlochał, a ten jego szloch potępieńczy niósł się po całym Rynku, odbijając się echem od ścian otaczających domów, że aż dreszcz przechodził po plecach, i niejednen w tłumie

ciekawskich, słysząc to, żegnał się raz po raz znakiem krzyża. Mnie chciało się płakać razem z nim, możliwe zresztą, że się rzeczywiście popłakałam, szczególnie wtedy, kiedy go już dociągnęli do stopni szafotu i chcieli go na nie wtaszczyć, ale on zaczął się rzucać jeszcze bardziej, jakby sił mu nagle przybyło, ciskał się na wszystkie strony, bódł ich głową i kopał, mimo że ręce i nogi miał porządnie spętane. Ten zanosi się krzykiem pod niebiosa, tamci, szarpiąc się z nim, głośno klną, i wciąż nie mogą go na te schody zaciągnąć, aż w końcu kat zamachnął się z furkotem dębową lagą i zdzielił go w łeb. Nagle wszystko ucichło, a chłopak osunął się miękko na ziemię. Ogłuszyło go, ale nie umarł, o czym się każdy mógł naocznie przekonać, kiedy mu w końcu głowę odrabali, bo krew mu wtedy z szyi chlusnęła żywym strumieniem. Inaczej jest, gdy się martwemu już człowiekowi gardło przetnie – wtedy posoka sączy się leniwie, bez żadnego impetu. Z człowiekiem, jak widzisz, dzieje się tak samo jak z wieprzem czy innym zwierzem gospodarskim, gdy się go zarzyna.

Nie wiem do końca, czemu tak ciężko mi było znieść widok męki tego rudzielca. Kara należała mu się sprawiedliwie, gdyż się dopuścił zabójstwa – glinianym garncem zranił śmiertelnie w głowę szynkarza, gdy ten z jakiegoś powodu nie chciał mu wina nalać. Szynkarz też był żywym człowiekiem i też niewątpliwie chciał żyć dalej; wiem, że nazywał się Goczkon. A ten młody zabójca, czeladnik piekarski, którego strach stał się moim strachem, miał na imię Jakusz. Jakusz Rejbik.

Niewiele stracę jako szkolarz, jeśli uda mi się więcej takich rzeczy nie zobaczyć. Właściwie i tak nic one nie wnoszą do naszej wiedzy o budowie ludzkiego ciała. Mówią, że bardziej można skorzystać, będąc świadkiem ćwiartowania, ale takie wyroki zapadają tu bardzo rzadko, za mojej pamięci jeszcze ani razu. Czasem zdarza się, że któremuś skazańcowi odmówione zostaje prawo do chrześcijańskiego pochówku – wtedy, za specjalnym zezwoleniem sądu wójtowskiego, jego zwłoki mogą zostać wydane Akademii do rozbioru. Tak bywa z tymi, których skazano za świętokradztwo, matkobójstwo czy, powiedzmy, własnej matki albo córki zhańbienie, a także z samobójcami, o ile umarli, zanim zdążyli się z popełnionego czynu wyświadczyć. Ale podobno we wszystkich takich przypadkach jest tyle korowodów do przejścia i urzędowych przeszkód do pokonania, że kiedy się to wszystko wreszcie uda, zwłoki mogą być już mocno nadgniłe. Więc chyba lepiej pozostaniemy przy świniach.

Potem, przy wieczerzy, opowiedziałam Filipowi o egzekucji Jakusza, nie ukrywając przed nim swoich odczuć. Słuchał mnie uważnie, pojadając z wolna piwną polewkę, i widziałam w jego oczach smutek. Nagle odstawił miskę i marszcząc jedną brew, zagadnął niespokojnie:

– A król? Co król na to?

– No, nie podobało mu się to – przyznałam. – Widziałem, jak mówił coś szybko do burmistrza, z bardzo niezadowoloną miną wskazując na to, co się w dole rozgrywało, a burmistrz, wyraźnie zmieszany, coś mu nieśmiało tłumaczył.

– A niech się tłumaczy, niech się tłumaczy ile wlezie – wycedził na to przez zęby mój przyjaciel, który z burmistrem tutejszym ma ostatnio na pieńku. Pociągnął w zamyśleniu ostatni łyk polewki, miskę opróżnioną odsunął na bok, otarł usta rąbkiem koszuli i opadłszy plecami na wysokie oparcie, wpatrzył się we mnie spod zmrużonych powiek. – Dziwne mi tylko – rzekł – że król nie kazał tego nieszczęśnika doprowadzić pod arkady, skąd mógłby go szczegółowo wypytać o jego winę, uzyskać szczerą skruchę i obietnicę poprawy, a wówczas okazać mu monarszą łaskawość. Mógłbym się założyć, że widząc to, ludzie, rozczuleni całą sceną do łez, gotowi by byli potem dać się za swojego króla posiekać, nie uważasz?

– Przypuszczam, że tak by właśnie było – przytaknęłam z zakłopotaniem, widząc, żeśmy się źle zrozumieli. – Tylko że jego królewska mość nasrożył się dopiero wtedy, kiedy kat wierzgającego Jakusza dębczakiem uspokoił.

– A przedtem? – wszedł mi w słowo, wzburzony. – Przedtem co? Nic nie mówił?

– Nie zwróciłem uwagi – odrzekłam wymijająco, by po chwili, niespodziewanie dla samej siebie, wypalić: – Widziałem tylko kątem oka, że się śmiał.

Zamilkł na te moje słowa i przygryzł wargę. Wstał potem, zgarbiony i jakby nagle postarzały, i ja też wstałam, bo jakoś niesporo jest siedzieć, gdy twój pryncypał stoi. Zdawało mi się, że on zamierza się teraz oddalić, by na osobności przetrwać codzienne zgryzoty, kiedy jednak już postąpił krok w stronę swojej izby sypialnej, nagle przystanął, odwracając się znów ku mnie, i ręce oparłszy o brzeg stołu, wbił we mnie spojrzenie, jak mi się zdawało, nieco szkliste, swoich wielkich, orzechowych oczu.

– Ja to wiem, Georgiuszu – przemówił do mnie cicho. – Znam go przecież od pacholeństwa. Miał niespełna czternaście lat, kiedy zostałem jego preceptorem. Widać było na pierwszy rzut oka, że chłopak jest bystry, nawet bardzo bystry, ale też rozhukany do niemożliwości, bezwzględnie zadufany w sobie i samolubny. A z czasem... – Filip pokiwał ze smutkiem głową, wzrok spuszczał. – Z czasem – podjął, podnosząc znów na mnie oczy – dało o sobie znać i to, coś dzisiaj mógł zobaczyć. Tak, nie ma on w sercu litości. Taki już jest. Hm... – Uśmiechnął się słabo. – Nie wiem. Może i tak trzeba, żeby być wielkim królem.

Z wolna obszedł stół i przystanął tak blisko, że doszedł mnie zapach wódki różanej, którą miał zwyczaj nacierać się po kąpieli. Poklepał mnie lekko po ramieniu i przez chwilę staliśmy tak oboje, spoglądając na siebie bez słowa, bo ja zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć, a on... on pewnie też. Po paru chwilach odwrócił się i ruszył nieśpiesznym krokiem ku swoim drzwiom. Ale wchodząc przez nie, zatrzymał się jeszcze i obejrzał na mnie.

– Gdybyś ty miał być królem, Georgiuszu – przemówił niegłęboko pogodniejszym już tonem, mrużąc oczy w przekornym uśmiechu – trzeba by cię było od małego specjalnie hartować, żebyś zanadto współczujący nie wyrósł. Co prawda, o ile mi wiadomo, o żaden tron się nie ubiegasz, przynajmniej na razie, ale coś mi się zdaje, że i w zawodzie lekarza nie jest to cecha szczególnie przydatna.

Zdawało mi się, że w zapadłej ciszy zawisło jakieś pytanie, tylko że nie wiedziałam jakie. A on, widząc moją głupią minę, dorzucił tylko trzy słowa tym swoim półgłosem szemrzącym, zdolnym i mądrzejszych ode mnie do szczeru otumanić:

– Dobrej nocy, chłopcze.

I zniknął za drzwiami tak szybko, że nie wiem, czy usłyszał, jak mu wzajemnie dobrej nocy życzyłam.



Wracam do mojego listu dopiero po trzech dniach, w niedzielę Świętej Trójcy, bo jak mnie nagle w czwartek bóle przy pisaniu dopadły, tak mnie trzymały dniem i nocą aż do dziś. Od razu mówię, że nie masz się czym niepokoić, jestem zupełnie zdrowa, i tylko zwykła miesięczna przypadłość nawiedziła mnie wścieklej niż zazwyczaj. Nie dość, że

zwijałam się z bólu, zaciskając zęby, żeby nie jęczeć, to jeszcze do tego krwią broczyłam jak mieczem rozpruta, co, jak się możesz domyślać, nie ułatwiało mi życia. Dobrze chociaż, że trzymam zawsze na takie przypadki zapas dekoktu z tasznika i paru innych ziół krwawienie wstrzymujących, z których zwłaszcza tasznik, co prawda nie od razu, ale w końcu trochę pomaga. Gorzej było z bólem. Na szczęście piątkowy poranny wykład został dla jakichś przyczyn odwołany (pewnie profesor de Regulis miał ważniejsze sprawy na ratuszu, gdzie także zasiada), dzięki czemu mogłam skoro świt wybrać się do apteki, z wypisaną zawczasu receptą na kadzidło uśmierzające według przepisu Burgoniusza Starszego, który nam kiedyś doktor Ursyn na zajęciach podyktował. Musiałam się wszak wstrzymać aż do wieczora z zastosowaniem go, gdyż w mojej, tak lekceważonej przez naszego dziekana, Róży medycyny doczytałam się w ostatniej chwili, że remedium owo, niewprawnie podane, może oteępać i wywoływać majaki. Dlatego też na poobiednim repetytorium, zdana tylko na własną wytrzymałość, prawie mdlałam z bólu. Nie tylko zresztą z bólu, bo i ze strachu, że próbka mych własnych sików, którą jak każdy ze szkolarzy miałam przy sobie, by ją przedstawić do wspólnego studiowania, zostanie rozpoznana jako uryna kobieca, mimo że jakimś cudem udało mi się ją pobrać w stanie czystym, pojmujesz: bez najmniejszej choćby przymieszki krwi. A jednak nikt nie wykrył w moim moczu nic podejrzanego, nawet prowadzący zajęcia doktor Karpiga, zwany też Miechowitą, pomimo młodego wieku cieszący się w Krakowie sporą sławą jako lekarz. Tym samym potwierdza się, już nie wiem po raz który, że sprzyjają mi siły wyższe, co chyba musi oznaczać, że droga, którą podążam, jest słuszna.

Co się tyczy Burgoniuszowego kadzidła, to muszę przyznać, że gdy się już porządnie w mej izdebce dymku z niego nawdychałam, ból w istocie trochę zelżał, a może nawet odpuścił zupełnie, pewna nie jestem, bo zanim się w tym rozeznałam, zmorzył mnie sen. Był to sen z rodzaju, jakiego dotąd nie znałam. Niewiele co prawda z niego pamiętam – choć wiem, że wiele się tam działo – a to dlatego, że zdarzenia, które się na tę mnogość składały, nie wiązały się ze sobą w żadnym zrozumiałym dla mnie porządku. Ale i to ci nic nie powie, bo przecież w zwykłych snach też tak często bywa. Może najbardziej ci przybliży to, czego tamtej nocy doświadczyłam, jeśli przywołasz sobie nasze częste wyobrażenia o przechodzeniu przez śmierć na drugą stronę życia, tę, o której inności

żaden człowiek nie będzie miał pojęcia, dopóki jej nie zazna. Wiedz przy tym, że ja w tym śnie nie tylko znalazłam się w zupełnie innym świecie widzialnym, rządzącym się niezrozumiałymi dla mnie prawami, ale i ja sama byłam w nim jakaś inna i dla siebie samej niezrozumiała. W którejś z kolei snu odstłonie – ale w gruncie rzeczy przez cały czas jego trwania, tylko że wyraźniej widzę tylko tę jedną chwilę – byłam wstrętnym, dziobatym i bezzębnym starcem z obrzydliwie pozlepianą rzadką brodą, w mrocznej izbie pełnej starożytnych ksiąg, cyrkli, sekstantów, atanorów, alembików, retort i innych tego rodzaju atrybutów. Było tam też wielkie, płaskie zwierciadło – tak wielkie, że mieściło się w nim bardzo wyraźne odbicie całej ludzkiej postaci – i ja przed tym lustrem stałam, zanosząc się płaczem jak ów nieszczęsny Jakusz Rejbik, a wszystkie te uczone księgi i przybory śmiały się ze mnie złośliwie (tylko teraz nie każ mi wyjaśniać, po czym to można poznać, że przedmiot martwy się śmieje).

Obudziły mnie własne jęki i zdławione okrzyki przerażenia. Ostry ból w podbrzuszu minął, za to cała byłam obolała, jakby mnie kto przez sen kijami obił. Z trudem wygramoliłam się z łoża i ujrawszy, że za oknem noc czerwcową już blednie, czym prędzej zabrałam się do niezbędnych porannych czynności, żeby się nie spóźnić na zajęcia. Pytałaś mnie w swoim liście, jak sobie radzę na co dzień z tymi babskimi sprawami. Spróbuję ci to teraz pokrótce wyłożyć.

Jak pamiętasz, jeszcze w Heidelbergu, szykując się do mej przemiany, zakupiłam w kramie kaletniczym wdowy Hummel na Fischergasse sześć porządnych mieszków na męskie klejnoty. Starannie dobrałam ich krój, biorąc pod uwagę przede wszystkim dopasowanie do zarysu moich własnych miejsc wstydliwych, ale też i to, żeby skórka była miękko wyprawiona i nie upijała mnie zanedo w pachwiny, gdy mocniej zaciągnę rzemyki. Pamiętam, że kiedym je wybierała, Hummlowa przyglądała mi się jakoś dziwnie, ale że zapłaciłam bez żadnych targów, obeszło się też bez zbędnych pytań. Te mieszki sprawdziły mi się nadzwyczajnie; na co dzień wypychałam je pakułami, a w dni krwawień niezgrzeblonym runem z wełny drzewnej albo skrawkami płócien wyrzucanymi przez krawców, które przy każdej nadarżającej się okazji skrętnie zbierałam. Wszystko to, jeżdżąc bez ustanku po całych Niemczech, woziłam ze sobą w tobołach. Nie zapomnę, jak w pierwszym roku mej włóczęgi z Celtisem zajechaliśmy raz na początku czerwca do Strasburga, a tam było wszędzie biało od puchu z topoli. Rzuciłam się od

razu zgarniać go do płóciennego worka, tłumacząc Celtisowi, że chcę z takiego wypchanego puchem płótniaka zrobić sobie dodatkową poduszkę, dla większej wygody. Przyznał, że to dobry pomysł, i nawet polecił, żebym nazbierała drugi taki worek dla niego. Potem w rzeczy samej używał go do spania i wszystkim ten sposób polecał. W lasach zbierałam też mech, który w ostateczności również się do naszych celów nadaje, a że i mężczyźni znajdują dla niego pewne zastosowanie, więc z tego się nie musiałam tłumaczyć. Oczywiście odkąd zamieszkałam bezpiecznie w Kallimachowym domu, gdzie mam swoją izbę, a w niej swoją skrzynię, po prostu trzymam w tej skrzyni zapas wełny drzewnej i go co jakiś czas uzupełniam. Zużyty farsz starałam się wrzucać bądź do ognia, bądź też do kloaczego dołu, ale jak się domyślasz, nie zawsze było to możliwe, więc... Nie mówmy już o tym.

Początkowo nie wiedziałam, jak sobie poradzić z sikaniem, kiedy mnie przycisnęło. Oni, jak doskonale wiesz, zwykle odlewają się na stojąco, bynajmniej nie kłopotząc się obecnością innych mężczyzn, i ani myślą w tym celu odchodzić na stronę – o ile w towarzystwie nie ma kobiet, a przynajmniej tak im się wydaje, he, he. Ja się do tego zwyczaju dostosować nie mogłam, więc za każdym razem oddalałam się bez słowa wyjaśnienia, niby to za grubszą potrzebą. Celtis, znając mnie jako chłopca wyjątkowo wstydlivego, pewnie się temu nie dziwił, a inni, którzy spotykali mnie tylko przelotnie, mogli przypuszczać, że coś mi zaszkodziło.

Co do włosów, to noszę je proste zupełnie, równo obcięte – z przodu tuż nad brwiami, po bokach niżej uszu, a z tyłu nad samym karkiem – co nadaje mi wcale chłopięcy wygląd, o ile mogę to ocenić w moim niewielkim zwierciadelku. Pamiętasz, raz, kiedy się wybrałam na pasterkę w baraniej czapie, bo mróz był owej nocy bardzo srogi, to mnie nasz niedowidzący wikary wziął za chłopca – tak wiele zależy od tego, co masz na głowie. Swoją drogą, niewykluczone, że już niedługo zaczną się tu wszyscy mężczyźni strzyc całkiem krótko, na starorzyską modłę, bo coraz częściej takich tu widuję, szczególnie wśród młodych. Kto wie, czy i ja wtedy nie pójdę za ich przykładem. Niestety, zanoszą się także na to, że jednocześnie w modę wejdą wszelkiego rodzaju brody i bródki, oczywiście razem z wąsami, a to już by mi nie było na rękę. Zresztą i bez tego mam z zarostem twardy orzech do zgryzienia. Młodzieńcy w moim wieku albo go gołą, albo zapuszczają. Ja się nie gołę, bo przecież wiem,

że jeśli skoszę mój ledwie widoczny jasnozłoty meszek, tak miły i jedwabisty w dotyku, zacznie on odrastać coraz gęstszy, coraz ciemniejszy i coraz twardszy, aż wreszcie skóra nad moją górną wargą, na brodzie i na policzkach przybierze barwę ołowianą od przebijającego przez nią zarostu. Pojmujesz chyba, Enneleyn, że to, co we mnie jeszcze zostało z kobiety, jakoś nie potrafi się z tą myślą pogodzić. Sęk tylko w tym, że mam już dzisiaj dwadzieścia trzy lata, i nawet jeśli wszyscy myślą, że tylko dwadzieścia jeden, to ten mój meszek na pewno wygląda dla nich dziwnie. Nie wiem, czy wzbudza jakieś podejrzenia, ale dziwić musi. Boję się, że w końcu ktoś mnie zapyta: „Dlaczego się nie ogolisz, chłopcze? I tak ci broda nie rośnie – to nic strasznego, nie masz się czym przejmować – ale pozbądź się przynajmniej tego meszku, z którym wyglądasz jak uczeń szkółki parafialnej!”. I wtedy będę musiała coś z tym zrobić. Słyszałam o pewnej babce zielarce z jednej z podkrakowskich wsi, która kobietom z włochatymi nogami skutecznie pomaga na to zmartwienie zaradzić. Nie, bynajmniej im tych nóg nie goli – ona okłada je płatami płótna zanurzonego wpierw w gorącym wosku, a gdy ten zastygnie, zdiera z nich te płaty tak zręcznie, że wosk zabiera z sobą wszystkie włoski, wyrrywając je z korzeniami. Brzmi to jak tortura, ale podobno da się wytrzymać, a nogi, z tego, co słyszałam, mają być po tym nieskazitelnie gładkie. Ja wprawdzie włochatych nóg nie mam, ale nie marzy mi się także włochara gęba, więc może się wybiorę do tej wioski, zapytam, czy i na to nie można by jakoś woskiem zaradzić.

Przy okazji przypomina mi się jeszcze jeden wiersz Kallimacha z czasów jego burzliwej młodości, cały poświęcony meszkowi na brodzie pewnego młodzieńca. To ten sam piękniś, którym się zachwycił już w tamtym wierszu, com ci o nim pisała w poprzednim liście, pamiętasz, ten Lucydus, który jest teraz biskupem. Zobacz:

Puchowi śniegu podobny blask włosków,
Skrzy się na młodej Lucydusa twarzy.
Nie jest to szorstka i stercząca broda,
Co na podbródku cynika zazwyczaj
rośnie głodnego, albo też stoika,
lecz meszek nowej męskości, co umie
wzbudzać kobiece namiętności, mimo
że dawniej tylko mężczyzn pociągała.

Ty je podrażniasz dwoma całusami
albo języka muśnięciem nieznacznym.

Wydaje mi się, że lepiej niż ktokolwiek rozumiem ten wiersz, mając w pamięci pewne Filipa bezwiedne gesty, na przykład kiedy przechodząc, muska czubkami palców mój podbródek albo zagląda mi przez ramię, kiedy coś piszę, niechcący ocierając się policzkiem o mój policzek. Ale dość już tu miejsca poświęciłam kwestii mojego zarostu, a raczej jego braku, dotychczas nierozwiązanej. Przejdźmy do innych jeszcze trudności, jakie napotykałam w mojej maskaradzie.

Co się tyczy mego głosu, to stwierdziłam, że nie muszę się wcale o jego brzmienie kłopotać. Słyszałam sporo mężczyzn, i to bynajmniej nie młodzieniaszków, którzy mają swój organ wyżej od mojego nastrojony. Między nami mówiąc, to muszę raczej uważać, by zanadto głosu nie modulować, bo to może komuś nasunąć jakieś podejrzenia – bardziej może o niedozwolone skłonności niż o przynależność do naszej płci – a jeśli czasem z przejęcia zdarzy mi się wpaść w tony piskliwe, to najwyżej to kogoś rozbawi.

Podobnie ma się sprawa z moimi cyckami. Myślałam, że będę je musiała rozpląszczać, płótnem ciasno obwiązując, ale zupełnie nie ma takiej potrzeby, bo od czasu kiedy je ostatnio widziałas, nic a nic nie urosły. Powinnam się tym może martwić, bo ponoć wydatna pierś jest ozdobą kobiety, ale jakoś mi to ani trochę nie przeszkadza, i to nie tylko ze względu na życie, jakie wybrałam. Na początku mojego tu pobytu upatrzyłam sobie ustronne miejsce w rozlewiskach małej rzeczki, co wpada do Wisły nie dalej jak pół mili stąd, żeby się tam chodzić kąpać. Nieraz wtedy widziałam w spokojnej wodzie odbicie niemal całej mej postaci, i wyznam ci w sekrecie, że z tymi piersiami, których prawie nie ma, wydałam się sobie całkiem nadobna. I wciąż się sobie taka podobam, chociaż po siedmiu latach studiów powinno mi było przybyć rozumu.

A skoro już doszliśmy do kąpieli, to jak się możesz domyślać, niełatwo mi było znaleźć sposób na to, by móc się kąpać tak często, jak potrzebowałam, i czasami przez wiele dni musiałam się zadowalać pośpiesznym obmywaniem tylko twarzy, rąk i nóg. W końcu zdobyłam się na odwagę, żeby się przy Celtisie obnażać do pasa, idąc w tym za jego przykładem, i myć się razem z nim w miednicy – w nadziei, jak się okazało, niepłonnej, że go zmylą te moje nierozwinięte pączki. Dzięki

temu mogłam przynajmniej wypraną koszulę na czyste ciało zakładać. Żeby jednak zażyć gruntownej kąpieli, musiałam za każdym razem uciekać się do nowych wybiegów. Latem chodziłam się kąpać w rzekach albo jeziorach, w ostateczności, jeśli miejsce nie było całkiem odludne, wchodząc do wody ubrana w nogawice i mieszek, i dopiero zanurzwszy się dobrze, ściągałam je i pod wodą co trzeba namydlałam.

Teraz, kiedy o tym myślę, przypomina mi się, jakieśmy prowadziły konie naszych ojców do Wieblingen, żeby je tam obmywać w wodach płytkiej odnogi Neckaru i potem dumnie wracać na nich wierzchem, na oklep, wywołując powszechne zadziwienie. Przy tym myciu koni, pamiętasz, spotykałyśmy chłopaków z naszej okolicy, którzy się tam wyprawiali na traszki. Jedli je potem upieczone w ognisku i nas też chcieli częstować, ale myśmy się traszek brzydziły.

A latem woził nas do Wieblingen twój tatko i od miejscowych rybaków wynajmował po czólnie dla każdej z nas, żebyśmy sobie mogły powiosłować po płycznach. Pamiętasz może, jak któregoś razu niespodziewanie, wściekle młócąc wiosłem, zawróciłam do przystani, wyskoczyłam z łódki i więcej do niej nie chciałam wsiąść? Próżności mnie dopytywali, ty i twój ojciec, co się stało – milczałam jak zakłęta. To teraz ci powiem. Otóż za którymś pociągnięciem wiosła uczepiła mi się go jakaś, jak mi się wydawało, szmata. Chciałam ją strzepnąć do wody, ale ona uparcie trzymała się pióra, które pewnie było trochę wyszczerbione. Wciągnęłam więc wiosło do wnętrza łódki, żeby je od tej szmaty, dziwnie ciężkiej, uwolnić, i przekonałam się, że to jakiś stary rękaw albo może nogawica, zawiązana na supły z obu końców i jeszcze gdzieś pośrodku. Po jednej stronie wyczułam coś twardego i ciężkiego, wielkości pięści – chyba to był kamień – a po drugiej coś miękkiego. Do dziś nie wiem, w jakim celu z niemałym trudem rozplątałam supeł po tej miękkiej stronie i zajrzałam do środka. Tym, co tam zobaczyłam, był bulwiasty kłęb ciałek małych kociąt, w jedną całość splecionych. Nie pamiętam, dlaczego wzdragałam się wam o tym powiedzieć, może chodziło mi o ciebie, żebyś nie narobiła wrzasku, ty, która tak kochasz te wdzięczne stworzenia.

Ale miałam ci mówić o moich kąpielach. Jak więc rozumiesz, pół biedy z tym jest latem, ale zimą? Jakoś przecie musiałam sobie radzić. Zdarzało mi się nawet wchodzić głęboko w las, niby to za potrzebą, i tam, rozebrawszy się do naga, tarzać się w śniegu. Cud prawdziwy, żem przez

to nie zachorzała śmiertelnie. Ale w miastach, zwłaszcza już później, w Krakowie, gdzie nie ma prawie ulicy bez łaźni, za każdym razem, kiedym słyszała, jak łaźniarz dzwonieniem w miedzianą misę i kulawymi rymami zaprasza do swego przybytku, taka mnie chętka brała przemożna, żeby wszystko rzucić i wreszcie się jak należy wykąpać, że nie wiem, co by to było, gdybym w końcu nie znalazła na to rozwiązania.



Wybacz, droga Enneleyn, ale w tym liście już nie zdążę ci opowiedzieć, jak sobie z kąpielami poradziłam, bo przez ostatnie dwa dni trwała tu u nas w domu istna zawierucha. Wszystko za sprawą króla, a właściwie pewnych osób, które sprytnie wkradłszy się w jego łaski, nakłoniły go do ogłoszenia pewnych nowych praw, bardzo szkodliwych dla kraju. Filip rwie sobie włosy z głowy i krzyczy, aż się echo niesie po całym domu, że okropne skutki tego będzie Polska ponosić jeszcze i za sto lat. Potem, kiedy już z pięścią obolałą od wściekłego walenia w sprzęty i gardłem zdartym od nieustannego wyrzucania z siebie włoskich, polskich i łacińskich przekleństw, z wolna zaczął już spokojniej objaśniać, w czym rzecz, i mogłam uważnie wysłuchać jego argumentów, trudno mi było nie podzielić jego gniewu i rozżalenia. Ciebie, jak się mogę domyślać, sprawy Polski ani ziębią, ani grzeją, nie będę cię więc zanudzać szczegółowym rozbiorem tych materii, powiem tylko krótko, że zamiast zmierzać do wzięcia w opiekę wszystkich stanów na równi, do czego przy każdej okazji Kallimach gorąco króla namawiał, nowe prawo jeszcze bardziej utwierdza przewagę szlachty, już i bez tego w tym kraju ponad wszelkie zasługi uprzywilejowanej. Ten akt, tylko co przez króla podpisany, zabrania na przykład powoływania plebejuszy na państwowe urzędy i godności kościelne, a i zwyczajnie bogacić się będzie odtąd mieszczanom trudniej niż panom szlachcie, ci będą bowiem mogli bez żadnych ceł sprowadzać sobie do domu rozmaite towary, a wytworzone u siebie na sprzedaż wysyłać. A żeby się kraj mógł rozwijać – twierdzi Filip – władca powinien otoczyć swoją protekcją przede wszystkim mieszczan, bo to od nich pochodzi wszystko, co o postępie stanowi: nowe drogi handlowe i nowe towary, nowe kroje butów i sukien, nowe sposoby obracania pieniądzem, nowe nauki na uniwersytetach i nowe potrawy na stołach.

– A to od szlachty nic nie pochodzi? – zdziwiłam się szczerze.

– Tego nie powiedziałem – odrzekł z krzywym uśmiechem. – Dworne ukłony, to raz. Nieskończona inwencja w zaprzęganiu włości do kieratu, to dwa. A trzy... – Tu urwał, by po krótkiej chwili podjąć w zupełnie innej tonacji: – Mam i ja przyjaciół szlachetnie urodzonych, którzy swymi przymiotami przynoszą chlubę nie tylko całemu stanowi szlacheckiemu, ale i wszystkim Polakom. Choćby nieodżałowany biskup Moszyński; musisz przyznać, Georgiuszu, że był to wielkiej mądrości i zacności człowiek.

Mogłam to z czystym sumieniem skwapliwie potwierdzić, gdyż miałam okazję poznać owego zmarłego przed dwoma laty hierarchę, który chętnie odwiedzał nasz dom przy każdej swojej bytności w Krakowie, a często też zapraszał Kallimacha na wywczasy do swojej siedziby, odległej stąd o cztery dni jazdy.

Tymczasem mój pryncypał, wsparłszy się łokciami o blat, przechylił się przez stół w moją stronę i z wielkim naciskiem zaczął mi przyciszonym głosem klarować:

– A król szlachty potrzebuje, temu ja nie przeczę. Pomijając już wszystko inne, są mu potrzebni na wypadek wojny, zresztą niby po to w ogóle są. A wojna będzie. – Pokiwał głową. – Nie w tym roku, to w przyszłym.

– Z kim wojna? – zapytałam, domyślając się odpowiedzi.

– Ba! Zapytaj raczej, z kim wojować na pewno nie będziemy. Wystarczy, że poczują naszą słabość, to już się z każdej strony mogą wrogowie ujawnić. Moskwa albo Tatarzy, jedni i drudzy uważnie nam się przyglądają. Tak samo Krzyżacy. Ale przede wszystkim Turcy, a oni trzymają nas za słabiznę, odkąd wyrwali Mołdawii Kilię i Białogród.

– Jednakże ty uważasz, mistrzu, że Turcy nie są tacy silni, jak się powszechnie sądzi?

– Ja tak uważam? – prawie się obruszył. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Tak mi się obilo o uszy – bąknęłam zmieszana. – Nie pamiętam już, przy jakiej okazji.

Nie chciałam się przyznać, że w pierwszym roku mojej u niego służby usłyszałam przypadkiem, jak o słabości Turcji przekonywał swojego gościa, którym był pełnomocnik ówczesnego króla Kazimierza przy Stolicy Apostolskiej.

– Ech, jak to mówią Polacy? – Filip uśmiechnął się gorzko. – Słowo w r ó b e l e m wylatuje, a wołem powraca. – To przysłowie wtrącił po polsku, bo poza tym trzymaliśmy się łaciny, jak zwykle, kiedy rozmawiamy w cztery oczy. – Tak, w istocie – wrócił do mojego pytania – mówiłem tak dziesięć lat temu, kiedy ciebie tu jeszcze nie było, mój młody przyjacielu. Do Wenecjan to mówiłem i do papieża. Myślałem wtedy, że uda się zbudować potężny sojusz wokół Polski. I to się mogło udać, ale cóż... – Rozłożył bezradnie ręce. – Nie udało się.

– Czyli jednak silni są Turcy? – chciałam się upewnić, że dobrze rozumiem.

– Czy silni? – Przewrócił oczami. – Potęga! Silni nie tylko własną siłą, ale też słabością innych: tym, że się wszyscy ich boją. Ale – dodał, mrużąc jedno oko, choć bez wesołości – tak sobie myślę, że Kilię i Białogród dałoby się z ich rąk odbić. Pod trzema warunkami.

– Jakimi?

– Po pierwsze: dużo wojska, i to bitnego. Po drugie, wysłać je tam trzeba po cichu, ale w krótkim czasie, zanim się Turcy połąpią i ściągną tam całą swoją mocą. Mówię ci teraz to, co wielokrotnie królowi mówiłem, ale ty nikomu nie powtarzaj, bo jak się wieść rozniesie, to się na pewno nie uda.

– A co po trzecie? – przypomniałam.

– A po trzecie, Mołdawianie muszą być z nami. Oni tam są u siebie i to im trzeba będzie oba porty przekazać, kiedy już Turków z nich wykurzamy. I gdybyśmy im, nie daj Boże, w czymś uchybili, a o to nietrudno, to marny nasz los.

– Dlaczego?

– Wierz mi, mój drogi, ja ich znam. Znam tych ludzi, znam te puszcze nieprzebyte i zdradliwe rozpadliny. Ja tam byłem! Przedzierałem się tamtędy, będąc ściganym przez wszystkich banitą, w łachmanach i nie mając co do gęby włożyć. Ja znam ten kraj od podszewki.

Na taki argument nie miałam repliki, ale coś mnie jednak w tym wszystkim niepokoiło.

– Rozumiem – odezwałam się – ale jeśli to dla Mołdawian mają Polacy odbić te dwa porty, to czy warto im będzie przelewać krew za nie swoje sprawy?

– Warto, warto – zapewnił mnie Filip, nieco już zniecierpliwionym tonem. – Dla własnego dobrze pojętego dobra. Król to wie i sam aż się

pali do takiej wyprawy. Tylko że to będzie kosztowało dużo pieniędzy.

– Aha, i dlatego dał szlachcie te wszystkie nowe prawa?

W odpowiedzi Kallimach tylko smętnie pokiwał głową.

– Więc może jednak słusznie postąpił? – zapytałam niepewnie.

– Nie, nie! – otrząsnął się. – Nie opłaci się skórka za wyprawkę. Zresztą z tego, co słyszę, niewiele w zamian uzyskał. Phy! – prychnął z pogardą.

– Pospolite ruszenie!

– To źle?

– Podatki trzeba było uchwalić! Tak wygrał jego ojciec wojnę z Krzyżakami!

Tę wojnę, w której mój ojciec stracił rękę. Ale Kallimach, rzecz jasna, o tym nie wie.

– Dzięki temu zwycięstwu mamy dziś Toruń... – dodał z nieoczekiwanym rozrzewnieniem, czym mnie, nie wiedzieć czemu, dziwnie rozdrażnił.

– Może zamiast w Toruniu siedzieć, trzeba było mistrzowi być stale przy królu i doradzać, żeby teraz nie wylewać łez nad rozlanym mlekiem – wypuściłam zatrutą strzałę.

Filip przyglądał mi się długo, bez słowa, a mnie się coraz bardziej robiło wstyd. Ale kiedy się w końcu odezwał, w jego głosie nie było wyrzutu:

– Nie mogłeś tego wiedzieć, przyjacielu, że to z rozkazu króla siedziałem beczynnie w Toruniu. A kiedy władca cię gdzieś wysyła, bez żadnej określonej misji do spełnienia, może to oznaczać tylko jedno: że nie życzy sobie widzieć cię u swego boku. Teraz dopiero, po ponad sześciu miesiącach oddalenia, wezwał mnie Olbracht do Krakowa. Oczywiście przygnałem jak na skrzydłach i od dziesięciu dni codziennie chodzę na Wawel. Nie skarżę się, przechadzki każdemu dobrze robią, ale do króla wciąż się nie dostałem. Musiałem się zadowolić pogaduszkami z Maćkiem Drzewickim, niegdyś moim sekretarzem, dziś królewskim, którego co prawda bardzo lubię, ale trudno mi znieść, kiedy ktoś na mnie patrzy, a w jego oczach widzę współczucie. Słyszysz, chłopcze? Przestań, nie pomaga mi to.

Ale co ja na to mogłam poradzić, Enneleyn, że mi się łzy cisnęły do oczu?

Odzyskałam jednak panowanie nad sobą na tyle, że mogłam Filipa zapytać, czy się może domyśla, czym się tak królowi naraził.

– Cały czas się nad tym zastanawiam. Prawda, że nie jestem nieomylny i nie wszystkie moje przewidywania się potwierdziły. Ale ja je przecież nie z układu gwiazd wysnuwam, tylko z mojej znajomości ludzi, a każdy chyba rozumie, że żaden człowiek nie jest w pełni poznawalny, ani tym bardziej przewidywalny, choćby dlatego, że jest obdarzony wolną wolą. Więc pewnie moje pomyłki tu się przyczyniły, ale nie, nie o nie tu chodziło.

– O co więc? – nie poddawałam się.

– Pamiętasz, jak zeszłego lata wysłał mnie Olbracht do Wilna?

– Tak.

– Wysłał mnie tam chyba w dobrej wierze. Ale moja nieobecność dała dostęp do królewskiego ucha pewnym ludziom, a oni natychmiast wykorzystali tę okazję, żeby króla do mnie niezyczliwie nastawić.

– Jacy ludzie?

Wymienił mi ich: to trzech bracia Kurozwęccy, bardzo możni panowie. Najpotężniejszy z nich Krzesław (czytaj jak „Kschessuaff”), mały że kanclerz królestwa, to jeszcze biskup kujawski, a z dwóch pozostałych jeden jest wojewodą sandomierskim, a drugi kasztelanem sieradzkim.

– I co zrobisz, mistrzu, żeby króla zaufanie odzyskać? – zapytałam naiwnie.

– A cóż ja mógłbym zrobić? – odrzekł, niemal rozbawiony. – Mogę tylko poczekać, aż się król na tamtych pozna. Zresztą – dodał po paru chwilach – czy ja naprawdę muszę ratować to królestwo przed upadkiem? Alboż to mi źle w domu siedzieć? Z moimi książkami i z... wami wszystkimi? Jeśli mi czegoś przez to szkoda, to tylko polskich włościan, którzy od dziś nie będą mogli wysyłać swoich dzieci do miasta ani na naukę. Gdyby czterdzieści lat temu takie prawa obowiązywały w biskupstwie Würzburga, to nasz wspólny znajomy Celtis byłby dziś niepiśmiennym oraczem. Uważasz, Georgiuszu, że to by było sprawiedliwe?

Wypowiedziawszy te słowa, wstał od stołu i poszedł do siebie tak szybko, że nie zdążyłam mu nic odpowiedzieć.

Ale, oczywiście, w myśli od razu się przychyliłam do podskórnej tezy, ukrytej za tym jego pytaniem, takiej oto, że każdy człowiek, bez względu na urodzenie czy majątek, no i płeć – nie uważasz? – winien mieć prawo do wykorzystania swych przyrodzonych zdolności i obrania sobie w życiu takiej drogi, jaka mu się wydaje najwłaściwsza. Ciebie, zważywszy na to, że co nieco o mnie wiesz, nie powinno to dziwić. Jestem zresztą zupełnie

spokojna o to, że i ty, jako moja astralna siostrzyca, jesteś gotowa się podpisać pod tym Kallimacha poglądem.

Ściskam cię mocno, i z góry uprzedzam, że nadal mam zamiar ci się naprzykrzać swoimi wynurzeniami, jak też i natrętnym dopytywaniem o twoje sprawy.

Oddałam w sobotę,
4 czerwca 1496 roku
w Krakowie.

LIST IV

Enneleyn, przyjaciółko niezastąpiona, drugi twój list, który właśnie leży przede mną i którym od tygodnia nie mogę się dość nacieszyć, doszedł do moich rąk w dniu, gdy powierzałam Fuggerom swój trzeci list do ciebie. Jeszcze go na pewno nie otrzymałaś, ale lada dzień dojdzie, tylko że, jak się domyślasz, nie mogłam się w nim jeszcze odnieść do spraw, które pisząc do mnie ostatnio, poruszyłaś, dlatego też śpieszę teraz nadrobić to opóźnienie na ile się tylko da, gdyż inaczej, obawiam się, nasza korespondencja przerodzi się z czasem w rozmowę ślepego z głuchym.

Ach, Enneleyn droga, jakże słuszne są twoje uwagi o stylu! Może zauważyłaś, czytając, co ci napisałam ostatnio (zakładam tu, że dotrze to do ciebie niezawodnie), że ja sama dałam już sobie spokój z tymi wszystkimi wytwornymi formułkami zalecanymi przez rozmaitych mądraków. „Ech, och i ach, rotmistrzanka Gredechin Specht wielce szacownej majstrowej Enneleyn Pfeiffer z pokorą do nóg pada, jej szpiczastych bucików woń szlachetną z lubością w nozdrza zasysając!” Skoro tobie, jak mówisz, nie jest to potrzebne ani trochę, to mnie jeszcze mniej. No, może, czy ja wiem, byłoby to dobre, gdybyśmy do siebie po łacinie pisały, bo wtedy sam język by po trosze narzucał ton podniosły, nie taki, jakim się zwyczajnie rozmawia, ale jeśli mamy w tych listach odnawiać naszą dawną zażyłość, mówmy w nich raczej do siebie tak samo jak kiedyś. Tym bardziej że przy takim nawale obowiązków, jaki każda z nas ma na głowie, trzeba nam obu pisać szybko, bez roztkliwiania się nad każdym zdaniem, żeby zdążyć list oddać przed odjazdem kolejnej poczty.

Od razu ci więc powiem, że uśmiełam się do łez, czytając o twoim spotkaniu z Celtisem na Fischergasse, i to akurat przy kramie Hummlowej! Trzeba mieć nadzieję, że mieszki, którymi tam ona handluje, nie wydały mu się dziwnie znajome – to by dopiero było! I jeszcze

powiadasz, że pytał o mnie? Do diabła, czy on się aby czegoś nie domyśla? A może nawet, kto wie, dawno odgadł wszystko – w końcu na bystrości mu nie zbywa – i tylko przyglądając się moim wybiegom, najpierw z bliska – oj, z bardzo bliska! – a teraz z daleka, ma z tego przez cały czas najprzedniejszą zabawę.

Dało mi do myślenia zwłaszcza to, co ci opowiadał o owej Roswicie z Gandersheim. Kobieta poetka sprzed pięciu stuleci, i to, jak on twierdzi, poetka nie byle jaka, której odkryciem dla świata się szczyli – czy nie było w tym ukrytego przesłania skierowanego do ciebie i do mnie? Że jego zdaniem umysł kobiecy może kryć te same bogactwa co męski, a czasem nawet większe, dlatego też możemy obie liczyć na jego ciche wsparcie? Jeśli więc dobrze się domyślam, niech mu będą wybaczone wszystkie inne grzechy, a zwłaszcza to, że przed trzema laty przewodził haniebnemu atakowi naszych łacinników na humanistów włoskich. Niech się nie łudzi, że my tu w Krakowie nic nie wiemy, jak to, spici winem w pewnej ratyzbońskiej piwnicy, prześcigali się w układaniu paskudnych wierszyków, w których wymyślali Włochom, że jakoby lubują się we wsadzaniu sobie wzajem członków w tyłki i zlizywaniu z nich następnie mazi, którą stamtąd wygarną. Jeśliby cię zemdliło od czytania o takich obrzydlistwach, żale kieruj nie do mnie, tylko do Celtisa, bo to on je rozgłasza, nie ja – on i jego kompani. Miejmy nadzieję, że nie kładzie teraz takich rzeczy do głowy synom księcia elektora Filipa jako ich preceptor.

Skoro już przy tych sprawach jesteśmy, to bardzo się cieszę, żeś się nie pośpieszyła z potępieniem Kallimacha za jego młodzieńcze swawole. Widzę stąd wyraźnie, że lata krzątania przy dzieciach i gospodarstwie nie zaćmiły ci tego trzeźwego osądu świata i ludzi, który w tobie tak bardzo zawsze podziwiałam. Idę o zakład, że gdybyśmy się teraz ni stąd, ni zowąd znalazły w jednym miejscu, mogłybyśmy bez żadnych wstępów rozmawiać ze sobą tak samo żywo i swobodnie, jak gdybyśmy się zaledwie wczoraj rozstały. A przecież zwykle, jak mi się zdaje, więcej mają sobie przyjaciele do powiedzenia wtedy, gdy się dopiero co widzieli, niż po długiej rozłące, w czasie której przydarzyło im się wiele rzeczy, jakimi by się podzielić mogli – chociaż na zdrowy rozum powinno być odwrotnie.

Wracając jeszcze do Celtisa, całkiem możliwe, że jeśli idzie o te sprawy, to on dlatego taki krzyk podnosi, żeby własne grzeszki zakrzyczeć. Tak

przynajmniej uważają tu w Krakowie. Kallimach zabiera mnie czasem ze sobą na zebrania tego, co zostało z Nadwiślańskiej Sodalicji Literackiej, którą tu Celtis przed siedmiu laty z wielkim szumem utworzył, by po kilku miesiącach wyjechać do Wiednia i tam znowu podobną zakładać, a potem jeszcze w Moguncji i, zdaje się, też w Heidelbergu – wiesz coś o tym? W każdym razie ci, co do tutejszej jego konfraterni należeli, spotykają się nadal w każdy poniedziałek na wieczery u księdza Heydeckego, a jak już sobie podjedzą, przenoszą się zwykle całą gromadką do piwnicy pod ratuszem, gdzie można się napić piwa świdnickiego, lepszego od tutejszych. I nieraz przy tym słyszałam, jak sobie dworowali z Celtisowych elegii o miłości do jakiejś rzekomej krakowianki imieniem Hasilina (nie ma takiego polskiego imienia, możesz mi wierzyć), bo dla nich wszystkich było jasne, że to tylko maskarada, podobna w gruncie rzeczy do tej mojej, z tą różnicą, że ja kobietę w sobie ukrywam pod postacią młodzieńca, a on na odwrót, smukłego efeba (a może zwalistego draba?) przedstawia jako kobietę z bujną piersią. (Ma się rozumieć, nikt tam takiej paraleli nie przeprowadzał – to tylko ja się nią tu posłużyłam, na twój wyłącznie użytek – jako że nikt, mam tę nadzieję, nawet nie podejrzewa, że mogę nie być tym, za kogo się podaję). Kiedy więc oni sobie tak z Celtisa na wypródki pokpiwali, ja milczałam – raz, że każdy tam wiedział o moich ponad dwuletnich z nim peregrynacjach, a dwa, że mając przez tak długi czas okazję przyglądać mu się z bliska, nigdy nic takiego, co by mogło potwierdzać owych żartów trafność, nie spostrzegłam. Chyba że byłam gapa, co jest oczywiście całkiem możliwe.

W odróżnieniu ode mnie Kallimach bez litości jeździł sobie po Celtisie jak po łysej kobyle, nie zważając na ich dawną przyjaźń. Tu go jednak rozumiem, bo przecież to, co tamten plótł w Ratyzbonie, było dla Filipa jak nóż w plecy. Pamiętam, że kiedyśmy wracali wówczas z Rynku na Kanoniczą – było to z górą dwa lata temu, gdzieś na wiosnę 1494 roku – zapytałam go, czy jego zdaniem owa opiewana przez Celtisa Hasilina istotnie mogła być mężczyzną.

– Mogła być mężczyzną, tego nie wiem – odrzekł mi na to – ale też mogło jej nie być wcale. Dla Celtisa temat do wiersza jest ważniejszy od prawdy. Pamiętasz, jak napisał, że Kraków tonie w błocie?

To prawda, tak napisał; i nieprawda, bo błota tu wcale nie ma tak dużo. W Heidelbergu na moje oko jest go znacznie więcej.

– A zresztą – niespodziewanie podjął Kallimach po upływie pół pacierza – gdyby nawet zamiast dziewczyn wielbił chłopców, nic by przecież w tym złego nie było.

– Jak to? – zdziwiłam się szczerze. – Toż nawet w Piśmie Świętym powiedziane jest...

– Owszem, ale tylko w Starym Testamencie! – wszedł mi w słowo. – W Ewangelii już nic takiego nie znajdziesz. Przeciwnie... – zaczerpnął tchu, a ja skorzystałam z okazji, żeby teraz z kolei jemu nie pozwolić dokończyć, wtrącając pośpiesznie:

– Ależ powiada pan Jezus: Hos ean un lyse mian ton entolon, tuton ton elachiston...

Czyli zdążyłam wypowiedzieć: „Ktokolwiek więc zniósłby jedno z tych przykazań, choćby najmniejszych...” – kiedy Filip znów mi przerwał.

– Zgoda, tak powiada – przyznał. – Ale czy my w naszych ubiorach nie łączymy lnu z wełną, mimo iż Piąta Księga Mojżeszowa stanowczo tego zabrania? Albo czy, co zaraz potem też księga nakazuje, kamienujemy dziewczynę, której zdarzyło się przed zamążpójściem stracić wianek? Chyba tego nie robimy, czy może się mylę? A skoro tak jest, to przyznasz chyba, że nie wszystko, co tam jest zapisane, dziś nas jednakowo obowiązuje.

– Powiedziałbym raczej, że nie wszystkiego z należytą pilnością przestrzegamy – upierałam się na przekór własnemu przekonaniu.

– Można to i tak nazwać – zgodził się chętnie. – Tak czy owak, Bogu niech będzie za to chwała. Zresztą z tego, co wiem, nawet sami Żydzi już dawno zarzucili kamienowanie tych nieszczęsnych dziewcząt.

To, że Żydzi są naprawdę całkiem inni, niż się o nich myśli, wiedziałam już wówczas od ponad sześciu lat, o czym ci zaraz napiszę, ale zanim się cofnę do początków mojej z nimi znajomości, chcę ci wpierw opowiedzieć o czymś, co się ich właśnie tyczy, a nas tu ostatnio bardzo żywo poruszyło.

Zdarzyło się to przed trzema dniami, w Boże Ciało, tyle że ja nie miałam wówczas o tym pojęcia, jako że niemal cały ten dzień spędziłam przy pulpicie, kończąc mój poprzedni list do ciebie. Dopiero wczoraj, w sobotę, po tym jak go już wysłałam, doszły mnie o czwartkowych wydarzeniach w mieście pierwsze słuchy. Schodziłam właśnie na dół, żeby zasiąść do wieczornego posiłku, który w ciepłe dni, o ile nie pada,

spożywamy na wewnętrznym dziedzińcu, kiedy dosłyszałam, jak Dorota, nasza kucharka, trzaskając garami, wymyśla woźnicy Marcinowi.

– Wolałabym ci podać kawał twojego tłustego cielska! – warczała, posuwając ku niemu miskę po blasze tak gwałtownie, że ta mało nie poleciała na posadzkę. – Niechbyś sam siebie zżerał!

Zatrzymałam się mimowolnie na te słowa i taką usłyszałam na nie odpowiedź Marcina:

– No czego, czego? Żeśmy się z Szymkiem za Panem Jezusem umęczonym ujęli, ci się nie podoba? Tak? To ja ci teraz powiem, że nam to obu na Sądzie Ostatecznym Pan Bóg za zasługę policzy, a ciebie, głupia babo, za to, że nam urągasz, na potępienie skáže!

– A tobie skąd wiedzieć, co jak Pan Bóg liczyć będzie! – wtrąciła się do sporu, niosąc wazę zupy, dziewczka kuchenna Kasia. – Grzech takie rzeczy wygadywać! – dodała, wznosząc oczy ku niebu, i pewnie by się przeżegnała, gdyby obu rąk nie miała zajętych.

– Mnie nie wierzysz, to zapytaj jutro księdza przy spowiedzi – rzucił za nią woźnica, szczerząc zęby w uśmiechu.

Wtedy ze schodów usłyszeliśmy głos Filipa.

– Co tam, słyszę, dysputa teologiczna? – Schodził, wiążąc jeszcze na sobie troczki koszuli, widać świeżo zmienionej. – Mogę włączyć się? Jeśli nie tajemnica?

– Bo to, proszę łaski jegomości – kucharka wystąpiła do przodu, bezwiednie wycierając w zapaskę nóż do krojenia pieczeni – jakeśmy wszyscy przedwczoraj poszli z procesją tam do Kazimierza... prawda, nie wszyscy, bo Tigraszka i Eudokii nie było z nami, że niby oni innej wiary są...

– My tejże samej wiary, tylko Kościołów różnych – sprostowała z godnością pokojowa Eudokia, prawosławna Rusinka. Tigran zaś, stajenny, muszę to wyjaśnić, jest Ormianinem, a oni też mają swój własny Kościół.

– A więc wszyscy oprócz Eudokii i Tigraszka szliście do Kazimierza – podjął Kallimach, zwracając się znów do Doroty. – I co? Się wydarzyło coś tam? – zapytał powoli, jakby układał sobie w głowie polskie słowa.

– Ano, wydarzyło się! – wypaliła kucharka, czerwona ze złości. – Marcin z Szymkiem brukowce z ulicy wyrwane ludziom w okna ciskali!

– Nie w okna, tylko w okiennice! – zaperzył się na to stajenny Szymek.

– I nie ludziom, a Żydkom! – wsparł go Marcin.

Tu wtrąciła się milcząca dotąd Agnieszka, mówiąc:

– I czemu ty, Dorota, robisz zaraz z igły widły? Parę kamulców, wielka mi rzecz. Inni tam przecie nie w okiennice, a w samych gudłajów ciskali.

– A jeszcze ganiłi za nimi po uliczkach! – dorzuciła Kasia. – A jak którego dopadli, to drzewcami od feretronów zdrowo tłukli!

– Ale na śmierć przecie nikogo nie zatłukli – zaznaczyła Agnieszka.

– Na śmierć nie, ale podobno komuś oko wybili – przypomniała sobie Kasia. – I jakiemuś chłopcu palce prawej ręki tak podruzgotali, że mu je potem musiał cyrulik uciąć.

– No, ludzie kochani! – wykrzyknęła Dorota, załamując ręce. – Żeby takie bezceństwa przy święcie wyprawiać! Tu dziewczątka komunijne w białych sukienkach kwiaty wokół sypią, a tym się jak raz łobuzerki zachciewa!

Po tych kucharki słowach nasza dorodna gospodyni uznała za stosowne nieco się wycofać z zajętego uprzednio stanowiska.

– A czy ja mówię, że to dobrze? Nie, ja tego nie mówię – zastrzegła solennie. – Ale też trzeba chłopaków zrozumieć. Idą za monstrancją z żywym ciałem Chrystusa, nad jego męką dumają, a tu im Żydy bezczelnie pchają się przed oczy! Gdzie nie spojrzysz, tam żydowski dom się buduje, z tymi ichnimi diabelskimi amuletami w odrzwiach, żydowska gęba ci się wykrzywia z za każdego rogu albo z za okiennicy, żydowskie kramy jeden przy drugim, stolarnie, jatki, piekarnie, wszystko żydowskie! Przecie nie z innego powodu budują się wedle naszego kościoła, jak tylko po to, żeby się z nas, chrześcijan, naigrawać.

– I tobie, Dorota, nie trzeba się nad nimi uzalać – wsparła Agnieszkę Eudokia, unosząc palec pouczającym gestem. – Oni mają za swoje!

– Tak jest! – przyłączył się Tigraszek. – Za Pana Jezusa krzywdy i nasze!

Tu rozległ się łoskot zrzucanego do skrzyni stosu świeżo narąbanych polan, a sprawca tego hałasu, Jakub, w powstałej ciszy niespodziewanie zabrał głos.

– Ja tam, powiem wam, do Żydów nic nie mam – oznajmił. – Jak mi, dajmy na to, nowych butów trzeba albo stare naprawić, zawsze wolę pójść z tym do ichniego szewca niż do naszego, bo i taniej będzie zrobione, i lepiej.

Tak się składa, że wiedziałam, którego dokładnie żydowskiego szewca miał Jakub na myśli, i zaraz się z tobą tą wiedzą podzielę, jednak gwoli

utrzymania w mojej opowieści jakiegoś porządku, muszę cię w tym względzie prosić o jeszcze odrobinę cierpliwości. Swoją drogą, opisując ostatnią wymianę zdań, uświadomiłam sobie, że może powinnam była ci najpierw przybliżyć pewne okoliczności, których ona dotyczyła. Otóż trzeba ci wiedzieć, że jeden z okazalszych tutejszych kościołów, wielką czcią otaczany, nosi imię Bożego Ciała. Właściwie to stoi on nie w samym Krakowie, a w Kazimierzu, mieście odrębnym, ale tak ściśle do Krakowa przylegającym, że gdyby nie odnoga Wisły, która je oddziela, oba miasta dawno już by się zrosły w jedno. I, jak się możesz łatwo domyślać, w Boże Ciało krakowianie chodzą z procesją właśnie tam, za wodę, do Kazimierza, do kościoła temuż świętu dedykowanego. Tak tu się przyjęło od niepamiętnych czasów, i tak też było w tym roku.

Po tych wyjaśnieniach wracam więc do naszej utarczki. Do tej pory każdy z domowników był się wypowiedział – oprócz mnie. Nie uszło to uwagi Kallimacha.

– A ty, Georgiuszu, co powiesz? – zapytał mnie wprost.

Nie widziałam powodu, żeby ukrywać swoje zdanie.

– Na procesję wprawdzie się nie wybrałem, mając pilny list do napisania – przyznałam – ale o Żydach myślę podobnie jak Jakub. Są to, według mnie, ludzie tacy sami jak wszyscy inni.

– No, nie... – już chciał zaprotestować Tigraszek, ale Filip uciszył go gestem i nie podnosząc głosu, poprosił, abyśmy wszyscy przeszli na dwór i zajęli miejsca przy rozstawionych tam dwóch stołach, gdyż ma nam coś do powiedzenia. A gdyśmy już usiedli, przemówił w te słowa:

– Wiecie dobrze, że pozwalam zawsze moim domownikom myśleć, co im się żywnie podoba, i mówić wszystko, co im leży na sercu. Nie zważam też na to, jaką wiarę wyznajecie ani w jakim obrządku. Ani nawet co myślicie o moich poezjach i innych moich dziwactwach.

Rozległo się kilka stłumionych śmiechów. On tymczasem, zadumawszy się przez chwilę, podjął z nieoczekiwaną powagą:

– Byłem przekonany, że wiecie, skąd się w tym roku tylu Żydów wzięło w Kazimierzu. Przecież to ci sami, którzy jeszcze rok temu tu, w Krakowie, mieszkali, wzdłuż Szpiglarskiej ulicy. Dziś już ich tam wcale nie ma, już się tam coraz śmieiej chrześcijanie wprowadzają. A wiecie d l a c z e g o ż e?

Nikt z nas tego nie wiedział.

– D l a c z e g o ż e dwa lata temu król Olbracht dekretem nadzwyczajnym nakazał Żydom tutejszym do końca minionego roku przenieść się do Kazimierza. Nawet im tam parcele nadał, żeby sobie domy budowali. Oni – dokończył z naciskiem – nie są tam z własnego wyboru.

Mogę sobie wyobrazić, jak Filip, nie wiedząc po co odesłany zawczasu do Torunia, musiał się wściec na wieść o tym dekrete, skoro wcześniej, kiedy tu wybuchł przeciw Izraelitom wielki tumult, usilnie próbował powstrzymać króla przed uleganiem w tej sprawie żądaniom rozjuszonych mieszczan, przekonując, by raczej zostawił Żydów w spokoju. Przez to właśnie burmistrz Thurzon powziął ku niemu nienawiść, a i kardynałowi prymasowi, bratu królewskiemu – też przeciw swojemu wychowankowi – mocno się tym Kallimach naraził.

Teraz, wszystkich nas oświeciwszy co do przyczyn obecności Żydów w bliskości procesji, zwrócił się raptem Filip ostrym tonem do woźnicy:

– Marcinie! Tego, żeście obaj z Szymkiem roztrzaskiwali Żydom okiennice, pochwalić w żadnym razie nie mogę.

Jego twarz, zawsze tak łagodna, w tamtej chwili stężała na kamień i tylko nozdrza poruszały się w niej gniewnie jak u spłoszonego konia.

– Wstyd mam od was! – prawie ryknął.

Wyglądał strasznie, z czerwonymi plamami na policzkach, zaciśniętymi ustami, oczami zwężonymi nagle jak u polującego kota, i tymi chrapami rozdętymi, przez które raz po raz z szumem wypuszczał powietrze. Dopiero po dłuższej chwili znów przemówił, już o wiele spokojniej:

– Kto popełnia napaści na niewinne osoby, nie ma miejsca w moim domu dla niego. Ale – dodał po chwili – nie sądzę, że to zdarzy się znów. Prawda?

Obaj winowajcy skinęli pokornie głowami, choć widać było, że czują się niesprawiedliwie osądzeni.

– I dobrze – rzekł Filip.

Wydawało się, że na tym sprawa się zakończy, ale on miał jeszcze coś do powiedzenia drugiemu ze stajennych.

– Tigranie – zwrócił się do niego – mówiłeś o jakichś krzywdach od Żydów doznanych. Cóż ci oni takiego zrobili?

– Mnie? – uśmiechnął się Ormianin. – Mnie na szczęście nic, ale znam takich, których zdrowo oszwabili.

– Oszwabili... – powtórzył Kallimach, smakując to polskie słowo, o s z w a b i ć, znaczące tyle co nasze betrügen albo täuschen, i przelotnie, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, zerknął na mnie. – A to wszyscy Żydzi ich oszwabili czy tylko niektórzy?

– Niby to niektórzy – przyznał Tigraszek – ale przecież wiadomo, że u nich za każdym jednym łupieżcą cały kahał stoi.

– Wiadomo? – To pytanie Filip skierował do Eudokii. – Wiadomo? Skąd wiadomo?

Pokojowa podniosła dumnie brodę.

– Wiadomo, bo wszyscy to wiedzą, proszę łaski pana – odrzekła spokojnie, patrząc mu prosto w oczy. – Może jegomość spytać, kogo chce.

– Wszyscy wiedzą! – powtórzył za nią rozdrażniony. – Wszyscy mówią! A wiesz ty, co wszyscy mówią o rusińskich pannach?

– Co niby? – nastroszyła się.

Machnął ręką.

– Lepiej ci nie wiedzieć. I na ten sam sposób – Kallimach skłonił się w stronę Tigraszka – wszyscy wiedzą różne rzeczy o Ormianach. Na przykład że Ormianin może o s z w a b i ć nawet Żyda. Nie wiedzą tego wszyscy?

Z szelmowskim błyskiem w oku powiódł wzrokiem po pozostałych, a ci ze śmiechem zaczęli mu głośno przytakiwać.

– Co prawda, to prawda – wołali jedno przez drugie. – Tak mówią! I racja w tym jest!

Aż nawet Tigraszek się roześmiał, mówiąc:

– No, nie będę się wypierał. Umiemy my, kiedy trzeba, każdego w pole wyprowadzić.

Filip niespodziewanie posmutniał i gdy się uciszyło, rzekł:

– O tym wszystkim jeszcze porozmawiamy – dodał, ukrawając sobie kawał chleba na znak, że odprawa skończona. – Porozmawiamy, ale nie dziś.



Wracam teraz do mojego listu do ciebie po dwóch dniach. W niedzielę musiałam przerwać, kiedy się na dobre ściemniło, bo bardzo rozbolały mnie oczy od pisania przy marnym świetle świeczki – niby to woskowej, ale nacięłam się fatalnie przy zakupie całego mendla. Nie wiem, czy to

wina wosku, czy knotów, dość że wszystkie ledwo co świecą, a dym z nich w oczy gryzie, choć komarów nie odpędza. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie dam się tak mydlarzowi oszwabić. Nie zdążyłam kupić lepszych świec wczoraj, bo mnie zaraz po zajęciach zabrał Filip na zebranie poceltisowej sodalicii, skąd wracaliśmy we dwoje późną nocą nie najprostszą drogą, bo trzeba nam było ze sobą pogadać, o czym ci zaraz opowiem.

Wpierw jednak, tak jak obiecywałam, muszę ci zdać sprawę, jakim sposobem udało mi się wybrnąć z mego kłopotu z kąpielami. A stawał się on coraz bardziej palący, w miarę jak miało się ku końcowi moje pierwsze lato w Krakowie, gdyż było wiadomo, że woda w tej rzeczce, o której ci wspominałam, będzie się z tygodnia na tydzień ochładzała, a nadto coraz krótsze dni zapowiadały, że najdalej w listopadzie zajęcia w Akademii będą się kończyć po zmroku, co by znaczyło, że będę musiała docierać na moje upatrzone miejsce po ciemku i w ciemności się tam kąpać, a wtedy łatwo utonąć, jak nie w samej wodzie, to w otaczających ją błotach, noszących dziwaczną nazwę Żabi Kruk, czyli Fröschenrabe. Mogłoby się poza tym zdarzyć, że nie zdążyłabym wrócić do miasta przed zamknięciem bram – słowem, miałam tysiąc powodów, by woleć się kąpać, jak wszyscy przyzwoici krakowianie, w łaźni. Tylko jak to zrobić – głowiłam się – będąc kobietą w męskim przebraniu? W łaźniach tutejszych, tak samo jak u nas, kobiety mają osobną szatnię, ale przecież wiedziałam, że mnie do niej nie wpuszczą. A nawet gdybym jakimś cudem się tam dostała i rozebrała bez przeszkód, to w końcu nieuchronnie trafię w kąpieli na jakąś poczciwą niewiastę, która mnie zna jako młodzieńca. Kraków jest, owszem, sporym miastem, ale nie aż tak wielkim, żeby się wszyscy mieszkańcy mniej więcej nie znali z widzenia. Najgorsze, że kilka razy namawiał mnie mój pryncypał, bym się z nim razem do łaźni wybrała, co w ogóle w Krakowie poczytuje się za gest uprzejmości, a nawet jest tu przyjęte, że służba ma prawo się kąpać na koszt swego pana. W końcu wytłumaczyłam się, że do łaźni chodzić nie mogę, bo w niej mdleję od żaru i duchoty, ale że staram się innymi sposobami dbać o czystość. Wyglądało na to, że przyjął moje tłumaczenie do wiadomości, lecz odtąd tym pilniej musiałam uważać, by czasem cuchnącym brudem nie zarosnąć, co bez częstych kąpeli łatwo zdarzyć się może.

Na pomysł rozwiązania tego dylematu naprowadził mnie nieświadomie sam Kallimach, wspominając, nie pamiętam już przy jakiej okazji, że

jeden z budynków Akademii, w którym można się na ścianie szczytowej dopatrzeć resztek skutych hebrajskich liter, był kiedyś łaźnią żydowską. Bo trzeba ci wiedzieć, że cała ulica Żydowska, wzdłuż której ciągną się zabudowania naszego uniwersytetu, jeszcze trzydzieści lat temu była naprawdę żydowska, i właśnie żeby zrobić więcej miejsca dla uczelni, król Kazimierz Żydów przesiedlił stamtąd na Szpiłgarską, na północ od Rynku, gdzie odtąd, aż do pozaprzeszłego roku, żyli sobie Izraelici bez większych przeszkód. Chodziłam nieraz na tę Szpiłgarską, bo chociaż w Krakowie obowiązuje prawo surowo zakazujące Żydom imania się handlu albo rzemiosła, to przecież gdy są pewni, że nikt nie widzi, chętnie sprzedają zaufanym klientom spod lady rozmaite towary, trzymane tam niby na własny użytek. Prędko się na tym poznałam, tak jak prawie każdy w Krakowie, że najbardziej się opłaca u Żydów kupować, chociaż niby nikt o tym nie wie, bo kiedy rajcy posyłają na Szpiłgarską strażę dla sprawdzenia, czy zakaz jest przestrzegany, okazuje się, że żaden chrześcijan nic tam nie kupuje, tylko się wybrał na przechadzkę. Ja, prawdę mówiąc, rzeczywiście lubiłam się włóczyć po tej ulicy bez celu, przyglądając się Żydom i podpatrując ich zwyczaje. Przysłuchiwałam się też ich rozmowom, co było dla mnie o tyle łatwe, że ich odmiana niemczyzny jest bardzo zbliżona do naszej, chociaż gęsto przetykana słowami hebrajskimi, zwykle zresztą powykręcany na górnoniemiecką modłę.

Mogłam się na tym już wtedy poznać, bo Celtis w drugim roku naszej wspólnej włóczędzy udzielił mi początków hebrajskiego na tyle, na ile sam je zdążył być posiąść jeszcze w Heidelbergu, gdzie razem z Rudolfem Agricolą pobierali lekcje u jakiegoś uczonego rabina z Wormacji, a później we Włoszech, gdzie przy każdej okazji się u Żydów tamtejszych douczał. Poznałam więc od niego słów hebrajskich może sto, może trochę więcej (albo trochę mniej), i nauczyłam się odczytywać żydowskie inskrypcje – chociaż nie do końca, bo sama znajomość liter do tego nie wystarcza, ale powiedzmy, że w jakiejś mierze radziłam sobie z tym już wtedy.

Oprócz tego wiele się też w tamtych czasach od Celtisa dowiedziałam o Żydach innych rzeczy, które potem okazały się dla mnie przydatne, zwłaszcza o losach wspólnot izraelskich w naszych stronach w ciągu minionych stu lat – a to dzięki niekończącym się wywodom, które miał on zwyczaj wygłaszać z siodła dla urozmaicenia monotonii wielogodzinnych

przejazdów. Musiałam tylko z czasem nauczyć się oddzielać w swoim umyśle przytaczane przez naszego poetę laureata rzeczywiste zdarzenia, bardzo ciekawe i pouczające, od ocen, którymi on je opatrywał, a które wynikały z jego wrogiego w gruncie rzeczy do Żydów podejścia.

Kiedy więc Kallimach wspomniał coś o żydowskiej łaźni, zaświtała mi raptem pewna myśl, zupełnie szalona, ale przecież znasz moją skłonność do zuchwalstwa. Nosiłam się z tą myślą potem wiele dni, rozważając na przemian jej mocne i słabe strony, a zarazem szykując się po trosze do wprowadzenia jej w czyn. Aż wreszcie pewnego deszczowego piątku narzuciłam na ramiona obszerną sukienną opończę, na głowę przepastny kaptur i, szczelnie tym strojem okryta, wybrałam się na Szpiglarską. Ulica już pustoszała w zapadającym z wolna zmroku, i tylko jeszcze przed piekarnią stało w deszczu kilka kobiet dźwigających na ramieniu szczelnie zamknięte garnce, które kolejno podawały piekarzowej, by je wstawiła do pieca. Piekarz, jej mąż, musiał już być w tym czasie w stojącej nieopodal synagodze i szykować się do powitania sabatu. I ja, twoja Gredechin, z bijącym sercem skierowałam się właśnie tam. Stanąwszy przed tym przysadzistym, pobielonym budynkiem z dwuspadowym dachem, dla niewprawnego oka wyglądającym na jakąś większą gospodę, przez chwilę jeszcze przestępowałam z nogi na nogę, by w końcu, omijając główne wejście opatrzone kolumnowym gankiem, wstąpić na przylegające do bocznej ściany ciemne, strome schody kryte prostą, drewnianą budą z jedynym otworem okiennym u szczytu, prowadzące, jak odgadłam, na babiniec, czyli miejsce dla kobiet, o którego istnieniu słyszałam od Celtisa. Dotarłam po tych schodach do niewielkiego przedsionka, skąd wchodziło się na korytarz biegnący wzdłuż trzech ścian budynku, z wybitymi od wewnętrznej strony niewielkimi okienkami, przez które można było zobaczyć kawałek głównej nawy ze zgromadzonymi w niej mężczyznami i usłyszeć ich śpiewy. Ten korytarz to był właśnie ów osławiony babiniec. Kobiety w różnym wieku – było ich tam nie więcej jak tuzin – stały przy tych okienkach z otwartymi modlitewnikami w rękach i kołysząc się miarowo na prawo i lewo, coś z nich bezgłośnie, samymi wargami, recytowały. Uwolniłam się od namokłego płaszcza, jak też i kaptura, przewieszając je przez belkę obok okryć innych kobiet, i po raz pierwszy wówczas od dwóch i pół roku ukazałam się światu w swej prawdziwej postaci.

Miałam na sobie suknię wierzchnią z tafty śliwkowego koloru, kupioną za śmieszne pieniądze za murami miasta od wędrownego wołoskiego kramarza. U góry była ta suknia dobrze dopasowana, i tuż pod moją skąpą piersią przewiązana pasem na dłoń szerokim, z piaskowego brokatu przetykanego miedzianą nicią układającą się w fantazyjne liście. Niżej stanu tafta opadała na pozór zupełnie swobodnie, a w istocie misternie ułożonymi fałdami, tu i ówdzie podtrzymanymi niewidocznym szwem. Możesz sobie wyobrazić, jak się w tym prezentowałam, a żeby twoje wyobrażenie było pełniejsze, trzeba ci jeszcze do niego dodać owalne wycięcie pod szyją, niezbyt, rzecz jasna, głębokie, za to obrębione, podobnie jak i mankiety rękawów, czterema rzędami w miódz oprawnych drobnutkich kryształków górskich!

Och, Enneleyn, nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, jaką sobie sprawiłam radość, mogąc się po raz pierwszy od ponad dwóch lat wystroić i pięknie wyglądać. Nie mówiąc już o tym, jaką ulgą był dla mnie prawie już zapomniany powiew fałd materii na nogach, nieskrępowanych obcisłymi nogawicami, i to, że lędźwie miałam wreszcie spowite tylko w lekkie płócienne gatki, wolne od tego skórzanego trzeciego buta i wpijających się w pachwiny rzemyków. Wyznam ci, że męski strój, niezastąpiony przy jeździe konnej, we wszystkich innych okolicznościach zdaje mi się stworzony jedynie dla udręczenia ciała. Ale cóż, to jest cena, którą muszę płacić za urzeczywistnienie moich marzeń.

Rozgadałam się o strojach, a miałam ci przecież opowiedzieć, jak tam było w synagodze. Otóż rozejrzawszy się nieznacznie po babińcu, dostrzegłam równo ułożony na skrzyni koło wejścia stos cienkich modlitewników w płóciennej oprawie, takich samych, z jakich korzystały wszystkie obecne tam kobiety. Śmiało wzięłam sobie jeden, ustawiłam się przy jednym z wolnych okienek i zaczęłam go pośpiesznie wertować w nadziei, że jakoś odnajdę dobiegające z dołu wersety. Okazało się to jednak trudniejsze, niż się spodziewałam, choćby dlatego, że kantor to intonował coś, dowolnie skracając lub wydłużając sylaby, to znów milkł na dłużej – jak się domyśliłam, po to, żeby dać innym czas na odczytanie jakiegoś dłuższego ustępu po cichu – i potem znowu ni stąd, ni zowąd jego dźwięczny głos wznosił się zakolami pod sklepienie, wyśpiewując kolejny werset, którego w żaden sposób nie mogłam w mojej książeczce odnaleźć. Nie dawałam jednak za wygraną i pośpiesznie przewracałam stronicę tam i z powrotem w pogoni za choćby jednym z usłyszanych

dopiero co hebrajskich słów, kiedy coś mi kazało obejrzeć się przez ramię. Aż się wzdrygnęłam na widok młodej Żydówki, która w tej właśnie chwili stawiała ostatni krok, by zatrzymać się tuż przy mnie, tak blisko, że widziałam wyraźnie ciemne plamki na jej jasnozielonych tęczęwkach i maleńki strzępek skóry odstający od spieczonych warg. Dziewczyna była mniej więcej w naszym wieku, a jej nader wydatny, krogulczy nos ani trochę nie zakłócał harmonijnych rysów jej twarzy, rozświetlonych przyjaznym uśmiechem i spojrzeniem pełnym bystrości. Położyła palec na ustach, po czym bez dalszych wstępów zajrzała mi przez ramię w modlitewnik, przewróciła w nim kilka kartek i z miłym uśmiechem wskazała bieżący werset. W podzięcie uśmiechnęłam się również i powróciłam do śledzenia tekstu, próbując zgadnąć, w którym miejscu kantor znowu się odezwie. Spodziewałam się, że Żydówka wycofa się teraz do swojego okienka, ale ona pozostała przy mnie, przechylając głowę to w prawo, to w lewo, jak polny kwiatek na wietrze, i zdaje się, że te jej ruchy zaczęły mi się bezwiednie udzielać, chociaż, rzecz jasna, nie czytałam w myśli tak płynnie, żeby sama lektura skłaniała mnie do kołysania się w jej takt. Prawdę mówiąc, raczej udawałam, że czytam, niż czytałam. Za każdym razem, kiedy z dołu na nowo rozbrzmiewał śpiew, wymienialiśmy z moją sąsiadką przyjazne spojrzenia, przy czym w moim można było widocznie wyczytać zagubienie i niepewność, gdyż ona, wciąż z tym swoim miłym uśmiechem, sama z siebie wskazywała mi odpowiednie fragmenty. Niektóre inne jej ruchy naśladowałam świadomie – zakrywałam oczy ramieniem przy słowach Szma Isroel, ukradkiem podglądając, czy już można je odsłonić, a gdy na dole kantor, triumfalnie górując nad zgiełkiem mniej wprawnych męskich głosów, zaintonował skocznie Adojn ojlom, najpierw wraz z wszystkimi kobietami klaskałam do taktu, a potem puściłam się z nimi w płasy, przemierzając w tanecznym korowodzie cały babiniec, od jednego końca do drugiego. Przez okienka widziałam, że na dole mężczyźni tańczyli podobnie jak my.

Gdy się to skończyło, przewodniczka moja, wciąż jeszcze zdyszana i zarumieniona na twarzy, uściskała mnie serdecznie, życząc mi dobrego sabatu (oni to słowo wymawiają „szabos”, albo czasem „szabes”), a po niej wyściskało mnie jeszcze kilka innych kobiet, które się akurat napatoczyły w pobliżu; zresztą wszystkie tam ścisnęły się nawzajem, wygłaszając przy tym tę samą formułkę. Powiesz może, że brakowało tylko ogniska i kotła z ropuchami, no i żebyśmy wszystkie były gołe, ale

cierpliwości, o tym będzie dalej, chociaż raczej obędzie się bez swądu siarki – na to się nie nastawiaj.

Kiedyśmy zabierały z belki nasze okrycia, wciąż jeszcze ciężkie od wilgoci, moja przewodniczka przedstawiła mi się z imienia – Chanka. Ja na to podałam jej swoje imię, uprzednio obmyślane, Hinde. Chanka zaczęła mnie wypytywać, od jak dawna jestem w Krakowie i skąd pochodzę, na co odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że pochodzę z Heidelbergu, a do Krakowa przybyłam przed pięcioma miesiącami.

– Co robi twój mąż? – spytała obcesowo i zaraz zatkała sobie usta. – Prawda, nie w szabes takie rozmowy, ale...

– Nie mam męża – uspokoila ją.

– Więc przyjechałaś z ojcem? Jest tam na dole?

Zaczerpnąwszy tchu, wyjaśniłam jej, że przyjechałam sama, ale z błogosławieństwem mego ojca udzielonym mi na łożu śmierci.

– „Jedź do Polski, Hindelein”, tak mi mówił. „Tam Żydzi żyją bezpiecznie. Tylko jedź tam w męskim przebraniu, żeby czci swojej panińskiej nie narażać”.

– W męskim przebraniu?! – Chanka nie posiadała się ze zdumienia. – Jak to?

– A tak to – odparłam spokojnie, okrywając się opończą i kapturem. – Popatrz tylko.

Przemaszerowałam przed nią tam i z powrotem po opustoszałym babińcu tym męskim chodem, w którym przed moją ucieczką z Heidelbergu wprawiałam się tak długo pod twoim krytycznym okiem.

– Ribojno szel ojlom! – wyrwało się Chance na ten widok, co u nich (teraz to wiem) odpowiada naszemu westchnieniu: „Królu niebieski!”. – Ale Żydówką to ty jesteś? – upewniła się, gdyśmy z trudem trafiając na stopnie, schodziły po ciemnych schodach.

– Jestem – potwierdziłam bez wahania. – Tylko że w mojej rodzinie już od czterech pokoleń się z tym ukrywamy.

– Ukrywacie się... – powtórzyła oszołomiona. – Ach, to ty żyjesz wśród chrześcijan... – Wreszcie to do niej dotarło. – Jako chrześcijanka, tak?

– Chrześcijanin – uściśliłam.

– Prawda... Ale czemu tak? – nie mogła pojąć. Trudno mi było jej się dziwić, skoro sama nie byłam pewna, czy bajeczka, którą sobie ułożyłam, ma jakiś pozór prawdopodobieństwa. Mimo to uparcie w nią brnęłam, podpierając się wspomnieniem tych Hockenheimerów z Semmelgasse –

swoją drogą ciekawa jestem, czy wciąż jeszcze, jak za naszych lat dziewczęcych, wszyscy obgadują ich za plecami, że na pewno po cichu sabat święcą zamiast niedzieli.

Wyszliśmy z Chanką na ulicę, na której było już prawie tak ciemno jak na schodach. Żydom, trzeba ci wiedzieć, ich zakon zabrania noszenia ze sobą latarni w piątkowe wieczory, toteż w takie jak tamta pochmurne, bezksiężycowe noce, gdyby nie słaba poświata padająca z okien, ciemno by było na ulicy jak w grobie. Nie wiedząc, kto się może kryć w tych ciemnościach, szeptem zaczęłam opowiadać Chance, że moi prapradziadowie przyjęli chrzest przed z górą stu laty, gdy zmarł życzliwy Żydom hrabia elektor Ruprecht I. Ominęły ich dzięki temu coraz to nowe szykany wprowadzane przez następnych Palatynatu władców, przecież jednak w głębi serca nadal wyznawali wiarę Izraela i przekazywali ją po kryjomu swoim dzieciom.

Tyle zdążyłam jej wyszeptać, zanim w mroku zamajaczyły przed nami białe chusty modlitewne gromadki mężczyzn zajętych głośną rozmową. Chanka, ująwszy mnie za rękę, śmiało do nich podeszła i przedstawiła mnie swemu ojcu, który, choć rysów jego twarzy nie widziałam, zrobił na mnie z miejsca nader ujmujące wrażenie samym brzmieniem głosu, no i treścią wypowiedzianych słów, pełnych życzliwego zainteresowania dla nieznanego mu osoby. Zachęcili mnie oboje, bym w poniedziałek, w przerwie między wykładami a repetytorium, wstąpiła do ich kramu szewskiego, naprzeciw kościoła Świętego Szczepana, gdzie będziemy mogli swobodnie się rozmówić.

Tak też uczyniłam, tym razem jednak stawiałam się przed nimi w mojej męskiej postaci. Mniejsza o to, że ja wówczas po raz pierwszy zobaczyłam, jak wygląda ojciec Chanki, szewc Chaskel Zysman (ten właśnie, którego stałym klientem jest nasz posługacz Jakub). Rzecz główna, że także on dopiero wtedy mógł się przekonać, jak wygląda nowa przyjaciółka jego córki. I, oczywiście, dla niego, a właściwie dla nich obojga, to doświadczenie musiało być o wiele trudniejsze do przełknięcia niż dla mnie. Przede wszystkim żydowska kobieta nigdy nie ukazuje się nikomu z odsłoniętymi włosami, chyba że własnemu mężowi, gdyż jest to u nich poczytywane za taki sam bezwstyd, jak gdyby gołym zadkiem świeciła. Ja na szczęście zauważyłam już dawno, że Żydówki, nie licząc małych dziewczynek, zawsze noszą na głowie szczelnie dopasowane czepce, spod których nie ma prawa się wymknąć nawet

jeden kosmyk, toteż sprawiłam sobie taki, wybierając się po raz pierwszy do synagogi. Mężczyzn izraelickich ta zasada nie obowiązuje, nauczyli się też oni jakoś znosić widok włosów chrześcijanek, co najwyżej przy takich okazjach skromnie spuszczać oczy – ale przecież ci dwoje uważali mnie za zabłąkaną owieczkę ze swojego stada, dobrze przy tym wiedząc, że jestem kobietą. Starali się mi jednak nie okazać, jak bardzo gorszy ich widok moich rozpuszczonych po męsku włosów, skupiając się raczej na tym, co miałam im o sobie do powiedzenia. Moja historia była prosta i, na ile się dało, podobna do prawdy: nazywam się Hinde Faustpfand, jestem sierotą bez ojca i matki. Ojciec mój, Hermann Faustpfand, zajmował się skupem i sprzedażą owczego runa; matki, zmarłej, gdy byłam niemowlęciem, nie pamiętam. Oboje moi rodzice należeli do czwartego już w Palatynacie pokolenia potajemnych wyznawców prawa możeszowego, wywodząc się od kilku zaledwie podobnych rodów utrzymujących się w okolicy. Jak było do przewidzenia – zmyślałam dalej płynnie – doszło do tego, że wszyscy tam jesteśmy bliższymi lub dalszymi kuzynami, czego, jak często powtarzał mój ojciec, powinno się unikać przy kojarzeniu małżeństw.

– A dlaczegoż to? – zdziwił się pan Zysman. – Nie ma takiego zakazu w Torze, a Talmud małżeństwa między kuzynami wręcz zaleca.

– Och, nie wiedziałam! – stropiłam się. – Niestety ojciec mój, podobnie jak moi liczni wujowie, wskutek oddzielenia od żydowskiej społeczności nie miał nigdy szansy zapoznać się bliżej z naukami naszych rabinów. Tak czy owak, nie widział dla mnie męża w naszym najbliższym otoczeniu. A nadto – mówiłam dalej – gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, dotarły do Palatynatu straszne wieści zza Alp o jakimś małym chłopczyku z Trydentu rzekomo zakłutym przez tamtejszych Żydów dla pozyskania krwi na macę.

– Krwi! – Zacny szewc złapał się za krótko ostrzyżoną głowę. – Na macę! Tu tak samo ciągle tak gadają! Skąd tym gojom takie sztusim do głowy przychodzą!

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że sztusim znaczy „brednie”, ale łatwo było się tego domyślić. To właśnie jedno z tych hebrajskich słów, które wplatają w swoją niemczyznę.

Opowiedziałam im dalej – co dobrze pamiętałam z naszego własnego dzieciństwa – jak dużo mówiło się w Heidelbergu o zbrodniczych żydowskich praktykach, stale przywołując owe wydarzenia z Trydentu, co

zwykle prowadziło rozmowę do wątku fałszywych przechrztów ukrywających się podstępnie między chrześcijanami. Dlatego mój ojciec coraz częściej wspominał, że byłoby dobrze przenieść się do Polski, gdzie, jak słyszał, można najzwyczajniej w świecie być Żydem. Tę przeprowadzkę w nieznaną ciagle jednak odkładał, mając coraz to inne pilne sprawy do ułożenia na miejscu, aż w końcu puchlina wodna zabrała go niespodziewanie z tego świata. Umierając, zaklinał mnie gorąco, abym, gdy go już pochowam, doprowadziła wreszcie do skutku jego marzenie o wyjeździe do Polski, a chcąc mnie przy tym uchronić przed niebezpieczeństwami czyhającymi na kobietę w tak dalekiej podróży, doradził mi to męskie przebranie.

Żałuj, że nie widziałaś, jakie wielkie oczy robili szewc i jego córka, gdy im to wszystko opowiadałam, ale wiedz, że mi się to opłaciło. Niebawem zostałam przedstawiona całej starszyźnie gminy i zwołano w mojej sprawie tak zwany bejs din, czyli sąd rabinacki. Otrzymałam oficjalną zgodę na poruszanie się poza dzielnicą żydowską w stroju męskim, pod warunkiem jednak, że w miejscach publicznych nie będę odślaniać włosów. Ścisłe przestrzeganie tego zakazu nie nastroczało mi większych trudności w pierwszych miesiącach, które przypadły na późną jesień i zimę, a potem wszyscy tam oswoili się już ze mną taką, jaka jestem, i nie zwracali wielkiej uwagi na drobne odstępstwa od zasad, jeśli mi się czasem przydarzyły, choć na zbyt jaskrawe wykroczenia na ogół sobie nie pozwalałam i nie pozwalałam sobie nadal. Chance powierzono czuwanie nad nauczaniem mnie wszystkiego, co żydowska kobieta powinna wiedzieć, z czego wywiązywała się z takim zapałem, że już po dwóch tygodniach byłam gotowa do przejścia pierwszej ceremonii oczyszczenia przez zanurzenie w basenie z „żywą”, jak oni mówią, to jest źródlaną wodą, co bezwzględnie obowiązuje Żydówkę za każdym razem, gdy ustanie miesięczne krwawienie i przy niektórych innych okazjach. To się u nich nazywa mykwa. Na szczęście żydowski zakon wymaga, by przed wstąpieniem do tej lodowato zimnej rytualnej kąpieli uprzednio dokładnie wymyć całe ciało w ciepłej wodzie. Dlatego też przy każdej mykwie urządzona jest łaźnia i można z niej korzystać nawet wtedy, kiedy się nie ma powodu do poddania się nabożnym ablucjom. A przecież tego mi właśnie było trzeba! Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, jaką błogość poczułam, po raz pierwszy od dwóch i pół roku mogąc się cała wymoczyć. Leżałam tam, wyciągnięta w tej kadzi, z przymkniętymi

powiekami, nie myśląc o niczym i unoszona w jakieś światy nieziemskie, dopóki się nagle nie ocknęłam, gdy mi już woda zupełnie ostygła. Chanka, która mi w tej kąpieli towarzyszyła (przypuszczam, że powierzono jej to zadanie także po to, aby mogła następnie z pełnym przekonaniem zaświadczyć, iż naprawdę jestem kobietą), czekała już, trzymając rozłożoną sztukę płótna, którym mnie dokładnie wytarła, a następnie doprowadziła do basenu i przypilnowała, abym zanurzyła się w nim cała, aż po czubek głowy.

Nie wiedziałam, że powinnam mieć imię hebrajskie, więc kiedy mnie o nie zapytano, bez skrpułów obciążylam za to przeoczenie moich zmyślonych rodziców, dziadków i pradziadków, którzy w swej dbałości o zachowanie pozorów zagubili widać gdzieś po drodze wiele istotnych szczegółów naszej tradycji. Powiedziano mi, że to nic nie szkodzi, mogę sobie sama jakieś imię wybrać, z pomocą Chanki i Ester, żony sympatycznego młodego rabina, którego się najbardziej wtedy obawiałam, bo choć ma Pollack na nazwisko, pochodzi z Ratzbony i wie bardzo dużo – o wiele więcej niż ja – o tym, jak żyją Żydzi w naszych stronach. Dlatego poczytuję sobie za wielkie osiągnięcie, że moja bajeczka nie wzbudziła w nim żadnych podejrzeń. Co do imienia dla mnie, Ester przekazała mi z jego strony następującą podpowiedź: skoro gdy jakiegoś mężczyznę nazywamy HerszlemII, prawie zawsze nosi on imię hebrajskie CwiIII (które znaczy to samo co Herszel), to wiele wskazuje na to, że rodzice, nazywając mnie HindąIV, mieli na uwadze imię CewijaV, żeńską formę od Cwi. Słyszając to, pomyślałam sobie: czemu nie, całkiem mi się takie imię podoba – i zgodziłam się zostać Cewiją.

Kiedy ci dziś o tym wszystkim opowiadam, nie mogę się nadziwić zuchwalstwu, z jakim wystawiłam się wówczas na tak niebezpieczną grę, bo chyba tylko cudem udało mi się przez wszystkie te lata wywinąć od bardzo marnego końca, o który, jak widzę, się prosiłam, beztrąsko wyzywając los. Było jednak tak, że im dalej w to brnęłam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, zapewne złudnym, że skoro nic mi się nie stało do tej pory, to i dalej nic mi nie grozi. Mam jednak pełną świadomość, że co ze mną będzie, zależy całkowicie od dyskrekcji mych rzekomych współwyznawców, z której co prawda oni w zasadzie nie słyną, ale w tego rodzaju sprawach, jak mi się wydaje, potrafią dotrzymać tajemnicy. A przynajmniej do tej pory dotrzymywali jej niezawodnie.



Trochę się zanadto rozgadałam o tych moich potajemnych konszachtach z Żydami (a jeszcze dużo więcej byłoby tu do powiedzenia), podczas gdy miało ci to tylko wyjaśnić, jakim cudem porośnięta rzepą nie chodzę. Na razie więc na tym poprzestanę, tym bardziej że różne pilne, acz niewarte wzmianki zajęcia dzień po dniu odrywały mnie od pisania, tymczasem jutro poczta odchodzi, a ja koniecznie jeszcze muszę ci zdać sprawę z rozmowy, jaką miałam z Filipem w zeszły poniedziałek, kiedyśmy wracali z cotygodniowego sympozjonu u księdza Heydeckego (zwanego na tych zebraniach Miryką). Tym razem, co się zdarza nieczęsto, po uczcie pozostał niesmak, jako że biesiadnicy prawie skoczyli sobie do oczu, a poszło, wyobraź sobie, o te same wybryki z okazji Bożego Ciała, które dzień wcześniej wywołały znaną ci już przelotną burzę u nas w domu. Podczas posiedzenia w zeszły poniedziałek jeden tylko doktor Ursyn – jeśli mnie nie liczyć – podzielał Kallimacha oburzenie napaściami na Żydów. We trzech wdaliśmy się w ostrą pyskówkę z drukarzem Vehlem, a zwłaszcza z drugim, obok Ursyna, obecnym tam moim docentem ekstraneusem, doktorem Karpigą, o którym też ci już, zdaje się, wcześniej wspominałam. To on właśnie, z uśmiechem wyższości na młodej, odstręczająco gładkiej twarzy, drwił z Filipa, zapewniając, że doskonale rozumie powody, dla których on tak Żydów popiera – chce bowiem doprowadzić do tego, by do reszty wyzuli Polaków z ich majątku.

– I nawet ci się nie dziwię, Kallimachu – ciągnął z niezmaconą pogodą w bladych, nieruchomych oczach. – Z twojego punktu widzenia jest to bowiem rzecz pożądana. Nędzaczom łatwiej przecież będzie narzucić jarzmo, czyż nie? A nie jest dla nikogo tajemnicą, że stale marzy ci się dominium absolutum!

– Ależ skąd! – zakrzyknął Filip, ale docent Karpiga nie dał mu dojść do głosu.

– Marzy ci się, marzy, nie zaprzeczaj. I króla wciąż do tego nakłaniasz! Tylko że on cię nie słucha. A wiesz dlaczego? – Karpiga wykrzywił w grymasie zadowolenia swe podobne do pijawek wargi. – Dlatego, że on wie to, czego ty pojąć nie chcesz: że my, Sarmaci, wolności nie oddamy za żadną cenę.

– Nie dalej jak ostatniej środy – huknął Filip w odpowiedzi – zaklepali sobie ci twoi Sarmaci prawo do wieczystego trzymania pod jarzmem

swoich chłopów! I co ty na to, miłujący wolność młody kolego?

– A co to ma w ogóle do rzeczy? – Karpiga odął się pogardliwie.

– A to ma do rzeczy, że jak tak dalej pójdzie, to tobie akurat mogą tytuł doktorski odebrać, z racji nie dość szlchetnego urodzenia!

Cios był trafiony, bowiem, jak głosi plotka, doktor Karpiga jest chłopskim synem spod Miechowa, miasteczka leżącego o dwadzieścia mil stąd ku północy, i dlatego właśnie zamiast swoim nazwiskiem podpisuje się zwykle jako Matthias de Miechow.

– Ja sobie wypraszam! – zaperzył się na słowa Kallimacha, który zresztą od razu uznał, że się zagalopował.

– Dobrze, cofam to – rzekł pojednawczo. – Ale w materii władzy królewskiej muszę objaśnić – ciągnął nieco spokojniej – że owszem, opowiadam się za jej umocnieniem, a to po to, żeby dać obranemu monarsze możliwość działania; co jednak nie oznacza wcale... – tu znowu podniósł głos – ...wcale nie oznacza, że pragnę zaprowadzenia samodzierżawia! Sama jego idea jest mi z gruntu wstrętna!

Przysłuchiwało się tym sporom chyba z dziesięciu biesiadników, ale wszyscy, poza tymi, których już wymieniłam, wykręcali się od zajęcia wyraźnego stanowiska – zupełnie tak samo jak nasza zalotna gospodyni Agnieszka i pokojowa Kasia – a byli wśród nich ludzie tacy jak sam gospodarz, jak też i jego zastępca w kancelarii miasta rajca Behem, jak nowo powołany burmistrz Mornstein i jak docent Sommerfeld (w tym towarzystwie znany jako Æsticampianus), słynący z tego, że choć zaczął studia w dwa lata po mnie, wszystkie wymagane kursy artium liberalium zdołał zaliczyć w półtora roku, tak że gdy ja byłam na ostatnim roku quadrivium, miałam już u niego repetytoria z astronomii. I cóż, nawet doktor Ursyn, choć opowiedział się po Kallimacha stronie, nie widział powodu, żeby nie udać się potem z całą gromadką jak zwykle na piwo do ratusza. Filip jednak tym razem wolał się od tego wymówić, więc poszliśmy z wolna we dwoje przez uśpione miasto – w stronę domu, tak by można powiedzieć, choć mocno klucząc i raz po raz zataczając koła – w tę ciepłą, jasną, księżycową noc.

Kallimach, wciąż jeszcze wzburzony nastawieniem towarzystwa do czwartkowych wydarzeń, mówił mi, że nie dziwi się drukarzowi, za wiele rzeczy winnemu wdzięczność ustępującemu burmistrzowi Thurzonowi, który prowadzi z Żydami wojnę na śmierć i życie, bardziej może własnym rachunkiem korzyści i szkód się kierując, niż samym tylko ślepym

zabobonem. Byłby też Filip skłonny wybaczyć niemądre słowa doktorowi Karpidze, mogąc liczyć, z uwagi na jego młody wiek i niezaprzeczalną przyrodzoną bystrość, iż z czasem sam się zawstydzi tych niesprawiedliwych zarzutów, które stawiał dziś z taką łatwością.

– Ale nie rozumiem i nigdy nie zrozumieję, dlaczego wszyscy inni cicho siedzieli! – prawie krzyknął, skręcając niespodziewanie w ulicę Szeroką, w stronę kościoła Świętej Trójcy.

– Właściwie to nie siedzieli cicho – zauważyłam – tylko owszem, chętnie zabierali głos, nawet jeden przez drugiego, ale tak, żeby nic nie powiedzieć.

– Prawda – przyznał. – A to jest gorzej, niż nic nie mówić.

Chwilę szedł w milczeniu, po czym niespodzianie zacytował z Pisma Świętego:

– „Ale mowa wasza niech będzie: Tak, tak; nie, nie; a co więcej nadto jest, to od złego jest”... – I dodał: – Dobrze powiedziane, trzeba przyznać.

A gdyśmy przed kościołem znów skręcili, kierując się ku jatkom na Starym Rynku, zmienił zupełnie przedmiot naszej rozmowy.

– Powiedz mi, Georgiuszu, czy kiedy wczoraj tłumaczyłeś się z nieobecności na procesji pisaniem listu, prawdę mówiłeś, czy był to tylko wykręt?

– Mówiłem prawdę – odrzekłam. – Pilnie kończyłem list, żeby go nadać najpóźniej w sobotę rano.

– Aha. I zdążyłeś?

– Z trudem, ale się udało.

Widać było, że chciałby wiedzieć, do kogo piszę, tylko mu wprost o to pytać nie wypada.

– Czyli tą pocztą augsburską nadałeś?

– Tak – potwierdziłam – a z Augsburga list pójdzie w moje rodzinne strony, do Palatynatu. Do Enneleyn, mojej przyjaciółki z dzieciństwa. – Ulitowałam się wreszcie nad jego ciekawością.

– O! – Ożywił się. – Miło, że masz tam jeszcze kogoś bliskiego. Nie wiem czemu, może dlatego, żeś sierota, wyobrażałem sobie, że jesteś zupełnie sam na świecie, jak podrzutek. No, proszę, proszę... Ale to już dziś musi być duża panna, ta twoja przyjaciółka?

– Nawet nie panna, tylko mężatka. Mieszka z mężem w Heidelbergu.

– Heidelberg! – Ucieszył się. – Byłem raz z poselstwem do cesarza we Frankfurcie; to niedaleko, prawda?

– Jakieś pięćdziesiąt mil.

– A, to nie tak blisko, jak myślałem. A ta twoja Enneleyn jaka jest? Czy ładna?

– Nie widziałem jej dziewięć lat, ale pamiętam, że owszem, ładna była, nawet bardzo.

– Ejże, chłopaku, czy ty trochę jej tymi listami w głowie nie zawracasz? Przyznaj się.

I tak od słowa do słowa prawie dałam sobie wmówić, że jesteś damą mego serca.

– A ten jej mąż nie patrzy krzywo na te wasze listy?

– Och, nie! – odrzekłam ze śmiechem. – Nie jest podejrzliwy. Zresztą...

– Zresztą co?

– Zresztą on myśli, że jestem kobietą.

Aż klasnął w dłonie.

– Znakomity wybieg! Brawo! Ale w takim razie, żeby się gdzieś nie zdradzić, musicie chyba w tych listach wszystko przeinaczać?

– Trochę, ale to wcale takie trudne nie jest – skłamałam, jednocześnie mówiąc prawdę. – Już doszedłem w tym do wprawy.

Kiedy skręciwszy w lewo wzdłuż muru okalającego miasto, poszliśmy dalej, Kallimach westchnął.

– Ech, gdybym to ja mógł tak jak ty...

– Nie może mistrz?

– Nie nazywaj mnie mistrzem, Georgiuszu. To ty jesteś magistrem. Ja się dotychczas żadnego tytułu nie dorobiłem.

– Ależ tytułują cię! Mężem wielkiej sławy i wielkiej uczoności!

– Niektórzy. Ale to co innego.

– Jakże więc się mam do mistrza zwracać?

– Zwyczajnie: „Filipie”.

– Nawet przy ludziach?

– Przy ludziach po łacinie niech będzie domine, a po polsku mów jak wszyscy: „jegomość”.

– Ale teraz: „Filipie”?

– Właśnie tak.

– W takim razie, Filipie – zdobyłam się na odwagę, by zapytać – co miałeś na myśli, mówiąc: „Gdybym to ja tak mógł”?

– To – odrzekł łagodnie – że chciałbym móc tak pisać do pani mego serca, bez obawy, że ją narażę na nieprzyjemności.

– A czemu w takim razie nie możesz się posłużyć tym samym fortem co ja?

– Bo w tym wypadku to na nic. Ona się nie domyśli, że to ja się kryję za kobiecą figurą.

– Taka niedomyślna? Nie wierzę.

– Domyślna jest, nawet bardzo, ale po prostu nie wie, że ja się w niej kocham. Nie powiedziałem jej. Myśli, że zabiegam o względy jej córki.

– Tak jej powiedziałeś?

– Nie, mnie by to nawet nie przyszło do głowy. To pomysł jej męża. Ale ona, jak się wydaje, chętnie go podchwyciła.

– To może warto, żebyś i ty go rozważył? – podsunęłam, sama nie wiem po co. – Chyba że ta córka ci się wyjątkowo nie widzi?

– Oj, miły chłopcze, znać, że ty jeszcze o miłości nic nie wiesz. Pytasz, czy panna jest brzydka? Nie, skądże, ładna jest, nawet bardzo. Może więc, myślisz sobie, za głupia jest dla mnie albo jakaś złoźnica? – Zaśmiał się.

Doszliśmy właśnie do bramy strzegącej wjazdu do Krakowa od północy i znów skręciliśmy w lewo, ścigając własne cienie wpisane w cienie krat spuszczonej na noc brony, rzucone przez sączące się zza bramy światło latarni na wysokim słupie, jednej z kilku takich w okolicy, w których miejscowy zwyczaj każe dzień i noc podtrzymywać płomień w intencji umarłych.

– Otóż nie, nic z tych rzeczy – podjął swój wywód Filip. – Lolika to wyjątkowo bystra młoda osoba i naprawdę przemiła. Tylko że, widzisz, to nie jej, ale jej matki obraz nie daje mi spokoju; nie dla niej, ale dla jej matki bez reszty straciłem głowę; nie jej, ale jej matki imię wołam we śnie!

– Jakie to imię? – zapytałam, przełknąwszy ślinę.

– Kordula.

– Prawdziwe czy takie jej nadałeś?

– Najprawdziwsze.

Skręcił z kolei w prawo, i podczas gdyśmy, ostrożnie stawiając nogi, żeby nie wdepnąć gdzieś po kostki w błoto albo i coś gorszego, przemierzali mroczne zaułki biegnące wzdłuż zachodnich murów miasta, opowiedział mi po kolei, jak to z tym jego zapatrzeniem było.

Z mężem swej ukochanej, Gerhardem Musingiem, zawarł znajomość jeszcze za pierwszym pobytom w Toruniu, w 1474 roku, prawie równo

dwadzieścia dwa lata temu, kiedy tam zajechał w świecie króla Kazimierza jako świeżo upieczony sekretarz królewski, jeden z sześciu. Ów Gerhard, choć nie doszedł jeszcze wtedy do godności burmistrza, a tylko zwykłego rajcy, to jednak zaliczał się już do znaczniejszych obywateli Torunia, będąc dziedzicem wielu pokoleń kupców sprowadzających morzem najprzedniejsze sukna z Flandrii. A że całkiem dobrze mówił po łacinie, jakoś od początku udało mu się nawiązać z Filipem dobre porozumienie, zwłaszcza że obaj byli wtedy młodzi – Kallimach miał lat trzydzieści siedem, Gerhard był tuż po trzydziestce. Pani Musing wówczas jeszcze Filip nie poznał, bo widywali się z jej mężem tylko przy oficjalnych okazjach, gdzie obaj bywali urzędowo. Ale od tego czasu odwiedził Toruń jeszcze bardzo wiele razy, toteż jego znajomość z Gerhardem stale się zacieśniała.

– I wierz mi albo nie wierz, ja tego człowieka najszczerzej lubię i szanuję – zapewniał mnie, kładąc rękę na sercu. – W żadnym razie bym nie chciał jego krzywdy, tylko że... Kocham się w jego żonie!

Być może nigdy by do tego nie doszło, twierdzi Filip, gdyby pan Musing nie zobaczył w nim nagle idealnego kandydata na zięcia.

– No bo jak by nie patrzeć – tłumaczył mi z rozbawieniem – mężczyzna ze mnie już w pewnym wieku, stateczny, nie jakiś trzpiot, chociaż wiersze pisze, z dobrej kupieckiej rodziny, przy tym wpływowy dostojnik królewski, a przynajmniej tak by się mogło wydawać, w każdym razie człowiek z pewną ogładą, niebiedny, w świecie bywały, a najważniejsze, że wciąż nieżonaty!

Przerwał na chwilę, gdyż przechodziliśmy właśnie obok cieszącego się złą sławą domostwa przy ulicy Kociej. Dwie stojące przed nim bezwstydnice od razu spróbowały ściągnąć na siebie naszą uwagę, nawołując ściszonymi głosami: „Sz-sz!” i „Hu, hu!”, czemu towarzyszyły sprośne gesty i podnoszenie latarni na wysokość twarzy, abyśmy lepiej mogli docenić ich urodę i dostrzec trzepotanie rzęsami. I chociaż prawie na pewno po łacinie nie rozumiały, Filip wolał poczekać, aż się od nich dobrze oddalimy, zanim na nowo podjął swą opowieść. Przeskoczył teraz do względnie niedawnych czasów, sprzed dwóch i pół roku, kiedy to po powrocie ze swojego wiedeńskiego wygnania przybył znów do Torunia, tym razem na trochę dłużej. Wtedy dopiero burmistrz Musing, po prawie dwudziestu latach znajomości, zaczął go nagle zapraszać do swojego

domu przy ulicy Panny Marii. A Kallimach, nie bardzo mając w tym mieście coś lepszego do roboty, chętnie się zapraszać dawał.

– Bo któżby się nie skusił – tłumaczył, jakbym mu z tego czyniła jakiś zarzut – na te pruskie specjały, które Małdyta, kucharka Musingów, tak bosko przyrządza! Daję słowo, że samego maestra Martina da Como – wiesz, o kim mówię, to ten, co go Platina namaścił na księcia kucharzy – otóż, wierz mi, że ja bym tego jego pomazańca bez wahania wysłał do Małdyty na nauki. Dorocie naszej muszę koniecznie podszeptać parę jej potraw, niech przynajmniej spróbuje je odtworzyć. Sandacz w sosie piernikowym – na Jowisza, co za aromat niebywały! Kluski rakowe w migdałowej zalewie! Kapłon w soczewicy! Zupa fiołkowa! Solony ogon bobra! Nie dziw się więc, że z ochotą tam bywałem i kto wie, może gdybym się zagapił, to pozwoliłbym w końcu, żeby mnie z Loliką ożenili, tym bardziej że jest z rysów twarzy dość podobna do matki. Tylko sam powiedz, czy można się zadowolić niedoskonałą kopią, mając przed oczami oryginał?

Uliczka zwana Kocią przeszła tymczasem w Psią. Gdyśmy, doszedłszy do jej końca, odbijali w lewo, rzekłam niewinnie:

– Ale pani Musing musi już mieć swoje lata...

– Och, jest w wieku naszej Agnieszki – odparł szybko, rzucając mi krzywy uśmiezek. – A Agnieszka, nie powiesz przecież, że już się nie może podobać. Szczerze mówiąc, choć w ogólności nie pochwalam... hm... obłapiania służby, to gdyby nie to, że mi Kordula cały świat przysłała, to nie wiem... Ale, widzisz, Kordula... – Poprowadził mnie tak, abyśmy, omijając Szpiglarską, obeszli kościół Świętego Szczepana z przeciwnej strony. – Przepadłem z kretesem od pierwszej chwili, gdy mnie ją ujrzał przed sobą. Gerhard powiedział: „Filipie, poznaj moją panią małżonkę”, to jeszcze pamiętam. A dalej już tylko przejrzysty lazur, podobny morzom wokół greckich wysp, perłowa biel jej twarzy i szyi, miejscami leciutko muśnięta różowością jutrzeńki, i nad tym korona jej włosów z czystej miedzi, tak rozjarzona, jakby ściągała na siebie całe światło dnia.

– Przez ten lazur rozumiesz jej oczy? – zagadnęłam rzeczowo, gdyśmy przecinali Szewską ulicę.

– A cóżby innego mogło być tak lazurowe? – obruszył się lekko.

– Nie byłem pewien, czy ci nie chodzi o suknię – objaśniłam niewinnie, starając się nie dać po sobie poznać wzbierającej we mnie goryczy.

– A, suknia, czekaj, suknia chyba też była błękitna... – zastanowił się. – Nie. Nie wydaje mi się. Jakiegoś jasnego koloru... Co pamiętam dobrze z tamtej chwili, to jej rozumne spojrzenie, czarujący uśmiech... I jeszcze pamiętam, jak, kiedy zaraz potem przechodziła wzdłuż stołu, bokiem do mnie, poruszał się tanecznie pod suknią jej okrągły zadek. Ta suknia była chyba morelowa. A może barwy pergaminu? Przeplatana złotem? Coś mi się wydaje, że tak.

Tyle się można dowiedzieć od mężczyzny o ubiorze jego wybranki.

Zdążyliśmy przez ten czas kilkakrotnie skręcić w coraz to nowe uliczki i gdyby nie wędrujący wraz z nami księżyc w pełni, zgubiłabym się zupełnie, nie wiedząc, gdzie jesteśmy ani w którą stronę idziemy. Po Filipie za to ani przez chwilę nie widać było niepewności, jako że przypuszczalnie już nieraz zdarzało mu się przechadzać po nocnym Krakowie. Idąc, przekonywał mnie z narastającym zapałem, aż się latarnia w jego ręku huśtała na wszystkie strony, że bynajmniej nie wiek dojrzały jego miłej długo go wstrzymywał, ale raczej zażyłość z Gerhardem. Co prawda z czasem, jak mi zdradził w zaufaniu, zaczęły go nużyć dysputy z burmistrzem przy miejscowym winie, które ten stale na jego cześć kazał podawać, a o którym Filip nie śmiał mu powiedzieć, że jest dla niego za słodkie.

– Mniejsza zresztą o wino, ale ile można rozprawiać wciąż o tym samym? – uzalał się ze śmiechem. – Że Krzyżacy za miedzą coś knują, że i Kraków na pruskich miast dybie niezależność, że obsada biskupstw, że cła, że kursy zboża... i tak dalej, bez końca i bez umiaru, bo tylko takie rzeczy Gerharda zajmują!

Byłby się może Filip zaczął w końcu od tych nudnych wizyt wymigiwać, gdyby nie to, że nieraz gospodarza, zajętego urzędowymi sprawami, nie było w domu, i wtedy mógł się do woli nacieszyć, jak mówi, towarzystwem obu pięknych pań, matki i córki. A właściwie głównie matki, bo to ona brała na siebie cały ciężar podtrzymania konwersacji. A co mnie szczególnie zaniepokoiło, to to, że ich wspólnym tematem okazała się literatura! I to nie tylko ta, w której on się najbezpieczniej czuje, łacińska i po trosze grecka. Nie! Ta cała Kordula, niech ją licho, ponoć biegle czyta po włosku, a Dantego i Petrarke zna prawie na pamięć, w każdym razie, jak twierdzi Filip, zna ich dużo lepiej niż on i w dodatku, uważasz, on dzięki niej mógł się przekonać, że ich obu dotychczas nie doceniał!

Czyli, co ci będę mówić, Enneleyn – nie wygląda to dobrze.

– Zadała mi nawet – opowiadał z ożywieniem, zupełnie nie zwracając uwagi na moją grobową minę – to samo pytanie co ty w swoim czasie: dlaczego, półtora wieku po tamtych, ja wciąż piszę po łacinie zamiast w macierzystej mowie. Odpowiedziałem jej tak samo szczerze jak tobie, pamiętasz, że nie mam przekonania do poezji rymowanej, która panuje niepodzielnie w pospolitym języku, rymy bowiem mnie rażą jako zabieg prostacki i sztuczny, dlatego począwszy od moich pierwszych prób poetyckich, przywykłem się mierzyć ze szlachetną metryką iloczasową poezji łacińskiej, a skoro już zdobyłem sobie na tym polu pewną reputację, nie będę jej lekkomyślnie narażał na szwank przez to, że język pospolity pozwoli każdemu z łatwością ocenić rzeczywistą wartość płodów mego pióra. Te ostatnie moje słowa wzięła, całkiem niesłusznie, za żart i wybuchnęła śmiechem (a ten jej śmiech jest tak melodyjny, jakbyś słuchał słowicznych treli w letnią noc), a potem zaczęła mi opowiadać o poetach niemieckiego języka, o których mi nigdy Celtis nie wspominał: słyszałeś na przykład o takim Wolframie z Eschenbach?

– Słyszałem, a jakże! – potwierdziłam ochoczo. – Zaczytywałem się w nim razem z moją przyjaciółką z Heidelbergu. To znaczy ona jest z Knittlingen, tak samo jak ja – poprawiłam się pośpiesznie. – Ale teraz mieszka w Heidelbergu.

– A widzisz. Czyli podzielasz Korduli zdanie o tego Wolframa Parsifalu, że to dzieło czystego geniuszu?

– W całej pełni – potwierdziłam. – Choć wydaje mi się, że Boskiej komedii jednak nie dorównuje.

– Co ty nie powiesz – rzekł mi na to z przekąsem. – Czyżbyś czytał po włosku?

– Sì – pochwaliłam się. – In una certa misura. Siłą rzeczy, przebywając z mistrzem, musiałem sobie trochę przyswoić wasz piękny język. A prawdę mówiąc, rzeczywiście zdarzało mi się podczytywać sobie Dantego w składzie księgarskim pana Klemescha, wówczas, kiedy mistrz był w Wiedniu, a i potem też.

– Georgiuszu! Po imieniu miałeś się do mnie zwracać! – skarcił mnie żartobliwie. – Ja Boską komedię oczywiście miałem, w moim poprzednim domu, w Kazimierzu, ale niestety spłonęła, jak większość innych książek i papierów, w pożarze całej ulicy, na jakie dwa lata przed twoim tu przybyciem. W istocie muszę sobie kupić nową. Ale skoro znasz tego

Wolframa, miły chłopcze, to pewnie i o Gotfrydzie ze Strasburga musiałeś słyszeć?

– Ależ oczywiście, Tristan. To też u pana Klemescha przeglądałem.

– No proszę. – Z uznaniem skłonił głowę w moją stronę. – Co do mnie, to nie tak, żebym zupełnie tych waszych północnych opowieści nie znał. Czytałem o Tristanie i Izoldzie jeszcze jako wyrostek, w tokańskim rękopisie Tavola Ritonda, którego kopie krążyły z rąk do rąk w naszym konwikcie w Ferrarze. Ale sądząc po tym, z jakim zapałem Kordula zachwalała mi dzieło owego Gotfryda, musi to być coś o wiele bardziej znaczącego. Kiedy mi czytała urywki, widać było po niej takie przejęcie, że gotów bym chyba duszę oddać, żeby móc wiedzieć, co się właściwie w nich kryło.

– Może to było to? – zagrałam w ciemno, deklamując mu z uczuciem po niemiecku tę scenę, którą obie znamy na pamięć.

– O tak, to, to! – Ucieszył się. – Skąd wiedziałeś?

– Bo to i mój ulubiony ustęp – objaśniłam z uśmiechem i czym prędzej przetłumaczyłam na łacinę:

„Łagodnie rzekł jej i niegłówno:

«Ach piękna, słodka, powiedz, proszę,
Co cię tak dręczy, co cię gnębi?».

Izold, miłości sokolica

«Lameir – odrzekła – moją biedą.

Lameir przejmuję niepokojem.

Lameir jest tym, co sprawia ból»”.

– Zgadza się! – potwierdził z radością. – Ona to podobnie dla mnie tłumaczyła. Tylko myślałem, że coś pomija, bo po łacinie to jednak nie brzmi tak dobrze jak po niemiecku.

– Bo po niemiecku jest z rymami – pozwoliłam sobie na drobną złośliwość.

– Tak? A o co chodzi z tą „sokolicą miłości”? – odciął się. – Co pan Gotfryd chce przez to powiedzieć?

– To nie jest jasne – przyznałam. – Ale może właśnie dlatego jest takie piękne. Tajemnica poezji. A wiesz, że Tristan zaraz potem się zastanawia, co Izolda właściwie powiedziała: l'amère, la mer, czy może jednak l'amour?

– Aha – podchwycił – „gorycz”, „morze” i „miłość”. To trzeba znać francuski, żeby niemiecką poezję rozumieć! – Zaśmiał się i zaraz potem

westchnął. – Ech, warto by się kiedyś porządnie niemieckiego nauczyć. Tylko czy ja zdążę? Francuskiego, między nami mówiąc, nie znam prawie wcale, a ona tak pięknie po francusku śpiewa! Obie śpiewają, matka i córka, na trzy głosy, bo za nimi jeszcze kontratenorem nadaża pewien fidlista, najęty do muzycznego Loliki kształcenia. Korduli on uczyć nie potrzebuje, już ją w dzieciństwie inni dość wyuczyli, że śpiewa tak, jak się śmieje, słowiczymi kaskadami. Ja do muzykowania daru nie mam, a szkoda... Ale słuchać umiem. I słyszę, że Lolika swoje niskie nuty zawsze pięknie trafia, a i ten nauczyciel niełichy, zdziwiłbyś się, w jakiej niezemskiej harmonii potrafi się między altem córki a sopranem matki sprytnie zmieścić, nieraz na jednym dźwięku ciągnąc bez wysiłku przez dwa takty. Słuchać tych trojga to, powiadam ci, czysta rozkosz.

Nie wiem, po co zapytałam Filipa, czy nie wydawało mu się, że Kordula słowami tego francuskiego motetu albo Gotfrydowymi wierszami daje mu do zrozumienia, że i ją tak miłość dręczy jak Izoldę. Może myślałam, że jak go ośmielę, on się przed nią zbłąźni, ujawniając swoje uczucia, i na zawsze ją straci. Nawet zwróciłam mu uwagę na ciekawą zbieżność między jego serdeczną zażyłością z burmistrzem Musingiem a przyjaźnią Tristana z królem Markiem, Izoldy mężem. Filip odrzekł mi na to, że choć raz po raz nachodziły go takie myśli, on je zawsze przeganiał, bojąc się popaść w szaleństwo.

– Och, Georgiuszu miły – przemawiał do mnie z przejęciem – nie możesz tego wiedzieć, jakie ja cierpię katusze! Ileż to długich nocy spędziłem bezsennie, przewracając się z boku na bok i rozmyślając, jak tu być bliżej niej, mieć ją w swych ramionach, całować jej usta, piersi, pępek... i wszystko inne; słyszeć jej śmiech słowiczy tuż nad uchem... Ale stale wydawało mi się to taką samą mrzonką jak moje młodzieńcze plany ukatrupienia Pii Maryi. Aż kiedyś przyszedł taki dzień... – urwał.

– Jaki? – chciałam się wreszcie dowiedzieć, do czego to zmierza. – Wyznałeś jej miłość?

– Niezupełnie, ale była taka jedna chwila... Albo nawet dwie.

Chyba cała nasza nocna przechadzka była zaledwie wstępem do sekretu, który mi powierzył na koniec, a którym ja za chwilę podzielę się z tobą, w drodze zupełnego wyjątku. Od razu uprzedzam, że jeśli się spodziewasz teraz jakichś wyznań wielce gorszących, to raczej się rozczarujesz. Nie to jest tu bowiem ważne, co się w istocie wydarzyło, lecz czym to było dla Filipa.

A wydarzyło się w zapusty, które w Toruniu, jak mi mówił, są obchodzone o wiele huczniej niż tutaj. Mają tam takie Bractwo Świętego Jerzego, sami bogaci kupcy do niego należą, którzy wszyscy uważają się za spadkobierców drużyny Okrągłego Stołu i, chociaż mieszczenie, z zapalem kultywują rycerski obyczaj. Wybudowali sobie w rynku piękny dom bracki, który nazwali Dworem Artusa, i podobno w rzeczy samej król Artur by się takiej siedziby nie powstydział. Tam właśnie odbyła się w zapusty uczta z tańcami, a przy tych tańcach tak się jakoś złożyło, że Kallimachowi przypadła Kordula w parze do basse danse.

– I w tym dwornym tańcu po raz pierwszy poczułem z jej strony... – Urwał. – A może mi się tylko wydawało? Płasaliśmy przecież dostojnie, oddaleni na odległość dwojga wyciągniętych ramion, ale same muśnięcia końców jej palców złożonych w mojej dłoni wywoływały we mnie raz po raz dreszcze tak rozkoszne, że nie wiem, jakim cudem nie pomyliłem kroków. Co ona czuła, właściwie nie wiem, ale wtedy dałbym głowę, że w jej spojrzeniu uporczywym, błękitnym z zamazanymi złotymi błyskami od płomieni świec, widzę ukrytą wiadomość dla mnie, choć nie byłem pewien, czy ją trafnie odczytuję. I potem, kiedy się tańce skończyły, wesoly tłum wyniósł mnie na śnieżny rynek, a tam już czekało kilka tuzinów zaprzężonych sań i wszyscy do nich wsiadali. Nagle widzę, że z najokazalszych sań wychyla się Kordula w futrzanej czapie na głowie i macha do mnie ręką na znak, że mam wsiadać. Woźnica z kozła też się ku mnie skłania, gestem ramienia zapraszając do pojazdu; patrzę, a to Gerhard we własnej osobie powozi trójkonnym zaprzęgiem! Siadam więc, tyłem do końskich zadów, i mam naprzeciw siebie je obie, Kordulę i Lolikę. Zrazu nie mogliśmy ruszyć przez przebierańców, którzy wieszali się po obu bokach sań, domagając się datków, aż w końcu Gerhard, zniecierpliwiony, smagnął konie i tak przez to płożami szarpnął, że cudacy pospadali w śnieg, a my już po chwili sunęliśmy pędem wokół miasta, smagani po policzkach zimnym, świszczącym wiatrem. Kordula z Loliką śmiały się obie jak małe dziewczynki, upojone tą szaloną jazdą, a ja, trzymając się kurczowo łeku przy siedzeniu, żeby mnie nie wyrzuciło na wybojach, usiłowałem przechwycić Korduli spojrzenie i coś z niego wyczytać. I stało się, że gdyśmy, przejechawszy wzdłuż ogromnej w tym miejscu, całkiem zamarznętej Wisły, w pełnym pędzie zakręcili, by się trzymać blisko murów miasta, sanie nagle zaryły się w miejscu, wpadłszy w zaspę skrywającą wał ziemny, przez który się przedrzeć nie mogły.

Mogłoby to się czymś gorszym skończyć, gdyby nie mądre konie, które czując opór, natychmiast przystanąły. Gerhard jednak spadł z kozła i potem mu musiał chirurg lewą rękę składać, Lolika rozpląszczyła się szczęśliwie na matki plecach, z nosem utkniętym bezpiecznie w jej jenotowy kołnierz, a sama Kordula... Och, Kordula, mój przyjacielu, wylądowała na mnie! Zanim się obejrzałem, leżała w moich ramionach, obejmując mnie swoimi i przy tym wspierając się na mnie piersiami, a ich sprężysta miękkość bodła mnie rozkosznie nawet przez to grube futro, którym była okryta. Powiem ci więcej: jej nogi, Georgiuszu, jej nogi oplotły ściśle moją prawą nogę, tak że aż czułem twardość poprzecznej kości u ich zbiegu, z wielką siłą przyciśniętej do mego uda, tuż poniżej mego mieszka.

– Masz na myśli os pubis? – zapytałam dla pewności.

– O! – Ucieszył się. – Ty, medyk, wiesz, o czym mówię. Co do twarzy, ta wylądowała obok mojej – na szczęście, bobyśmy inaczej wzajem sobie nosy połamali – ale po chwili Kordula uniosła głowę, ocierając się bezwstydnie policzkiem o mój policzek, i dałbym sobie głowę uciąć, że przez jedno okamgnienie poczułem, jak chwyta ustami moje usta...

Kiedy to mówił, niespodziewanie jakiś głos huknął tuż przy nas:

– Stój! Kto wy?

Złękłam się nie na żarty, widząc sylwetki trzech drabów wynurzających się nagle zza rogu znanej mi z widzenia kamienicy z godłem lwa pochylonego nad parą lwiątek. Jeden z nich bez ceremonii podsunął nam pod nos zawieszoną na długim kijku latarnię.

– Swoi – odpowiedział im spokojnie Filip, mrużąc oczy od jasnego płomienia. – Czołem, wachmistrzu.

Był to patrol strażników kwartału, czyli, jak tu mówią, wiertelników, zwabionych pewnie odgłosem stukania naszych drewniaków po równym bruku ulicy Grodzkiej, które niosło się echem daleko między domami. Rozpoznawszy Kallimacha, natychmiast złagodnieli i tylko dla zachowania twarzy wypytali go jeszcze uprzejmie, kim jest „ten drugi” („Mój sekretarz”, odpowiedział) i co robimy o tej porze na ulicy („Wyszliśmy rozprostować nogi po wieczery”), po czym, stuknąwszy służbiście obcasami, oddalili się równym krokiem w stronę Rynku, życząc nam dobrej nocy.

Po ich odejściu od razu zapytałam Filipa, co się wydarzyło dalej po tym, jak Kordula tak szczęśliwie na niego upadła.

– Nic – odpowiedział. – Podniosła się bez słowa i więcej do tego nie wracała.

– Może czekała, aż ty ją o to zagadniesz?

– Myślisz, że nie miałem zamiaru? Tylko że mijały dni, tygodnie, a wciąż nie nadarzała się po temu sposobność. A po trzech miesiącach król mnie wezwał do Krakowa. No to jestem.

Wydawało mi się, że nie chce już dłużej ciągnąć tej rozmowy, a może to ja sama nie chciałam już wiedzieć nic więcej, dość że przestałam go dopytywać. Przeszliśmy w milczeniu koło kościoła Świętej Marii Magdaleny na naszą ulicę i kiedyśmy się już zbliżali do domu, Filip niespodziewanie odezwał się niepytany:

– Tak sobie myślę, Georgiuszu, że jeśli się ostatecznie przekonam, iż nie jestem już królowi potrzebny, to się do Torunia na stałe przeniosę. Za te pieniądze, któreś mi w kwietniu przesłał wekslem trasowanym, pamiętasz, kupiłem tam dwa domy, jeden dla siebie na mieszkanie, a drugi na sekretne gniazdko mej miłości, jeśli tylko Kordula kiedyś zechce mnie pokochać.

– A co z krakowskim domem będzie? – zapytałam, siląc się na spokój.

– A co tam – odrzekł niedbale. – Sprzedam i tyle. A, czekaj – spostrzegł się. – Wszystkich domowników, ma się rozumieć, wezmę ze sobą. Tylko że... Ach, prawda! – westchnął z zafrasowaniem, kładąc rękę na klamce.

– Ty studia najpierw musisz skończyć. Dobrze, coś wymyślimy, nic się nie martw. Na łodzi cię na pewno nie zostawię.

Pogładził mnie po policzku, otworzył drzwi – i na tym się ta nasza rozmowa zakończyła.

Co ty o tym wszystkim sądzisz, Enneleyn? Bardzo mi potrzebna twoja rada. Widzisz, nie to, żebym była o Filipa uczucia zazdrosna, niech się kocha, w kim chce, jeśli ma mu to szczęście przynieść, ale doprawdy, martwię się o niego. I o siebie też. Mimo jego obietnic mam złe przeczucia. A przeczucia rzadko mnie zwodzą.

Muszę kończyć to pisanie, bo już świta, więc czas mi się szykować na poranny wykład. Widzisz, tyle ci miałam do opowiedzenia, że zeszła mi na to cała noc! A to jeszcze nie wszystko, musisz wiedzieć, ale więcej odkładam na następne listy. Tymczasem pisz do mnie, kochana przyjaciółko, jak najczęściej, bo mi są twoje listy wielką pociechą w mych strapieniach. Mam nadzieję, że zanadto cię nimi nie obciążam, bo jak się domyślam, musisz mieć dość własnych. Jeśli więc mogę ci być w tych

twoich jakoś pomocna, zwał mi je na kark bez wahania. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci w nich ulżyć, bo przecież wciąż ty jesteś mi najbliższą duszą, jak za naszych lat dziewczęcych, pamiętaj!

Dałam w Krakowie

we wtorek,

14 czerwca

1496.

LIST V

I znów gęby do kogo otworzyć w domu nie mam, moja droga Enneleyn. I niestety, muszę ci się przyznać, że tylko do siebie mogę mieć o to pretensję. Jakim sposobem? Już wyjaśniam. Otóż przedwczoraj, poobiednią porą, kiedy Filip jak zwykle przesiadywał na Wawelu, nie wiadomo na co tam czekając, usłyszałam kołatanie do drzwi. A że akurat przechodziłam obok wejścia, więc poszłam otworzyć i aż mnie cofnęło z progu, bo ledwie drzwi uchyliłam, wcisnął się przez nie koński łeb, rześko parskając, aż mi całą twarz swoją śliną obryzgał. Pachoł, co na tym koniu siedział, wychylał się właśnie z siodła, żeby raz jeszcze sięgnąć do kołatki, ale na mój widok usiadł prosto i z ważną miną zapytał, czy to dom pana Kallimacha. Oczywiście przytaknęłam, a on na to, że ma dla niego pismo, z Torunia. Wyciągam więc rękę, a ten nic, patrzy tylko. Dopiero jak mu dałam szeląga, sięgnął do sakwy podróżnej, trochę w niej pogmerał, wreszcie list znalazł, wręczył mi go bez słowa i bez pożegnania odjechał. Takie to pruskie dworne obyczaje.

Spojrzałam na list – pieczęć cała, na niej gmerk jakiś odcisnięty zawiły, czyj, nie wiedziałam, ale przecież nietrudno mi to było zgadnąć. Agnieszka z Eudokią krzątały się na piętrze, Dorota z Kaśką jeszcze nie wróciły z zakupów, Jakub był zajęty noszeniem wody z rząpia, które mamy na wewnętrznym dziedzińcu. Nikt nie widział, że wzięłam list, a choćby i któreś z nich to widziało, to i tak nic by nie śmiało powiedzieć. Weszłam do siebie na górę, cicho zamknęłam drzwi, położyłam list na pulpicie i jakiś czas biłam się z myślami, co z nim zrobić. Nie oddać mu? Nie, to by się prędzej czy później wydało. Ale jeśli ten list miałby go w otchłań pociągnąć, to może lepiej mi będzie postradać jego zaufanie i pewnie na zawsze stracić go z oczu, byle go tylko ustrzec od zła? Nie, takiej ceny nie byłam gotowa zapłacić. Może przecież, myślałam sobie, nic takiego w tym liście nie ma, ot, zwykła porcja uprzejmości i nudnych roztrząsań cen zboża i obsady biskupstw.

Przez dłuższą chwilę rozważałam, czy jest jakiś sposób, by poznać treść listu, zanim go oddam w Filipowe ręce, ale, rzecz jasna, tak, żeby on się tego nie domyślił. Pieczęć była lakowa. Jeśliby dało się ją stopić tak, żeby się zanadto nie rozlała między warstwy papieru, wtedy dobra nasza. Można by to zrobić, na przykład kładąc na liście miedziany kociołek napełniony żarem (byleby nie był osmalony od spodu), uprzednio nakrywszy papier kawałkiem płótna z wyciętym otworem na pieczęć. Tyle że zawczasu trzeba by mieć przygotowaną sztancę z takim samym gmerkiem, żeby ją potem odcisnąć w świeżo nakapanym laku. Przyjrzałam się wzorowi i stwierdziłam, że co prawda składa się z wielu różnych linii – pionowych, poziomych, ukośnych i półkolistych – ale właściwie jest dość łatwy do odrysowania i, co ważne, wypukły. Czyli wzór na sztancy powinien być wklęsły, co trochę sprawę upraszczało. Mam u siebie taki cylindryczny miedziany pucharek do picia dekoktów i nalewek. Wystarczyłoby pokryć mu denko miękką polewą, której recepturę spisałam w swoim czasie z książki *Summa perfectionis magisterii*, na niej starannie wydrapać wzór z oryginalnej pieczęci, nie zapominając o odwróceniu stron, jak w lustrzanym odbiciu, a następnie poddać pucharek kąpieli z kwasu saletrzanego, na który również autor *Summy perfectionis* podaje przepis – i już sztanca gotowa!

Och, możesz być spokojna, Enneleyn, nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła, tak jak nigdy bym się nie zniżyła do tego, by kogoś podsłuchiwać albo przez dziurkę od klucza podglądać. Owszem, kusilo mnie lichy, ale ani przez chwilę nie byłam skłonna mu ulec. Tyle tylko, że bawiłam się tą myślą przez jakie dwa pacierze, zastanawiając się, czy starczyłoby mi na to alchemicznej wiedzy. No i czasu, żeby móc z niej skorzystać.

Więc kiedy w przedwieczornej porze, chcąc zejść na dół, ujrzałam przed sobą Filipa niemrawo wstępującego po schodach z wyrazem zupełnego zniechęcenia na twarzy, czym prędzej zawróciłam, porwałam z pulpitu list wciąż tam leżący i wręczyłam mu go z uczuciem dziwnej ulgi.

– Che cosa è? – wymamrotał nieprzytomnie i uchylił drzwi swojej komnaty, wpuszczając trochę światła na mroczny korytarz. – Oh, mamma! – zakrzyknął nagle, spojrzawszy na pieczęć. – Od Musingów!

Natychmiast list otworzył i wciąż stojąc w drzwiach, zaczął przebiegać pismo wzrokiem. Powinnam była zostawić go przy tym samego, ale jakoś nie mogłam ruszyć się z miejsca, więc stałam tam jak słup soli, próbując wyczytać z jego twarzy, co też w tym liście może być. Długo zgadywać nie

musiałam, bo już po kilku chwilach podniósł na mnie roziskrzony wzrok i wyszeptał z przejęciem:

– Kordula pisze! W imieniu Gerharda, oczywiście – dodał z ledwie dostrzegalnym uśmieszkiem. – No, i z jego pełnym błogosławieństwem.

Czytał chciwie dalej.

– Ciepło o mnie myślą, wszyscy – zauważył, nie odrywając oczu od karty papieru równomiernie zapisanej z obu stron kształtnymi literami.

Nagle zmarszczył brwi.

– No nie! – I, wzburzony, przeczytał głośno: – „Miasto nasze rozkwita tego lata bujniej niż zwykle dzięki wzmożonemu ruchowi skut w wyniku szczęśliwych ustaleń sejm w Piotrkowie”.

Po chwili jednak rozchmurzył się i z filuterną miną czytał dalej:

– „Nie jestem pewna, czy ty, miły nasz przyjacielu, zgodziłbyś się z tą oceną, jeśli więc jesteś innego zdania, mógłbyś zapewne mego zacnego małżonka do swoich racji przekonać, gdyż on wysoko ceni sobie twój rozum...”, bla, bla, bla... O! „W tym celu musiałbyś jednak zaszczycić nas znowu swoją obecnością, której brak, przyznam szczerze, bardzo nam tu wszystkim doskwiera”. – Tu spojrzał na mnie z porozumiewawczym uśmiechem. – „Zwłaszcza pewne młode osoby – podjął głośną lekturę – chodzą smętnie z kąta w kąt, nie mogąc znaleźć sobie miejsca i widocznie usychając z tęsknoty”.

– To o panie Lolice chyba? – wtrąciłam, chcąc go sprowadzić na ziemię.

– Niby o niej, ale i nie o niej – odrzekł, spoglądając na mnie pobłaźliwie, jakby chciał powiedzieć: „Nic jeszcze o tych sprawach nie wiesz, młody przyjacielu. Patrz i ucz się”. A przecież, po prawdzie, i ja nie miałam wcale wątpliwości, że burmistrzowa ma tu przede wszystkim siebie na myśli, a o „młodych osobach” wspomina jedynie dla zachowania pozorów.

– Posłuchaj, co mi pisze dalej – podjął z zapałem. – „Och, wiem ja, przelotny gościu nasz, że sprawy wagi państwowej masz na głowie, którym nasze prowincjonalne troski muszą ustąpić pierwszeństwa, gdybyś wszelako...” – Tu przerwał, gdyż nagle wzruszenie ścisnęło mu gardło. – „Gdybyś wszelako – podjął, przełknąwszy ślinę – któregoś dnia zapragnął zaznać choć chwili wytchnienia wśród dusz przychylnych ci bezgranicznie, wtedy zwróc, proszę, spojrzenie swych rozumnych oczu na

północ i wspomnij nasz skromny dom, gotów o każdej porze podjąć cię z królewskimi honorami”.

Złożył list i otarłszy ukradkiem łzę, położył mi dłoń na ramieniu.

– Z samego rana jadę do Torunia – przemówił cicho i łagodnie. – Pilnuj tu wszystkiego.

– A król? – przypomniałam mu. – Przecież w każdej chwili może zechcieć cię zobaczyć!

– Wątpię – odrzekł niedbale. – Ale tak, poślę rano umyślnym do Maćka Drzewickiego wiadomość, że jestem obłożnie chory. Służbie nakażemy surowo, żeby trzymała język za zębami. Napiszę też do doktora Ursyna, by opowiadał po mieście, jak to mnie leczy z ciężkiej niemocy. Albo nie – rozmyślił się nagle. – Maćkowi napiszę prawdę. No, niepełną, ale jednak prawdę. Że jadę dopilnować odnowienia moich domów w Toruniu, tych, com je w lutym kupił od Snellenberga. I że jak mnie król wezwie, to oczywiście przyjadę natychmiast. Tymczasem ty, mój drogi – dodał, podnosząc na mnie radośnie rozświetlone oczy – trzymaj za mnie kciuki!

Nagle objął mnie ramionami i przytulił tak mocno, że aż od ciepła jego torsu poczułam mrowienie na szczytach mych mizernych piersi.

Przy wieczerzy niewiele mówił. Niekiedy tylko posyłał mi przez całą długość stołu porozumiewawczy uśmiech, a poza tym cały czas siedział pogrążony w swoich myślach, raz po raz przymykając w zastanowieniu jedno oko albo brwi unosząc czy głową kręcąc, jakby z kimś, albo sam ze sobą, bezgłośnie się spierał. Kiedyśmy wstawali, zatrzymał mnie przed wejściem na schody i zapytał, czy znam może na pamięć więcej tego Gotfrydowego Tristana. Odpowiedziałam, że ową scenę, której urywek już mu cytowałam, znam chyba w całości. Zapytał, czy jest długa, a kiedy powiedziałam, że będzie tego ze sto wersów, z lekka się zafrasował.

– Mam ci ją całą przetłumaczyć? – zapytałam.

– Nie, nie, nie trzeba – zapewnił uspokajającym tonem. – Tylko mi ją z grubsza streść.

Zacząłam opowiadać, że najpierw Izoldzie wyrywa się westchnienie: „Czemuż nie zabiłam cię w kąpielni! Gdybym wiedziała to, co dzisiaj wiem, na pewno bym to zrobiła”.

– O, to jest niezłe! – ożywił się Filip w pierwszej chwili, ale zaraz pokręcił głową. – No nie, to mi się nie nada.

– Nie nada się do czego?

– Widzisz, zastanawiam się, czy mógłbym jej opowiedzieć o swojej miłości słowami tego poematu.

– Ale to musiałbyś się wcielić w Tristana, nie w Izoldę – zauważyłam.

– Raczej tak. – Zaśmiał się. – Co on tam gada właściwie?

Przypomniałam najpierw, że Tristan wypytuje Izoldę, co ją gnębi, a ona na to odpowiada: lameir. On dopytuje, czy chodzi o morze, czy o gorycz, ona zaprzecza: nie żadne morze, nie żadna gorycz, tylko lameir. I wtedy, już wiedząc na pewno, że Izolda mu miłość wyznaje, Tristan jej mówi, że on czuje do niej to samo.

– Czeka! – przerwał mi Kallimach. – Jak to brzmi po niemiecku, to jego wyznanie?

Zadeklamowałam mu więc najpiękniej, jak umiałam, to, co Tristan mówi – że mu ta miłość pomieszała zmysły i tak dalej. Filip wsłuchiwał się z uwagą w niezrozumiałe dla siebie dźwięki, raz po raz aprobująco kiwając głową, potem kazał sobie cały ten ustęp dokładnie przetłumaczyć, a jeszcze potem musiałam mu go podyktować, a on powtarzał za mną wers za wersem po niemiecku i notował je sobie na papierze włoską pisownią, dodając obok łacińskie tłumaczenie. Na koniec całość samodzielnie odczytał na głos z tej swojej transkrypcji i spojrzał na mnie pytająco. A gdy przyznałam, zgodnie z prawdą, że wyszło mu to zupełnie przyzwoicie, klasnął w dłonie i oznajmił:

– Idę się uczyć!

Zaczynam, pomachawszy mi trzymanym w dłoni papierem, szybkim krokiem oddalił się do siebie.

To było we wtorek. Kiedy wczoraj, w środę, wychodziłam rankiem na wykłady, on się szykował do wyjazdu, a kiedy przed wieczorem wróciłam, już i zapach esencji różanej po nim wywietrzył.



Uświadomiłam sobie właśnie, że ostatnio, pisząc do ciebie, skupiam się samolubnie na swoich tylko strapieniach, zupełnie zaniedbując twoje. Wierz mi, Enneleyn, to tylko dlatego, że mnie te Filipa toruńskie szaleństwa zupełnie z równowagi wyprowadzają. Znając ciebie, jestem pewna, że to rozumiesz i w swej nieskończonej dobroci wybaczasz. Nie zwalnia mnie to jednak z obowiązku nadrobienia mych uchybień, toteż z przyjemnością właśnie się do tego zabieram.

Bardzo mnie zaniepokoiło, że swego Dietmara posądzasz o niewierność. Martwi mnie to tym bardziej, że w tym, co mi piszesz, ja nie widzę do takich podejrzeń żadnych słusznych powodów. To, że się pierwszy kłania sąsiadkom i że się przy tym mile uśmiecha, o niczym nie świadczy. Albo owszem, świadczy, ale tylko o tym, że jest z niego dobrze ułożony człowiek, miły w obejściu, nie jakiś grubianin. To chyba nic złego?

No, chyba żeś mi nie wszystko napisała, że jest tam coś więcej. Że dla ciebie on nie ma tych uśmiechów, które innym kobietom posyła, że często na ciebie powarkuje albo wrzeszczy, czy nawet rękę podnosi. Że nie szuka twojej bliskości, nie radzi się ciebie w swoich troskach, tylko u innych szuka tej porady, nie daj Boże u jakichś ładnych kobiet. To by był na pewno zły znak. Ale to, że patrzy na kobiety, zauważa, jeśli która jest gładsza od innych, i tobie o tym mówi – ja bym się tam na twoim miejscu wcale tym nie przejmowała. Jeśli on dostrzega urodę innych kobiet, tym bardziej musi doceniać twoją. Czy ja ci kiedy mówiłam, Enneleyn droga, że ci zawsze zazdrościła tych oczu wielkich, rozumnych, tak pięknie wykrojonych, i tych szerokich brwi (niech cię tylko ręka boska broni wyskubywać je – tego się już nie robi!), tych bujnych włosów pszenicznych, samorzutnie się w fale układających (gdzie tam do nich moim konopnym pakułom!), a zwłaszcza twych tak misternie utoczonych kształtów. Tak, przeczytałam uważnie, co mi piszesz, że trochę przytyłaś po dzieciach i, jak ci się wydaje, z tego powodu już się tak nie podobasz mężowi jak dawniej. Nie wiem, oczywiście, jak on na to patrzy, ale dziewczyno, na Boga, co tu ma do rzeczy tych parę funtów więcej czy parę funtów mniej! Wciąż mam przed oczami twoją matkę, która przecież, kiedy cię tak nagle osierociła, była o kilka lat starsza niż ty teraz, i, pamiętasz, raczej była taka w sobie, dosyć pełna, ale z tym wszystkim, och, jakaż to była piękna kobieta – a ty wszak zawsze byłaś jak skóra z niej zdarta! Słowem, idę o zakład, że w najbliższej okolicy żadna rywalka nie mogłaby stanąć z tobą w zawody.

Powiem ci coś jeszcze. Wiesz, ja, chociaż nie jestem mężatką, śmiem twierdzić, że coś niecoś o mężczyznach wiem, dlatego mogę cię zapewnić z pełnym przekonaniem, że jeśli nawet małżonek twój obejrzy się czasem za jakąś ładną bużką albo zwróci uwagę na rysujący się pod materia krągły kuperek, to w ogóle nic nie znaczy. Są to tylko zwykłe ich, zwłaszcza tych młodych byczków, mimowolne zachowania, i każdy z nich tak ma – nawet ja musiałam je sobie przyswoić, żeby nie ściągać na siebie

podejrzeń. Lecz te ich spojrzenia błędzące po naszych krągłościach (o ile je posiadamy), niekiedy też bezwstydnymi uwagami, które między sobą na nasz temat wymieniają, nie muszą mieć, i zazwyczaj nie mają, wielkiego wpływu na ich postępowanie. Jeśli więc ma taki w domu kobietę niebrzydką, niecuchnącą i niestroniącą od pieszczot, a przy tym ona nie znajduje upodobania w ciosaniu mu kołków na głowie, to zazwyczaj on ją kocha i za inną nie pójdzie. A jeśli nawet czasem pójdzie, to i tak najczęściej zaraz o tym zapomni. I wiesz co, Enneleyn? Szkoda sobie takimi rzeczami truć myśli. Miej to gdzieś!

Wracając jeszcze do tych kołków na głowach mężów ciosanych, to pamiętasz, co stale powtarzała twoja ciotka Irmgart, iż nic tak nie rozbudza w mężczyźnie ciekawości do innych kobiet, jak gdy mu żona raz po raz wyrzuca, że na tę czy inną babę spojrzął i prawie się przy tym oblizał. Wtedyśmy się obie podśmiewały z tego jej ciotczyńczego wymądrzania, wybaczyć zatem, jeśli w tej chwili po trosze wpadam w jej ton, ale cóż, warto, jak mówią, uczyć się nawet od diabła, zwłaszcza jeśli się okazuje, że ma ten diabeł odrobinę racji.

A w ogóle to dam głowę, że twój piękny ceglaster włosy cegielnik świata poza tobą nie widzi, więc ty rozkoszuj się jego miłością i nie psuj sobie tej rozkoszy majaczeniami o strzygach na jego cnotę czyhających.

Cieszę się bardzo, że rozweseliła cię moja opowieść o naszej uroczej gospodyni. Dodam od razu, że niepotrzebnie cię to niepokoi – ja się przed Agnieszki zalotami potrafię obronić, i to tak, żeby w niej urazy do siebie nie wzbudzić – nie byłoby to wskazane, skoro żyjemy pod jednym dachem. Za to inne, o wiele trudniejsze do oddalenia niebezpieczeństwo tego rodzaju ostatnio nade mną zawisło i teraz ci o nim opowiem.

Wyobraź sobie, moja droga, Żydzi chcą mnie wydać za męża! Jak pamiętasz, w swoim czasie uznali mnie za jedną ze swoich, i to na szczególnych prawach – mogę sobie żyć wśród chrześcijan, uchodzić wśród nich za chrześcijanina, rzecz jasna, mężczyzną, i stwarzać po temu wszelakie pozory, o ile tylko powstrzymam się od pracy w sabat (tak jak oni to rozumieją), będę się trzymała z dala od świniny i innych pokarmów, których ich zakon zabrania (a jest takich więcej, niż sobie możesz wyobrazić), no i nie będę się oddawać bałwochwalczym praktykom, czym dla nich jest nie tylko uczestniczenie w mszy świętej, ale i nawet zegnanie się znakiem krzyża. Pytałam, czy wolno mi będzie przynajmniej od czasu

do czasu pokazać się w kościele, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Po długich naradach najwyższy krakowski bejs din orzekł, że owszem, bywać tam mogę, pod warunkiem że nie będę klękać, odmawiać modlitw, spowiadać się, zapalać świeczek i tak dalej. I o to mi tylko chodziło – żeby się nie czepiali, gdyby ktoś z nich przypadkiem zauważył mnie wchodzącą do kościoła albo z niego wychodzącą, a przecież tego, co ja tam robię, i tak się nigdy nie dowiedzą – bo niby jakim sposobem? Toteż, ilekroć mi przyjdzie ochota, pozwalam sobie nawet przyjmować komunię.

Gorzej może być, jeśli jakimś trafem krakowscy chrześcijanie wpadną na to, że jestem Żydówką, a wtedy próżno bym się tłumaczyła, że nią wcale nie jestem. Na samą myśl o tym cierpnie mi skóra, ale zazwyczaj, gdy tylko się ta myśl pojawi, odganiam ją jak natrętną muchę, klarując sobie, że przecież na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazuje, bym się miała wywodzić z Izraelitów, a już na pewno nie moja północna uroda. Chociaż, skoro już przy tym jesteśmy, może komuś przyjdzie do głowy takie podejrzenie, jeśli się będzie zastanawiał, dlaczego się ten Georg tak zawsze wykręca od chodzenia z innymi do łaźni – a może on jest obrzezany? Jeśli więc zamiast kolejnego mojego listu dojdą cię kiedyś słuchy o spaleniu żydowskiej wiedźmy, która podając się za chrześcijańskiego młodzieńca, przystępowała do komunii po to tylko, aby hostię, splamioną swą świętokradczą śliną, wynosić z kościoła, by ją następnie wraz z całą hordą swych współplemieńców deptać, opluwać i bezcześcić na wszelkie sposoby – to o mnie to będzie mowa!

No dobrze, żarty żartami, ale naprawdę muszę pilnie uważać, kto akurat przechodzi ulicą, kiedy ja wchodzę do synagogi albo do żydowskiej łaźni. Nie martw się, zawsze zachowuję niezbędne środki ostrożności, więc jeśli sami Żydzi będą na mój temat trzymać język za zębami, nic nie powinno się stać – a raczej będą, choćby dlatego, żeby na swoje własne głowy nie ściągnąć nieszczęścia.

Przy tym założeniu – o ile się ono nadal będzie potwierdzać, jak się to dzieje już siódmy rok – uważam, że nie płacę jakiejś szczególnie wysokiej ceny za to, że mogę w każdej chwili korzystać z ciepłej kąpieli (co niestety raz na miesiąc łączy się z koniecznością zanurzenia w lodowatej mykwie, i to po sam czubek głowy – brrr!). Od razu ci jednak powiem, że dziś już wcale nie kąpiele są najważniejszym z dobrodziejstw, z jakich korzystam dzięki potajemnej przynależności do Żydów. Bo widzisz, ja pod pretekstem zgłębiania zupełnie przyziemnych rzeczy, jakie żydowskiej

kobiecie zgłębiać wypada, przez wszystkie te lata staram się dotrzeć do ich tajemnych objawień, ukrytych w pewnych księgach, które tylko niewielu wybranym wolno studiować, a jeszcze spośród nich tylko bardzo nieliczni zdolni są cokolwiek z owych mistycznych dzieł sobie przyswoić. Mówią na to „kabała” – może obita ci się ta nazwa o uszy, choć mogę się domyślać, że raczej w rozumieniu wypaczonym przez powszechny przesąd i niewiedzę. Do mnie siłą rzeczy jakieś szczątkowe wzmianki o tej tajemnej nauce dotarły w trakcie moich pierwszych wtajemniczeń w podstawy żydowskiej wiary, a jak znasz swoją Gredechin, to wiesz, że gdy się czymś zaciekawia, to nie spocznie, dopóki się czegoś więcej o tym nie dowie. Oczywiście w tym celu musiałam się przed wszystkim bardzo podciągnąć w hebrajskim. Po z górą ośmiu latach żmudnych zmagani mogę dziś śmiało powiedzieć, że Celtisa, o ile w tym samym czasie nie poczynił w swej hebrajszczyźnie znaczniejszych postępów, zostawiłam już daleko w tyle; Kallimacha wyprzedziłam na pewno – w gruncie rzeczy umie on tylko z trudem sylabizować teksty wypisane majuskułą, o ile są opatrzone dodatkowymi znaczkami podpowiadającymi samogłoski (bo tych, wyobraź sobie, hebrajski alfabet sam w sobie w ogóle nie uwzględnia), ale i tak z tego, co na głos przeczyta, niewiele Filip rozumie, jeśli nie ma obok wypisanego łacińskiego tłumaczenia. Ja natomiast, jeśli chcesz wiedzieć, doszłam nie tylko do tego, że samogłoski bez trudu odgaduję, ale też z każdego czytanego tekstu prawie wszystko rozumiem, nawet jeśli go pierwszy raz na oczy widzę, co więcej, sama potrafię się dość swobodnie, choć pewnie nie zawsze poprawnie, po hebrajsku wysłowić. Opanowałam też początki języka aramejskiego, czyli tego, którym na co dzień posługiwali się Żydzi w czasach Chrystusa, i już próbuję czytać pisma żydowskie także w tym języku ułożone, a jest takich wiele, niektóre bardzo ważne. Teraz uczę się jeszcze czytać po arabsku, chociaż ciężko mi to idzie, bo litery są trudniejsze do zapamiętania od hebrajskich, ale niestety arabski przy zgłębianiu wiedzy tajemnej dawnych wieków to podstawa. Kiedy się go nauczę, będę mogła czytać w oryginale Razesa i Awicennę, jak też Majmonidesa, największego ponoć z mędrców żydowskich – z tym powinno pójść najłatwiej, jako że miał on ten miły zwyczaj, iż po arabsku pisał hebrajskimi literami. Swoją drogą, Żydzi do dziś posługują się własnym alfabetem do zapisywania tekstów w językach, którymi mówią na co dzień, nawet tych po niemiecku – chociaż na ogół umieją też czytać litery łacińskie.

Ale, Chryste Panie, co ja ci tym wszystkim głowę zawracam, kiedy miałam tylko opowiedzieć, jak to mnie Żydzi swatają. A to było tak: zeszłej niedzieli wybrałam się, jak co tydzień, do Kazimierza, do tej ich nowej siedziby; tam się wykąpałam, przebrałam w żeńskie suknie, w synagodze wzięłam z półki księgę Bahir, i jak to mam w zwyczaju, weszłam z nią na pusty o tej porze babiniec, żeby sobie spokojnie poczytać. Ledwie zasiadłam przy pulpicie i odnalazłam właściwą stronicę – słyszę: ktoś wchodzi. I za chwilę pojawia się przede mną ta Chanka Zysman, o której ci w poprzednim liście pisałam – właściwie już nie Zysman, a Klejnot, bo wkrótce po naszym poznaniu wyszła za mąż za Szmulika Klejnota, buchaltera u Fiszlów, tutejszych potentatów, i ja nawet byłam na tym ich weselu. Od tego czasu zdążyła już urodzić cztery małe klejnociątka. I teraz ona przychodzi do mnie i mówi mi tak:

– Hindele, mam dla ciebie bardzo dobrą wiadomość.

– O! – Ucieszyłam się. – Jaką? Mów!

Na to ona, uśmiechając się od ucha do ucha, mówi:

– Hindele, ktoś chce się z tobą ożenić!

Odebrało mi mowę, ale tylko na chwilę.

– Chanka, ja wcale męża nie szukam – odrzekłam spokojnie, pochylając się nad księgą na znak, że nie mam w tej sprawie już więcej nic do powiedzenia.

Ale Chanka nie dała się tak łatwo zbyć.

– Co ty gadasz, dziewczyno! – naskoczyła na mnie z wesołym błyskiem w oku. – Męża nie szuka, też wymyśliła! Ty lepiej zapytaj, kto on jest, ten twój chętny!

– No dobrze – mówię. – Kto on jest?

– Neftali! – oznajmiła triumfalnie.

– Który Neftali? – dopytywałam dla zyskania na czasie. – Neftali Mazur? Neftali Szojchet?

– No gdzież tam Szojchet! – zachnęła się. – Czy ja bym ci zawracała głowę Szojchetem? – Bo ten Szojchet to, trzeba ci wiedzieć, stary, gruby i niemły rzeźnik, który w dodatku połowy zębów nie ma. – No jak to który Neftali? Neftali Klejnot! Mojego Szmulika brat! Aha? I co powiesz?

No, tu już musiałam przyznać, że kawaler mi się trafił całkiem, całkiem. Starszy z młodych Klejnotów podobnie jak jego brat pracuje u Fiszlów, też jako buchalter, ale nie zwykły, tylko starszy buchalter, i jest najbardziej zaufanym człowiekiem Fiszlowej, świeżo owdowiałej głowy całego rodu,

która tam wszystkim rządzi twardą ręką. A w dodatku Neftali sam w sobie brzydki nie jest, owszem, może się kobiecie podobać, chociaż mnie akurat nieszczególnie, jest tu wielu bardziej od niego wpadających w oko, ale przecież na jego widok nie krzywię się ze wstrętu i nawet mi to pochlebia, że taki klejnot mnie, biedną sierotę, na żonę sobie upatrzył.

Znasz mnie, staram się nadrabiać miną, ale coś mi mówi, że to naprawdę może się dla mnie źle skończyć. Ci Klejnotowie, cała rodzina, są wyjątkowo bogobojni, nawet jak na Żydów – przed każdym kęsem, ba, przed każdym łykiem wody mamrocą stosowne błogosławieństwa, cichutko, bo to Bóg ma usłyszeć, a nie ludzie wokół. Więc, myślę sobie, jak tacy ludzie czegoś zapragną, to im się wydaje, że to sam Bóg im nakazuje: „Słuchaj, Neftali, pojmij tę niewiastę za żonę i spłódź z nią dzieci całą furę, gdyż taka jest moja, Pana twego i ojców twoich, wola”. Rozumiesz? Mam wyjść za kogoś takiego? Co wtedy będzie z moimi studiami, pomijając już wszystko inne? Ja przecież trzeci rok medycyny kończę! Pomyśl: po siedmiu latach pokornego ślęczenia nad bzdurnymi nieraz materiałami – dwóch na trivium, dwóch na quadrivium i trzech na fakultecie medycznym – już mi tylko dwóch lat brakuje do chwalebного doktoratu! I właśnie teraz mam to wszystko rzucić? Tylko dlatego że sobie jakiś młodzieniec, powiedzmy nawet że miły, zapragnął w łóżu się na mnie kłaść? Bo zresztą o czym my tu w ogóle mówimy? Ani mi się śni wychodzić za mąż, w każdym razie nie w najbliższej przyszłości. A już na pewno nie za Neftalego Klejnota, przy całym uznaniu dla jego licznych przymiotów.

Pewnie sobie myślisz, że mogę po prostu powiedzieć: „Nie, dziękuję” – i będzie po kłopotcie. Przecież mnie nie zmuszą, bo nie mają jak. Prawda, zmusić mnie nie mogą. Ale to nie takie proste, jak myślisz. Po pierwsze, za nic bym nie chciała zrazić sobie Chanki, a ona już podskakuje z radości, wyobrażając sobie, że będę jej szwagierką. Po drugie, ci Klejnotowie naprawdę wiele wśród tutejszych Żydów znaczą, a z bogaczami Fiszłami łączą ich nie tylko to, że Neftali i Szmulik dla nich pracują, ale jeszcze i to, że ich najstarszy brat, Zalman, ożenił się z młodszą Fiszłówną, Sarą.

Ach, z tym ich ślubem to była w swoim czasie niezgorsza draka, bo, wyobraź sobie, panna młoda wcale nie była panną. Jeszcze jako małą dziewczynkę wydali ją rodzice z pełnym ceremoniałem za mąż za niejakiego Dawida Zehnera, obiecującego młodego rabina z Budy. Tak to

się mówi, „wydali ją za męża”, ale prawdę powiedziawszy, ona dalej mieszkała z rodzicami w Krakowie, a on u siebie, na Węgrzech. Tak było do ukończenia przez nią dwunastu lat, bo nie wiem, czy wiesz, że dla Żydów dwunastolatka liczy się już za dorosłą kobietę, ale zanim ten wiek osiągnie, nawet zaślubiony małżonek nie ma prawa jej tknąć. Dlatego ten rabin Zehner poczekał cierpliwie w Budzie parę lat, ale zaraz po dwunastych Sary urodzinach zjawił się w Krakowie, żeby skorzystać ze swoich mężowskich praw. A tu go czekała niespodzianka, bo tymczasem stara Fiszlowa się rozmyśliła i za radą tego samego rabina Jakuba Pollacka, o którym ci wspominałam w poprzednim liście (żonatego z jej najstarszą córką, Ester), odwołała się do mało komu znanego przepisu z Talmudu, który pozwala młodej osobie w położeniu Sary odrzucić małżeństwo zawarte za jej małoletniości. Można więc powiedzieć, że taka dwunastolatka ma tu więcej do gadania niż starsza dziewczyna, kiedy już ją za męża wydadzą, bo wprawdzie u Żydów małżeństwo da się rozwiązać, ale tylko jeśli mąż się na to zgodzi; żony nikt o zdanie nie pyta, tak samo zresztą jak na każdy inny temat. To znaczy taki jest obyczaj, ale oczywiście zdarza się czasem, że dzieje się zupełnie odwrotnie, że to żona z zasady o wszystkim przesądza, a mąż jest jej tak ślepo posłuszny, iż w ważnych sprawach wszyscy zwracają się wprost do niej, jego całkiem pomijając. Tak przecież było z Raszką Fiszlową, dopóki żył jej Mojsze, a tym bardziej jest tak teraz, kiedy od pół roku jest wdową.

Jak się możesz domyślać, ten węgierski rabin, też nie w ciemną bitą, nie dał się tak łatwo zbyć i zaraz gdzieś wyszperał rozstrzygnięcie sławnego Menachema z Merseburga, który już pół wieku temu uznał był tamten zamierzony przepis za nieważny, orzekając, iż dziewczyna zaślubiona komuś w dzieciństwie jest tego kogoś żoną i tyle.

Wierz mi, nikomu nie było wtedy do śmiechu, bo Sara Fiszlówna zdążyła już – mając na to pisemne zezwolenie od rabina Pollacka, swego szwagra – wyjść za mąż za Zalmana Klejnota, i ich miodowy miesiąc właśnie trwał w najlepsze, co widząc, rozwścieczony rabin Zehner poprzysiągł zemstę wszystkim, którzy stanęli na drodze jego małżeńskiemu szczęściu – Rasce, Zalmanowi, Sarze – a na początek postanowił unicestwić rabina Jakuba. I prawie mu się to udało.



Już jestem. Musiałam przerwać pisanie, żeby wyskoczyć do apteki, bo ani się spostrzegłam, jak mi inkaustu w kałamarzu zabrakło. Wracam więc do zaczętej opowieści o tym, jak wystawiony do wiatru oblubieniec, rabin Zehner, mścił się za doznane upokorzenie. A działo się to wszystko cztery lata temu, mniej więcej w tym czasie, kiedy Filip wyjechał na tak długo do Wiednia. Rabin Pollack od dwóch lat mieszkał wtedy z Ester w Czechach, jako jeden z głównych rabinów Pragi, które to stanowisko ofiarowano mu wkrótce po tym, jak mnie tak łaskawie przyjął do żydowskiego bractwa Krakowa (choć nie zamierzam przez to twierdzić, że to mnie je zawdzięczał). Otóż Zehner zaraz po powrocie do Budy napisał do pozostałych praskich rabinów, że ich kolega dopuścił się podeptania praw żydowskich i nakłonienia podstępem cnotliwej młodej mężatki do cudzołóstwa. Za takie przewinienia w Starym Testamencie zapisana jest kara śmierci i kto wie, jak by się to dla rabina Jakuba skończyło, bo spośród praskich mędrców większość niestety przyznała rację Zehnerowi, nawet syn rabina Margolisa z Ratyzbony, którego Pollack był kiedyś ulubionym uczniem. Na szczęście po stronie Jakuba opowiedział się jeden z najbardziej poważanych prażan, rabin Pfefferkorn, więc żaden wyrok przeciw niemu nie zapadł, ale tak czy owak, w Czechach nie miał już odtąd czego szukać. Dlatego wrócił do Krakowa.

I bardzo dobrze, że wrócił, widać tak mu było zapisane w gwiazdach, jako że tylko w nim mogę pokładać nadzieję. Niestety wśród Żydów jeszcze bardziej niż wśród nas, chrześcijan, brakuje zrozumienia dla wyższych dążeń kobiecego ducha. Oni się często powołują na słowa pewnego rabina sprzed czternastu stuleci, który był łaskaw stwierdzić, że kobiecie potrzeba tyle tylko mądrości, iżby się jej wrzeczono przy przedzeniu nie zacinało. Ale co do rabina Pollacka, to od razu, jak mnie wtedy, na początku, przepytywał, widać było, że nie tylko moich studiów nie ma mi za złe, ale nawet mnie za nie pochwała. Dlatego trochę liczę na to, że w razie czego będę się mogła odwołać do jego zdrowego rozsądku.

Tylko że wtedy, w niedzielę, kiedy rozpromieniona Chanka przyszła mnie uszczęśliwić swoją radosną nowiną, rabina Pollacka w pobliżu nie było. A ja nie chciałam jej sprawić przykrości, ale też i zwodzić jej nie miałam zamiaru, dlatego na jej zapytanie: „I co powiesz?“, tylko objęłam ją czule, zresztą jak najszczerzej, bo przecież bardzo ją lubię, po czym

wyznałam, iż jestem obrotem spraw tak oszołomiona, że potrzebuję czasu, by się nad tym zastanowić. Chanka, choć trochę zdziwiona moim brakiem entuzjazmu, przyjęła jednak moje wyjaśnienia do wiadomości i nawet pomogła mi odnieść cenną księgę na miejsce – bo, jak się domyślasz, tego dnia nie miałam już zupełnie chęci do zgłębiania niejasnych przesłań zawartych w owym starożytnym dziele.

I teraz od dwóch dni zachodzę w głowę, jak tu najlepiej uwolnić się z tej pułapki, którą sama na siebie zastawiłam. Bo jeśli opowiadam ci o całej sprawie w tonie cokolwiek krotochwilnym, to w istocie nie ciebie, ale samą siebie próbuję rozweselać, żeby się nie ugiąć pod ciężarem czarnych myśli, tylko szukać jakiegoś wyjścia z tej opresji. Najbardziej się boję, że jeśli odrzucę propozycję tak zaszczytnego małżeństwa, Żydzi przestaną mnie uważać za swoją. Chcesz wiedzieć, co mogę wtedy stracić? O, bynajmniej nie tylko dostęp do łaźni i tajemnych ksiąg!

Zważ, że od siedmiu prawie lat Żydzi znają sekret mojej płci i jak dotąd zachowali go dla siebie, chociaż wielu z nich ma znajomych wśród tutejszych chrześcijan i lubi sobie z nimi ucinać pogawędki. Więc pewnie nieraz ich korciło, żeby zadziwić rozmówcę wiadomością o pewnym studencie Akademii, zdawałoby się prawym chrześcijaninie, który w istocie jest... i tak dalej, pojmujesz. Ale zawsze gryźli się w język, wiedząc, że przez takie gadanie żydowska dziewczyna może trafić na stos, a co gorsza, gdy już nabiorą krakowianie smaku na palenie Żydów, można się spodziewać z niemal całkowitą pewnością, że się tą jedną ofiarą nie nasycą. Ale widzisz, skoro okazuje się, że ta żydowska dziewczyna nie tylko na co dzień z Żydami nie chce przestawać, wołąc żyć wśród gojów, i to w – tfu! – męskim przebraniu, bo jej się gojskiej nauki zachciało, ale i jeszcze odmawia wywiązania się z naczelnej powinności żydowskiej kobiety, którą jest wyjść za mąż i męża być podporą, a zwłaszcza rodzić mu dzieci, aby się mnożyło plemię Izraela – to jaka z niej w końcu Żydówka? I chociaż jeszcze nikomu wprost nie powiedziałam, że za Neftalego nie pójdę, to już teraz narasta mi w głowie zgiewk coraz bardziej podniesionych głosów, które jeden drugiemu powtarzają z oburzeniem, jak to ta Hinda, przybłąda nie wiadomo skąd, odrzuciła rękę samego średniego Klejnota, wspaniałomyślnie do niej wyciągniętą. A kiedy taka wrzawa się podniesie, to choćby nie wiem jak chcieć ją utrzymać pod pokrywką, ona w końcu wykipi i rozleje się po okolicy.

Muszę koniecznie w tych dniach rabina Pollacka odszukać i poważnie się z nim rozmówić. Już sobie przygotowałam parę dobrych argumentów, które mu przedstawię na wypadek, gdyby jednak, wbrew moim nadziejom, chciał mnie namawiać do rychłego zamążpójścia. A nawet, powiem szczerze, argumenty argumentami, ale jest jeszcze inny powód, dla którego po cichu spodziewam się, że mnie rabin Jakub nikomu skrzywdzić nie pozwoli. A to dlatego, że ma u mnie dług wdzięczności i dobrze o tym wie. Jaki? Och, to długa historia, ale cóż, postaram się wyłożyć ci ją w miarę zwięźle.

To było prawie równo dwa lata temu, pod koniec czerwca 1494 roku, niedługo po powrocie Kallimacha do Krakowa, po tym, jak porzuciwszy swe wiedeńskie oddalenie, zamiast z Wiednia prosto tutaj się skierować – pisałam ci o tym – zboczył był niespodziewanie do Torunia i tam się na całą zimę zatrzymał. Ale wiosną wrócił, co miało chyba – tak przypuszczam – jakiś związek z zawarciem w Konstantynopolu przez polską delegację trzyletniego rozejmu z Turkami, który miał być potwierdzony w Krakowie podpisem króla Olbrachta. Pamiętam, że wielkie poruszenie w mieście wzbudzało stado wielbłądów, na których poselstwo sułtana przybyło po ten podpis. Wiem, że Filipa do owych rokowań z Turkami nie dopuszczono, i dopiero teraz rozumiem, że już wtedy młody król nie cenił go sobie aż tak, jak jego nieboszczyk ojciec. W każdym razie Olbracht, choć bez wielkiego pośpiechu, rozejm w końcu podpisał, co nazajutrz rozradowani Turcy świętowali na Rynku pod ratuszem, krzykliwie zawodząc jakieś nie z tej ziemi kantyczki na swoich beczących piszczałkach i tak do tego przybijając na bębnach, że aż się w głowie kręciło; a przy tym rozdawali na prawo i lewo przepyszne łakocie i zapraszali do przejażdżki na wielbłądach, do czego ustawiały się długie kolejki chętnych. Wspominam o tym nie dlatego, żeby to miało jakiś związek z tym, o czym mam ci tu opowiedzieć, ale żeby ci przybliżyć ten nagły przeskok od beztroskich zabaw owej niedzieli do straszliwych nieszczęść, do jakich doszło wtedy w mieście, jeszcze nim wstał nowy dzień.

Zaczęło się od zaproszenia ognia w którejś z piekarń przy wschodniej bramie miasta. Przy dość silnym wietrze pożar szybko rozprzestrzenił się na północ, ogarniając jedną ulicę za drugą, a gdy oparł się o mury okalające Kraków od zachodniej strony, niespodziewanie skręcił na południe, aż dopiero przy ulicy Szewskiej udało się go zatrzymać.

Pamiętam, szłam o świcie, jak w każdy poniedziałek, na poranny wykład de Regalisa, ale kiedy dotarłam do kolegium, okazało się, że wykładu nie będzie, tylko mamy wszyscy wziąć beczki z wodą i przetoczyć je przez pół miasta na ulicę Szpiglarską, w którą ogień się już wdzierał z obu końców i z jednego boku, i chodziło o to, żeby mu nie dać przejść dalej. Laliśmy tedy z trzema innymi szkolarzami wodę z naszej beczki, jak nam wskazano, na bele wołoku, którym, gdy już był dobrze namoczony, strażnicy okładali dachy zagrożonych domów. Wokół nas uwijali się jak w ukropie zrozpaczeni ludzie, jedni wyprowadzając z pożogi dziatwę i starców, inni starając się ratować zwierzęta gospodarskie, a wszyscy wynosząc pośpiesznie z domów co tylko się dało z mienia ruchomego.

A kiedyśmy, wylawszy całą wodę z naszej beczki, chcieli już ją potoczyć z powrotem do kolegium, by ją tam ponownie napełnić, spostrzegłam ze zgrozą, że inni gaszący, co już swoje beczki opróżnili, biorą się na miejscu do ich napełniania, ale nie wodą, tylko wszystkim, co im tam w żydowskich domach w oko wpadło. Żydzi, jak się domyślasz, na to pozwolić nie chcieli, zaczęli plądrującym swoje rzeczy z rąk wydzierać, no i to się zaraz przerodziło w prawdziwą bijatykę. Szarpali się i tłukli, kaszląc i rżąc od gęstniejącego dymu, w którym nie było nawet widać, kto kogo czym okłada, tylko raz po raz świstały w tumanie osęki, pałki, zydle, deski, albo błyskały noże. Za chwilę już i nie sami rabusie Żydów grzmocili, ale też jacyś nowi ludzie, którzy nie wiadomo skąd się tam nagle w dużej liczbie zbiegli, a którym już mniej o to, żeby się obłowić, chodziło, a więcej o zabawę z żydowskich łbów rozbijania. Wśród tych nowych wielu było w barwach straży krakowskiej – sinych kaftanach z szerokimi rękawami sięgającymi łokcia, z których wynurzały się zbrojne w cepy ramiona opięte piaskowym płótnem. Tymi cepami z całych sił młócili nieszczęsnych pogorzalców, zamiast się zająć gaszeniem pożaru. Och, wierz mi, Enneleyn, nie chciałybyś nigdy widzieć tego, co ja tam widziałam; to nie na twoją czułą duszę.

Wróciłam na Szpiglarską następnego dnia, chcąc się przekonać, jak wielkie ostatecznie były tam straty i czy nic się nie stało tym z Żydów, których bliżej znałam. Poza tym pilnie potrzebowałam kąpieli, będąc cała przesiąknięta swądem pożaru zmieszany z odorem mojego własnego potu, a do tego jeszcze oblepiona na całym ciele tłustą, czarną sadzą. Okazało się, że domy po południowej stronie ulicy w większości się ostały, choć były bardzo zniszczone; te od północy spłonęły doszczętnie.

Widziałam, jak wynoszono ze zgliszczy, jeszcze miejscami dymiących, przykurczone zwłoki dwojga dorosłych ludzi – jedne z nich były całkowicie zwęglone i zupełnie nagie, bo spopielające ubranie z nich opadło, nie potrafię jednak powiedzieć, czy były to szczątki człowieka starego czy młodego, ani nawet czy był on za życia mężczyzną czy kobietą. Drugie ciało było na pewno kobiece, w strzępach ubrania, z włosami w połowie wypalonymi do łysej czaszki, z gębą szeroko rozwartą, jakby biedaczka wciąż jeszcze krzyczała, a w tej gębie świeciły zęby przeraźliwie białe, więc nie mogła być stara. Jej oczy, Boże... Wypuczone, bielmem zaciągnięte jak u gotowanej ryby, ujęte w powieki też dziwnie białe na tle przypieczonego na rumiano nosa, policzków i czoła... Nie, nie chcę ci o tym opowiadać.

Po synagodze, którą ci w poprzednim liście opisywałam, zostały tylko osmalone ułamki murów, wciąż jeszcze gorące od żaru, który je strawił, za to budynek łaźni naprzeciwko jakimś cudem stał nienaruszony. Szczęśliwie trafiłam na godziny kobietom przydzielone i choć w środku było tłoczno – bo przecież wszystkie miejscowe tak samo się poprzedniego dnia uwędziły jak ja, jeśli nie bardziej – to jednak zdołałam się umyć, a przy tym nasłuchiwałam się wielu okrutnie zasmucających nowin o ludziach, których zdążyłam w minionych latach poznać i polubić. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy... Część z nich wciąż jeszcze nie wydała ostatniego tchnienia – opowiadały sobie wzajem zgnębione kobiety – ale ich bliskim pozostawało tylko modlić się dla nich o szybką śmierć, tak okrutnych doznali poparzeń.

Dziwna to była kąpiel, wśród wznoszących się pod sklepienie lamentów i snujących się po kątach westchnień. I nie tylko rozpacz w nich rozbrzmiewała i żal, ale też bezsilna wściekłość. Bo przecież oprócz tych, których pożar pochłonał, opłakiwały kąpiące się także tych, co ich zabili z bóje, a takich było blisko trzydzieścioro i drugie tyle okrutnie przez tamtych okaleczonych albo ciężko rannych. Jakby tego jeszcze mało było, to kiedy po ugaszeniu pożaru udała się starszyzna do króla ze skargą na strażę, że zamiast łotrów powstrzymać, sami się do gwałtów i rabunków przyłączyli, wówczas nie dość, że nie wpuszczono żydowskich delegatów na Wawel, to jeszcze ciż sami wiertelnicy, których oni chcieli oskarżać, mieli czelność, odciągnąwszy ich od bram zamku, zawlec ich następnie na Rynek i tam, ku wielkiej uciechu gawiedzi, wtrącić do lochów pod

ratuszem. Takim sposobem do ciemnicy trafili rabin Pollack, a także jego teść Mojsze Fiszle i kilku innych znaczniejszych Żydów.

Rachela Fiszlowa, która wszystko to na własne oczy widziała, teraz, rozprowadzając pastę z ciecierzycy po swych wciąż jeszcze ciemnych włosach, grzmiała, aż się ściany trzęsły, że nie pojmuje, jak mógł król Olbracht na coś takiego pozwolić, wiedząc, że jego ojciec, król Kazimierz, od niepamiętnych czasów ich rodzinę wyróżniał zaufaniem, powierzając im nawet bicie monety, że już nie wspomni o znacznych sumach, które i staremu, i młodemu królowi na każde wezwanie bez mrugnięcia okiem pożyczali.

Na te słowa odezwała się z drugiej balii Fajga Lewkowiczowa, której męża też razem z Fiszlem uwięzili.

– Raszka, ty posłuchaj! – zakrzyknęła z przejęciem. – Jak król wam jest winien pieniądze, i nam też, to po co on ma twojego i mojego Mojszego wypuszczać na wolność? Skoro oni siedzą, to tak jakby mu kto te pieniądze dał na zawsze! Oj, Raszka! – zaszlochała nagle, łapiąc się oburącz za głowę. – Mnie się coś widzi, że to się może bardzo niedobrze skończyć!

– Nie, nie, nie, nie! – zaprzeczyła żywo Fiszlowa. – Król może się i ugiąć chwilowo, żeby całego miasta przeciw sobie nie mieć, ale żeby on chciał naszej krzywdy, w to ja nie wierzę. Ja się tylko boję, czy on sobie nie da wmówić, że to myśmy na tamtych napadli, a nie oni na nas, bo w końcu kilku z nich też zginęło. Albo że to nasi ten pożar zaproszyli, może nawet celowo. Sprowadzą swoich świadków, ci będą kłamać w żywe oczy i wtedy król uzna, że trudno, skoro tak, to należy się Żydom sroga kara.

Wtedy ja, przez nikogo niepytana, zabrałam głos:

– Ja mogę świadczyć, jak było, jako gojski świadek. Byłam tam, wszystko widziałam.

– Ach, Hindele! – Raszka klasnęła w dłonie. – Prawda! To po to cię nam niebo zesłało! Tak twierdził zawsze Jakub, mój zięć... No, teraz już rozumiem, co on miał na myśli.

– I nie tylko, że zaświadczę – zapewniłam – ale zrobię wszystko, żeby wasze racje dotarły do królewskiego ucha. Mój pryncypał, pan Kallimach, jest króla najbliższym doradcą.

Wtedy, rzecz jasna, byłam jeszcze całkowicie przekonana, że tak właśnie jest.

– Kallimach? Ten Włoch? – Lewkowiczowa skrzywiła się z powątpiewaniem. – A on cię posłucha?

– Dlaczego miałyby nie posłuchać? – Wytrzeszczyłam oczy, chcąc zdziwienie okazać. – To mądry człowiek, sprawiedliwy, i nas, Żydów, wielce poważa. Nawet, z własnej potrzeby, nauczył się trochę czytać po hebrajsku. I mówię wam, nigdy, przez całe pięć lat, jak mu za sekretarza służy, jednego złego słowa od niego na nas nie słyszałam, choć przecie on ani podejrzewa, że mnie by się to mogło tyczyć.

Prawdę mówiąc, nie byłam wtedy wcale pewna, czy uda mi się Kallimacha nakłonić do wstawienia się za uwięzionymi Żydami, tym bardziej że nazajutrz miał od rana jechać z jakąś misją do Torunia. Czekałam na dogodną chwilę, żeby go zagadnąć, ale przy wieczerzy nie śmiałam, bo zdawał się całkowicie pogrążony we własnych myślach. Kiedy jednak zjadłszy, szybko wstał od stołu, wyraźnie mając zamiar zamknąć się u siebie, uznałam, że już lepszej okazji nie będzie, więc zerwałam się i zabiegłam mu drogę, jeszcze zanim wstąpił na schody.

– Co znowu? – zapytał, unosząc brwi.

Na jednym oddechu zdałam mu sprawę ze strasznych rzeczy, jakie poprzedniego dnia widziałam na Szpiglarskiej ulicy, i na zakończenie wypaliłam:

– A dziś wszędzie się mówi na mieście, że nie tych rabusiów, co Żydów napadli, tylko pół tuzina znaczniejszych Żydów wtrącono za to do lochu!

Zasępił się, słysząc to, i zagryzł wargi.

– A zawsze myślałem – przemówił cicho po dłuższej chwili, chyba bardziej do siebie niż do mnie – że tutaj Żydów znośniej traktują niż gdzie indziej. Ha, trudno, jeszcze jedno złudzenie mi prysło... – Popatrzył w jeden kąt izby, potem w drugi, pokiwał głową, aż w końcu, uniósłszy brodę, zajrzał mi bystro prosto w oczy. – A ty możesz o tym, coś tam widział, zaświadczyć? – zapytał.

– Z ochotą! – zapewniłam bez wahania.

– Ktoś tam był z tobą?

– Jeszcze dwóch szkolarzy ze mną beczkę pchało, byli też inni, ze swoimi beczkami.

– Oni też mogą świadczyć za Żydami?

Musiałam westchnąć.

– Za to nie rękę.

– No, wiadomo. – Pokiwał głową i wstąpił na schody, ale jeszcze się odwrócił. – Tak czy owak, bądź gotów stawić się przed ławnikami, kiedy cię wezwą.

Nazajutrz z samego rana wybrał się na Wawel, żeby odebrać od króla najświeższe poruczenia co do swej pruskiej misji. Jak mi później z ledwo wyczuwalną nutką goryczy opowiadał, dopiero na miejscu się okazało, że kanclerz Krzesław Kurozwęcki – ten, o którym ci już wcześniej pisałam, króla Olbrachta zły duch – w ostatniej chwili wcisnął Kallimachowi do towarzystwa swojego człowieka, niejakiego Pampowskiego. A jednak, mimo że tenże wredny Kschessuaff był podczas odprawy obecny i choć się nie odzywał, to bardzo czujnie słuchał wszystkiego, co się tam mówiło, to Filip nie zawahał się wspomnieć królowi o krzywdzie Żydów krakowskich i polecić ich gorąco jego opiece. Tyle mógł zrobić przed wyjazdem. Ja oczywiście wtedy przebiegu owej audiencji nie poznałam, bom Kallimacha zobaczyła dopiero, gdy sześć tygodni później z Prus powrócił, ale trochę mogłam się domyślać, o czym się tam mówiło, jako że w istocie po jakichś dziesięciu dniach wezwano mnie do ratusza na posiedzenie sądu gajonego, gdzie bardzo dociekliwie mnie ławnicy przepytawali, co widziałam, a czego nie widziałam. Wszystko im mówiłam zgodnie z prawdą, więc choć próbowali, nie mogli mnie na zamotaniu się we własne kłamstwa przyłapać, a na to, żeby mnie choćby dokładniej o moje miasteczko rodzinne dopytać (czego się trochę obawiałam), na szczęście nie wpadli. I, ku mojej radości, w kilka dni później zostali Żydzi z więzienia wypuszczeni. Ławnicy, po rozpatrzeniu wszystkich świadectw, nie znaleźli na ich winę żadnych niezbitych dowodów. Myślę, że miała na to wpływ wola króla, w ten czy inny sposób dana sądowi do zrozumienia. Chociaż może po prostu zręczniejsze było sędziom w ten sposób sprawę łeb ukreć, gdyż trzeba ci wiedzieć, że także o niczyjej innej winie nie było w sentencji umorzenia ani słowa.

I to by można było uznać za salomonowe rozwiązanie, gdyby rajcy krakowscy na to przystali, ale gdzie tam! Gotowi byli z piekłem się sprzymierzyć, byle nie przepuścić takiej pierwszorzędnej okazji na całkowite Żydów z miasta usunięcie. Kilku znaczniejszych duchownych dało im list polecający, wśród nich nawet, do tamtej pory wielce z Kallimachem zaprzyjaźniony, Jakub z Bokszyca, który jest bardzo blisko z kardynałem Fryderykiem, bratem królewskim, jako jego wikariusz przy arcybiskupstwie gnieźnieńskim. Z tym listem burmistrz Thurzon stawił się

przed królem i tak właśnie, jak się spodziewała Raszka Fiszlowa, bardzo przemyślnie dowodził, że nikt inny, jak sami Żydzi złośliwie podpalili chrześcijańską piekarnię przy Nowej Bramie, od której pożar się zaczął. „Toż Opatrzność – przekonywał – dała nam jasny znak, kto tu winę ponosi, każąc wiatrowi ponieść pożogę w stronę siedzib sprawców i nad nimi się najsrożej żywiołowi pastwić”.

Na szczęście Filip zdążył już wówczas wrócić do Krakowa i był przy królu, kiedy Thurzon wygłaszał przed nim swą tyradę, ale właściwie nie musiał nic mówić, gdyż Olbracht, nie pytając go wcale o zdanie, grzecznie, ale stanowczo odprawił obrotnego Węgra z niczym.

Na tym się wszakże nie skończyło, bo po tygodniu Thurzon znów się pojawił na Wawelu, tym razem zaopatrzony w list od samego kardynała Fryderyka. Nasiedział się w kancelarii kilka godzin, czekając, aż Olbracht znajdzie czas, by go przyjąć, jednak się nie doczekał i odszedł jak niepyszny. List od kardynała powierzył sekretarzowi Drzewickiemu, prosząc, by ten go królowi przekazał i potem go powiadomił, kiedy ma się na audiencję stawić.

Tego właśnie listu odpis znalazłam dzisiaj w Filipowych papierach, w czym masz żywy dowód, jakim zaufaniem wtedy, przed dwoma laty, król darzył mojego pryncypała – zupełnie inaczej niż teraz. W liście tym, który mam w tej chwili przed sobą, pisze młodszy brat, kardynał, do starszego, króla, że z pewnością ktoś go celowo w błąd wprowadza co do istoty rzeczy. „Daleko mi od niesprawiedliwych nawoływań – zastrzega się dalej – ale serce mi się krwawi dla tej krzywdy Bożej, z powodu obrazy imienia Chrystusa i z powodu bezczelności Żydów, którym nie dość, że wysysają krew chrześcijańską czy wykradają na rzeź chrześcijańskie dzieci, potem ogłaszane za święte, to zachciewa im się jeszcze okropniejsze swymi brudnymi rękami spełniać zbrodnie, o czym trudno mi pisać bez bólu i drżenia...”

Zauważ, to tak wygląda, jakby on w te wszystkie obłąkańcze brednie ślepo wierzył, pomimo że go Kallimach od pięcioletniego berbecia miał na wychowaniu. Widzi mi się jednak raczej, że to z jego strony tylko ponura komedia. Sędziom się, powiada, nie może nadziwić, że wzbraniają się sprawę doprowadzić do końca, skoro na śledztwo już dwa miesiące stracili, z niemałym, jak przyznaje, trudem nakładem. A wreszcie do samego króla wyrzut kieruje, zapytując surowo, czy to się godzi, aby więcej dla niego znaczył głos jednego cudzoziemca, co się uparcie

wstawia za Żydami – to ci już chyba nie muszę objaśniać, o kim tu mowa – niżli tylu mężów powaga i wiara? Anizeli jego, kardynała prymasa, godność? I dalejze przywoływać przestrogi przez niebiosy zesłane, jak tenże „krwią sycony” pożar Krakowa, ale też niebywałe ponoć wylewy, pomór, niewola tysięcy wojska, pół spustoszenie, wróg na karku... Bo akurat gdzieś w tamtych dniach doszły wieści o ciężkiej klęsce zadanej przez Tatarów połączonym siłom litewskim i polskim, na Litwie wprawdzie, ale blisko polskiej granicy.

A najgorsze w tym liście kardynała jest to, że on się na koniec powołuje na powagę Jana Kapistrana! A ty wiesz, kto to był? Ja też nie wiedziałam, ale nasłuchiłam się o nim od Żydów więcej, niż trzeba, żeby sobie o nim zdanie wyrobić. Mogę ci więc powiedzieć, że był to może najbardziej zajadły i opętany mnich, jakiego kiedykolwiek ziemia nosiła. Z urodzenia Włoch, po całym świecie wędrował, wygłaszając płomienne kazania, którymi łatwo prawdziwe ognie wzniecał. Tu, do Krakowa, przybył w 1453 roku, poprzedzony sławą tego, który we Wrocławiu ponad czterdziestu Żydów kazał spalić – że niby właśnie hostie wykradali z zamiarem ich pohańbienia – a resztę z miasta wypędzić, zabrawszy im wcześniej dzieci, żeby je oddać chrześcijańskim rodzinom na wychowanie. To samo urządził w Świdnicy, ale że to miasto dużo mniejsze, udało się tam spalić Żydów ledwie siedemnaścioro. W Krakowie król Kazimierz, owszem, przyjął Kapistrana z należnymi honorami, ale nikogo na spalenie wydać nie pozwolił, przez co go ten upiorny pomyślenie o mało nie wyklął. I teraz, po blisko pół wieku, kardynał Fryderyk, niepomny rodzica swojego mądrości, pisze do brata: „Zaiste boję się, aby się nie spełniło proroctwo głoszone tu przed laty przez ojca Kapistrana!”. Co właściwie tamten wściekły klecha wtedy prorokował, nie dowiadywałam się, ale łatwo zgadnąć, że musiało to być coś okropnie nieprzyjemnego.

Mimo wszystko wydawało się wtedy, że król Olbracht nie ugnie się pod naciskiem brata ani tym bardziej rajców krakowskich, bo rzeczywiście do ponownego uwięzienia żydowskiej starszyny nie dopuścił. Czego jednak Kallimach wówczas nie wiedział, a tym bardziej ja wiedzieć nie mogłam, to że jeszcze tego samego dnia podpisał król dekret nakazujący wszystkim Żydom opuszczenie Krakowa w przeciągu szesnastu miesięcy, czyli do końca zeszłego roku. Równocześnie, rozumiejąc widać pożytki z podtrzymywania królewskiej nad Izraelitami opieki, tym samym dekretem ponadawał im dla osłody parcele w Kazimierzu, o czym ci

chyba już wcześniej wspominałam. Kardynał Fryderyk najwyraźniej zadowolony był tym, że Żydzi będą się musieli z Krakowa wynieść, bo zaraz potem, udobruchany, sprawił bratu podarek, kazać duchownym odprowadzać do skarbu królewskiego czwartą część dochodów z czynszów, na cele obrony przed Turkami i Tatarami.

Ależ się zapędziłam w te stare sprawy, a miałam ci przecież tylko wyjaśnić, dlaczego uważam, że rabin Pollack ma wobec mnie dług wdzięczności. Bo przecież ma, skoro to ja napuściłam wtedy Kallimacha, żeby się za nimi wstawił, i on, który był może najbardziej zagrożony, z całą pewnością o tym wie od Raszki, swojej świekry. Także i świadectwo moje przed sądem mogło tam co nieco zaważyć. A wierz mi, bardzo mało brakowało, aby rabina Jakuba i wszystkich z nim razem uwięzionych spalili na Rynku, tak jak w tym samym czasie postąpili Węgrzy w Tyrnau koło Preszburga z tamtejszą starszyzną izraelską! Znam szczegóły tamtego koszmaru z pierwszej ręki, od kilkorga cudem ocalałych, którzy po niemałych trudach dotarli do Krakowa w nadziei, że tu znajdą schronienie, i przekonali się na miejscu, że i tu za wesoło nie jest, choć przecież lepiej niż u nich, skoro proces tutejszy zakończył się niczym i uwięzieni wyszli na wolność. A jakby mało było tego całego zamieszania, w tym samym czasie zaczęli gromadnie docierać do Krakowa Żydzi z Litwy, po tym jak książę Aleksander kazał im się stamtąd wynosić – i, ma się rozumieć, oni także mogli się osiedlać tylko w Kazimierzu, a że tych żydowskich działek tam wcale nie było tak dużo, nie lada łamigłówkę miała starszyzna z należytym wszystkim rozmieszczeniem.

Teraz w samym Krakowie już od pół roku nie ma ani jednego Żyda – wszyscy się do Kazimierza przenieśli i tam sobie powoli układają życie od nowa. Można powiedzieć, że na tej przymusowej przeprowadzce nawet zyskali, bo znów mogą bez narażania się na kary handlować, czym chcą, i dowolnie uprawiać rzemiosła. Muszę się tam do nich wybrać jak najprędzej – może się uda już jutro po popołudniowym repetytorium – żeby się z rabinem Pollackiem rozmówić. Teraz, w czerwcu, zajęcia kończymy koło dwudziestej godziny, więc łatwo zdążę potem przejść do Kazimierza, wykąpać się w łaźni, zostawić pracze Gitli toból z brudami, które z siebie zdejmę, żeby się nimi po sabacie zajęła, po czym, przebrana

w świeże, pachnące suknie, postaram się jeszcze przed zachodem słońca odnaleźć rabina i przekonać go do swoich racji.

Jedyny kłopot z tym jest taki, że mamy teraz od tygodnia nieznośne upały, a tu trzeba się okryć obszerną męską opończą, na tyle długą, żeby całkowicie zakrywała żeński strój, który będę miała na sobie, wracając do Krakowa. Liczę tylko na to, że przed wieczorem nieco się ochłodzi, chociaż nawet noce ostatnio są tak ciepłe, że spać mogę tylko całkiem nago, i to niczym nieprzykryta, ale to nic dziwnego, bo izba moja na zachód wychodzi i słoneczny żar wpada do niej przez dobre pół dnia, na żadne przeszkody nie natrafiając. Ale cóż, w taki upał wszyscy chodzą spoceni, więc tak bardzo się nie będę wyróżniać.

Z tego upału wielu ludzi w Krakowie choruje, a doktorzy, od których mam się medycyny uczyć, drapią się w głowę i z braku czegoś lepszego zalecają kataplazmy z suszonych ropuch albo poją chorych nalewką winną na porach, zaprawioną byczą zółcią. Czy to co pomaga, pewności mieć nie można, tak samo jak trudno powiedzieć, czy szkodzi – bo skąd można wiedzieć, czy to od tego chorzy raz po raz chlustają na zielono przodem i na krwawo tyłem, czy raczej mimo to. Rajcy poszli ostatnio po rozum do głowy i zabronili ludzkie nieczystości wylewać na ulicach, a w razie gdy się komuś coś przydarzy, ma zaraz po sobie posprzątać, a resztki piaskiem zasypać, pod groźbą surowej kary. Zarazem jednak zgłupieli ojcowie miasta do reszty, bo zalecają obywatelom, żeby się wstrzymali od kąpiei – że niby woda chorobę przenosi. Ja tam widzę, że nie od wody się ludzie zarażają, tylko od drugich ludzi, a do tego idę o zakład, że od brudnych prędzej coś złapią niż od umytych. Już lepiej, by zacni panowie Rada przed zamtuzami ostrzegali, bo dotarł już do nas morbus gallicus, straszliwa przypadłość, której najłatwiej się w przybytkach rozpusty nabawić. W zeszłym roku przywiozła ją do Krakowa z pielgrzymki do Rzymu lekkomyślna żona jednego tutejszego szewca. W Polsce wprawdzie nie zbiera jeszcze ta choroba tak obfitego żniwa jak we Włoszech, ale i tam zaledwie trzy lata temu nikt o niej nie słyszał, a z tego, co się dowiaduję na wykładach, u nas też już się coraz bardziej rozpędza. Jest tylko jeden pewny sposób, żeby tego paskudztwa nie złapać, taki mianowicie, żeby z niczyją wilgocią w żaden sposób swojej nie łączyć, choćby to był i własny mąż – bo kto wie, z kim on miał niedawno do czynienia. O twoim Dietmarze tu, rzecz jasna, nie mówię, tylko ogólną zasadę mając na myśli.

Ciekawa jestem, czy i u was pojawiła się ta francuska choroba (Polacy nazywają ją niemiecką – dobre, co?). Bez względu na to, lepiej nie podchodź do ludzi za blisko, trzymaj się zwłaszcza z dala, kiedy widzisz, że ktoś kicha czy kaszle, nie mówiąc już o rzyganiu. Uważaj też, żeby nie jeść z nikim z jednej miski, bo w ten sposób łykasz jego ślinę; tak samo dobrze wymyj łyżkę, której ktoś używał, zanim sama nią jeść będziesz, no i stale myj ręce. Tak ci radzi szkolarz Starkfaust, jeszcze nie doktor, ale już naukami tak nafaszerowany, że omal nie pęknie.

Uważaj na siebie, choćby przez wzgląd na twoją trójkę drobiazgu, któremu należy się matka – sama wiesz, jak to jest bez matki dorastać, co i ja wiem, z tą jednak różnicą, żeś ty matkę do dwunastu lat miała, a ja swojej nie pamiętam w ogóle, toteż nie wiem nawet, jak to jest, gdy się ją ma – a zresztą mniejsza o to; w każdym razie ucałuj dzieciaki od ciotki Gredechin, która gdy wreszcie z wojaży powróci, każdemu z nich przywiezie po parze pięknych krakowskich ciżem z długachnymi nosami, aż wszystkich wokół czarna żółć zaleje.

I przekaz ode mnie ukłony małżonkowi. Powiadasz, że nie ma ochoty czytać moich listów, bo mu się nudne wydają? Jeszcze bardziej go przez to lubię. Pozwolę sobie tylko nieśmiało zaoponować na jego twierdzenie, że bazgrzę jak kura pazurem. Nie jestem, to prawda, mistrzynią kaligrafii, sądzę jednak, że litery stawiam dość równo i raczej wyraźnie, tylko może innego nieco kształtu i inaczej łączone, niż Dietmara uczone. Nie ma to zresztą dla mnie większego znaczenia, dopóki ty bez trudu moje pismo odczytujesz.

Trzymaj się więc zdrowo, moja droga Enneleyn, i ufaj swojemu mężowi, bo jeśli mu nie zaufasz – cóż ci pozostanie?

Pisałam w Krakowie

w czwartek,

23 czerwca, dałam rankiem

w piątek, 24 czerwca 1496.

LIST VI

Och, Enneleyn, jest mi tak okropnie źle! To, czego się najbardziej obawiałam, właśnie się stało – on już na dobre wdepnął w to pruskie bagienko! Przed godziną zjawił się umyślny, od stóp do głów na palec kurzem okryty, jakby przez całe siedem dni jazdy nie znalazł czasu, by się obmyć przy studni i przynajmniej wierzchnie suknie przetrzepać – z listem do mnie. Biorę ten papier, patrzę: pieczęć Filipa, z literami PCE – Philippus Callimachus Experiens. Otwieram z zapartym tchem i pierwsze słowa, które widzę, to: „Ciesz się ze mną, przyjacielu sercu drogi: kocha mnie moja umiłowana i pocałunków moich łaknie. Jestem najszcześliwszym z ludzi!”.

Aż się musiałam stołu przytrzymać, bobym chyba padła. I patrz: jakby mu mało było mojej udręki, jeszcze umyślnym do mnie wiadomość posyła, iżbym czytając, miała poczucie, że to wciąż świeże, że on do tej pory z przejęcia nie ochłonał! A wiesz ty, ile trzeba płacić gońcowi na taką odległość? Sześćdziesiąt groszy, moja droga! Czyli na nasze: trzydzieści skojców. To w sumie tyle, ile do tej pory – przez siedem lat! – zapłaciłam Akademii czesnego. Będzie mógł sobie za to ten kurier, jeśli mu przyjdzie ochota, kupić na przykład kuszę albo ze trzy mleczne krowy.

Żeby ci dać pojęcie, nad czym ja tu tak szaty rozdzieram, muszę ci pokrótce przybliżyć, o czym on mi w tym liście pisze. Otóż, jak się można było spodziewać, już nazajutrz po przybyciu do Torunia zjawił się z samego rana u Musingów z podarkami dla całej rodziny. Dla Gerharda miał oprawne w złoto szkła do czytania, dla Korduli epos Boiarda *L'Inamoramento de Orlando*, o którym tyle się ostatnio mówi, a dla Loliki, chcąc pewnie przez to utrzymać wszystkich w przekonaniu, że to do niej właśnie wzdycha – zbiór chansons Josquina des Prés, świeżo w Wenecji drukiem wydany (oba te tomy sprowadził na jego zamówienie świetny tutejszy księgarz, pan Klemesch, o którym ci już chyba wspominałam). Nie zapomniał Filip nawet o kucharce Małdycie, słusznie

się spodziewając, że nie tylko ona sama, ale i cały dom Musingów taki gest doceni – specjalnie dla niej przywiózł z Krakowa piękny batystowy czepiec, koronkami ozdobiony. Wątpię, czy aż takie wydatki były potrzebne, żeby drzwi domu przy Panny Marii stały przed nim otworem o każdej porze dnia, bo przecie już od dawna był tam traktowany jak bliski przyjaciel rodziny i nic nie wskazywało, żeby się to miało zmienić. W każdym razie przesiadywał u burmistrzostwa całymi dniami, a nawet raz czy dwa przeprowił się z nimi czółnem na drugi brzeg Wisły, żeby tam wspólnie wygrzewać się w słońcu na piaskowej łasze. Przez cały ten czas zalecał się dwornie do Loliki, ale – jak mi pisze – w taki sposób, żeby niełatwo było wymiarkować, czy to z jego strony tylko pusta galanteria, czy też poważne starania.

Któregoś dnia zajrzał do nich po obiedzie i w drzwiach prawie minął się z Gerhardem, który śpieszył na posiedzenie do ratusza. Lolika właśnie zaczynała lekcję muzyki ze swoim fidlistą i z głębi domu dobiegały głosy ich obojga oraz skrzypienie instrumentu nauczyciela, powtarzające wciąż na nowo jakąś szczególnie wymagającą frazę. Panią Musing znalazł Filip w izbie gościnnej, pochyloną nad tomiszczem Boiarda.

– Podoba się panu ta Angelica? – ozwała się, unosząc wzrok znad kart książki. – Nie pojmuję, co ci wszyscy dzielni rycerze w niej widzą.

– Urodę – odrzekł, skrywając za uśmiechem świadomość, że ta odpowiedź burmistrzowej nie zadowoli.

– Ale kiedy ona tę urodę wystawia na sprzedaż! – wykrzyknęła ze wzburzeniem. – I to za jaką cenę! Ten ma ją dostać, kto w turnieju pokona jej brata. No jakże to tak? Brat mógł przy tym zginąć! Zabij mi brata, a będę twoja?

– Gorzej – zdradził jej poufnie. – Okaze się wkrótce, że był to z jej strony tylko podstęp.

– Ach tak? – Zmarszczyła brew. – To cóż za heroinę sobie ten Boiardo obrał?

– Rzeczywiście – przyznał, przysiadając przy niej, jakby chciał wraz z nią śledzić wersy Zakochania Rolanda. – Angelica jest podstępna, nieobliczalna, zmienna w uczuciach. Ale może właśnie dlatego – podjął przyciszonym głosem, zbliżając twarz do jej twarzy – potrafi być też czuła i namiętna...

– Uważasz pan, że te, które są stałe, nie potrafią? – wykrztusiła spłoszona, by po chwili, słowami Izoldy, niemal bez tchu wyszeptać po

niemiecku: – „Ach, panie mój, cóż wszak pan rzekł?”.

A on na to najlepszą niemczyzną, jakiej zdołałam go nauczyć, zaszemrał po swojemu:

– „Tak sama ty, jak i twa miłość zmysły pomieszałyście mi...”

„Rozumiesz, Georgiuszu – objaśnia mi Filip w liście, jak komuś niezbyt pojętnemu – w razie gdyby nie przyjęła tych słów dobrze, zawsze mogłem się jeszcze wycofać i udawać, że przytaczam je tylko na prawach cytatu”.

Ale niestety! Aż nadto dobrze je przyjęła! Jak podcięta osunęła się w jego ramiona, rozchylonymi wargami błędząc po jego twarzy. On wtedy, jak mi to z całym bezwstydem przedstawia, czując na sobie luby ciężar jej piersi, ustami zaraz przywarł do jej ust i językiem łatwo znalazł drogę do jej języka – miękkiego i gładkiego, jak powiada, a już na pewno śliskiego od śliny. Filip, niestety, nie uznał za stosowne oszczędzić mi drobiazgowego sprawozdania z lubieżnych igraszek, jakich się następnie przez dłuższą chwilę oboje dopuszczali, oplatając każde swój język wokół języka drugiego, jednakże ja, jeśli pozwolisz, nie będę się wdawała w zbyt dokładne wyszczególnienie tego, co oni tam z tymi językami wyprawiali, aby twojego wrażliwego żołądka nie wystawiać niepotrzebnie na próbę.

I kiedy tak, niepomnych zgoła miejsca ani czasu, wsysała ich otchłan przewrotnych rozkoszy, w swym odurzeniu za późno dosłyszeli dobiegający z korytarza tupot trzewików Loliki i jej wesołe wołanie: „Mamo!...”. Najwidoczniej dziewczyna chciała się z matką czymś pilnie podzielić – cóż, kiedy następne słowa zamarły jej na ustach na widok tych dwojga bezrozumnych, którzy nie zdążyli się od siebie oderwać, zanim wpadła do pokoju. Tuż za Loliką szedł fiddleista, który wszakże, jak mnie Filip zapewnia, nic już szczególnego zobaczyć nie zdołał, co najwyżej dwoje zaczerwienionych ludzi starających się ukryć zmieszanie i uspokoić wzburzone oddechy.

Pierwsza głos odzyskała Kordula.

– Pożegnajmy wpierw pana Kallimacha – rzekła, siląc się na swobodę.

– Skoro tak pilne sprawy pana wzywają, zatrzymywać cię nie będziemy. Idź z Bogiem, drogi przyjacielu, i do rychłego zobaczenia.

Na to Filip skłonił się dwornie najpierw jej, potem Lolice, ta jednak, zamiast dygnąć mu w odpowiedzi, wybuchnęła płaczem. Burmistrzowa próbowała ją utulić, ale córka, coraz głośniejszochając, zaczęła się jej wyrzywać i odpychać ją od siebie, więc Kordula, starając się wciąż objąć ją ramionami, jedną ręką ponagłajaco machnęła za siebie na Filipa. Jemu

przy takim obrocie rzeczy nie pozostawało nic innego, jak skinąwszy głową wciąż nic nierozumiejącemu fidiście, czym prędzej się oddalić.

I jak myślisz, jaki był jego następny krok? Czy zrobił to, co by w jego położeniu zrobił każdy rozumny człowiek? Nie! Zamiast czym prędzej, rozstawnymi końmi, uciec jak najdalej od Torunia, on do mnie umyślnego posyła, żeby się przed młokosem pochwalić zdobyczą, a sam, pijany ze szczęścia, jak powiada, siedzi beczynnym w tym swoim świeżo kupionym toruńskim domu i czeka na wiadomość od wybranki – bo ani przez chwilę nie wątpi, że taka niebawem nadejdzie. Miejmy nadzieję, że chociaż jakieś wiersze pisze z tej okazji.

Wybacz mi, proszę, że zaprzątam twoją uwagę tymi Kallimachowymi szaleństwami. Nie powinnaś przez to myśleć, że nie przejęłam się rzeczami, o których mi piszesz w swoim liście, albo że go jeszcze nie dostałam, bo owszem, przyszedł dziewięć dni temu i bardzo mnie żywo poruszył. Tylko że właśnie dziś zjawił się umyślny z listem od Filipa, a kiedy go przeczytałam, wszystko się we mnie zatrzęsło, zrozum. Ale na tym już dosyć, możesz być spokojna; już wyrzuciłam z siebie wszystko, co wyrzucić musiałam.

I już bez dalszej zwłoki śpieszę cię pocieszyć w twych strapieniach. Zdaje mi się, że wiem, co czujesz, choć w mym współczuciu nie mogę się odwołać do własnych doświadczeń, przez co trudniej mi się postawić na twoim miejscu. Potrafię sobie wszak wyobrazić, jak bardzo, mimo wszystkich radości, trójka dzieciaków może się człowiekowi dać we znaki, a przy tym uważam, że trzykrotne przejście przez trudy stanu brzemiennego i mękę porodu to aż nadto jak na siły jednej kruchej istoty. Może jednak – wybacz, że chwytam się tej myśli, tak mało o twoim stanie wiedząc – może twoje obawy są przedwczesne? Bo przecież przyczyny tego, że ciało ociąża się z powrotem do spełniania swoich zwykłych czynności, mogą być bardzo różne, nie tylko ów stan, nieraz pochopnie zwany błogosławionym. Ustanie krwawień miesięcznych może być spowodowane choćby jakimiś zaburzeniami spoczynku nocnego. Jak z tym jest u ciebie? Czy sen ci służy należycie, czy też po nocach z boku na bok się przewracasz aż do świtu, myślami złymi trując głowę? Coś mi się wydaje, że tak właśnie być może, a to nieraz wywiera na nasze ciała wpływ nie mniejszy niż fazy księżyca.

Cykl miesięczny mogą poza tym zakłócać inne jeszcze rzeczy, jak nagły przyrost lub spadek wagi, albo jakieś nowe potrawy, do których twoje trzewia jeszcze nie przywykły. Nie mogę też nie wspomnieć o jeszcze jednej możliwej przyczynie tego, co się z tobą dzieje, ale tej – na psa urok! – stanowczo ci nie życzę; prawdę mówiąc, to już jednak lepiej, żebyś była brzemienna. Muszę jednak także i takie wyjaśnienie brać pod uwagę, bo zła by ze mnie była przyjaciółka, gdybym cię przed nim nie ostrzegła. Otóż zdarza się niekiedy, że podobnie jak na skórze wyrastają pieprzyki czy kurzajki, tak i w głębi ciała pojawiają się samoistnie narośle na organach wewnętrznych. Zapytaj ojca – jest na ich temat dużo u Awicenny, który za Hipokratesem określa je jako karkinoi, to jest „kraby”, jako że z wyglądu nieraz te żyjątka przypominają. Niektóre z tych „krabów” bywają bardzo niebezpieczne, gdyż mogą się rozrastać na wszystkie strony i cały narząd zawłaszczają dla siebie, jakby wpijały się kleszczami w bezbronne tkanki. Ba, nierazkto zdolne są nawet wypuszczać swoje macki i odszczepki do innych organów, co już naprawdę nic dobrego nie wróży. Dlatego jeśli krwawienia nie wrócą, a nie będziesz miała żadnych innych objawów, które by wskazywały na ciążę, musi cię co prędzej zbadać zaufany medyk, albo chociaż położna, z tych bardziej rozgarniętych, żeby ustalić, czy aby żaden tego rodzaju nieproszony gość się w tobie nie zagnieździł.

Gdyby się jednak okazało, że jesteś po prostu brzemienna, co w końcu wydaje się bardzo możliwe, to jedyny środek zaradczy, o którym do tej pory zdarzyło mi się zasłyszeć, to wyciąg z kłębu paproci, ale tego ci w żadnym razie nie polecam, bo niejedna już od niego oślepla albo nawet życie straciła. Dlatego postaram się w następnym liście coś więcej ci o tym powiedzieć, a ty na razie spróbuj może sama podpytać ową łebską położną – jeśli taką znajdziesz – albo może tego Odbalda z sąsiedztwa, o którym mi piszesz, że studiuje medycynę, o ile, rzecz jasna, można polegać na jego znajomości rzeczy, no i dyskrecji, bo tego by tylko brakowało, żeby się to rozeszło – wiesz, jacy są ludzie. Domyślam się, że do własnego ojca niezręcznie by ci było w takich sprawach się zwracać, więc jeśli, nie daj Boże, rzecz okaże się niecierpiąca zwłoki, ostatecznie pewnym rozwiązaniem może też być jakaś zmyślna wiejska baba, taka jak ta moja Czechna, tylko że z tego, co słyszę, ostatnio w naszych stronach padł na nie blady strach – nawet tu, do Krakowa, dotarły wieści o strasznym ojcu Kramerze ze Schlettstadt, którego ulubioną rozrywką

jest posyłanie tych Bogu ducha winnych kobiet na stos – więc może nie być ci łatwo do którejś z nich dotrzeć, niestety.

Ja sama nie mam na razie dla ciebie gotowej i niezawodnej porady, bo, widzisz, zadanie, które przede mną postawiłaś, uświadomiło mi, jak wielkie mam jeszcze braki w wiedzy medycznej. Przysięgam jednak, że zrobię wszystko, co w mej mocy, żeby się czego trzeba jak najprędzej dowiedzieć, i już w następnym liście dam ci poznać owoce mych dociekań. Tymczasem przytulam cię mocno, żebyś mogła poczuć, jak bardzo jestem zawsze z tobą.

Wiem, że i ty jesteś zawsze ze mną, i że tak samo ciebie moje troski poruszają, nie mniej niż własne, dlatego pozwolę sobie teraz zająć twą uwagę dalszymi staraniami średniego Klejnota o moją rękę, jak też i moimi usilnymi zabiegami, żeby go do wszystkich diabłów pogonić.

Tak jak sobie postanowiłam, jeszcze tego samego dnia, kiedy list do ciebie pocztą oddawałam, wybrałam się do Kazimierza. Zażywszy kąpieli, ubrałam się w żeńskie szaty i zaszłam na tyły synagogi, gdzie szczęśliwie udało mi się rabina Pollacka dopaść w chwili, gdy właśnie opuszczał izdebkę, w której tutejszych młodych adeptów naucza Talmudu swoją sławną metodą drobiazgowych rozróżnień. Czy ona jest rzeczywiście jego, to nie jestem pewna, bo coś mi się zdaje, że on ją tylko przeniósł z Niemiec na polski grunt – ale mniejsza o to. Zobaczyłam, że wychodzi na zalaną bursztynowym słońcem ulicę, i prawie mu drogę zastępując, z miejsca przemówiłam do niego po hebrajsku. Tym go musiałam zaskoczyć, gdyż nie jest u nich przyjęte używać tego języka w potocznej rozmowie, a jedynie w modlitwach i do studiów nad Pismem Świętym i Talmudem – czyli, rozumiesz, jest to dla nich mowa taka jak dla nas łacina, choć może nawet bardziej jeszcze od łaciny dostojna. Dlatego rabin Pollack w pierwszej chwili stanął jak wryty, mrużąc oczy od słońca, ale po chwili, poznawszy mnie, rozciągnął gębę w uśmiechu.

– Ach, Cewija! – zawołał wesoło. – Szabos szalojm!

Oni tak zawsze się pozdrawiają w sabbat i na krótko przed nim, ale te jego słowa nie były tylko zwyczajową uprzejmością – wypowiadając je, rozpostarł ramiona, jakby mnie chciał przytulić do serca, chociaż żydowski obyczaj surowo potępia mężczyznę, który który poważąby się, choćby nieumyślnie, dotknąć ciała kobiety niebędącej jego żoną, nawet przez grube warstwy materii. Otworzył więc ramiona w geście czysto

symbolicznym, i zaraz je też opuścił wzdłuż ciała, a jednocześnie, przechylając się ku mnie, zagadnął przyciszonym głosem:

– Słyszę, że będziemy rodziną. Bardzo się z tego cieszę, Cewijo.

Że niby jak Zalman, najstarszy z Klejnotów, jest mężem jego szwagierki, to gdybym wyszła za Neftalego, wówczas jako szwagierka Zalmana stałabym się również szwagierką rabina, co prawda drugiego już stopnia, ale przyznajmy, że jakieś powinowactwo to jest.

– Rabbi – wypaliłam mu na to prosto z mostu – poradź mi, proszę, co ja mogę zrobić? Nie chcę teraz wychodzić za mąż! Muszę skończyć studia! Zostały mi dwa lata!

Zasmucił się, ale nie wyglądał na zagniewanego.

– Straszna duchota – westchnął, zerkając na wciąż palące słońce. – Z tego może być burza. – Przetarł chusteczką czoło. – Odprowadź mnie kawałek, jeśli chcesz – zaproponował, wachlując się tąż chusteczką.

Przeszedłszy na zacienioną stronę ulicy, ruszyliśmy nieśpiesznie w stronę jego domu, podczas gdy wokół nas ludzie uwijali się jak w ukropie, zaprzątnięci ostatnimi przygotowaniami do sabatu.

– Powiadasz więc, że zdobywanie wiedzy jeszcze ci nie zbrzydło – wrócił do rzeczy.

– Nie, ani trochę – odparłam z zapalem. – Mogłabym temu poświęcić całe życie. Tak, wiem, że żydowskiej kobiecie nie potrzeba...

Przerwał mi gestem ręki.

– Potrzeba, nie potrzeba; to wcale nie jest powiedziane – rzekł. – Mieliśmy przecież Berurię. A oni kogo mieli? Hypatię! – Zaśmiał się gorzko, nie widząc widocznie potrzeby, by rozwijać tę myśl, pewny, że ja wiem, kim była Hypatia z Aleksandrii, i że rozszarpał ją żywcem tłum jej ziomków, właśnie z powodu jej uczoności.

Trzeba ci jednak wiedzieć, że z kolei owa Beruria, do której pił rabin Jakub, kilkakrotnie wzmiankowana w Talmudzie wszechstronnie wykształcona, rozumna i obdarzona ciętym językiem żona rabina Meira, także skończyła nie najlepiej, sama odbierając sobie życie po tym, jak zdołał ją uwieść jeden z uczniów jej męża. Przypomniałam o tym rabinowi Pollackowi, mimo że nie był to dobry argument na poparcie mojej sprawy, na co on odrzekł:

– Nie jestem przekonany, czy to się wydarzyło naprawdę. Owszem, pisze o tym Raszi, ale Raszi przecież żył dziewięćset lat po Berurii. Cóż on mógł wiedzieć o takich sprawach z jej życia, o których w starszych

tekstach nie ma ani słowa? Powiem ci więcej, Cewijo – dorzucił tonem poufnym. – W ogóle nie ma pewności, czy ta Beruria była rzeczywistą osobą. Wiele autorytetów wątpi w jej istnienie.

– Wątpią, bo im się mądra kobieta nie mieści w głowach! – wypaliłam. Roześmiał się.

– Pewnie tak, pewnie tak – przyznał, dobrotliwie kiwając głową. – Na szczęście oprócz tej na wpół legendarnej Berurii mamy wiarygodne świadectwa choćby o Kasmunie z Granady, która żyła prawie czterysta lat temu i pisała piękne wiersze po arabsku, czy z tego samego czasu o córce rabina Samuela ben Alego, gaona Bagdadu, która nieraz, w zastępstwie swego ojca, nauczała przez okno, ukryta za zasłoną, żeby jej widok nie rozpraszał uwagi zgromadzonych na podwórzu słuchaczy. Ile ty, mówiłaś, masz teraz lat? – zapytał niespodzianie, pozornie zmieniając temat.

– Dwadzieścia trzy – przyznałam. – Ale w Krakowie wszyscy myślą, że dwadzieścia jeden.

– Hm... – Zamyślił się, skubiąc krótko przystrzyżoną brodę. Przez dłuższą chwilę szliśmy obok siebie w milczeniu, wsłuchując się w pierwsze pomruki nadciągającej z południa burzy. – Myślę, że mogę dla ciebie zrobić jedno: poradzić Klejnotom, żeby się na jakieś dwa lata wstrzymali z tym swataniem cię za Neftalego. Tak, powiem im, żeby poczekali, aż zdobędziesz tytuł doktorski. Powiem im tak: potrzeba nam tu w gminie doktorki, żeby miał kto leczyć nasze kobiety jak należy, bez naruszenia ich wstydlivosti.

– Ależ, rabbi – sprzeciwiłam się nieśmiało – ja i za dwa lata nie będę chciała wyjść za Neftalego!

– Za dwa lata? – zaśmiał się sucho. – Kto wie, co to będzie za dwa lata! Za dwa lata wszystko może być inaczej. Może ty zmienisz zdanie. Może Neftali się rozmyśli. Sądysz, że młody, zdrowy chłopak wytrzyma bez żeniaczki dwa lata, skoro już teraz tak mu do niej śpieszno?

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, z pociemniałego nagle nieba w jednej chwili lunął deszcz tak ulewny, że nie dało się dłużej rozmawiać, więc tylko machnął mi ręką na pożegnanie i popędził przed siebie, oburącz przytrzymując pod brodą poły swojego kaftana.

Ja zaś, rada nierada, musiałam się zadowolić tym, co mi obiecał, toteż niewiele myśląc, okutałam się szczelnie w opończę i pognałam do mostu nad oddzielającą Kazimierz od Krakowa odnogą Wisły. Pioruny trzaskały wokół tak przeraźliwie, że chyba działała na polu bitwy tak uszu nie

rozrywają, a do tego raz po raz przecinały niebo rozpalone do białości błyskawice, deszcz smagał, jakbyś przebiegała przez szpaler złośliwych gnomów, okładających cię na wyprzódki grubymi różgami, a woda płynąca wartkim strumieniem po moście spadała z niego po bokach z takim impetem, że mogłaby chyba poruszyć koło młyńskie. Mimo tych przeszkód udało mi się dotrzeć pod Bramę Grodzką jeszcze za dnia, który niespodziewanie znów zaświecił przez słabnący deszcz, i już tylko od wschodu, nad oblanymi ognistym blaskiem dachami Kazimierza, wzdymały się ciężkie, ołowiane chmury, przepasane podwójną tęczą, jarzącą się tak niespotykanymi barwami, że to musiało coś znaczyć – tylko co?

Ach, żeby tak umieć odczytywać ukryte przesłania przekazywane nam przez siły nieziemskie za pomocą zjawisk, których mowę – choć każdy może je dostrzec i podziwiać – tylko wybranym jest dane sobie przyswoić! Gotowam poświęcić na studia nad nimi pół życia, a nawet więcej, jeśli będzie trzeba, byle tylko móc dotrzeć do sedna. Nie myśl sobie, że nic w tym kierunku nie robię już teraz. Kabała to raz. Zagłębiam się w nią głównie na własną rękę, ale też niekiedy, jeśli trafi się okazja, korzystam ze wskazówek rabinów. Niestety, akurat mój ulubiony rabin Pollack wydaje się niezbyt mocno wprowadzony w jej arkana, a inni, może bardziej do kabalistycznych poszukiwań skłonni, niechętnie dzielą się swą wiedzą ze mną – bo jestem kobietą. Ale nic, sama dam sobie radę, choć przegryzienie się przez wszystkie tajemne pisma to zabawa na dobrych kilka lat – nie tyle z racji ich objętości, ile niezmiernie trudnych do przyswojenia wywodów. Zaczynam myśleć, że zwykła bystrość rozumu i skupienie uwagi do tego nie wystarczą – potrzebna jest pewnego rodzaju epifania, której aby doznać, trzeba się wprawić w stan uniesienia podobny temu, w jaki wpadli apostołowie, kiedy napełnił ich Duch Święty i kazał im mówić językami. Przychodzi to bez trudu niektórym z tych, których bierzemy za obłąkanych albo słabych na umyśle. Wschodni schizmatycy, inaczej niż my, wielce takich poważają, i przyznam, że w tym względzie skłaniam się do ich stanowiska. Cóż jednak z tego, kiedy wszelkie moje własne próby ucieczki od nawyku płaskiego myślenia utartymi ścieżkami logiki jak dotąd spełzły na niczym.

W ubiegłą niedzielę miałam bezpośrednio do czynienia z osobą obdarzoną tą właśnie przyrodzoną zdolnością, której mnie tak bardzo brakuje. Wspominałam ci już o wiejskiej babinie, co włosy z nóg umie

woskiem wyrywać. Mieszka kawał drogi na wschód od Krakowa, we wsi Mogiła, zwanej tak od kurhanu, pod którym ponoć spoczywa legendarna księżniczka tutejsza, czczona za to, że wolała się utopić, niż wyjść za Niemca, pojmuje. Wybierając się tam, nie miałam pewności, czy znajdę moją zielarkę, o której wiedziałam tylko tyle, że nazywa się Czechna. Na szczęście wszyscy ją tam znają, toteż ledwie wymieniłam jej imię, zaraz wskazano mi drogę do jej chaty, leżącej na skraju lasu, niedaleko kurhanu nieszczęsnej topielicy. Kiedy zbliżałam się tam miedzą, z przeciwka niespodziewanie wypadły trzy spore kundle i dalej obskakiwać mnie ze wszystkich stron z gromkim szczekaniem, wściekłym zębów szczyrzeniem i toczeniem piany z pyska. Wiesz, że lubię psy i dobrze się zwykle z nimi dogaduję, ale w tamtej chwili, choć próbowałam przemawiać do nich łagodnym tonem – po niemiecku, jako że nie mogłam sobie w popłochu przypomnieć odpowiednich zwrotów polskich – to ani moje słowa, ani przyjazne gesty nie przynosiły żadnego skutku oprócz co najwyżej tego, że jednak mnie bestie nie pogryzły i na ziemię nie próbowały obalić. Z tej opresji wyratowała mnie sama Czechna, wynurzając się niebawem zza zakrętu miedzy i w krótkich słowach przywołując zwierzynę do porządku. Okazała się niedużą, pękatą kobieciną, niemłodą już, ale i niestara, z małym, zadartym noskiem i grubym srebrzystorudym warkoczem spadającym spod czepca na plecy.

– Pochwalony! – powitałam ją uprzejmie.

– Na wieki wieków, amen – odrzekła, jak tutejszy zwyczaj wymaga. – Do mnie masz sprawę, dziewczeczko?

– Nie jestem dziewczeczką – odparłam sucho, najbardziej męskim głosem, jaki potrafię z siebie wydobyć, czując jednocześnie, jak zimny dreszcz mi przebiega po plecach. – Tyś jest Czechna, wdowa?

– Ja, kwiatuszku, ja. – Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając przerzedzone i poczerniałe zęby. – A ciebie jak zwą?

– Georg Starkfaust – przedstawiłam się. I dodałam: – Niemiec.

– Aha? – Pokręciła głową z życzliwym uśmiechem. – Gyjorg? A po naszymu to jak będzie?

– Jerzy – pośpieszyłam z odpowiedzią.

– Jeżyna? Ale ładnie, kwiatuszku! I pasuje do ciebie. Słodka, ale jednak cierpka i bardzo kolczasta. Prawda?

– Prawda, tylko że nie Jeżyna, a Jerzy. Mężczyzną jestem.

Zacisnęła wargi i wzrok spuściła, widocznie nie chcąc mi swoich myśli wprost okazać.

– Dobrze, a czym ja ci mogę służyć, kwiatuszku? – odezwała się w końcu.

– Chciałbym się pozbyć tego meszku. – Przesunęłam palcem po mej górnej wardze.

Czechna, postąpiwszy o krok, dokładnie obejrzała z bliska całą moją twarz, cal za cal, od czasu do czasu wodząc opuszkami palców po jej co bardziej porośniętych puchem miejscach.

– To tego chcesz się pozbyć? – upewniła się.

– Tak.

– Może wybierz się do balwierza. Wygoli cię na gładko za ćwierć denara.

– Ale potem wszystko odrośnie. A mnie zaraz mgli, jak mi się ostrze do gęby przykłada.

– Mgli cię, powiadasz? – Zachichotała pod nosem. – Od strachu, co by ci tej ładnej gębusi nie pokaleczyło, nie? Znaczy do mnie przychodzisz, bo byś chciała raz a dobrze, żeby cię już potem nie miało co mglić?

Potwierdziłam, jednocześnie myśląc gorączkowo, jak by tu ją wyprowadzić z przekonania, że ma do czynienia z kobietą. Może ona mnie wydać czy nie może? Ech, po co ja, durna, przedstawiłam jej się z imienia i nazwiska! Czy je zapamiętała na tyle, żeby móc komuś powtórzyć?

Tymczasem Czechna, podnosząc na mnie swe rozumne, jasnoszare oczy, trochę za blisko nosa osadzone, rzekła z westchnieniem:

– Nie dam głowy, czy nam się to uda. Ale wejdź, spróbujemy.

Wprowadziła mnie do ciemnej chaty, bardziej do kurnika niż domostwa ludzkiego podobnej. Wewnątrz unosił się zapach psów zmieszany ze swądem kaganków łojowych i mocnymi aromatami ususzonych ziół, podwieszonych na wbitych w ściany kołkach.

– A pieniądza ty masz, ile trzeba? – przypomniało jej się nagle.

– A ile trzeba?

– A... – Podrapała się w kark. – Niech będzie moja strata: szelązek.

– Tyle się znajdzie.

Pogrzebawszy w płóciennym woreczku, włożyłam jej do nadstawionej dłoni cztery denary. Kazała mi się położyć na twardej ławie, byle jak z jednej kłody drzewa wyciosanej, a sama przystąpiła do przygotowań.

Urznąła kilka skrawków grubego płótna konopnego i jeden cieńszego, lnianego. Potem postawiła na palenisku garniec wosku i przykucnąwszy nad nim, jęła odprawiać jakieś uroki, kołysząc się na strony i dłońmi poruszając, jakby obracała w nich niewidzialną kulę z ciasta chlebowego. Pod nosem mamrotała przy tym bardzo szybko i niewyraźnie takie mniej więcej kuplety:

– Matka Boża poszła po morzu, złote pianki zbierała w zbożu, spotkał ją Święty Jan. A gdzie ty idziesz, Matuchno jasna? Syneczka swego leczyć mi łaska. Bóg mi ją Ojciec dał. Chwistum, poświstum, szła przeczysta, gorzkie łezki z oczu toczyła, rany śmiertelne niemi leczyła, kostki zraszczała, członki zmacniała. Jesza ileli, jaja nijatija. Weli, dzidzilel, ja!

Ostatnie słowa wypowiedziała szeptem, jednocześnie zanurzając w rozgrzanym wosku wąski skrawek płótna, z którym zaraz do mnie podeszła. Przymknęłam mimowolnie oczy i poczuwszy nagłe ukąszenie gorąca nad ustami, o mało nie zerwałam się z krzykiem, pewna, że mnie Czechna poparzyła. Lecz wzdrygnęłam się tylko, a ona szeptała dalej, naklejając mi kolejno na gębę jeszcze trzy kawałki parzącego płótna:

– Zarze, zarzyce, cztery siostrzyce, weźcie te kłaki na pustynię, gdzie dzwony nie dzwonią, gdzie nie pieje kur, gdzie nie beczy owca, gdzie nie ryczy wół. Niechże tam znikną jak obłok na niebie, jak piana na morzu, jak na górze wiatr.

Chciałam coś powiedzieć, ale ona gestem nakazała mi milczenie, a sama jęła zawodzić na tak nosową i jękliwą nutę, jakby ją mucha brzęczała nad kupą nawozu.

– Stoi dąb pośrodku dwora, stoi, weli, weli. Stoi, stoi, a ten puszek niechby diabli wzięli...

Powtórzyła tę strofkę kilka razy, po czym pokazała mi, jak mam zagryźć obie wargi, żeby skóra wokół nich się napięła, a kiedym jej usłuchała, ona nagłym ruchem zerwała mi szarpie znad i spod ust, i zaraz potem jeszcze spod brody i z obu policzków. Bolało, ale nie tak bardzo, jak się bałam. A Czechna nabrała jeszcze z glinianego garnuszka na dłoń jakiegoś podejrzanego woniejącego sadła i wtarła mi je w obolałe miejsca, mamrocąc:

– Zrość się ty, kość, zakryjcie się rany. Złącz się skóreczka ze skóreczką, kosteczka z kosteczką, krewka z krewką, żyła z żyłą, siła z siłą, nie moją mocą, a z Boską pomocą.

Kiedy już palce jej nie ślizgały się tak gładko po mojej twarzy, jak w pierwszej chwili po nałożeniu na nią tłustej maści, co pewnie znaczyło, że skóra ją całą wchłonęła, Czechna zamilkła, odstąpiła ode mnie i słaniając się na nogach, jakby ją kto był w kółko zakręcił, odstawiła garnczek do skrzyni, po czym ciężko opadła na siennik.

– Idź już, Jeżynko, idź – wymamrotała niewyraźnie, leżąc na wznak z zamkniętymi oczami. – Ja teraz muszę odpocząć...

Podniosłam się z ławy i powiodłam palcem wokół ust. Meszku nie było, ani tam, ani na podbródku.

– Gdyby coś ci odrosło, bo to się może zdarzyć – odezwała się znów słabym głosem Czechna, jakby widziała, co robię – to za miesiąc powtórzemy, kwiatuszku, za pół ceny. I jeśli potem jeszcze trzeba będzie, to za jakiś czas znów, za ćwierć, za denarka. A ty się mnie, kochaneńka, nie musisz bać. Ja nie takie tajemnice tu trzymam i do grobu zabiorę.

Pojmujesz, Enneleyn, ta kobieta wie! Nie że się domyśla – ona wie! Skąd tę wiedzę czerpie, nie mam pojęcia – może od samego diabła? Bo zobacz – owszem, wiedzą Żydzi, ale to dlatego, że im sama powiedziała, no i pokazała. Ale poza nimi przez całe dziewięć lat nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że ja mogę być kobietą! Albo może przeszło, tylko do tej pory nikt nie dał tego po sobie poznać.

Nie, nie; na pewno bym zaraz poczuła, że coś jest nie tak. Tym nie mam się co niepokoić, ale co innego mnie dręczy: czy ja mogę, tak jak mnie zapewniała, tej prostej, wiejskiej babie zaufać? Kiedy od niej wychodziłam, kłębiły mi się w głowie straszne myśli – że może powinnam ją była uciszyć raz na zawsze. Nigdy bym nie była do tego zdolna, znasz mnie chyba, ale doprawdy coś mi szeptało do ucha: „Nie bądź głupia, Gredechin; zabij ją, zanim ona ciebie na śmierć wyda”. Na szczęście to podawanie w wątpliwość mojego rozumu skłoniło mnie do uważnego rozbioru położenia, w jakim się znalazłam. Dzięki temu spostrzegłam, że gdyby Czechnie zachciało się mnie wydać, z pewnością ściągnęłaby na siebie równie wielkie niebezpieczeństwo jak na mnie, bo czy mnie rzeczywiście, gdyby wyszło na jaw, że jestem kobietą, groziłaby śmierć albo inna straszna kara – oprócz, rzecz jasna, wydalenia z Akademii – to wcale nie jest takie pewne, natomiast bez wątpienia Czechnie, gdyby na mnie doniosła, nie udałoby się zachować w tajemnicy praktyk, którymi się trudni, a które, co tu kryć, na milę zalatują pogaństwem, jeśli nie

czymś gorszym, z czego ona, przy swojej bystrości, musi sobie doskonale zdawać sprawę.

Ostatecznie doszłam do przekonania, że zamiast się czegoś z jej strony obawiać, powinnam raczej spróbować podpatrzeć, jakimi ona sposobami wprowadza się, bez użycia żadnych odurzających substancji, w owo wieszczę otumanienie, którego byłam świadkiem.

Wiesz, Kallimach twierdzi, że każde żywe jestestwo jest jednością, to znaczy, że duch jest nie czymś od nas odrębnym, ale częścią nas. Tym samym działać może tylko przez człowieka, w człowieku i z człowiekiem. Nie do końca się tu z mym pryncypałem zgadzam, ale jeśli jest w tym jego poglądzie coś z prawdy, to by znaczyło, że są pewne właściwości ducha, które, gdy się do nich dotrze i skłoni, by dały o sobie znać, będą w stanie dokonywać z ciałem rzeczy niezwykłych. Do tego w gruncie rzeczy sprowadzają się wszystkie starożytne mity, wszystkie artykuły wiary i wszystkie tajemne księgi, czyż nie? No i też wszystkie zadziwiające zdolności takich prostych wiejskich szeptuch jak Czechna z Mogiły.

– Mistrzu – ośmieliłam się kiedyś zapytać Filipa, dawno temu, kiedy mnie jeszcze nie zachęcał, bym się zwracała do niego po imieniu – skoro twierdzisz, że duch i ciało to jedność, to jak mam rozumieć to, coś pisał do Mirandoli, że ciału nie należą się męki piekielne za popełnione grzechy, gdyż to wyłącznie dusza jest za nie odpowiedzialna?

Czemuś diabelnie go tym pytaniem rozbawiłam. Między jednym a drugim wybuchem nieopanowanego śmiechu zdołał wykrztusić tylko:

– No, tuś mnie, bratku, przyspilił!

I dalej śmiał się jak szalony, aż w końcu poszedł do siebie, rzucając jeszcze na odchodnym:

– Z tobą to się naprawdę trzeba pilnować!

Nigdy później nie udało mi się sprowadzić znów rozmowy na ten temat, dlatego też nadal nie wiem, czy on ma dla owej sprzeczności jakieś wyjaśnienie.

A ja przecież nie z pustej przekory go o to zagadnęłam, tylko dlatego, że sama dla siebie wciąż szukam odpowiedzi na te i podobne pytania. I nie myśl, że w mych poszukiwaniach ograniczam się do tego czy innego obszaru ludzkich dociekań. Przeciwnie, staram się poznawać wszystkie dawne szkoły filozoficzne, i religijne też, zrozumieć, ku czemu zmierzały, i sama dla siebie coś z ich spuścizny wyciągnąć. Tylko że – chyba nie

muszę ci o tym mówić – wiele z nich jest tu i ówdzie bardzo źle widzianych, więc ciężko znaleźć coś o nich w dostępnych księgach, a i wypytać nie ma kogo, bo każdy tu albo się boi, albo z góry źle się do takich nurtów nastawia, na pierwszą o nich wzmiankę spluwając przez lewe ramię i kreśląc znak krzyża. Wyjątkiem jest Kallimach, on się nie boi ani nie gorszy, więc nieraz próbowałam się od niego czegoś dowiedzieć, czy to o starożytnej księdze objawień Corpus hermeticum, z którą na pewno musiał się zetknąć w swoich florenckich albo weneckich czasach, czy o sekcie bogomiłów, bo ich napotykał na drodze swej tułaczki z Konstantynopola do Lwowa, ale sęk w tym, że nie da się z Filipem poważnie o tych rzeczach porozmawiać, gdyż wszelkie moje o nich napomknienia natychmiast obraca w żart.

Muszę więc to wszystko zgłębiać sama, po omacku, nie mogąc liczyć na niczyją pomoc, a trzeba ci wiedzieć, że tych wszystkich tropów, które mam do zbadania, zapewne w większości prowadzących donikąd, jest bardzo wiele. Oprócz bowiem starożytnych pitagorejczyków i hermetyków później byli jeszcze paulicjanie i albigensi, walentynianie i archontycy i różne inne szkoły, wszystkie prawie – co mnie doprawdy zastanawia – oparte na przekonaniu, że w świecie działają dwie siły przeciwstawne.

A skoro już zaczęłam o tych rzeczach, o których lepiej za dużo nie mówić, to wspomnę jeszcze o pewnym dziele cieszącym się wyjątkowo podejrzaną reputacją, a którego zgubnym wpływom niebawem będę miała okazję poddać się osobiście. Zwie się owa księga Picatrix. Chcesz pewnie wiedzieć, jak rozumieć ten dziwaczny tytuł – otóż tego nikt nie wie. Niektórzy snują przypuszczenia, iż jest to po prostu nazwisko autora arabskiego oryginału – dziś już nieznanego, gdyż zakazana owa rozprawa krąży głównie w łacińskim tłumaczeniu z przekładu kastylijskiego, który powstał ponoć przed dwustu laty na życzenie króla Hiszpanii. O ile mi wiadomo, nikt dotąd nie odważył się wydać Picatrix drukiem, ale wiem, kto ma tego dzieła rękopiśmienną kopię. I już moja w tym głowa, żeby ją dostać do ręki.

Nie wiem, dlaczego ci dotąd nie wspomniałam, że jednak, okazuje się, kobieta może czasem studiować na krakowskiej Akademii, wcale się ze swą płcią nie kryjąc. Jak to – powiesz mi na to – skoro tak, to po co w ogóle obmyśliłyśmy nasz plan? I po co ty, Gredechin, zadajesz sobie wciąż przez lata tyle trudu, żeby uchodzić za mężczyznę?

Powoli, już ci to wyjaśniam. Otóż reguła jest tu taka jak na wszystkich innych uniwersytetach, czyli że zarówno studenci, jak i, rzecz jasna, nauczający muszą być bezwzględnie mężczyznami. Owe wyjątki na uniwersytecie w Bolonii, o których, pamiętasz, dochodziły nas słuchy, dotyczą tylko pań szlacheckie urodzonych, i to pod warunkiem że otrzymają one dla podjęcia nauk błogosławieństwo seniorów swoich rodów. A wszędzie indziej w ogóle jest to nie do pomyślenia. Chociaż z drugiej strony nieraz natykam się w różnych dziełach medycznych na wzmianki o medyczkach z uniwersytetu w Salerno – choćby takiej Trotuli, która jak nikt znała się na zdrowotności kobiet, ale nie tylko o niej, bo jeszcze o Abelli, Rebecce Guarnie, Mercuriadzie – lecz one wszystkie żyły ze sto, dwieście albo nawet trzysta lat temu. Podobno także w Krakowie kiedyś – dawno, dawno temu – była taka dziewczyna, co się wkręciła na studia, korzystając z tego samego wybiegu co ja. Nie wiem, jakimi sposobami pokonała przy tym te wszystkie trudności, z którymi ja musiałam sobie poradzić, ale być może była równie zmyślna jak ja, albo nawet bardziej, i podobnie jak mnie mogły jej sprzyjać siły wyższe. Jeśli jednak jej sprzyjały, to do czasu. Bodajże na drugim roku quadrivium ktoś tam ją podpatrzył, że coś tam ma, czego mężczyzna mieć nie powinien, albo że czegoś tam nie ma, nie wiem dokładnie, jak to było, bo różne krążą na ten temat opowieści, wzajemnie się wykluczające, w każdym razie jej płęć wyszła na jaw. Mało brakowało, a by ją za to posłali na stos, jako że przeniknięcie nieczystej istoty z jamą do rodzenia do szacownego grona rozważającego nierzadko najwznioślejsze zagadnienia teologiczne to przecież najgorszego rzędu profanacja. Na szczęście ówczesny monarcha, dziad tego dzisiejszego, fundator i opiekun krakowskiej Akademii, wymógł na sędziach, by winnej życia nie odbierali, a tylko – po to, żeby zgorszenia nie siała – wysłali ją do zakonu klarysek. Tak też się stało i podobno z czasem dziewczyna doszła w klasztorze do godności ksieni. Nawojka się nazywała.

Czy w ogóle istniała, trudno dziś powiedzieć, ale na własne oczy widuję prawie codziennie na wykładach niejaką Lukrecję Garlicką, o trzy lata ode mnie starszą, która tak samo jak ja ma prawo studiować medycynę, choć do egzaminów nie przystępuje. Jest ona jednak przypadkiem szczególnym, będąc córką bardzo sławnego niegdyś tutejszego doktora – lekarza i astronoma, Piotra Gaszowca, zwanego też Garlickim, odkąd wszedł w posiadanie wsi Garlica pod Krakowem. Ten już od dawna nie

żyje, ale dla uczczenia jego pamięci Akademia ofiarowała miejsce wśród szkolarzy wszystkim jego dzieciom, także tym płci żeńskiej. Dwie starsze siostry Lukrecji, bliźniaczki Benigna i Róża, przeszły wcześniej cały cykl studiów, ale podobnie jak ona, jedynie jako wolne słuchaczki, więc choć zapewne zdobyły jakąś wiedzę, nie potwierdziły jej żadnym tytułem. Benigna wstąpiła potem do klarysek, zupełnie jak owa mityczna Nawojka; Róża zaś poślubiła drukarza Bawarczyka i wyjechała z nim do Landshut.

Tymczasem Lukrecja ucześnie pilnie na wykłady i – wierz mi albo nie – robi do mnie słodkie oczy! Czemu akurat mnie, smarkacza zupełnego, sobie upatrzyła, nie mam pojęcia. Co prawda już przykład Agnieszki zdawał się wskazywać, że znajdują we mnie upodobanie białogłowy starsze, ale żarty na bok; gospodyni naszej, która mogłaby mi być matką i ma za sobą całe lata doświadczeń wynikających z bycia kobietą – i tych przyjemniejszych, i tych trochę mniej przyjemnych – z pewnością nie można porównywać do Lukrecji, wychuchanego dziewczątka z dobrego domu przy Rynku, które poza tym domem zna tylko drogę stamtąd na Akademię i samej Akademii sale. Pewnie gdyby nie te jej studia, dawno by wyszła za mąż i dzieci miała, bo szpetna nie jest, wręcz przeciwnie. Wiesz, oczy wielkie, modre, czarne rzęsy, usteczka podobne pączkom piwonii, płeć mleczna, może tylko broda ciut za duża w proporcji do reszty twarzy. Jest przy tym Lukrecja istotą cichą, nieśmiałą, skupioną wyłącznie na nauce dla samej nauki, bo jak już wspominałam, żadnych namacalnych korzyści jej te studia nie przyniosą – i przez to stała się ulubionym celem niemądrych zaczepek innych studentów.

Szkolarze, rozumiesz, jak to chłopaczyska, lubią czasem sobie grubo pozartować, i choć to ci się może wydać dziwne, obecność kobiety, może dlatego, że im się wydaje cokolwiek nie na miejscu, nie tylko ich nie hamuje, ale i wręcz jeszcze bardziej zagrzewa do sprośnych rehotów. Zdarzyło mi się raz czy dwa jakimś zręcznym słówkiem wygasić takie wybuchy grubiańskiej wesołości, czym być może zwróciłam na siebie Lukrecji uwagę. Innym znowu razem zabrakło jej papieru do notowania, a ja natychmiast podsunęłam jej parę kartek ze swojego zapasu – i tak, krok po kroku, nawiązałyśmy znajomość, oczywiście zupełnie niewinną. Często po zajęciach odprowadzam ją kawałek, bo jest mi to właściwie po drodze, i wtedy bywa, że zamieniamy parę słów, chociaż najczęściej kroczy my przed siebie w zgodnym milczeniu. Ostatnio jednak odważyłam

się przy takiej okazji wypytać ją trochę o jej ojca, nie kryjąc, że interesują mnie szczególnie jego badania w dziedzinie astrologii. Wywiązała się z tego nawet dość ożywiona rozmowa, z której dowiedziałam się, że w młodości doktor Gaszowiec studiował w Perugii, gdzie między innymi zetknął się z Picatrix i nie omieszkął przy tym sporządzić owej księgi odpisu, a ten przywiózł później ze sobą do Krakowa. Tom ów, oprawny w skórę, nadal spoczywa u nich w domu na dolnej półce ojcowskiego pulpitu, z którego to mebla nikt z domowników nie ośmiela się korzystać – nie pytałam, czy to z obawy przed czarami, czy przed gniewem nieboszczyka, chociaż w tym wypadku to może na jedno wychodzi. Na razie obmyślam, jak by tu skłonić uroczą Lukrecję do wypożyczenia mi tego dziełka, po którym tyle sobie obiecuję.

Kto wie, czy pomocny w przełamaniu oporów jej matki i braci nie okazałby się Kallimach. Kiedy wróci, spróbuję go namówić, by zaprosił kiedyś rodzinę Lukrecji na sympozjon do Miryki, albo nawet zwyczajnie do nas do domu, jak to czasem mu się przydarzało. Rok temu na przykład urządził na Kanoniczej pożegnalny wieczór kończących quadrivium dwóch siostrzeńców biskupa warmińskiego, którzy na dalsze studia wybierali się do Włoch. Ten młodszy, Mikołaj, mój równolatek, uchodzi za wyjątkowo tęgą głowę, szczególnie w naukach matematycznych się wyróżnia, przez co dla innych studentów w Krakowie był istnym bożyszczem – albo obiektem palącej nienawiści. Jeśli chodzi o mnie, podziwiam go szczerze i mam nadzieję, że nic go nie spotka złego za Alpami, gdzie, jak ci już pisałam, szaleje straszna choroba. Dlatego, pamiętam, obu młodym Prusakom odradzaliśmy wszyscy tę wyprawę, przypominając, że jest wiele innych uczelni w świecie równie dobrych jak Padwa czy Bolonia, jeśli nie lepszych. Byli na tej kolacji też dwaj ich bliscy przyjaciele, również kończący artes liberales, z których jeden wybierał się na dalsze studia do Greifswaldu na Pomorzu, a drugi, będący w mocno już dojrzałym wieku, wracał do rodzinnego Przemyśla na wschodzie Polski, gdzie mu dla pięknego głosu oferowano posadę kantora tamtejszej katedry. Jednak ten zadziwiający Mikołaj był zdania, że tylko we Włoszech medycyna i astronomia stoją wyżej niż tu, w Krakowie, a on chciał szczególnie w tych dwóch dziedzinach piąć się w górę, chociaż do wszystkiego miał nadzwyczajne zdolności – w grece na przykład prześcignął wszystkich innych szkolarzy, a do tego umiał pięknie

malować i rysować. Jego brat Andrzej natomiast niczym szczególnym się nie wyróżniał, chociaż głupi też nie był.

Zobaczmy, czy uda mi się skłonić Filipa, by tak jak wtedy tamtych, teraz zaprosił do nas braci Lukrecji. Co prawda wówczas w grę wchodziły jego bliskie stosunki z wujem owych braci Koperników, liczę jednak na to, że i ja mam u niego jakiś posłuch i zresztą kto wie, czy sam z siebie nie zapali się do mego pomysłu wydobycia Picatrix z domu Garlickich, a na tym mi zależy jak sto diabłów. Tymczasem jednak martwią mnie bardzo niektóre jego własne pomysły. Nie mam wcale pewności, czy on nie zechce rzeczywiście na stałe się przenieść do Prus. Wiedz, że te i podobne myśli bardzo mnie przygniatają, chociaż, jak widzisz, robię, co mogę, żeby je od siebie odpędzić.

Nie pomagają mi w tym utrzymujące się wciąż ciężkie upały i pogłoski o jakiejś nowej zarazie, która ogarnęła wiosną Węgry, oddzielone od Polski jedynie pasmem gór. Ludzie tam umierają w przeciągu dziesięciu dni od pojawienia się pierwszych oznak, a te łatwo pomylić z innymi chorobami, bo sprowadzają się do rozpalenia ciała, bólu głowy, mdłości i wymiotów. Jednak po kilku dniach całe ciało chorego okrywa się maleńkimi bąblami, jakby go mrówki pokąsały, i wtedy już wiadomo, że to nic innego, jak owa groźna przypadłość. Znalazłam u Awicenny opis podobnej choroby, ale ta, o której on mówi, nie atakuje z aż taką zjadłością, jak ta na Węgrzech. Obawiam się, że lada chwila usłyszymy o pierwszych chorych także w Polsce, zwłaszcza tu, w Krakowie, skąd na Węgry jest blisko i wielu Węgrów tu przybywa w interesach, a też wielu Polaków ma jakieś sprawy na Węgrzech. Może będziemy mieć szczęście i plaga wygaśnie, zanim przez Karpaty się przedrze, bo ostatnio dochodzą z tamtej strony gór słuchy, że odkąd nastąpiły upały, ludzie zapadają tam na tę zarazę dużo rzadziej. Oby rzeczywiście tak było.

A ty, moja droga, uważaj na siebie i zwłaszcza na dzieci, bo nikt nie wie, jakimi szlakami potrafi się taka choroba przemieszczać. Czasami wystarczy, że jedna osoba chora zawędruje w jakieś strony albo nawet bliżej i tylko przekaze ją następnej, która akurat wybiera się w drogę i przeniesie ją na dalszą odległość, zanim ktokolwiek zauważy, że coś z nią jest nie tak.

W razie, gdyby cię coś zaniepokoiło, natychmiast powiadom swego ojca, gdyż lepszego od niego lekarza dotąd nie spotkałam, mimo że

przewędrowałam kawał świata i pilnie studiowałam u najrozmaitszych autorytetów.

Bądź więc mi zdrowa i pisz do mnie!

Dałam w Krakowie

w czwartek,

14 lipca

1496.

LIST VII

Tak wiele mam nowin, moja Enneleyn, że nie wiem, od której zacząć. To napiszę ci najpierw o najważniejszej: wrócił mój pryncypał do Krakowa i coś mi się widzi, że tym razem na dobre.

Zjawił się niespodziewanie wczoraj, akurat kiedyśmy sprząтали ze stołu po wczesnej wieczerzy. Wydał mi się dziwnie milczący i posepny, co przypisałam zmęczeniu po kilkudniowej jeździe. Od posiłku stanowczo się wymówił, twierdząc, że najadł się do syta na jakimś popasie. Wychylił tylko na stojąco kubek zimnego piwa, zażądał czystej koszuli i kazał Jakubowi towarzyszyć sobie do łaźni, a Marcinowi czekać przed nią z kareta. Po półgodzinie, usłyszawszy turkot kół, wyjrzałam przez uchylone drzwi i zobaczyłam, jak przejeżdżali obok naszego domu, w drodze na zamek. Filip nawet skinął mi nieznacznie ręką z okna powozu. Czekałam potem na niego do późna i kiedy już byłam gotowa dać za wygraną i kłaść się spać, nagle stanął w drzwiach wejściowych.

– Nie śpisz – odezwał się cicho. – To dobrze.

Wziął ze stołu lichtarz i ująwszy mnie za ramię, poprowadził na wewnętrzny podwórzec.

– Zaczekaj. Przyniosę coś do picia – rzekł, sadzając mnie przy tamtejszym stole, z bierwion zbitym, po czym oddalił się bezszelestnie, a ja zostałam w prawie zupełnej ciemności, wśród zapachu lawendy i brzęczenia komarów. Dopiero po dłuższej chwili zobaczyłam, jak nadchodzi, poprzedzony skaczącą smugą światła, dźwigając wielką i ciężką stągiew, która o mało nie wysliznęła mu się z rąk, kiedy ją z hukiem stawiał na stole – a to dlatego, że nadto w lewej ręce niósł płonący świecznik, a pod pachami ścisnął dwa szklane pucharki. Od razu nalał nam w nie ze stągwi chłodnego, białego wina. Gdy wypiliśmy po łyku, spytałam, jak go król przyjął. Machnął ręką.

– W ogóle nie przyjął. Za późna pora. Kazali mi tam zostawić papiery i wrócić w poniedziałek.

Pociągnął jeszcze łyk i zwrócił się do mnie pytająco:

– No i jak? Dobrze?

Skwapliwie potwierdziłam, zaznaczając jednak, że nie mogę pretendować do znawstwa.

– Ale czujesz tę jedyną w swym rodzaju goryczkę i tę orzeźwiającą świeżość? To malwazja, mój drogi. Aż z Krety sprowadzana. Morzem do Fiume i dalej lądem, przez Węgry. Nie pytaj, ile kosztuje. Ale pij ostrożnie, bo zdradliwa. Poczujesz dopiero, jak ci się język zacznie plątać.

– Mam mocną głowę – zapewniłam nie bez przechwałki. – Jeszcze nikomu nie udało się mnie upić. Nawet panu Celtisowi.

Jeśli liczyłam na to, że go tym przywołaniem pijackich wyskoków Celtisa rozweśełę, to się przeliczyłam. Przez dłuższą chwilę powoli sączył chłodny trunek, zapatrzony w płomień świecy, jakby chciał studiować obyczaje wirujących wokół niego skrzydlatych żyjątek.

– Wiele się w ciągu ostatnich dni w moim życiu wydarzyło – odezwał się w końcu, nie odrywając oczu od płasającego żółtego ogieńka.

– Wiem. Dostałem twój list – przypomniałam.

Zwrócił wreszcie wzrok na mnie.

– Nie o tym, co w liście, chcę ci teraz mówić, tylko o tym, co się dalej działo.

Nachylił się ku mnie i, jakby w obawie przed niepowołanymi uszami, zaczął mi mówić tak cicho, że chwilami głos jego przechodził w świszczący szept:

– Pamiętasz, dwa miałem w Toruniu domy. Jeden, większy, stoi w rynku. Do tego właśnie sprowadziłem mularzy, żeby mi go w środku przerobili stosownie do moich wymagań. Zwalili przed bramą wóz piachu, wielką skrzynię wapna, parę beczek wody, belki, cegły – i uwijali się z tym wszystkim od rana do wieczora, robiąc wielki harmider, a ja się wśród nich przez cały czas kręciłem, bo wiadomo, oko p a ń s k o konia t u c z i.

– Chciałeś, żeby cię widziano – domyśliłam się.

– Tak, właśnie – przytaknął bez uśmiechu. – Pod koniec dnia szedłem coś zjeść do odległej o jakie cztery staje gospody, skąd, klucząc i starając się już nie ściągać na siebie uwagi, schodziłem w stronę rzeki, do mojego skromnego drugiego domu, przy Bramie Żeglarskiej, gdzie mieszkałem zupełnie sam. I tam siadywałem do późnej nocy w sieni, ukryty w mroku

za lekko uchylonymi drzwiami, przez które niepostrzeżenie wyglądałem na ulicę...

Wychylił do dna swój pucharek i wstał, by dolać sobie i mnie.

– Spróbuj, jeśli zdołasz, wyobrazić sobie – podjął znów, siadając – z jak czarnymi myślami musiałem się przy tym zmagać. Nie miałem przecież żadnych wieści o tym, co się w jej domu po moim wyjściu działo. A weź pod uwagę, że tam, skąd pochodzę, obyczaj każe mężowi przy najmniejszym podejrzeniu niewierności żony osobiście pozbawić ją życia, najlepiej przez zadławienie.

– Ale tutaj chyba nie jest to przyjęte – zauważyłam uspokajająco. – Owszem, słyszałem o zmuszaniu w takich razach kobiet do spędzenia reszty życia na pokucie w jakiejś wilgotnej piwnicy, o chlebie i wodzie, bez najmniejszego dostępu do świata zewnętrznego, ale żeby je zabijać, to nie.

– Taka kara zda mi się bodaj czy nie gorsza – odrzekł z westchnieniem, widocznie nie zauważając ukrytej w moich słowach ironii. – I takiej się też najbardziej dla Korduli obawiałem. Pocieszałem się jednak, że skoro ja mogę się w Toruniu cieszyć pełną swobodą i nic nie wskazuje na to, żebym stał się nagle kimś źle widzianym przez burmistrza, to może mojej miłej udało się jakoś ukręcić całej sprawie łeb. Byle tylko, myślałem, zdołała uspokoić Lolikę, i na to, co widziała, podsunąć jej jakieś całkiem niewinne wytłumaczenie, to już by pozwoliło uniknąć wiszącego nad nami nieszczęścia. No chyba żeby ten muzykant, ten fidlista, w końcu sobie uświadomił, czego właściwie był świadkiem, a mogło się tak łatwo okazać, bo chłopak z niego wcale nie w ciemną bitą, myślałem. W dodatku nie miałem pewności, czy służba Musingów nie domyślała się czegoś już od dawna i czy ktoś z nich nie napomknie o swoich spostrzeżeniach Gerhardowi. Więc raz po raz wstrząsał mną w tej ciemnej sieni dreszcz niepokoju, czasem zderzając się z falami rozkosznej nadziei, od której kręciło mi się w głowie. W końcu, gdy już się rozjaśniało, zamykałem drzwi i szedłem się położyć – nie na długo, bo trzeba było rankiem iść na rynek, pilnować mularzy.

Biedny mój Filipie – pomyślałam sobie, słuchając go – i po cóż ci to było? Tyle zachodu, tyle niewygód, tyle grosza wyrzuconego w błoto, do tego utracona przyjaźń burmistrza (bo ją prędzej czy później utracisz) – i to wszystko dla tej chwili oślizłej rozkoszy?

On tymczasem nalał nam po raz trzeci. Z przyjemnością piłam tę jego malwazję, bo choć już nie tak cudownie chłodna, wciąż smakowała nieziemsko.

– Przesiedziałem tak – podjął swą opowieść – jedną noc, drugą, i nic. Nie pokazała się. Na co ty czekasz, głupcze?, mówiłem sobie. Jakże ty chcesz, żeby ona się z domu wyrwała! Zamiast tu sobie zadek odciskać, poprzehadzaj się raczej pod jej oknami, może cię spostrzeże i w odpowiedniej chwili każe wejść. Eee, nie – karciełem się zaraz – głupi pomysł. Cała ulica by o tym gadała. I tak się biłem z myślami, nie wiedząc, co począć, aż na trzeci dzień obudziło mnie kołatanie do drzwi. To ona!, myślę sobie. Zrywam się, nie posiadając się z radości, ale i trochę z przerażenia, bo przeczuwam, że mi z gęby przeraźliwie śmierdzi! Goły podbiegam do drzwi i krzyczę na całe gardło: „Już otwieram!”, odlewam się szybko, sypiąc jednocześnie do gęby garść soli i przeciągając lnianym gałgankiem po zębach i języku, nabieram jeszcze łyk wódki różanej, gulgocę, wypluwam, coś tam na siebie narzucam, wracam do drzwi, otwieram, a tam...

– Burmistrz Musing? – wtrąciłam domyślnie.

– A, prawda... – przyznał po chwili zaskoczenia. – Mogłem się i jego spodziewać. Ale nie, nie on. Zgaduj dalej.

Ale że nie miałam chęci bawić się w dalsze domysły, wyjawiał mi w końcu, że gościem był ów młody fidlista, nauczyciel muzyki w domu Musingów.

– Przywitał się grzecznie, życząc mi dobrego dnia i, niepewny, czy go poznaję, przedstawił mi się z imienia i nazwiska: Nicolas Hersant. Do tej pory nie miałem pojęcia, jak się nazywa, ani też nie przyszło mi do głowy, że on może być prawdziwym Francuzem, bo to, że Kordula i Lolika zawsze zwracały się do niego po francusku, tłumaczyłem sobie jako zwyczaj przyjęty wśród śpiewających szansony Machauta czy Grenona. Wpuściłem go oczywiście, myśląc przy tym gorączkowo, jak mam postąpić, jeśli, dajmy na to, okaże się, że przychodzi po to, by się za swoje milczenie domagać zapłaty. Zamykam za nim drzwi, a wtedy on sięga za pazuchę i podaje mi złożoną w czworo kartkę papieru, mówiąc: „Od pani burmistrzowej”. Otwieram, patrzę, a tam takie pierwsze zdanie: „Zaklinam cię, jeśli cokolwiek dla ciebie znaczę, spal ten list zaraz po przeczytaniu!”. Pisane na pewno jej ręką, co do tego nie miałem

wątpliwości. Ale czy nie pod dyktando? Może to jakiś podstęp Gerharda, który już wie o wszystkim i teraz chce mnie przydybać na gorącym uczynku, żeby w majestacie prawa osądzić? Podniosłem wzrok na młodego Francuza. W jego spojrzeniu znalazłem coś... – Filip zawahał się – ...ludzkiego. Ha! Ludzkiego...

Przechylił swoją szklanicę, chcąc pociągnąć łyk, ale że już nic tam nie było, odjął ją od ust, zajrzał z niedowierzaniem do środka, odstawił i sięgnął po stągiew.

– Nie uważasz, Georgiuszu – zagadnął, nalewając najpierw mnie, potem sobie – iż to dziwne, że gdy ktoś okazuje nam czy komuś innemu trochę dobroci, albo choćby tylko zrozumienia, wówczas mówimy, że zachowuje się „po ludzku”, zaś w postawie przeciwnej dopatrujemy się czegoś „niehumanicznego”. A przecież na zdrowy rozum właśnie nieczułość, sobkostwo i złośliwość, jako zjawiska o wiele bardziej pospolite, zasługują na miano zachowań „ludzkich”, natomiast w rzadkich przypadkach odwrotnych wypadałoby mówić, że ktoś jest „niehumanicznie miły” czy „niehumanicznie współczujący”, czyż nie?

– Niezupełnie – zaproponowałam z czystej przekory. – Bo to by oznaczało, że zło w człowieku uznajemy za zasadę i godzimy się z nim.

– Czym jest zło? – wszedł mi w słowo.

– Stawiasz sprawę jak Piłat – zauważyłam. – „Czym jest prawda?”

– To, swoją drogą, też dobre pytanie – odparł, kiwając głową. – Ale wracając do młodego Hersanta, w jego spojrzeniu wówczas nie znalazłem fałszu ani niczego, co by mi kazało wietrzyć podstęp. Tym bardziej że już w następnym zdaniu Kordula pisała: „Oddawca tego listu ma moje pełne zaufanie i wszystko ci objaśni. Jeśli Opatrzność znów zechce nam sprzyjać, tak jak sprzyjała do chwili owego pożalowania godnego zajścia, już jutro między obiadem a wieczną spodziewam się móc dostąpić najwyższego szczęścia. Cieszysz się z tego choć trochę, Tristanie?”. I to był cały list. Bez podpisu, bez daty, bez pozdrowienia w nagłówku.

– Spaliłeś go?

– Od razu, na oczach jej posłańca. Nie przechowuję trofeów, jeśli o to ci chodzi. Chciałem napisać jej coś w odpowiedzi, ale Hersant odwiódł mnie od tego zamiaru, twierdząc, że pani prosiła tylko, by uzgodnił ze mną porę, o której ona może mnie jutro odwiedzić. Znów zadałem sobie pytanie, czy mam ufać temu młodzieńcowi, który okazał się kimś zupełnie innym, niż mi się dotąd wydawało. Zdumiał mnie jego głos – był zupełnie

normalny! Wcześniej słyszałem go tylko, jak śpiewał, a że tak pięknie umiał ciągnąć wysokie nuty, nawet mi przez myśl nie przeszło, że on może jednak mieć wszystko na miejscu, a to śpiewanie kontratenorem o niczym nie świadczy. Co więcej, kiedy go wprowadziłem na pokoje i padło na niego światło z okien, spostrzegłem, że ma policzki sine od wygolonego zarostu. I jeszcze jedno sobie uprzytomniłem, na co dotąd nie zwróciłem uwagi: że on jest bardzo urodziwym młodym mężczyzną, ten Hersant. Prawie tak urodziwym jak ty, Georgiuszu, choć w innym rodzaju. Twoje rysy są wciąż jeszcze bardzo chłopięce, a nawet, rzekłbym, prawie dziewczęce, jak u tych waszych duszków leśnych, podczas gdy on wygląda nieco dojrzalej, przez to choćby, że szczękę ma dużo mocniej zarysowaną, nos bardziej wydatny, brwi czarne, zrosnięte, zresztą w ogóle włosy ma ciemne i oczy brązowe, a ty... Czekał, niech ci się przyjrzę. – Przysunął świecznik do mojej twarzy. – Nie widzę dobrze w tym świetle: niebieskie są one czy zielone, jak winogrona?

– Chyba szare – odpowiedziałam oschle.

– Gdzie tam, szare! – obruszył się – Co też ty opowiadasz, chłopcze drogi!

Tym razem ja sięgnęłam po stągiew i nalałam nam obojgu, mówiąc:

– Mniejsza o to. Mnie bardziej obchodzi, czegoś się od tego przystojnego grajka dowiedział.

– Ba! – odrzekł, biorąc kubek do ręki. – Właśnie, przez to, że sobie uświadomił jego urodę, zaświtało mi nagle, na jakim gruncie Kordula mogła się z nim dogadać.

– Jak to! – zdumiałam się. – Chcesz powiedzieć, że Kordula i on...

– Nie, nie, nie – przerwał mi w pół zdania. – Co innego mam na myśli. Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw go zapytałem, czy wtedy, w środę, pomógł pani burmistrzowej uspokoić panienkę. Odrzekł mi na to, że owszem, zrobił, co tylko było w jego mocy, i mówiąc to, uśmiechnął się nieznacznie sam do siebie. „Rozumiem, żeś ją utulił w płaczu?“, dopytałem. „Nie od razu“, zastrzegł. „Wpierw trzeba jej było objaśnić, że w tym, co widziała, nie było nic zdroźnego”.

Jak ty myślisz, Enneleyn, czy da się coś takiego wmówić dziewczynie, która, jeśli wierzyć Filipowi, wcale nie jest głupia? Ja przynajmniej mocno wątpiałam, czy jest to możliwe, ale widać nie doceniałam Korduli. Szelma wymyśliła sobie na poczekaniu bajeczkę, że omdlała ze strachu przed pajakiem, który skoczył był z kandelabru na jej głowę, a gdy ona,

poczuwszy łąskotanie, mimowolnie przesunęła po włosach palcami, przebiegł po jej rękawie do dekoltu i tam się schował. A że Lolika sama odziedziczyła po matce chorobliwy lęk przed tymi stworzeniami i wiele razy zdarzyło jej się utracić przez to świadomość, trafił jej do przekonania obraz Korduli, ze wstrętu i przerażenia osuwającej się bezwładnie z krzesła, tak że gdyby nie Filip, który ją tak gracko pochwycił, byłaby runęła, rozbijając głowę o twarde płyty posadzki. Tym łatwiej było dziewczynie w to uwierzyć, że za chwilę Kordula odegrała przedstawienie godne sceny rzymskiego teatru, przeraźliwie piszcząc, tupiąc i podskakując w miejscu, by w ten sposób wytrząsnąć z zebranych w rękę sukien biegającego rzekomo po jej ciele intruza, podczas gdy Hersant dzielnie jej w tym sekundował, wołając, że widzi paskudę, jak umyka po posadzce, przez co i Lolika zaczęła piszczeć wniebogłosy, on zaś rzucił się za urojonym pajakiem w pogoń, aby go rozdeptać na miazgę, co mu się, oczywiście, w końcu udało.

– Podczas gdy mi o tym opowiadał – mówił mi Filip – ja coraz bardziej upewniałem się co do pobudek, które kazały nauczycielowi muzyki wesprzeć panią domu w jej rozpaczliwych wykrętach. „Mistrzu Hersant – przemówiłem do niego z rewerencją, która musiała pochlebić jego młodości – odgadłeś już, jak sądzę, że nie ubiegam się bynajmniej o rękę ani o serce panny Loliki; nie dybię też – czyż muszę o tym zapewniać? – na jej cześć dziewiczą. Za to twoim wobec niej zamiarom, których się chyba trafnie domyślam, sprzyjam z całego serca i jeśli sobie życzysz, mogę za nimi przemówić przed panią burmistrzową”. On mi na to, z ukłonem: „Dziękuję, dostojny panie, ale pani Musing sama ofiarowała się ze wsparciem mych starań. Ja jednak, żeby cokolwiek w tej mierze przedsięwziąć, muszę się wpierw niezawodnie przekonać o przychylności samej panienki”.

Mnie, kiedy tego wszystkiego słuchałam, zrobiło się, szczerze mówiąc, trochę żal tej dziewczyny, której Filip przez swoje udawane zaloty tak namieszał w głowie. Bo przecież, nawet jeśli w skrytości ducha rzeczywiście pozostawała biedaczka pod urokiem zrośniętych brwi i wydatnych szczęk muzycznego Francuza, to i tak na pewno przywiązała się do myśli, że będzie żoną samego pana Kallimacha, królewskiego zausznika.

Zauważ przy tym, że ci dwaj, którzy zapewne w jej sercu zażarcie walczyli ze sobą o pierwszeństwo, w rzeczywistości zawarli przymierze w imię swych niezbyt czystych zamiarów, najmniejszych sobie z tego powodu nie robiąc wyrzutów, w świętym przekonaniu, że wyższa racja miłości, która im obu przyświeca, zupełnie oczyszcza ich z winy. Uzgodnili zatem godzinę wizyty i, aby Hersant mógł się przed Kordulą wykazać, iż naprawdę wywiązał się z powierzonej sobie misji, Filip nauczył go czterowersza z Zakochania Rolanda, którego Francuz z innych źródeł znać nie mógł:

delle prodezze de' tempi passati,
Ed io cantando torno alla memoria
e contarovi la più bella istoria,
se con quiete attenti me ascoltati.

Co się wyklada mniej więcej tak: „A ja powracam do opiewania wspomnień minionych wyczynów; i przepiękną ci, pani, historię opowiem, jeśli mnie z należną posłuchasz uwagą”. No, Enneleyn, nie muszę ci chyba tłumaczyć, że tym niewinnym na pozór cytatem nawiązywał Filip do wyczynu dobrze Korduli wiadomego, który choć, owszem, miniony, był wcale świeżej daty – a przy okazji obiecywał jej ciąg dalszy.

– W niedzielę, gdy tylko dobiegły mnie dwa uderzenia dzwonu z ratuszowej wieży – podjął swą opowieść, już po raz nie wiem który napełniając nasze szklanice – ktoś zakołatał do moich drzwi. Pędzę do nich, otwieram, i co widzę? Stoi tam w deszczu postać jakaś posępna, zakapturzona, burą oponczą z grubego sukna okryta. „Nie wpuścisz mnie?”, dobiega spod kaptura. Ach, ten głos fletowy! Dopiero po nim ją poznałem!

Tu zamilkł i zadarł głowę, jakby nasłuchując dalekiego pohukiwania sów.

– Skąd ona z góry wiedziała – odezwał się z namysłem – że w niedzielę przyjdzie ziąb i od rana będzie lało jak z cebra? Może to Gerhard jej coś o tym przewidywanym deszczu nieopatrznie wspomniał? Oni tam, na toruńskim ratuszu, zatrudniają astrologa wprawnego szczególnie w tego rodzaju materiach, uważając, że im to pomaga w zarządzaniu pracami służb porządkowych. Czy gdyby jednak utrzymujący się od tygodni

słoneczny skwar przeciągnął się jeszcze o ten jeden dzień, Kordula umiałaby znaleźć jakiś inny sposób, by się ku mnie przemknąć? Nie wiem. Lecz skoro same żywioły sprzysięły się, by nam zagrać do miłosnego tańca, to widać inaczej być nie mogło, nie sądzisz, mój drogi?

Zamiast odpowiedzi zrobiłam nieokreślony ruch głową, żeby nie dać się wciągnąć w bezsensowne dywagacje, zanim się dowiem, co tam właściwie zaszło. Kallimach to moje milczenie zapisał, zdaje się, na karb pomieszania, i po paru chwilach, nie czekając już, co mu na to powiem, powrócił do swojej opowieści.

– Przeszła przez próg – mówił powoli, jakby chciał wydłużyć każdą chwilę czarownego wspomnienia – i stanęliśmy naprzeciw siebie w półmroku sieni, niepewni nagle, co nam dalej czynić wypada, żeby przez jakiś głupi ruch wszystkiego nie zepsuć. Strząsnęła z głowy kaptur i wtedy, w mdłej, szarej poświacie, co się tam snuła przez drzwi z dalszych izb, zabłysło przede mną kłębowisko wilgotnych loków, jarzących się na skrętach miedzianymi ognikami. Odebrałem od niej ciężkie od wody okrycie i rozwiesiłem na oparciu krzesła nieopodal paleniska. „To Hersanta opończa”, zachichotała cicho. A ja... – Przymknął oczy. – A ja wtedy bez słowa wyciągnąłem ku niej ramiona i już po chwili tuliłem do siebie to utęsknione ciało, uwalniając je naprędce od dwóch jeszcze warstw przemokniętej materii. Ona, muszę ci powiedzieć, także rzuciła się zaraz mnie rozdziewać, obcałowując przy tym z zapalem każdy skrawek ciała, który jej się udało odsłonić. Byłem tak oszołomiony, że nawet nie wiem kiedy, wśród pocałunków i pieszczot bezustannych, zamiast słów wydając z siebie tylko czułe westchnienia, przeszliśmy z sieni, przez salę jadalną, do niewielkiej izby, w której spędzałem noce, i oparliśmy się wreszcie o skraj mego łóża. Och, działa się to tak szybko, że nie potrafię sobie teraz wyraźnie odtworzyć obrazu jej białych piersi, kołyszących się nade mną jak gniazda remiza na wietrze, gdy drocząc się z moim językiem, spragnionym ich słonawego smaku i prężnej szorstkości ich pąsowych szczytów, zadawały mu tantalowe męki, stale z jego zasięgu umykając. Nie zdołałem się też do syta napatrzeć na jej zatknięty na mój maszt łaciński żagiel, ze złotego runa upleciony, gdy podskakiwał na falach miotającej nami nawałnicy, gdyż wzrok mój mimo woli ulatywał stale przez powały, dachy i kłęby deszczowych chmur aż pod kopułę niebios, gdzie zatracał się w słonecznym blasku.

Pozwolisz, Enneleyn, że przerwę w tym miejscu potok dziwacznych metafor, którymi Filip próbował upiększyć tę prostą prawdę, iż Kordula, zapominając o wszelkim wstydzie, starła się z nim w łożu zupełnie goła i wessała go w głąb swego kadłuba. Tak szczepieni ze sobą jak para psów wedle gumna, kotłowali się na pośłaniu, aż – pewnie wskutek utraty tchu – zdało im się, że odrywają się od ziemi i wznoszą w przestworza. Jakikolwiek by tam ich wiatry nie niosły, w końcu przecież opadli na pośłanie, ciężko dysząc i z wolna wracając do przytomności.

– Ciekaw jestem, coś sobie pomyślał, kiedy już przyszedłeś do siebie? – zapytałam od niechcenia, niby to przyglądając się płomieniowi świecy przez wino w uniesionym w rękę pucharku. Filip w odpowiedzi coś tylko mruknął i dopiero pociągnąwszy ze swojej szklanicy tęgi łyk, niespodzianie prychnął, aż kilka kropelek wina padło na moją twarz.

– Nie, czekaj! Przypomniało mi się – zdążył powiedzieć, nim się zachłysnął, odstawiając z hałasem pucharek. – Już tak mhiałem – wycharczał, zanosząc się kaszlem, i wstał, a ja obeszałam stół, by mu pośpieszyć z pomocą.

– Jak miałeś? – zapytałam, waląc go bokiem pięści między łopatki.

– Że czułem... Dziękuję, kochany. – Odkasznawszy, oczyścił wreszcie krtań i dokończył słabym głosem: – Że czułem, jak ogarnia mnie smutek.

Podniósł na mnie zażawiony wzrok, a widząc, że unoszę brwi, dodał z zastanowieniem:

– To jest, owszem, tliły się we mnie jeszcze iskierki radości, ale jedna po drugiej, cichutko przygasały.

– Ha! – zaśmiałam się domyślnie. – Dostałeś, co chciałeś, i czar prysnął, tak?

Nie od razu odpowiedział.

– Tak mi się może przez chwilę wydawało.

– Jej też?

– Jej? – Bruzdy na jego twarzy na jedno okamgnienie wygładziły się w uśmiechu. – Nie, ona wtedy właśnie miała mi strasznie dużo do powiedzenia. Leżała na boku, naga, zwrócona do mnie tymi wszystkim powabami, które do tej pory mogłem sobie tylko wyobrazać, z wyjątkiem, rzecz jasna, jej przesłodkiej buzi, bo ta od dawna dawała mi przedsmak pozostałych jej uroków, ale i ona, ta buzia, przedstawiała mi się w owej chwili po nowemu, złączona w jedną całość z resztą jej boskiego ciała...

– Zaraz – wtrąciłam zdezorientowana. – Czyż nie mówiłeś dopiero co, że ci iskieryki wygasły?

– Myślałem, że wygasły – odrzekł smętnie – ale one się widać tylko schowały pod warstwą popiołu. Może dlatego tak mi się zdawało, że tyle wtedy gadała, tyle cudnych, szalonych głupstw, a ja akurat potrzebowałem trochę poleżeć w milczeniu? Sam nie wiem... I wtem pośród tej jej roznamiętnionej paplaniny padły słowa, po których przeszedł mnie dreszcz.

Zamilkł i obejrzał się za siebie, jakby wypatrywał, czy gdzieś poza kręgiem światła nie czai się ktoś, kto nas może podsłuchać. Potem, łypnąwszy podejrzliwie okiem znad szklanicy, pochylił się ku mnie i wychrypiał:

– Dzieciaku, ty aby nie weź tych jej słów na poważnie. To było, wiesz, tylko takie, ot, bredzenie w miłosnej gorączce. Coś jak to, co Izolda mówi Tristanowi, pamiętasz? Że szkoda, iż go nie zabiła w kąpieli.

– Ale co takiego powiedziała pani Musing? – chciałam w końcu wiedzieć.

– Że tamtej niedzieli przyszło jej na myśl... – świszczącym szeptem cedził słowo za słowem – ...żeby Loliczkę zabić!

– Nie! – Pokręciłam z niedowierzaniem głową.

– Tak! – odparł cicho. – Udusić. – I nagle ryknął: – Własną córkę! Słodką, niewinną Loliczkę!

– Ćśś! Obudzisz cały Kraków! – starałam się go uspokoić. – Niepotrzebnie aż tak się unosisz. O ile jejmość burmistrzowa nie pozwoliła się tej myśli zagnieździć, to nie ma jej co o nią obwiniać – orzekłam wielkodusznie w Starkfausta imieniu. – Powiem ci, że mnie samego nie dalej jak przed trzema tygodniami mocno ręce świerzbiały, żeby jedną babę udusić.

Przypominasz sobie, siostrzyco, tę Czechnę, szeptuchę, o której ci w poprzednim liście pisałam; ją tu oczywiście miałam na myśli, ale niepotrzebnie z tym wyskoczyłam przed Filipem, bo nieoczekiwanie zaczął od razu dopytywać: a co to za baba, a czym mi się tak naraziła – a ja nie miałam na tę okoliczność przygotowanej żadnej bajeczki, więc próbując całą sprawę w żart obrócić, wymyśliłam na poczekaniu jakąś przekupę z Kleparza, która miała sobie pokpiwać z mojego mizernego zarostu.

– A coś ty taki drażliwy? – skrzywił się na to Kallimach. – Co cię jej zdanie obchodzi! Wiadomo, że nie każdy umie docenić urok takiego... – Tu przyjrzał mi się baczniej i jakby nie wierząc własnym oczom, przesunął palcem po moim podbródku. – Ogoliłeś się! – wykrzyknął, znów trochę za głośno na tę porę. – Ho, ho! Jedwab, istny jedwab! – perorował dalej, sprawdzając gładkość mojej twarzy wszędzie tam, gdzie Czechna naklejała skrawki płótna. – Chociaż przyznam – dodał ciszej – że lubiłem ten twój puch brzoskwiniowy. W ogóle mam słabość do brzoskwiń. Chyba się niedługo pokażą po takim upalnym lecie. – Nalał nam znowu do pełna. – No, mój drogi, witam w kompanii dojrzałych mężów! Za twoje gładkie policzki!

Pociągnęliśmy po sporym łyku. Od tej malwazji po trosze kołowało mi się już w głowie. Słowa Filipa, coraz bardziej niewyraźne, to zbliżały się, to oddalały, mieszając się z rzekotaniem dobiegającym z pobliskich mokradeł Zabiego Kruka, i brzęczeniem nadlatujących stamtąd chmar komarów. Mimo to, choć z trudem, nadążałam przecież za tokiem jego opowieści, dlatego też, jak sądzę, mogę ci ją teraz w miarę wiernie przekazać.

Pani Musing ubrała się w końcu, narzuciła na siebie wciąż jeszcze wilgotną Hersantową opończę i pośpieszyła na ulicę Panny Marii, aby dotrzeć do domu, zanim Francuz zakończy lekcję muzyki z Loliką. Zapowiedziała się na drugi dzień o tej samej porze, a gdyby coś jej miało stanąć na przeszkodzie, obiecała przysłać Hersanta z wiadomością. Nazajutrz jednak żadne z nich nie pokazało się w domu przy Bramie Żeglarskiej, choć deszcz padał nieprzerwanie i burmistrzowa nadal mogła się ukrywać pod opończą fidlisty.

Taka niesłowność zrazu tylko Filipa rozdrażniła – czemu się nie dziwię, jako że czas strawiony na próżnym oczekiwaniu mógł być przeznaczony na jakieś pożyteczniejsze zajęcia – lecz kiedy i następnego dnia nie doczekał się od burmistrzowej żadnego znaku życia, z każdą godziną stawał się bardziej niespokojny. Przyszło mu do głowy, że może jakiś przechodzień mimo przebrania rozpoznał Kordulę, gdy się od niego wymykała, albo może burmistrz zjawił się w domu, zanim tam dotarła, bądź też, dajmy na to, ktoś ze służby Musingów zwrócił uwagę, że zawieszona na kołku opończa Hersanta jest przemoczona, tak samo jak suknie pani domu. Dręczony wciąż tego rodzaju czarnymi myślami i narastającą tęsknotą, Filip przez całą noc nie zdołał zmrużyć oka. W końcu doszedł do

przekonania, że jeśli się zaraz nie dowie, co się z jego kochanką dzieje, z pewnością postrada zmysły. Z samego więc rana wybrał się do swojego większego domu, tego przy rynku, niby po to, by doglądać mularzy, czego przez ostatnie dni zaniedbał, przede wszystkim jednak powodowany nadzieją, że natknie się może po drodze na jakichś wspólnych z burmistrzostwem znajomych, od których bez wzbudzania podejrzeń uda mu się zasięgnąć języka. No i owszem, natknął się, ale na samego burmistrza Musinga. Pojmujesz: przyjaciela, któremu zniepawił był żonę.

– Wchodzę na rynek, a tu, z przeciwka, on – mamrotał Filip, wpatrzony w krążek światła świecy tańczący na powierzchni wina, jakby w jego wnętrzu rozgrywała się scena, którą mi właśnie opisywał. – I, widzę, już mnie dostrzegł, idzie prosto na mnie, a jego mina nie wróży nic dobrego. Miałem ochotę natychmiast brać nogi za pas, ale one, jak na złość, wrosły mi w ziemię, zresztą tylko mi tego brakowało, żebym się okazał mało że gadem, to jeszcze tchórzem. Więc stoję tam, skamieniały, gotów na wszystko, a Gerhard kroczy ku mnie powoli, poblady, postarzały, posępny jak śmierć. Wreszcie staje przede mną i... pada mi w ramiona!

– Jak to? – wyrwało mi się.

– Też tak pomyślałem: jak to? A on, wciąż tuląc się do mnie, nieledwie szlocha: „Ach, Filipie, biada mi!”. „Co się stało?”, pytam z drzeniem serca. „Lolika – chlipie mi do ucha – ciężko zaniemogła; chyba już nie ma nadziei!”

Filip oczywiście przejął się bardzo i z miejsca ofiarował się czuwać przy dziewczyny łożu. Burmistrz jednak ostudził jego zapał, tłumacząc, że doktorzy zabronili wchodzić do izby jego córki komukolwiek oprócz tercjarek szpitalniczek, mających wynosić nieczystości i podawać przepisane dekokta, gdyż w świetle medycyny Loliki choroba zalicza się do tych, które łatwo się przenoszą z człowieka na człowieka. Nie udało mi się dociec, na co właściwie dziewczyna zapadła, gdyż wymienione przez Kallimacha symptomy – ból głowy i pleców, bredzenie w gorączce i ciągłe wymioty – mogły wskazywać na bardzo różne choroby. Filipowi przyszło w pierwszej chwili na myśl, że może biedaczce pomieszało się w głowie pod wpływem wiadomych przeżyć, nie do końca przez sprytne wyjaśnienia matki uśmierzonych, ale gdy mu pan Musing wyjawiał, że w swych majaczeniach Lolika powtarza frazy ze swojej ukochanej książki Oracz i śmierć, z ulgą doszedł do przekonania, że jedno z drugim nie może

mieć raczej żadnego związku. Co więcej, jak się zaraz okazało, samego burmistrza okrutnie gryzło sumienie, i to nie bez powodu.

– Raz po raz wybuchał płaczem i rzucał mi się na szyję, powtarzając: „To wszystko moja wina!” – ciągnął Filip swoją opowieść, choć już mu się trochę język plątał. – „Gerhardzie – mówię zdziwiony – jaka twoja wina? Choroba to choroba!” To mi się wreszcie przyznał, że gdy Kordula próbowała się z nim rozmówić w sprawie wzajemnej skłonności Loliki i Hersanta, on wpadł w gniew i zwymyślawszy je obie najgorszymi słowy, zagroził córce, że jak nie wyjdzie za mnie, to ją do klasztoru odda, a tego „niedokastrowanego miauczucha”, czyli Hersanta, osobiście kijem pogoni. Ja mu mówię: „Zgadzą się, że to był błąd, Gerhardzie, ale ludzie popełniają błędy; ważne, by je chcieli naprawiać. Chyba nie muszę ci mówić, jak możesz naprawić twój?”. Zerknął spode łba: „Co, ty już mojej córki nie chcesz?”. „Chcę dla niej tylko tego, aby była szczęśliwa”, mówię; a wtedy on: „Filipie! Jesteś najlepszym z ludzi!”. Czujesz chyba, jak nieswojo mi było słyszeć takie słowa z jego ust? A jeszcze bardziej wstyd mi się zrobiło, gdy zaczął mnie gorąco prosić, bym zaraz poszedł do jego domu, bo Kordula tam, biedna, sama siedzi i odchodzi od zmysłów, nie mając się przed kim wyplakać, podczas gdy on musi, jak co dzień, stawiać się na ratuszu, by wypełniać tam swoje obowiązki.

Tu wdał się mój pryncypał w zawiłe wywody mające mi uświadomić, w jak trudnej sytuacji postawił go Gerhard swoimi prośbami, od których on nie bardzo mógł się wymówić, nie mając na podorędziu dobrego wykrętu, a nadto, jak mi skrycie wyznał (zwracając się do mnie słowami „najmilszy chłopcze” i odwołując się do mojej przyrodzonej pojętności), w gruncie rzeczy sam palił się do tego, by znów zobaczyć panią Musing i pocieszyć ją w jej strapieniu wypróbowanym sposobem, o którego niezawodności był głęboko przekonany, a przy okazji samemu raz jeszcze, bardziej niż uprzednio świadomie, zaznać owych uniesień, za którymi wzdychał od tamtej deszczowej niedzieli.

Pożegnawszy burmistrza, udał się więc Filip co prędzej na ulicę Panny Marii, gdzie drzwi otworzył mu zboląły Hersant, który zresztą zaraz oddalił się w głąb domostwa, bezgłośnie poruszając wargami i cicho podzwaniając przesuwanymi między palcami paciorkami różańca. Za chwilę zaskrzypiały schody i pokazała się na nich pani Musing, usłyszawszy widać, że ktoś przyszedł. Na widok Filipa przystanęła w połowie wysokości schodów, wytrzeszczając oczy, jakby zobaczyła

ducha. On pośpiesznie ruszył ku niej, by się jej pokłonić i wypytać o stan chorej, lecz burmistrzowa cofała się bez słowa za każdym razem, gdy Filip, wstępując na kolejny stopień, próbował się do niej przybliżyć. Zaczął jej mówić o swoim spotkaniu z jej mężem, i że odwiedza ją na jego prośbę i z jego błogosławieństwem, ale ona nic mu na to nie odpowiadała, wciąż się cofając, aż wreszcie znaleźli się na piętrze, w tej samej wielkiej izbie gościnnej, w której się po raz pierwszy zwarli byli w wyuzdanym pocałunku.

– Ach, zacny panie Kallimachu, błagam, odstęp ode mnie! – przemówiła wreszcie. A gdy zdumiony zaczął dopytywać, czym jej się tak naraził, że ona nie może go ścierpieć w swym pobliżu, odrzekła po prostu, że jeśli jej modły o życie Loliki mają być wysłuchane, musi się uwolnić od grzechu, który ściągnął na nią tę karę. Filip, słysząc to, zachnął się.

– Za twój grzech Bóg zsyła chorobę na Lolikę? – przemówił zapalczywie. – Dlaczego nie na ciebie, dlaczego zresztą nie na mnie? Co tu Lolika jest winna, powiedz, proszę!

– Bóg, Filipie – odrzekła mu ze spokojną rezygnacją – patrzy w moje serce i wie, że gdyby to chodziło o moje własne zdrowie i życie, nigdy bym się tego grzechu nie wyrzekła. Nigdy! Co innego, gdy coś zagraża mojemu jedynemu dziecku. Dlatego, proszę, nie utrudniaj mi. Idź raczej do siebie i tam, ufając w miłosierdzie Boże, módl się gorąco o odpuszczenie moich i twoich win.

Zauważ, Enneleyn, że nabożna burmistrzowa zdawała się zupełnie nie pamiętać, jak kilka dni wcześniej bez najmniejszego zawstydzenia zwierzała mu się, iż nawiedzały ją myśli o zgładzeniu córki, przelotnie bo przelotnie, ale jednak. Sam Kallimach także, powtarzając mi jej słowa, nie zwrócił na tę sprzeczność uwagi, zapewne będąc już cokolwiek otumaniony wypitym winem. Tak czy inaczej, poznawszy wówczas, że ona zdania nie zmieni, uczynił tak, jak sobie życzyła.

– Nawet – opowiadał mi – jeszcze tego dnia i przez dwa kolejne modliłem się samotnie w domu, przed wieczorem, z rana i po obiedzie, najszczerzej, jak umiałem, choć ta szczerść mogła zaszkodzić skuteczności mych modłów, bom przez nią nie obiecywałem poprawy. – Zaśmiał się ponuro i z hukiem odstawił pucharek. – Jak ci się wydaje, przyjacielu, jak długo można tak żyć, jak pustelnik, i nie zwariować? Ja miałem już dość po trzech dniach, a że akurat była niedziela, wybrałem

się na sumę do kościoła Świętych Janów, w nadziei, że może chociaż zdołam tam pochwycić mojej lubej spojrzenie.

Pani Musing co prawda, jak się okazało, nie była na nabożeństwie obecna, ale za to spostrzegł tam Filip samego burmistrza, a przy nim, ku swemu zaskoczeniu, fidlistę Hersanta. Obaj zgodnie skłonili mu się z daleka, uśmiechając się mile, choć od ołtarza jeszcze nie padło wezwanie *offerte vobis pacem*. Wyjaśniło się to po *Agnus Dei*, gdy ksiądz ogłosił zapowiedź ślubu Nicolasa Hersanta z Loliką Musing, mającego się odbyć w święta Bożego Narodzenia. Po skończonej mszy Filip przyłączył się do pana Musinga i jego przyszłego zięcia i dowiedział się od nich, że Lolika już nie wymiotuje, ustąpiła też trawiąca ją gorączka, i choć dziewczyna jest wciąż bardzo słaba, lekarze są dobrej myśli. Słyszając to, chciał od razu iść z nimi do domu, odwiedzić chorą i wyrazić swoją radość z tak pomyślnego spraw obrotu, ale mu powiedzieli, że lepiej odłożyć to do dnia następnego, żeby tak panna, jak i pani Musing zdążyły nieco dojść do siebie po kilku z rzędu nieprzespanych nocach.

Na tym stanęło. Nazajutrz z samego rana Filip zjawił się w domu przy ulicy Panny Marii, pełen nadziei na odnowienie zakazanej bliskości z panią Musing, gdyż, jak się spodziewał, skoro jej córce nic już nie zagrażało, ona sama nie będzie miała dłużej powodów, by się nadmiernie zadrećczać wyrzutami sumienia. I tu się bardzo omylił.

Zastał burmistrzową pogrążoną w lekturze, jak to dawniej często bywało, lecz tym razem czytała nie Boiarda i nie Dantego, ani też Gotfryda ze Strasburga, tylko psalterz różańcowy, co już źle nadziejom Filipa wróżyło.

– Przypadłem jej do stóp, z bukietem róż pięknie pachnących – opowiadał – a ona zerwała się na równe nogi i uciekła w róg sali, zasłaniając się przede mną psalterzem jak tarczą. „Co pan tu robisz? – przemówiła ze wzburzeniem. – Przyrzekłeś pan zostawić mnie w spokoju!” „Tak – mówię, choć właściwie niczego jej nie przyrzekałem – ale to dlatego, że Lolika była chora”. „Wciąż jest chora! – zaznaczyła surowo i dodała: – Owszem, ma się teraz lepiej, i to jest znak, że Bóg przyjął moją skrucę”. Widziałem już, do czego zmierza, ale jeszcze miałem nadzieję ją od tego odwieść. „Bóg ocalił ci córkę, aby mogła zaznać szczęścia z Hersantem – przekonywałem – i tobie także czemużby miał szczęścia zabraniać!” A ona, wytrzeszczając na mnie oczy, zapytała: „Filipie, czy ty w ogóle nie myślisz o zbawieniu?”. Zastanawiałem się

chwilę nad odpowiedzią, bo to nie jest łatwe pytanie, a ona: „Ja przysięgam Bogu wyrzec się grzechu raz na zawsze, gdy o dziecka mojego życie błagała! I, zobacz, Bóg mnie wysłuchał! Lolika żyć będzie!”. Stała tam w tym kącie, z twarzą pałającą jak u świętej szykującej się do męczeńskiej śmierci, a ja powoli podszedłem do niej bardzo blisko, aż nie miała jak mi się wymknąć, i zapytałem bardzo cicho, czy gdyby Bóg jej nie wysłuchał, byłoby jej łatwiej czy trudniej wyrzec się naszej miłości. „Z Bogiem nie ma targów”, odrzekła, uciekając wzrokiem. I nagle syknęła, miotając we mnie iskry z oczu: „Precz ode mnie, szatanie!”. Aż się cofnąłem, jakbym rzeczywiście był jakimś demonem umykającym przed znakiem krzyża. I zaraz łzy puściły mi się z oczu ciurkiem, i padłem przed nią na kolana. „Kordulo, ukochana moja – wyszło chałem, już nie bacząc, że ktoś nas mógł usłyszeć – błagam, nie unieszczęśliwiaj mnie i siebie!”. A wtedy ona też zalała się łzami i łamiącym się głosem rzekła: „Przez litość, Filipie, zejdź mi z oczu, bo chociaż Kocham cię nad życie, wiem, że przy tobie nigdy nie znajdę ukojenia!”. „A beze mnie?”, zapytałem przez łzy. Chlipnęła, chwilę pomilczała, a potem oznajmiła z przekonaniem: „Wierzę głęboko, że tak”.

Na to już nie znalazł Filip odpowiedzi – on, taki wytrawny retor. Klamka zapadła. Podniósł się z klęczek i podał pani Musing wciąż ściskany w dłoni bukiet róż, prosząc, by go przyjęła i przechowała na pamiątkę ich miłości. Ona skinęła głową i ostrożnie wzięła bukiet z jego rąk. „Przechowam jak świętą relikwię”, powiedziała cicho. A on wtedy skłonił się i oddalił w milczeniu, bo, jak mi to na koniec skwitował, „i cóż tu jeszcze można było rzec”.

Nie wiem, jak długo by pozostawał potem w zupełnym bezwładzie, niezdolny do najprostszego nawet działania, na co się wyraźnie zanosilo, gdyby nazajutrz kurier poczty królewskiej nie wręczył mu listu od samego monarchy, w którym Olbracht nakazywał mu, by natychmiast udał się do miasta Łęczyca, leżącego gdzieś w pół drogi z Torunia do Krakowa, i przemówił tam w jakiejś ważnej sprawie na synodzie prowincjonalnym. O co chodziło, nie wiem, gdyż Kallimach, dość już mocno znietrzeźwiony, wciąż tylko powtarzał bełkotliwie:

– To jak im tam powiedziałem, to im dopiero w piąty poszło! „Widzę, już czas ten nadchodzi – mówię – jest już bardzo blisko...”

– Jaki czas? – dopytywałam.

A on tylko powtarzał niewyraźnie:

– Powiedziałem im... Prosto im w oczy...
– A co oni na to? – spróbowałam inaczej zapytać.
– Co oni na to? – Zmarszczył czoło, usiłując zebrać myśli. – Nic. Zupełnie nic... Ani słowa... – Roześmiał się głupkowato i sięgnął po stągiew, ale że była już prawie pusta, nie trafił z niej do pucharka, rozlewając resztę wina na stół. – Oj, niezdara! – ofuknął sam siebie. – Trudno, idę po drugą.

Zaoponowałam stanowczo, tłumacząc, że co do mnie, mam już dość, a i jemu po czterech dniach męczącej jazdy na pewno dobrze zrobi, jeśli się teraz wyśpi do południa, z czym się nadspodziewanie łatwo zgodził i potulnie dał mi się zaprowadzić na spoczynek.

Kiedy zamknęłam za nim drzwi jego izby sypialnej, z kolei mnie zakręciło się nagle w głowie od tej diabelnej malwazji. Oparłam się o ścianę i chwilę tak trwałam, poddając się ogarniającemu mnie stopniowo uczuciu ulgi i jakiejś nieokreślonej nadziei, lichy wie czego się tyczącej.



Trochę się chyba zanadto rozpisałam o tych wszystkich Kallimacha wyskokach, które cię może aż tak bardzo nie obchodzą, zamiast, jak należało, zacząć od twoich trosk, które są mi przecież tak bliskie. Teraz więc, gdy wracam do mego listu po dniu przerwy, spróbuję to jakoś naprawić. Z tego, co mi piszesz, wnioskuję, że oswoiłaś się tymczasem z myślą o powiększeniu twojej gromadki i nie rozglądasz się już za sposobami na odwrócenie biegu rzeczy. Wyznam ci szczerze, że przyjmuję to z wielką ulgą. A to dlatego, że przedarłszy się, zgodnie z daną ci obietnicą, przez wszystkie dostępne źródła medyczne po to, żeby zdobyć w tej mierze jakieś użyteczne dla ciebie wskazówki, mogę dziś z pełnym przekonaniem stwierdzić, że żaden z zalecanych w tych celach specyfików nie jest niezawodny, za to prawie wszystkie niosą ze sobą ryzyko wywołania w innych obszarach niespodziewanych dolegliwości, które mogą nawet zagrażać życiu, i to bardziej nieraz życiu kobiety niż jej płodu. Mimo to te moje poszukiwania miały jednak pewien sens, gdyż, jak się okazuje, medykamenty mogące w pierwszych miesiącach ciąży przyczynić się do fetusa spędzenia bywają ogromnie przydatne, gdy je zastosować na krótko przed porodem, wówczas bowiem znacząco

wspomagają położnicy wysiłek. Na wielce obiecującą recepturę jednego z takich środków natrafiłam w De curis mulierum sławnej Trotuli z Salerno, które to dzieło znalazłam, o dziwo, w zbiorach krakowskiej Akademii.

Poza tym przeczuwam, że zmiana twojego nastawienia do tego, co cię czeka, a zwłaszcza radosny ton twego listu świadczą o tym, iż przestałaś się też truć podejrzeniami wobec twego małżonka, tym bardziej że nic mi już o nich nie piszesz. Jeśli mam rację, to znaczy, że jesteś szczęśliwa, a zatem nie wracajmy już więcej do tego przedmiotu, chyba że – tfu, tfu, na psa urok – będziemy musiały.

Przejdźmy tedy do innych materii, równie dla mnie ważnych. Otóż, Enneleyn, droga moja, nie chciałabym, żebyśmy z czasem przestały się rozumieć, dlatego muszę ci teraz powiedzieć coś, co ci się może nie spodobać, i nie wiem, jak mam zacząć, żeby jednak trafić ci do przekonania. Chodzi mi o twoje uwagi dotyczące się Żydów i mojej z nimi zażyłości.

Znam cię, można powiedzieć, od zawsze, i wiem, że masz swój rozum, którego przenikliwości nic nie umyka, ale też serce czułe na każdego człowieka krzywdę, a nawet, jak pamiętam, na niedolę zwierząt. Powiem więcej: jak wiesz, ja sama, wtedy kiedy jeszcze mój świat zamykał się między grzbietami Odenwaldu a doliną górnego Renu, żywiłam taką samą nieprzejednaną wobec Żydów niechęć jak ty, najdroższa przyjaciółko, bo tak samo jak ty zupełnie ich nie znałam! Wiedziałam o nich tylko to, co mówili wszyscy wokół, a zwłaszcza mój świętej pamięci ojciec, nie zdając sobie sprawy, że oni wszyscy tylko powtarzają podawane z rąk do rąk gotowe formułki, przyjmując milcząco – co jest dla mnie w pełni zrozumiałe – że skoro wszyscy tak mówią, to znaczy, że tak jest. Cóż, zwykle trzeba i warto polegać na zdaniu większości ludzi – vox populi, vox Dei. Zresztą nawet od samych Żydów słyszałam później takie powiedzonko: jeśli trzech ludzi ci mówi, że jesteś pijany, to się nie kłóć, tylko połóż się spać.

Tak, zwykle to się sprawdza. Ale czasem, widzisz, zdarza się, że większość jednak błądzi. A co gorsza, większość ta, ufna w powyższe reguły, utwierdza się w swym błędzie coraz bardziej, tak że zdanie odrębne, podnoszone może nieśmiało przez niektórych, staje się z upływem lat, a potem stuleci, coraz mniej słyszalne.

Ja, jak już ci chyba pisałam, pierwsze nieco bardziej wyważone sądy o Żydach słyszałam od Celtisa, chociaż on też chętnie z nich szydził, złośliwie małpując ich sposób mówienia i intonację, a także przypisując im różne brzydkie cechy, jego zdaniem wynikające z ich rasy. Niemniej uważał, że warto się od nich uczyć hebrajskiego języka, po pierwsze, żeby móc studiować Stary Testament w oryginale, oraz, jak dodawał, żeby wiedzieć, co tam oni przeciw nam knują w Talmudzie i innych tajemnych pismach. Ale przy Kallimachu Celtis zaczął się z tym hamować, bo ten kiedyś, zamiast podjąć dowcip w tym właśnie duchu, zaznaczył łagodnie, acz stanowczo, że znał dobrze we Włoszech kilku Żydów i ma dla nich wiele szacunku, a nadto że w Turcji, na swym wygnaniu, od nikogo nie zaznał tyle bezinteresownej życzliwości, co od tamtejszych Izraelitów. To mnie, pamiętam, mocno zdziwiło, i odtąd uważniej zaczęłam się przyglądać Żydom w Krakowie, coraz częściej zapuszczając się do ich dzielnicy, aż po kilku miesiącach odważyłam się, jak pamiętasz, zawrzeć z nimi bliższą znajomość, podając się za jedną z nich.

Do jakich wniosków doszłam, mając z nimi tak blisko do czynienia? Otóż, bez obawy, nie będę twierdzić, że są oni istnym wcieleniem najwyższych cnót. Raczej, powiedziałabym, a nawet będę się przy tym upierać, że są tacy sami jak wszyscy inni ludzie. Tacy sami – to jest rozmaici. Lepsi, gorsi, mądrzejsi, głupszy, piękniejsi, szpetniejsi – i tak dalej. Tak, najróżniejsi, po prostu. Możesz chyba ufać mojemu świadectwu, wiedząc, jak blisko się z nimi zadaję od prawie siedmiu lat. A jeszcze co do tych ponurych bajeczek, które o nich krążą – o profanowaniu hostii albo o wytaczaniu krwi z chrześcijańskich dzieci – czy muszę cię zapewniać, że to wierutne bzdury?

Oczywiście to, że sprzeciwiam się piętnowaniu Żydów za to tylko, że są Żydami, nie oznacza, że byłabym gotowa wyjść za Neftalego Klejnota i na zawsze porzucić zarówno Starkfausta, jak i Gredechin, wraz z ich obojga chrześcijańską wiarą. Co to to nie, a już na pewno nie dla średniego Klejnota – z całym uznaniem dla jego niepodważalnych zalet.

Szczęśliwie sprawa sama się rozwiązała, jak się domyślam, dzięki cichym zabiegom rabina Pollacka, oby żył jak najdłużej. W zeszły piątek, jak zwykle, wybrałam się późnym popołudniem do łaźni. Ledwie się zanurzyłam w wodzie, a tu nadchodzi moja wielka przyjaciółka Chanka – jak może pamiętasz, zamężna z najmłodszym z Klejnotów, Szmulikiem.

Włazi zaraz do mojej balii i z bardzo zakłopotaną miną szepcze mi do ucha tak:

– Hindele, ty mi powiedz, czy ty się bardzo nastawiłaś na to małżeństwo z Neftalim?

A mnie się strasznie śmiać chce, bo przeczuwam, z czym do mnie przychodzi, ale nic; ściągam buzię w ciup, tak, wiesz, po dziewczynsku, i namydlając nogi, odpowiadam z namysłem:

– Czy ja wiem... Może trochę? Zastanawiam się.

– To ja ci coś powiem – ona na to. – Bo to ja ci to muszę powiedzieć, chociaż mi bardzo wstyd. Bo widzisz... – Patrzy na mnie żałośnie i nic nie mówi.

– Co, Chanele? – Staram się ją ośmielić. – Coś się stało?

A ona spogląda na mnie tymi swoimi zielonymi oczami z miną winowajczyni.

– Hindele, wierz mi, ja bym cię nigdy nie chciała postawić w takim położeniu. Skąd miałam wiedzieć, że mu się tak nagle odmieni?

– Komu się odmieni? – Wciąż udaję głupią.

– Neftalemu.

– O! – mówię, niby zaskoczona, ale już nie umiem wstrzymać uśmiechu.

– Znaczy on już mnie nie chce?

Przychyliła się do mojego ucha i wyszeptała:

– On to na rabina zwala!

A więc, zrozumiałam, rabin Pollack rzeczywiście, tak jak mi obiecywał, zalecił średniemu Klejnotowi, by dał mi ukończyć studia, nim mnie pojmie za żonę. Ale kiedy dopytałam Chanki, co mianowicie Neftali „zwala na rabina”, wówczas, czerwieniąc się ze wzburzenia, wyznała mi, że mój niedoszły oblubieniec kilka dni temu niespodziewanie poprosił o rękę Szejny Tojba, młodszej córki Mendla Tojba, rzezaka. Jakoś nie bardzo pamiętałam, która to jest, ta Szejna, więc mi ją Chanka zaraz pokazała z daleka, kąpiącą się o trzy balie od nas.

– To ta duża, ruda, czy ta mniejsza, ciemnowłosa? – spytałam półgłosem.

– Ta mniejsza. Ta duża to jej starsza siostra Fruma. Też na wydaniu.

Przyjrzałam się Szejnie – drobnej, ładniutkiej, o miłej, na wpół dziecinnej buzi wieńczącej harmonijnie utoczone ciało – i orzekłam:

– Pochwalam jego wybór.

– No coś ty! – zdumiała się Chanka. – Już Fruma by była lepsza.

Fruma z rysów twarzy, wcale przyjemnych, jest podobna do Szejny i rzeczywiście może się podobać jeszcze bardziej niż ona, tylko że przez to, że jest ruda, postawna i dość bujnych kształtów, przywiodła mi na myśl panią Musing, tak jak ją sobie wyobrażam, toteż jakoś nie bardzo by mi się podobało, gdyby mój zalotnik niedawny porzucił był mnie właśnie dla kogoś o takiej powierzchowności. Ale nie, o to mogę być spokojna – Neftali Klejnot nie ma tak przewrotnych upodobań jak mój pryncypał.

Ach nie, droga Enneleyn, nie myśl sobie, że mnie cokolwiek obchodzą małżeńskie plany tego młodego, ale już tak dobrze rokującego starszego buchaltera. Powinnam codziennie zanosić modły dziękczynne za to, że sprawdziły się przewidywania rabina Jakuba, iż ów obiecujący młodzieniec, nadzieja rodu Klejnotów, nie będzie chciał tak długo czekać, by się wziąć do spełniania boskiego nakazu pru u-rwu (bo tak w oryginale brzmią słowa *crescite et multiplicamini*). Cóż, jestem pełna zrozumienia dla tej jego niecierpliwości, a spodziewam się, że ty, moja droga, rozumiesz ją jeszcze lepiej.

Swoją drogą, uważaj teraz na siebie, przyjaciółko ulubiona, dobrze się odżywiaj i dużo odpoczywaj. Zresztą co ja ci będę mówiła – komu jak komu, ale tobie na pewno żadna z tych zasad nie jest obca.

Bądź zatem zdrowa i pisz do mnie, bo za każdym razem, gdy wśród codziennych zgryzot uświadamiam sobie, że ty jesteś nie dalej jak o dwa tygodnie jazdy stąd i myślisz o mnie, zawsze robi mi się od tego jakoś różniej.

Kłaniaj się ode mnie Dietmarowi i wycałuj w moim imieniu dzieciaki.

Dałam w Krakowie

w środę,

3 sierpnia

1496.

LIST VIII

Enneleyn droga, nie mogę się doczekać twojej odpowiedzi, choć przecież wiem, że tę, co nadejdzie, musiałaś pisać, zanim jeszcze dostałaś mój list ostatni – o tym, jakżeśmy to pewnej nocy wychylili z pryncypałem całą stągiew malwazji, a on mi się przy tym żalił na spóźnione skrupuły burmistrzowej. Skoro już o tym wspominał, dodam tylko, że Filip chyba się wreszcie pogodził z nieodwołalnym zakończeniem owych niewczesnych amorów, a nawet, jak mi przy okazji napomknął, zdołał przed opuszczeniem Torunia zlecić bankowi Papenów sprzedaż obu swych tamtejszych domów, kupionych okazyjnie niecałe pół roku wcześniej od pewnego kanonika opętanego zgubną pasją do gry w kości. Bankierzom udało się podobno uzyskać za jego kamienice wcale dobrą cenę, pomimo że, jak wiesz, okazalsza z nich była w trakcie przebudowy – a może właśnie dlatego.

Zostawmy jednak na boku Kallimacha interesy i słabostki, bo oto mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego. Wspominałam ci już, pamiętasz, o nowej chorobie, co się tu szerzy coraz zuchwalej. Przyznam, że do niedawna nie przywiązywałam większej wagi do krążących po mieście pogłosek na jej temat. Mało to głupot ludzie powtarzają jeden drugiemu z coraz większym przejęciem? Co do mnie, byłam przekonana, że to przypadłość jak wiele innych, co to się przytrafia niektórym, a całą resztę omija, ale i spośród tych, którym się jej całkiem uniknąć nie uda, większość ma przecież szansę się wylizać. I niby tak właśnie sprawa się ma z nową ową chorobą – którą nasi doktorowie przewalają krościcą – bo ledwie co czwarty z tych, co ją złapali, umiera. Jednakże lekceważyć ją na tej podstawie, to tak jakby twierdzić, że nie trzeba się bać szalejącej burzy, skoro piorun tylko z rzadka kogoś trafi. Przyznaję, bywają choroby straszniejsze, ale i owa niepozorna krościca potrafi zabić w przeciągu tygodnia, a przy tym roznosi się łatwiej niż puch z topoli, więc lada chwila dotrze i do was. Dlatego błagam cię i zaklinam na naszą wieczystą

przyjaźń, Enneleyn, uważaj na siebie, bo z tą zarazą naprawdę nie ma żartów! Najlepiej zrób sobie zapasy żywności, takie, żeby ci starczyło co najmniej na miesiąc, jak również opału, wody i wszystkiego, czego potrzeba do życia, bo jak to dotrze do was, najlepiej zamknąć się w domu i nie mieć z ludźmi w ogóle do czynienia, dopóki zaraza nie wygaśnie sama z siebie. W moim, to jest Kallimacha, domu już takie zapasy zaczęliśmy gromadzić, nie wiem tylko, czy nie za późno, bo na przykład groch ostatnio wymiotło ze wszystkich straganów bez śladu, za kapustę kiszoną wołają sobie wieśniacy cenę wręcz bezwstydną, a beczki solonych śledzi nie dostaniesz tu dziś taniej jak za półtorej grzywny srebra – dwa razy więcej niż przed tygodniem – i to wszystko na pewno będzie drożało dalej, bo coraz częściej towaru w ogóle nie ma nigdzie.

Wracając do samej krościcy, to trzeba ci wiedzieć, że na początku trudno ją rozpoznać, gdyż zaczyna się jak wiele pospolitych chorób – od rozpalenia ciała i ogólnej obolałości, czemu często, ale nie zawsze, towarzyszą wychlusty całej treści żołądka. Dopiero na trzeci albo czwarty dzień pojawiają się wypryski – czerwone, żółte albo białe – wyglądające jak wbite pod skórę drobne ziarna jęczmienia. Jak już wspominałam, niektórzy z tych, co zachorują – nie wszyscy – umierają w ciągu dziesięciu dni, większość jednak powoli powraca do zdrowia, tyle że ze skórą na całym ciele, a zwłaszcza na twarzy, gęsto zrytą ranami po piekących krostach. Te rany z czasem się zasklepiają, ale po odpadnięciu strupów pozostają po nich, zwłaszcza na twarzy, paskudne blizny, które kto wie, czy kiedykolwiek za życia pacjenta się wygładzą.

Bądź więc czujna, moja Enneleyn, rozglądaj się i słuchaj uważnie, co tam ludzie mówią, żeby w porę wiedzieć, co się święci, gdyby podobne objawy pokazały się w waszych – to jest naszych! – stronach.

Łatwo mi ci radzić, byście się w domu zamknęli jak w twierdzy, lecz czy ja sama tak robię? Nie, oczywiście, że nie! Muszę przecież chociażby chodzić na wykłady i repetytoria – chyba tylko po to, żeby się tam przyglądać zupełnej bezradności całego szacownego grona wielce uczonych medyków, modląc się przy tym w duchu, żeby się ostatecznie nie dogadali co do zakazu kąpieli, ku czemu w obliczu postępującej zarazy skłania się wielu z nich. Mnie zanadto by taki wilkierz nie dotknął, gdyż, jak wiesz, chodzę się kąpać do Kazimierza, gdzie władza krakowskiej rady nie sięga, ale tu przecież nie o mnie samą tylko chodzi.

Nie bardzo mi się, pojmujesz, uśmiecha przestawać z ludźmi, którzy przez diabli wiedzą ile tygodni będą się obywali bez kąpieli.

Ale dość już roztrząsania tej nieładnie pachnącej materii; zajmijmy się czymś choć trochę przyjemniejszym. No, bardzo przyjemne to to na razie nie jest, bo chcę ci mówić o Filipie, który choć pogodzony z losem, wydaje się obrotem rzeczy wielce przybity, tym bardziej że i na Wawelu sprawy w dalszym ciągu nie układają się po jego myśli, w tym sensie, że król Olbracht zdaje się wcale nie odczuwać potrzeby, by się do niego zwracać o radę w jakiegokolwiek sprawie, ani też żeby mu choćby najbliższą misję powierzyć. Sprawozdanie z Kallimachowego wystąpienia na synodzie prowincjonalnym – po którym, jak ci pisałam, był bardzo z siebie dumny – nadal czeka w kancelarii królewskiej, aż monarcha łaskawie znajdzie czas, żeby się z nim zapoznać, co, jak mówi Filip, może nigdy nie nastąpi, albo co gorsza Olbracht każe je sobie streścić w trzech słowach któremuś z braci Kurozwęckich.

Zacząłam się już o mego pryncypała poważnie niepokoić, bo przez tydzień albo i dłużej po naszym nocnym pijaństwie prawie się nie odzywał, nie tylko do mnie, ale i do służby – on, zwykle taki miły dla wszystkich i przystępny. Na ogół siedział zamknięty w swojej komnacie sypialnej, gdzie mu Kasia przynosiła posiłki, a Eudokia odbierała je potem prawie nietknięte. Czasem tylko snuł się po domu z posępną miną, powłócząc nogami i zdając się nikogo nie widzieć, jakby jego duch przebywał gdzieś indziej, a może wręcz obumierał.

Aż tu w pierwszą sierpniową niedzielę, gdy szłam do siebie po śniadaniu, wychynął nagle ze swej samotni i przemówił do mnie z taką swobodą, jakby właśnie wracał do jakiejś przerwanej parę chwil przedtem rozmowy:

– Dziś niedziela, czy tak?

Potwierdziłam, na co on zarządził, że mam z nim zaraz iść do kościoła. Było jeszcze sporo czasu do sumy, dobre dwie albo i trzy godziny, ale powstrzymałam się od pytań – jak zaraz, to zaraz. Poszliśmy więc. Po drodze znów nic nie mówił, najwyraźniej zatopiony we własnych myślach, a ja czułam, że nie powinnam odzywać się pierwsza. I tak, w milczeniu, poprowadził mnie do odległego o jakieś pięćset kroków kościoła Dominikanów, omijając po drodze dwie inne świątynie. Przeszliśmy przez całą długość opustoszałej po jutrzni nawy głównej, kierując się ku jednej z okalających prezbiterium bocznych kaplic. Tam

Filip przystanął przed płytą z tutejszego białawego kamienia, pod którą niecały rok temu spoczął jego wuj Ajnolfo.

Zdradzę ci przy okazji, że mam ja swój udział w tym, iż leży on właśnie tam, a nie w jakimś innym, mniej poczesnym miejscu, i doprowadzenie do tego kosztowało mnie wiele starań. A spadło to na mnie z tej przyczyny, że Filip napisał do mnie wówczas z jakiejś dziury w środku Polski, gdzie towarzyszył królowi, że mam sprowadzić najlepszych lekarzy do jego wuja, który, jak go doszły wieści, leży złożony ciężką niemocą w domu swego bratanka, czyli Kallimachowego kuzyna. Było to dla mnie o tyle dziwne, że w ciągu sześciu lat przebywania z tym pryncypałem pod jednym dachem, będąc, jak mi się wydawało, dopuszczona przezeń do wielu sekretów, dopiero przy tej okazji dowiedziałam się, że ma on w Polsce jakąś rodzinę. Jak się okazało, ten chory wuj, Ajnolfo Tedaldi, był bardzo majątnym przedsiębiorcą, trzymającym w dzierżawie wiele żup solnych na południowo-wschodnich krańcach Polski – wokół Lwowa, najznacniejszego miasta tamtych stron. Akurat w tamtym czasie przybył jednak do Krakowa, by osobiście dopilnować tutaj jakichś swoich spraw, i nagle ciężko zaniemógł.

Pamiętam, jak niezręcznie się poczułam, gdy znalazłszy według wskazań Filipa dom jego kuzyna Giannoza, stanęłam przed nim samym, a ten, młody dość jeszcze, choć przedwcześnie łysiejący brunet z wielką głową i cofniętą szczęką, na dźwięk nazwiska Kallimacha bynajmniej się nie rozpromienił, lecz tylko uniósł czarne brwi i dość dobrą polszczyzną zapytał oschle, czym może mi służyć. Przełknąwszy ślinę, wyjaśniłam, że mam w imieniu mego pana zaofiarować się z wszelką pomocą dla chorego, a w szczególności, ze względu na Filipa i moje własne znajomości wśród lekarzy, polecić pana Ajnolfa specjalnej uwadze najlepszych spośród nich. W spojrzeniu Giannoza wyczytałam wówczas tyle nieskrywanej nieufności, iż przyszło mi do głowy, że on podejrzewa Kallimacha o zamiar nasłania na jego stryja trucicieli. Lecz gdy wspomniałam nazwisko profesora de Regulisa, jak również doktorów Ursyna i Karpigi (ten ostatni, choć człowiek niemący, jest jednak rzeczywiście dość biegły w lekarskim fachu), kuzyn Giannoza nieco się rozchmurzył i nawet pozwolił mi osobiście złożyć choremu uszanowanie, od czego, rzecz jasna, nie mogłam się uchylić. Zobaczyłam więc leżącego pod futrem z soboli wynędzniałego człowieka, zielonego na twarzy okolonej płowymi włosami, pozlepianymi od potu i gęsto przetkanymi

matową siwizną, o wyłupiastych, prawie bezrzęsyh oczach i grubych, spierzchniętych wargach, skrzywionych w grymasie cierpienia. Moją uwagę zwrócił jego nos, podobny do przełamanego obwarzanka.

– Chi è questo? – prawie bezdźwięcznie wychrypiął chory na mój widok.

– Si dice che sia il segretario di Filippo – przedstawił mnie Giannozzo, pochylając się do jego ucha.

– Di quale Filippo? Buonaccorsi? – ożywił się wuj Ajnolfo. I od razu zwrócił się do mnie po polsku: – Dlaczego on sam nie przidzie?

Odpowiedziałam, że dostojnego pana Kallimacha pilne obowiązki trzymają przy królu w Wiskitkach. Chory na to przymknął oczy i przez chwilę bezgłośnie poruszał wargami.

– Si – podjął wreszcie słabym głosem. – Lascia che il passato sia passato. Co bilo, to bilo. Tak. – I podniósłszy na mnie oczy, resztkami sił przemówił, dla odmiany, mieszaniną włoskiego i łaciny: – Segretario! Przekaż Filipowi, że go całuję.

Oczywiście przy najbliższej okazji wywiązałam się z tego posłannictwa, udało mi się też niezwłocznie sprowadzić do chorego całe konsylium najlepszych w Krakowie lekarzy, ale i bez zasięgania ich opinii mogłam sama osądzić po wyglądzie chorego i jego zapachu, że cierpi na niewydolność nerek, i to na tyle posuniętą, że w tym stanie trudno było liczyć, aby pociągnął jeszcze więcej niż kilka tygodni.

I tak się też stało. Wydał wuj Ajnolfo ostatnie tchnienie w pierwszych dniach września tamtego roku, i tak jak przedtem ściągałam do niego sławy medyczne, tak w ostatnich dniach życia – spełniając tym, rzecz jasna, wyraźne polecenie Kallimacha – zatroszczyłam się dla niego o godne miejsce pochówku. Najpierw wybrałam się do Miryki, czyli księdza Heydeckego, który jest prezbiterem w najznacniejszym tutejszym kościele. Pocziwiec uświadomił mnie jednak życzliwie, że o pochowaniu tak z dnia na dzień w bazylice Mariackiej lwowskiego kupca, choćby i najmożniejszego, nie ma co i marzyć, jako że takie sprawy muszą być starannie rozważone przez wiele instancji kościelnych i świeckich, ale że on zna się dobrze z proboszczem również otaczanego wielką czcią kościoła Dominikanów, jak też i tamtejszym przeorem, więc przez wzgląd na Filipa postara się tam właśnie załatwić wujowi dobre miejsce. Musiał potem jeszcze Giannozzo, razem z drugim Ajnolfa bratankiem, Pierozzem, uzgodnić z obydwoma sługami bożymi wysokość ofiary, którą mieli

wspólnie wyłożyć na rzecz owego świętego przybytku z przypadającego na każdego z nich spadku po wciąż jeszcze żywym stryju, ale dzięki moim zabiegom przynajmniej nie musieli się już martwić, gdzie go mają pochować.

Filipa przez cały ten czas w ogóle w Krakowie nie było, bo prosto z owych Wiskitek wyprawił go król z jakąś misją na Litwę, gdzie zeszy mu całe trzy miesiące. Posyłałam mu stale pocztą królewską wiadomości o wszystkich mych staraniach, a on w odpowiedzi dawał mi zwięzłe wskazówki, co mam jeszcze załatwić i jak, bez których z pewnością nie poszłoby mi to wszystko tak gładko. Gdy mu doniosłam, że chory już nikogo nie poznaje, polecił mi sprowadzić do niego niezwłocznie pewnego tutejszego malarza, aby się zapoznał z Ajnolfa wyglądem i sporządził sobie szkice jego oblicza potrzebne do wykonania, gdy przyjdzie na to pora, obrazu epitafijnego ku wuja czci.

Tego malarza, niejakiego Libnaua, polecił Filipowi norymberczyk Veit Stoss, snycerz zawołany, przed którym, choć od pół roku go w Krakowie nie ma, wszyscy tutaj wciąż jeszcze padają na twarz, zresztą nie bez racji, bo myślę, że w swoim fachu nie ma on sobie równych. Pozostawił po sobie zadziwiające dzieło – ogromny ołtarz rzeźbiony w kościele Mariackim, z dziesiątkami najmisterniej oddanych figur, i zdradzę ci, że kilku z nich bardzo wdzięcznie nadał rysy Kallimacha. Ufając więc owego Stossa poleceniu, pryncypał mój zamierzał Libnauowi powierzyć namalowanie Ajnolfa przyglądającego się nabożnie scenie Zwiastowania. Gdy tylko jednak wspomniałam o tych planach Giannozzowi, ten z miejsca oznajmił, że sam Libnauowi zapłaci, i to więcej, niż ja mu obiecałam, ale skoro obraz ma wisieć u dominikanów, to przez wzgląd na gospodarzy trzeba na nim umieścić jeszcze postać Świętego Dominika, a dla równowagi, po drugiej stronie – Jana Chrzciciela. Pojmujesz, jego, Giannozza, patrona. Uznałam, że skoro jako najbliższy krewny chce całe zamówienie wziąć na siebie, nie wypada mi się już do tego wtrącać, a Kallimach, jak sądzę, podzielił w tym względzie moje zdanie, gdyż więcej do tej sprawy nie wracał.

Przyznam, że od dnia pogrzebu wuja Ajnolfa nigdy nawet do dominikanów nie zajrzałam; tym bardziej Filip, który przecież zjawiał się w Krakowie dopiero w pół roku po jego śmierci, nie znalazł, o ile mi wiadomo, dotąd na to wolnej chwili.

I kiedy oto teraz patrzyliśmy oboje po raz pierwszy na pyszniące się świeżymi barwami dzieło Libnaua, nie jestem całkiem pewna, czy zdołałam w porę zgasić niestosowny uśmieszek, który mógł się pojawić na mojej twarzy na widok zręcznie oddanych w postaci Jana Chrzciciela rysów twarzy Giannozza, dla przyzwoitości nieco tylko odmienionych przez zakrywającą pół twarzy świętego czarną brodę, co zresztą wyszło modelowi na dobre, gdyż ukryło drobny defekt jego urody, o którym ci wyżej wspomniałam – ten nieszczęsny podbródek, którego właściwie on nie ma.

Zerknęłam ukradkiem na Filipa, ale jemu widać nie było do śmiechu. Stał tam, raz po raz bezwiednie przygryzając wargi, wpatrzony ze smutkiem w towarzyszącą ogromnemu Janowi Chrzcicielowi maleńką postać, wyobrażającą pogrążonego w modlitwie wuja Ajnolfa. Nagle, nie odrywając oczu od obrazu, zapytał cicho:

– Tak pod koniec wyglądał? Ja go znałem tęższym.

– Wyglądał nawet gorzej – odrzekłam zgodnie z prawdą. – Z każdym dniem był coraz bardziej wynędzniały i coraz bledszy, do tego jakby zapadał się w sobie. Libnau dobrze tu oddał podobieństwo, choć wygładził nieboszczyka jak tylko się dało.

– Tak, widać, że zna się na swojej robocie – przytaknął Kallimach z westchnieniem. – Zdradź mi, proszę, czy rzeczywiście, tak jak mi pisałeś, Ajnolfo powiedział o mnie: „Co było, to było”?

– Słowo w słowo tak właśnie się wyraził – zapewniłam stanowczo. – Co prawda nie wiem, co miał na myśli.

– Ale ja wiem – rzekł na to, jakby do siebie. – Chciałbym wierzyć, że mówił to szczerze. – I rzucając mi spod oka znaczące spojrzenie, zacytował z Wergilego: – „Obawiam się Danajów i gdy dary przynoszą”.

Nie miałam pojęcia, co chce przez to powiedzieć, i chyba było to po mnie widać, bo za chwilę podjął tonem wyjaśnienia:

– Niestety, przez osiem ostatnich lat jego życia byliśmy ciężko zwaśnieni, a że i wcześniej miałem pewien wgląd w jego prawdziwą naturę, daje mi to podstawy, by jego słowom do końca nie ufać, choć to mój wuj, mojej matki brat stryjeczny, mojego dziadka brata syn. Ach, Georgiuszu, gdyby się tylko dało przywrócić dawną serdeczną zażyłość, jaka mnie z Ajnolfem łączyła, gotów bym za to diabłu sprzedać duszę!

– Nie rozumiem – wykrztusiłam zmieszana, mimowolnie oglądając się za siebie w obawie, że ktoś go usłyszał, bo każde jego słowo, mimo że

wypowiadane ściszym głosem, niosło się po pustym kościele jak dźwięk dzwonka na podniesienie. Co gorsza, okazało się, że w przejściu między ławami uklękło tymczasem dwoje ubogich staruszków, którzy nie przerywając sobie żarliwych modłów, raz po raz z wyraźnym zaciekawieniem zerkali na nas. Miałam tylko nadzieję, że po łacinie nie rozumieją, zwłaszcza że Kallimach, nic sobie z nich nie robiąc, uderzył jeszcze wyraźniej w ton cokolwiek bluźnierczy:

– Co, boisz się, że Złego przywołuję? I to w domu Bożym?

Gdy to mówił, wydało mi się, że przez twarz przemknął mu uśmiech, no, powiedzmy, cień uśmiechu, pierwszy, jaki u niego spostrzegłam, odkąd powrócił z Torunia, i ten właśnie ledwie dostrzegalny promyk rozpogodzenia sprawił, że ogarnęła mnie z miejsca radość tak przemożna, iż tylko z wielkim trudem nie dałam jej po sobie poznać.

– Nie, nie to mnie niepokoi – odparłam zamiast tego z udawanym namysłem. – Tylko w końcu nie wiem, co mam sądzić o świętej pamięci panu Tedaldim. Dobry to był człowiek czy zły?

– Ba! Żeby to się dało tak łatwo powiedzieć... – Pokręcił głową i zapatrzył się znów na rozmodlone oblicze nieboszczyka na obrazie. – Ja, muszę to przyznać, bardzo wiele mu zawdzięczam. Kiedy przybyłem do tego kraju, znałem tu tylko jego. Ba, znałem! Pamiętałem go trochę z dzieciństwa, jako młodzieńca starszego ode mnie o dziesięć lat, ni to wuja, ni to kuzyna, ale widywałem go wtedy rzadko, bo oni, klan Tedaldich, mieszkali we Florencji, a my, Buonaccorsi, w odległym o dzień jazdy San Gimignano, i owszem, odwiedzaliśmy stolicę, ale nie częściej jak dwa razy do roku. Potem ja przez osiem lat byłem w konwiktach w Ferrarze, a kiedy wreszcie przybyłem do Florencji na studia, to wtedy właśnie książę Kosma wysłał Ajnolfa do Polski, żeby odebrał z dochodów metropolii lwowskiej pieniądze, które był Medicim winien Pius II, świeżo obrany papieżem. No, tak się składa, że we Lwowie arcybiskupem był już wtedy Grzegorz z Sanoka, i dzięki temu po latach Ajnolfo mógł mnie temu niezwykłemu człowiekowi przedstawić. I choćby za to jedno niech mu będą wszelkie winy wybaczone.

Wiedziałam od dawna, ile znaczył dla Filipa ten Grzegorz, zmarły na dwanaście lat przed moim tutaj przybyciem, nie tylko dobroczyńca jego, ale i bliski przyjaciel.

– Przez wiele lat też i Ajnolfa miałem za dobrego przyjaciela – podjął mój pryncypał, jakby czytając mi w myślach. – Ale cóż, przyszła w końcu

taka chwila, że nie mogłem już dłużej zamykać oczu na to, jaki potrafił nieraz być.

– To znaczy? – dopytałam nieśmiało.

– To znaczy, mój drogi, że, wierz mi, lepiej było się od niego trzymać z dala, tak jak od węgla w palenisku, bo albo się poparzysz, póki są rozpalone, albo się wystygłymi usmolisz. A doszedłem do tego dopiero po siedemnastu latach życia w Polsce, w tysiąc czterysta osiemdziesiątym siódmym roku, kiedy mnie król Kazimierz wysłał z poselstwem do Turcji. Wyruszyliśmy wtedy z Krakowa zaraz po Wielkiejnocy sporym konwojem, wraz z innymi jeszcze posłami, bo musiał mi król przydać Polaków do kompanii, żeby nie było sarkania, a jeszcze mieliśmy ze sobą tłumaczy i sporo czeladzi, prowadząc też wozy z darami dla sułtana. Gdyśmy po dwóch tygodniach stanęli na popas we Lwowie, odwiedził mnie w gospodzie Ajnolfo i zaczął gorąco namawiać, bym z nim do spółki nakupił w Konstantynopolu towarów, i od razu mi na ten cel chciał wcisnąć beczkę srebra, wraz z pachółkami do ochrony przed zbójami. Ale, widzisz, ja się zupełnie do prowadzenia interesów kupieckich nie nadaję, chociaż mój ojciec był kupcem nie byle jakim, tak samo dziad i wszyscy stryjowie, a przy tym matkę miałem z Tedaldich, a ci, wiadomo, sami znaczni kupcy, i jeszcze spokrewnieni z Medicimi, pierwszymi bankierami Italii. Niestety, ja się jakoś zupełnie z tej tradycji wyrodziłem, zresztą moi bracia też odszczepieńcy: jeden, tak jak ja, wiersze układa; drugi się na doktora wykształcił; a trzeci, jak niegdyś nasi pradziadowie, wybrał dla siebie rzemiosło rycerskie. A co do owych Ajnolfa przedsięwzięć handlowych miałem nadto obawy, czy udział w nich da się bez szkody pogodzić z moim posłowaniem, tak by nikomu nawet do głowy nie przyszło, że bardziej przy tej okazji zabiegam o własny interes niż o dobro królestwa. Odmówiłem więc, powołując się na zasady obowiązujące w służbie państwowej, a on, choć niechętnie, zdawał się przyjmować mą odmowę do wiadomości. Ledwieśmy jednak dotarli do Suczawy, dogonił nas umyślny z listem, w którym powiadał mi Ajnolfo, iż dom mój w Kazimierzu spłonął przed trzema tygodniami, a w nim większość mojego dobytku, w tym zwłaszcza ksiąg i papierów, że jednak król Kazimierz, chcąc mi choć trochę stratę wynagrodzić, kazał na moją rzecz wypłacić dziesięć grzywien srebra, i jego, Ajnolfa, obarczył zadaniem przekazania mi tej sumy. No i rzeczywiście do listu dołączona była trata na dziesięć grzywien, które miał mi wypłacić w Suczawie

Włoch tamtejszy, Giuliano Gebeletto, znany mi jeszcze z czasów mej tułaczki. Ale nie koniec na tym. Nim zdążyłem ochłonąć z wrażenia na wieść o pożarze w moim domu i wszystkich jego następstwach, posłaniec z dziwnym uśmiechem sięgnął pod okrycie i wydobył stamtąd jeszcze jedno pismo, a właściwie dwa. Pierwsze było kolejnym wekslem trasowanym, również na moją korzyść, w którym jako trasat podany był osiadły w Konstantynopolu Ajnolfa kuzyn, Jacopo Tedaldi, z którym również w dawnych latach miałem okazję się zetknąć. I teraz, zgadnij, na jaką sumę owa trata opiewała.

– Dwadzieścia grzywien? – rzuciłam po krótkim namyśle.

– Pudło! – orzekł sucho i nie trzymając mnie dłużej w niepewności, wyskandował przejmującym szeptem: – Ty-siąc pięć-set! Co ty na to? Tysiąc pięćset grzywien! A w drugim piśmie był wykaz towarów, które mu miałem za te pieniądze sprowadzić. Do dziś pamiętam: indyga – trzy tysiące funtów, tkanin jedwabnych – beczek trzydzieści (nie licząc złotogłowiu w czterech skrzyniach); do tego pieprzu sześćdziesiąt worków, innych korzeni skrzynie trzy, i jeszcze wielkie mnóstwo rozmaitych wyrobów, liczonych na beczki i tobołki – kadzideł, kości słoniowej, macicy perłowej, dzbanków, brzytw. Nie myśl sobie, miałem jeszcze na tym skorzystać, bo jak mnie w owym liście Ajnolfo zapewniał, wszystkie te rzeczy są w Turcji tak tanie, że po opłaceniu moskiewskich wozaków powinno mi jeszcze zostać na czysto przynajmniej pięćset grzywien!

Ostatnie słowa wyrwały się Filipowi tak głośno, że aż mnie doszło ich powracające z głębin nawy kościelnej echo. Tych dwoje klęczących w przejściu musiało je wyraźnie słyszeć, i choć pewnie nie rozumieli, o czym mowa, przecież gorączkowy ton głosu Kallimacha musiał przyciągnąć ich uwagę, skoro nie przestając mamrotać pod nosem swoich modlitw, ukradkiem zezowali nieco w lewo od ołtarza, na kaplicę, przy którejśmy stali.

– Pięćset grzywien czystego zysku dla ciebie – pozwoliłam sobie na ocenę – to mi brzmi raczej uczciwie.

– Też tak sobie wtedy pomyślałam, a mając świeżo w pamięci straty poniesione w pożarze, zapewne bliższe tej kwoty niż dziesięciu grzywnom, które był dla mnie król wysupłał, zdecydowałam się puścić na te nieznane mi wody, ufny w życzliwego krewniaka wskazówki. A trzeba było się wstrzymać...

– Przeczuwam, żeś się przez to wplątał w jakąś wielce niewygodną sytuację – pociągnęłam go ostrożnie za język.

– O, tak, tak... – westchnął. – Posłuchaj: Ajnolfo może i był wielkim kupcem, ale na polityce to on się nie znał. Pewnie mu nawet nie przyszło do głowy, że u Turków sułtan decyduje o wszystkim, nawet o cenach indyga. A to było tak, że kiedyśmy przed Bajezydem stanęli, on od razu zagadał do mnie: „Kogo ja widzę! Kallimach Bej! Czy mam rozumieć, że król Kazimierz już na stałe obdarzył cię zaufaniem? No cóż, odwagi polskiemu monarsze odmówić nie można”. Tak mi dogryzał, niby dobrodusznie, świadom, że mnie godność posła czyni nietykalnym, ale przyznam ci się, że w pierwszych dniach mego do niego posłowania miałem prawdziwie duszę na ramieniu, nie wiedząc, czy mimo wszystko nie zechce mnie skrócić o głowę, choćby za moją dawną zażyłość z bratem jego, Dzemem, który mało brakowało, a byłby zamiast niego sułtanem. Ale nie, Bajezyd osobistego uprzedzenia do mnie, jeśli takie żywił, nie dał po sobie poznać, tylko po wstępnych uprzejmościach przybrał ton poważny i nimeśmy cokolwiek zdążyli mu w imieniu króla powiedzieć, zapytał, marszcząc brwi, jak ma rozumieć gromadzenie się polskich wojsk na Podolu, blisko jego granicy. Od razu zrobiło się nieprzyjemnie, bo on zdawał się sugerować, że my tylko po to machamy gałązką oliwną, aby zmylić jego czujność, a naprawdę to szykujemy się do wojny. Staralem się go, jak mogłem, udobruchać, ale on swoje wiedział. No i siedzieliśmy w tym Konstantynopolu, rozmowy się przeciągały z tygodnia na tydzień i nic z nich nie wynikało, aż w końcu po dwóch miesiącach przyszły wieści, że pod Kopystrzyniem Polacy pod wodzą królewicza Olbrachta rozbili w puch Tatarów, którzy tam na nich napadli, niewątpliwie przez Bajezyda poszczuci. Powiedziałem mu wtedy, że to najlepiej świadczy, iż nasze siły zgromadziły się tam wyłącznie dla ochrony przed atakami z zewnątrz i żadnej wojennej wyprawy Polska w najbliższym czasie nie szykuje. I tak się dalej przekomarzaliśmy całą jesień i zimę, a tymczasem z Konstantynopola wymiotło wszystkie towary z Ajnolfowego spisu. Hurtownicy tamtejsi jak jeden mąż rozkładali ręce, zapewniając, że mimo najszczerszych chęci składy mają puste, bo zima, bo sztormy, bo nieurodzaj, bo coś tam. Nie mając co robić, włóczyłem się całymi dniami po mieście, przypatrując się, jak się tam oni urządzili, ci Turcy, w murach dawnego Bizancjum. I dopiero gdyśmy w lutym uzgodnili dwuletni rozejm i wolność przejazdu dla ichnich kupców

i naszych, znowu wszystko pojawiło się w składach. Ale za to w jakich cenach! Za powierzone przez Ajnolfa pieniądze udało mi się kupić tylko niespełna połowę tego, co sobie zamówił, przy czym dla mnie, jak się domyślasz, nie zostało już z tego ani grosza. Zrobiłem wtedy tylko jeden dobry interes, ale nie w handlu hurtowym, tylko na straganie ze starzyzną, kiedy za ledwie trzy akcze, czyli tak jakby za szeląga, kupiłem ten rzekomo kolchidzki manuskrypt, który ty tak lubisz przeglądać.

Tak, tu muszę potwierdzić: wiele godzin strawiłam, głowiąc się nad niepozornym woluminem, o którym tu mowa, a to dlatego, że jak wszystko wskazuje, dotyczy on tych właśnie dziedzin, które mnie najżywiej obchodzą – sztuki medycznej, alchemii, astrologii; mało tego: dam głowę, że ociera się wręcz o najświętsze tajemnice stworzenia. Tylko że, niestety, do tej pory nie udało mi się wnikać w treści wykaligrafowane tam na z górą stu kartach welinu wielkości pół łokcia na ćwierć. Przede wszystkim nikt nie wie, w jakim języku jest to wszystko pisane. Kolchidzki, jak się okazało, to nie jest – Filip zdążył to sam ustalić jeszcze w Konstantynopolu, zagadując pewnego tamtejszego duchownego Kościoła wschodniego, Kolchidejczyka z urodzenia, który wprawdzie przyznał, że na pierwszy rzut oka pismo w owym dziele przypomina to, którym posługują się jego rodacy, ale żadnej, jak twierdził, z występujących w nim liter nie rozpoznaje. W dodatku, choć na każdej stronie roi się tam od iluminacji, to licho wie, co one właściwie przedstawiają: jakieś zielska, chyba lecznicze, zupełnie nie do rozpoznania, jakieś dziwaczne naczynia kąpielowe, w których pławią się gołe kobiety, a na niektórych coś jakby sfery gwiazdne – krótko mówiąc, wiele bym dała, żeby wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. I nie spocznę, póki tego nie rozgryzę – znasz mnie.

Wróćmy atoli do opowieści Filipa, jak to nie sprostał zadaniom kupieckim nałożonym na niego przez wuja.

– Kiedy na wiosnę wróciłem do Polski, prowadząc czterdziestu konnych poselstwa tureckiego i siedem wozów towaru – mówił mi dalej – na próżno próbowałem Ajnolfowi wytłumaczyć, dlaczego interesy nie poszły w Turcji tak, jak tego oczekiwał. W ogóle nie chciał słuchać. Zaczął się na mnie wydzierać, wymachiwać rękami, wyzywać mnie od osłów, niewdzięczników i darmożjadów, raz mu się nawet wyrwało słowo „złodziej”. Ja wtedy wrzasnąłem, że skoro uważa, że go okradłem, to mu chętnie oddam z własnych oszczędności całe półtora tysiąca grzywien,

pięćset od razu, resztę w ratach rozłożonych na lat dziesięć. To go chyba otrzeźwiło, bo na moje słowa uciszył się, pokręcił głową, burknął: „Nie, nie trzeba”. I poszedł sobie. Odtąd się z nim nie zadawałem.

– Czyli do otwartej wojny między wami nigdy nie doszło?

– Nie, otwartej nie. – Pokręcił głową. – Ale od tamtego czasu nie widywaliśmy się, choć było wiele okazji. I starałem się nie wchodzić mu w drogę. Raz tylko, przed czterema laty, pozwoliłem sobie na odstępstwo od tej zasady, kiedy doszły mnie w Wiedniu wieści, że Pierozzo Tedaldi, młodszy brat Giannoza, rzucił służbę u Ajnolfa i wrócił do Florencji. Wiedziałem, że stryj wysła w ślad za nim listy do całej starszyny rodu, bezwstydnie obsmarowując przed nią chłopaka, więc pozwoliłem sobie napisać w jego obronie do Lattanzia, syna Jacopa Tedaldiego, z którym od lat często do siebie piszemy, dobrze się wzajem rozumiem.

– A co pan Ajnolfo bratankowi zarzucał?

– Mogłem to tylko zgadywać na podstawie plotek, które o nim wśród Polaków rozsiewał. Nie uwierzysz, jak ludzie gładko łykają takie wyssane z palca brednie, nawet Ursyn, człowiek niby niegłupi, powtarzał mi je w liście z pełnym przekonaniem. Że się jakoby Pierozzo całymi dniami łądaczcy w jakichś zakazanych spelunkach, gdzie chla na umór z wólczegami, rzezimieszkami i dziewczkami publicznymi najpodlejszego rodzaju, nigdy nie trzeźwiejąc, przetracając wszystkie pieniądze i gwiżdżąc sobie na powinności, które na siebie wziął. Ja Lattanziowi napisałem, że wszystkie te oszczerstwa, do których Ajnolfo się posuwa, pokazują tym dobitniej, jakim jest niegodziwym człowiekiem, nic więc dziwnego, że każdy, kto się z nim bliżej zadał, prędzej czy później przekona się o tym na własnej skórze. I że Pierozzo nie na naganę, ale na podziw zasługuje, że tak długo znosił grymasy tego głupiego i przykrego człowieka.

– Pana Pierozza miałem okazję poznać przed rokiem – wtrąciłam. – Przy okazji pogrzebu pana Ajnolfa.

– Z pewnością – przytaknął Filip. – Bo oni się jakoś w końcu dogadali i chłopak, jak gdyby nigdy nic, wrócił do Lwowa, na posadę do stryjaska. Nigdy się już potem nie mówiło, że trawi czas na hulankach z indywiduami najgorszego autoramentu.

– Filipie – zagadnęłam ostrożnie – to może i ty też mogłeś się jeszcze z panem Ajnolfem pogodzić?

– Z tą właśnie myślą cię do niego posłałem – odrzekł, kiwając głową. – Skoro mi więc w odpowiedzi przesłał ucałowania, można chyba uznać, żeśmy się pojednali, czyż nie?

Przypieczętował to retoryczne pytanie bardzo gorzkim uśmiechem, a gdy uśmiechnęłam się wzajem (nie weselej, jak sądzę), ujął mnie delikatnie za ramię i poprowadził do wyjścia. Na ulicy nachylił się do mego ucha, mówiąc:

– Tylko że znając Ajnolfa, nie mogę mieć pewności, czy ten jego pocałunek nie był aby zatruty.

– O nie! – zaprotestowałam. – Nawet i po śmierci chowasz do niego urazę? Nie możesz powiedzieć sobie tak jak on: *co było, to było? Lascia che il passato sia passato!*

– Ech, nie wiesz wszystkiego, mój drogi – odrzekł z westchnieniem. – Ja dopiero po tym, jakżeśmy się wtedy poróżnili, dowiedziałem się o nim wielu rzeczy, które mi nasunęły różne dziwne myśli.

Nabrawszy tchu, zaczął mi opowiadać co nieco o nieboszczyka Tedaldiego młodych latach, kładąc nacisk na kilka zastanawiających szczegółów. Okazuje się, że po odebraniu dla Medicich papieskiego długu od Grzegorza z Sanoka Ajnolfo już na stałe pozostał w Polsce i do spółki z pewnym Genuńczykiem uzyskał na początek dzierżawę żup solnych w jednym z mniejszych miast w okolicach Lwowa. Razem ze współnikiem sprowadzili też z Wenecji różne towary od pewnego tamtejszego kupca, by tutaj nimi handlować. Nie śpieszyli się jednak z zapłatą, więc w końcu ów Wenecjanin, nazwiskiem Veluti, zaopatrzony w list od doży do króla Kazimierza, przybył do Polski, aby na miejscu domagać się swoich pieniędzy. I wyobraź sobie, ledwie się tu zjawił, dopadła go jakaś tajemnicza choroba i w krótkim czasie pozbawiła życia. Nie dalej jak po roku zmarł też we Lwowie de Valetariis, ów Ajnolfa współnik, a jeszcze w następnym roku inny Genuńczyk, de San Romolo, z którym tamten był w spółce, jeszcze zanim z Tedaldim się zadał. Zmarli więc w krótkim czasie trzech ludzie w sile wieku, którzy się byli z Ajnolfem wdali w interesy, on sam natomiast żył i wiodło mu się coraz lepiej.

Doprawdy, Enneleyn, gdy tego wszystkiego słuchałam, trudno mi się było uwolnić od myśli, że ten Kallimachowy wuj nie był za życia aż tak święty, jak go Libnau po śmierci odmalował. Tym bardziej że z tego, co się Kallimachowi udało ustalić, wszedł też we Lwowie w cichą spółkę z jeszcze jednym Genuńczykiem, niejakim Lomelino, który miał w swojej

pieczy przewóz porwanych na Kaukazie niewolnic i niewolników przez Morze Czarne na mołdawskie wybrzeża, stamtąd lądem przez Lwów, Kraków i Wiedeń do Genui, i potem znów morzem, aż do Egiptu, gdzie chłopców obracają tamtejsi Arabowie w okrutnie bitnych żołnierzy, a dziewczyny – wiadomo. Ów Lomelino jednak, w odróżnieniu od poprzednich Tedaldiego współpracowników, nie umarł przedwcześnie, lecz po kilkunastu latach owocnej z Ajnolfem spółki przeniósł się do Konstantynopola, gdzie miał brata. Tam zapewne dalej uprawia swój ohydny proceder, gdyż trzeba ci wiedzieć, że szlak lądowy, przez Polskę, stał się bezużyteczny po tym, jak Turcy zajęli mołdawskie porty, odcinając dostęp do nich chrześcijanom, a tym samym zapewniając sobie wyłączność na dostawy czerkieskich i kolchidzkich ślicznotek do egipskich serajów – i to znacznie mniejszym kosztem, bo najkrótszą drogą, przez Bosfor.

Drugim oprócz niechęci dla zmarłego uczuciem, które we mnie wzbierało, gdym słuchała Filipa zgryźliwej opowieści, było zadowolenie z tego, że w ogóle chce mu się cokolwiek mówić, bo zdawało mi się, że on się tym samym dźwiga spod ciężaru czarnych myśli, które go dotąd przygniatały. Zaraz jednak się przekonałam, że wniosek ten był przedwczesny, gdyż on mówił do mnie coraz wolniej i coraz bardziej nieuważnie, nie kończąc zaczętych zdań, aż w końcu, urwawszy w pół słowa, zamilkł zupełnie.

– Filipie? – zagadnęłam nieśmiało, gdyśmy już w milczeniu uszli ładnych parę kroków.

Usłyszał, na szczęście, i zwrócił na mnie swe oczy, które zdawały się pośpiesznie powracać do przytomności, jak gdyby przed chwilą zdarzyło mu się bez przerywania przechadzki zapaść w sen.

– Tak, Georgiuszu?

– Nie dokończyłeś zdania.

Pokręcił bezradnie głową.

– Nie wiem, myśl mi uciekła. Zresztą, jeśli chodzi o Ajnolfa, nie mam chyba już nic do dodania. Myślałem...

Znów urwał.

– Tak? – próbowałam podtrzymać jego uwagę.

– Myślałem, że mi to coś pomoże. Że łatwiej mi będzie to znieść, jeśli pójdę śladem Korduli. Zwrócę się ku materiom wyższym, będę się modlić,

żałować za grzechy, jednać z tymi, którzy mnie skrzywdzili, i nadstawić drugi policzek.

– To zawsze warto – zauważyłam szczerze, choć jednocześnie jakiś duch przekory szeptał mi do ucha, że taki Kallimach nie byłby już sobą.

– Warto, warto... – potwierdził bez przekonania. – Tylko że, widzisz, na moją chorobę to jakoś nie pomaga.

Właśnie, skręciwszy w stronę naszej ulicy, przechodziliśmy pod kościołem Świętej Marii Magdaleny, gdy zniecka zastąpiła nam drogę niestara jeszcze i całkiem ładna Cyganka z paromiesięcznym Cyganiątkiem śpiącym bezpiecznie w chuście, którą sobie przewiesiła przez szyję, i kilkuletnią dziewczynką uczeponą jej wzorzystej zapaski. Nie pozwalając się wyminąć, zaczęła nas nakłaniać do kupna amuletu strzegącego od krościcy. Tak żałośliwie zaglądała nam przy tym w oczy, że trzeba było mieć serce z kamienia, żeby się jej błaganiem nie wzruszyć. Miała tych amuletów wielki wybór, jeden bardziej od drugiego niezawodny – flakoniki z proszkiem z żaby albo z arsenikiem zmieszany z kamforą, żywe srebro w łupinie orzecha, miedziane koszycki z bezoarem, wisiorki z drogich kamieni, bursztynu, kości słoniowej. Trzeba je tylko nosić pod spodem, żeby dotykały gołego ciała, a wtedy choroba nie będzie miała żadnego przystępu – zapewniała nas gorąco, coraz to oglądając się za siebie, pewnie z obawy, czy jej jakiś duchowny nie pogoni albo nie sprowadzi na nią straży. Co prawda tu, w Polsce, Kościół, z tego, co widzę, patrzy na tego rodzaju zabobony przez palce, nigdy jednak nie wiadomo, czy pewnego dnia nagle nie zechce się z nimi rozprawić – dlatego nie dziwię się naszej Cygance, że wolała być czujna.

W końcu nic od niej nie kupiliśmy, ale na pocieszenie ofiarowaliśmy parę drobnych monet, które przyjęła bez żadnego skrupowania, a w podziękę chciała nam koniecznie powróżyć z ręki. Filip, o dziwo, nawet się uśmiechnął na te namowy i bez oporu pokazał jej otwartą dłoń. Oczywiście nie obeszło się bez dołożenia jeszcze denara, ale to ci muszę powiedzieć, że jej wróżby były tego warte. Nie wiem, może, choć prosta Cyganka, wiedziała, z kim ma do czynienia. Ale nawet jeśli, to czy mogła znać całą Kallimacha drogę życiową, ba, czy mogła wiedzieć o innych jeszcze rzeczach, o których on sam nie wie? Bo, uważasz, mówiła mu mniej więcej tak: „O, tyś, panie, możny, tyś bogaty, tobie się kłaniają i sam król ciebie słucha, ale ty pamiętasz, żeś był biednym wygnańcem,

ściganym z toporem po wszystkich świata krainach i zewsząd przepędzanym. Teraz ty o tym mało myślisz, bo ci ruda pani na sercu leży; ona cię kocha, ale twoja być nie chce, dlatego ty, panie, smutny; ale osusz swe łzy, bo jest druga pani, lepsza od tamtej, też piękna, blondynka, która cię kocha prawdziwie i ty też ją, panie, kochasz, tylko jeszcze o tym nie wiesz; przyłóż jeszcze pół denara na szczęście, żebyś się nie dowiedział za późno”.

Przyznam ci się, że kiedy wspomniała o tej blondynce, w pierwszej chwili pomyślałam sobie: ale zalewa! Jednak zaraz potem zrobiło mi się gorąco: a może ona tak o mnie? Przecież mam włosy jasne! Może nie bardzo jasne, ale prędeziej jasne niż ciemne! Więc kiedy przyszła moja kolej, stanowczo się od wróżenia wymówiłam, i nawet wcisnęłam jej jeszcze jedną monetę, byle się tylko ode mnie odczepiła, bo, nie daj Boże, myślałam, rzeczywiście coś z mojej dłoni wyczyta, podobnie jak wonczas szeptucha Czechna z miejsca przejrzała mój największy sekret. Swoją drogą, tak sobie myślę, warto by się kiedyś bliżej z Cyganami zapoznać i spróbować się od nich tego i owego nauczyć.

Kiedyśmy się już wreszcie od naszej sybilli uwolnili, powiedział mi Filip, że rozumie moją niechęć do wróżbiarek, z ich wścibstwem, brakiem taktu i bezwstydną chciwością, ale gdybym ja, Starkfaust, sam chciał się kiedyś w augura zabawić, to on mi chętnie użyczy pewnego cacka, które ma w szufladzie – wiernej kopii sporządzonej niegdyś dla książąt Mediolanu talii kart trionfi, które, jak mu mówiono, wybitnie się do przepowiadania losów nadają.

Podziękowałam mu gorąco, obiecując z góry, że będę się z owymi kartami obchodziła bardzo ostrożnie, aby ich nie postrzepić, nie powyginać ani nie poplamić. Przy okazji – powiedziałam – po to, by mu się za przywilej ich użycia choć trochę odwdzińczyć, chcę się z nim podzielić świeżo uzyskaną wiedzą o tym, że tu, w Krakowie, istnieje rękopiśmienny odpis tajemnej księgi Picatrix, i mam już nawet pomysł, jak zdobyć do niego dostęp.

– O! – Wyraźnie się ożywił. – Chętnie bym na ten rarytas rzucił okiem. Wiele razy mi o nim wspominał w swych listach Ficino. A ja, przyznam ci się, mam szczególny pociąg do tego rodzaju osobliwości: apokryfów rozmaitych, tablic hermetyckich, senników, grammaticas. Skoro bowiem nie mam wątpliwości, że droga do prawdy musi być jasna i prosta, od

czasu do czasu mogę się zapuszczać bez obaw w zarośnięte boczne ścieżki, by się dowiedzieć, na jakie prowadzą manowce.

Kiedy mu następnie wyłuszczyłam, że odpis Picatrix sporządzony przed laty przez Piotra Gaszowca przechowują jego synowie w swoim domu przy Rynku i że wiem to od ich siostry Lukrecji, z którą razem studiujemy medycynę, pozostając przy tym w jak najlepszej komitywie, zaciekawiał się jeszcze bardziej. Trzeba ci wiedzieć, że Filip zdążył się z Gaszowcem, jako lekarzem królewskim, zetknąć w ostatnich latach jego życia, toteż doskonale wiedział, o kim mówię. Przedstawiłam mu zatem mój plan, żeby pięciu braci Garlickich – jak pamiętasz, Gaszowca synów – zaprosić na wieczerzę literacką, jak nie do nas, to choćby do Miryki, i w jej trakcie zręcznie naprowadzić rozmowę na przechowywaną u nich księgę. Nie zdążyłam wypowiedzieć mojej myśli do końca, kiedy znienacka wszedł mi w słowo, mówiąc, że właśnie się nadarza doskonała po temu sposobność, taka oto, że jego dobry znajomy Morinus, to jest rajca Mornstein, świeżo upieczony burmistrz, urządza za tydzień świąteczną biesiadę w swojej wiejskiej posiadłości pod Krakowem. Oczywiście zaprosił na nią Kallimacha, jakżeby nie, ale też przy okazji pytał go, kogo by tam jeszcze warto ściągnąć, gdyż, jak powiada, chciałby wpuścić do kompanii trochę młodej krwi, żeby tę starą ożywić.

– Miałem nie jechać, żeby swoją zasepioną gębą nie psuć innym święta, ale dla ciebie, mój przyjacielu, spróbuję się przemóc. – To mówiąc, Filip położył mi dłoń na ramieniu, a ja z trudem się wstrzymałam, żeby tej dłoni swoją nie pogładzić. – I sam więc przyjmę Morinusa zaproszenie – mówił dalej – i polecę mu tych braci Garlickich. A i twoją Lukrecję niech też zaprosi, żebyś tam nie siedział jak kołek.

– Ona nie jest moja – uściśliłam rzeczowo. – Studiujemy razem i tyle.

– Ach tak... – Uśmiechnął się nieznacznie. – Ale nie masz chyba nic przeciwko temu, żeby tam z nami była?

– Nie, oczywiście – zapewniłam. – Sądzę, że jej się to słusznie należy, zresztą ja ją bardzo lubię.

Muszę tu przerwać pisanie, bo to już ostatnia karta papieru, jaką mam. Jutro dokupię u księgarza całą ryzę, tylko że przez cztery najbliższe wieczory będę się musiała skupić na pewnym niecierpiącym zwłoki zadaniu, więc z tego, co się działo dalej, będę ci mogła zdać sprawę dopiero w niedzielę. A zatem – do niedzieli, kochana.



Już mamy niedzielę, więc, tak jak ci obiecałam, wracam do przerwane go wątku. Jak rozumiesz, stało się na tym, że Kallimach przyjmie zaproszenie na obchody święta Wniebowzięcia w wiejskiej rezydencji burmistrza Mornsteina, weźmie mnie tam ze sobą, a nadto podsunie gospodarzowi myśl, by zaprosił również braci Lukrecji i ją samą. Tak się też stało, toteż w dniu święta, z samego rana, zajechaliśmy naszą purpurową karetą na Rynek, gdzie dołączyliśmy do kawalkady powozów i jeźdźców, która niebawem opuściła miasto jedną z północnych bram. Nieopodal wpada do Wisły wartka rzeczka, płynąca – co się w Polsce prawie nigdy nie zdarza – z północy na południe. Przez czas jakiś podążaliśmy wzdłuż jej prawego brzegu, po lewej ręce mając zabudowania przyrosłego do Krakowa miasteczka Kleparz, aż do mostku, którym się przeprawiliśmy na wschodnią stronę rzeczki. Posuwając się dalej ku północy, po półgodzinie nieśpiesznej jazdy na przemian przez pola i lasy zatrzymaliśmy się na łagodnym wzniesieniu, przed niskim a rozłożystym, świeżo pobielonym domem, nakrytym dachem z drewnianej łuski, ułożonej w kształt hełmu, takiego jak ten, który – pamiętasz? – wisiał na ścianie nad łóżem mojego tatki. Kiedyśmy wysiedli, roztoczył się przed nami uroczy widok na całą okolicę skąpaną w jaskrawym słońcu – z jednej strony, jak okiem sięgnąć, świeżo zżęte pola, z poustawianymi w rzędy snopkami zbóż i widocznymi w oddali chłopskimi chatami, z drugiej gęsty las, z wypływającą z niego przejrzystą rzeczką, trzecią zaś zamykało pasmo stromych wzniesień, niezbyt wprawdzie wysokich, ale niemal od podnóża aż po szczyty groźnie połyskujących nagimi skałami. U stóp tych skał kroczył w naszą stronę korowód włościan, niosąc wieńce misternie uplecione ze zbóż i świeżych ziół. Wieśniaczki, młode i stare, wszystkie odświętnie wystrojone, z głowami przybranymi w pstrokate chusty, wznosiły przy tym przedziwne zaśpiewy, niepodobne do niczego, co w życiu słyszałaś, łącząc swe zadziorne głosy w niebiańskie harmonie.

Podczas gdy podziwiałam ów przechodzący mimo nas pochód, cały plac przed wiejskim domem Mornsteinów zapełnił się powozami i końmi gości. Gospodarz z żoną podchodzili do każdego i witali przez uściśnięcie obu rąk. Spozrzegłam Lukrecję w towarzystwie trzech mężczyzn, w których odgadłam jej braci; było tam też kilka innych twarzy mi znajomych – co,

jak się domyślasz, nie zawsze znaczy, że przeze mnie lubianych – jak owego doktora Karpigi, który każe się tytułować Miechowitą. Był tam również – jakżeby nie – doktor Ursyn z przemiłą żoną Anną i dwoma małymi synkami, ale i, niewiele ode mnie starszy, docent Marcin Biem, którego z moich pierwszych tutaj lat pamiętam jeszcze jako współszkolarza, a przecież wkrótce potem powierzono mu prowadzenie repetytoriów z Arystotelesa, a dziś już, z namaszczenia profesora Falkenera, samodzielnie wyklada astrologię i wykazuje się przy tym naprawdę imponującą znajomością rzeczy. Także i on był tam z żoną, podobnie jak paru innych, jednak większość spośród zaproszonych zaliczała się do stanu duchownego, toteż kobiet było z nami w sumie niewiele: Lukrecja, ze dwie czy trzy siostry albo córki innych gości, ale też kilka niebrzydkich panien nie wiadomo na jakiej zasadzie towarzyszących niektórym z kanoników, a że nikt się temu nie dziwił, uznałam, że i mnie nic do tego. Wszystkie one – no, może z pewnymi wyjątkami – miały na sobie diablo piękne suknie, dobrane ze smakiem i idealnie się na nich układające, bez wątpienia skrojone na miarę z nich samych zdjętą, a urok całości na ogół jeszcze bardziej podnosiły ozdoby ze złota i drogich kamieni, którymi owe panie były przybrane.

Kiedy już chłopski korowód, minąwszy siedzibę naszego gospodarza, skierował się na pola, by, coraz bardziej się od nas oddalając, po kolei odwiedzać zagrody poszczególnych włościan, poprowadził nas Mornstein nad samą rzeczkę, przy której rozłożył dla nas na trawie czyste derki, abyśmy tam mogli się rozsiąść bez obawy, że nam się suknie powalają. A gdy już wszyscy usiedli w koło, burmistrzowa z dwiema dziewczkami służebnymi przytargały wielkie naręcza kwiatów i ziół świeżo w ogrodzie narwanych, które ułożyły na trawie w środku kręgu gości. Na ten widok odezwały się we mnie raptem dziewczęce nawyki, aż z trudem się powstrzymałam, by zaraz po te zielska nie sięgnąć i wspólnie z innymi paniami nie wziąć się z zapałem do splatania z nich girland i stroików.

Ale ja tam nie byłam jedną z nich, tylko jednym z młodych mężczyzn, dla których burmistrz Mornstein obmyślił inne rozrywki. Poszłam więc ze wszystkimi na skraj lasu, gdzie czekało na nas dwóch myśliwców, jeden z sokołem, drugi z krogulcem, i gdyśmy nadeszli, zaczęli raz po raz wypuszczać swoje ptaki na łowy. Sokół wzleciał wysoko, aż ledwie go było widać na bezchmurnym niebie, nieśpiesznie zatoczył kilka kręgów i nagle spadł jak kamień między korony drzew. Za chwilę wynurzył się

z nich, szamocząc się w powietrzu ze znacznie większym od siebie ptakiem, który bił rozpaczliwie skrzydłami i wyginając długą szyję starał się trafić go dziobem, aż w końcu oba wpadły znów z szumem między gałęzie. Sokolnik natychmiast popędził w głąb lasu, by ich szukać, i my wszyscy za nim, a gdy po kilku chwilach zniknął nam z oczu, rozproszyliśmy się ławą i każdy pobiegł swoją ścieżką, starając się przedrzeć przez chaszczę w kierunku, z którego dobiegały myśliwca wołania. W końcu znaleźliśmy go – kucnął przed swoim sokołem, który dumnie się prężył nad ciałem ofiary, ze szponami wbitymi w jej kark. Żółty, szpiczasty dziób martwego ptaka – był to jakiś rodzaj czapli – rozchylony teraz bezwładnie jak porzucone nożyce, nie zagrażał już żadnemu napastnikowi, a jego żółte, okrągłe oczy zdawały się z pokornym lękiem oczekiwać wyroku Opatrzności, choć z każdą chwilą coraz bardziej zasnuwały się mgłą i coraz mniej dawało się z nich wyczytać. Sokolnik tymczasem podsunął szponiastemu zabójcy wyjęty z torby kawałek surowego mięsa, a ten, zeskoczywszy ze zwłok czapli, podfrunął, by odebrać przysmak ze swego pana rąk, po czym spokojnie przycupnął na jego rękawicy, by się bez pośpiechu posilić.

– Widzą panowie, sokół nie pies. – Sokolnik wyszczerzył zęby w uśmiechu, wrzucając do drugiej, większej torby podniesioną z ziemi zdobycz. – Łupu swojego za darmo nie odda nigdy, ale kupić od niego można.

– Chwat z niego – pochwalił sokoła gruby ksiądz Czepiel, który na Akademii wykłada grekę, ale też, czego wielokrotnie byłem świadkiem, biegle mówi po włosku. Chciał ostrożnie pogłaskać jarzębate skrzydło końcami palców, ale ptaszysko, błyskawicznie się okręciwszy, byłoby go dziabnęło do żywego mięsa, gdyby w porę ręki nie cofnął.

– Ech, kogucik! – Ksiądz Czepiel zaśmiał się nerwowo, na co sokolnik pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Nie kogucik, wielmożny panie, to sokolica. Samiec jest mniejszy, takiej czapli nie dałby rady, nawet by nie próbował. Ale ona, i owszem!

To mówiąc, z dumą pogłaskał rozbójniczkę po szyi, co ona przyjęła bez protestu, ocierając się głową o jego dłoń.

– „Izold, miłości sokolica”... – niespodziewanie zaszemrał mi do ucha Filip. – Zaczyna mi świtać, co ten Gotfryd chciał przez to powiedzieć.

Mnie za to nic nie świta. Pal diabli Gotfryda, ale co do Kallimacha myśli, błędzę w zupełnych ciemnościach. No bo jak: czy on Kordulę przez

to rozumiał? Że kogo ona pochwyci w swe szpony, ten przepadł? Nie, to mi zupełnie do tego, co mu się przydarzyło, nie pasuje. Może ja za mało lotna jestem, bo jakoś mi tu jego ukryte przesłanie umyka.

Drugi z myśliwców zaczął się z kolei popisywać swoim krogulcem, polując z jego pomocą na przepiórki i kuropatwy, ale szczerze mówiąc, nie bawi mnie widok zadawania śmierci, nawet jeśli mord taki jest wpisany w odwieczny porządek Natury. Odetchnęłam więc z ulgą, gdy nas gospodarz zabrał z lasu i poprowadził nad rzeczkę, której wartki nurt w tym miejscu nieco spowalnia, rozlewając się szerzej, a woda jest tak czysta, że z brzegu doskonale widać kłębiące się w niej najrozmaitsze ryby. Na ten widok wielu z gości Mornsteina zaświeciły się oczy, a on chyba tylko na to czekał, bo zaraz wezwał wszystkich do wspólnego połowu. Na jego znak natychmiast przyniesiono spory niewód i dwóch pierwszych śmiałków – a byli nimi docent Sommerfeld, o którym ci chyba już kiedyś wspominałam, i jeden z braci Lukrecji, Jerzy, a więc jakby mój imiennik – ściągnęło buty i wszystko inne, pozostając w samych gaciach, żeby tylko przyrodzeniem nie świecić, i zaraz wstąpili śmiało do wody, rozciągając skrzydła sieci. Co widząc, cała reszta towarzystwa poszła w ich ślady. Nawet mój pryncypał, choć nie tak ochoczo jak inni, a nawet z ciężkim westchnieniem, zaczął się powoli rozbierać, starannie składając poszczególne części garderoby przed ułożeniem ich na przybrzeżnej trawie.

Mnie, jak się domyślasz, ten obrót rzeczy wprowadził w niemałe pomieszanie. Szczęśliwie od pewnego czasu przyswoiłam sobie zwyczaj noszenia płóciennych gaci (co i tobie polecam), nie byłam więc dla ochrony mojego sekretu zdana na sam tylko mieszek, ale bałam się też odsłonić od góry, bo choć w czasach peregrynacji z Celtisem zdarzało mi się, jak ci już chyba pisałam, obmywać sobie tułów ze wspólnej z poetą laureatem miednicy, lecz przecież wtedy miałam lat nie więcej jak szesnaście, a teraz mam dwadzieścia trzy i nie dam głowy, czy moje skromne poziomki nie nabrały jednak przez te lata nieco bardziej kobiecego wyglądu.

Podczas gdy biłam się gorączkowo z myślami, jak by tu się od tego rozbierania wykręcić, choćby pod lada pozorem oddalając się gdzieś między drzewa, nagle zwrócił się do mnie kiepską polszczyzną długowłosy drażal, który przysiadłszy na brzegu, mocował się z własnymi trzewikami – prosząc, abym mu pomogła je ściągnąć. Spojrzałam

pytając na Filipa, na co ten odpowiedział gestem: „Ma się rozumieć, pomóż mu”. Co począć, zabrałam się do dzieła. Wpierw poluzowałam drągalowi rzemyki, na co sam, nieborak, wpaść nie potrafił, po czym, zaparłszy się nogami o trawę, z całej siły pociągnęłam za obcas, a gdy but wreszcie puścił, to tak mnie odrzuciło do tyłu, że wpadłam na Kallimacha, który będąc już w samych gatkach, składał właśnie koszulę. Zachwialiśmy się oboje, ale on, jak się okazuje, potrafi jednak krzepko stać na obu nogach, a i mnie zdołał podtrzymać, mocno obejmując w pasie ramionami, dopóki w pełni nie odzyskałam równowagi. Nie wiem, jakim cudem mi się to udało, bo kiedy owionął mnie przelotnie znajomy różany zapach, a przy tym otarłam się policzkiem o jego kosmatą pierś, tym bardziej zakręciło mi się w głowie.

Drugą nogę uwalniałam niezgule już ostrożniej, więc obyło się bez zbędnych urozmaiceń. Filip tymczasem wszedł już po pas do rzeczki i ochlapując sobie tors dla oswojenia z zimnem, jednocześnie kiwał na mnie, bym się doń przyłączyła. Powiedziałam sobie: trudno, raz kozie śmierć; najwyżej wszyscy pomyślą, że mam cycki jak dziewczyna – ale to przecież w końcu Starkfausta zmartwienie, nie moje. Rozebrałam się do gatek, sprawdzając ukradkiem, czy szarpie, którymi nadziany był mój mieszek, gdzieś z niego bokiem nie wyłażą, i niewiele myśląc, z gromkim pluskiem wskoczyłam do wody, starając się jak najbardziej ją spienić, po to by jej przejrzystość zamącić. Zanurzyłam się też od razu po obojczyki, chociaż było płytko, więc musiałam w tym celu trochę ugiąć kolana, ale i tak zdawało mi się, że wszyscy tylko mnie się przyglądają i bezecne myśli im chodzą od tego po głowie. Na pewno zerkał na mnie Filip, ale to było zrozumiałe, bądź co bądź znalazłam się tam jako jego towarzysz; także długowłosey od czasu do czasu zwracał się ku mnie, szczerząc zęby, jak rozumiem, dla podtrzymania tak mile rozpoczętej znajomości. Tymczasem jednak zabraliśmy się rażno całą gromadą do ryb łowienia, posuwając się z wolna w górę rzeki z niewodem rozciągniętym na całą niemal jej szerokość, ale że mało kto z nas znał się na rybacze, więcej w tym było błaznowania i rodomontady niż połowu, zwłaszcza że nasze nieustanne przekrzykiwanie się, chlapanina i gromkie śmiechy z pewnością płoszyły ryby. Ale nikt tam o połów nie dbał prawdziwie, gdyż więcej o zabawę chodziło. Wśród tej powszechnej wesołości, w której się wszyscy prześcigali, dotarło do mnie, że choćbym nie wiem jak żeńskie miała kształty, nikomu tu nie przyjdzie do głowy, że mogę być

kobietą, skoro z góry założyli sobie, że mężczyzna. Tak samo jak nikt nie podaje w wątpliwość szlachetności rysów dumnej księżniczki krwi, choćby nawet spłodził ją w istocie parobek gumieny – przyjmując, rzecz jasna, że udało się to zachować w tajemnicy. Ja sama niebawem zapomniałam, że stoję prawie naga wśród tłumu podochoconych samców, i nawet pozwoliłam sobie podskakiwać, szarpiąc sieć, chlapać wodą na innych i śmiać się do rozpuku. Nie byłam pewna, czy Filip nie będzie miał mi takich szaleństw za złe, zdawał się je wszak aprobować – kątem oka wypatrzyłam na jego twarzy wyraz odprężenia, tak jakby ów bolesny skurcz, który ścisnął w ostatnich dniach jego rysy, zaczął już nieco odpuszczać.

Zwabione wszczynanym przez nas hałasem nadbiegły niebawem kobiety, wszystkie pookręcane świeżo uwitymi girlandami z przemyślnie uplecionych ziół i kwiatów, a i na głowach kwietnymi wiankami przystrojone. W jednej chwili zapanował jeszcze większy zgiełk niż do tej pory, bo oto na beztróskie pohukiwania i rechoty mężczyzn nałożyły się świdrujące w uszach damskie piski, śmieszki i okrzyki zadziwienia. Zdaje mi się, że panie musiały się przez ten czas uraczyć jakimś zacnym trunkiem, gdyż były dziwnie rozzuchwalone i do psot skore. Na przykład kiedy młody Thurzo, syn byłego burmistrza, zbliżył się do brzegu, żeby się poprzekomarzać z siostrzenicą proboszcza od Świętego Szczepana, ta rozochociła się tak bardzo, że próbowała sięgnąć jego gołego torsu naprędce zerwanym pękiem pokrzyw. Niestety, czy to wychyliła się zanadto, czy może pośliznęła na zmoczonej trawie, dość że runęła jak długa do wody, dając całemu towarzystwu jeszcze jeden powód do gromkiego śmiechu, a synowi burmistrza sposobność do wykazania się ogładą, gdy jej pomagał wydostać się na brzeg. Biedaczka, była taka wystraszona i taką miała tę uroczą buzię skrzywioną, jakby zaraz miała płaczem wybuchnąć, ale chyba mało kto jej w tamtej chwili współczuł, bo uwagę mężczyzn zajmowały jej rysujące się wyraźnie pod przemoczonymi sukniemi posągowe kształty, kobietom zaś, jak to często bywa, widok upokorzenia płoczej ślicznotki wyraźnie sprawiał złośliwą uciechę. Zajął się nią jednak, przyniosły zaraz z dworu płótno, którym ją owinęły, by wchłonęło nadmiar wilgoci z jej stroju, a potem zabrały ją na przechadzkę wśród pól i tam ją prowadziły, dopóki skwar słoneczny jej do reszty nie osuszył.

Połów, pomimo naszej nieudolności, okazał się całkiem obfity, w każdym razie złowionych ryb, łącznie z ptactwem upolowanym przez oba bezlitosne drapieżniki, starczyło na aż nazbyt obfitą ucztę dla całego towarzystwa, uzupełnioną przez gospodarzy chlebem, leśnymi jagodami w wielkim wyborze i wreszcie doskonałymi winami, wśród których królowała dobrze wychłodzona malwazja, od niedawna mój ulubiony trunek. Jedliśmy więc ze smakiem i piliśmy z upodobaniem, dopóki nie przyszło pierwsze nasycenie. W takich chwilach, jak wiesz, najłatwiej rozwiązują się języki, a gdy ludziom chce się pogadać, tematy nasuwają się same. Kallimachowi przypomniały się na przykład obchody święta Wniebowzięcia, których był świadkiem w małym miasteczku rybackim na samym spodzie obcasa włoskiego trzewika, gdzie się zapędził, umykając przed papieskimi zbirami.

– Stamtąd już dalej lądem uciekać nie było gdzie, a zatrzymać się na dłużej ani zawrócić też nie mogłem, bo już mnie ziemia neapolitańska nie na żarty w pięty parzyła – opowiadał, a ja słuchałam chciwie – dlatego wypatrywałem jakiejś większej łodzi, która by mnie mogła zabrać na którąś z Wysp Jońskich, wtedy we władaniu Wenecji, dziś już nie. Cóż, kiedy w owej mieścinie były tylko lekkie łódki rybackie, podłużne a wąskie, nieraz złączone po dwie drewnianym mostkiem, żeby mogły wspólnie ciągnąć wódek po morzu, podobnie jak myśmy to robili w tej tu rzeczce. Na takim właśnie mostku postawili tamtejsi rybacy figurę Madonny, pięknie przybraną kwiatami, i gdy miedziane słońce już się chowało za widnokrąg, wypłynęli z nią daleko w morze. Za nimi ciągnęły dziesiątki innych łodzi, bo tam prawie każdy miał jakąś łódkę, więc całą flotyllą oddalali się ku zachodowi, aż prawie ich widać nie było, tylko coraz wyraźniej, w miarę jak się ściemniało, biegły stamtąd ku nam po morzu, niczym pasma złotej przędzy, rozedrgane strużki światła od ich pochodni. I chwilami dobiegał z daleka niesiony bryzą chóralny śpiew, aż mogło się zdawać, że to pienia duchów przestworzy. Kiedy w końcu wrócili, płynąc wzdłuż brzegu, była już zupełna noc, ale od łań płonących pochodni, którymi sobie, wynosząc figurę na brzeg, przyświecali, biła jasność, rzekłbyś, nadprzyrodzona. Potem, gdy już Maryję do kościoła odnieśli, zaczęli wystrzeliwać nad wodą podobne kometom race, które z upiornym wyciem wypuszczały z siebie świetliste fontanny najkrzykliwszych barw.

– Cóż, my tu morza nie mamy – odezwał się, kołysząc pucharkiem, burmistrz Mornstein – ale i na Wiśle dałoby się podobne obchody urządzać. Warto o tym pomyśleć na przyszły rok.

– Ale czekaj, znowu z lat mych pacholących pamiętam – wszedł mu w słowo Filip, coraz bardziej ożywiony – gonitwy konne wokół rynku w Sienie, gdzie na początku pobierałem nauki. One tam mają upamiętniać bitwę sprzed lat z górą dwustu, kiedy tamtejsi gwelfowie pokonali florenckich gibelinów, co im miało wieczyście zapewnić niezależność. Dlaczego jednak pamiątkę tej bitwy obchodzą w dniu Wniebowzięcia, choć ją stoczyli we wrześniu, to już ich samych by trzeba zapytać. Co prawda nie ręczę – dodał po krótkim namyśle – czy już w ogóle tego zwyczaju nie zarzucili, bo ja go pamiętam z dzieciństwa, tymczasem po latach, już tu, w Krakowie, doszła mnie wiadomość, że została Siena ostatecznie wchłonięta przez księstwo Florencji, pytanie więc, czy oni mają jeszcze co tą gonitwą świętować. Nie nasza to rzecz, oczywiście. Ale pomyśl, Morinusi – zwrócił się wprost do gospodarza – czy by rajców nie natchnąć podobnym pomysłem, bo przecież i tu da się na pewno jakąś zwycięską bitwę do maryjnego święta przypisać i na jej cześć galopować w tuzin koni po Rynku. Ludzi to porwie, daję głowę!

– Pomyślimy, pomyślimy – zapewnił go burmistrz, po czym wstając, zaprosił wszystkich na przechadzkę po swoich dobrach, dla przezwyciężenia poobiedniej ociężałości.

Było to w istocie bardzo potrzebne, poszliśmy więc bez pośpiechu przez pola i ogrody, tu i ówdzie mijając chłopską zagrodę umajoną świeżo narwanymi ziołami, zupełnie tak samo jak w naszych stronach, z tą wszak różnicą, że w żadnej z tutejszych girland ani w żadnym z wieńców nie wypatrzyłam waleriany, przywrotnika, lawendy, a nawet dziewanny, za to ze szczególnym upodobaniem wplatają w nie Polacy wrotycz, piołun, bylicę i boże drzewko.

Choć wyruszyliśmy zwartą gromadą, stopniowo rozluźniliśmy szyk, dzieląc się na mniejsze grupki, rozciągnięte na odległość dobrej staj. Ktoś tam, idąc, zaśpiewał, przygrywając sobie na lutni, do czego kilkoro innych dołączyło zaraz swoje głosy; drudzy jak dzieci ganiali się wzajem po zżętych polach; trzeci opowiadali sobie jakieś facecje, raz po raz wybuchając gromkim śmiechem; czwarci zaś szli w błogiej ciszy, rozkoszując się bliskością swych panien.

Doktor Selig, proboszcz z kościoła Bożego Ciała w Kazimierzu, zrównał się z Filipem, by go zagadnąć o jeden z bardziej znanych jego wierszy, O mych peregrynacjach – do Fanni Świętochy pieśń.

– Piszesz tam – przypomniał – że wsiadłeś na zbutwiałą łódź przy „brzegach lawińskich”. Czyli, jak rozumiem, gdzieś niedaleko Rzymu?

– Nie więcej jak dwadzieścia mil – objaśnił Filip.

– I w tej łodzi opłynąłeś skały Kirke, a dalej powiadasz, że „potem zaraz do ziemi przybyłeś imię Pelopsa noszącej”, dobrze pamiętam?

– Znakomicie.

– W takim razie, jeśli wolno zapytać – indagował ksiądz Selig – skoro z Tyrreńskiego Morza trafiłeś wprost na Peloponez, to skądęś się wziął na salentyńskim obcasie?

– Och, mój Statyliuszu... – Kallimach zaśmiał się niewesoło. – Widzisz, ja tę część mojej tułaczki musiałem w wierszu pominąć, żeby nie zaognić i bez tego niełatwych stosunków neapolitańskiego króla z Pawłem II. Bo obaj jeszcze żyli, kiedy to pisałem. Teraz to co innego, mogę już swobodnie o tym mówić. Więc jeśli chcesz wiedzieć, wiosłowałem na tej rozpadającej się łódce jak szalony przez całe dwa dni, aż wreszcie półżywy wylądowałem na plaży w Gaecie. To już terytorium Królestwa Neapolu, gdzie się papieskie zbiry nie mają prawa zapuszczać, więc strach, który mnie przez cały czas poganiał i ścisnął za gardło, wtedy nieco odpuścił; za to całkiem opadłem z sił. Za ostatnie pieniądze kupiłem jakąś ledwie powłóczącą nogami chabetę i z wielkim trudem się na nią wdrapałem. Pokonanie pięćdziesięciu mil do Neapolu zajęło mi kolejne dwa dni. Tam, dzięki powołaniu się na Pomponiusza, udało mi się uzyskać audiencję u hrabiego di Maddaloni, o którym wiedziałem, że król Ferdynand wysoko sobie ceni jego rady. Hrabia, gdy mu szczerze wyłuszczyłem moją sytuację, zezwolił mi w imieniu monarchy na przemieszczanie się po terytorium królestwa, byłem tylko nie ściągany na siebie uwagi żadnych lokalnych władz, gdyż jeśli się trafi jakiś nadgorliwy służbista, który mnie zechce uwięzić na podstawie papieskiego listu gończego, Jego Królewska Mość będzie zmuszony odesłać mnie pod strażą do Rzymu. „Chcesz pan mojej rady, panie Buonaccorsi? – rzekł mi na koniec. – Nigdzie pan za długo miejsca nie zagrzewaj, a nade wszystko nie pokazuj się pan więcej tu, w stolicy. Jeśli się bowiem panu wydaje, że w tłumie na ulicach Neapolu łatwo zniknąć, to jesteś pan w wielkim błędzie”. Na odchodnym wręczył mi niewielką

sakiewkę, do której dołożył jeszcze jedną radę: „Ach, byłbym zapomniał: jesienią i zimą szczerze odradzam żeglugę po Morzu Jońskim”. Tę rozmowę z hrabią di Maddaloni miałem na początku marca tysiąc czterysta sześćdziesiątego ósmego roku, a po pięciu miesiącach, popadłszy jeszcze po drodze w niejedną ciężką opresję, dotarłem wreszcie do owego miasteczka na spodzie obcasa, i stąd właśnie się tam wzięłem.

– Nie byłem świadom, ile cię to znoju kosztowało – rzekł na to doktor Selig ze współczuciem.

– Ech, młody byłem, to wszystko lekko brałem. – Filip machnął ręką. – Chyba tej młodzieńczej beztroski najbardziej mi dzisiaj brakuje.

– Że lekko brałeś, to widać – zgodził się Selig, z widocznym wysiłkiem raz po raz podbiegając, by dotrzymać nam kroku. – Choćby po tym, że zatrwajające dzieje swej tułaczki spisujesz dla przypodobania się ukochanej damie.

– Czy tak? – zdziwił się szczerze Kallimach. – Wyznam ci, że nie miałem takiej intencji. Pierwotnie zwracałem się w tej pieśni do dobrego przyjaciela, który mi udzielił gościny w Konstantynopolu, i dopiero później, kiedy nieco rzecz na użytek polskich czytelników przerobiłem, zmieniłem też i dedykację, żeby pasowała do całego zbioru, Fannię opiewającego.

– A cóż ona na to? Umiała po łacinie czytać?

Filip, zanim odpowiedział, zaśmiał się pod nosem.

– Tworząc jej figurę – rzekł – przyjąłem założenie, że umie; ba, że wręcz po łacinie myśli.

– Jak to? Chcesz powiedzieć, że ona jest tylko wyczarowanym przez poetę mirażem? – zdumiał się proboszcz. – Nie do wiary! Jak ty to robisz, Kallimachu! Czytając twoje wiersze, ma się ją wyraźnie przed oczami, aż się sama ręka wyciąga, żeby jej włosów dotknąć! – ciągnął zdyszany. – Doprawdy, powiadasz, że Fannia nie była dziewczyną z krwi i kości?

– Ależ była – przyznał Filip, znacząco mrużąc oko. – Nawet niejedną.

– Ach, rozumiem... – sapnął doktor Selig, zwalniając kroku. – Więc to tak...

I pogrążony w rozmyślaniach nad Kallimachową metodą literacką pozostał za nami w tyle. Dopiero kiedy już oddaliliśmy się od niego wystarczająco, Filip przerwał milczenie.

– Niech się głowią nad tą Fannią, nie będę im do moich wierszy podsuwał glosariusza. I bez tego wystarczająco w nich obnażam i siebie,

i parę innych osób też. Komu tego mało, trudno, musi obejść się smakiem. Poezja to niedopowiedzenia, nic innego! No powiedz sam, Georgiuszu, mamże własne wiersze z tajemnicy odzierać?

– W żadnym razie – poparłam go stanowczo.

– Tobie jednak, mój drogi – odezwał się po dłuższej chwili, zwracając na mnie pełne powagi spojrzenie – chcę opowiedzieć, kim była Fannia.

O, tego byłam bardzo ciekawa, bo nie mało się o tej Fanni naczytałam w jego poezjach, a trzeba ci wiedzieć, że poświęcił jej ze trzydzieści elegii, jak nie więcej, i drugie tyle epigramatów. Żadnej innej osoby nie wspomina w swoich pismach tak często. W dodatku tyle w tych wierszach do niej zawarł z życia wziętych szczegółów, że jakoś mi się nie widziało, aby opiewana w nich heroina mogła istnieć tylko na papierze. Z drugiej jednak strony, widząc, że szczegóły owe nieraz wzajemnie sobie przeczą, doszłam w końcu do przekonania, iż pod imieniem Fanni muszą się kryć dwie, a może nawet trzy obce sobie, ale jemu dobrze znane kobiety.

– Ale o której z twoich Fanni teraz mówisz? – zapytałam niewinnie.

– O, nie, nie! – pośpieszył wyprowadzić mnie z błędu. – Fannia była tylko jedna.

– Była? – zdziwiłam się. – Mam rozumieć, że nie żyje?

– Nie, skądże – zaprzeczył żywo. – Co prawda od lat nie mam o niej wieści, ale mam nadzieję, że żyje i ma się dobrze. Tyle że nie spodziewam się, aby zostało w niej wiele z tej Fanni, którą znałem. Chcesz o niej posłuchać czy nie?

– Bardzo chcę – zapewniłam szczerze.

– Hm... – mruknął i zaczerpnął tchu. – Pamiętam jak dziś tę chwilę, kiedy ją po raz pierwszy ujrzałem. Ileż to lat minęło? Dwadzieścia sześć, tak, nawet z okładem, bo teraz mamy sierpień, a to był początek kwietnia, krótko po Świątach Wielkanocnych. Jechałem na pożyczonym koniu, ubrany w suknie po pewnym nieboszczyku, darowane mi przez wdowę po nim. Ta wielkiej dobroci kobieta, znalazwszy mnie miesiąc wcześniej na polu pod lasem, gdym leżał w śniegu po pas głębokim, gotów na kamień zamarznąć, zabrała mnie do swego domu, ogrzała, odkarmiła, i dopiero gdym całkiem doszedł do siebie, a śnieg na polach stopniał, odsłaniając gościniec z kamienia ułożony, wyprawiła do Polski, zaopatrzywszy nadto w kilka szelągów na drogę. Chyba ze sześć dni tak jechałem, aż dotarłem do Przemyślan, miasteczka o dzień jazdy odległego od Lwowa. Na rozstaju dróg rośnie tam wielki dąb, po jednej jego stronie

stoi drewniana cerkiewka, a po drugiej – rozłożysta gospoda z poczerńniętych bali. Od gospody dobiegały dźwięki skocznej muzyki i gwar wesołych głosów. Zeskoczyłem z konia, oddałem lejce stajennemu i wszedłem do ciemnej izby. Wtedy ją zobaczyłem. Szła, a właściwie płynęła między gośćmi jak księżyc wśród chmur, niesiona słowicznymi zaśpiewami multanki. Stałem jak wryty i zdaje się, że gębę aż rozdziawiłem na widok jej anielskiej twarzyczki, gdy ona wciąż tym tanecznym krokiem krążyła po izbie, niosąc przed sobą dzban piwa, a goście ze wszystkich stron nawoływali ją po imieniu: „Fania! Fania! Wlej mi jeszcze pół garnca!”. Wtedy, rzecz jasna, nie rozumiałem jeszcze, co mówią, ale nie sztuka było zgadnąć; także i tego, że Fania to jej imię. Zawołałem więc i ja: „Fania! Fania!”, i rękę w górę wyciągnąłem. Podfrunęła do mnie zaraz, jakby po lodzie się ślizgając, a nie po szorstkich deskach podłogi, i coś tam zaszczębiotała, szczerząc w uśmiechu bielutkie zęby, rozdzielone pośrodku rozkoszną szparką. Pokazałem jej na migi, że chcę piwa i coś do jedzenia, wspomagając się kilkoma poznanymi po drodze zwrotami z języka Wołochów i dwoma czy trzema słowami ruskimi, których nauczyła mnie zacna wdowa. Fania wówczas nastawiła dłoń, a gdy włożyłem w nią monetę, sięgnęła do zawieszzonego u pasa woreczka i bezgłośnie poruszając różnymi usteczkami, odliczyła uważnie garść drobniaków, którą mi następnie wydała z tak figlarnym błyskiem w zielonych ślepiach, jakby chciała powiedzieć: „Podobasz mi się, cudzoziemcze, chociaż ni w ząb twojej mowy nie rozumiem”.

Przyznam ci się, Enneleyn, że gdy tak słuchałam, jak tkliwie Filip wspomina owo zauroczenie z czasów, kiedy ani mnie, ani ciebie nie było jeszcze na świecie, wzbierało we mnie radosne przecucie, iż jego umysł zaczyna się wreszcie uwalniać od wpływu ponurych pruskich wyziewów, a cień pani Musing oddala się z wolna tam, gdzie wszystkich cieni miejsce.

Fania miała wtedy lat siedemnaście, ale od bogobojnej burmistrzowej odbijała nie tylko przez swą młodość, świeżość i żywą naturę, ale też, jak się domyślasz, przez to, że nie była wykwintną niemiecką patrycjuszką, deklamującą włoskie tercyny i śpiewającą francuskie szansony, tylko prostą, niepiśmienną ruską dziewczeczką, z poezji znającą tylko kuplety włościańskich przyśpiewek – co, między nami mówiąc, nie musi być wcale przywarą. Filip zresztą twierdził, że Fania, krążąc z tacą po

gospodzie do taktu rozdzwonionej bandury, nieraz w zapomnieniu zapatrywała się gdzieś w przestrzeń przed sobą, i wtedy wydawało mu się, że dostrzega w jej oczach jakieś rzewne rozmarzenie, które według niego zdradzało drugą, bardziej liryczną stronę jej natury.

Za tym pierwszym razem, nie odrywając od niej zachwyconych oczu, przesiedział na ławie do drugiej godziny po zmroku, kiedy jej matka... – o której mówił „stara wiedźma”, choć pewnie nie była wtedy starsza, niż dziś jest pani Musing (tfu, tfu, niech jej imię tu więcej nie pada!) – siedział więc tam, dopóki owa stara wiedźma nie zaczęła chodzić między stołami, zbierając misy i kubki, i znacząco pobrzękując okręcanym na palcu pękiem kluczy, na co wszyscy goście poczęli się powoli zbierać do wyjścia. Fania w tym czasie gdzieś zniknęła i więcej się nie pokazała, więc wstał i Filip, żeby pójść się położyć, na co był czas najwyższy, jako że nazajutrz miał wyruszyć skoro świt, żeby dotrzeć do Lwowa jeszcze w ciągu dnia.

Tam wuj Ajnolfo, choć nie widzieli się od czasu, gdy Filip był małym chłopcem, przyjął go nader życzliwie i z jakiegoś powodu uznał, że siostrzeniec nada mu się do pilnowania, by cała sól wydobywana w podległych mu drohobyckich żupach trafiała do jego składów we Lwowie, a nie gdzieś indziej, czyli, jak mówią Polacy: „gdzieś na lewo”. Żeby wywiązać się z tych zadań, musiał Filip dość często bywać w Drohobyczu, miasteczku odległym od Lwowa o jeden do dwóch dni jazdy. Tymczasem wciąż nie mógł się uwolnić od wspomnienia z Przemyślan, tak, zdawałoby się, błahego: ot, że była w tamtejszej gospodzie ładniutka, zielonooka szafarka. Szybko się więc połapał, że jeśli jadąc do Drohobycza, nadłoży nieco drogi i zahaczy o Przemyślany, to i tak zdąży dotrzeć na miejsce przed zmrokiem, o ile w przemyślańskiej gospodzie nie zamarudzi zbyt długo. Zaczął więc tam przy każdej okazji zajeżdzać, na krótko, aby tylko ugasić pragnienie i przez chwilę popatrzeć na Fanię, którą już w myślach zaczął po swojemu Fannią nazywać. We Lwowie opłacał przez ten czas nauczyciela, który go wprowadził w mówieniu po polsku (co mu przyniosło jeszcze więcej uznania w oczach wuja Ajnolfa), a przykładał się do tej nauki tak pilnie, że niebawem mógł zapytać uroczą szafareczkę, skąd ma takie niespotykane imię. Odpowiedziała mu na to z prostotą, że tak jej matula z tatką na chrzcie dali: Epifania, Fania.

– Pojmujesz, mój drogi? – zwrócił się do mnie z nagłym błyskiem w oku. – Epifania! Objawienie boskie! Czyż można trafniej nazwać to, czym dla mnie była? – I dodał, już spokojniej: – Poza tym, jak widzisz, słuszne miałem przeczucie, żeby ją w duchu raczej Fannią niż zwyczajnie Fanią nazywać.

Muszę ci tu wyjaśnić, Enneleyn, że żyjący w tamtej części Polski Rusini należą przeważnie do Kościoła wschodniego i stąd się bierze, że bardzo często noszą greckie imiona, które nieraz zabawnie po swojemu przerabiają.

Zaloty Filipa do Fanni mogłyby się tym sposobem długo jeszcze ograniczać do krótkich pogwarek przy płaceniu za piwo, podczas gdy on sam czyniłby coraz większe postępy w dziedzinie hurtowego obrotu solą, gdyby go po pół roku nie wytropili w Polsce szpiedzy Pawła II. Pod koniec października na sejmie w Piotrkowie nuncjusz papieski zażądał odesłania Kallimacha do Rzymu. Szlachta wniosek przegłosowała i przyjęła. Na szczęście w Polsce od uchwały sejmu do jej wykonania zawsze jest daleka droga, toteż kiedy wieści o tym, co uradzono w Piotrkowie, dotarły do Lwowa, Tedaldi miał dość czasu, żeby jeszcze się zwrócić do arcybiskupa lwowskiego, by wziął jego siostrzeńca pod swoje skrzydła. Metropolita rezydował za miastem, w Dunajowie, dokąd ze Lwowa jedzie się przez Przemyślany, chyba żeby ktoś chciał celowo nadłożyć drogi. No i, ma się rozumieć, Filip nie mógł sobie odmówić tego, żeby zanim arcybiskup zdecyduje o jego losie, wstąpić, może ostatni raz, do przemyślańskiej gospody.

– Ajnolfo krzyczał, że chyba oszalałem, że kto wie, czy już starosta grodzki nie rozesłał straży, by mnie szukały po całym powiecie – opowiadał mi Filip, uśmiechając się do tych wspomnień – ale ja, głuchy na jego nawoływania, jakby mną jakaś niewidzialna siła powodowała, zeskoczyłem z wozu, nie czekając, aż się zatrzyma, i niezwłocznie przekroczyłem próg przybytku mej bogini. Godzina była wczesna, więc Fannia dopiero krzątała się po izbie, przecierając stoły i ławy, a jej grube, brunatne warkocze o kasztanowym połysku, zwykle upięte w koronę, zwieszały się jeszcze luźno na plecach. Gdym ją zawołał po imieniu, podniosła na mnie zaskoczony wzrok i w jednej chwili się rozpromieniła. „Pan Fyłyp!”, wykrzyknęła radośnie, sięgając od razu do warkoczy, by je pośpiesznie upiąć nad głową. Przypadłem do niej i ujawszy za łokcie, przemówiłem z wielkim uczuciem, choć, jak przypuszczam, bardzo

komiczną polszczyzną: „Fannio najdroższa, nie wiem, czy cię jeszcze kiedy zobaczę, gdyż ściga mnie zemsta rzymskiego papieża. Zanim mnie jednak pochwyca i katu wydadzą, chcę, byś wiedziała, że ty jedna królujesz w moich myślach i w sercu!”. Widziałem, że na te słowa aż zdrętwiała z przejęcia. Oczy jej się zrobiły jeszcze większe niż normalnie i usta otworzyła, z trudem dech chwyając. Nagle wypuściła z rąk warkocze i zarzuciła mi te ręce na szyję, a rozchylonymi wargami do moich warg przywarła... No, co ci będę mówił, Georgiuszu, wyniosło mnie uczucie szczęścia gdzieś aż pod powałę, gdy poczułem na sobie napór jej boskich piersi i wilgoć jej łez na policzkach, podczas gdy jej miękkie usta odciskały się na moich. Staliśmy tak mocno objęci, na wpół przytomni oboje, niemal gotowi, już bez zbędnych słów, złączyć się natychmiast w jedno ciało, gdy doszedł mnie podniesiony głos Ajnolfa: Ma che pazzo! Salva prima la tua testa!

Co znaczy po włosku: „Co za wariat! Najpierw głowę uratuj!”. Wciąż otumanieni oboje, niechętnie oderwali się od siebie. Zwłaszcza ona wcale się nie kwapiła, by go z objęć wypuścić, czemu się tak bardzo nie dziwię. Ale że na zdrowy rozum trudno było nie przyznać wujowi racji, Filip tylko pośpiesznie wyjaśnił dziewczynie, jak umiał, że jeszcze nie wszystko stracone, że właśnie jadą po pomoc do arcybiskupa i że niebawem z pewnością zdoła jej przekazać jakąś wiadomość. Na odchodnym wcisnął jej do ręki wisiołek z oprawnych w srebro bursztynów, który od dłuższego czasu nosił stale przy sobie, czekając na odpowiednią okazję.

– Jej palce zacisnęły się posłusznie na ozdobie – wspominał z rozczuleniem – lecz ona sama chyba nie była tego świadoma, bo nawet na jedno okamgnienie wzroku nie spuściła, by sprawdzić, co tam trzyma, tylko we mnie wlepiła te pełne żałości, zaczerwienione oczyska, dopóki mnie Ajnolfo, szarpiąc za ramię, na dwór nie wyciągnął. I wiesz co? Gdy tylko poczułem na twarzy łagodny wietrzyk, który coraz to podrywał do lotu pozółkłe liście ścielące się pod wielkim dębem, co tam stoi na rozstaju dróg, nabrałem pewności, że będę żył. W żadnym razie nie mieściło mi się w głowie, żeby zaznawszy takiego szczęścia, można było wkrótce potem przez kaprys losu zejść z tego świata.

Tu się akurat stosuje do Kallimacha powiedzenie o szczęściu, którego mają niektórzy więcej niż rozumu, choć może właśnie przez to, że myśli jego zwrócone były tego dnia w stronę życia, i nie widać po nim było owej rozdygotanej czujności osaczonego zwierzęcia, jaką często objawiają

złoczyńcy, łatwiej było Tedaldiemu przekonać arcybiskupa, że jego siostrzeniec nie popełnił nic złego. Metropolita bowiem, słuchając solennych zapewnień Ajnolfa, którego dobrze znał od lat – może nawet aż za dobrze – przez cały czas przypatrywał się bystro Filipowi, a gdy wuj umilkł, zwrócił się wprost do niego.

– Zapytał mnie bez ogródek – opowiadał Filip, zrywając owoc z jabłoni, którąśmy właśnie mijali – czy w istocie nie zamierzałem się targnąć na Ojca Świętego życie. Na co odrzekłem, właściwie zgodnie z prawdą – ciągnął, wgrzyzając się w jabłko – że owszem, zdarzało mi się w gronie przyjaciół porównywać Pawła II do ogniska gangreny i przypominać, że na gangrenę lekarze znają tylko jeden sposób: ogniem wypalenie. „Jednakże – chciałem mówić dalej – była to tylko czysta retoryka, przyznaję, że nie najwyższych lotów, lecz...” Tu mi przerwał, unosząc palec, i przemówił żywo: „Nie tylko nie najwyższych lotów, ale też na fałszywej oparta przesłance”. To mówiąc, niespodzianie uniósł skraj swojej sukni, odsłaniając nogi, za cienkie w stosunku do jego wzrostu. Prawe kolano miał opuchnięte i grubo opatrzone szarpkami z bielonego płótna. A na tych szarpkach wykwitał świeży zaciek żółtej ropy. „Zobacz, proszę, z bliska, mości Kallimachu”, przywołał mnie, kiwając palcem. A gdy podszedłem, rozwinął opatrunek, ukazując dziurę w kolanie taką, że można by w nią palec wrazić, gdyby się rozchyliło podobne do zaciśniętych powiek tej dziury brzegi, pomiędzy którymi sączył się leniwie mętawy płyn o nader przykrym zapachu. „Widzisz? Mam to jeszcze z czasu mych krakowskich studiów. Potknąłem się raz na schodach i rozciąłem kolano”. Zawijając na powrót opatrunek, opowiadał dalej: „Leczyli mi to najlepsi doktorzy: zszywali, pruli, zalewali dekoktami, znowu zszywali, znowu pruli, wypalali ogniem – a jakże! – i znowu zszywali; a to paskudztwo jak się sączyło, tak się sączy, już trzydzieści osiem lat. Nauczyłem się jednak oczyszczać tę jamę, żeby chorobliwe wysięki wychodziły na zewnątrz, zamiast kierować się w głąb ciała i zatruwać wszystkie organy i tkanki. Mój sekret to ołów! Ołów, woda i ałun!”

– Oczyszczanie jątrzących się ran ołowiem? – zdziwiłam się. – Nie czytałem o tym u żadnego z ojców medycyny. Muszę popytać na wydziale.

– Ja już paru sławnych medyków pytałem – zapewnił mnie Filip, rzucając ogryzek daleko w rżysko. – Wzruszali tylko ramionami. Prawda

i to, że Grzegorz zaczytywał się w księgach medycznych, więc może w którejś z nich znalazł taką kurację. No cóż – podjął po chwili milczenia – podczas gdy się nachylał nad tym jego ropiejącym kolanem, on mi się przyglądał takim wzrokiem, jakim dziś ten sokół wypatrywał czapli w koronach drzew, i w końcu zapytał: „Wierzysz ty w Boga, Filipie?”. „Wierzę – mówię, i zaraz, nie zważając na rozpaczliwe znaki wuja Ajnolfa, dodaję zastrzeżenie: – Lecz moja wiara nie jest doskonała”. „Ba, czyjaż jest?”, rzekł mi na to Grzegorz z wielką powagą i wstał. Gestem nieznoszącym sprzeciwu nakazał wujowi, żeby zaczekał, mnie zaś poprowadził do domowej kaplicy i zamknąwszy dobrze drzwi, wypowiedział.

– A ty mu na tej spowiedzi prawdę mówiłeś? – zapytałam.

Filip westchnął.

– Na ile tylko byłem w stanie. Widzisz, z jego spojrzenia, z całej jego postaci, wysokiej i szczupłej, było coś takiego... Nie, nie świętość. To było coś bardzo ludzkiego, takie ciepło i zrozumienie, że widząc go po raz pierwszy w życiu na oczy, nie mogłem o nim myśleć inaczej niż jak o bliskim przyjacielu, który mnie widzi na wskroś i właśnie dlatego sprawiedliwie ocenia. Cóż więc mu mówiłem? Mniej więcej to, co i tobie. Że mogłem się srożyć i pobrzękiwać mieczem jak ów żołnierz samochwał u Plauta, może też i zdarzało mi się na papieża złorzeczyć. Ale sama myśl, żeby mu naprawdę śmierć zadać, już wtedy była mi obca i wstrętna, zaś po wszystkim, czego następnie doświadczyłem w ciągu dwóch lat mych wędrówek, stała mi się obca i wstrętna w dwójnasób.

– Uwierzył ci?

Filip przygryzł wargi.

– Nie wiem... Słuchał mnie uważnie, gładząc długą brodę, w której, choć był już po sześćdziesiątce, wciąż jeszcze więcej miał pasm ciemnych niż srebrnych. Czy mi uwierzył... Chyba tak, a nawet jeśli nie całkiem, to widać żal mu się mnie zrobiło, bo złąjawszy mnie najpierw surowo za to, że dopuszczałem grzeszne myśli do głowy, zadał mi ciężką pokutę, zapowiadając, że osobiście dopilnuje, abym się od niej nie uchylał, gdyż mam ją spełniać nie gdzie indziej, tylko właśnie w miejscu, gdzieśmy rozmawiali. Co rzekłszy, ramieniem ogarniając za plecy jak starego przyjaciela, poprowadził mnie z powrotem do Ajnolfa, by mu oznajmić, że od tej chwili aż do odwołania jestem jego gościem, a tym samym wuj może być spokojny, iż włos mi z głowy nie spadnie.

Bardzo chciałam wiedzieć, jak się sprawy dalej potoczyły, ale akurat, okrążywszy burmistrzowe włości, doszliśmy z powrotem do nadrzecznej łąki, gdzie się całe towarzystwo rozłożyło na trawie w cieniu drzew. Gospodyni z pomocą kilku dziewcząt służebnych roznosiła w glinianych miseczkach dobrze schłodzone zsiadłe mleko, i muszę tu stwierdzić, że mając za sobą przydługą przechadzkę w pełnym słońcu, z prawdziwą rozkoszą delectowałam się orzeźwiającym smakiem tego prostego, chłopskiego pokarmu, a nawet, widząc, że inni goście z zapałem wylizują swoje naczynia, bez skrupowania poszłam w ich ślady.

Przyglądałam się nieznacznie Lukrecji i jej braciom, zastanawiając się, jak by tu ich zagadnąć o Picatrix, bo słońce już było coraz niżej, a wciąż nie zanośliło się nawet na zadzierzgnięcie z Garlickimi bliższej znajomości. Uderzyło mnie, że Lukrecja zdawała się być o wiele bardziej niż zwykle ożywiona, była też ubrana swobodniej, w błękitnej sukni z wycięciem sięgającym dość głęboko między piersi, co niewątpliwie podkreślało jej kobiecy urok. Po raz pierwszy widziałam też, jak się śmieje, i ten jej śmiech, dźwięczny, szczery i radosny, brzmiał dla mych uszu niemal tak rozczulająco jak śmiech dziecka. Za którymś razem, gdy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnęłam się do niej, na co ona odpowiedziała uśmiechem, który wydał mi się zalotny, i chyba rzeczywiście taki był, bo potem zaraz spłonęła się cała, a najmocniej na dekolcie, na którym pokazały się raptem nieregularne plamy malinowej barwy.

W tejże chwili przychylił się do mnie ów drągał niezguła, co butów sam ściągać nie umie, podsuwając mi pod nos talię kart. Ty grałaś kiedy w karty, Enneleyn? Ja wtedy pierwszy raz miałam okazję spróbować i muszę stwierdzić, że rozrywka ta, choć zdecydowanie niemądra, potrafi dziwnie wciągnąć, pewnie dlatego, że w krótkim czasie pozwala wygrać parę denarków – albo i przegrać. Ja akurat przegrałam, bo mnie drągał przechytrzył przy licytacji, ale może to i dobrze. Gdybym wygrała, pewnie bym chciała wygrać jeszcze więcej i zamiast na czymś pożytecznym, skupiłabym wszystkie siły mego umysłu na zgłębianiu możliwych układów tych nic nieznaczących kart. Mogłam się przekonać, jak to działa, na przykładzie drągała, z którym, jak się okazało, dość dobrze można się dogadać po niemiecku, aczkolwiek używa on niemczyzny nie takiej jak nasza, tylko bardziej takiej, jaką mówią w Kolonii, czy jeszcze dalej w dół Renu. Z urodzenia jest on Brabantczykiem i nazywa się po ichniemu Tür Pauwels. Najpierw ze

swojej Brabancji wybrał się do Flandrii, gdzie w Brugii przyjął go do terminu malarz Caasenbroot (co za nazwisko!), który tam ponoć uchodzi za niedoścignionego mistrza. Po kilku latach, gdy się już od tego Käsebrotta wyuczył wszystkiego, czego sam nie umiał, wybrał się w podróż do Polski. Po drodze zamarudził przez krótki czas w pewnej brabanckiej dziurze, licząc, że podpatrzy jakieś sekrety od bardzo głośnego w tamtych stronach malarza, niejakiego Hieronima, którego imię Tür wymawia zawsze z nabożnym podziwem. Chyba jednak nie udało mu się wkraść w łaski swego bożyszczka, bo po paru tygodniach wyruszył w dalszą drogę do Krakowa. Zapytałam, co go właściwie do Polski sprowadza. Odrzekł, że zawsze go ciągnęło do dalekich krajów, a nadto spodziewał się, że tu, na rubieżach chrześcijańskiej cywilizacji, jego talent może być łatwiej dostrzeżony – w tym sensie, że nie zginie w tłumie. Nie wiem, czy mu się te rachuby sprawdzą, jako że choć jest tu już od maja, jeszcze żadnego nie zdobył zamówienia, ale, jak mi się zwierzył, pisarz miejski, pan Behem, obejrzał próbki jego miniatur i bardzo pochlebnie się o nich wypowiadał. To właśnie za jego sprawą wziął Tür udział w tej świątecznej eskapadzie na wieś i w ogóle wielkie z osobą pana Behema wiąże nadzieje. Tymczasem żyje ze sprzedaży kart do gry, które sam wyrabia, no i z tego, co mu się w te karty uda wygrać. Żał mi się gamonia zrobiło, więc zapytałam, czy zna już pana Libnaua albo drugiego, równie wziętego w Krakowie malarza, nazwiskiem Goraj, bo może któryś z nich by go przyjął do pomocy. Bardzo się ucieszył z tej podpowiedzi, co pokazuje, w jak wielkiej już jest desperacji. Kart od niego nie kupiłam, za to pokazałam mu te włoskie, których mi Filip użyczył – do gry w trionfi.

Z jakichś powodów, podczas gdyśmy się zabawiali grą w karty, wokół nas rozsiedli się zaciekawieni inni goście, a wśród nich bracia Lukrecji, jak też i ona sama. Zajęła miejsce tuż za plecami Türa, co pewnie trochę przyczyniło się do tego, że trudno mi było przy licytowaniu zebrać myśli. Być może chciała mi oczami dawać znać, co w jego kartach widzi, nie wiem, bo skrzętnie unikałam jej wzroku, dla zachowania sama już nie wiem czego – zasad czy pozorów. A kiedy po grze pokazywałam Türowi ową mediolańską talię, mówiąc, że mam ją od mojego pryncypała, pana Kallimacha, milczący dotąd i jakby nieco znudzony Filip wtrącił się raptem do rozmowy, mówiąc po polsku:

– Te są karty w i j ą t k o w e. Nie sprowadziłem ich dla g r i, ale dla ich p r z i d a t n o s z c z i w przepowiadaniu losów i i n n i c h procedurach m a g i c z n i c h.

Tu się zaraz wszyscy jeszcze bardziej zaciekawili, wypytując jedno przez drugie, jak to działa, i zaglądając Türowi przez ramię, by z bliska popatrzeć na owe karty do trionfi, podczas gdy je przeglądał, co go wyraźnie wprowadziło w zakłopotanie, zwłaszcza że ani słowa nie zrozumiał z tego, co był Filip powiedział. Filip zaś objaśnił dalej, iż moc owych kart i umieszczonych na nich figur oraz symboli pozostaje w ścisłym związku z całą ogromną dziedziną wiedzy hermetycznej, której poznanie wymaga wieloletnich studiów, a przynajmniej zgłębienia poświęconych jej ksiąg, zwłaszcza słynnej Picatrix, która, niestety, jest prawie niemożliwa do zdobycia.

Ach, ten Filip! Mistrzowskie zagranie! Zwróć uwagę, moja droga, że nie mógł z góry przewidzieć, iż wyjmę te karty, ale gdy to zrobiłam, umiał z rzadką doprawdy przytomnością umysłu wykorzystać nadarzającą się okazję. Słusznie zgadujesz, że bracia Garliccy nie mogli tej przynęty nie połknąć. Oczywiście, zaraz sami zaczęli się przechwalać, że ich świętej pamięci ojciec własnoręcznie sporządził był kopię Picatrix, i że oni tę kopię mają w domu. Kallimach, gdy już, ma się rozumieć, ochłonął z pierwszego zdumienia, zaczął grzecznie braci Lukrecji dopytywać, czy nie zechcieliby w swej dobroci udostępnić owego bezcennego rękopisu jego sekretarzowi – czyli mnie – do przepisania. Stało na tym, że póki dni jeszcze są długie, będę w tym celu codziennie, począwszy od środy, przychodziła do ich domu przy Rynku około dwudziestej godziny. Spojrzałam na Lukrecję i pojęłam, że bystra dziewczyna przejrzała moją i Filipa wspólną grę, gdyż uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo, nieznacznie mrużąc oko – i zaraz znów spiekła raka. Swoją drogą teraz już wiesz, jakie to pilne zajęcia nie pozwoliły mi do dzisiaj – dziś jest niedziela – wrócić do pisania listu do ciebie.

Tak więc dzięki bystrości Filipa udało nam się osiągnąć główny cel, dla jakiego przystąpiliśmy oboje do tego towarzyskiego wydarzenia, które zresztą skądinąd okazało się wcale przyjemne, choć może nie pod każdym względem. Ot, choćby gdyśmy się już zbierali do odjazdu, zdarzyło się coś, co dało nam wyraźnie odczuć, że moje i Filipa myśli, jak też i odruchy serca, biegną innymi nieco drogami niż całej reszty gości. Otóż na ową łąkę, na którejśmy się wszyscy wylegiwali, znużeni całodniową zabawą,

przybyła przed zachodem słońca gromada wieśniaków, niosąc w darze dla burmistrza Mornsteina, swego pana, wieniec wielki jak młyńskie koło, misternie spleciony z kłosów wszystkich rodzajów zbóż. Za chłopami ciągnęły baby i, trzymając się za ręce, na całe gardło wyśpiewywały swoje włościańskie pieśni. Burmistrz wstał, wieniec przyjął, ucałował jak należy i kazał służbie powiesić go nad drzwiami wejściowymi do domostwa, a włościan ugościć beczką miodu. Zaraz też ją przytoczono i umieszczono na koźle, aby każdy mógł podejść i nalać z niej sobie do kubka – a kubki wieśniacy zawczasu z sobą przynieśli. Dolewali sobie raz po raz, toteż w krótkim czasie schlali się tak bardzo, że z trudem tylko mogli ustać na nogach. Niewiele lepiej się trzymały ich kobiety, coraz bardziej fałszywie zanosząc wniebogłosy swe pienia. Gości burmistrza widok ten ogromnie bawił; przerywali rozmowy i palcem go sobie wzajemnie pokazywali, zwracając się ku połyskującej czerwonym złotem rzeczce, nad którą chłopci próbowali puścić się w tany, raz po raz się wywalając w przybrzeżne błoto, tak że całe świąteczne stroje sobie nim umazali. Wydawało się, że towarzystwo tylko po to im się przypatruje, żeby te upadki śledzić, za każdym razem niecierpliwie wyczekując następnego, możliwie jeszcze bardziej spektakularnego od dotychczasowych. Gdy taki się zdarzał, ryczeli ze śmiechu i głośno bili brawo.

Spojrzelśmy z Kallimachem po sobie. Żadne z nas się nie śmiało.

– Chyba na nas już czas – rzekł Filip z widocznym przygnębieniem. Nie potrzeba było słów. Każde z nas dobrze wiedziało, co drugie myśli.

Pożegnaliśmy się grzecznie z gospodarzami i skłoniliśmy się wszystkim gościom, po czym przeszliśmy na dziedziniec, gdzie czekała nasza kareta.

W drodze milczeliśmy, aż dojechaliśmy do mostku, przed którym musieliśmy się zatrzymać, bo stała na nim wiejska kobieta z chłopcem, może czteroletnim, którego trzymała w pasie, unosząc z lekka nad wodą, i raz po raz nim potrząsała, obracając przy tym na wszystkie strony. Dzieciak, co mnie zdziwiło, wcale się jej nie wrywał, choć mogła go w każdej chwili z rąk wypuścić; przelewał się jej przez ręce, a na jego twarzyczce nie strach się rysował, tylko okrutne cierpienie. Wieśniaczka, wciąż nim potrząsając, zaczęła mu głośno wrzeszczeć do ucha jakieś zupełnie niezrozumiałe dla mnie słowa. Wskoczyłam z powozu i podbiegłam do niej, pewna, że baba niespełna rozumu chce dziecku krzywdę wyrządzić, ale gdym się zbliżyła, zobaczyłam, że twarz chłopca

jest gęsto okryta tymi okropnymi wypryskami, nie do pomylenia z żadnymi innymi.

– Czemuż ty go nad wodą trzymasz, kobieto? – zapytałam gniewnie. – Chcesz go upuścić? On jest chory!

– Chory, chory synek mój, proszę pana jegomości – podchwyciła skwapliwie kobieta. – Ja z niego to wypędzę, wytrząsnę! Uratuję Stasinka mojego!

Gdybym wiedziała, jak krościcę leczyć, tobym jej powiedziała, ale że tyle wiem, co i ona, mogłam jej najwyżej doradzić, żeby przynajmniej co jakiś czas malca na ziemi stawiała i dała rąkom odpocząć, bo jak nie, to prędzej czy później spadnie jej do wody. Zapytała, czy jestem lekarzem, na co odparłam twierdząco, chociaż jeszcze mi do lekarza daleko, bo co za różnica w tym wypadku? Na moją prośbę zeszła z mostku i pozwoliła nam przejechać.

Oj, czarno to wszystko widzę, moja Enneleyn, coraz śmielej sobie u nas ta straszna choroba poczyna, dlatego jeszcze raz cię zaklinam, byś sobie wzięła do serca zalecenia, które ci na początku tego listu wyłożyłam.

Pisz do mnie i ty, gdy tylko ci się uda, bom wielce spragniona wieści od ciebie, ale nade wszystko bądź mi zdrowa, przyjaciółko jedyna, nie daj się przeciwnościom, i niech cię się żadne lichy nie ima. Pokłoń się ode mnie ojcu, jeśli mnie jeszcze pamięta, a i twojemu Dietmarowi, i nie zapomnij w moim imieniu dzieci wyczuwać.

Dałam we wtorek,

23 sierpnia

1496.

LIST IX

Ach, Enneleyn, jedno zdanie mnie boleśnie dotknęło w twoim ostatnim liście – ostatnim, który dotąd otrzymałam, tym z jedenastego sierpnia. „Ciebie, Gredechin – piszesz – która na każdym kroku doświadczasz tak niecodziennych przygód i najwyższych wtajemniczeń człowiekowi dostępnych, muszą serdecznie nudzić moje rozwlekłe sprawozdania z własnego życia, w którym nic godnego uwagi się nie dzieje”. O, nie, moja droga, na takie postawienie sprawy nie ma zgody! Czyż nie dość jasno daję ci odczuć, że właśnie owa twoja zwyczajna codzienność, jej powszednie troski i radości są tym, czego jestem najbardziej złakniona? Zrozum, właśnie dlatego, że mnie takie życie jak twoje dane nie jest i raczej nigdy nie będzie, ja twoje sprawy przyjęłam za swoje, a tym samym, wierz mi, obchodzą mnie one nie mniej niż ciebie moje – jak gdybyśmy obie były jedną duszą. Zresztą nie tylko to, co mi piszesz o sobie i swoim życiu, ale i wieści z miasta, które przecież wciąż uważam za swoje – chociaż trochę mi się już myli kolejność przecznic pomiędzy Semmelgasse a Judengasse – a zwłaszcza twoje jakże cenne doniesienia o najnowszych posunięciach Celtisa ogromnie mnie poruszają. Chyba o tym nie wątpisz?

Wybacz, nie mogłam nie podnieść sprzeciwu, gdy mi piszesz takie głupstwa jak to, co przed chwilą, ale z drugiej strony naprawdę wielką radość sprawiłaś mi wyznaniem, iż listy moje czytasz z wypiekami na policzkach, na przemian wybuchając śmiechem i wzdychając z przejęcia, i że przenoszą cię one w daleki świat, pozwalając ci zawrzeć znajomość z ludźmi na pozór tak od nas odmiennymi, a w gruncie rzeczy takimi samymi jak my. Kiedy to przeczytałam, dotarło do mnie nagle, że tym właśnie, i niczym innym, pragnę ci w mych listach służyć, moja najdroższa przyjaciółko.

Co ja mówię: niczym innym! Nade wszystko poczuwam się do tego, żeby cię w porę przestrzegać o wszelkich nadciągających z tutejszych

stron niebezpieczeństwach, które tylko uda mi się zwietrzyć. W tej chwili w Krakowie nie potrzeba do tego nadzwyczajnego nosa – musiałabym chyba w ogóle go nie mieć, żeby nie czuć ciężkiego smrodu, który w całym mieście zalega. Po części bierze się on z beczynności służb miejskich, zajętych zapewne sprawami wyższego rzędu, co skutkuje przepelnieniem dołów kloacznych i wylewami z zapchanych rynsztoków. Cuchną też sami ludzie, jako że od trzech tygodni nieczynne są łaźnie, a nie każdy umie, a wielu zwyczajnie nie ma możliwości zadbać o czystość w inny sposób – któż ma to wiedzieć lepiej ode mnie? To wszystko jednak dałoby się może jakoś znieść, gdyby nie jeszcze jedna, najbardziej zjadliwa nuta górująca nad całym chórem odstręczających wyziewów – odór trupi. Ludzie umierają teraz tak często, że nie starcza grabarzy, trumien i miejsca do pochówku, nieraz więc zwłoki czekają na wykopanie grobu po kilka dni, a tu, jak na złość, mijające lato było wyjątkowo upalne i wciąż takie trwa, chociaż już nadszedł wrzesień. W dodatku, przez ten pośpiech, groby kopią teraz płytkie, byle tylko na stopę z wierzchu ziemią przysypać, to i fetor się wydostaje, przyciągając rozmaite smrodolubne stworzenia, skłonne mogiłę rozgrzebywać. Jeszcze gorzej ma się sprawa z nieboszczykami ubogimi. Dla nich o jakie pół mili za północną bramą miasta, nad rzeczką Prądnik – tą samą, przy którejśmymy dzień Wniebowzięcia święcili, tyle że po jej drugiej stronie, ale doprawdy całkiem niedaleko – wykopano dół, wielki jak pod budowę zamku. Ciekawa jestem bardzo, jak to będzie, kiedy spadną jesienne deszcze i trupia zupa zacznie spływać do owego rajskiego ruczaju, z grubsza tylko precedzona przez nadbrzeżne piaski. Tymczasem przywożą tam po czterech, pięciu nieboszczyków naraz, na wozach krytych wyplamionym płótnem, zrzucają do dołu i od razu zawracają po następnych, nie troszcząc się nawet, by tych już zrzuconych choćby po wierzchu przysypać. A unoszące się stamtąd ohydne miazmaty przy najlżejszym powiewie wiatru od północy przenikają do Krakowa, z każdym dniem bardziej gryzące.

Ci, co te zwłoki wożą, mają na sobie płócienne kapy, a na głowach szpiczaste kaptury z wycięciem na oczy, przez co wyglądają trochę jak kaci, ale ich te kaptury mają chronić nie przed oczami gapiów, ale przed trupim jadem, który z otwartych mogił się unosi i wpadając do nozdrzy, prowokuje wymioty. Widziałam raz, jak jeden taki woźnica, siedząc na koźle, skrapiał sobie materię kaptura płynem z flakonika – zgaduję, że

musiała to być jakaś wonna esencja. Coraz więcej ludzi tutaj, idąc w ich ślady, chodzi w podobnych kapturach; nawet ja sobie taki sprawiłam i próbuję go nosić, chociaż po krótkim czasie od założenia jego materia nasiąka przykrym zapaszkiem zawartym – z czego dotychczas nie zdawałam sobie sprawy – w moim własnym oddechu. Żeby temu zaradzić, jeszcze staranniej czyszczę zęby, a nadto, tak jak zalecał twój ojciec (kłaniaj mu się ode mnie!), co wieczór przeciągam między nimi jedwabną nitkę, zaś co rano gardło płuczę miętową wódką. Wygląda na to, że wszystko to razem wzięte trochę pomaga – a może się tylko do własnego smrodku przyzwyczaiłam.

Pamiętasz, co ci pisałam, że tylko co czwarty chory na krościcę umiera, a reszta zdrowieje? Niestety nasi profesorowie doliczyli się ostatnio wyższego niż do tej pory stosunku zgonów do ozdowień. Dzieje się tak może dlatego, że niektórzy z pacjentów zapadają na nieznaną wcześniej, szczególnie zjadliwą postać tej choroby, którą można poznać po tym, że wypryski zlewają się ze sobą pod skórą, jak krople rosy na liściach. Takich przypadków co prawda nie jest dużo, nie więcej jak co dwudziesty chory, ale spośród tych niewielu umiera prawie każdy.

Do tego i tylko do tego udało się dojść doktorom wielce uczonym, co się przez wszystkie dzieła największych autorytetów medycznych przegryźli. Żaden nie daje jednak odpowiedzi na podstawowe pytania: jak się przed tą chorobą chronić, skąd się ona bierze, dlaczego jednych zabija, a innym daruje życie (lica im tylko trwale kiereszując). Tym bardziej nie mają też mądralę pojęcia, jak to leczyć, chociaż, oczywiście, niechętnie się do tego przyznają. Nie bardzo też jest kiedy ich o to zapytać, bo zajęć na Akademii od dwóch tygodni nie ma żadnych – wszystko zamknięte na głucho. Wczoraj sprawdzałam – do furty przybili obwieszczenie, że my, szkolarze, mamy się jutro stawić w szpitalu Świętego Ducha do pomocy przy pielęgnowaniu chorych. Ma to być uwzględnione przy zaliczeniu repetytorium z chorób plagalnych.

Wczoraj, przy okazji codziennej popołudniowej wizyty w domu Garlickich, spróbowałam dopytać Lukrecję, jak, jej zdaniem, leczyłby krościcę jej ojciec. Odrzekła z westchnieniem, że, jak jej się wydaje, on nigdy się osobiście z tą chorobą nie zetknął. Mógł więc w tej mierze polegać tylko na Razesie, Halim Abbasie i Awicennie. Ci zaś, przypomniała mi, żadnej szczególnej terapii nie zalecali. Razes, opisując przypadłość o podobnych do krościcy objawach, przyrównuje krew

dziecka do winnego moszczu, który musi się burzyć i pienić, wyrzucając bąble na powierzchnię, dopóki wino nie osiągnie pełnej mocy.

– Ale – zauważyłam – na krościcę przecież nie tylko dzieci chorują.

Lukrecja uśmiechnęła się pod nosem.

– Być może w czasach Razesa było inaczej – odrzekła z niewinną miną, po czym zaraz przeszła do referowania tego, co można na ten temat znaleźć u Halego Abbasa. Twierdzi on mianowicie, że wykwyty u dziecka biorą się z krwi miesięcznej, którą dziecko żywiło się w łonie matki. Krew taka ma w sobie bowiem, jego zdaniem, pewne jady, które przez całe lata mogą spoczywać uśpione w głębi ciała pacjenta, dopóki styczność z morowym powietrzem lub po prostu bliskość kogoś cierpiącego już na krościcę nie pobudzi ich do działania. Wówczas organizm chorego, broniąc się, stara się je wyrzucić na zewnątrz i stąd właśnie się biorą wypryski.

Trudno było nie być pod wrażeniem biegłości Lukrecji w pracach ojców medycyny, jednak co do natury krościcy, to ani przytoczone przez nią Razesa tezy, ani też Halego Abbasa nie trafiały mi jakoś do przekonania, więc nie widziałam powodu, żeby się z nią mymi odczuciami nie podzielić.

– A co mówi Awicenna? – dopytałam jeszcze.

Lukrecja stuliła buzię w ciup i rozłożyła ręce.

– Uważa, że tamci obaj mają rację.

Obie wybuchnęłyśmy śmiechem, a gdyśmy się już wyśmiały do syta, sięgnęłam do dolnej półki pulpitu i wyjęłam z niej tablice astronomiczne dla Krakowa, sporządzone prawie czterdzieści lat temu przez Lukrecji ojca.

– Może poprzez to dzieło coś nam profesor Gaszowiec podpowie – rzekłam, przewracając karty jedną po drugiej. Przypomniałam Lukrecji, cośmy słyszały na którymś z repetytoriów od doktora Karpigi, że przed dwoma laty we Włoszech plaga morbi gallici wzięła się z fatalnej koniunkcji Jowisza, Marsa i Saturna.

– Dlatego – powiedziałam – nie zaszkodzi zbadać, co dziś mówią gwiazdy.

– A to ty umiesz w gwiazdach czytać? – Lukrecja otworzyła szeroko swe piękne oczy. – Ja przez kurs astronomii przebrnęłam z wielkim trudem. I zaraz potem mi to wszystko z głowy wywietrzało.

– Naprawdę? – Zaśmiałam się szatańsko. – Myślałem, że tylko ze mną tak było!

Zgodziłyśmy się obie co do tego, że wykładowcy astronomii w quadrivium, widząc, że mało kto ze słuchaczy coś z tego, co mówią, rozumie, bardzo po łebkach dzielili się z nami swą wiedzą, byleśmy się tylko na pamięć kilku formułek wyuczyli. Dopiero jak się im trafiał jakiś student zapalony, jak ów Mikołaj z Torunia, wtedy mu więcej poświęcali uwagi.

Lukrecja poddała myśl, by po prostu doktora Karpigę o te koniunkcje wypytać, na co ja się skrzywiłam, gdyż, jak ci wiadomo, coś mnie od niego odrzuca – do tego stopnia, że nie przechodzi mi przez gardło nazwisko Miechowita, którym on się przedstawia. Więcej się dowiemy od Marcina Biema – mówiłam – który jest w gwiazdach równie mocny jak tamten, jeśli nie mocniejszy, a przy tym my oboje dobrze się z nim znamy jeszcze z czasów wspólnego studiowania w trivium. Lukrecja, nie wiem, czy przekonana moimi argumentami, czy też może dzieląc moje wobec Karpigi uprzedzenia, chętnie się ze mną zgodziła, stanęło więc na tym, że przy pierwszej okazji zwrócimy się o konsultację astrologiczną do Biema.

Jak może zauważyłaś, zachowanie Lukrecji bardzo się zmieniło, odkąd bywam u nich w domu, a może nawet już od czasu owej wycieczki na wieś w święto Wniebowzięcia; do tego stopnia, że teraz często widzę w niej zupełnie inną dziewczynę niż ta, którą znałam wcześniej – nie dość, że o wiele śmielszą i bardziej rozmowną, to jeszcze wcale nie taką pokorną trusię, jaką mi się zrazu wydawała. Nieraz, kiedy ja ślęcę nad Picatrix, ona przychodzi, bezceremonialnie przysuwa sobie siedzisko i siada koło mnie – co bywa przydatne, gdyż niekiedy litery stawiane przez jej ojca są dla mnie trudno czytelne, ona zaś, chociaż w chwili jego śmierci liczyła zaledwie cztery lata, nie ma żadnych trudności z jego pisma odcyfrowaniem.

Właśnie zakończyłam przepisywanie pierwszej z czterech ksiąg tego niezwykłego dzieła i już mogę śmiało powiedzieć, że rzecz była warta zachodu, gdyż w istocie zdaje się zawierać klucze do tych tajemnych dziedzin, które, gdy się do nich przeniknie i nauczy w nich biegle poruszać, ukazują w całkiem nowym świetle prawdę o naturze wszechrzeczy, jak również pozwalają osiągnąć takie moce, jakich istnienia nawet nie przeczuwamy. Już pierwszego dnia mojej pracy nad tekstem wdałyśmy się w rozważania nad ustępem, w którym autor pochyla się

nad zagadnieniem istoty Boga. Powiada tam, że Bóg „ani nie jest przez inne byty ogarniany, ani też nie jest od nich oddzielony: nie posiada otóż określonego miejsca, ani też nie jest poza miejscem, sam miejscem będąc”. To mi się wydało trochę niezrozumiałe, więc oderwałam pióro od papieru i podniosłam zdziwiony wzrok na siedzącą przy mnie Lukrecję.

– Tak. – Pokiwała głową. – Rzeczywiście, trochę to przywodzi na myśl Damascjusza.

Choć nieco mi się głupio zrobiło, przyznałam szczerze, że nie mam pojęcia, kto to taki, ten Damascjusz, na co ona, najwyraźniej moją niewiedzą speszona, pośpiesznie objaśniła ze słodyczą, że jest to autor grecki, raczej mało znany, na którego dziełko w tłumaczeniu łacińskim, *Dubitationes et solutiones*, natrafiła kiedyś przypadkiem w papierach swojego ojca. To rzekłszy, wstała i podbiegła do uginających się pod książkami półek przymocowanych do ściany. Na najwyższej z nich, wspiąwszy się na palce, odnalazła oprawny w płótno rękopis, z którym zaraz wróciła do pulpitu.

– Moją uwagę przyciągnęło najpierw to zdanie – rzekła, szybko przewracając karty. – O, tutaj, patrz.

Przeczytałam na głos:

– „Jest bardziej niepojęty niż wszelka cisza”.

– On to mówi o Absolucie – zaznaczyła Lukrecja. – Co ty na to?

– Wydaje się bardzo... – Zawahałam się. – ...Tajemnicze. Zmusza do zastanowienia. Ale szczerze powiedziawszy, nie wiem, jakie tu dostrzegasz podobieństwo. – Wskazałam na otwartą kopię *Picatrix*.

– Tu go nie ma – przyznała. – Ale zobacz dalej.

– „Nie należy nazywać go Zasadą ani Przyczyną, ani Pierwszym, ani Wcześniejszym Od Wszystkiego – przeczytałam na głos – ani Ponad-Wszystkim, ani tym bardziej Wszystkim. Krótko mówiąc, nie należy nadawać mu żadnego imienia: nie można go pojąć ani pomyśleć”. – Podniosłam wzrok na Lukrecję. – To już jest rzeczywiście dość bliskie – przyznałam.

– Prawda? – ucieszyła się. – On uważa, ten Damascjusz, że o Absolucie nie można powiedzieć niczego, nawet tego, że jest on niewysłowiony, czy tam niepoznawalny. Bo mówiąc tak, mówimy przecież nie o jego naturze, a tylko o naszej niewiedzy o nim, która właśnie jest absolutna. Kawalek dalej stwierdza jednak, jakby mimo wszystko coś na ten temat wiedział, że Absolut jest nicością, która jest ponad bytem; z czego następnie

wywodzi, że także i tego, w jaki sposób z owego niewysłowionego Absolutu te byty się biorą, nie da się wysławić.

Parsknęłam śmiechem, a Lukrecja zachichotała. Widzisz, taka jest ta Lukrecja. Na pewno byście się polubiły.

W ciągu jednego popołudnia udaje mi się przepisać jakieś dziesięć stron, czyli niby powinnam się z robotą uporać do połowy listopada, ale że dni będą coraz krótsze, może się to przeciągnąć nawet do końca stycznia. Na szczęście Garliccy w żaden sposób nie dają mi odczuć, że moja obecność w ich domu im w czymkolwiek zawadza. Mało tego: chętnie pozwalają Lukrecji przesiadywać ze mną sam na sam, co mi nasuwa myśl, że może chcą ją za mnie wyswatać. A co, wydaje ci się to niemożliwe? Że niby gdzie mnie, podrzędnemu teutońskiemu plebejuszowi, do nich, szacownej polskiej szlachty, posiadającej na własność kamienicę przy stołecznym Rynku i do tego jeszcze sporą wieś w okolicy? Otóż nie, nie, moja droga; pamiętaj, że przed wydaniem sądu każdą rzecz warto zbadać od podszewki. Tak, szlachta, szlachta, ma się rozumieć – ale matka rodu, wdowa po Gaszowcu, która tam teraz o wszystkim rozstrzyga, jest z domu mieszczańką, wiadomo: Niemką, z Homanów; a żeniąc się z nią, wziął doktor Gaszowiec bardzo wysoki posag – trzy tysiące grzywien, nie licząc domu. To nie żadne plotki – wiem to od Lukrecji. On sam przed ożenkiem był już co prawda lekarzem królewskim, ale od niedawna, więc jeszcze nie zdążył być zgromadzić większego majątku, tym bardziej że w tamtym akurat czasie król Kazimierz musiał bardzo powściągać swoją hojność, gdyż wszystkie pieniądze pochłaniała wojna, ta właśnie, która z mojego tatki zrobiła kalekę. Co do szlachtetnej krwi Gaszowców, to istotnie nie widzę powodu, by ją podawać w wątpliwość, jednakże ten ród rycerski nie z Polski się wywodzi, ale ze Śląska, który przecież należy do królestwa Czech, pomimo że więcej tam Niemców i Polaków niż Czechów. Polacy i Czesi, nawiasem mówiąc, to dwa różne narody, mówiące różnymi językami, co prawda na tyle zbliżonymi, że mogą się ze sobą jako tako dogadać (i dlatego nas z kolei jedni i drudzy przezywają po swojemu „niemcami” – bo nasza mowa brzmi dla nich jak bełkot niemoty). Wracając do mnie, to wprawdzie nie jestem jeszcze lekarzem królewskim, ale któż to może wiedzieć, czy nim kiedyś nie zostanę. A nawet jeśli nie zostanę, to moja posada u Kallimacha może w oczach Garlickich wyglądać jeszcze bardziej

obietująco – bądź co bądź, poprzedni Filipa zausznik, pan Maciej Drzewicki, jest dzisiaj sekretarzem kancelarii koronnej!

Czy więc z tych powodów, czy może z jakichś innych (na przykład dla moich osobistych zalet) przyjmują mnie w domu Garlickich wcale chętnie i mile traktują, zapraszając do stołu zawsze, gdy się zanadto zasiedzę, i przy tym stole mnie zagadując o rozmaite światowe materie, jakby się spodziewali, że wszystkie rozумы zjadła. Owszem, często pytają też, jakie zdanie w tej czy innej sprawie ma mój pryncypał, ale zaraz potem – albo i przedtem – pada pytanie: „A pan, panie Georgu, co pan o tym myśli?”. Dlatego przypuszczam, że im tu idzie głównie o dobro Lukrecji, która jest dla nich wszystkich oczkiem w głowie, wyróżniana wśród sióstr, jako ta najładniejsza i do nauk najbardziej sposobna, przez co pewnie nie chcieliby jej ani w klasztorze zamknąć, ani też takiemu oddać mężowi, przy którym cała jej wiedza pójdzie na marne. Pisałam ci już przecie, że jedna z jej starszych sióstr została mniszką, a druga za męża wyszła, może i szczęśliwie, ale wyjechała z mężem drukarzem do jego rodzinnego Landshut, i wieści o niej dochodzą tylko z rzadka, przy tym bardzo zdawkowe. Ma Lukrecja jeszcze i młodsze siostry: Katarzynę, która jest w moim wieku – ta rzadko się odzywa, zajęta sprawami domowymi – i Basię, o dwa lata młodszą, która w chwili śmierci ojca przebywała jeszcze w łonie matki i może z tego powodu jest nieco koślawa i chyba też cokolwiek słaba na umyśle. Z dwóch najstarszych braci Garlickich Jan jest wziętym jurystą, a bliźniak jego, Piotr, skończył medycynę i po kilku latach praktyki wyjechał na dalsze studia do Montpellier, gdzie chyba już osiadł na dobre. Młodszy od nich Mikołaj jest księdzem, a jeszcze młodszego Stanisława w ogóle nie miałam okazji poznać, bo siedzi stale w rodzinnej posiadłości, zajmując się gospodarstwem, choć przecie także ukończył studia medyczne. Najmłodszego z braci i najprzystojniejszego z nich, Jerzego, widuję rzadko, bo stale gdzieś wyjeżdża, żeby śledzić nowinki w swojej dziedzinie. Jaka to dziedzina, nie mogę ci powiedzieć, bobym przez to złamała przysięgę, którą w tej sprawie złożyłam. Właściwie to złożył ją Starkfaust, czy raczej ja w jego imieniu, ale uważam, że obowiązuje ona także i mnie, choćby i z tego powodu, że bez względu na to, kto by się takiej niedyskrecji dopuścił, jej skutkiem mogłoby być prawdziwe nieszczęście. Nie sądzę zresztą, żeby cię to w ogóle miało ciekawić.

Ale może cię zainteresuje to, że Filip zdaje się z wolna otrząsać z przygnębienia po owych zgryzotach, których sam sobie napisał w Toruniu. Już się tak nie garbi jak ostatnio i nie powłóczy nogami, chętnie wdaje się też w rozmowy, czy to ze służbą, czy ze mną, czy z napotkanymi na ulicy znajomymi. Na Wawel wciąż uparcie zachodzi, co prawda już nie codziennie, a dwa do trzech razy w tygodniu, ale wygląda mi na to, że już się pogodził z tym, iż go do króla nie dopuszczają, a nawet dopatrzył się w tym stanie rzeczy pewnych dobrych stron.

– Nareszcie mogę spokojnie przejrzeć wszystkie moje stare wiersze – oznajmił pogodnie któregoś razu, wezwawszy mnie do swojej izby bibliotecznej. – Najsłabsze spalę – zapowiedział, sięgając na półkę po jeden z wielu oprawionych w płótno manuskryptów – a te lepsze tu i ówdzie podszlifuję i w końcu wydam drukiem. Wiesz, że Celtis ma już siedem książek w obiegu?

– Wiem – odparłam. – Przecież wszystkie tutaj stoją.

– No tak! – zaśmiał się Filip. – Bo on mi każdą przysyła, nie umie sobie odmówić tej satysfakcji, a ja, no cóż, przecież nie wyrzucę. Siedem książek... Pomyśl, jest o dwadzieścia dwa lata ode mnie młodszy! Mógłby być moim synem! A ja dotąd tylko jednego Attylę w świat puściłem w druku.

– Jednak Celtis sam uznaje twoją wyższość – przypomniałam.

Kallimach obdarzył mnie spojrzeniem pełnym ironii.

– On robi wszystko, żebym w to uwierzył – przemówił łagodnie. – Ale widzisz, mój drogi, w moim wieku człowiek już nie tak łatwo daje się brać na lep pochlebstw, o ile, rzecz jasna, nie jest skończonym durniem.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu kartkował manuskrypt.

– Trudno, doprawdy, powiedzieć – podjął z wahaniem – czy ktoś postronny miałby jakiś powód, by się w te moje poezje wczytywać.

Chciałam mu się sprzeciwić, ale nie dał mi dojść do słowa.

– Jeśli masz mnie zamiar przekonywać, że jestem zbyt skromny, to od razu ci mówię: ja wcale skromny nie jestem, wręcz przeciwnie. Znam wartość swoich wierszy. Są naprawdę niezłe, zwłaszcza te późniejsze elegie. Ale widzisz, Georgiuszu, „niezłe” mnie nie zadowala. Rozumiesz?

Przytaknęłam z przekonaniem, gdyż w istocie dobrze znam tego rodzaju uczucia, jako że i we mnie często podobne wzbierają. O poezji akurat nie marzę, ale pragnę posiąść wiedzę – nie taką, jaką nam na Akademii podają: bezładny zbiór wiadomości, z których, razem wzięwszy,

nic nie wynika – ale taką, która pozwoli przeniknąć tajemnicę stworzenia i związki zachodzące między światem dotykającym a duchowym. Jakże często opadają mnie wątpliwości, czy jestem do zdobycia takiej wiedzy powołana. Och, wszystko bym oddała, byle tylko móc się przebić przez ograniczenia mego własnego umysłu!

– Tyle że już dawno się spostrzegłem – podjął Filip, szykując przybory do pisania – że na takiej daremnej pogoni za natchnieniem można bezowocnie strawić całe życie. Dlatego uznałem kiedyś, że może lepsze oddam światu usługi, jeśli postaram się coś dobrego zrobić dla tego królestwa, w którym swój drugi dom znalazłem. No i sam widziałeś, że starałem się, jak mogłem, ale cóż...

Jeśli ci się wydaje, że głównie przemawia tu przez Kallimacha jego urażona miłość własna, to się bardzo mylisz. Znam go, wierz mi, i mogę cię zapewnić, że przede wszystkim targa nim niepokój o bieg spraw państwowych. Wyjawiał mi w zaufaniu, że wie z bardzo wiarygodnych źródeł (których mi zdradzić nie chciał), że chodzą słuchy, jakoby król Polski nosił się z zamiarem zrzucenia hospodara Stefana z mołdawskiego tronu i osadzenia na nim swojego brata Zygmunta. Ile w tym prawdy, trudno orzec – możliwe, że te pogłoski celowo rozpuszczają Węgrzy, a zwłaszcza stronnicy jednego z tamtejszych wielmożów, który od dawna mając z Olbrachtem na pieńku, bruździ mu na każdym kroku. Gdyby jednak coś tu miało być na rzeczy, toby było bardzo źle. Pisałam ci już, jak wielką wagę przywiązuje Kallimach do utrzymania kruchego przymierza z Mołdawią – właśnie dlatego tak usilnie zabiega wciąż o posłuchanie u króla, żeby go ustrzec od popełnienia ciężkiego głupstwa.

Z drugiej wszakże strony Filip przyznaje, że trzeba znaleźć Zygmunтови jakieś godne królewicza zajęcie, bo on jeden z wszystkich synów króla Kazimierza pozostał bez przydziału – Władysław ma koronę czeską i węgierską, Olbracht polską, Aleksander litewską, a najmłodszy z braci, Fryderyk, jest prymasem Polski i kardynałem.

– Próbowałem w swoim czasie coś dla Zygmunta zrobić, tym bardziej że zawsze był moim ulubieńcem – tłumaczył mi Filip dzisiaj. – Szykowała się dla niego posada namiestnika całych Prus, o ile by się powiódł plan przeniesienia Krzyżaków na Podole. No, ale z tego nic nie wyszło, nie dali się zaszachować. Ja się z tym z góry liczyłem, dlatego zawczasu, za króla zgodą, napisałem do weneckiego doży, rekomendując mu usługi księcia Zygmunta jako kondotiera, gotowego bronić Wenecji przed

sprzymierzonymi wojskami króla Francji, króla Maksymiliana i księcia Mediolanu. Posłałem z tym listem naszego pana Jana. Długo tam czekał na odpowiedź, prawie trzy miesiące, ale w końcu dał mu doża Barbarigo list do mnie, w którym dopytywał się o szczegóły. No cóż, ja, czytając to, byłem pewny, że spadamy doży jak z nieba, zważywszy na to, że Francuzi zdążyli przez ten czas zawojować więcej niż połowę Włoch. Więc żeby kuć żelazo póki gorące, upoważniłem pana Jana do samodzielnego prowadzenia z Wenecją rozmów w imieniu króla polskiego, z grubsza go tylko instruując, co ma mówić. Niestety... – Filip pokręcił głową z uśmiechem pełnym zawstydzenia.

– Pan Jan nie stanął na wysokości zadania? – próbowałam zgadnąć.

– Och, pan Jan tu w niczym nie zawinił – westchnął na to Filip. – To już prędzej ja... Nie przewidziałem, że nagle król Maksymilian i książę Mediolanu odwrócą się od Francuzów i zwiążą sojuszem z dożą. Rozumiesz? Wenecja, moja Wenecja, zamiast z nami przeciw królowi Niemiec, sprzymierzyła się z nim właśnie, czyli jakby przeciwko nam! Tyle rzeczy przewidziałem, a tego nie. I nie da się zaprzeczyć, że dałem przez to moim wrogom do ręki bardzo poręczny argument. Pewnie dlatego teraz na próżno dobijam się do króla. Wyznam ci, mój miły chłopcze, że coraz częściej zadaję sobie pytanie: po co ja się w ogóle w politykę wdawałem? Na co mi to było? Czemuż nie zadowolilem się tym, żeby wnieść coś dobrego w wychowanie królewiczów? Celtis wychowuje synów elektora Palatynatu i bardzo to sobie chwali.

– A właśnie mi pisze moja przyjaciółka z Heidelbergu – wtrąciłam – że on tę posadę rzucił.

– Ta twoja przyjaciółka ci pisze? – ożywił się na wzmiankę o tobie. – Enneleyn, dobrze pamiętam? To ona zna Celtisa, powiadasz?

– Wszyscy go tam znają – zapewniłam pośpiesznie. – To nieduże miasto, wieści szybko się rozchodzą.

– A czy wiadomo, jak do tego doszło? – dopytywał. – Nie daj Boże, dał się przyłapać na czymś niestosownym?

– O niczym takim nie ma w liście mowy – uspokoiliłam go. – Tylko o tym, że lada dzień przenosi się do Wiednia, gdzie mu podobno król Maksymilian obiecał jakieś zaszczytne stanowisko.

– Ach, tak? Pogratulować. – Kallimach pokiwał głową w zadumie. – Cóż, król Niemiec widać wie – dodał z uśmiechem – że to poeci,

opiewając w natchnionych stancach władców czyny, wynoszą ich do wielkości.



Wracam do pisania dopiero na trzeci dzień, bo wczoraj byłam zanadto skonana po całym dniu posługi szpitalnej, którą razem z innymi szkolarzami pełniłam u Świętego Ducha. Byłam tam i dzisiaj, ale chyba już się z wszystkimi urokami tego miejsca nieco oswoiłam, skoro czuję się na siłach, by teraz się z tobą nimi podzielić. Och, bo dają nam tam szkołę duchacy, niech ich piorun! Do samych najgorszych robót nas pchnęli, chyba przez czystą złośliwość, bo ani my z tego nie mamy żadnego pożytku, ani chorzy. Daj tylko prostakowi choć na chwilę władzę nad wyżej od siebie postawionym, to możesz być pewna, że jej nadużyje. Oni, ci braciszkwowie, którzy całe życie z poświęceniem służą ubogim chorym – i chwała im za to! – zdają się czerpać przyjemność z tego, że mogą nami pomiatać, jakbyśmy byli jakimiś niezbyt rozgarniętymi parobkami, a nie magistrami sztuk wyzwolonych ubiegającymi się o doktorat medycyny. Wczoraj przez całą wachtę podstawiałam chorym naczynia pod zadek i wynosiłam, co tam z nich wyszło, czy to dołem, czy górą. Dzisiaj dla odmiany wynosiłam do stajni zabrudzone na amen sienniki, by tam starą sieczkę słomianą z nich wytrząsać dla braci zarządzających wirydarzem, którzy mieli ją potem zastosować do użyźniania swoich grządek. Opróżnione ze słomy poszwy, całe zeskorupiałe od wielu warstw zaschniętych na nich wszelkiego rodzaju ludzkich wydzielin, odbierała ode mnie Lukrecja, bo jej z kolei takie zadanie przydzieliły siostry duchaczki – miała te wszystkie worki wyprać do czysta w ługu i rozwiesić do suszenia. Mogę powiedzieć, że obie i tak względnie dobrze trafiłyśmy w porównaniu z Węgrem Zoltanem, co już w tym roku ma uzyskać tytuł doktorski. Jemu kazano opanować furiata z głową pomieszaną, który ani myśląc spokojnie leżeć, raz po raz w podskokach przebiegał całą salę, wykrzykując tubalnym głosem najwstrętniejsze wyzwiska, nie wiadomo do kogo skierowane. Potrafił przy tym bez wzięcia zamachu w jednej chwili wyrzucić przed siebie z impetem kościste ręce, aby dosięgnąć tego, kto mu się akurat nie spodobał, przez co kilku chorym zdołał nie na żarty rozorać ciało swymi chyba nigdy nieprzycinanymi i niewyobrażalnie brudnymi pazurami. Przyglądałam się znad mych zajęć, jak też tam sobie

Zoltan z tym pomyłonym radzi, nawet mu pomogłam w ten sposób, że na polecenie brata hospitalariusza przyniosłam ze stajni kawał konopnego powroza, którym Węgier musiał nieszczęśnika ciasno przywiązać do jego legowiska, co też niewiele dało, bo tamten i przywiązany rzucał się tak, że cały barłóg aż trzeszczał, jakby się miał w każdej chwili rozpaść, i przesuwał się z łoskotem po nierównościach podłogi z tarcic ułożonej. Jeśli więc stwierdzam, że za żadne skarby nie chciałabym się z Zoltanem zamienić, to biorę za te słowa pełną odpowiedzialność. Tak, stanowczo wolę nosić chorych smrody, niż się z opętańcem szamotać, tym bardziej że on przecież też za pięknie nie pachnie. Zapewne nie zrobiłaby mu złe kąpiel w szpitalnej łaźni, ale niestety, jak już wspominałam, radni krakowscy nakazali wszystkie łaźnie publiczne zamknąć na siedem spustów aż do odwołania, więc pozostaje tylko przemywać chorych wilgotną szmatką i okadzać dymem z piołunu i jałowca. Od tego dymu aż jest sino w całym szpitalu, lecz mimo to miłe wonie nie wypierają fetoru, tylko mu co najwyżej stwarzają szlachetną oprawę – a więc, owszem, śmierdzi tam, ale nie zwyczajnie, tylko tak, jak gdy coś gnije w żywicznym lesie albo na łące pełnej ziół.

Mogłabym zresztą i przez miesiąc przelewać panwie z nieczystościami do wiadra, a potem z tym wiadrem, ciężkim jak sto diabłów, zataczać się aż do rowu, którym brudy spływają do fosy, byle nie musieć nawet przez chwilę patrzeć na umierające dzieci. Pal już diabli dorosłych, chociaż ich też szkoda, ale wiadomo, wszyscy kiedyś umrzemy, jednak kiedy widzisz taką małą, niewinną istotkę odchodzącą wśród okrutnych cierpień, na które sobie niczym nie zasłużyła, nie możesz się od łez powstrzymać. Jeszcze wczoraj leżała tu taka Halżunia, dziewczynka lat może pięciu, śliczna, ciemnowłosa, z oczkami też ciemnymi, o pięknym wykroju – w ogóle buzia jak u aniołka, jeszcze nie bardzo wynędzniała (bo ją cała rodzina ledwie parę dni temu osierociła), ale gęsto obsypana piekącymi bąbelkami. Za każdym razem jak przechodziłam koło niej, zatrzymywałam się, starając się coś jej miłego powiedzieć, żeby choć trochę podnieść ją na duchu. Ona, rozpalona jakby z pieca tylko co wyjęta, kierowała na mnie półprzytomne spojrzenie, w którym próżno by szukać dziecięcych wesołych iskier, bo były w nim tylko żal i niepojęta i bezwolne poddanie temu, co i tak nieuchronne, więc ja dalej przemawiam do niej czule:

– Halżuniu, bądź dzielna. Wyzdrowiejesz i zabiorę cię ze sobą. Będiesz moją małą siostrzyczką, a ja twoim dużym braciszkiem!

– Po co kłamiesz? Ja wiem, kto ty jesteś – odrzekła słabiutkim głosem. – Tyś Śmierć, prawda?

– Nie! – obruszyła się. – Jestem Georg, zwykły chłopak, patrz! I ściągnęłam z głowy kaptur, żeby jej pokazać swoją ludzką twarz. Ale nim Halżunia mogła coś na to powiedzieć, okrzyknęli mnie duchacy, że mam zaraz wody nanieść ze szpitalnej studni, więc poszłam posłusznie, w biegu znów kaptur na twarz spuszczając, a kiedy następnym razem koło Halżuni się znalazłam, jej właśnie płótnem zakrywali martwą już buzię.

Och, Enneleyn, tak bardzo chciałabym ci coś doradzić, jak byś mogła siebie i swoje dzieci od tej podstępnej choroby ustrzec, ale doprawdy nie mam pojęcia. Na pewno nie zaszkodzi na pierwsze w okolicy oznaki zarazy zamknąć się w domu, ale czy to wystarczy, nie dam głowy. Tu, powiadam ci, śmierć tnie na ośle, gdzie tylko popadnie. W szpitalu widziałam na własne oczy, jak chorzy jeden po drugim umierają, zwalnając przez to prycze dla następnych, którzy też po dwóch, trzech dniach oddają ducha, tak że grabarze ledwie nadążają z wywożeniem zwłok, o czym ci już wcześniej pisałam. Trupy, po odprawieniu stosownych modłów – bo w każdej z izb szpitalnych jest ołtarz i przy każdym z nich braciszki regularnie celebrować nabożeństwa dla chorych – zanoszą do dwóch izb, tylko do tego przeznaczonych. Dzisiaj właśnie, pomiędzy jednym siennikiem a drugim, dostąpiłam dwukrotnie i tego zaszczytu, że, do spółki z innym jeszcze szkolarzem, zmarłych przenosiłam na marach. A kiedyśmy ich na te mary wrzucali, uderzyło mnie, jak bardzo ciężki jest taki ludzki zewłok – na oko o wiele cięższy niż za życia. Czyżby dusza, co ciało opuszcza, miała wagę ujemną?

Gdy po powrocie do domu podzieliła się tym spostrzeżeniem z Kallimachem, zaśmiał się najpierw sucho, po czym zauważył rzeczowo, że można by to łatwo sprawdzić, ważąc człowieka tuż przed śmiercią i tuż po. Zapaliłam się do tego pomysłu i nawet zaczęłam zastanawiać się na głos, jak by tu sprowadzić do szpitala wagę do ważenia żywca, która wydała mi się do tego celu najbardziej odpowiednia. Wtedy Filip nieoczekiwanie wszedł mi w słowo, zapytując, czy to prawda, że w chwili śmierci umierający zwykle nieco popuszczają, tak przodem, jak i tyłem.

Potwierdziłam, że tak się zwykle zdarza, na co on rzekł, patrząc mi głęboko w oczy:

– To chyba musisz i to, co z nich wyjdzie, uwzględnić w swych pomiarach, doktorze Starkfaust.

I parsknął śmiechem, hultaj jeden.

Nieraz mnie drażni Kallimach, kiedy tak pokpiwa ze wszystkiego, co mnie najbardziej zajmuje, w niewzruszonym przekonaniu o wyższości własnego rozumu, która, jak widocznie sądzi, daje mu prawo do tego, by bajkami nazywać wszelkie koncepcje odmienne, choćby na włos odchodzące od klasycznych sposobów wnioskowania – jakbyśmy się na każdym kroku nie natykali na rzeczy, które w tych ciasnych regułach za nic się nie chcą zmieścić. Tym bardziej nie pojmuję jego uporu w tej materii, że znam i doceniam jego mądrość w sprawach ludzkich i rzadką doprawdy przenikliwość jego umysłu – cóż z tego, kiedy w odniesieniu do kwestii duchowych trzyma się Filip swych dogmatów tak niezłomnie, że nie zdziwiłabym się, gdyby był gotów za nie oddać życie, i to nie tylko to doczesne.

Tyle dobrego, że słucha moich rad i nie opuszcza domu. Nie miałyby zresztą po co chadzać, swoim zwyczajem, na Wawel, bo króla tam i tak nie zastanie – wczoraj wyjechał, z kanclerzem Kurozwęckim i sekretarzami, do zamku myśliwskiego w Niepołomicach, odległego od Krakowa o kilkanaście mil. Gruchają gołębie na Rynku, że to lekarz królewski, doktor Liberanth, tak Olbrachtowi zalecił, czemu zresztą wypada przyklasnąć, bo władca istotnie nie powinien przebywać w okolicy dotkniętej zarazą – ale to, że Kallimacha na tę myśliwską wyprawę nie zaproszono, świadczy według mnie jeszcze wyraźniej, że go monarcha od siebie odsunął. Tymczasem więc siedzi Filip w domu i zabija czas czytaniem różnych dzieł z własnego księgozbioru, po które dotąd nie sięgał (a nawet jeśli sięgał, to po latach inaczej niż dawniej myśl ich odczytuje). Do obiadu przegląda też, tak właśnie, jak zapowiadał, własne pisma z dawnych lat, i to zajęcie, z tego co widzę, sprawia mu całkiem sporo uciechy – przynajmniej chwilami.

Na wyraźne jego polecenie nie opuszcza też domu cała służba – z wyjątkiem mnie, która co prawda do służby się nie całkiem zaliczam, no bo ja muszę wypełniać nakazy władz fakultetu, tyle że staram się jak mogę zachować przy tym środki ostrożności, zakładając wierzchnie okrycia na wewnętrznym dziedzińcu i tamże zmieniając buty.

Niektórzy ze służby – zwłaszcza kucharka Dorota i Marcin, woźnica nasz – sarkają pod nosem na to zamknięcie, chociaż im się tłumaczyło, że to dla ich dobra, ale prawdę mówiąc, nie mieliby po co z domu wychodzić, bo od trzech dni jest zimno, ciągle pada, ogromna większość sklepów i tak jest zamknięta, a po mieście snują się tylko nieliczni, najczęściej pijacy oprócz tych, co chyłkiem przebiegają w deszczu do kościoła, szukając tam obrony – bo kościoły są otwarte i pękają w szwach od rana do wieczora. Poza tym widać tylko wałęsające się psy i od czasu do czasu przemaszeruje ulicą patrol wiertelników albo przejedzie z turkotem wóz grabarzy.

Widziałam raz, jak trzech cieślów zabijało belkami drzwi i okna w małym domku, w którym umarła ośmioosobowa rodzina, nie doczekawszy znikąd pomocy – grabarze odmówili wynoszenia ich stamtąd, lękając się zakażenia jak nie krościcą, to trupim jadem, wobec tego radni zdecydowali na razie, że własny dom będzie tych nieszczęśników tymczasowym grobowcem, dopóki nie strupieszają na tyle, że będzie ich można bezpiecznie pochować, a chałupę rozebrać.

Gdy tylko na mieście rozeszły się pierwsze słuchy o rychłym zamknięciu łaźni, Kallimach, za moją namową, sprowadził do domu rozmaite cebry, cebrzyki i balie, żebyśmy tymczasem mogli wszyscy zażywać pełnej kąpieli na miejscu – on w swojej izbie sypialnej, w czym korzysta z pomocy Jakuba, Agnieszka, Dorota, Eudokia i Kasia w pokojach dla służby, a Jakub, Marcin, Tigraszek i Szymek – w stajni. Na wypadek, gdyby się zaraza miała przeciągnąć do zimy, czego wykluczyć się nie da, rozważamy myśl, czy by nie postawić na dziedzińcu, po dwóch stronach stajni, dwóch małych domków łaźiebnych na wzór tych, w jakich kąpią się powszechnie mieszkańcy Litwy i wschodnich prowincji Polski.

Mogłoby się więc wydawać, że potrafimy się w Kallimachowym domu uporać z każdą z bolączek, jakie szerząca się zaraza z sobą niesie, w tym także i z przeszkodami w zachowaniu czystości – gdyby nie to, że ja nie mogę się przecież kąpać ani z mężczyznami, ani z kobietami. A odkąd pełnię służbę w szpitalu, z wszystkich Kallimacha domowników właśnie mnie wypada najskrzętniej o własną czystość zabiegać. Przyznam ci się, że na myśl o tej nowej pułapce ogarnął mnie zrazu popłoch i już prawie nie widziałam innego wyjścia, jak tylko wyjawić Filipowi moją tajemnicę, w ostatniej jednak chwili wpadłam na szczęśliwe kłamstwo, które mi tego bólu oszczędziło, takie mianowicie, że niby kąpię się codziennie w łaźni

szpitalnej. Dziwnie na mnie Kallimach spojrział, gdy mu to mówiła, bo przecież stale twierdziłam, że do łaźni chodzić nie mogę, bo tam mdleję od duszności. Wątpię, czy mi uwierzył, a co sobie pomyślał, trudno mi zgadnąć – może, że wykręcam się od wspólnej kąpieli z powodu chorobliwej wstydlivosti, albo dla jakiejś ułomności ciała, której przed nikim nie chcę ujawnić – dość, że nie zadawał więcej pytań, postanawiając widocznie tę moją skrytość uszanować.

Jednakowoż gdzieś się przecież kąpać muszę, pojmujesz. Do Żydów na razie chodzić nie mogę, bo straż zamknęły most prowadzący do Kazimierza i nawet nie wiem, co się tam dzieje. Tu, w Krakowie, wielokrotnie słyszałam ostatnio na Izraelitów pomstowania, że to niby oni tę chorobę na chrześcijan sprowadzili, jedni mówią, że celowo, inni, że mimo woli, ale jak by nie patrzeć, powiadają ci drudzy, to na nich niechybnie Pan Jezus tę plagę zesłał, którą się z nami niesłusznie podzielili. Ja, dopóki tam można było chodzić, nie spostrzegłam w Kazimierzu nikogo, kto by był bąblami krościcznymi obsypany, podczas gdy w Krakowie widziałam już wówczas niejednego taki przypadek, co się może tłumaczyć tym, że Żydom do Krakowa chodzić nie wolno, a krakowianie wprawdzie chadzają do Kazimierza na zakupy, ale raz, że nie wszyscy, dwa, że nie każdego dnia, więc do pewnego stopnia jedni od drugich pozostają oddzieleni. Jeśli jednak choroba zdołała tam mimo wszystko przeniknąć, to pozostaje tylko liczyć, że i Żydzi, i chrześcijanie tamtejsi wpadną na to, by przeczekać po domach, aż zaraza sama z siebie wygaśnie. Bardzo się niepokoję o Chanę i jej dzieci, ale też o jej ojca – szewca Zysmana, tak dla mnie życzliwego, o rabina Pollacka, ba, nawet o tego narwańca średniego Klejnota i jego narzeczoną Szejnę, prawie dziecko jeszcze. Tak, martwię się o nich i zanoszę gorące supliki do wszystkich sił wyższych, iżby się krościca wcale w Kazimierzu nie pokazała.

Ale miałam ci mówić o kąpielach. Może sobie przypominasz, com ci kiedyś pisała o rozlewiskach rzeczki Rudawy nieopodal naszego domu, otoczonych gęsto porośniętymi bagnami Żabiego Kruka, gdzie w pierwszych miesiącach mego pobytu w Krakowie chodziłam się w wodzie pławić, zanim się jeszcze z Żydami zadałam. I teraz znowu nie miałam innego wyjścia, jak odnaleźć moje dawne ścieżki i po staremu kąpać się tam właśnie. Nie było mi wcale tak łatwo na powrót przywyknąć do mycia się w całkiem zimnej wodzie, chociaż początkowo

aż tak bardzo zimna ona nie była, bo wciąż jeszcze utrzymywały się upały – gorzej teraz, kiedy się tak nagle ochłodziło, chociaż wrzesień mamy dopiero od tygodnia. W dodatku wskutek kilkudniowej słoty coraz trudniej mi dojść przez mokradła na upatrzone miejsce, bo tam, gdzie zwykle było sucho, teraz ziemia całkiem rozmiękła, więc doprawdy z duszą na ramieniu przeskakuję z kępy na kępę, próbując dla pewności chwycić się zwisających gałęzi wierzb, czy choćby pędów turzycy. Prócz tego ostatnio, pewnie z tego strachu, płata mi złośliwe figle wyobraźnia – wydaje mi się chwilami, że ktoś za mną łązi po tych krzakach, że słyszę mlaskanie czyichś nóg w błocie albo chrzęst rozgarnianych zarośli; raz nawet pochwycałam kątem oka jakiś ruch, jednak obejrzawszy się szybko w tamtą stronę, nic nie spostrzegłam. Mogło to być jakieś zwierzę albo duży ptak – są tu czaple i bociany – ale wydawało mi się, że to było coś większego.

Być może te moje majaczenia wypływają, bez mej wiedzy, z odzywających się tu i ówdzie w Krakowie obaw przed siłą nieczystą, która zdaniem wielu może stać za krościcą, chorobą dotąd tak lekceważoną, a teraz wzbudzającą grozę nawet wśród duchaków, nawykłych przecież do widoku śmierci i do tego, że człowiek często bywa wobec niej zupełnie bezsilny. Chcesz wiedzieć, jakie wśród nich krążą opowieści? Na własne uszy słyszałam, jak pouczali grabarzy, żeby popatrywali, czy któryś z nieboszczyków nie podjada czasem płótna na wozie ich zakrywającego, bo jeśli by tak było, oznacza to, że zmienił się po śmierci w upiora i nocami będzie dopadał pobożnych ludzi, by wysysać z nich krew, aż życie z nich ujdzie, a wówczas i oni przeistoczą się w upiory. Gdyby więc jakiś trup wykazywał takie oznaki, mają mu grabarze w głowę wbić gwóźdź ciesielski, najlepiej zardzewiały, a potem tę głowę odciąć od szyi i dopiero wtedy razem z resztą ciała oddać ziemi, przed odejściem trzykrotnie głośno odmawiając Pater noster.

Gdym to powtórzyła Kallimachowi, oczywiście śmiał się, jak to on, ale zdaje mi się, że i jemu zrobiło się od słuchania tych okropieństw z lekka nieswojo.

– Wygląda na to, że... – odezwał się chrapliwie, gdy skończyłam, po czym odchrząknawszy, podjął czystym już głosem: – ...że tak się może zdarzyć, jeśli człowiek, pochopnie uznany za zmarłego, wciąż jeszcze żyje, kiedy go wiozą do grobu.

– Owszem – przyznałam – słyszałam o takich przypadkach, ale nigdy z pierwszej ręki. Ja, oczywiście, nie śmiem twierdzić, że taka pozorna śmierć możliwa nie jest, ale jednak wszystko wskazuje mi na to, że jeśli się nawet ona przydarza, to niezmiernie rzadko, skoro wśród tylu znamienitych lekarzy, z jakimi miewam do czynienia na uczelni, ani jeden z chorym w takim stanie nigdy nie miał bezpośredniej styczności. Każdy tylko o takich słyszał albo czytał w księgach.

– A jeśli pozór ten bywa tak łudzący, że oni sami dali mu się zwieść? – zauważył Kallimach, znacząco unosząc wskazujący palec.

– Może i tak być – zgodziłam się. – Ale tak czy owak, o umarlakach w upiory przemienionych spotyka się o wiele więcej świadectw niż o tych nie całkiem umarłych.

– To żaden dowód. – Filip pokręcił głową. – Weź tak na zdrowy rozum: w jaki sposób mógłby jakiś zły duch opanować nasze ciało, skoro każdą jego, najmniejszą nawet cząstkę przenika nasza własna dusza? Dwa duchy nie mogą współistnieć w jednym ciele, tak samo jak dwa miecze w jednej pochwie!

– Dobrze – rzekłam pojednawczo. – Póki dusza w ciele jest, zapewne nie mogą. Ale gdy już je opuści, czemuż nie miałyby w nim zamieszkać jakiś demon?

Kallimach zagryzł wargi.

– Ach, Georgiuszu – westchnął, przewracając oczami – proszę cię, nie wchodźmy dziś wieczór na pole teologii. Trzymajmy się raczej tego, co wiemy z własnego doświadczenia.

Zdało mi się, że jest tym moim mędrkowaniem nieco zniecierpliwiony, chociaż zwykle, o czym dobrze wiem, bardzo lubi się ze mną spierać.

– Widzisz, stale mi się tak w życiu układa – podjął z nutą gorczy – że się drogi moje i najbliższych moich przyjaciół rozchodzą u zbiegu rozumu i wiary. Nigdy nie zapomnę, jak mój dobroczyńca Grzegorz wyrzekał przy mnie na tych, którzy, jak powiadał, majestat Boga chcieliby do naturalnych granic rzeczy zacieśnić. A ja mu w tym wbrew sobie przytakiwałem, bo i cóż miałem powiedzieć. Ustępowałem przed autorytetem jego oczywistej mądrości i dobroci, pomimo że w tej akurat kwestii moje odczucia były zgoła przeciwne. Byłem wtedy jeszcze młody... – Tu podniósł na mnie wzrok i uśmiechnął się. – No, nie tak młody jak ty; miałem trzydzieści trzy lata, kiedy mnie przyjął w gościnę, ale on był

jednak ode mnie o trzydzieści lat starszy, prawie tyle co ja od ciebie, więc siłą rzeczy traktowałem go niemal jak ojca.

– A przy tym bez jego protekcji zagrażał ci katowski miecz – wtrąciłam zuchwale.

– Myślisz, że to mną powodowało? – rzekł z zastanowieniem. – Kto wie, może trochę też. Ale głównie czułem, że nie mam prawa podgryzać podstaw jego wiary – tak jasnej, tak czystej, tak niezachwianej – na której oparł całe swoje święte życie. Jeśli więc były mu do tego potrzebne takie cuda boskie, które zmieniają naturalny porządek rzeczy, wolałem to uszanować. I do dziś myślę, że tak było trzeba. Chociaż wtedy bolało mnie, że nie mam się z kim moimi myślami podzielić. Ale ty, dzieciaku – dodał pogodnie – śmiało mów mi zawsze, co myślisz; najwyżej skoczmy sobie do oczu. Na starość zaczyna do mnie docierać, że może właśnie o to chodzi w przyjaźni: żeby się wymieniać tym, co nas różni. Tak, tak: wymieniać się, ale raczej nie aż do tych różnic zasypania. Bo gdy one znikną, może się okazać, że nie mamy już z sobą o czym mówić. Ja sam... – Urwał nagle i na dłuższą chwilę pogрузzył się we własnych myślach. – Ja sam w swoim czasie – podjął w końcu – Fannię próbowałem tak ociosać, żeby pasowała do tych wzorców, które dotąd znałem; całkiem niepotrzebnie.

– Och! – ożywiłam się. – Bardzo bym chciał wiedzieć, jak to dalej z tą Fannią było!

– To cię ciekawi? – Wydawał się mile zaskoczony. – Czy ja wiem... Wygnaniec i szynkareczka; historia, jakich wiele.

– Nie co dzień szynkareczce trafia się poeta – zaoponowałam.

– Poetów, mój drogi, jest na pęczki – rzekł, śmiesznie marszcząc nos. – Tyle tylko, że co który z nich jest wart, okazuje się dopiero po latach.

– No to teraz już wiemy – zaśmiałam się.

– Co my tam wiemy... – Pokręcił głową. – Ale prawda, że to już stare dzieje. Muszę kiedyś to wszystko spisać. Tak... Parę osób się zdziwi...

– A może... – bąknęłam nieśmiało.

– Tak? – Podniósł na mnie wzrok.

– Może byś pozwolił, abym ja spróbował twoje życie opisać?

W pierwszej chwili zaśmiał się tylko pod nosem.

– Myślisz, że zrobisz to lepiej ode mnie?

– Nie – zapewniłam zmieszana. – Nie to chciałem powiedzieć. Tylko że abyś ty mógł się całkowicie skupić na poezji, ja może bym cię wyręczył

w prostym zdawaniu sprawy z wszystkich twoich przypadków. Tak jak tyś spisał żywot arcybiskupa Grzegorza.

Wspierając się na łokciu, głowę przechyloną oparł na dłoni i długo przyglądał mi się z namysłem.

– Myślałem, żeby to zrobić lepiej – odezwał się w końcu cicho, prostując się na krześle. – Bądź co bądź, siebie znam lepiej niż Grzegorza, lepiej niż kogokolwiek innego. I lepiej niż ty mnie znasz, Georgiuszu... – Przez cały czas wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem. – Zresztą nie wierzę, żebyś ty rzeczywiście uważał, iż prozę łatwiej się pisze niż poezję. Ty tylko...

Urwał. Ja czekałam w milczeniu, by pozwolić mu dokończyć myśl. Ale on zamiast tego wstał, szybkim krokiem zaszedł do swojej izby, by wkrótce powrócić, niosąc glinianą łagiewkę i dwa maleńkie pucharki z grubego szkła.

– Neapolitańczycy święcie wierzą, że to chroni przed wszelką zarazą – objaśnił, porozumiewawczo mrużąc oko. – I za żadne skarby świata nie zdradzą nikomu receptury. Ale sprowadzają to sobie z Pescary Wenecjanie – opowiadał, rozlewając do pucharków gęsty, siarczysty żółty ulepek – i właśnie z Wenecji dziesięć lat temu przywiozłem kilka takich łagiewek, kiedym po raz pierwszy próbował namówić dożę na przymierze z Polską. Nic z tego wtedy nie wyszło, tak samo jak i później, ale przynajmniej mogłem się tym boskim trunkiem pocieszyć.

Podnieśliśmy pucharki do ust i zaleciał mnie orzeźwiający zapach cytrynowej skórki.

– Ostrożnie! – Kallimach ostrzegawczo uniósł lewą dłoń. – To jest o wiele mocniejsze od wina! Ale jeśli będziesz sączył powoli, po kropelce, na pewno nic się złego nie zdarzy.

Rzeczywiście, aromatyczny ów napój, w smaku bardzo słodki, a zarazem mocno kwaskowaty, okazał się intensywnie nasycony odurzającą goryczką winnego ducha.

– Dobrze więc – przemówił do mnie Filip, wysączywszy kilka kropel – pisz. Daję ci moje błogosławieństwo. Ale pod jednym warunkiem: że nie będziesz z tego powodu zaniedbywał swoich studiów.

Zapewniłam, że studia są dla mnie najważniejszą rzeczą w życiu. Skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości, po czym, odstawivszy szkło, zadarł głowę i opuścił powieki, jakby zamiast powały z brunatnych belek miał nad sobą słoneczne niebo.

– O czym to ja ci ostatnio mówiłem? – zastanowił się na głos, lecz nim zdołałam odpowiedzieć, zaraz sam się połapał. – Ach, tak! – rzekł szybko, na powrót kierując na mnie bystre spojrzenie. – Skończyłem na tym, jak mi Grzegorz udzielił u siebie schronienia. Oczywiście ogromnie mi wtedy ulżyło, chociaż nie wiedziałem jeszcze, czy to naprawdę całkowicie oddała ode mnie groźbę wydania w łapska papieskich psów gończych. Wszystko bowiem zależało od tego, czy on rzeczywiście w swojej siedzibie może zapewnić nietykalność, komu tylko zechce, czego nie byłem pewien, zbyt słabo jeszcze znając panujące w tym kraju stosunki. Ale drugą rzeczą, która mąciła moją radość z uzyskanego azylu, było poczucie, że jednak jestem w tym dunajowskim zamku uwięziony i zmuszony do życia niemal klasztornego, podporządkowanego modlitwie i pokucie. Na szczęście rzeczywistość okazała się nieco przyjemniejsza od moich wyobrażeń. Być może stało się tak dzięki temu, że jestem Włochem, bo Grzegorz, jak się okazało, studia teologiczne odbył w Bolonii, a święcenia duchowne otrzymał z rąk samego papieża Eugeniusza we Florencji, gdzie zadzierzgnął wiele przyjaźni, toteż nic dziwnego, że miał dla Włochów szczególne względy. Wyjaśnia to też po części, dlaczego tak dobrze układały mu się stosunki z wujem Ajnolfem, pomimo że, jak może pamiętasz, zaczęły się od tego, że wuj zgłosił się do Grzegorza w imieniu banku Medicich z żądaniem spłaty ogromnego długu, zaciągniętego u nich przez Piusa II, który z sobie tylko znanych powodów był łaskaw upoważnić bank do ściągnięcia tych wierzytelności z dochodów kolektorii polskiej. To musiało być Grzegorzowi bardzo nie na rękę, zważywszy na to, że wówczas wciąż jeszcze żmudnie podnosił diecezję z całkowitej ruiny, do jakiej ją doprowadził jego poprzednik. Mimo to później wcale na widok wuja Ajnolfa nie zgrzytał zębami, a przeciwnie, chętnie z nim przestawał, a po dwunastu latach bez wahania przyjął pod swój dach mnie, Ajnolfowego siostrzeńca, i traktował jak najmilej widzianego gościa, ani trochę nie zważając na moją reputację skończonego łotra. Tylko że ja, choć się bardzo starałem, niewiele mogłem wnieść do jego domu włoskiego dowcipu i radości życia. Pamiętam, że listopad był owego roku wyjątkowo ciemny, szary i mokry. Dniem i nocą wyły porywiste wiatry, raz po raz zrywając błony z ram okiennych, przez co w zamku, bardzo skąpo ogrzewanym, panował okropny ziąb, a na kamiennych posadzkach tworzyły się kałuże od wpadającego przez okna deszczu. Tylko w kaplicy dawało się jako tako wytrzymać, gdyż w oknach

były tam dobrze umocowane szklane gomółki. Wszyscy domownicy chodzili po zamku ciepło okutani w wełniane chusty, szale i płaszcze, nieraz nawet kładąc się w nich do snu, i tylko ja jeden miałem na sobie same letnie rzeczy, bo kiedym w ostatnim dniu października przybywał do Dunajowa, wciąż jeszcze trwała ciepła pora, a zresztą wieść o tym, że w Piotrkowie szlachta postanowiła wydać mnie na pewną śmierć, przyszła tak niespodziewanie, że przed wizytą u arcybiskupa nawet nie pomyślałem, by się zaopatrzyć w coś cieplejszego do okrycia. Grzegorz zauważył, że marznę, i sprowadził dla mnie z okolicy sporo odzieży, dbając przy tym nie tylko o to, by mi zapewniała ochronę przed zimnem, ale też by dobrze na mnie leżała. Poza tym do posiłków kazał podawać miód, żeby się z niego ciepło po członkach rozchodziło, a czasem nawet i wino, dla rozweselenia towarzystwa. Tylko że za bardzo tam nie było kogo rozweselać, bo zwykle do stołu zasiadała z nami tylko garstka ciurów, których tam Grzegorz trzymał do obrony zamku na wypadek najazdu Tatarów, a czasem nadto paru księży z podległych parafii, z którymi miał akurat coś do omówienia. Jedyłą kobietą była Halinka, gospodyni jego, mała, okrągła staruszka, od świtu do nocy krzątająca się po całym zamku, która nieraz przechodząc, z daleka wykrzykiwała zabawne przymówki do tego, o czymśmy rozmawiali, bo choć po łacinie mówić nie umiała, rozumiała jednak dość, by móc po polsku dorzucić swoje trzy denarki. Grzegorz nawet napisał na jej cześć epigramat, w którym zwraca się do mnie, obiecując mi góry złota, jeśli zdołam Halinkę siłą mej poezji ogłuszyć. Bo zaiste, mimo sędziwego wieku, słuch miała baba nadzwyczajny: słyszała każde, najciszej nawet wypowiedziane słowo, choćby i z drugiego końca zamku.

– Ale co z Fannią? – przypomniałam, o czym miał mi teraz mówić.

– Właśnie! – Pokiwał głową. – Moje myśli stale krążyły wokół niej, stale myślałem o jej słodkich pocałunkach, których smaku nie potrafiłem już w sobie przywołać, o jej mokrych od łez policzkach, i to mnie samego prawie doprowadzało do łez. Wiedziałem już, że ma do mnie skłonność i że jest tak niedaleko, ale cóż z tego, kiedy rozdzielały nas mury zamku, poza które nie wolno mi było wyściubić nosa! Aż zdarzyło się, że mnie Grzegorz któregoś dnia zagadnął, co mnie właściwie trapi: czyżbym wciąż się obawiał o własne życie? Zdążyłem do tego czasu poznać go na tyle, że odważyłem się na szczere wyznanie, iż tęsknię za mą ukochaną pozostawioną za murami. Odniósł się do tego życzliwie i zaczął

wypytywać, kim jest moja wybranka: czy to jakaś lwowska piękność? Nie, odpowiadam, nie lwowska, lecz tutejsza, prosta dziewczyna z ludu, piwo w karczmie roznosi. „Tak? – on pyta. – A w której karczmie?” „Tej w Przemyślanach – mówię – na rozstaju dróg”. „Ach, znaczy ty w Fani się kochasz!”, on na to zakrzyknął, i klasnął w dłonie. Położył mi potem dłoń na ramieniu i rzekł: „No, masz ty oko, Filipie. Dziewczyna w rzeczy samej jak malowanie. Ale wcale nie aż tak z ludu, jak ci się wydaje. To szlachecka córka, choć z nieprawego łoża. Dobrze znałem jej stryja, Leszka Bobrzyckiego. Dzielnie stawał przy królu Władysławie pod Warną i tam razem z nim zginął, com na własne oczy widział i nigdy nie zapomnę. A jego brat Bolko tylko po lasach za zwierzyną umiał się uganiać i dziewczęta wiejskie bałamucić. I stąd się nasza Fania narodziła!”. Z czasem się dowiedziałem, że owa szpetna Fanni matka, Olena Sfantocha, też była kiedyś bardzo ładną dziewczyną, tylko jakaś choroba wykrzywiła jej rysy, w dodatku jedno oko kierując na stałe ku nosowi. I to nikt inny, jak sam Grzegorz wymógł był na owym Bolku, aby, skoro już za nic nie chce pojąć wieśniaczki za żonę, przynajmniej podarował nieszczęsnej przemyślańską gospodę dla zapewnienia jej i dziecku bezpiecznego bytu. „Ale czy ty, Filipie – zapytał mnie nagle – nie zamyślasz aby tej dziewczyny skrzywdzić?” Zapewniłem szczerze, że mam wobec Fanni jak najuczciwsze zamiary, a wtedy Grzegorz sam z siebie wysunął myśl, by ją któregoś dnia zaprosić do nas na śniadanie. Pamiętam, że w nagłym odruchu wdzięczności pochyliłem się do jego rąk, by je wycałować, ale on je schował za plecy, gdyż nie bardzo lubił, gdy mu okazywano szacunek w ten sposób. Tak czy inaczej, stało na tym, że Fannia się u nas zjawi, gdy tylko matka da jej wychodne. Jakoż przybyła na zamek którejś niedzieli grudnia, odświętnie wystrojona, rozglądając się niepewnie wokół. Widziałem przez okno, jak przechodzi nad fosą po kładce, a potem usłyszałem echo jej ściszonego głosu, gdy ją Halinka prowadziła po schodach do sali jadalnej. Wreszcie stanęła w drzwiach i przytrzymując rękami zapaskę, ugięła kolana w pokłonie. Dopiero gdy je prostowała, spostrzegła mnie... i zamarła. Jeszcze teraz, kiedy ci o tym mówię, zdaje mi się, że widzę ją przed sobą, jak tam stoi w progu z rękami zawisłymi w pół ruchu, z oczami rozszerzonymi radosnym zdumieniem i bezwiednie rozchyłonymi ustami. Jak dalej przebiegło to pierwsze nasze spotkanie, nie pamiętam. Zdaje się, że to Grzegorz cały czas perorował, dzielnie pełniąc honory domu, bo ja chyba

zupełnie zapomniałem języka w gębie. Na szczęście ona też była ogromnie onieśmielona, więc oboje głównie milczeliśmy, ja wpatrzony w nią jak sroka w gnat, ona ze wzrokiem spuszczone, chociaż raz po raz popatrując na mnie ukradkiem i natychmiast, przechwyciwszy moje spojrzenie, oblewając się rumieńcem. Dopiero kiedy sprzątnięto ze stołu, zostawił nas Grzegorz samych. Spróbowałem jej wtedy powiedzieć po polsku, co wyszło dość śmiesznie: „Mi bilasz bardzo brakująca, Faniu”, na co ona odrzekła prawie szeptem: „Ty meni też”. Potem chyba zapytałem, czy chciałyby mnie częściej odwiedzać. Odpowiedziała twierdząco – i tego dnia nic już się więcej nie wydarzyło. Ale przyjeżdżała tamtej zimy jeszcze wiele razy, a Grzegorz coraz częściej gdzieś znikał, więc gdy akurat nikt ze służby nie przechodził, chroniliśmy się oboje przed wścibstwem Halinki w zbrojowni na wieży. Tam się coraz śmieiej całowaliśmy, ukryci za stosami kusz, obosiecznych toporów i pocisków do machin miotających. Ach, mimo przejmującego zimna, które tam panowało, Fannia stopniowo pozwalała mi coraz bardziej odchyłać liczne okrywające ją suknie. Sama zresztą też mnie z postępującą ochotą obnażała, by móc wodzić ustami po mojej piersi, tak żeby porastający ją włos łaskotał ją w nosek, co ją niezmiennie bawiło. I tak krok po kroku zbliżaliśmy się do spełnienia tego, co nam widocznie było przeznaczone, i choć się to ciągle odwlekało, było, jak sądzę, jasne dla nas obojga, że wszystko ku temu nieuchronnie zmierza.

– A czyście ze sobą przy tym o czymś rozmawiali? – zaciekałam się.

– Och, wiesz... – Uśmiechnął się szelmowsko. – Usta w takich wypadkach zwykle są zajęte. Chociaż – dodał po krótkim namyśle – jednak były chwile, kiedy tylko leżeliśmy przy sobie, albo i nawet siadywaliśmy na skrzyni z bełtami do kusz, i wtedy... Zdaje się, że to ja głównie mówiłem, znasz mnie, jestem gaduła. Nie mam pewności, ile ona z tych moich przemów w kulawej polszczyźnie rozumiała, zwłaszcza że chwilami chyba przechodziłem bezwiednie na toskański, tak jakbym mówił do siebie – ale słuchała mnie chętnie. Raz się rozmarzyłem, że ją pojmem za żonę, na co ona zaraz wtrąciła trzeźwo: „W cerkwi czy w kościele?”. „A dobrze – mówię jej na to – niech będzie w cerkwi, czemu nie!” Od Grzegorza wiedziałem, że okoliczni popi sami nie wiedzą, komu mają być posłuszni: kijowskiemu metropolicie czy moskiewskiemu, z których każdy mienił się patriarchą całej Rusi. Dla mnie jednak ten kijowski był nie dość dobry, bo skoro uznawał unię florencką, to nawet

pod jego skrzydłami zemsta Pii Maryi wciąż mi mogła zagrażać. „Posłuchaj, Faniu – mówię – a może byśmy tak uciekli do Moskwy i tam żyli razem bezpiecznie? Ani papieża, ani sułtana władza tam nie sięga”. „Do Moskwy? – wzdrygnęła się. – Oj, kniaź tam, mabuć, duże strohyj!” Rozumiesz, że niby tamtejszy ksiązę uchodzi za wielce srogiego. Z czasem, kiedy się lepiej rozeznałem w zawilosciach okolicznej polityki, okazało się, że w rzeczy samej wielki ksiązę Iwan ma taką reputację (czego mu jego poddani bynajmniej nie mają za złe), a niepiśmienna Fannia, z zapadłej wioski odległej od Moskwy o dobry miesiąc jazdy, wiedziała o tym na długo przede mną, mimo całej mojej uczości. Takie to były nasze pogaduszki i trudno, żeby były lepsze, skoro jedynym naszym wspólnym językiem był polski, którym żadne z nas wtedy jeszcze dobrze nie władało. To mnie chyba naprowadziło na myśl, że wprawdzie Fannia sama z siebie jest jak drogocenny kamień, samorodek z czarnej ziemi wyrwany, lecz dla wydobycia z niej pełnego blasku warto by ją jednak nieco oszlifować. W tym mi przyklasnął Grzegorz, dodając, że i ją, i mnie trzeba by przede wszystkim podszkolić w prawidłowej polszczyźnie, czego on się chętnie podejmie osobiście. Przy okazji samej już Fanni zaczął dawać lekcje muzyki, bo we mnie do jej uprawiania nie znalazł żadnych zdolności, w czym muszę mu przyznać rację. On sam był za to w tej sztuce tak biegły, że gdyby nie był się w swoim czasie bez reszty poddał swemu duchowemu powołaniu, mógłby jako muzyk do najwyższych dojść zaszczytów. Śpiewał zwłaszcza po mistrzowsku, głosem wciąż jeszcze pięknym mimo starszego już wieku, umiał też dobrze grać na wielu instrumentach, a najlepiej na lutni. Ja wziąłem na siebie wyuczenie Fanni dwornego obyczaju, podstawowych wiadomości z geografii, historii i mitologii, a także czytania i pisania, choć z tego akurat zamysłu Grzegorz się mocno podśmiewał. „Po jakiemu ona ma czytać? – pytał kpiąco. – Po polsku przecież prawie nic do czytania sobie nie znajdzie. A po łacinie jak ma czytać, skoro języka znać nie będzie?” Na to ja się uparłem, że owszem, nauczę ją łaciny, choćby po to, żeby mogła czytać moje wiersze. Z czasem, niestety, przekonałem się, że Fannia przy łacinie ziewa i pod lada pozorem wykręca się od lekcji, co nie było takie dziwne, gdyż jak sam dobrze wiesz, początki nauki tego wspaniałego języka mogą zniechęcać kogoś, kto jeszcze nie przeczuwa, co z tego żmudnego wkuwania deklinacji może dla niego wyniknąć. Za to za każdym razem, kiedy zdarzyło mi się przy niej odezwać w mojej macierzystej mowie, ona

natychmiast to podchwytywała z taką łatwością, jakby od niemowlectwa wzrastała wśród topól Toskanii. Skończyło się na tym, że zamiast łaciny uczyłem ją włoskiego. Pamiętam, że kiedyśmy zaczęli o tym mówić, rzecz jasna po polsku, ona początkowo zrozumiała, że chodzi o język wołoski, co ją bardzo ucieszyło, gdyż podobno jej matka pochodziła po kądzieli od Wołochów. Dopiero musiałem jej objaśnić, że Włosi nie są tym samym co Wołosi, chociaż jakieś pokrewieństwo między nami a nimi zachodzi, jako że oni wywodzą się od starożytnych Daków, zwanych też Getami, których ziemie swym północnym krańcem sięgały niegdyś aż po Lwów, i których moi przodkowie Rzymianie z wielkim trudem za czasów Trajana podbili, czego echa jeszcze dziś chwilami słychać w Wołochów mowie.

– Ach, to dlatego w elegii Ad Bassum piszesz o Fanni, że ją ziemia getycka zrodziła? – wtrąciłam.

– Więc czytałeś? – ucieszył się.

– Całe Fannietum znam prawie na pamięć – wyznałam nieomal bez tchu.

– Ejże! – Spojrzał z ukosa. – I jak, podobało ci się?

– Czy mi się podobało? – westchnęłam, kręcąc głową. – To mało powiedziane. Czytając te pieśni o nieznannej mi Fanni, które mi potem jeszcze długo rozbrzmiewały w głowie, czułem się tak, jakbym to ja sam się w niej kochał.

Filip wstał od stołu z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

– Niechże cię uściskam! – wyrzucił z siebie zduszonym głosem. – Nie dziw się, Georgiuszu, memu wzruszeniu – wyszeptał mi do ucha. – Po raz pierwszy widzę na własne oczy, że czytelnik taki, o jakim zawsze, sięgając po pióro, myślałem, naprawdę istnieje!

Przytulał mnie długo, bardzo długo, aż się całkiem rozkleiłam, ale w końcu wypuścił mnie z objęć, zasiadł znów przy stole i sięgnął po pucharek. Stuknęliśmy się.

– Ja wtedy – podjął swą opowieść, przechylając szkło nad półotwartymi ustami i łapiąc w ten sposób ostatnie krople cytrynowego likworu – pisałem prawie codziennie, niesiony jakimś przemożnym porywem natchnienia, jaki nigdy przedtem ani też nigdy potem mi się nie przydarzył. Na jawie całowałem Fanni usta, a z czasem i jej boskie piersi, wsuwałem też ręce pod jej zapaskę, gładząc jej nogi, aż do ich zbiegu, by tam, pod daszkiem z miękkiego runa, z zapartym tchem rozchyłać pofałdowane jedwabiste kurtyнки, kryjące tajemne wnijście do jej

wnętrza, o którym wciąż jeszcze mogłem tylko śnić dzikie fantazje, ciesząc się tymczasem odurzającym zapachem śliskiej wilgoci, com ją końcami palców z lubością zgarniał u bram jej królestwa. Pisząc, czułem, że nie tylko odnalazłem w Fanni miłość mego życia, ale też dzięki niej trafiłem wreszcie na własną ścieżkę poetycką; że już nie jestem tylko mniej lub bardziej zręcznym naśladowcą Tybulla, Marcjala, Horacego, lecz tworzę coś, co inni może niebawem zechcą naśladować. Odważyłem się pokazać moje nowe wiersze Grzegorzowi, początkowo nie bez obaw, że mu się wydadzą zanadto rozwiązłe, ale nie: nie tylko się nie zgorszył, ale nawet, chcąc ze mną współzawodniczyć, zaczął z wielkim zapałem układać własne epigramaty o mojej Fanni, w których pozwalał sobie wobec niej na przycinki nie bardzo przypadające mi do smaku...

– Na przykład jakie? – dopytałam.

– Och, takie choćby, że Fannia śpiewa jak słowik, ale gdy mówi, to gęga jak gęś. Może i była w tym jakaś szczypta prawdy, bo głos miała nieco nosowy, czasami w istocie wpadający w tony z lekka gęgliwe, zwłaszcza pod wpływem onieśmielenia, ale to w niczym nie ujmowało jej wdzięku, a może nawet przydawało. Nie miałem jednak do Grzegorza żalu o te grube dowcipy, bo było to tylko takie dobroduszne dworowanie sobie z dziewczyny, którą zresztą szczerze lubił.

– Nie zdziwiłbym się – pozwoliłam sobie na domysł – gdyby on sam miał po cichu na twoją Fannię chrapkę.

– A nie, nie – zaprzeczył Filip stanowczo. – On, inaczej niż prawie każdy inny duchowny, do tych rzeczy nie miał wcale najmniejszego pociągu. Mówił mi wielokrotnie, nawet z pewną melancholią, że już jako młodzieniec zrozumiał, iż natura nie stworzyła go do stanu małżeńskiego, albowiem żadna kobieta nie była w stanie obudzić w nim żądzę.

– To może raczej mężczyzna? – podrzuciłam. – Jakiś piękny, młody chłopak...

– Zastanawiałem się nad tym – przyznał, kiwając głową – ale nie, stanowczo nie. W swoim czasie dobrze znałem niejednego miłośnika tego rodzaju rozkoszy, więc myślę, że gdyby Grzegorz do nich należał, umiałbym to bez trudu w nim rozpoznać. Nie, on był dotknięty jakąś rzadką przypadłością, rodzajem niemocy, co się wyrażało w tym, że zachowywał się jak trzebieniec, pomimo gęstej brody i niskiego głosu.

– Głos i broda o niczym jeszcze nie świadczą – zauważyłam. – Mógł stracić swą męskość w dojrzałym już wieku. Tak samo jak się nabawił

przetoki. Kto wie, czy nie przy tej samej okazji.

– Mógłbym tak myśleć – odparł Filip – gdybym na własne oczy nie widział, że ma wszystko na miejscu. Raz jeden bowiem wybrał się ze mną do łaźni, zresztą za moją namową, bo na ogół niechętnie tam bywał. Twierdził, że nie lubi takiego rodzaju kąpieli, a z jakiego powodu, tego wyjawić mi się wzdragał. Zresztą za tym jednym razem widać po nim było, że istotnie nie czuje się w łaźni dobrze, toteż go już więcej nie namawiałem, tym bardziej że i bez tego umiał zadbać o czystość. Tak samo zresztą jak i ty, chłopcze. – Filip uśmiechnął się nieznacznie.

Słuchając go, zastanawiałam się tymczasem już nad czym innym: jak Fannia znajdowała czas, by go tak często odwiedzać, mając zawsze tyle do zrobienia w gospodzie. Kallimach, gdy się z nim tymi myślami podzieliłam, wyjaśnił mi, że Grzegorz osobiście wybrał się do Fanni matki, aby ją przekonywać do pomysłu poduczenia dziewczyny dwornego obyczaju, co by jej z czasem pozwoliło poruszać się bez skrzępowania w kręgach, do których ją samo urodzenie przeznacza. Prawdopodobnie tę argumentację podparł arcybiskup paroma sztukami srebra, gdyż niespodziewanie okazało się, że Fannię chętnie zastąpi w gospodzie jej kuzynka Nastka, oczywiście za odpowiednią opłatą, którą, zdaje się, Grzegorz także wziął na siebie. Filip dowiedział się później od swej wybranki, że matka jej nawet była zadowolona z tej zamiany, bo tę Nastkę goście jeszcze częściej niż Fannię przywoływali, by im piwa dołała, może dlatego, że gdy chodziło o siostrzenicę, a nie o córkę, Olena aż tak czujnie nie popatrywała jednym okiem, czy aby piwosze nie korzystają z okazji, by pannę za tyłek złapać, jeśli nie za co innego.

– Mówiłeś Fanni, że chcesz ją pojąć za żonę – przypominałam. – Czyś się rozmyślił? Nie dość dobra była dla ciebie? Zanadto gminna?

– Nie, wręcz przeciwnie! – zaprzeczył żywo. – Robiła tak szybkie postępy we wszystkim, czegośmy ją z Grzegorzem uczyli, że niebawem mógłbym ją z powodzeniem i na królewskim dworze przedstawić. Nie w niej tkwiła przeszkoda, tylko we mnie! Nie zapominaj, że wciąż byłem uwięziony w obrębie fosy Grzegorzowego zamku. Czasami, owszem, odważałem się zapuścić do przyzamkowego miasteczka, ale tylko razem z moim dobroczyńcą i na krótko: wysłuchiwałem prowadzonej przez niego mszy, a potem towarzyszyłem mu, gdy w drodze z kościoła zatrzymywał się to przy tym, to znów przy tamtym domu, żeby na progu pogawędzić miło z ich mieszkańcami. Ja potrzebowałem tych naszych

przechadzek, żeby choć przez parę chwil postawić stopę na zewnątrz, na otwartej przestrzeni, ale jednocześnie dławił mnie strach, że z za każdej chaty mogą nagle wyskoczyć jacyś zbrojni, gotowi mnie pojmać i odesłać do Rzymu. Dlatego... – Urwał nagle i zamyślił się. – A może i nie dlatego – podjął po chwili. – Tak, byłem więźniem, do tego więźniem raczej dość ubogim, bo niewiele jeszcze zdążyłem u wuja Ajnolfa zarobić, ale czy to było powodem, że nie bardzo się kwapiłem do żeniaczki z Fannią? Trzeba by raczej powiedzieć: do żeniaczki w ogóle. Bo chociaż, w odróżnieniu od Grzegorza, jak wiesz, żywo odczuwałem przyrodzone żądze, to jednak myśl o małżeństwie była mi z gruntu obca. O sobie i Fanni myślałem raczej jak o parze jakichś arkadyjskich pasterzy, takich jak Dafnis i Chloe, wiecznie młodych i wolnych, złączonych samą mocą miłości, a nie poprzez nudne zobowiązania przyjęte wobec prawa i ludzi. Mieć dzieci, wnuki, podliczać dochody i wydatki, gromadzić dobra, a z czasem znosić wzajem swoją starość – nie, to wszystko jakoś zupełnie mi się nie uśmiechało, chociaż Fannię kochałem prawdziwie. Dlatego po tym, jak się wtedy wyrwałem z tą obietnicą ślubu w cerkwi, więcej do tego przedmiotu nie powracałem.

– A ona? – spytałam.

– A ona? – zawahał się. – Tak wprost, to też nie. Ale za każdym razem, kiedy próbowałem w nią wstąpić, wywijała mi się, mówiąc przy tym łagodnie, ale stanowczo: „To po ślubie!”. „Jak to, najdroższa – przekonywałem – przecież czuję, że tego chcesz!” „Chcę, bardzo chcę – odpowiadała. – Ale po ślubie”.

– I w końcu poznała się, że ją zwodzisz?

– Chyba nie nazwałbym tego zwodzeniem – odrzekł zafrasowany. – Gdyby się były sprawy ułożyły inaczej, kto wie, czy bym się z nią w końcu nie ożenił. I może bylibyśmy szczęśliwi po dziś dzień.

– To jak się sprawy ułożyły? – zapytałam.

Opowiedział mi wtedy, że mijały tygodnie i miesiące, aż przyszła piękna, słoneczna wiosna, przez co tym bardziej mu ciążyło zamknięcie w zamku. Za radą Grzegorza napisał w wigilię Wielkiejnocy do Dzierśława z Rytwian, zaprzyjaźnionego z arcybiskupem wpływowego magnata, prosząc go, by wejrzał w jego sprawę i doprowadził do cofnięcia owej nieszczęsnej uchwały sejmu. A że tamten w młodości sam się dopuszczał rozlicznych deliktów, raz nawet zrabował srebra z jakiegoś kościoła, miał Grzegorz podstawy, by przypuszczać, że do przewinień

Kallimacha odniesie się wyrozumiale – i rzeczywiście tak się stało. Czując tedy za sobą protekcję Dzierśława, Filip coraz częściej odważał się opuszczać zamek, a w dniu swoich urodzin, pierwszego maja, spotkał się z Fannią w Przemyślanach. Ona mu wtedy, w urodzinowym darze, uplotła z wielkim kunsztem coś na kształt diademu z wiosennych kwiatów, w rodzaju owych kwietnych stroików, jakimi Rusinki przyozdabiają od święta swoje nakrycia głowy. Zapytałam Filipa, czy to o tym wieńcu pisał w elegii Do Glauka.

– Tak! – rozpromienił się. – A Glaukus, jeśli chcesz wiedzieć – dodał – naprawdę w tym czasie mnie odwiedził w Dunajowie.

– A kto to taki, ten Glaukus?

– To nie mówiłem ci o nim? Stary mój kompan, jeszcze z weneckich czasów, poznaliśmy się bodaj u Laury Biondi, w owym czasie najwykwintniejszej z tamtejszych ladacznic. On się właściwie nazywa Marino Condulmer; imię Glauka, tak jak ja Kallimacha, przyjął później w Pomponiuszowej Akademii, gdzieśmy razem byli. Od dnia mojej ucieczki z Rzymu nie widziałem go na oczy i nie wiedziałem, co się z nim dzieje, aż tu pewnego dnia tamtej wiosny puka Grzegorz do mojej izby, mówiąc, że mam gościa. Zrywam się radośnie, przekonany, że to Fannia tak się bez zapowiedzi zjawia – a to Glaukus! Doszły go, powiada, słuchy, że jestem we Lwowie, i postanowił mnie odwiedzić, żeby zobaczyć, czy mi czego nie trzeba.

– To bardzo szlachetnie z jego strony – przyznałam. – Jednakże niepotrzebnie ci przerwałem, kiedyś mówił o tym wianku od Fanni.

– Och, to nie był zwykły wianek – zastrzegł stanowczo – lecz istna korona, tyle że z żywymi kwiatami zamiast drogich kamieni. Uwieńczywszy mnie nią, poprowadziła za rękę na łąki, gdzie wśród wysokich traw pozwoliła mi wreszcie na to, przed czym dotąd tak długo się wzbraniała.

– I jak było? – zadałam pytanie, jakie zwykle pada w męskich rozmowach, gdy któryś z nich zwierza się z podobnych rzeczy.

– Hm, widzisz, mój drogi – odrzekł z bezradnym uśmiechem – tego rodzaju doznań nie da się przechować w pamięci, by je sobie potem odtwarzać, tak jak się w myśli recytuje wiersz. Ale z pewnością było cudownie, bo jakże miało być inaczej? Na początku musiało nas pewnie trochę boleć, ale to mi zupełnie z głowy wywietrzało, za to pamiętam, jakeśmy z tych łąk wracali, objęci wespół i rozrzewnieni oboje. I pamiętam

też, że tak samo jak przedtem, także i potem każdego dnia śniłem na jawie, że jej znowu dosiadam.

Na ogół jednak musiał Filip w tej mierze poprzestawać na marzeniach, bo wciąż jeszcze nierozważnie było opuszczać zamek. Aż wreszcie Paweł II zrobił mu tę uprzejmość, że rozstał się z tym światem, o czym wiadomość dotarła do Dunajowa w pierwszych dniach lipca, a w połowie sierpnia okazało się, że nowym papieżem będzie kardynał della Rovere, co dla mojego pryncypała oznaczało jeśli nie koniec banicji, to na pewno koniec zamknięcia w zamkowych murach.

Rzecz ciekawa, ów Glaukus, który tyle był sobie zadał trudu, by Kallimacha odwiedzić w jego odosobnieniu, na wieść o śmierci ich wspólnego wroga przypomniał sobie nagle, że musi pilnie się zająć jakimiś ważnymi sprawami w Wenecji, i bardzo się szybko ulotnił.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że przybył wtedy do Polski w jakichś złych zamiarach – opowiadał Filip ze smutkiem. – Lecz kiedy potem bywałem w Wenecji, on mnie zawsze starannie unikał, jakby miał o coś żal do mnie albo jakby miał wobec mnie nieczyste sumienie. Wiem, że tamtej nocy, kiedy uciekłem z Rzymu, on także zbiegł i dotarł do Wenecji, gdzie go władze tamtejsze wtrąciły do lochu. W końcu jednak wyszedł na wolność, nie wiadomo za jaką cenę. Może za obietnicę wyciągnięcia mnie z mojej kryjówki?

– A może po prostu – przyszło mi nagle do głowy – jego dziwne zachowanie brało się stąd, że wpadła mu w oko twoja Fannia i przez to nie mógł spokojnie patrzeć na wasze szczęście?

– Och, to bym zrozumiał – zaśmiał się Filip. – W takim razie dobrze, że nie dane mu było zobaczyć tego szczęścia rozpadu. Niech mi nadal zazdrości!

– A z czego wziął się ten rozpad? – zapytałam.

– Och – westchnął głęboko – trudno powiedzieć. Zaczęło się od tego, że pewien ormiański kupiec winny, zatrzymawszy się przejazdem w Przemyślanach, zwrócił uwagę na Fanni urodę, a jeszcze kiedy się okazało, że ona umie mówić nie najgorszą polszczyzną (bo Grzegorzowe nauki nie poszły w las), a nadto pięknie śpiewa, umie się w dobrym towarzystwie zachować i na dodatek można się z nią w razie potrzeby dogadać po włosku, to od razu chciał ją zabrać do Lwowa, żeby tam w jego winiarni posługiwała. Tak od razu nie pojechała, bo najpierw chciała mi o tym powiedzieć, a ja, oczywiście, na pierwszą wzmiankę

o tym naskoczyłem na nią, że po co chce iść na służbę do obcych ludzi, którzy nie wiadomo, jak ją będą traktować i czego będą od niej chcieli, w tym wielkim mieście Lwowie, jakby jej w sielskich Przemysłanach źle było. Ona patrzyła na mnie uważnie, nic nie mówiąc, a kiedy skończyłem moją przemowę, oznajmiła cicho: „Muszę się nad tym zastanowić”. Tego dnia skąpiła mi pieśczoć, mówiąc, że się czuje niezdrowa, ale obiecała, że mnie nazajutrz odwiedzi na zamku. Nie przyjechała. – Przygryzł wargę. – No to na drugi dzień ja pojechałem do niej, żeby się dowiedzieć, co się stało. A jej już nie było. Przyjechał po nią ten Ormianin i zabrał do Lwowa. To pojechałem i ja do Lwowa. Tam ją znalazłem, w znanej mi dobrze winiarni „Ararat”, w piękne, nowe szatki przystrojona, wesoła, szczęśliwa, jakbym jej wcale do niczego już nie był potrzebny. Podchodzę, mówię do niej: „Faniu, porozmawiajmy”. Ona na to: „Usiądź, zaraz podejść”. Usiadłem. Podeszła, stanęła i od razu zwraca się do mnie po włosku: „Czego się napijesz? Mamy węgierskie, mołdawskie, wołoskie, weneckie...”. Widzę, że nie siada, więc też wstaję, i mówię: „Co ty tu robisz, Fanniola?”. „Pracuję”, mówi i wzrusza ramionami. „Kochanie, ja nie chcę, żebyś tu pracowała!”, mówię jej. „Nie chcesz, powiadasz? – prychnęła, patrząc mi zuchwale prosto w oczy. – A ty kto dla mnie jesteś, żeby mi mówić, co ja mam robić?” Po tych słowach wiedziałem już, że żarty się skończyły. „Faniu – mówię błagalnie – po co się wadzić, przecież się kochamy! Teraz jestem już wolny; wyjdź za mnie!” I chciałem uklęknąć, ale mnie przytrzymała za łokcie. „O jedno cię proszę: nie rób mi tu wstydu!”, syknęła. I dodała ze wzgardą: „Och, biedaczysko! Zrywa się, oczy przeciera, a tu dawno po jarmarku!”. W tejże chwili zawołał ją ktoś z drugiego końca piwnicy, więc nie czekając, co jej odpowiem, odfrunęła ode mnie tym swoim drobnym kroczeniem, który dawał złudzenie, że unosi się tuż nad podłogą, a ja stałem tam, skamieniały, czując, jak ogarnia mnie całego grobowy chłód, chociaż to był upalny, sierpniowy wieczór.

Zamilkł, ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby na nowo przeżywał tamtą klęskę.

– I to już był koniec? – odważyłam się w końcu przerwać milczenie.

– Tak, koniec – odrzekł – ale i nie koniec. Jeszcze się to ciągnęło czas jakiś. Ostatnie drgawki umierającej miłości. Zatrzymałem się we Lwowie, chociaż nic tam nie miałem do roboty, bo żeby znowu pracować dla Ajnolfa, nie czułem się na siłach. Co kilka dni zachodziłem do „Araratu”,

chcąc na nią popatrzeć, choć przez chwilę, z daleka. Najbardziej mnie zdumiewało, że jest taka wesoła, że chwilami nawet, i to dźwigając ciężką stągiew, zaczyna głośno śpiewać na nutę, którą akurat kapela podrzucała. Dopiero gdy zauważyła mnie, sterczącego gdzieś tam na progu ze zboląłą miną, rysy jej tężały. Czyli, wmawiałem sobie, wciąż nie jestem jej całkiem obojętny, i jej też nie jest z tym lekko. Aż któregoś razu przyszedłem, a jej tam nie było, tylko jakaś inna dziewczyna, o wiele brzydsza. Podeszedłem do niej i zapytałem o Fanię. „Fania w domu, chora”, odpowiedziała. „W domu, to znaczy?”, dopytuję. „U nas, w izbie służebnej”. Wskazała palcem na sklepienie.

Z niewielkim już trudem udało się Kallimachowi dotrzeć do skromnej izdebki, którą Fannia dzieliła z ową dziewczyną i jeszcze jedną dziewczką kuchenną, lecz o tej godzinie zastał ją zupełnie samą. Była rzeczywiście chora. Leżała na pościeli w nieświeżej bieliźnie, blada, rozczochrana, z zapuchniętymi oczami, a wokół niej unosił się ciężki zaduch choroby. Na widok Filipa, widocznie spłoszona, natychmiast podciągnęła pod samą nos derkę, którą była nakryta. On, przykucnąwszy tuż przy niej i lewą ręką nieznacznie odsuwając od siebie po nierównej podłodze przykryty pokrywką nocnik, aż w nim zachlupotało, zaczął do niej czule przemawiać, dopytywać, co jej jest. Fannia najpierw uparcie milczała, aż w końcu burknęła ze złością:

– Idź stąd! Nie mogę na ciebie patrzeć!

– Dobrze, dobrze – odrzekł łagodnie. – Zejdę ci zaraz z oczu, tylko mi opowiedz, co ci dolega. Mój wuj z pewnością zna tu najlepszych lekarzy.

– Ja od pana Kardaszewicza mam swojego doktora! – odszczeknęła się butnie. – Zresztą już mi lepiej.

– Naprawdę? – zapytał Filip z powątpiewaniem i dotknął jej czoła. Było rozpalone. – A co z twoimi oczami? Bardzo piekają?

Nie od razu odpowiedziała.

– Jakby mi je kto nożem wyrzynał – wyznała wreszcie płaczliwym głosem, by po chwili znienacka dorzucić gniewnie: – A wszystko przez ciebie!

On, zaskoczony, zatrzepotał powiekami.

– Coś taki zdziwiony? – warknęła. – Samo mi się to nie zrobiło!

– A więc ty uważasz, że ja cię czymś zaraziłem?

– Nie. Uważam, żeś mi coś zasiał na tym poletku, co miało jeszcze odłogiem leżeć!

Dopiero po tych słowach zaczęło do Filipa docierać, co się właściwie stało – chociaż nie do końca. Zapytał ją szeptem, czy chce przez to powiedzieć, że jest brzemienna.

– Ona na to zrazu nic mi nie odrzekła – opowiadał mi dalej – tylko przymknąwszy obrzękłe powieki, ciężko westchnęła. Wreszcie jednak odezwała się głosem tak bezbarwnym, jakby mówiąc, myślała jednocześnie o czymś innym: „Wyrwałam chwasta...”. „Co?”, bezwiednie podniosłem głos i urwałem, myśląc, że się musiał przesłyszeć. „Czemuś to zrobiła?”, odważyłem się zapytać po chwili. „A co – odrzekła wyzywająco – może byś się ze mną ożenił?” „Chyba w to nie wątpisz!”, mówię, a ona: „Czy ja wątpię, czy nie wątpię, nie twoja rzecz. A może to ja bym cię wcale nie chciała? Myślisz, że jak raz ci dałam na siebie wleźć, to już do grobowej deski byłam gotowa się z tobą męczyć?”. „Nie, tak nie myślę – zapewniłem ją. – Ale myślę, a nawet jestem pewny, że mnie kochałaś”. Na te moje słowa wydeła wzgardliwie swoje pełne usteczka i odpowiedziała mi tak: „Och, wy, panowie, nic tylko o tym kochaniu, że niby ono ma starczyć za wszystko. Nasłuchiwałam się dość od mojej matuli, ona was zna jak zły szeląg. Prawda, ten Bolko, co jej mnie z patyka wystrugał, to chociaż karcznię jej dał”. Zacząłem coś tłumaczyć, że ja wprawdzie karczmy nie mam, ale... Tu mi jednak przerwała, mówiąc: „Myślisz, że o to mi chodzi? Dla mnie mógłbyś być i parobkiem od gnoju przerzucania, gdybyś mnie tylko szanował”. „Przecież szanuję!”, rzekłem z naciskiem, czując się jej słowami mocno skrzywdzony, ale ona na to moje zapewnienie tylko szyderczo rozciągnęła wargi, mówiąc: „Myślałby kto!”. I zaraz dodała ze złością: „Masz mnie za głupią? O tak, głupiutka ta Fania, chociaż bużkę ma całkiem, całkiem, to jednak wstyd się z nią przed ludźmi pokazać; ale nic, damy jej nauki, podciągniemy, a Filipek tymczasem sobie pomaca, bo ona mu, głupia wsiocha, nie będzie przecież macania żałować”. „Ależ Faniu – przemówiłem do niej, kładąc rękę na piersi, by w ten sposób rozwiązać i jej nieufność, i własne wątpliwości, które mi sumienie podszeptywało – ja nigdy, ani przez chwilę, nie pomyślałem o tobie, że jesteś głupia!” „Gadaj zdrow – odparła spokojnie. – Przyszła na mnie taka chwila, że nagle, jakby zstąpiła na mnie jasność, przejrzałam cię na wylot. I wtedy od razu wiedziałam, że za nic nie chcę twojego pomiotu. Na samą myśl o nim czułam, jak mnie słabi. No to dałam komu trzeba dwa trzeciaczki, dostałam za to napar z arcydzięgielu, ruty i czegoś tam jeszcze, wypić. No, troszeczkę mi to trzewia

powykręcało, nie powiem – ale warto było! Tylko że...” Unosząc wysoko brwi, z trudem rozwarła obrzmiałe powieki, ukazując oczy zaciągnięte krwią jak rozcięty brzuch ryby. „Tylko że potem jeszcze to mi się przyplątało”. Po wypowiedzeniu tych słów opadła głową na siennik, rozsypując na nim pozlepiane włosy, wciąż tej samej barwy kasztanowej, tylko że teraz smętnie zmatowiałej, tak jak to się z czasem dzieje i z prawdziwymi kasztanami.

– A wiesz, chłopcze, co mnie najbardziej dziwi, kiedy teraz o tym myślę? – Kallimach nachylił się ku mnie, zniżając głos, jakby chciał mi jakiś sekret zawierzyć. – Że wbrew wszystkiemu wstępowała we mnie w tamtej chwili nadzieja. Bo choć przykre były słowa, które do mnie kierowała, to nagle nabrałem przekonania, nie wiem skąd, że wierną służbą zdołam wkrótce uśmierzyć jej złość. Dlatego złorzeczenia jej puszczałem mimo uszu, a niepokoiłem się głównie jej chorobą, z powodu strasznej myśli, co mi się tłukła po głowie, że może Fanni pozostać po tej przypadłości taki sam wstrętny zez, jaki szpecił Olenę Sfantochę, jej matkę. Zaraz też pognałem do wuja Ajnolfa, by go rozpytać o najlepszego w mieście lekarza. I tak się szczęśliwie złożyło, że akurat zajechał w jakichś sprawach do Lwowa doktor Stanko, lekarz królewski, sława wielka, musiałeś o nim słyszeć na wydziale.

Oczywiście o tym Stance nie tylko słyszałam, ale też zdążyłam na pierwszym roku moich studiów medycznych wysłuchać kilku jego wykładów, zanim niespodziewanie zmarł, rażony apopleksją. To prawda, że do dziś krążą legendy zarówno o jego dogłębnej znajomości historii naturalnej, jak i niespotykanych osiągnięciach na polu medycyny. Gdy się Kallimach do niego zwrócił, okazało się, że doktor już co nieco o nim słyszał, a zwłaszcza o tym, jak bardzo zawziął się był na niego nieboszczyk papież, co Stankę szczególnie życzliwie do mego pryncypała nastawiło, toteż bez wielkich trudności dał się sławny ów medyk zaprowadzić do izdebki Fanni. Dokonawszy starannych oględzin, uspokoił Filipa, że przypadek dziewczyny nie jest groźny, zalecił okłady z chabru, świetlika i babki, nakazał jej pić regularnie gorący napar z kwiatu lipy i malin, miodem słodzony, a po tygodniu wyparzyć się w łaźni, co powinno ostatecznie wypędzić chorobę. Zdaje się, że się Fannia do jego zaleceń zastosowała, gdyż już po tygodniu z okładem znowu podawała wino w „Araracie”, jednak w najmniejszym stopniu nie poczuwała się do żadnej wdzięczności w stosunku do Filipa; przeciwnie, zdaje się, że kiedy

go tam widziała, tym bardziej bezwstydnie przymilała się do innych gości, śmiała się, kiedy ją, zajęta nalewaniem, próbowali łapać za cycki, a nawet w przelocie nie wahała się tego czy innego z nich obdarzyć buziakiem. Możesz chyba sobie wyobrazić, Enneleyn, bezsilną wściekłość Filipa, gdy na to patrzył, a zwłaszcza, myślę, jego rozpacz i ból.

Powiedziałam mu, że czytałam jego gniewne wiersze, w których piętnuje Fannię za to, że dopuściła się spędzenia płodu.

– Właściwie to byłem na nią zły o to, że mnie kochać przestała – rzekł mi na to z zastanowieniem. – Rozumiałem, że miała swoje powody, więc próbowałem ją ująć pokorą i skruchą. Ale że to nie skutkowało, w wierszach dawałem upust mojej złości, nieraz bardzo przy tym niesprawiedliwie ją osądzając.

Dopiero kiedy ostatecznie zaczęła w nim wygasać nadzieja, osłabły też stopniowo kłające go zmory, które widocznie nią się właśnie żywiły. Aż wreszcie pojawił Kallimach, że czas najwyższy przestać do „Araratu” zaglądać i wciąż na nowo rozdrapywać tam własne rany.

Wtedy postanowił, że oddali się ze Lwowa, ale, przynajmniej na razie, nie wróci do Włoch, tylko poszuka szczęścia w Krakowie, siedzibie królów Polski, bo chyba już wtedy czuł się mimo wszystko w tym kraju coraz bardziej u siebie, co nie do końca wiem, jak ci wytłumaczyć, choć ja sama bardzo dobrze go rozumiem.

Arcybiskup Grzegorz zalecił mu serdecznie, aby przede wszystkim postarał się zawczasu o przychylność biskupa kujawskiego Zbigniewa Oleśnickiego – późniejszego prymasa – i Jana Długosza, wychowawcy synów królewskich, biegłego w łacinie i trochę też zabawiającego się układaniem wierszy. Ten drugi akurat wyprawił się był do Pragi, towarzysząc królewiczowi Władysławowi, którego Czesi poprosili, aby objął u nich tron, zgodnie z wolą zmarłego ich króla Jerzego, husyty.

– Jakoś jeszcze za życia Pawła II – opowiadał mi Kallimach – odważyłem się posłać na ręce Jana z Targowiska, wówczas sekretarza królewskiego, panegiryk na cześć królewicza Władysława. Trochę się przy tej okazji zbłąźniłem – uśmiechnął się – bo nie wiadomo czemu wbiwszy sobie do głowy, że to przeciw Niemcom mają Jagiellonowie Czechów zabezpieczać, zakończyłem ów podniosły utwór, wygrażając palcem Germanii, za to, że się ośmiela występować przeciw Władysława prawowitej władzy. Tymczasem wtedy było akurat na odwrót: Habsburgowie mu sprzyjali, podczas gdy to węgierski król, Maciej

Korwin, władca bitny i prężny, zamierzał sam sięgnąć po tron w Pradze, mając już od dwóch lat poparcie tej części czeskiej szlachty, która pozostała wierna Rzymowi, i zresztą panując już w pełni nad tymi ziemiami ich królestwa, które przylegają do Polski. Na szczęście na moją wpadkę nikt wówczas nie zwrócił uwagi, możliwe, że po prostu nikomu się nie chciało owego ociekającego lukrem peanu doczytać do końca. To doświadczenie jednak mnie czegoś nauczyło: nie wyskakiwałem już z kolejnym dziełem pochwalnym, kiedy miesiąc po tym, jak Władysławowi udało się dotrzeć do Pragi, drugi polski królewicz, Kazimierz, wtedy jeszcze zupełny dzieciak, dał się wciągnąć w bunt części Węgrów przeciw ich władcy i wybrał się do Budy na czele niewielkich sił zbrojnych w przekonaniu, że Maciej zaraz zostanie obalony, a on zajmie jego miejsce na tronie – co się skończyło rozpaczliwą klęską.

W końcu, u progu wiosny – kto wie, być może nawet w tym samym dniu 21 marca, w którymś ty, Enneleyn, przyszła na świat – z błogosławieństwem Grzegorza i wuja Ajnolfa puścił się Filip w drogę i po dwóch tygodniach dotarł do Krakowa. Miasto od pierwszej chwili zrobiło na nim potężne wrażenie, ze swymi wielkimi kościołami, złotymi wieżami ratusza i zamkiem królewskim na wyniosłym wzgórzu, wyższym, jak mu się zdawało, od Skały Tarpejskiej. Wokół – wspominał – kłębił się tłum ludzi, o wiele za liczny, by się wszyscy mogli łatwo w obrębie murów miejskich pomieścić. Odnalazł Akademię, gdzie z listem polecającym od Grzegorza uzyskał posłuchanie u rektora Klemensa z Górki.

– Grzegorz był przekonany – opowiadał z lekkim grymasem – że przyjmą mnie tam z otwartymi ramionami, abym przynajmniej jako docens extraneus wykładał u nich retorykę i gramatykę na trivium, ale jak się okazało, rzecz nie była taka prosta, bo nie miałem dyplomu ani z Akademii Florenckiej, gdzie nie wytrwałem do końca studiów, ani też, rzecz jasna, z rzymskiej, jako że Pomponiusz żadnych świadectw na piśmie nikomu nie wydawał. Cieszę się, Georgiuszu, że nie bierzesz ze mnie w tym względzie przykładu.

Klemens, który sam posiadał zaledwie tytuł doktora dekretów, mimo najlepszych chęci mógł dla Filipa zrobić tylko tyle, że wpisał go na listę szkolarzy i zgodził się, by z pominięciem przyjętego toku studiów zaliczał wszystkie egzaminy w trybie zaocznym, aż do uzyskania tytułu bakałarza. Tymczasem zawierał Kallimach w Krakowie miłe znajomości – jak choćby z księdzem Heydeckem, którego właśnie wtedy po raz pierwszy nazwał

Miryką, co się szybko przyjęło – i rozglądał się za jakąś ładną buzią, przy której mógłby zapomnieć o Fanni.

Pod koniec lata nadszedł list od Grzegorza z wiadomością, że dziewczyna powróciła do Przemyślan i niebawem wychodzi za mąż, za jakiegoś, jak to jego ekscelencja zechciał ująć, egregium iuvenem, czyli „świątecznego chłopaka”, pięknie grającego na multankach.

– Prawie już wmówiłem sobie, że się z tego cieszę – opowiadał mi szczerze Filip. – Że dobrze, niech będzie szczęśliwa i żyje godnie, z dala od pijackich zaczepki, z mężem, co będzie jej czary opiewał na fletni Pana zapewne lepiej niż ja w mych dystychach. Tak sobie to wszystko próbowałem wytłumaczyć, ale jednak się wściekłem, kiedy Niccolò Giustini, również zatrudniony u Ajnolfa, przesłał mi, zapewne bez żadnych złych zamiarów, wiadomość, że narzeczony Fanni, owszem, umie grać na multankach, ale poza tym to zupełnie nieokrzesany prostak, z gęby podobny do ropuchy i, jak pisał Niccolò, „szkoda dla niego takiej dziewczyny”. Długo się tym gryzłem, ale w końcu trzeba mi było się pozbierać, bo wrócił z Pragi Długosz, a już w tym czasie dobrze wiedziałem, że jeśli mam coś w tym kraju osiągnąć, to muszę zyskać jego poparcie. Na szczęście w swoim czasie jeszcze z Dunajowa przesłałem mu epitafium na śmierć jego brata i dołączyłem sążnisty dytyramb na cześć jego samego, w którym bezwstydnie przyrównywałem go do Orfeusza i Homera, oczywiście przyznając mu wyższość nad nimi oboma. Nic więc dziwnego, że bez większych trudności zgodził się mnie przyjąć w swoim domu, tu niedaleko, u wylotu Kanoniczej ulicy. – Filip wskazał ręką w stronę zamku. – Zdaje się, że w czasie tego posłuchania udało mi się skutecznie zataić, jak bardzo inaczej niż on na niejedną rzecz patrzę, skoro od razu przyszło mu na myśl, że mógłbym z nim dzielić obowiązki wychowawcy synów królewskich. Wyszedłem od niego na tyle podniesiony na duchu, że tegoż dnia napisałem, ot tak, dla dogodzenia sobie, epitalamium na ślub Fanni i jej narzeczonego fletnisty.

– W wierszach nazywasz go Muzeuszem – zauważyłam. – A jak miał naprawdę na imię?

– Nawet nie wiem. – Pokręcił głową. – I jak naprawdę wyglądał, też nie mam pojęcia i nic mnie to nie obchodzi. Jego imienia chyba nikt przy mnie nie wymienił, a ja nie dopytywałem. Dziś nie wiem nawet, czy Fannia żyje jeszcze, a jeśli tak, to czy coś pamięta z tego, czegośmy ją w dunajowskim zamku uczyli, bo sam nigdy już do Przemyślan nie

zajrzałem, a Grzegorza też wolałem nie wypytywać, widząc po tym, co mi pisał, że on na starość coraz bardziej dziwaczny. W którymś liście, na przykład, chełpił się przede mną, że chcąc poznać prawdziwe zamiary domowników, przez kilka dni udawał przed nimi, iż mu rozum odebrało. Gdym to czytał, pamiętam, pomyślałem sobie, że chyba aż tak bardzo nie musiał tego udawać.

Muszę teraz przerwać mój list, Enneleyn, gdyż już litery pływają mi przed oczami ze zmęczenia, a przecież trzeba mi będzie wcześniej wstać i stawić się w szpitalu. Niewiele zresztą bym tu mogła dodać, bo wprawdzie chciałam jeszcze wypytać Filipa o inne jego dawne miłości, przedstawione w poezjach pod różnymi imionami, ale że zrobiło się późno, powiedzieliśmy sobie dobranoc, toteż napiszę ci o nich kiedy indziej, o ile się tylko czegoś dowiem.



Ciężką miałam dziś służbę, nie tyle nawet przez złośliwość duchaków, co za sprawą coraz szybciej rosnącej liczby takich chorych, którzy zanim jeszcze się dobrze umoszczą na szpitalnych barłogach, już ich z nich trzeba znosić. Chyba z pół setki śmiertelnych istot opuściło dziś nasz czcigodny przybytek nogami do przodu, a mnie przypadł w udziale zaszczyt dotrzymywania w tej ostatniej drodze towarzystwa prawie połowie z nich. Mam na myśli tych, których osobiście przenosiłam z łoża śmierci na katafalk, a także tych, przy których dane mi było pełnić tę posługę aż do zrzucenia do wykopu inclusive. Po południu okazało się bowiem, że grabarzy jest za mało, aby byli w stanie uwinąć się na czas z przewożeniem tylu zwłok, więc wyszykowano dla nich dwie dalsze furmanki i przydzielono im sześciu adeptów medycyny, każdego do innego wozu, co pozwoliło obsadzić wszystkie sześć pełniących tę służbę zaprzęgów załogami złożonymi z dwóch doświadczonych grabarzy i jednego studenta każda. Ja zrobiłam dwa takie pełne kursy, w tym za drugim razem byłam świadkiem, jak jeden z grabarzy, spostrzegłszy, że któryś ze zmarłych gryzie od spodu plandekę, po cichu wydobył z sakwy stary, pogięty ciesielski gwóźdź i znienacka przytknąwszy go do płótna, dwoma szybkimi uderzeniami młota wbił go przez tkaninę na całą długość w czoło narowistego nieboszczyka.

– Widzisz, doktoru? – Wskazał rosnącą wokół główki gwoździa plamę krwi na płótnie. – Gdyby to był pospolity trup, toby krwią nie broczył. Szczęście, że zdążyłem mu wbić, zanim on się na nas rzucił.

Powiększył kozikiem dziurę w płótnie, żeby główka gwoździa przez nią przeszła, i odchylił plandekę.

– Patrzcie: baba! – Aż gwizdnął z wrażenia.

– Znaczy się nie upiór, a strzyga – stwierdził ze znanstwem drugi grabarz, oglądając się z kozła. – To jeszcze gorzej.

– Przytrzymaj ją, doktoru, za kudły – polecił mi ten pierwszy.

A gdy zrobiłam, jak mi kazał, sięgnął po tasak i zanim się zdążyłam przestraszyć, od jednego zamachu odciął nieboszczce głowę, tak że aż, zniecka odrywając się od szyi, podskoczyła mi w rękach. W pierwszej chwili wzdrygnęłam się, ale zaraz potem odczułam zdziwienie, większe jeszcze niż przy noszeniu całych trupów, że ludzka głowa może być taka ciężka. Spojrzałam na twarz nieszczęsnej: mogła mieć lat czterdzieści (albo i mniej, tylko śmierć ją tak postarzyła); włosy, za które ją trzymałam, były ciemne, gęste, proste, nos też prosty i nie za długi, podbródek kształtny, wargi pełne, oczy zamknięte (pewnie zaraz po jej śmierci ktoś z duchaków o to zadbał) i nawet można by ją było uznać za ładną, gdyby nie to, że całą twarz miała krostami obsypaną. Dotknęłam palcem jej skroni – była zupełnie zimna. Nie wydaje mi się więc, aby mogła jeszcze być żywa, gdyśmy ją na wóz kładli.

Potem, kiedy już, zrzuciwszy ją z pozostałymi nieboszczykami do wykopu, odmówiliśmy wspólnie na głos przepisane modlitwy, zapytałam mych towarzyszy, czy nie mają przy sobie więcej takich gwoździ – owszem, mieli ich pełno w sakwie, z czego mi kilka szciodrą ręką darowali. Zdaje się, że mnie polubili i przyjęli do swego grona, bo w drodze powrotnej zamiast posępnie milczeć, jak zwykle mają w zwyczaju, rozgadali się, chętnie przytaczając liczne przykłady działania ciemnych mocy, z jakimi ostatnio sami mieli do czynienia, albo przynajmniej słyszeli o nich od naocznych świadków. Święcie wierzą, na przykład, że krościcę i wszelkie inne zarazy przynosi zmora zwana Morową Panną, którą nieraz można zobaczyć w postaci błękitnego płomyka wydobywającego się z ust albo nozdrzy niektórych nieboszczyków – tych, co najstraszniejsze grzechy mają na sumieniu – a czasem znów w postaci łopocącej na wietrze czerwonej wstęgi, wychodzącej przez okno z opanowanego przez zarazę domu. Podobno

kiedyś pewien odważny wieśniak zaczął się pod takim oknem i ostrym nożem odciął dłoń, co tę wstęgę trzymała; sam zaraz umarł, ale zaraza w owej wsi wygasła zupełnie. Jeśli dla grabarzy za zarazą stoi Morowa Panna, to z kolei Relia – ta Cyganka, która Kallimachowi wróżyła szczęście u boku blondynki, a z którą ja później jeszcze dwa czy trzy razy wdałam się w pogawędkę – otóż Relia jest przekonana, że zaradzić na krościcę może tylko Święta Szitala, czy to za pośrednictwem sprzedawanych przez nią, Relię, amuletów, czy też, gdy one zawiodą, zjawiając się we własnej osobie ze srebrnym kropidłem, którym skrapia gorączkujących chłodną wodą życia. Relia, gdy ją ostatnio napotkałam, zdawała się zupełnie nic sobie nie robić z wyprysków, którymi była cała obsypana, zarówno ona sama, jak i obie jej córeczki, zdając się całkowicie na opiekę owej nieznannej mi dotąd świętej. Na próżno starałam się ją nakłonić, by poszła do domu leczyć siebie i córki – od razu zapytała przytomnie, jakie leki mogę jej na krościcę zalecić, a gdy nie miałam na to odpowiedzi, zachichotała tylko. Mam nadzieję, że paląc na cześć Szitali święte ognie, Relia wraz ze swymi dziewczynkami przeżyje, ale trudno mi tu być dobrej myśli, jako że jej od ładnych kilku dni nie widziałam.

Muszę ci się teraz zwierzyć z mojego nowego zmartwienia, chociaż właściwie nie jest ono nowe, ale rzecz w tym, że to, co jeszcze kilka dni temu było jakimś niejasnym złym przeczuciem, teraz, niestety, przeradza się w pewność. Możesz się ze mnie śmiać, Enneleyn, ale ja chyba już nigdy nie pójde się kąpać na bagna Żabiego Kruka – bo się po prostu boję. Tam naprawdę ktoś za mną chodzi. Nie wiem kto, nie chcę wiedzieć, ale ktokolwiek to jest, czuję wyraźnie, że ma wobec mnie jakieś bardzo złe zamiary.

I teraz znów zachodzę w głowę, gdzie by tu się w takim razie kąpać po powrocie z tej umieralni, w jaką się szpital Świętego Ducha zamienił. Jedyne, co mi do głowy przychodzi, to owa rzeczka, w którejśmy się zabawiali w rybaczkę, będąc gośćmi burmistrza Mornsteina. Jest tam dość płytko, żeby nie utonąć, a dość głęboko, by się po szyję zanurzyć, tyle że raczej nie odważę się tam rozbierać za dnia. Mogę wyjść z miasta przed zmierzchem, a po kąpieli przenocować w którejś z gospód w Kleparzu, miasteczku, o którym ci już chyba wspominałam, przylegającym do murów Krakowa od północnej strony, które żyje głównie z dawania

noclegu tym, co przed zamknięciem bram nie zdążyli do stolicy powrócić. Kallimachowi chyba trzeba będzie powiedzieć, że teraz, ze względu na duży przepływ chorych, będą nas potrzebować w szpitalu dzień i noc. Głupio mi go tak okłamywać; chciałabym, jak żyję, móc być z nim zupełnie szczerą – cóż, kiedy cała moja z nim zażyłość zaczęła się przecież dawno temu od pewnego niewinnego kłamstewka, z którego, przynajmniej na razie, nie ma odwrotu, a wszystkie inne kłamstwa, jakich się wobec niego dopuszczam, z tego pierwszego wynikają, co znaczy, że się ich nie da uniknąć.



Dwa dni, chowając się przed światem, ale bardziej jeszcze przed własnymi myślami, nie ruszałam się ze swojej izby, nawet za potrzebą. Przez cały ten czas leżałam, raz po raz z boku na bok się przewracając, i tylko z rzadka się na chwilę podnosiłam, żeby od dogasającej świecy odpalić następną – bo mnie ciemność przeraża – albo, gdy już mnie bardzo przypiliło, przysiąść na nocniku. Kilka razy w tym czasie pukała do mnie Agnieszka, raz sam Kallimach; za każdym razem odburkiwałam, że śpię. Do szpitala nie chodzę, niech mnie skreślą z listy doktorantów, jeśli zechcą; nie dbam o to. Chociaż, jak by się tak zastanović, nikt dotąd z grona profesorskiego nawet na chwilę do Świętego Ducha nie zajrzał, żeby sprawdzić, jak my się tam sprawujemy, czy jest z nas jakiś pożytek i czy z tego, co tam robimy, możemy jakąś naukę wyciągnąć, możliwe więc, że nawet nie będą o moim zaniedbaniu obowiązków wiedzieli, chyba że im duchacy doniosą.

Zbieram się, żeby ci pokrótce zdać sprawę z tego, co mi się przydarzyło, chociaż sama wolałabym o tym zapomnieć, ale że całkiem tego wymazać z pamięci się nie da, nie widzę dla siebie lepszego wyjścia, jak podzielić się tym ciężarem z tobą, za co cię z góry przepraszam.

Było tak: w sobotę, tak jak sobie umyśliłam, wyszłam przed zachodem słońca przez jedną z północnych bram Krakowa, niosąc w tobołku czystą koszulę i wszystko, co jest do mycia potrzebne. Kiedy dotarłam do owej łączki nad Prądnikiem, było już całkiem ciemno. Zrzuciłam z siebie wszystko, odpięłam też mieszek i zesłam do wody, żeby się wykąpać. Rzecz jasna, bardzo się starałam nie robić przy tym hałasu. Kiedy już

splukałam z siebie całe mydło, wyskoczyłam co prędzej na trawę i owinęłam się w płócienne prześcieradło, żeby wchłonęło ze mnie wilgoć, zanim się zaczę ubierać.

I nagle, kiedy drugą sztuką płótna wycierałam włosy, poczułam na sobie czyjeś łapska. Zaczęłam się wyrywać, ale to był ktoś dużo silniejszy ode mnie, większy i cięższy – mężczyzna. Obalił mnie na ziemię i przydusił łokciem, warcząc: „Cicho bądź! Cicho bądź, mówię!”, chociaż ja wcale nie krzyczałam, nie chcąc, żeby się ludzie zbiegli i mnie tam gołą znaleźli; kopałam jedynie nogami i rękami próbowałam go szarpać, za co tylko się dało, ale szybko dałam za wygraną, gdy mnie mocniej przydusił, i nawet się już nie broniłam, jak mi nogi rozwierał i wpychał się we mnie, chociaż jedną ręką sobie przy tym musiał pomóc, żeby trafić, gdzie zamierzał.

Ja, przyznam ci się, cała zmartwiałam ze strachu i z nagłego, szarpiącego bólu, a on zaczął jeździć na mnie tam i z powrotem, pomrukując przy tym z lubością i na twarz mi kapiąc z gęby cuchnącą śliną, aż zebrałam się w sobie i ręką po omacku wodząc po trawie wokół, natrafiłam na wystający z niej spory kamień. Nie wiem, jakim cudem udało mi się go z ziemi wyrwać i z całej siły ugodzić nim draba prosto w skroń, aż wydał z siebie głuchy jęk i opadł nosem na moje ramię. Nie czekając, aż ochłonie, śpiesznie spod niego wyskoczyłam i chwyciwszy teraz kamień oburącz, zaczęłam go nim walić raz po raz w kark i tył głowy, aż posłyszałam, a może poczułam, jak mu się kości kruszą, i zresztą widać było, że nie daje już żadnych oznak życia.

Potem usiadłam, myśląc, co tu robić. Mogłam go zepchnąć do wody, ale by go prędzej czy później wyłowili z Wisły, do której Prądnik wpada nieopodal, i kto wie, czy by po nitce do kłębka nie doszli w końcu, co mu się stało i kto mu to zrobił. Ale przyszło mi do głowy co innego. Wyjęłam z tobołka gwóźdź, ten, co mi go grabarze dali, i przewróciwszy z niemałym trudem trupa na plecy, namacałam po ciemku jego czoło i tym samym kamieniem wbiłam w nie gwóźdź aż do oporu. Potem złapałam nieboszczyka za buty, pociągnęłam do rzeczki i powlokłam po mulistym dnie na drugi brzeg. Stamtąd, co mnie najwięcej kosztowało wysiłku, musiałam go jeszcze, będąc wciąż całkiem naga, spory kawał drogi przeciągnąć przez zarośla aż do wykopu ze zwłokami zmarłych na zarazę. Tam go wreszcie zrzuciłam i odeszłam w nadziei, że się wśród dziesiątków innych trupów zagubi.

Na koniec przeprowiłam się znów na lewy brzeg Prądnika, tam odnalazłam swoje rzeczy, ubrałam się i co prędzej dotarłam do gospody w Kleparzu. Nawet nie bardzo pamiętam, jak nazajutrz powróciłam na Kanoniczą ulicę. Resztę już wiesz.

Jeśli po tym, co ci tu wyznałam, nie będziesz już chciała dostawać ode mnie listów, zrozumieć i zniknę z twojego życia. Jeśli zaś uznasz, że trzeba mnie wydać katu – i tego nie będę ci miała za złe, gdyż sama nie wiem, czy byłoby rzeczą słuszną, żeby mi to, czego się dopuściłam, uszło płazem. Pozostawiam więc rzecz tę do twojego osądu.

Bądź szczęśliwa i niezmiennie dbaj o rodzinę.

Dałam w Krakowie,

we wtorek,

13 września

1496.

LIST X

Wiele bym dała, żeby tak do twojej głowy móc zajrzeć i przekonać się, co ty sobie teraz o mnie myślisz, Enneleyn – po tym wszystkim, czym cię uraczyłam w moim ostatnim liście. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że czujesz do mnie przemożną odrazę i uważasz mnie za pozbawionego ludzkich uczuć potwora. Tak, nie zdziwiłabym się nic a nic, bo mnie samej od tamtego czasu zdarza się patrzeć na siebie ze zdziwieniem, a nawet z pewną niechęcią, jak na kogoś obcego, czyjego towarzystwa bynajmniej nie szukam.

Co mnie w tym najbardziej zaskakuje, to że wcale mnie sumienie nie gryzie. Owszem, mam świadomość, że ów osobnik, który tak niefortunnie wszedł mi był w drogę, mógł być dla kogoś ukochanym tatką, mężem, bratem czy synem, toteż ci, co go stracili, mogą go przez całe życie opłakiwać, tym bardziej że, jak dobrze pójdzie, nigdy się nie dowiedzą, co się z nim stało. Biorę też pod uwagę możliwość, że mógł on być w zasadzie człowiekiem o złotym sercu, powszechnie lubianym i szanowanym z racji swych licznych cennych umiejętności i przymiotów umysłu, które, kto wie, mogłyby mu zaskarbić także i moje uznanie – gdyby nie ten jeden jedyny postępek, z którego go znam, a który wystarcza, by wciąż jeszcze na samą myśl o nim wzbierała we mnie zimna, mordercza nienawiść.

Kto to był – nie mam pojęcia. Ciemno było choć oko wykol owej bezksiężycowej nocy, dlatego nie wiem nawet dobrze, jak wyglądał ani w jakim był wieku. Stary nie był, to pewna, ale młody też nie bardzo, jak mi się wydaje – chyba bliżej trzydziestki niż czterdziestki, a może i po czterdziestce albo przed trzydziestką; co najmniej mojego wzrostu, mocny, krępy, ciężki (oj, ciężki okropnie!), ale nie tłusty, tylko nabity; z włosami gęstymi, kędzierzawymi, na dwie strony rozdzielonym, sięgającym do ramion, a czy ciemnym, czy jasnym, tego po ciemku nie mogłam

rozeznać; zaś co do rysów twarzy, to nie widziałam ich, a raczej nie chciałam im się przyglądać – byle tylko czoło wymacać i zrobić, co trzeba.

Potem, kiedy już leżałam na słomie w kleparskim zajeździe, czekając na otwarciu bramy Krakowa, przyszło mi nagle do głowy, że w nadrzecznej trawie musiała pozostać jego i moja krew, a może nawet jakieś rzeczy, które on z siebie zdjął, albo przypadkiem upuścił. Prócz tego na prawym brzegu Prądnika z pewnością mogą się odznaczać ślady po tym, jak go ze dwieście sążni wlokłam przez krzaki do wykopu. I już zaczęłam rozważać myśl, czyby nie wstać przed świtem i nie powrócić na tamte miejsca, żeby wszystko należycie uprzątnąć, lecz zaledwie się podniosłam na łokciu, doszedł mnie z góry odgłos ulewnego deszczu bębniącego o gonty zajazdu, wobec czego nigdzie nie poszłam, tylko splótłszy dłonie, podziękowałam w duchu siłom nadziemskim za życzliwą opiekę, po czym ułożyłam się na boku, ramię podłożyłam pod głowę i natychmiast zasnęłam. Spałam jak zabita, o niczym nie śniąc, aż odgłosy porannego ruchu w gospodzie zbudziły mnie na tyle, że w jakiś sposób, bez mała jak ci, co we śnie chodzą, dotarłam do swojej izdebki w domu Kallimacha i tam, jak już wiesz z mego poprzedniego listu, przez całe dwa dni pozostawałam w stanie zupełnego odrętwienia. Kiedy już jako tako się z niego otrząsnęłam – na tyle, żeby móc ci w trzech słowach zdać sprawę z tego, co zaszło, i powierzyć me wyznania pocztie – zdołałam też w końcu wystarczająco zebrać się w sobie, by powrócić do moich zwykłych zajęć.

Szpital Świętego Ducha, gdy się w nim znowu pojawiłam, nie był już tym cichym, rozmodlonym miejscem, które znałam wcześniej, kiedy to, owszem, dawały się słyszeć jęki chorych, ale tylko co jakiś czas – och, teraz dniem i nocą trwa tam upiorny zgiełk rozpaczliwych odgłosów, jakby ci stłoczeni w izbach szpitalnych nieszczęśnicy mieli być z wyroku niepojętych sił poddawani mękom piekielnym już za życia. Gdzieś zniknęły prycze – teraz ludzie leżą wprost na podłodze, w brudnej słomie, którą im po trochu wymieniamy, coraz to wynosząc część zużytej i donosząc nowej. Do tego tylko ogranicza się teraz właściwie cała nasza pomoc – że tę słomę wymieniamy i że wynosimy trupy. Z tym ostatnim musimy się bardzo uwijać, bo chorych przybywa tak szybko, że już teraz leżą, stykając się bokami, i jak tak dalej pójdzie, to nie wyobrażam sobie, do czego to w końcu doprowadzi – jednego na drugim trzeba będzie kłaść, czy co? Od biedy można by upatrywać w tym pomyślnej wróżby na

przyszłość, skoro umierający nie nadążają z ustępowaniem miejsca dla kolejnych pacjentów; inaczej mówiąc: więcej jest takich, co chorują, niż tych, co na tę chorobę umierają. W istocie, z tego, co widzę, niektórym z chorych wyraźnie ma się na życie, choć takich, co już całkiem doszli do siebie, widziałam dotąd zaledwie kilkoro. O ile więc obserwacja ta może dawać jakiś promyczek nadziei, że zaraza w końcu ustąpi, to z drugiej strony ostatnio trafiają się też chorzy, którzy nam umierają w ciągu dnia albo dwóch, i to jeszcze zanim ich zdąży obsypać, więc nawet nie możemy być pewni, czy to ta sama choroba, czy jakaś inna, która z tamtą się ściga, zwłaszcza że tylko ta druga tuż przed śmiercią objawia się w ten sposób, że chorzy krztuszą się wychodzącą im z gardeł krwawą pianą albo też wymiotują poczerńiałą krwią. Doktor Velsch, proboszcz od Świętego Szczepana, który nas ostatnio w szpitalu odwiedził, pokiwał nad jednym takim umierającym głową i stwierdził z powagą, że ta piana świadczy o krwotoku w płucach. Zalecił stanowczo nam wszystkim – tak duchakom, jak i doktorantom – żebyśmy, dopóki przebywamy wśród chorych, nie wazyli się zdejmować z głowy katowskich kapturów, jak również abyśmy się okrywali w szpitalu płóciennymi pelerynami i bardzo często myli ręce. Na szczęście nie odczuwam już prawie żadnej uciążliwości z powodu chodzenia w tym obmierzłym kapturze – jak widać, do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Na ulicy na razie nic nie zapowiada rychłego końca zarazy. Tu i ówdzie walają się zwłoki – widocznie zdarza się, że śmierć zaskoczy kogoś, zanim zdąży się schronić pod dach. Nie bardzo jest komu te szczątki uprzętać, bo wiertelników, zwykle tak wszechobecnych, teraz nigdzie nie uświadczysz, a grabarze i bez tego jeżdżą z pełnymi wozami od świtu do nocy; ich też zresztą po trochu ubywa, bo coraz to któryś sam zapada na krościcę, z czego jeden, ten, od którego miałam gwoździe ciesielskie, zaledwie wczoraj zmarł i właśnie jego towarzysze musieli go razem z innymi trupami zepchnąć do wykopu.

A ja, również wczoraj, natrafiłam w drodze do szpitala na małą, przysadzistą, schludnie ubraną kobietę, która chodziła od drzwi do drzwi z dwoma ciężkimi koszami, głośno wypytując, czy wszyscy zdrowi i czy komu czego nie trzeba. Jeśli w tych domach ktoś od niej coś wziął, nie przyjmowała zapłaty, tylko padłszy na kolana, zęgnęła się znakiem krzyża, głowę zadzierając w górę, ku niebiosom. Kiedy podeszłam bliżej, spostrzegłam, że całą twarz ma pokrytą strupami po zaschniętych

krostach, które gdzieniegdzie odpadając, odsłaniały białoróżowe blizny. Widząc, że jej się przyglądam, zapytała, tytułując mnie „paniczem”, czy nie potrzeba mi czegoś z dóbr, które miała w koszach – chleba, sera, miodu, jabłek albo gruszek. Podziękowałam grzecznie i przedstawivszy się jako przyszły lekarz, wypytałam ją pokrótce o przebieg jej choroby.

– Oj, doktorku kochany! – Wzniosła ręce ku niebu. – Zabrała mi zaraza najpierw małżonka poczciwego, potem dwóch synów i trzy córki, wnusie malutką od najstarszej z nich, i nawet zięcia, tej córki męża! Więc kiedy i mnie obsypało, no to już się z tym światem żegnałam i na spotkanie z Panem Jezusem szykowałam. No i w rzeczy samej, to przechodzi ludzkie pojęcie, jakże to mnie słało, jak to mnie żarem paliło, jak to mnie wytrzęsło i powykręcało, jak mnie cała gęba od tego piekła, i nie tylko gęba, ale wszystko, doktorku miły, wszystko! To już, mówię, trzeba się modlić, za grzechy żałować i pokutę odprawiać. No to zaprzysięgam Panu Jezusowi naszemu, że jeśli mnie wśród żywych pozostawi, na co, po prawdzie, już wcale nie liczyłam, to wszystkie zapasy w naszym składzie zgromadzone rozdaję potrzebującym, i to z wielką radością uczynię, nie czekając, aż do mnie przyjdą po prośbie, tylko sama będę chodziła z towarem od drzwi do drzwi, prosząc pokornie, żeby sobie każdy brał, ile mu tam potrzeba, i każdemu z nich będę życzyć Pana Jezusa łaski, aż mi nic nie zostanie na składzie.

– To wam się bardzo chwali – powiedziałam jej. – Ale z czego jejmość będziecie żyć, jak już wszystko rozdacie?

– No, wszystko to nie – zastrzegła ze zboląłą miną. – Tylko towary. Gotowiznę zachowam, żeby potem nowych dóbr nakupić i po staremu nimi handlować, bo przecież słusznie, doktorku, mówicie, że z czegoś żyć trzeba będzie, dopóki Pan Jezus dozwoli. No, chyba żeby Kraków już do reszty opustoszał, tak że już nie będę miała komu sprzedawać.

– A nie boicie się tak chodzić od domu do domu, na nowo się wystawiać na atak choroby?

– Eee, myśli doktorek? – Otrząsnęła się ze zgrozą. – Kiedy mnie to się wydaje, że jak raz nie dała człowiekowi rady, to już ma do niego respekt.

Jeśli w tym względzie ta odprawiająca swą szlachetną pokutę kupcowa ma rację, a wygląda mi na to, że ją ma, to dobra nasza. Tymczasem nie pozostaje nam nic innego, jak tylko jakoś się próbować przed chorobą chronić i czekać, aż ci, co mają umrzeć, umrą, a pozostaną przy życiu ci,

którym tak jest pisane. W moim przekonaniu, wbrew temu, co głoszą niektóre nasze autorytety medyczne – na szczęście nie wszystkie – na pewno nie zaszkodzi dbać przy tym o czystość. Ja, rzecz jasna, po tym wszystkim, co się stało, nie chodzę już się kąpać w Prądniku ani nawet na bagnach Żabiego Kruka, bo choć się nie spodziewam, żeby ktoś tam jeszcze za mną łąził, to wolę nie kusić losu. Jakoś, z biedą, myję się w cebrzykach w mojej izbie. Przy tej okazji pogodziłam się z wielką kreteńską gąbką, którą mi był Kallimach przywiózł w podarku dwa lata temu, wracając ze swojego wiedeńskiego wygnania, a którą ja wówczas cisnęłam w ką, naburmuszona już nie pamiętam z jakiego powodu; może przez to, że on z tego Wiednia wracał do nas przez Toruń i zatrzymał się tam na całe pół roku – bo wprawdzie nie miałam wtedy pojęcia o istnieniu Korduli, ale może jakoś psim swędem czułam, że jest tam coś na rzeczy, i to coś takiego, co mi się wcale nie podoba.

Przedwczoraj w drodze do domu skręciło mnie raptem rwanie w dole brzucha, czym się w pierwszej chwili przeraziłam nie na żarty, dopóki nie dotarło do mnie, że to nic innego, jak zwykłe miesięczne krwawienie, nieco tylko gwałtowniejsze od innych. I choć musiałam mimo przeszywającego bólu bardzo rażno się uwijać, by zanim zacznę znaczyć za sobą, zdążyć dojść do domu, dopaść mej izby i zawrzeć za sobą drzwi, to zarazem poczułam, jak spada mi z serca wielki głaz, a uwolniona nagle od jego ciężaru dusza zrywa się do lotu jak latawiec. Miałam prawie chęć, drobnym kroczeniem truchtając zgięta wpool, wznieść pod niebiosa jakąś radosną pieśń, ale jednak się wstrzymałam, bo jak wiesz, podobnie jak Filip, nie śpiewam nigdy, przez szacunek dla cudzych uszu i swoich własnych też.

Do owej chwili wcale sobie nie uświadamiałam tkwiącej skrycie w moim sercu obawy przed tym, że może we mnie kiełkować wstrętne, wraże ziarno. A ona przez cały czas, choć niepostrzeżenie, toczyła mnie jak robak – i oto nagle się rozwiąła. „Cha! – triumfowałam w duchu. – Niedoczekanie gada!”

Wróćmy jednak do Filipa, skoro już o nim napomknęłam. Doszłam do wniosku, że jeśli chcę, żeby on z kolei uwolnił się trwale od swoich robaków, to chyba muszę mu poświęcać więcej uwagi. Widzę wyraźnie, że nie służy mu zamknięcie w czterech ścianach, choć dawniej nieraz

potrafił zniknąć za drzwiami swojego gabinetu na całe tygodnie – ale to nie to samo. Wtedy nikt mu nie kazał.

Służba także ma dość siedzenia w domu, choć i przed zarazą spędzała w nim prawie cały czas. Tylko w kuchni Dorota z Kasią bez większych zadrażnień robią, co do nich należy, pewnie dlatego, że tam stale jest coś do roboty, a że muszą nas jakoś żywić, korzystając z samych tylko zgromadzonych zapasów, daje to pole do popisu dla ich kucharskiej pomysłowości, więc się nie nudzą. Za to stajenny Szymek coraz częściej warczy pod nosem, że nic takiego nie popełnił, żeby na siedzenie w kozie zasłużyć, a reszta mu w tym przytakuje. I rzeczywiście, widzę, że szkodzi im wszystkim zamknięcie, rozdrażnia i ogłupia. Mężczyźni całymi dniami grają w kości. Agnieszka, nasza dorodna gospodyni, która, jak pamiętasz, w swoim czasie trochę się do mnie wdzięczyła, chodzi ostatnio nadęta, zła jak osa, pod lada pozorem wyzywając się na pokojowej Eudokii, która wtedy albo się jej odszczekuje, że aż się boję, czy nie skoczą na siebie obie z pazurami, albo ucieka gdzieś w kąt, żeby sobie popłakać.

Co do Filipa, niepokoją mnie objawy powrotu otępienia, z którego dopiero co się wydobył, i to jeszcze nie w pełni, a teraz znowu zaczyna milczeć przy posiłkach, przeżuwając swoje kęsy z miną tak nieobecną i tak obojętną, jakby to były kawałki sznurka. Dlatego wczoraj przy wieczerzy zdobyłam się na odwagę i zagadnęłam go wprost, kiedy będziemy mogli przystąpić do pracy nad opisaniem jego życia i czynów.

– Och, z tym się nie ma co śpieszyć – odrzekł, uśmiechając się blado. – Moje życie dopiero się zaczyna. – Po chwili jednak kiwnął głową. – Dobrze, jeśli chcesz, możemy na godzinkę usiąść nad tym jeszcze dziś. Przygotuj sobie papier do notowania i światło. Chyba że jesteś zanadto wykończony? – Przyjrzał mi się ze współczuciem. – Wyobrażam sobie, przez co ty tam, w tym szpitalu, musisz przechodzić, biedny chłopcze.

Zapewniłam, że trud służby przy chorych w najmniejszym stopniu nie odbiera mi jasności umysłu potrzebnej do wypełnienia zobowiązania, które wobec niego podjęłam, niebawem więc zasiedliśmy oboje na piętze i przystąpiliśmy do dzieła.

Poprosiłam go najpierw, by opowiedział, jak to się stało, że przenosząc się z jednej greckiej wyspy na drugą, trafił w końcu do Konstantynopola.

– Już dużo o tym pisałem w pieśni O mych peregrynacjach – odpowiedział wykrętnie, na co ja z miejsca zaripostowałam, by nie kazał mi zgadywać, co ma na myśli, mówiąc, na przykład, że „Ida górzysta nie

była od zdradnych zasadzek wolna”, jak również że „kręty Labirynt oraz więzienie, które zbudował gortyński wódz, przyjęło zbiega”. Kallimach roześmiał się na to, rozbrojony moją dociekliwością, i zaczerpnąwszy tchu, postarał się rzecz mi wyłożyć jak najprościej, bez uciekania się do metafor.

– Widzisz, mój drogi, oddalałem się coraz bardziej od Rzymu, ale nigdzie nie mogłem się czuć bezpieczny – zaczął swą opowieść. – Jeszcze na włoskiej ziemi kilkakrotnie o mało nie zostałem rozpoznany, pomimo że bardzo schudłem i zapuściłem brodę, bo jednak tam na południu mój toskański zaśpiew, dziwnie niepasujący do wytartych łachmanów, w których się poruszałem, przyciągał nieraz uwagę władz. Raz mi się nawet przydarzyło, w Trani, o tu, zobacz... – to mówiąc, wziął lichterz i poprowadził mnie do mapy wiszącej na ścianie obok paradnego, ozdobionego złotym sznurem kapelusza, i wskazał na niej punkt z tyłu cholewki włoskiego trzewika, mniej więcej naprzeciwko Raguzy – ...w tym tu Trani aresztowały mnie straże i zawiodły na zamek przed oblicze prefekta. Ten szybko odgadł, kim jestem, i już myślałem, że mnie zaraz każe zakuć w kajdany i wsadzić na najbliższy statek do Ankony, gdzie by mnie papieskie zbiry mogły przejąć, lecz stało się inaczej. Gdy zostawiono nas samych, prefekt długo przeglądał w milczeniu jakieś papiery, aż wreszcie wstał ze swego krzesła z wysokim oparciem, podszedł do mnie i rzekł cicho: „Jeśli idzie o zarzuty, które są panu stawiane, panie Buonaccorsi, to nie dam głowy, że jest pan całkiem bez winy. Ale widzę, że ostatecznie Ojcu Świętemu włos nie spadł z głowy, a choć pańskich wierszy nie znam, nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym miał posłać na pewną śmierć poetę, z którego może, kto wie, jeszcze nasze wnuki będą czerpać dumę. Był tu dopiero co kapitan Caspare Chilico z Rzymu na czele drużyny zbirów i wypytywał o pana; no cóż – uśmiechnął się prefekt pod nosem – musieliście się rozminąć. A zatem, krótko mówiąc – podsumował – ja nie wiem, kto pan jest, i może pan iść swoją drogą, a jeśli chce pan, w czym bym się panu nie dziwił, jak najprędzej opuścić terytorium neapolitańskiego królestwa, to dam panu radę: niech pan omija większe porty, takie jak Bari czy Brindisi, lecz trzymając się z dala od morza, podąży prosto na sam południowy cypel, do Santa Maria di Leuca, gdzie miejscowi rybacy za niewielką opłatą przewiozą pana na Korfu albo nawet na Cefalonię”. To rzekłszy, prefekt powrócił na swoje krzesło, i nie słuchając moich podziękowań, władczy tonem przywołał

straże, by im nakazać wydalenie mnie z miasta na drogę do Corato. Po tygodniu dotarłem na moim ledwie dychającym rumaku, tak jak mi poczciwy prefekt zalecił, do Santa Maria di Leuca, zastanawiając się przez cały czas, gdzie mam się dalej kierować – czy w istocie na Korfu lub którąś inną z wysp weneckich, czy też na stały ląd, do albańskiego Epiru, gdzie już w tym czasie, tuż po śmierci Skanderbega, na dobre rozsiedli się Turcy. Ja Turków wtedy się bałem, a co do Wenecjan, to miałem swoje powody, żeby im także nie ufać. Nie widząc zatem innego wyjścia, podróżowałem dalej w ten sam sposób, który dotychczas pozwalał mi dość skutecznie unikać aresztowania i deportacji, tyle że teraz już przemieszczałem się nie po drogach, ale po morzu. Przesiadałem się z jednej łodzi rybackiej na drugą, starając się nigdzie nie zatrzymywać dłużej niż na jedną noc. Wychudły, spalony na Maura, z coraz dłuższą i coraz bardziej zmierzwioną brodą, w ubraniu sztywnym od morskiej soli i zaschniętej rybiej krwi, zupełnie już nie przypominałem tego rozpuszczonego jak dziadowski bicz pyzatego mądrali, jakim byłem, zanim się zmieniłem w ścigane zwierzę. Po dwóch tygodniach takiej żeglugi dotarłem na wenecką wyspę Sapienzę przy samym krańcu Peloponezu i tam w ubogiej tawernie czekałem na rybaków mających mnie przewieźć na półwysep Mani, rządzony przez miejscowy klan, sprzymierzony wprawdzie z Wenecjanami, ale jednak szcycący się niezależnością, a że lud tamtejszy należy, rzecz jasna, do Kościoła wschodniego, dla mnie to oznaczało, że stamtąd nikt by mnie papieżowi nie wydał. Kiedy wszak usłyszałem, że całe to niepodległe terytorium rozciąga się na zaledwie trzy reńskie morgi, i nic na nich nie rośnie poza oliwkami, to poczułem, że nie bardzo mi się uśmiecha usychać na tamtejszej skalistej ziemi, dopóki o Pawła II piekło się nie upomni, a on był wtedy tuż po pięćdziesiątce i nic nie wskazywało, że to nastąpi tak szybko.

– A więc to miałeś na myśli – wtrąciłam z ożywieniem – pisząc, że „będzie lepiej powierzyć się w łodzi niewielkiej Morzu Jońskiemu, niżli za życia do miejsc umarłych dotrzeć, skąd trudno wyjść w świat naziemny”?

– Cóż, to skojarzenie samo się nasuwało – odrzekł, spuszczać skromnie oczy – bo tak się składa, że Jaskinia Tenarejska, przez którą Wergili każe Orfeuszowi zstępować do krainy umarłych, leży właśnie tam, na tym niepodległym skrawku jałowej skały.

Prawdę mówiąc, Kallimach mocno przesadził, nazywając „łodzią niewielką” trójmasztową karakę, na której pokładzie odpłynął w końcu z Sapienzy. Sęk jednak był w tym, że płynęła ona pod banderą wenecką, na wenecką Krete, a władze Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Weneckiej z zasady wydają Rzymowi każdego, o kogo się Stolica Piotrowa upomni. Ale Filip liczył na to, że tam, na dalekich wyspach, nikt go nie rozpozna, tym bardziej że nie mając już wcale pieniędzy, dogadał się z szyprem karaki, niejakim Manolisem, iż opłaci swą przeprawę w ten sposób, że na jej czas odda się pod jego rozkazy. W ciągu czterodniowego rejsu przymierzył się z powodzeniem do różnych prostych robót marynarskich, od szorowania pokładu po przemieszczanie w ładowni skrzyń z towarem (żeby zapewnić możliwie równomierne obciążenie statku), aż nawet na trzeci dzień ów Manolis, widocznie dostrzegłszy w nim zadatki na wytrawnego żeglarza, zaczął go wprowadzać w tajniki halsowania żagli, to jest ustawiania ich pod takimi kątami, żeby statek przy wietrze przeciwnym posuwał się mimo wszystko do przodu.

Czwartego dnia, o świcie, z morza przed nimi wyłonił się wyniosły masyw Krety. W południe karaka zawinęła do portu w Kanei, kwitnącym miście zbudowanym przez Wenecjan na gruzach starożytnej Kidonii. Na nabrzeżu szyper niespodziewanie wręczył Filipowi dwa dobre weneckie grosze, wyjaśniając, że na tyle wycenia jego pracę w ciągu minionych kilku dni. Mój przyjaciel, zdziwiony, przypomniał mu, że przecież umawiali się inaczej, na co Manolis uspokoił go, że owszem, opłatę za przewiezienie go z Sapienzy do Kanei uwzględnił w tym rozliczeniu.

– Uwierz mi, mój drogi – zapewnił mnie Filip z błyskiem w oku – że w życiu nie byłem z żadnej pozyskanej sumy tak dumny, jak z owej wypracowanej w ciężkim znoju skromnej należności.

Manolis wskazał mu następnie przyzwoitą gospodę, gdzie mógł się zatrzymać i zjeść, proponując od razu, by się nazajutrz zamustrował u niego na krótki rejs na pobliską wysepkę, na którą miał dowieźć zaopatrzenie. Kallimach nie bardzo się palił, żeby oglądać kolejny skrawek nieurodzajnej ziemi zamieszkały przez paru biednych pasterzy kóz, ale poczciwy szyper zapewnił go z tajemniczą miną, że na pewno nie pożałuje, jeśli się tam wybierze, a zresztą nazajutrz będzie z powrotem w tętniącej życiem Kanei, tyle że bogatszy o kolejny zarobiony grosz. Filip dał się namówić i tym sposobem znalazł się na wyspie Gawdos.

– Na pierwszy rzut oka – mówił, uśmiechając się mimo woli do swych wspomnień – niczym się nie różniła od wielu innych wysepek, które dotąd napotkałem w tamtej części świata, lecz gdy tylko przybiliśmy do przystani w osłoniętej falochronem zatoczce, wyszło nam naprzeciw kilkunastu obdartusów, ku mojemu zdumieniu porozumiewających się między sobą taką samą piękną klasyczną greką, jakiej nauczał mnie we Florencji Argiropul, a w Rzymie Bessarion. Bo widzisz – starał mi się wytłumaczyć – do tej pory moja greczyzna zjednywała mi co prawda życzliwość napotkanych mieszkańców Hellady, ale jako narzędzie porozumienia sprawdzała się co najwyżej połowicznie, i to pod warunkiem okazania przez obie strony wystarczającej dozy dobrej woli. Bo to tak, jakby próbować u nas w Toskanii dogadać się z prostym wieśniakiem po łacinie, pojmujesz. Ja co prawda w ciągu miesiąca, który upłynął był, odkąd dotarłem na pierwsze z Wysp Jońskich, nauczyłem się kilku przydatnych wyrażen w pospolitej mowie dzisiejszych Achajów i z grubsza połapałem się, jak wymawiać znane mi greckie słowa, by były dla nich bardziej zrozumiałe, niemniej wciąż rozmawialiśmy dwoma różnymi językami. A tam, na Gawdos, a właściwie należałoby powiedzieć: Gaudos, ci zaniedbani z wyglądu wyspiarze mówili ze sobą greką tak klasyczną, tak czystą, jakby tylko co wyszli z platońskiego sympozjonu! Jeden z nich, od razu było widać, że przewodzący im wszystkim, wysoki, chudy, prosty, z siwym wąsem, przystąpiwszy bliżej, zagadnął o coś wesoło Manolisa w pospolitym narzeczu, na co ten, wskazując na mnie, odpowiedział równie wesoło i równie dla mnie niezrozumiale, a wtedy ów chudy z miłym uśmiechem zwrócił się do mnie czystą greką, zapytując, czy rzeczywiście władam tym językiem. Odrzekłem skromnie, że owszem, pobierałem w swoim czasie nauki u Chalkokondyla w Padwie, lecz zbyt krótko, by móc posługiwać się mową Homera z należyłą biegłością, co było niemal zgodne z prawdą, tyle że uczyłem się nie w Padwie, a we Florencji, i nie u Chalkokondyla, lecz u Argiropula. Wąsacz wcale nie sprawiał wrażenia zdumionego, jakby było rzeczą najzupełniej powszednią, że obdartus w śmierdzących łachach mógł studiować w jednej z najlepszych włoskich uczelni, lecz ściskając mi obie ręce, przedstawił się imieniem Pagonis, powitał mnie serdecznie na Gaudos i nawet nie chciał słyszeć, że miałbym nie pozostać na wyspie na stałe. Manolis, widząc, co się dzieje, śmiał się dobrotliwie, z widocznym zadowoleniem, a gdy już wraz z innymi majtkami kilkoma kursami czółna

przewiozłem na plażę przeznaczone dla wyspiarzy dobra, wręczył mi obiecany grosz, uściskał, życząc kali tychi, to jest powodzenia, wszedł do szalupy i szybko odepchnął ją od brzegu. A ja, no cóż, zostałem na plaży pośród tych wszystkich cudaków.

Na Gaudos Kallimach spędził, jeśli dobrze zrozumiałam, jakieś sześć tygodni, od połowy września do końca października 1468 roku, jako gość zaludniających tę wysepkę wyznawców różnych szkół filozoficznych. Większość z nich napłynęła tam z Konstantynopola, uciekając przed Turkami, jednakże pierwsi przybysze stworzyli załazek owej osobliwej kolonii już wcześniej, gdyż także pod władzą cesarzy bizantyjskich nie mogli wymieniać myśli tak swobodnie, jak chcieli.

– To, co tam zobaczyłem, mogło przywozić na myśl Pomponiuszową akademię – tłumaczył mi Filip – więc do pewnego stopnia poczułem się jak w domu, ale były też różnice. Myśmy tam w Rzymie nie wyrzekali się bynajmniej wszelkiego rodzaju wygod, przeciwnie, domagaliśmy się przywrócenia tych, z których na co dzień korzystali starożytni, a późniejsze wieki je zaprzepaściły. Tymczasem, jak już mówiłem, ci bizantyjscy wolnomyśliciele chodzili w łachmanach, nocami okropnie marzli, bo mieszkali w byle jak skleconych szałasach, a w dodatku na wyspie trudno było o opał; mieli też bardzo mało słodkiej wody, więc myli się w słonej; potrzeby załatwiali w krzakach, i jedli też byle co. Zachętę dla tego sposobu życia czerpali zarówno od stoików z ich posłuszeństwem naturalnemu biegowi rzeczy, jak i od cyników z ich dążeniem do zubożenia na wszystko, co nie jest cnotą; od epikurejczyków z ich zaleceniem, by dla własnego szczęścia ograniczać swoje potrzeby; od pitagorejczyków z ich ideałem wspólnoty majątkowej dla upodobnienia się do boskiej Jedni; a nawet od neoplatoników z ich poszukiwaniem dróg powrotu do Absolutu. Nie myśl jednak, że nie zdarzało się nam wszystkim na Gaudos całkiem dobrze bawić.

– Tak w wyłącznie męskim gronie? – wtrąciłam z powątpiewaniem.

– A, nie – zaprzeczył żywo. – Było tam parę kobiet.

– O! Ładnych?

– Nie bardzo – przyznał. – Jedna, Wanessa, była poetką, i to nawet niezłą, o ile mogę sądzić. Pamiętam, że chciałem jej sprawić przyjemność, porównując ją do Safony, na co mi odparła wyniośle, że dla niej osobiście wzorem jest raczej Korynna z Tanagry. Ta Wanessa lubiła się przechadzać po plaży całkiem nago, nie wstydząc się wcale wystawiać na nasz osąd

swych przywiędłych wdzięków. Zresztą wszyscy tam chętnie chodzili na golasa, narzucając na siebie nędzne szatki dopiero wieczorem, kiedy się już robiło zimno nie na żarty. Inne kobiety, było ich kilka, nie były młodsze od Wanessy, a w każdym razie nie bardziej pociągające. Za to raz przyplłynęło do nas z Kanei pięć tamtejszych nierządnic, które towarzystwo na Gaudos nazywało heterami – uśmiechnął się. – Nie mam pojęcia, kto po nie posłał i z jakiej okazji, ani też czym im zapłacił, bo jak mi się wydaje, pieniędzy żadnych nikt tam nie miał.

– Ty miałaś swój grosz od Manolisa – przypomniałam, odsuwając twarz od świecy, bo czułam, że się rumienię.

– Nawet dwa grosze – przyznał Filip chętnie. – Ale ja się do wynagrodzenia dla tych panienek nie dorzuciłem.

– A skorzystałaś z ich usług?

– Nie. – Pokręcił głową. – I myślę, że nie wiele stracił. Jeszcze w Rzymie zraziłem się do takiego obcowania z kobietą, która ci się nadstawia za opłatą.

– Czemu? – zaciekawiałam się. – Pieniądzy ci szkoda?

– Dzieciaku... – Uśmiechnął się. – Kiedy lepiej poznasz te sprawy, to się przekonasz, że tym, czego w gruncie rzeczy się pragnie, jest wzajemność. Jeśli nie w miłości, to przynajmniej w żądzy. Więc... sam rozumiesz. Ale pamiętam, że i bez tego rodzaju przyjemności dobrze się tamtego wieczoru bawiłem. Były jakieś ryby pieczone w ognisku, placki z jęczmienia, wino, ktoś tam grał na lutni, ktoś inny na piszczałce, ktoś śpiewał, niektórzy przy tym tańczyli w świetle zachodzącego słońca... Pamiętam przyjemną woń dymu z konopi, unoszącą się z trybularza zawieszzonego na zatkniętym w piasek kiju... Tak – dodał po chwili milczenia – były na Gaudos i takie czarowne chwile.

– Czytałam u Demetriusza Dioskurydy – przypomniałam sobie – że dym z konopi pomaga przywoływać duchy.

– Kto wie, kto wie... – odrzekł Filip w zamyśleniu. – Trochę mi się już to wszystko zatarło w pamięci. Może za dużo wtedy wypilem?

Wizyta kaneańskich ladacznic miała, jak się okazało, jeszcze inne, dużo poważniejsze skutki, i to właśnie dla niego, który z nimi nie miał wcale do czynienia. Dziwnym bowiem trafem opiekun dziewczyn przez cały wieczór kręcił się w pobliżu Filipa, dolewał mu wina i zagadywał go w gwarze weneckiej – jako że był Wenecjaninem, a nazywał się Jacopo, Jacopo Trevisan. Kallimach, który na lagunach spędził ponad dwa lata,

chętnie z nim podjął rozmowę w tamtejszym narzeczu, rad, że może choć przez chwilę odpocząć od klasycznej greki, w której czuł się dużo mniej pewnie.

I po kilku dniach tenże Jacopo Trevisan znów przyплыnął na wyspę, bez pięciu gamratek tym razem, za to prowadząc pięciu zbrojnych, którym wskazał Kallimacha, mówiąc: „To ten. Brać go!”. Osłkowie natychmiast Filipa pochwycili i nie zważając na jego głośne protesty, przewieźli czółnem na swoją galerę, po czym zaraz wciągnęli kotwicę i wzięli kurs na Kretę. Po godzinie żeglugi przyjaciel mój spostrzegł, że statek nie kieruje się tak, żeby opływając wyspę od zachodu, dotrzeć do Kanei od północy, lecz zmierza prosto w stronę niezbyt przystępnych południowych brzegów Krety. Po dalszej godzinie albo dwóch zbliżyli się do miejsca, gdzie nad piaszczystą plażą górowało ponure zamczysko z żółtego piaskowca, w którego lochach miał mój przyjaciel spędzić pół jesieni i prawie całą zimę.

Chociaż starał się liczyć dni, wkrótce stracił rachubę czasu, gdyż do jego ciemnicy docierało tak mało światła, że dzień mieszał mu się z nocą. Nieraz budził się z odrętwienia, nie wiedząc, czy przespał właśnie pół godziny, czy całą dobę. Zdawało mu się, że już na zawsze będzie tak żył, w ciszy i ciemności, mając za jedyne urozmaicenie odgłosy wciągania na łańcuchu napętnionego przez siebie wiadra i spuszczenia drugiego, pustego. Podobnie było z jedzeniem, bardzo nędznym, choć to akurat było dla niego najmniej przykre, jako że już wcześniej do tej niedogodności przywykł; trudniej mu było przemóc się, by pić wodę, którą mu dawali, stęchlą i błotnistą.

Dno lochu stanowiła naga skała, w której kiedyś zapewne wykuto fundamenty, by na nich ową twierdzę postawić. Od tego skalno-gliniastego podłoża ciągnął przejmujący chłód, więc żeby się choć trochę od niego oddzielić, Filip odnajdywał po omacku walające się tu i ówdzie wiechcie słomy, zgarniał je w jedno miejsce i na powstałym w ten sposób kopczyku zwijał się w kłębek, starając się i z wierzchu jak najgrubiej słomą przykryć. Innego sposobu na ogrzanie się tam nie było.

– Próbowałem się pocieszyć, myśląc o rozmaitych kobietach, których w życiu pragnąłem – wyznał mi Filip, przechylając się ku mnie przez stół i zniżając głos, jakby w obawie, że ktoś jeszcze z domowników może zrozumieć, co on do mnie po łacinie mówi. – Zaciskałem powieki, żeby przywołać przed oczy obrazy ich nagich ciał, rozchylonych ust

i zamglonych oczu, wydobywałem z pamięci ich zapachy, aż mi się zdawało, że je zasysam nozdrzami, i nasłuchiwałem ich szalonych szeptów, bezwstydnie sprawiając sobie rozkosz w ich imieniu. Pewnie byłoby rzeczą bardziej chwalebnią, gdybym spożytkował ten czas na tworzenie nowych wierszy, albo dumania nad tajemnicami bytu, ale cóż, prawda jest taka, że oprócz jedzenia, picia i wydalania była to właściwie jedyna czynność, do jakiej byłem w mym odosobnieniu zdolny, i to ona głównie podtrzymywała mnie przy życiu. Co prawda potem zawsze opadałem bez sił na słomę i pogrążałem się w nicości, ale po jakimś czasie odzyskiwałem wigor na tyle, by znów dać się ponieść marzeniom.

Po wielu już dniach takiego życia jakby w Otchłani wyrwał go nagle z odrętwienia zgrzyt klucza w zamku, po którym zaraz dało się słyszeć skrzypienie ciężkich, żelaznych zawiasów u drzwi. Wszedł przez nie, wyteżając oczy, żeby cokolwiek dostrzec w mroku, wytwornie ubrany młody człowiek na czele trzech uzbrojonych pachołków z pochodniami. Towarzyszył im również duchowny z tonsurą wygoloną niemal do samych uszu. „Co tu tak śmierdzi?”, sarknął ostrym głosem elegancki młodzieniec. „To zapewne ja, wasza dostojność – odezwał się nieśmiało Filip. – Nie myłem się, odkąd tu jestem”. „Co? Jakże ja go mam przesłuchiwać?”, warknął gniewnie strojniś, nie wiadomo pod którym adresem. Otrząsnąwszy się ze wstrętem, kazał następnie pachołkom poświecić na więźnia, najwyraźniej po to, żeby móc mu się przyjrzeć z daleka. Potem zaczął mu zadawać pytania, a odpowiedzi naprędce zapisywał mnich.

Filip zeznał, że nazywa się Michelozzo Pianigiani i pochodzi ze Sieny. Twierdził, że jest prostego rodu, jednak od dziecka garnąc się do wiedzy, po szkole parafialnej wybrał się za zgodą ojca do Padwy, żeby tam zdobyć wykształcenie, które otworzyłoby mu drogę do zawodu jurysty. Ale że ubóstwo nie pozwoliło mu wytrwać na studiach, postanowił poszukać szczęścia na terytoriach zamorskich Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Weneckiej. Dalszy ciąg jego zeznania był już zupełnie zgodny z prawdą, odzwierciedlając jak najwierniej zarówno marszrutę, jaką odbył, jak i warunki podróży. Zanim jednak zdołał doprowadzić swoją opowieść do końca, na niewidoczny znak śledczego jeden ze zbrojnych raptownie do Filipa przyskoczył i zachodząc go od tyłu, przycisnął mu szyję buławą. „Gadaj! – ryknął wtedy młodzieniec. – Kto cię tu przysłał? Genua? Mediolan? Nie kręć, wszystko wiemy!”

Filip, dławiąc się i krztusząc pod naciskiem buławy, powtarzał uparcie, że jest niewinny i nikt go nie przysłał, przeciwnie, marzy o tym, by wstąpić na służbę Najjaśniejszej, lecz strojniś puszczał to wszystko mimo uszu, natarczywie powtarzając w kółko te same pytania: „Genua? Mediolan? A nie Osmani czasem? Co? Przyznaj się; nic ci nie będzie, tylko mów!”.

– Umierałem ze strachu – zdradził mi Filip – ale zarazem zaświtała mi nadzieja: bo skoro uwięziony jestem z podejrzenia o szpiegostwo, myślałem, znaczy to, że nie wiedzą, kim jestem, i papieżowi mnie nie wydadzą. Tyle że sami mogą mnie równie dobrze skrócić o głowę, chociaż im nic nie zawiniłem. Och, gdybyż mój ojciec wiedział, co mi tu zarzucają, myślałem sobie, Wenecjanin przecież z dziada pradziada, chociaż osiadły w Toskanii. Ale, rzecz jasna, nie mogłem się w tym położeniu na niego powołać.

Jeszcze kilka razy odwiedzał Filipa w lochu ów wymuskany młodzieniec, raz nawet kazał go zawlec po krętych schodach do celi tortur. Przywiązali mu tam oprawcy ręce do sznurów przeciągniętych przez żelazne kółka zamocowane w sklepieniu i wielokrotnie podciągali na nich w górę, to wyżej, to znów niżej, aż mu mało ramion z barków nie wyrwali, jak też i nadszarpnęli łokcie.

– Wierz mi, Georgiuszu, byłem już niemal gotów przyznać się do wszystkiego, co by mi chcieli wmówić – wtrącił, podnosząc na mnie roześmiany wzrok, choć to, o czym opowiadał, wcale nie wydawało mi się zabawne – ale na szczęście śledczemu wymknęło się, że gdy przyjdzie pora wymierzenia mi kary, planują mnie najpierw obedrzeć ze skóry, a dopiero potem powiesić. Uznałem tedy, że wolę znieść wyrywanie kończyn ze stawów, dopóki jest choć mała szansa, że tym ich o mojej niewinności przekonam.

Nie przyznał się więc do niczego, a oprawcy, uznawszy widać, że nic tym nie wskórają, odwiązali go i zawlekli z powrotem do lochu. Potem przez wiele tygodni nic się nie działo, aż wreszcie któregoś dnia weszli czterej strażnicy, kazali mu wstać i poprowadzili pod halabardami na dziedziniec, gdzie mimo panującego tego dnia chłodu kazali mu rozebrać się do naga. Filip pomyślał, że to nic innego jak przygotowanie do obdzierania ze skóry, że przed zamkiem na pewno zebrało się już pospólstwo spragnione okrutnego widoku, toteż mając od dawna obmyślane, jak ma się w owej chwili zachować, aby ocalić resztkę

godności, usiłował się wprowadzić we właściwy stan ducha. Jednakże strażnicy zamiast go teraz spętać i ciągnąc za sznury jak cielaka na rzeź, wyprowadzić za bramę, oblali go od stóp do głów ogrzaną wodą, po czym podali mu mydło i kawał gąbki. Namydlił się cały, a wtedy oni jeszcze kilkakrotnie oblali go wodą, nie zapominając nawet o płótnie do owinięcia po kąpieli. Na koniec podali mu zupełnie nowe ubranie, skromne, ale czyste i nieobszarpane, a gdy się w nie odział, zaprowadzili go przed oblicze nieznanego mu wcześniej dostojnika, dużo starszego wiekiem od tego, z którym miał do czynienia poprzednio. U boku owego statecznego męża spostrzegł wszak Filip tego samego mnicha z wielką tonsurą, który towarzyszył był młodemu arogantowi. Mnich ten właśnie pierwszy się odezwał, powiadamiając więźnia, że przemówi do niego czcigodny Andrea Balbi, rektor i prowizor terytorium Kaneańskiego. Pan Balbi następnie oznajmił z powagą, że po rozpatrzeniu ustaleń poczynionych w toku prowadzonego śledztwa sędziowie terytorialni zdecydowali się sprawę umorzyć, zaś podejrzanego warunkowo wypuścić na wolność, zastrzegając sobie jednak prawo do zmiany tej decyzji, gdyby w sprawie zaszły jakieś nowe okoliczności lub pojawiły się nieznane wcześniej dowody. „Mnie, jako wykonawcy tego orzeczenia – zwrócił się na koniec rektor wprost do Filipa – pozostaje tylko życzyć panu szczęścia, panie Pianigiani, i zalecić na przyszłość daleko idącą ostrożność, aby nie ściągał pan już na siebie niepotrzebnych podejrzeń. To wszystko. Jest pan wolny”. Kallimach oczywiście podziękował prowizorowi za tę łaskę z całą należną tak wysokiemu dygnitarzowi uniżonością, ale zanim odszedł, pozwolił sobie zapytać, kim był ów wytworny młody człowiek, który z takim zapałem prowadził śledztwo w jego sprawie. „To mój syn, Domenico Balbi”, objaśnił rektor z widoczną dumą. Filip, zaskoczony, z trudem wybąkał w odpowiedzi jakąś grzecznościową formułkę i zapytał, czy może się już oddalić. Rektor łaskawie skinął głową i wówczas strażnicy paradnym krokiem odprowadzili więźnia. Przy bramie jeden z nich podsunął Filipowi przybory do pisania, a gdy podpisał odpowiedni kwit, strażnik wręczył mu odebrany przy aresztowaniu trzosik zawierający dwa grosze. W tym czasie dwaj inni zbrojni uwijali się przy korbie, podciągając na łańcuchach bronę, dopóki brama nie stała otworem. Wszyscy czterej ustawili się wówczas w szeregu, z halabardami na sztorc, a Filip, skłoniwszy się każdemu z nich z osobna, opuścił mury zamku.

Brona za jego plecami zjechała już do połowy, kiedy jeszcze się cofnął biegiem, żeby zapytać strażników o bieżącą datę. Dowiedział się, że jest piętnasty lutego, poniedziałek. Rozejrzał się wokół. Na lewo, od północy, wznosiły się wysokie góry, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność od zachodu na wschód. Po prawej stronie opadała ku morzu wyniosła skarpa, porośnięta kwitnącymi drzewami migdałowymi. Filip zszedł ścieżką na sam dół i usiadł na piasku, wystawiając twarz do słońca i przypatrując się drobnym falom omywającym piaszczysty brzeg. Nie miał jeszcze żadnego wyobrażenia, gdzie ma się dalej kierować, ani też co dalej począć ze swoim życiem. Spróbował odtworzyć sobie w myśli mapę krajów Morza Śródziemnego i wyteńczywszy pamięć, doszedł do wniosku, że tam na wprost niego, za morzem, chyba nie dalej jak o sto, może sto pięćdziesiąt mil, leży Cyrenajka, ojczyzna owego sławnego Kallimacha, którego imię przyjął był za swoje. Przyszło mu do głowy, że on też mógłby popłynąć do Afryki i tam znaleźć dla siebie jakieś zajęcie. Przede wszystkim jednak musiał dotrzeć jeszcze przed nocą do jakichś ludzkich siedzib, bo choć południowe słońce bardzo przyjemnie przygrzewało, to przecież wolał, by go nie zaskoczyła na zupełnym odludziu chłodna lutowa noc.

Wybrzeże, na którym się znajdował, wyglądało na zupełnie dzikie. Wiedział, że gdzieś po drugiej stronie wyspy, za ośnieżonymi szczytami górskimi, musi być Kanea, postanowił więc spróbować przedostać się przez te góry, a w ostateczności przycupnąć gdzieś na noc w pierwszym lepszym szałasie pasterskim. Wspiął się z powrotem na skarpe, minął zamek i ruszył na północ, starając się przewyciężyć zawroty głowy spowodowane osłabieniem po prawie trzech miesiącach spędzonych w ciemnicy. Niespełna godzinę zajęło mu dojście chwiejnym krokiem do podnóża gór, gdzie natrafił na kilka bielonych wapnem chałup. Przed nimi, w cieniu rozłożystego drzewa karobowego, przysiadła na zydlach gromadka wieśniaków, ubranych w luźne, czarne spodnie wpuszczone pod kolanami w cholewy wysokich trzewików, czarne koszule ściśnięte szerokimi, szkarłatnymi pasami, i czarne przepaski na głowach, z których zwieszały im się na czoła liczne frędzle, co mimo woli przywodziło na myśl koronę cierniową. Dwaj spośród chłopów grali w tryktraka, a pozostali w skupieniu śledzili przebieg gry.

Filip, zbliżywszy się, pozdrowił grzecznie całe towarzystwo, a gdy wszyscy podnieśli na niego wzrok, zapytał o najkrótszą drogę do Kanei,

korzystając z tych kilku zwrotów z greckiej gwary pospolitej, jakie zdążył sobie przyswoić – z domieszką klasycznej greki i dialektu weneckiego, hojnie okraszonego mową gestów. Kiedy w końcu pokazał na migi, że był długo więziony na zamku, najstarszy z wieśniaków, imieniem Panajotis – wysoki, chudy, siwy (w czym przypominał Kallimachowi Pagonisa, epikurejczyka z Gaudos), ale z wąsem wciąż czarnym i takimiż brwiami – postąpił ku niemu z rozpostartymi ramionami. Pozostali chłopci też pośpieszyli, by uścisnąć Filipowi dłoń, jakby pobyt w lochach Fragokastelo (jak mówili o widocznym wciąż w oddali zamczysku z żółtego piaskowca) dawał mu oczywiste prawo do uznania i szacunku. Zaraz też posadzili mego przyjaciela przy stole, podali placki z tamtejszym solankowym serem, napili się z nim wina zaprawionego żywicą, i w końcu wyprawili go w drogę, ale nie samego, tylko z Panajotisowym synem, Jannisem, jako przewodnikiem.

Szli we dwóch skalistymi wąwozami, gdzie głowę urywało od przeciągów, przeprawiali się przez wartkie strumienie, przeskakując z kamienia na kamień, niekiedy też musieli wspinać się na grzbiety stromych wzniesień, z których następnie trzeba było schodzić zakosami w doliny. Po trzech godzinach, tuż przed zmrokiem, dotarli do maleńkiego klasztoru z białego kamienia, w którym jako zapłatę za udzielenie noclegu musieli tylko zapalić po świeczce przed ikoną Matki Bożej. O świcie ruszyli w dalszą drogę i jeszcze przed południem dotarli do morza oblewającego Krete od północy. Tu Jannis, wskazując na zachód, powiedział, zabawnie marszcząc nos: Chania – to wradVI, po czym z zachęcającym uśmiechem wskazał z kolei na wschód, ze słowami: Retimno – kodaVII. Filip nie zrozumiał tych słów, ale młody Kreteńczyk powtarzał je tyle razy, okraszając przy tym tak wymownymi gestami, aż nie było już wątpliwości, że chodzi o to, aby udał się teraz raczej do Retymonu niż do Kanei. Jannis wskazał następnie na słońce i pokazał na migi, że niestety, co do niego, to pora mu już wracać do rodzinnej wioski Pacjanos.

Filip uściskał się z nim serdecznie, po czym, niewiele myśląc, poszedł za jego radą. Dzięki temu już po dwóch godzinach był w Retymonie, mieście wcale od Kanei nie mniejszym i równie bogatym. Postanowił nie tracić jednak czasu na poznawanie jego uroków, tylko skierował się prosto na nabrzeże, gdzie zaczął wypytywać szyprów i kapitanów, czy któryś z nich nie zechciałby go zamustrować na rejs do Aleksandrii albo

w podobnym kierunku. Załogantów co prawda nikt tam nie szukał, ale udało mu się znaleźć szypra, który zgodził się za jeden z jego dwóch groszy przewieźć go na Cypr, skąd miało być o wiele łatwiej o rejsy nie tylko do Aleksandrii, ale i do Ziemi Świętej czy choćby Cyrenajki.



Wczoraj wieczór nie zdołałam dokończyć zapisywania dziejów Kallimachowej odysei, gdyż nagle dobiegło mnie głośnie kołatanie do drzwi na dole, więc schwyciwszy świecznik, zbiegłam po schodach, mało nóg sobie nie łamiąc. Za mną już schodził Filip, na bosaka, w samej koszuli, jedną ręką próbując podwiązać troczki na piersi. Kołatanie powtórzyło się, jeszcze bardziej natarczywie. Zerknęłam pytająco na mego pryncypała, a on skinął głową, więc uchyliłam lekko drzwi i zawołałam przez szparę:

– Kto tam?

– Czy tu mieszka Rzemieńczyk Szymon, syn Bartłomieja? – zapytał ktoś z ciemności.

– Rzemieńczyk? – usłyszałam z głębi sieni niespokojny szept Agnieszki.

– To nasz Szymek!

– A o co chodzi? – zapytałam przez drzwi, żeby choć trochę zyskać na czasie.

– O to, czy tu mieszka taki – upierał się ten ktoś za drzwiami. – Podał nam ten dom, nim Bogu oddał ducha.

Otworzyłam drzwi. Stał za nimi duchak w zakonnym habicie, z twarzą zakrytą katowską kapuzą, ale poznałam go po oczach.

– Ojciec Gwido! – zawołałam. Jest on jednym z miłszych braciszków; nas, szkolarzy, traktuje niemal po ojcowsku i gdy tylko to od niego zależy, zawsze stara się obciążać nas pracą w miarę sprawiedliwie, nie tak, iżbyśmy zupełnie opadli z sił. Wyjaśnił mi, że Szymka przyniesiono do szpitala wprost z ulicy. Buchało od niego żarem jak z pieca, krosty mu się zlewały na twarzy, jęczał strasznie i ciągle coś bredził o jakiejś wielkiej Kazimierze – że on chce do niej, a ona, pytał, czy też za nim tęskni? Jeszcze tego samego dnia, jak mówił ojciec Gwido, Szymek umarł jak dobry chrześcijanin, w mękach okropnych, ale pogodzony z Panem Bogiem, a zatem przyświeca mu światłość wiekuista.

– Że nikt z tego domu teraz wychodzić nie może, to ja ci nie muszę mówić – poklepał mnie duchak po ramieniu. – Ale ty, Jureczku, tym bardziej przychodź do szpitala na służbę; lekarzy się te przepisy nie tyczą.

– Ja dopiero mam być lekarzem – przypomniałam.

– Tak czy owak, masz styczność z chorymi – przypomniawszy ojciec Gwido – podobnie jak ja i wszyscy moi współpracownicy.

Wyjaśniłam mu, że i bez urzędowego zakazu od przeszło dwóch tygodni nikt oprócz mnie z domu nawet na chwilę nie wychodził.

– A świętej pamięci Rzemieńczyk?

– Musiał się jakoś po cichu wymknąć – odrzekłam z zakłopotaniem. – Prawda, że narzekał na to zamknięcie: czuł się uwięziony.

– Któż z nas nie jest uwięziony? – Ojciec Gwido wzniósł oczy do nieba.

– W naszej cielesnej powłoce – dodał z dobrotliwym uśmiechem.

A zatem, jak widzisz, Enneleyn, i naszego domu zaraza nie oszczędziła, zabierając stajennego Szymka. Szkoda chłopaka, choć może i sam sobie winien, bo pewnie by dzisiaj żył, gdyby był w domu siedział. Ale on był zawsze hardy, narowisty, o byle co rwący się do bitki, choć w gruncie rzeczy dobry chłopak – mimo wszystko. Niewiele ci o nim pisałam, więc mogłaś sobie wyrobić o nim inny sąd, dlatego teraz, proszę, uwierz mi na słowo: Szymka stajennego dało się lubić.

Nasunęło mi się wspomnienie o reprimendzie, jakiej mu Filip udzielił, kiedy się tak głupio chełpił napaściami na Żydów w Boże Ciało – pamiętasz? Otóż myślę sobie, znając Szymka, że chociaż wtedy nie dał tego po sobie poznać, jednak z czasem przetrawił w sobie Filipa słowa, i gdyby był tylko dożył kolejnego Bożego Ciała, pewnie już by się w tym dniu burd nie dopuszczał, a może nawet, kto wie, innych by od nich powstrzymywał.

Wciąż nie mam żadnych wiadomości od moich Żydów i liczę tylko, że zaraza szczęśliwie nie dotarła na ów skrawek ziemi wciśnięty między odnogi Wisły, na którym się wszyscy oni tłoczą razem z tamtejszymi chrześcijanami. Ci drudzy mają dość dobrego lekarza w osobie doktora Seliga, proboszcza tamtejszej parafii (był z nami, pamiętasz, na wsi u burmistrza Mornsteina), tylko że z tego, co mi wiadomo, Żydom on pomocy nie udziela. Kiedyś, jeszcze na Szpiłarskiej, mogli liczyć na rabina Izaaka Sefardiego, bardzo sławnego lekarza, który w młodości tak się wyróżniał wśród studentów medycyny w emiracie Grenady, że ściągnął go do siebie na nadwornego lekarza sułtan jednego ze

wschodnich ludów, a poznawszy się wkrótce na jego bystrości i rozumie, wysłał go jako posła do władców krain zakarpackich, aby im przedstawił zamysł wspólnego uderzenia na Turków, i takim to sposobem rabin Izaak trafił w końcu przed oblicze polskiego króla. To było mniej więcej wtedy, kiedyśmy obie przyszły na świat, albo niewiele później. Król Kazimierz, poznawszy się na jego wiedzy, zatrzymał go jako jednego ze swych nadwornych lekarzy i taką właśnie godność rabin Sefardi sprawował, kiedy ja przed siedmiu laty wkręciłam się do Żydów. Wiem, że uczestniczył w pamiętnym dla mnie bejs din i to jego głos, obok rabina Pollacka, przeważył, gdy się starszyzna spierała, jakie mi trzeba postawić warunki. Zdaje mi się, że po śmierci starego króla Sefardi stracił posadę na Wawelu, w każdym razie wkrótce potem przeniósł się do Sandomierza, do świeżo poślubionej żony, wdowy po jakimś bardzo zamożnym tamtejszym kupcu. Ostatnio, słyszę, wziął go na swój dwór obecny arcybiskup lwowski, trzeci już chyba na tamtejszym stolcu od śmierci Grzegorza z Sanoka. Martwię się więc o mych Żydów, bo wiem, że teraz nie mają przy sobie żadnego dobrego lekarza – chociaż po prawdzie na krościcę i najlepszy nie zaradzi. Ale gdyby jakiegoś mieli, przynajmniej nie czuliby się tak bezlitośnie pozostawieni swojemu losowi, jak się zapewne czują.

Widzę, że dla naszych chorych tu, w Krakowie, samo to, iż się z troską nad nimi pochylamy, że im zmieniamy kompresy i podkładamy świeżą słomę, bardzo wyraźnie wpływa na ich stan ducha; a to prawidło dobrze zna twój ojciec, iż ktokolwiek myśli, że ma mu się na życie, ten prawie zawsze ma rację.

Do innych kłopotów z utrzymaniem chorych w czystości doszedł nam ostatnio jeszcze jeden: pluskwy i wszy. Dlatego teraz od razu włosy im ścinamy krótko, a jeśli trzeba, to nawet całkiem golimy głowy – jak przeżyją, to im pukle odrosną. I na tym nie można poprzestać, bo też chowa się owad w słomie, a nawet w ubraniach, więc to wszystko trzeba im zabierać i w kotłach wyparzać, dając tymczasem inne, już wyparzone, tak że żaden z chorych na dobrą sprawę nie ma na sobie swoich rzeczy i raczej nie ma szans na to, by je kiedyś odzyskał, bo przerób tu jest zbyt wielki, żeby się o takie sprawy troszczyć; i czy dasz wiarę? – wielu z pacjentów, nawet tych bliskich już ostatniego tchnienia, ogromnie to doskwiera, że nie w swoich leżą koszulach!

Obie z Lukrecją, po to, żeby nie było robactwu za łatwo na nas przeskoczyć, obcięłyśmy włosy jak najkrócej – ona mnie, a ja jej. Z goleniem głów na łyso na razieśmy się wstrzymały, ale jak będzie trzeba, to kto wie. Muszę ci powiedzieć, że bardzo ładnie pannie Garlickiej z tak okrojoną dekoracją głowy – teraz jej oczy wydają się jeszcze większe, a usta jeszcze bardziej pulchne. Ona sama też wygląda na bardzo zadowoloną z dzieła, którego dokonała na mojej głowie. Powiedziała mi z rozbawieniem, ale bez drwiny, że wyglądam teraz jak chochlik – to po polsku coś jak elf. Dlatego zapytałam, czy mam szpiczaste uszy.

– Nie – odpowiedziała – ale resztę masz naprawdę bardzo c h o c h l i k o w a t ą.

Po powrocie do domu przejrzałam się w lusterku i przyznam ci się, że chochlik nie chochlik, nawet się sobie spodobałam. Lukrecja ostrzygła mnie o wiele lepiej niż ja ją, z większą dbałością i wprawą, co się tłumaczy tym, że jak mi wyznała, od lat strzyże swoich braci, co prawda nie aż tak krótko. Patrzyłam więc z przyjemnością w swoje odbicie, ale nagle uderzyła mnie pewna myśl, która zwarzyła mi humor: mianowicie spostrzegłam, że wyglądam teraz o wiele bardziej dziewczęco niż przedtem. Zachodziłam w głowę, czy tylko ja to widzę – dlatego że wiem, kim jestem – czy może każdemu to przyjdzie do głowy i potem, idąc za tą myślą, każdy może odgadnąć mój sekret!

Kallimach, gdyśmy usiedli do spisywania dalszego ciągu jego peregrynacji, podniósł na mnie wzrok i rzekł wesoło:

– O, proszę, wyglądasz teraz jak młody Horacy! Co prawda – dorzucił, przypatrując mi się przymrużonymi oczami – jemu tak włosy nad czołem nie sterczały do góry, ale ty się z tym nawet jeszcze lepiej przedstawiasz.

Widząc, że nawet on, tak dobrze mnie znając, wciąż nie dostrzega we mnie kobiety, poczułam się nieco pewniej, choć z drugiej strony, rzecz jasna, odrobinę mnie to ubodło. Cóż, trzeba się pogodzić z tym, że są rzeczy, których ze sobą pogodzić się nie da.

– Skończyliśmy na tym – przypomniałam, sięgając po pióro – jak w Retymnionie wsiadałeś na statek płynący na Cypr.

– Tak, i kosztowało mnie to połowę mojego majątku, cały grosz! – Zaśmiał się. – Ale byłem przekonany, że gdzie jak gdzie, ale na wyspie Wenery na pewno nic mi nie grozi i warto za to ten ciężko zarobiony grosz zapłacić.

Kallimach wytłumaczył mi, że zależało mu zwłaszcza na tym, aby zejść zupełnie z oczu władzom weneckim, gdyż miał w pamięci to, o czym wspomniał mimochodem prowizor Balbi, iż w razie gdyby się pojawiły jakieś nowe dowody, zawsze mogą jego sprawę wznowić. Co do papieskiego pościgu, doszedł do wniosku, iż musiał on już dawno zgubić jego ślad, skoro na Krecie Wenecjanom przez całe trzy miesiące, kiedy go trzymali w lochu, nie przyszło nawet na myśl, kim on naprawdę jest. Dlatego sądził, że na dalekim Cyprze, który w owym czasie nie podlegał żadnej z potęg włoskich, będzie już całkiem bezpieczny – choć nie miał pojęcia, co by tam miał porabiać.

– Mieliśmy dotrzeć do Pafos po dwóch dniach – wspominał – ale ledwie minęliśmy wyspę Karpatos, rozpętało się piekło. Przeżyłeś kiedyś sztorm na morzu, chłopcze?

– Nie, na szczęście – przyznałam. – Raz tylko zdarzyło mi się płynąć statkiem, z panem Celtisem, z Triestu do Raguzy, ale morze było wtedy spokojne, tylko nocami nieco bardziej kołysało.

– Więc uwierz mi, że jest to coś naprawdę strasznego. – Filip głośno sapnął, wracając myślą do tych wspomnień. – Nawet marynarze, widziałem, mieli duszę na ramieniu, większość z nich skryła się zresztą pod pokładem, niby to żeby po omacku wybierać z dna kadłuba wodę, co raz po raz wpadała przez luk, ale głównie, żeby nie dać się z pokładu zmyć. Sam tylko szyper pozostał na górze, uwieszony u steru, prawda, nie całkiem sam, bo był przy nim najbardziej zaufany z jego ludzi, który może miał go zastąpić, jeśliby go fala zabrała. Ja nawet raz wspiałem się po schodkach i wystawiłem głowę przez luk, myśląc o tym, żeby zaofiarować się do pomocy, jako że niby coś tam już z marynarskiego rzemiosła liznąłem, ale od razu musiałem się cofnąć, bo jeden rzut oka mi wystarczył, żeby mnie znów pod pokład zagonić. Pytasz, co takiego zobaczyłem? Rzecz w tym, że niewiele było widać, bo raz, że było ciemno prawie jak w nocy, a może już naprawdę zmrok był zapadł, nie dam głowy; a dwa, że lał deszcz tak silny i gęsty, iż się zdawało, żeśmy się już znaleźli pod wodą. Jeszcze na dole czułem, że nami rzuca na wszystkie strony, ale tam na górze mignął mi pokład, który przechylał się tak mocno na rufę, że gdybym chciał wypełznąć na jego deski, musiałbym się po nich wspinać w stronę majaczącego gdzieś wysoko przedniego kasztelu. Minęło ledwie okamgnienie i zaraz wszystko poleciało do przodu, kasztel zniknął mi z oczu, a zamiast niego w nagłym świetle

błyskawicy ujrzałem pędzące ku mnie wzburzone morze, które jednak szybko gdzieś uciekło i znów pokazał się pokład, a po nim wprost na mnie spływała zagarnięta dziobem woda i nim zdołałem cofnąć głowę, zatraskując za sobą klapę luku, przemoczyła mnie ze szczerem. Tam na dole raz po raz z różnych stron statku dobiegał basowy chrobot trących o siebie części kadłuba i ciężko się było opędzić od myśli, że za chwilę się to wszystko rozpadnie. Bujało nami tak, że ciągle traciłem równowagę, czując przy tym, że zaraz wszystko ze mnie wyleci. Wtem ktoś mnie pochwycił za rękę, o tu – Filip objął dwoma palcami swój nadgarstek – i poczułem, że prowadzi mnie po rozkołysanym dnie statku tanecznym krokiem. Sam nie wiem, jak to się stało, że poddałem się temu bez oporu i zaczęliśmy tam w ciemności płaszać we dwóch, do ryku bałwanów i łoskotu piorunów, z braku lepszej muzyki. Nie uwierzysz, ale mdłości mi od tego minęły, ustąpił też ściskający za gardło strach, więc tańczyliśmy dalej do upadłego. Dosłownie do upadłego, bo w jakiejś chwili poczułem, że nogi się pode mną uginają i padam tam, gdzie stałem, pomiędzy beczki i skrzynie.

Zamilkł. Po dłuższej chwili zapytałem:

– I co było dalej?

– Nie wiem – odrzekł. – Chyba zemdlałem. Kiedy się ocknąłem, już nie kołysało, ale było ciemno choć oko wykol, aż w pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że może już jestem po tamtej stronie, tylko że zaraz potem dobiegło mnie czyjeś pochrapywanie i to mi nie pasowało do moich wyobrażeń o zaświatach. Obróciłem się więc na drugi bok i spałem dalej, a kiedy się obudziłem, był piękny, słoneczny dzień i płynęliśmy przy pomyślnym wietrze na północny wschód. Okazało się, że sztorm rzucił nas gdzieś aż w pobliże brzegów Egiptu, ale już wracamy na prawidłowy kurs i, jak tak dalej pójdzie, nazajutrz po południu będziemy na Cyprze. Spojrzałem na rufę, próbując wypatrzeć egipski brzeg, bo skoro byłem już tak blisko Aleksandrii, z którą tyle wiązałem dla siebie nadziei, to trochę mi było żal, że płynę w przeciwnym kierunku, ale rozumiałem przecież, iż szyper ma swoje zobowiązania i nie może zmieniać kursu dla nagłej zachcianki jednego z podróżnych.

– Wciąż nie wiem, kim był ten, kto cię porwał do tańca – przypomniałem.

– Ba, sam bym chciał to wiedzieć – odrzekł, rozkładając ręce. – Przy świetle dnia przyglądałem się po kolei bardzo uważnie każdemu

z marynarzy i tym dwóm czy trzem podróżnym, którzy dzielili ze mną trudy żeglugi, ale żaden z nich, gdy nasze spojrzenia się spotykały, ani się nie uśmiechnął porozumiewawczo, ani nawet głową nie skinął; nic, żadnego znaku. Więc i ja nikomu żadnych znaków nie przesyłałem. Dlatego teraz przychodzi mi do głowy, że ktokolwiek to był, może, tak samo jak ja jego, i on mnie nie umiał rozpoznać za dnia.

Roześmieliśmy się oboje, po czym Filip przeszedł do tego, co mu się przydarzyło na Cyprze. Otóż ledwie zszedł z trapu na nabrzeże w Pafos, już chciał stamtąd uciekać, gdyż pierwszą osobą, na jaką się natknął, był przechadzający się po porcie biskup kalabryjskiego miasta Gerace, Anastasijos Chalkopulos, Grek nawrócony na rzymski obrządek. Kallimach widywał go często w Rzymie, w domu kardynała Bessariona, więc mógł zasadnie przypuszczać, że ów świątobliwy mąż go rozpoznał, mimo zmian, które zaszły w jego wyglądzie pod wpływem tułaczego życia. Zdawało mu się, że na krótką chwilę spojrzenie biskupa zatrzymało się na nim, by po chwili powędrować dalej z udawaną obojętnością. Takie zachowanie bardzo Filipa zaniepokoiło, gdyż po bliskim współpracowniku swojego protektora spodziewałby się raczej, że ten, rozpoznawszy go, serdecznie go wyściska i wyrazi radość z tego, że widzi go całym i zdrowym.

Chociaż więc po przeżytych sztormie miał chwilowo dosyć morza, uznał jednak, że im krócej na wyspie pozostanie, tym będzie dla niego lepiej. Od razu tedy, tak jak wcześniej w Retymnonie, zaczął swoją kulawą gminną greką rozpytywać w porcie o rejsy do Aleksandrii. Powiedziano mu, że z Pafos statki odpływają tylko w kierunkach zachodnich – na Krete, Rodos i do miast Licji czy Frygii – natomiast kursy do portów Lewantu obsługuje Famagusta, leżąca na wschodnim wybrzeżu wyspy, w odległości czterech albo i pięciu dni marszu. Na szczęście znalazł się jakiś przewoźnik, który za dwa denary przewiózł go tam swoim niewielkim czółenkiem, tak że do Famagusty dotarł Filip następnego dnia tuż przed brzaskiem. Rzeczywiście wiele statków płynęło stamtąd do Akki w Ziemi Świętej albo do miast Libanu, lecz tam, gdzie Filipa ciągnęło, do Aleksandrii w Egipcie, najbliższa karaka miała wyruszyć dopiero za dwa tygodnie. Zostało mu z grosza już tylko niecałe osiem denarów, więc obawiał się poważnie, czy to wystarczy na opłacenie przejazdu, a do tego musiał te dwa tygodnie jeszcze jakoś przeżyć.

Famagusta w porównaniu z Pafos miała tę zaletę, że można się tam było od biedy dogadać po włosku, jako że przez prawie sto lat siedzieli tam Genuieńczycy i dopiero na krótko przed przybyciem Filipa młodemu królowi Jakubowi II udało się ich stamtąd wykurzyć. Sam monarcha, jak Filipowi powiedziano, był Francuzem, potomkiem Gwidona z Lusignan, który w czasach Trzeciej Krucjaty, blisko trzysta lat temu, przesiadł się był z chybotliwego tronu królestwa Jerozolimy na pewniejszy stolec cypryjski, ustąpiony mu za opłatą przez króla Anglii.

Filipa zaintrygował ten władca, zwłaszcza gdy mu powiedziano, że w celu odbicia Famagusty posłużył się drużyną egipskich mameluków, których potem pod pierwszym lepszym pretekstem wyrznął co do jednego, nie oglądając się na to, czy się to spodoba Barsbejowi, sułtanowi Egiptu, formalnie od kilkudziesięciu lat sprawującemu nad Cyprzem zwierzchność.

Ze francuskie korzenie tutejszej władzy są wciąż jeszcze żywe, mógł się mój przyjaciel niebawem przekonać, wsłuchując się w komendy wydawane przez kapitana gwardzistom, którzy wywlekali go z tawerny, by go następnie doprowadzić na miejscowy zamek, przed oblicze króla Jakuba.

– Król był o trzy lata młodszy ode mnie, więc bardzo młody – wspominał Filip. – Porównaj sobie z naszym Olbrachtem, który teraz, po czterech latach panowania, ukończy trzydzieści siedem lat: tamten nie miał trzydziestu, kiedy mnie przed nim postawiono, a na tronie zasiadał już lat dziewięć. Patrząc na jego przekrwione oczy i ciężką, kwadratową szczękę, pomyślałem sobie, że musi to być władca bezwzględny i brutalny, a jeszcze kiedy mnie zapytał wprost, czy jestem Filipem Buonaccorsim znanym jako Kallimach, to, jak się domyślasz, byłem pewien, że już po mnie. Tylko że znów, jak wtedy w Trani, na moją korzyść zadziałała dość powszechna wtedy niechęć do papieża Pawła, a też i rogata natura tego króla, który wyjątkowo nie lubił, gdy mu ktoś rozkazywał, może dlatego, że jako bastard królewski musiał walczyć o koronę ze swą narodzoną z prawego łoża młodszą siostrą, Karoliną, co go nauczyło samemu sobie przyznawać przysługujące mu prawa. „Ja pana do Rzymu odsyłać nie będę – oznajmił mi – bo to nie moja sprawa. Ale też nie mam zamiaru z papieżem o pańską skórę wojować. Jego ekscelencja biskup Chalkopulos ma tu przybyć ze swoją drużyną jutro. Cóż, chce im się pana łapać, niech łapią, ja im w tym przeszkadzać nie będę. Ani też panu,

panie Kallimachu, nie będę przeszkadzał, gdyby pan jednak wolał jeszcze dziś wsiąść na pierwszy lepszy statek i zniknąć mi z oczu, zamiast tu na nich czekać”. Tu przyjrzał mi się krytycznie, odchylając głowę, i widocznie mój skromny, pokryty osadem z soli morskiej ubiór dał mu do myślenia, bo nagle zapytał, czy mam jakieś pieniądze. „Siedem denarów”, odrzekłem, bo tymczasem zdążyłem pół denara wydać na jedzenie. Wtedy powiedział coś po francusku do kapitana straży, po czym zwrócił się do mnie po łacinie w te słowa: „To, mój panie, będzie pożyczka. Pożyczka na rewers”. Chciałem mu paść do nóg, ale dał strażom znać, że mają mnie podnieść i wyprowadzić, co niezwłocznie wykonały. Kapitan podsunął mi potem rewers do podpisu i wręczył dwanaście groszy, które miałem szczerzy zamiar później zwrócić, lecz zanim miałem okazję się z tego wywiązać, Jakub II zmarł, pozostawiając mnie swoim dłużnikiem.

Przyznasz, Enneleyn, że to aż dziw bierze, jak w tej niedoli przez cały czas jednak sprzyjała Filipowi fortuna, w ostatniej chwili zawsze go wyciągając za uszy z zupełnie, zdawałoby się, beznadziejnego położenia. Czy był to tylko ślepy traf, nie jestem pewna; sam Kallimach jest przekonany, że zawdzięcza owe szczęśliwe rzeczy obroty głównie własnej przemyślności. Ja bym powiedziała raczej, że musiał to sprawiać jego nieuchwytny dar zjednywania sobie ludzi.

– A jeśli chcesz wiedzieć, Chalkopulos wcale nie w pogoni za mną przybył wtedy na Cypr – przypomniało się nagle Filipowi. – Jeszcze zanim mnie strażę pojmały, zdążyłem wyciągnąć gospodarza tawerny i dwóch spośród jego gości na pogaduszki, i stąd wiedziałem, że właściwą misją biskupa Gerace było wyswatanie króla Jakuba za Zoe Paleologównę, bratanicę ostatniego cesarza Bizancjum. Król Cypru w owym czasie, mimo młodego wieku, zdążył być już spłodzić czworo dzieci z nieprawego łoża i, jak mi się wydaje, niezbyt się palił do poślubienia trzynastolatki dla wygodzenia papieżowi, któremu taki związek byłby na rękę w jego planach zjednoczenia Kościołów. Niewiele też później Jakub II pojął za żonę wenecką Katarzynę Cornaro, o dwa lata od Zoe starszą, a że wkrótce potem czemuś mu się zmarło – Filip zmrużył porozumiewawczo oko – to Cypr należy dzisiaj do Wenecji. Co do Paleologówny, mój drogi, o nią ty się nie martw: znalazł jej papież, już następny, męża na miarę jej ambicji, tego samego, o którym moja Fannia

mówiła, że jest mabuć duże strohyj, pamiętasz? Tego właśnie wielkiego księcia moskiewskiego, Iwana. A córka tej pary, Helena, wydała się w zeszłym roku za naszego Aleksandra, wielkiego księcia litewskiego. Okropnie jej na Litwie nie lubią, tak samo jak ponoć Moskwićini jej matki nienawidzą, ale ci przynajmniej mają, zdaje się, po temu dobre powody, podczas gdy Litwini głównie Helenie wyrzucają, że pozostała przy swojej greckiej wierze, podczas gdy to, że jest dla ich księcia czułą i lojalną małżonką, wzrusza ich bardzo mało.

Kallimach prosto z zamku, gdzie go król Jakub przyjmował, poszedł do portu, szukać statku, którym by mógł jeszcze tego samego dnia z Cypru odpłynąć. Idąc kamiennym nabrzeżem, zobaczył z daleka, że jeden z szyprów, wspierając się o pachoł do cumowania, rozmawia z jakimś podróżnym, zapewne dobijając targu o opłatę za przewóz. Z uczuciem pewności siebie, jakiego dawno nie doświadczał, a które mu teraz dawał pełny trzos, zbliżył się do tych dwóch, aby również spróbować się z szyprem dogadać. Podróżny zerknął na niego przez ramię i wtedy Kallimach zamarł, podobnie zresztą jak i tamten. Był to bowiem serdeczny Kallimacha druh z czasów rzymskich, młody medyk Marcantonio Franceschini.

– Widzę przed sobą jego twarz i wydaje mi się, że śnię – opowiadał Filip, nie odrywając rozszerzonych w radosnym zdumieniu oczu ode mnie, jakbym to ja była owym długo niewidzianym przyjacielem. – Bo jakże, bo skąd on się tu wziął, na końcu świata, w tym obcym tłumie, w mieście, o którego istnieniu wcześniej nawet nie wiedziałem, na tym nabrzeżu, właśnie w tamtej chwili: jakże to możliwe? Przez chwilę przemknęła mi przez głowę straszna myśl, że może on tam z Chalkopulosem przybył i na jego polecenie mnie szuka; ale nie, myślę, nie on, on by nigdy... – Kallimach zamilkł i otarł łzę. Po chwili podjął zdławionym głosem: – Mówię: „To ty, Asklepiadzie?”. A on mi pada w ramiona...

Jak się okazało, ów Marcantonio czy, jeśli tak wolisz, Asklepiadeusz, również uniknął aresztowania, w porę ostrzeżony przez biskupa Teramo, którego był sekretarzem. Ucieczka z Rzymu nie kosztowała go aż tylu wyrzeczeń, co Kallimacha, gdyż, jak się wydaje, za nim listów gończych nie rozesłano. Mimo to na wszelki wypadek wolał Marcantonio zejść papieskim służbom z oczu, toteż dotarłszy najpierw do Messyny, popłynął od razu na Krete, gdzie przesiadł się na statek płynący na wyspę Chios, leżącą u wybrzeży Lidii. Miał on tam kuzyna, jednego z dwóch braci

Ugolinich, którzy od dawna namawiali go listownie do przyjazdu, obiecując złote góry. I rzeczywiście, gdy się nieoczekiwanie zjawił na Chios, kuzyn Niccolò przyjął go bardzo gościnnie, pomógł mu się urządzać i załatwił z genueńskimi władzami zgodę na prowadzenie przezeń na wyspie praktyki lekarskiej. Dlatego nie mógł odmówić prośbie Ugolinich, by popłynął jako ich przedstawiciel do Kairu z ładunkiem dwunastu beczek mastyksu i tyłuż ałunu, a w zamian przywiózł wystawioną przez egipskiego odbiorcę towaru suftadzę, czyli coś w rodzaju naszego weksła trasowanego. Zważ teraz, Enneleyn, cóż to było za zrządzenie losu niesłychane, że w drodze powrotnej z Afryki spotkał ów Asklepiadeusz na Cyprze Kallimacha, któremu tam przecież na dobrą sprawę było dane spędzić tylko jeden dzień, z niewielkim okładem. „Jedź ze mną na Chios! – namawiał Filipa, słysząc, że on właściwie nie wie, dokąd chce popłynąć. – Na pewno nie pożałujesz!”



Och, moja Enneleyn, jak ja mam dosyć tej całej zarazy! Od rana do nocy tylko śmierć, cierpienia, strach, a nierzadko napady zbiorowego obłędu albo bezprzykładne przejawy ludzkiej podłości. Nie mówię tu tylko o tym, co się widuje w szpitalu – nie, tam robimy, co możemy, chociaż możemy niewiele – aczkolwiek przyznam, że nawet służąc z największym poświęceniem sprawie tak godnej jak opieka nad chorymi i umierającymi, pozostajemy wciąż tymi samymi samolubnymi istotami, zdolnymi do najpaskudniejszych postępków – z zawiści, chciwości albo nieraz przez to po prostu, że cudza krzywda sprawia nam uciechę. Mówię „nam”, choć ja sama staram się bronić przed złymi popędami, które siedzą we mnie jak w każdym człowieku, tylko że, jak wiesz, już się dopuściłam występku najcięższej wagi, i choć stało się to bez mojej złej woli, nie mogę się teraz w swym mniemaniu czuć lepsza od tych, co popełniają różne drobne świństwka, gdy się tylko nadarzy okazja. W szpitalu lżej chorzy nagminnie okradają umierających, nie przyjmując do wiadomości, że może za kilka godzin oni sami będą w podobnym stanie jak ci, którym zwinęli ostatnie miedziaki. Także na mieście widuję nieraz wyłamane drzwi w którymś z zamkniętych kramów albo warsztatów, podczas gdy okolicznymi ulicami truchtają pośpiesznie całe

procesje zaradnych mieszczan, obławowanych wyniesionymi z nich łupami.

Na ogół jednak na mieście jest zupełnie pusto, bo mimo wszystko większość krakowian poszła po rozum do głowy i siedzi w domach. Dziwne wrażenie sprawiają teraz te ulice, jeszcze przed miesiącem tak zatłoczone i hałaśliwe, dziś milczące i odludne, gdzie tylko stada kawek i gołębi żerują wśród pędzonych wiatrem śmieci, raz po raz zrywając się z furkotem, gdy je spłoszy bezpański pies albo kot. Ludzie, zamknięci w domach, nieczystości wylewają na ulicę przez okna, a że, jak chyba ci już pisałam, oprócz duchaków i grabarzy nie działa żadna miejska służba, nikt nawet nie próbuje na miasto wychodzić bez patynek, bo po jednym takim spacerze musiałby ulubione cizmy wyrzucić do śmieci.

Złości mnie najbardziej, pisałam ci już o tym, bezradność medycyny wobec tej głupiej choroby.

– Dlaczego – zagadnęłam Lukrecję – wszystko, co ma nasza sztuka lekarska do powiedzenia na temat tej czy innej przypadłości, czerpiemy z Razesa czy Awicenny, którzy żyli prawie pięćset lat temu, albo wręcz od starożytnych? Czyśmy przez tyle pokoleń nie potrafili dojść do niczego więcej?

– Ludzkie poznanie – podsunęła mi zdawkową odpowiedź – jest ograniczone naszymi skromnymi zdolnościami pojmowania.

– Akurat! Sama w to nie wierzysz – odparłam, na co ona parsknęła śmiechem i poszła do swoich pacjentek.

Ha, a jeśli to właśnie mnie albo jej pisane jest znaleźć sposoby na leczenie krościcy i może jeszcze innych plag? Kto wie. Przyznam ci się, że nie przestaję się głowić, jak to się dzieje, że niektórzy dotknięci tą czy inną chorobą umierają na nią, a inni zdrowieją. A może dałoby się wysledzić, od jakich właściwości naszego ciała to zależy, a następnie poszukać jakiejś metody, która by pozwoliła wszystkim obdarzyć takowym przywilejem podobnym do Achillesowego, choćby nawet także i on miał jakiś słaby punkt? Czemu nad tym nie pracujemy; czemu, skoro już przyszło nam żyć w tak strasznym czasie, nie korzystamy z okazji, by rozszerzyć, pogłębić naszą wiedzę?

Mnie osobiście bardzo wiele dał do myślenia przypadek Cyganki Relii. Wyobraź sobie, że znowu ją spotkałam, choć prawdę mówiąc, zdążyłam ją już w myślach pochować i opłakać – ją i jej dwie śliczne córeczki. Tymczasem wszystkie trzy żyją i widać jak na dłoni, że niebawem będą

zdrowe – bo nie gorączkują, strupy im odpadają i mimo pewnych oznak osłabienia poruszają się zwawo i mają dziarskie miny. Nie mogłam się powstrzymać, żeby ich wszystkich trzech nie wyściskać, a potem mówię do Relii:

– Zdradź mi, proszę, co robiłaś, żeby chorobę pokonać? Czyś poprzestała na samych tylko modłach do tej waszej świętej?

– Świętej Szitali – przypomniała mi jej imię. – Ano, na samych tylko modłach to nie, bo trzeba jeszcze dla świętej ogień palić z trociczkami i odpowiednie kantyczki przy tym zawodzić. No a poza tym – dodała po chwili – odkupiłam ubrania od takich, którym się już z tej krostowy wyzdrowieć udało, dla siebie i dla małych.

– Ubrania po ozdowieńcach? I nosiłaś je na sobie?

– Wciąż jeszcze noszę – uśmiechnęła się od ucha do ucha, biorąc w dwa palce plisnę na swej wzorzystej spódnicy. – I ja, i dziewczynki. No, niedługo te fatałaszki sprzedamy jakiejś innej Cygance i jeszcze na tym zarobimy!

– Ale chyba je przedtem wypierzesz? – dopytałam, wskazując na plamy i zacieki na dziecięcych sukienkach.

– A, nie – stanowczo zaprzeczyła Relia. – Jak się wypierze, czar nie działa. Muszą być przeniesione prosto z człowieka na człowieka. Przez to – przechyliła głowę ku piersi i głośno pociągnęła nosem – trochę śmierdzą, wiadomo! – Zaśmiała się. – Ale trudno. Ubierzemy się w czyste rzeczy, jak już na te znajdzie się kupiec.

Niektórzy jej współplemieńcy – powiedziała mi – dla pewności zjadają ozdowieńców strupy, ale ona by się brzydziła, wolałaby już umrzeć.

Wiem, co powiesz: że to czysty zabobon, te ognie dla Świętej Szitali i woniejące cudzym potem suknie. Ale Relia jednak ozdowiała, choć według mojej znajomości rzeczy nie miała na to żadnych szans, i mam wrażenie, że ten właśnie zabobon w jakiś sposób się do jej ozdowienia przyczynił. A co, jeśli wilgoć wydzielana przez ozdowieńców zawiera jakieś nieznanne dotąd humory, zdolne przeciwdziałać chorobie? Albo może cały sekret tkwi właśnie w owych świętych ogniach? Śmieję się, śmieję, ale ja, odkąd poznałam Czechnę, ową szeptuchę, co mnie od meszku na twarzy uwolniła, już nie do końca takie rzeczy lekceważę.

W inną nieco stronę skierowało moje myśli spotkanie z okutaną w wełniane chusty wiejską babiną, chodzącą z ciężkimi koszami od drzwi do drzwi, zupełnie tak samo jak owa spełniająca złożony ślub kupcowa,

o której ci wcześniej wspominałam, tylko że tamta dobra ze swego kosza rozdawała za darmo, a wieśniaczka, o której teraz ci mówię, swój towar sprzedawała, nic sobie nie robiąc z obowiązującego zakazu handlu obnośnego i ani też myśląc dzielić się zyskiem z panami rajcami. W ogólności nieczęsto trafia się chłopom taka okazja do zarobku jak zaraza. Wiadomo – nam, miastowym, musi wtedy brakować żywności, zwłaszcza świeżyzny, więc gotowiśmy przepłacać, byle tylko móc przypomnieć sobie smak twarożku, śmietany, jaj, grzybów, a już za kawał krwistego mięsa to zapłacimy każde pieniądze. A ta baba, która mnie zaczepiła w Zaułku Grodzkim, nieopodal Kallimachowego domu, handlowała samym tylko mięsem, podzielonym na kawałki, starannie zawinięte w liście łopianu. Na zakup się namówić nie dałam, bo nie ja jestem w domu od tych rzeczy, ale coś mnie tknęło, żeby zapytać, czy się nie boi przychodzić do miasta, w którym panuje zaraza.

– Ech, panoczku – zaśmiała się, rozciągając szeroko bezzębne usta – a co mi tam tako zaraza! Ja przecie bydlę oporzundzam, a kto tam przy bydle robi, to zachorzeć ni ma prawa, wiadoma rzecz.

Zaciekawiona, zaczęłam dopytywać, jakież to związki ona widzi między pracą przy bydle a podatnością na chorobę, ale nie umiała mi tego wytłumaczyć, za to uparcie powtarzała, że w jej wsi wiele osób na krościcę umarło, ale z tych od bydła nikt nawet lekko nie zachorował. Możliwe, że wieśniaczka plotła, co jej ślina na język przyniosła, możliwe też, że chciała się zabawić moim kosztem, albo że wywiodła fałszywą prawidłowość z zupełnego przypadku, który nic nie znaczy – ale rada bym się bliżej przyjrzeć tej pracy przy bydle i spróbować dociec, skąd się w tej wsi wzięło przypuszczenie, że ona tak niezawodnie chroni przed krościcą.

Kallimach, gdym mu się z tych moich myśli zwierzyła, bardzo mnie zachęcał, żebym podążała tym tropem, bo i on nie wierzy, aby w naukach medycznych niemożliwy był postęp, i choć przyznaje, że głębszej wiedzy w tej dziedzinie nie posiada, to przecież, jak mówi, nie trzeba wcale wielkiej uczoności, by widzieć, że dzisiejsi lekarze nie śmiały wyjść poza ramy wytyczone im dawno temu przez ojców medycyny, jakby to było Pismo Święte, a jako że non progredi est regredi – kto nie idzie do przodu, ten się cofa – ludzkość, mówi mi Filip, czeka z utęsknieniem na śmiałka, który choć jedno własne zdanie dopisze do tego, co napisano przed wiekami.

– Może będziesz nim właśnie ty, Georgiuszu! – podbechtywał mnie z przymrużeniem oka, by zaraz dodać już poważniej: – Wcale bym się nie dziwił i wręcz byłbym dumny, że to spod moich skrzydeł wyfrunął taki lotny umysł!

Na razie ten lotny umysł zajęty jest spisywaniem wzlotów i upadków tego, co go pod swoje skrzydła wziął. Mam nadzieję, że i ciebie jego przypadki zajmują tak samo jak mnie, i nie sprzykrzyły ci się wcale dalekie światy, w które nas mego przyjaciela opowieści przenoszą. Wychodząc z takiego właśnie założenia, przekazuję ci oto najwierniej, jak potrafię, czego się jeszcze nowego od niego dowiedziałam.

Kallimach jeszcze z czasów rzymskich bardzo lubił młodego Marcantonia, choć z tego, co mi o nim mówił – że był to chłopak skromny, poważny i skupiony na swych studiach – wynikało mi, że musiał on być zupełnym Filipa przeciwieństwem. Członkowie Pomponiuszowej akademii lubili sobie dworować z tego, jak się rumienił i oczy skromnie spuszczał, gdy tylko ktoś z właściwą owemu towarzystwu swobodą poruszył dziedzinę uciech cielesnych – i po cichu przezywali go „Tacytem”, czyli „Milczkiem”, zamiast jego oficjalnym przydomkiem, odnoszącym się do jego medycznego powołania. Filip przyznał mi się przy okazji, że i do niego samego przylgnęło też drugie przezwisko, mniej dostojnie brzmiące niż Kallimach, ale gdy go zapytałam jakie, wykręcił się od odpowiedzi. Jeszcze go kiedyś przycisnę w tej sprawie.

Co zaś do Asklepiadeusza, to w czasie ich kilkudniowej wspólnej żeglugi z Cypru na Chios Filip przekonał się, że przez ten rok, kiedy się nie widzieli, młodzieniec bardzo się zmienił. Bo choć wciąż pozostał poważny i wrażliwy, a nawet, jak to ujął mój przyjaciel, trochę marzycielski, to jednak nabrał swobody w obejściu i chęci do zwierzeń, a poza tym wyraźnie się otrząsnął z zasklepiających przesądów o ludzkiej naturze, które wcześniej ograniczały jego horyzonty. Zwierzył się Filipowi, że nadal pisuje wiersze, teraz głównie elegie miłosne. „Brawo! – ucieszył się Kallimach, który zawsze uważał, że chłopak ma talent. – Czyli że w kimś się kochasz?” Marcantonio przytaknął z uśmiechem, dodając: „Tobie, z twoim doświadczeniem, te moje utwory z pewnością wydadzą się naiwne, bo ja stawiam dopiero pierwsze kroki, tak w miłości, jak i w pisaniu o niej”. Nie miał tych wierszy przy sobie; ustalili, że pokaże je Filipowi po przybyciu na Chios, tymczasem więc po prostu opowiedział

mu o tej, która go do ich pisania natchnęła. Była nią Lydia, córka właściciela skromnego domku na przedmieściu stolicy wyspy, w którym Asklepiadeusz zamieszkał dzięki pośrednictwu swojego kuzyna. Gospodarz, niejaki Stelios, miał na zboczu pobliskiego wzgórza spory gaj drzew mastyksowych, więc jak na miejscowe stosunki był człowiekiem zamożnym, lecz mimo to swoje dzieci od małego wdrażał do pracy, tak synów, jak i córki. Dlatego Lydia dość często przychodziła do Marcantonia sprzątać, a że była rzeczywiście bardzo urodziwa (jeśli wierzyć świadectwu Filipa, który widział ją tylko raz), nic dziwnego, że młody medyk zwrócił na nią uwagę i z czasem zaczął o niej marzyć. Pod pierwszym lepszym pretekstem zaczął z nią rozmowę i przekonał się, że Lydia dobrze mówi po włosku, czy raczej w narzeczu genueńskim, dość swoistym, ale jednak dla niego, rzymianina, zrozumiałym. Dowiedział się też, ku swemu zaskoczeniu, że dziewczyna dużo czyta w klasycznej grece, uwielbia Plutarcha, Herodota, Tukidyda, próbuje się także nauczyć łaciny, ale ojciec tych jej potrzeb nie rozumie, chciałby ją wydać za mąż za jakiegoś Nikosa, który ma jeszcze większy gaj mastyksowy niż on, a tamten to prostak, i do tego patrzy na nią jak na świńską tuszę u rzeźnika, mało że się nie śliniąc. „A ja nie jestem kawałem mięsa na sprzedaż!”, oznajmiła Marcantoniowi podniesionym głosem, krzesząc przy tym skry z pięknych, czarnych oczu – no i chłopak przepadł z kretelem. Ona chyba zresztą też, tak to oceniał Kallimach, chociaż jeszcze sobie tego młodzi nie zdążyli powiedzieć.

Czynsz za skromny domek, w którym mieszkał, opłacał Asklepiadeusz Steliosowi ze swoich własnych dochodów, mogąc sobie na to pozwolić, odkąd podjął na wyspie praktykę lekarską, dlatego nie musiał pytać nikogo o zdanie, gdy ofiarował Filipowi u siebie gościnę. Warunki tam mieli dość spartańskie, ale mój przyjaciel nie narzekał, rad, że może się wreszcie bez przeszkód cieszyć wszystkimi właściwymi południowym krainom urokami wczesnej wiosny. Tym bardziej że wieczorami i tak obaj z Marcantoniem przesiadywali głównie w pięknym domu jego bogatego kuzyna, Niccolò Ugoliniego, codziennie zjadając z nim wieczerę, by potem przy dobrych winach zabawiać się rozmową z gospodarzem i jego przyjaciółmi, równie miłymi jak on sam. Wracali potem do siebie pod niebem iskrzącym się od gwiazd i któregoś razu przed snem Asklepiadeusz odważył się wreszcie pokazać Kallimachowi swoje wiersze.

– Były dobre, pomysłowe, pulsujące od emocji – opowiadał mi o nich Kallimach. – Ale czytając je, byłem jednak trochę zdziwiony, a może nawet zawiedziony, że nie rozpoznaję w nich tego obrazu gniewnej i dumnej piękności, który wytworzył się we mnie, gdy słuchałem jego opowieści. „Dlaczego – pytam go – ona tu nigdzie nie mówi tych słów, że nie jest kawałem mięsa na sprzedaż?” „Myślisz, że powinienem o tym napisać?”, zdziwił się. „Koniecznie!” Spojrzał na mnie z wdzięcznością. „Spróbuję”. I dodał: „Jak to dobrze, żeśmy się spotkali, Kallimachu”.

Przytaczając te słowa przyjaciela, Filip otarł łzę i zagryzł wargi. Czułam, że musi się za tym kryć coś więcej, coś, czego jeszcze nie wiem, ale cokolwiek by to miało być, muszę poczekać, aż sam zechce mi to wyjawić.

Na trzeci czy czwarty dzień Kallimach wreszcie ujrzał Lydię, gdy przyszła posprzątać domek.

– Ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że to musi być ona – zapewnił mnie. – Była naprawdę skończoną pięknością i patrząc na jej królewskie rysy, myślałem sobie...

– Że sam mógłbyś się w niej zakochać? – podrzuciłam.

– Nie, nie – zaprzeczył żywo. – To była przecież ukochana mojego przyjaciela! Jakże bym mógł... – Przechwycił moje spojrzenie i urwał, jakby mi czytał w myślach. – No, prawda, Kordula... Tak. Nie da się zaprzeczyć. Tylko że wtedy, na Chios... Wtedy, wydaje mi się, nie byłem do tego zdolny. A może tylko za krótko tam byłem, sam nie wiem. Jedno mogę powiedzieć na pewno: widziałem wyraźnie, że ona jest zakochana w Marcantoniu. Widziałem to lepiej niż on sam. I mogę się pochwalić, że nie poczułem z tego powodu najmniejszego ukłucia zazdrości. Myślałem tylko, że rozumiem go doskonale i będę go wspierał w jego uczuciu. O, i że powinien mu ją Stelios oddać za żonę, tak myślałem.

Wszystko wskazuje na to, że po trudach włości o głodzie i chłódzie, naznaczonej ciągłym strachem o własne życie, pobyt na Chios, wśród miłych i życzliwych mu ludzi, pozwolił Filipowi nieco przyjść do siebie. Niestety, ta sielanka trwała ledwie parę dni. Skończyła się, gdy otrzymał ostrzeżenie od jednego z częstych gości w domu Ugoliniego, pana Galeazzo Giustinianiego, zarządzającego portem na wyspie. Zdradził on Kallimachowi w zaufaniu, że na Chios dotarł właśnie świeży list gończy w jego sprawie, uczulający władze zamorskich kolonii włoskich potęg na możliwe zmiany w jego wyglądzie, jak choćby na to, że dla niepoznaki

może zapuścić brodę, lub wręcz przeciwnie, zgolić ją. „Jest tylko jedno miejsce, gdzie cię papieski pościg nie dopadnie, Filipie – powiedział mu wtedy Niccolò Ugolini. – Turcja”.

Kallimach początkowo nie chciał o tym słyszeć, bo Turków wyobrażał sobie jako krwiożerczych barbarzyńców – co podobno niezupełnie odpowiada prawdzie.

– Tak, rzeczywiście, potrafią być przerażająco okrutni, gdy tylko uznają to za stosowne – tłumaczył mi – i wtedy bez drgnienia powieki potrafią mordować, palić i zadawać okropne męki, ale wcale nie jestem pewien, czy z tego powodu mamy prawo uważać się za łagodniejszych niż oni. Co zaś do osiągnięć cywilizacji, to owszem, można wskazać pewne rzeczy, których oni mogliby się od nas uczyć, ale jest też, mogę cię zapewnić, bardzo wiele innych, takich, co do których dobrze by było, gdybyśmy to my się ich od nich nauczyli. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Przyjaciele zaczęli Filipowi tłumaczyć na wyprzódki, że Turcy wcale nie są tacy straszni, jak by się wydawało, że dobrze się z nimi handluje, że bracia Ugolini mają w Bizancjum przedstawicielstwo, siedzi tam starszy z nich, Francesco; Niccolò, ten młodszy, da Kallimachowi list do niego, żeby mu udzielił gościny i wszelkiej potrzebnej pomocy.

– To mi dopiero uświadomiło – opowiadał dalej Filip – że przecież ja sam mam tam wujka, Jacopo Tedaldiego, i chociaż w rodzinie, wiadomo, różnie to bywa, może jednak i on zechciałby coś dla mnie zrobić.

– Czy to brat świętej pamięci pana Ajnolfa? – dopytałam.

– Kuzyn. Ajnolfo był mojej matki bratem stryjecznym; Jacopo rodzonym.

Ostatecznie stanęło na tym, że z samego rana Kallimach, zaopatrzony w list od Niccolò Ugoliniego do brata, wsiądzie na barkę płynącą do Konstantynopola.

Kiedy wreszcie, po wielu uściskach i niekończących się przemowach pożegnalnych, wracali z Marcantoniem do domku za miastem, Filip wpadł nagle na szalony pomysł, że najlepiej by było, gdyby przyjaciel przeniósł się do Bizancjum razem z nim. Na pewno brakuje tam lekarzy – przekonywał nie wiadomo na jakiej podstawie, dowodząc ponadto, że w tak wielkim mieście będzie mógł Asklepiadeusz liczyć na znacznie większe dochody z praktyki, a z czasem nawet na jakieś zaszczyty i, kto wie, może powrót do Włoch w glorii medycznej sławy. „Nie mogę – rzekł mu na to Marcantonio. – Za wiele zawdzięczam moim kuzynom Ugolinim,

a im jestem potrzebny tutaj, nie w Konstantynopolu. Poza tym... tu jest Lydia”. Kallimach, usłyszawszy to, pacnął się w czoło. „No tak, wybacz – powiedział. – Nie pomyślałem o tym”.

I teraz, kiedy mi o tym opowiadał, pokręcił smętnie głową.

– Że też tak łatwo się poddałem... Gdybym go był wtedy przekonał, byłoby zupełnie inaczej.



Enneleyn, droga, rwę sobie włosy z głowy – co ja mam robić? Lukrecja chora! Ta właśnie dobra, mądra i urocza Lukrecja, o której ci pisałam, najlepsza moja tutaj przyjaciółka, co nie dalej jak tydzień temu tak mnie zrecznie na elfa ostrzygła!

Koło południa połapałam się, że nie ma jej w szpitalu, i od razu nabrałam złych przeczuc, bo to do niej całkiem niepodobne. Niewiele myśląc, zgłosiłam ojcu Gwidonowi, że mam sprawy niecierpiące zwłoki, zresztą nawet gdybym nie zgłosiła, nikt by tam za mną nie płakał, ale wolałam zgłosić; zgłosiłam więc – i pognałam na rynek, do domu Garlickich. A tam najpierw służba nie chciała mnie wpuścić, że niby dom zarażony, ale tłumaczę im, kim jestem, że mam prawo odwiedzać chorych, więc zeszła pani Katarzyna, matka rodu, cała zapłakana, i mówi:

– To pan, panie Starkfaust? Nasza Krecia chora bardzo, ale wejdź pan, wejdź.

Prowadzi mnie do Lukrecji izby sypialnej, a tam ona leży pod pierzynami, trzęsie się w gorączce, włosy, te przeze mnie wystrzyżone, lepią jej się do czoła, a cała twarz w wypryskach! Patrzą tylko, czy jej się te pęcherzyki nie zlewają, widzę, że nie, i myślę: no, tyle dobrego. A w ogóle to, że ma krosty i jeszcze żyje, to też dobry znak, bo teraz wielu umiera, zanim się jeszcze jakiegokolwiek zmiany na skórze pojawią – chyba już ci o tym pisałam.

Zacząłam do niej mówić:

– Lukrecjo, poznajesz mnie?

– Georg – odpowiedziała prawie bezgłośnie. – Widzisz? Żle ze mną.

– Będzie lepiej – ja na to, próbując się uśmiechnąć. – Tylko pij dużo płynów i staraj się spać. Sen leczy.

– Wiem – wyszeptała, przymykając oczy. – Wszystkim to mówimy.

I wie dobrze, że żadnej innej rady dla nich nie mamy – pomyślałam, daremnie wpatrując się w okładki dzieł medycznych leżących na skrzyni koło jej wezgłowia. Tak jak i dla niej ja nie mam teraz żadnej rady. Chociaż... – Spojrzałam znów na Lukrecję. Spała. Oddech miała krótki, niespokojny, ale spała.

– Będę znów za godzinę, może dwie – zwróciłam się do pani Katarzyny.

– Jest taka nowa procedura, jeszcze niezatwierdzona, ale bardzo obiecująca. Muszę zdobyć pewne rzeczy.

Nie mówiąc nic więcej, wypadłam na rynek i jak obłąkana zaczęłam przebiegać okoliczne ulice, jedną po drugiej, wszędzie wypatrując Relii, tej Cyganki. Ale jak na złość, nigdzie jej nie było.

Za to na Szewskiej ulicy natrafiłam na babinę od bydła, rażno podążającą w stronę zachodniej bramy miasta. Sama nie wiem, co mi nagle do głowy strzeliło, że mówię do niej:

– Gospodyni, a macie wy gieżło na sobie?

Oślupiała tak, że aż kosz musiała postawić na ziemi.

– Że jak?

– O gieżło pytam – nalegałam. – Chcę je od was odkupić.

– Kiej ni mam ze sobą drugiego – tłumaczyła spłoszona. – To ino, co na sobie.

– O to właśnie, co na sobie macie, mi chodzi.

– Jakże to tak?

– Płacę... – Szybko przeliczyłam w myśli. – Trzy grosze!

– Trzy grosze? – zastanowiła się. – To ja wam jutro przyniesę czyste gieżło, panoczku, jak wam potrzeba, bielone, niełatane.

Tłumaczę jej uparcie, że ma zdjąć z siebie to gieżło, które ma na sobie, i oddać mi bez prania, a dostanie trzy grosze. Ona na to:

– Ale to jak ja mam je tu ściungać? Golizną na polu zaświcić? Ja nie kurwa!

Spytałam wobec tego, jak sobie radzi, kiedy ją potrzeba dopadnie.

– Ano – powiada – mam tam za bramą takie swoje krzoki upatrzone.

– To idźcie, gospodyni, w swoje krzoki, tam gieżło z siebie ściągnijcie i mi je przynieście, a te trzy grosze – pokazałam jej – będą wasze.

Ze zdobytą w ten właśnie sposób sztuką bielizny popędziłam z powrotem do Garlickich.

– Lukrecjo – mówię do niej, półprzytomnej. – Pamiętasz, com ci o tej mojej znajomej Cygance opowiadał? Widzisz, przed chwilą odkupiłem

giezło od jednej ozdrowiałej kobiety... – Tego akurat nie byłam pewna, czy ta babina była ozdrowienicą, czy też ją tylko szczęśliwie choroba dotąd omijała, ale co było robić: przyjęłam założenie, że to ozdrowienica. I jeszcze drugie, że jej bielizna może tu w czymś pomóc.

– Aaa... – jęknęła Lukrecja. – Mam to... na siebie...

– Tak, Lukrecjo, załóż to. Ja wyjdę – dodałam uspokajająco. – Pani matka ci pomoże.

– Nie, Georg – szepnęła, próbując się uśmiechnąć. – Ty mi pomóż. Ty jesteś lekarzem, nie pani matka.

Spojrzałam pytająco na panią Katarzynę, a ta skinęła głową. Nieśmiało uniosłam okrywającą chorą puchową kołdrę i podałam matce Lukrecji jej róg do podtrzymania. Następnie ostrożnie pochwyciłam obiema rękami za rąbek jej białego giezła i ściągnęłam je najpierw z jej nóg, potem z lędźwi, z brzucha, z piersi, aż w końcu zadarłszy jej ramiona do góry, zdjąłam je całkiem przez głowę. Potem, powtarzając to samo w odwrotnej kolejności, założyłam jej konopne giezło odkupione od wieśniaczki, i wzięwszy znów pierzynę z rąk pani domu, starannie chorą okryłam. Dziwnie bardzo się czułam, patrząc na Lukrecji nagość, choć pewnie nie aż tak dziwnie, jak bym się przy tym czuła, gdybym naprawdę była młodzieńcem.

Boże – modliłam się w duszy – gdziekolwiek jesteś, usłysz moje wołanie: nie odwracaj swego wszechwidzącego oka od tej istoty ludzkiej, która ci się pod każdym względem tak cudownie udała! Ocal ją, jeśli nie przez wzgląd na nią samą i wszystkich tych, którym ona jest droga, to przez wzgląd na doskonałość Twego dzieła stworzenia...

Wciąż od nowa zaczynałam się modlić i zaraz przerywałam, bo za każdym razem w ten czy inny sposób wpadałam w jakiś niewłaściwy ton – to pouczałam Boga, to groziłam mu palcem, to znów próbowałam go wziąć pod włos, jak jakiegoś próżnego despotę. Więc w końcu odmawiałam tylko Pater noster, ale bez wewnętrznego przekonania, że to coś pomoże.

Może ty, Enneleyn, pomodlisz się za mnie w intencji wyzdrowienia Lukrecji Garlickiej, córki Piotra Gaszowca i Katarzyny z Homanów? Wiem na pewno, że gdybyś ją znała, pokochałabyś ją tak samo jak ja. Och, chciałabym wierzyć, że kiedyś przyjdzie taka chwila. Ale żeby tak się mogło stać, ona najpierw musi wyzdrowieć.

Przepraszam cię za te głupstwa, które tu plotę. Jestem bezsilna. Płakać mi się chce. Tylko co komu przyjdzie z moich łez?

Dałam w Krakowie,

w piątek,

23 września

1496.

LIST XI

Wyobrażam sobie, jak musiałaś być niespokojna, moja dobra Enneleyn, tak długo nie mając ode mnie znaku życia. Mój poprzedni list, który teraz wysyłam ci jeszcze raz, wrócił do mnie po kilku dniach, bo tabor pocztowy, który go wiozł, został przed jakąś Pschtschiną zatrzymany przez czeski kordon graniczny i odesłany z powrotem do Krakowa. Wznowienie kursów poczty zapowiadają dopiero na drugi listopada, więc cokolwiek ty do mnie tymczasem pisałaś, ja tak samo otrzymam najwcześniej gdzieś koło tej daty. Wszystko przez tę piekielną zarazę, która na szczęście ma się już chyba ku końcowi.

A jeszcze dwa tygodnie temu było tak strasznie, żeśmy na każdym kroku potykali się o trupy wyrzucane pod osłoną nocy z domów na ulice, nie dam głowy, czy nie jeszcze za życia – zresztą nawet sama widziałam na bruku kilku takich nieszczęśników wstrząsanych przedśmiertnymi drgawkami.

Teraz już się takich widoków nie spotyka: ulice uprzątnięto, powróciły na nie patrole wiertelników, w szpitalu przywrócono prycze i sienniki, a wykop za miastem grabarze na polecenie doktora Velscha poproszyli palonym wapnem i zasypali ziemią. Ludzie coraz śmieiej pokazują się na ulicy, z twarzami bezkrwistymi od wielotygodniowego przesiadywania w zamknięciu, często też pooranymi przez strupy i blizny. Jeden po drugim otwierają się sklepiki, warsztaty, stragany, nawet piwiarnie, pewnie też lada chwila zezwolą rajcy kąpać się w łaźniach.

Pozornie więc można na powrót cieszyć się życiem, skoro wszystko jest znów po staremu albo zaraz będzie. Ale przecież trudno nie mieć w pamięci znajomych osób, które zaraza zabrała – Szymka stajennego, dwóch takich jak ja doktorantów, trzech duchaków i dwie duchaczki, grabarza, o którym ci już pisałam, a nawet mydlarza, u którego kupowałam świece, nieraz go przeklinając, kiedy nie chciały się dobrze palić – i teraz mi głupio.

Lukrecja, moja biedna przyjaciółka, żyje wprawdzie, i chyba żyć będzie, ale nie wiem, czy nie wolałaby umrzeć, choroba rzuciła jej się bowiem na oczy, powodując kłujący ból w oczodołach i pieczenie ocznych gałek tak okrutne, jakby jej w nie kto wcierał piasek z pieprzem wymieszany, przy czym te katusze nie ustępują, pomimo że dziewczyna nie ma już gorączki, a drobne ranki pozostałe po odpadnięciu strupów goją się na niej zupełnie dobrze. Nie wiem, czy się ona kiedykolwiek od tych bólów oczu uwolni, tym bardziej że, jak się zdaje, trwale straciła wzrok. Mówi, że widzi tylko jakieś niewyraźne, poruszające się zjawy, jakby cały świat spowiła bardzo gęsta mgła, a nawet gorzej, bo przecież nie ma nigdy takiej mgły, żeby zarysu własnej dłoni nie zobaczyć, gdy się ją do oczu podniesie – a ona tak właśnie ma. I do tego to rżnięcie oczu. Rozumiesz więc, że gorzko płaczę nad jej losem, dręczona na dodatek poczuciem winy, bo krąży mi po głowie, że mogłam nieopatrznie przyczynić się do jej stanu przez to, że próbowałam ją na własną rękę leczyć metodami nieznanymi ojcom medycyny, ulegając w tym jakimś złudnym przeczuciom, pod wpływem, nazwijmy rzecz po imieniu, cygańskich i wsiowych zabobonów.

Zdaje mi się, że tak właśnie myśli sobie Lukrecji rodzina – że to przeze mnie, przez to głupie śmierdzące gieżło, w które kazałam jej się oblec, ona teraz tak cierpi. W każdym razie ściągnęli z niej tę szmatę, gdy tylko gorączka jej spadła, i spalili w piecu, a na mnie popatrują wilkiem, ale nic nie mówią, bo widzą, że Lukrecji by tym przykrość sprawili. Ja uznałam, że muszę jej się przyznać do swoich rozterek, a zwłaszcza do tego, że nie miałam żadnych podstaw, by jej taką zalecać terapię. Ona, gdy jej wszystko ze szczegółami opowiedziałam, najpierw o Relii, a potem o babinie z mięsem, zaczęła się głośno śmiać, a z tego śmiechu wpadła w kaszel przeplatany jękami bólu, bo oczy ją od tego kaszlu jeszcze bardziej łupać poczęły, więc gdy w końcu przestało nią rzucać, rzekła mi poważnie:

– Coś tu musiało być na rzeczy, i z tym bydłem, i z tymi ubraniami po ozdrowieńcach. Ja bym na twoim miejscu też poszła tym tropem. Całkiem możliwe, Georg, że uratowałeś mi życie.

I jęknęła z bólu.

Kallimach także uważa, że nie mam sobie czego wyrzucać.

– Mówisz, że u Galena ani u Hipokrata nie ma ani słowa o ubieraniu chorego w szaty zdjęte z ozdrowieńców? Czyli nie znajdziesz u nich

przestrogi przed takimi praktykami, czy się mylę? – wywodził pokrętnie, chcąc mnie pocieszyć. – Dziwiłbym ci się, Georgiuszu – dodał z przekonaniem – gdybyś był się przyglądał z założonymi rękami, jak ta urocza dziewczyna umiera. I wiesz, co ci radzę? Kiedy znów spotkasz tę mięsiarę, dopytaj ją, gdzie ta jej wieś, i wybierz się tam któregoś dnia, żeby się przyjrzeć ich bydłu i wybadać, które z posług pełnionych przez tych ludzi przy rogowaniu mogą wpływać na ich podatność na krośnicę.

Wczoraj Filip wybrał się na Wawel, myśląc, że skoro zaraza ustąpiła, to zastanie tam z powrotem króla, który przed miesiącem oddalił się był do myśliwskiej rezydencji w podkrakowskich Niepołomicach. Okazało się jednak, że stamtąd przeniósł się Olbracht z całym dworem do Sandomierza, o dobre trzy dni jazdy dalej wzdłuż Wisły, co oznacza, że nadal jest pod wpływem owego Kschessuaffa, Kallimachowego wroga, którego brat Dobiässuaff jest w owym Sandomierzu wojewodą, czyli czymś w rodzaju hrabiego palatyna. Wawel jest teraz zupełnie pusty, jeśli nie liczyć załogi wojskowej i kilku osób służby, potrzebnych do utrzymania zamku w należyтым porządku.

Filip nadrabia miną, albo może naprawdę niewiele sobie z tego robi. Kiedy spytałam, czy w takim razie i on nie powinien pociągnąć za królem do Sandomierza, parsknął śmiechem, a potem rzekł:

– Georgiuszu, cieszymy się, że nikt niczego od nas nie chce i wreszcie możemy robić, co nam się podoba. Ja w tej chwili najchętniej bym poszedł rozprostować nogi. Idziesz ze mną?

Wybraliśmy się tedy na przechadzkę po mieście, z gołymi głowami i w rozpiętych kaftanach, z lubością wystawiając twarze na działanie łagodnego, październikowego słońca. Przed kościołem Świętej Magdaleny kupiliśmy od przekupnia kilka twardych, błyszczących jabłek słomkowego koloru i zaraz zaczęliśmy je chrupać, rozkoszując się ich przepyszny smakiem i oszałamiającym zapachem. Filip coraz to schylał się, żeby podnieść jakiś szczególnie pięknie zrumieniony liść, a to dębu, a to jaworu, i z dziecinnym zachwytem chował je ostrożnie do kieszeni. Raz po raz mijani przechodnie przesyłali mu z daleka ukłony, co chyba oznaczało, że są radzi, widząc go w dobrym zdrowiu, a on im te ukłony z uśmiechem odwzajemniał, i widziałam, że mu to sprawia przyjemność, tym bardziej że najczęściej byli to ludzie zupełnie mu nieznani. Na Rynku, koło kościoła Mariackiego, spotkaliśmy księdza Heydeckego. Uściskaliśmy

się wszyscy tak gorąco, jakbyśmy się dziesiątki lat nie widzieli, ja go poczęstowałam ostatnim jabłkiem, które jeszcze znalazłam w kieszeni, a on je chętnie pogryzał, choć mu już wielu zębów brakuje, i tak samo jak my rozpływał się nad tego owocu boskim smakiem.

Kiedyśmy tak stali, przyłączył się do nas stary doktor Selig, lekarz i poeta, proboszcz kościoła w Kazimierzu, ten, którego Kallimach nazywa Statyliuszem – ale dla niego już jabłek nie mieliśmy. Korzystając z okazji, zapytałam go, czy most do Kazimierza już otwarty. Odrzekł, że owszem, gdyż tam także choroba ustępuje, co prawda z kilkudniowym opóźnieniem w porównaniu z Krakowem, bo i pojawiła się tam później, ale za to, dodał z westchnieniem, było w Kazimierzu bardzo, bardzo ciężko. Zapytałam ostrożnie, czy mam rozumieć, że to głównie chrześcijan w Kazimierzu krościca dotknęła, czy także i Żydów, na co prychnął niedbale:

– Żydzi? Phy, marli jak muchy.

Bardzo mnie te słowa zaniepokoiły, więc obiecałam sobie, że się tam jutro wybiorę – nie do kąpieli, tylko żeby zobaczyć, czy z moich Żydów nikt nie ucierpiał i czy im nie mogę w czymś pomóc.

Ode mnie z kolei dowiedział się doktor Selig, że Akademia od jutra wznawia zajęcia w zwykłym trybie. Tak, Enneleyn, zamiast pomagać w szpitalu, będziemy po staremu słuchać nudnych wykładów, i to samo przerabiać potem na repetytoriach, w najlepszym razie mogąc się wprawiać w krojeniu świńskich tusz.

Ale, oczywiście, nie myśl sobie, że nie jestem rada z tego, że zaraza wygasa i życie w Krakowie wraca na stare koleiny, choć chciałoby się, korzystając z tej okazji, pchnąć je w jakimś choć trochę nowym kierunku. Zwłaszcza kiedy pomyślę, iż jakimś cudem na krościcę nie zapadłam, mimo że przez prawie cały czas pomoru przebywałam w samym jego ognisku, wypada mi tylko pokłonić się siłom wyższym, które, jak widać, szczególną nade mną roztoczyły opiekę.

Tak, nie doznałam najmniejszego uszczerbku na zdrowiu, chociaż po prawdzie zdrowe jest tylko moje ciało. Muszę ci bowiem wyznać, że z moim umysłem dzieje się ostatnio coś bardzo niepokojącego. Zaczęło się od nocnych zmor, z których budziłam się po ciemku, śmiertelnie przerażona i cała zlaną zimnym potem. Majaczyło mi się, że znów zmagam się nocą nad brzegiem Prądnika z mym oprawcą, tylko że tym razem na próżno szukam w trawie kamienia, a on robi swoje coraz

gwałtowniej, aż w końcu czuję, jak wypełnia całe moje trzewia swoim mleczem, śmierdzącym jak psie łajno – ale takie, wiesz, rzadkie – a jest tej ohydnej mazi tyle, że się ona we mnie nie mieści, i on ją swoim brzuchem po moim rozciera, a potem opada na mnie bezwładnie całym ciężarem, nagle zwielokrotnionym, bo jest już trupem, i ja wiem, że to trup mnie przygniata i tkwi we mnie, rozdzierając me wewnętrzne powłoki, i że to jego trupia materia spływa na mnie.

To był jeden sen. Był też drugi, w którym także z nim walczyłam, ale tym razem kamień znalazłam i czaszkę mu nim roztrzaskałam nawet lepiej, niż to naprawdę było, ale on, choć już zabity, nie wypuszczał mnie ze swoich żelaznych objęć, a gdy próbowałam się z nich uwolnić, nagle stoczyliśmy się razem, wciąż w jedno spleceni, po śliskiej trawie do rzeki. Czułam, że się topię, krztusiłam się mulistą wodą, a wypłynąć nie mogłam ściągana w dół przez jego wczepiony we mnie ciężar.

W obu tych snach najgorsze było to, że kiedy już, obudzona, siadałam skulona na posłaniu, jeszcze przez czas dłuższy zdawało mi się, że on tam jest, w tej mojej izdebce, i patrzy na mnie, przyczajony w jakimś ciemnym kącie. Aż się bałam poruszyć!

No dobrze; wiadomo – złe sny rzecz zwyczajna i mogą się przytrafić każdemu, ale w tym jednak jest coś więcej. Już mówię co. W zeszły wtorek, kiedym wracała ze szpitala, nagle go zobaczyłam przed sobą, tego mojego krzywdziciela, jak szybkim krokiem nadchodzi z przeciwka, wpatrzony we mnie, z gębą wykrzywioną uśmiechem tak obleśnym, że nie można było wątpić w jego złe zamiary. Chciałam od razu uciekać, ale jak to bywa w snach, nogi mi w ziemię wrosły. Tylko że to nie było we śnie! Szłam sobie zwyczajnie po ulicy pełnej ludzi, w biały dzień (choć już się trochę zmierzchało), i nagle go spotykam! Stoję tedy jak skamieniała, w oczach mi się zaćmiło i już mam zemdleć, ale ostatek woli powiedziałam sobie, że się nie dam, będę walczyć. Podniosłam więc głowę, hardo w oczy mu patrzę i widzę: to wcale nie on! Jakiś chłopaczek wąty, gapowaty, dużo ode mnie młodszy i zresztą w ogóle na mnie nie patrzy. A ledwie chwilę wcześniej byłam pewna, rozumiesz, pewna byłam, że to on, choć przecie wtedy, nad Prądnikiem, nie widziałam jego twarzy, zresztą i tam, na ulicy, nie zapisała się w mojej pamięci. Raczej tylko wiedziałam, w jakimś wieszczym natchnieniu, że to musi być on, niż go mogłam rozpoznać, bo niby po czym?

Takich jak to przywidzeń miałam ostatnio więcej, choć tylko jedno równie jak tamto wyraźne. Byłam w domu, siedziałam ze wszystkimi przy wieczerzy, i raptem poczułam na sobie jego silne ręce – jedną zatkał mi usta i nos, drugą za przodek mnie złapał. Wrzasnęłam w popłochu, zrywając się z miejsca, i ugryzłam go w tę dłoń, ale w istocie kłapnęłam tylko zębami, bo jego tam wcale nie było. Wszyscy, zdziwieni, spojrzeli na mnie z troską, a najbardziej Filip, więc oprzytomniawszy, wytłumaczyłam się pierwszym lepszym kłamstwem, jakie mi przyszło do głowy, że się przez nieuwagę we własny język ugryzła. Uwierzyli – co mnie cieszy, bo gdyby znali prawdę, z pewnością uznaliby mnie za obłąkaną. Ja sama się poważnie zastanawiam, czy aby nie postradałam zmysłów. Chociaż – pocieszam się – mogą to być pierwsze oznaki kiełkowania we mnie tych tajemnych umiejętności, które bym tak bardzo chciała osiąść.

Ale dość o tym. Nie chciałabym cię niepokoić bardziej, niż rzecz cała na to zasługuje, pozwól więc, że dla oderwania od niej powrócę teraz do opowieści Filipa o dziejach jego tułaczki, co prawda chwilami również mrożącej krew w żyłach, ale przynajmniej tyczącej się spraw dawno minionych.

W poprzednim liście pisałam ci, że ostrzeżony przez przyjaciół, iż na Chios grozi mu niebezpieczeństwo, Filip rad nierad wybrał się do Bizancjum. Przyplłynął tam z Chios niewielkim kutrem służącym do przewozu gołębi, można powiedzieć: pływającym gołębnikiem. Szyper, Genueńczyk z urodzenia, zapalony gołębiarz, opowiadał mi cuda o zmyślności tych ptaków. „Scignoe – mówił do Filipa genueńską gwarą – gdybyś kiedyś miał pan potrzebę, by pilnie przesłać z Konstantynopola wiadomość komuś, kto jest, powiedzmy, na Chios, to przyjdź pan do naszego gołębnika na nabrzeżu i oddaj pan liścik, byle nie za duży, żeby nam ptaka nie przeciążył; zapłacisz pan trzy denarki, a już nasza w tym głowa, żeby przesyłka dotarła gdzie trzeba, i to prędzej niż najszybszą galerą”.

Kallimach chętnie go słuchał, bo dotąd niewiele wiedział o pocście gołębiej, na Wschodzie, jak się okazało, bardzo rozpowszechnionej.

Kiedy po całym dniu i nocy żeglugi na północ wzdłuż zachodnich wybrzeży Anatolii przedarli się o świcie przez cieśnię Hellespontu i wypłynęli na szerokie wody PropontydyVIII, ujrzeli przed sobą

zmierzającą im naprzeciw flotyllę kilkudziesięciu tureckich okrętów wojennych. Filip zastanawiał się, co by to miało znaczyć, ale wolał nie zagadywać szypra, gdyż ten, zwykle tak rozmowny, teraz, zaciskając zęby, z całej siły napierał na rumpel, żeby tylko zejść z kursu przepływającym tuż obok wielkim galerom i karakom, i nie odezwał się nawet wtedy, gdy już cała flotylla znalazła się za rufą kutra, tłocząc się przy wejściu do cieśniny.

Gdy wreszcie ujrzeli przed sobą Bizancjum, słońce było już nisko. Wpłynąwszy na wody Bosforu, odbili w lewo, w jego wąską i krętą odnogę zwaną Złotym Rogiem, która wrzyna się głęboko w miasto, przedzielając je niejako na pół. Tam przybili do brzegu po prawej stronie, gdzie rozciąga się chrześcijańska dzielnica zwana Perą. Filip zapłacił szyprowi i zszedłszy na nabrzeże, rozejrzał się wokół, wciąż niepewny, czy aby dobrowolnie nie wpakował się w śmiertelną pułapkę.

– Po drugiej stronie wody zobaczyłem wyniosłe wzgórze porośnięte zielenią – opowiadał – na którego szczycie rozparł się, świeżo tam postawiony, okropnie brzydki pałac sułtański. A niżej, nieco w głębi, jarzyła się w promieniach zachodzącego słońca szlachetna bryła świątyni Mądrości Bożej, pod strażą czterech minaretów ustawionych wokół niej w czworobok niczym czterech długich i chudych janczarów, co pilnują dostojnego więźnia.

Filip przypomniał sobie, co mu powiedziano – że w Perze ma się kierować w stronę Wieży Chrystusowej, którą na pewno zauważy. Istotnie, gdy się obrócił plecami do morza, dojrzał przed sobą sterczącą między domami wielką, okrągłą basztę z czerwonej cegły, śmiało więc ruszył przed siebie prowadzącą do niej ruchliwą ulicą. Po drodze dochodziły do niego strzępy głośnych rozmów przechodniów. Niektórych języków, w jakich mówili, nie umiał rozpoznać, udało mu się jednak wychwycić gminną grekę, hebrajski, francuski i narzecze weneckie, ale najczęściej słyhać tam było gwara genueńską. Wreszcie w którejś chwili natknął się na sporą gromadkę ludzi stojących pośrodku ulicy i głośno się przekrzykujących w tokańskiej włoszczyźnie. Te swojskie dźwięki ośmieliły go na tyle, że bez wahania zaczął rodaków rozpytywać o drogę, i tym sposobem znalazł się wkrótce przed drzwiami domu Francesca Ugoliniego, hurtownika mastyksu.

– Nie widząc powodów, żeby się dłużej ukrywać, powiedziałem mu od razu, kim jestem – wspominał tę chwilę mój przyjaciel – a on wtedy

zakrzyknął radośnie: „Pan Kallimach!”, i zerwał się, by uściskać serdecznie obie moje dłonie, mówiąc szybko, że już mnie od rana oczekuje, jako że brat powiadomił go zawczasu pocztą gołębią o moim przybyciu. Z zachowania Francesca wynikało jasno, że on we mnie widzi bohatera, co mi, przyznam, bardzo schlebiało. Pewnie bym wolał, żeby podziwiał mnie raczej za moje poezje niż za ów niedorzeczny spisek na życie papieża, ale mimo wszystko poczułem nagle, jak opada ze mnie brzemień niezliczonych upokorzeń, które musiałem dotąd znosić jako wyjęty spod prawa banita. Jak to dobrze, pomyślałem sobie, że posłuchałem rady moich przyjaciół z Chios. Muszę im koniecznie podziękować, a przede wszystkim powiadomić, że dotarłem bezpiecznie na miejsce, bo na pewno się o mnie niepokoją.

Od razu więc poprosił gospodarza o przybory do pisania i skreślił do Marcantonia parę słów, dziękując mu za wszystko, co dla niego zrobił. „A teraz, mój drogi – pisał dalej – twoja kolej, by zadbać, aby tam u was wszystko się ułożyło po twojej myśli, to jest aby jakaś wyższa siła pomogła ci przełamać opór nieprzekonanych, tak byś mógł tam, na waszej wyspie, na zawsze związać swój los z czarownicą Lydią, jak tego szczerze pragniesz, i ona, wierz mi, także jest na to gotowa”. Nie mając jeszcze własnej pieczęci, przy zaklejaniu pisma odcisnął w laku cypryjskiego denara i czym prędzej pobiegł na przystań, by tam nadać swój liścik pocztą gołębią.

– Och, Georgiuszu – wykrzyknął rozpaczliwie, gdy doszedł w swej opowieści do tego miejsca – gdybymż ja mógł przewidzieć, jakie nim nieszczęście wywołam!

– Czym? Tym listem? – Zdumiałam się. – Jak to?

– Sam do dziś nie bardzo mogę to zrozumieć – odrzekł z goryczą. – Byłem bardzo szczęśliwy i zadowolony z siebie i dopiero po miesiącu, okrężną drogą, dotarły do mnie wiadomości, że Marcantonia władze na Chios wtrąciły do więzy! Początkowo nawet nie wiedziałem, pod jakim zarzutem. Przyszło mi do głowy, że może to wciąż jakieś echa owych dziecinad, któreśmy razem w Rzymie wyprawiali. Niestety, chodziło o coś zupełnie innego.

Nie było mu łatwo o tym mówić, raz, że sprawa była dla niego wyjątkowo bolesna, a dwa, że nie miał pełnej wiedzy o tym, co tam się na Chios właściwie po jego wyjeździe stało i dlaczego.

Jak się wydaje, wszystko wzięło się stąd, że owa flotylla, z którą się gołębiarski kuter z Kallimachem na pokładzie minął na Propontydzie, miała za zadanie zagarnąć Chios dla sułtana. Genuieńscy jednak, nie wiadomo jakim sposobem, zawczasu zwęszyli, co się święci, tak że zdążyli ściągnąć do obrony wyspy tyle swoich okrętów, że na ich widok turecki kapudan pasza, czyli admirał, uznał, że rozsądniej będzie zarządzić odwrót. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że na Chios genuieńskie władze przechwyciły wiadomość od Filipa do Marcantonia, a że gołąb, który ją przyniósł, wyprzedził był nieznacznie turecką flotyllę, uznały, że wynika z niej niezbicie, iż to właśnie Asklepiadeusz, działając w porozumieniu z Kallimachem, próbował ściągnąć na wyspę wrazą inwazję, zaś Lydia, o której w przejętej wiadomości mowa, to nie żadna dziewczyna, tylko kraina Lidia, część Anatolii, ta właśnie, u której brzegów leży Chios, a więc „związać z nią swój los na zawsze” miało oznaczać: przyłączyć wyspę do Turcji.

– Na pewno go wzięli na męki, skoro im się do wszystkiego przyznał – mówił cicho Filip, nie podnosząc na mnie oczu – on i pan Galeazzo Giustiniani, którego miałem nieszczęście w swoim liście do Marcantonia wymienić z nazwiska.

– I co im zrobili? – zapytałam z przejęciem.

– A jak myślisz? – Kallimach westchnął ciężko. – Powiesili ich na oczach rozradowanej gawiedzi. Trzy lata później – dodał po chwili milczenia – kiedy ja już byłem w Krakowie, proces został staraniem rodziny Giustinianich wznowiony i w rezultacie obu skazańcom przywrócono dobre imię. Tylko co im po tym?

– Może im to w zaświatach przyniosło jakieś zadośćuczynienie – wyraziłam nieśmiałą nadzieję.

– Myślisz? – zapytał z powątpiewaniem.

– Nie wiem – odrzekłam – ale tak by było lepiej, czyż nie? I jeszcze żeby Marcantonio mógł usłyszeć wiersze, które mu poświęciłeś.

Filip zaśmiał się gorzko i ukrył twarz w dłoniach.

– A co z Lydią? – spytałam, by oderwać trochę jego myśli od śmierci przyjaciela. – Czy się pogodziła z losem kawału mięsa na sprzedaż?

Otarł łzy i wyteżając pamięć, zmrużył powieki.

– Czyżby mi to umknęło? – rzekł z namysłem. – Nie, chyba o niej nie miałem żadnych wiadomości. Mogę tylko przypuszczać, że jest dziś okutaną w czarne chusty pękatą matroną i siedzi sobie na zydelku

w cieniu drzew mastyksowych, coś tam wyszywając na kawałku płótna albo wykrawając żyłki z liści winorośli.

– A wieczorami przy kaganku czytając Tukidyda – dopowiedziałam.

– Eee, wątpię – zaoponował smętnie. – Dzieci, wnuki, to dziś cały jej świat.

– Wcale nie musi tak być – upierałam się.

Podniósł na mnie zdziwiony wzrok.

– Prawda, że nie musi – przyznał łagodnie po chwili. – Więc dobrze, Tukidyda jej zostawmy.

I po dłuższym namyśle, którego postarałam się nie przerywać, na nowo podjął opowieść o swym pobycie w sturczonym Bizancjum.

Jak ci już pisałam, pan Francesco Ugolini przyjął go bardzo serdecznie i z miejsca ofiarował mu gościnę w swoim domu, dopóki, jak mówił, gdzie się go nie urządzi. Filip, któremu się marzyło jakieś zajęcie godne człowieka pióra, nie bardzo wiedział, jak ma go szukać, bo dobry pan Francesco, choć sam dość biegle czytał po łacinie, znał w mieście tylko podobnych sobie kupców, a także parę osobistości ze stanu duchownego, a tych mój przyjaciel, nie będąc pewnym, jak daleko może sięgać mściwe ramię papieża, na wszelki wypadek wolał unikać. Nie mając lepszego pomysłu, postanowił odszukać w mieście swojego wuja, Jacopa Tedaldiego, choć w rodzinie nie mówiono o nim dobrze, z racji porzucenia młodej żony z dzieckiem przy piersi. Zapytał pana Francesca, czy może mówi mu coś nazwisko Tedaldi, i ku jego zaskoczeniu okazało się, że i owszem, wuj Jacopo jest w Perze postacią dobrze znaną i poważaną, przez jego ręce przechodzi znaczna część obrotu korzeniami, mydłem, gąbkami i pachnidłami wysyłanymi do krajów chrześcijańskich, w zamian za co sprowadza nad Bosfor miedź, sukna, wełnę, bursztyn, futra i wielkie ilości srebra i złota. „Mówi się też – dodał szeptem pan Francesco – że bywa w pałacu sułtańskim, a nawet osobiście rozmawia z samym Mehmedem”.

Dzięki udzielonym mu przez gospodarza wskazówkom Kallimach bez trudu odnalazł ładny i dobrze utrzymany dom swego wuja i gdy podał służbie swoje nazwisko, zaprowadzono go przed oblicze wytwornie ubranego pana w sile wieku, w którego twarzy w jednej chwili dostrzegł uderzające podobieństwo do rysów swojej matki. Wuj Jacopo musiał mieć zbliżone odczucia, gdyż na widok gościa rozszerzył jeszcze bardziej swoje

i bez tego wielkie oczy. „Ależ tak, to ty! – wyrwało mu się. – Dobry Boże! Pamiętam cię jak byłeś, o, taki!” Pokazał dłonią, jak malutki był Filip, i zaraz pochwycił go w objęcia. Potem na nowo wpatrzył się w niego, roześmiany, powtarzając: „Nic się nie zmieniłeś, Filippino, nic a nic! Tyle że jesteś teraz taki... no, taki już duży!”

– Pamiętałem jak przez mgłę – objaśnił mi Filip – że raz nas odwiedził w San Gimignano, jeszcze przed tym, jak mnie wysłali na nauki do Sieny, czyli ja mogłem mieć wtedy nie więcej niż siedem lat, a on może szesnaście. Potem, kiedy z kolei po ukończeniu konwiktu w Ferrarze i czterech latach strawionych na darmo w rodzinnym mieście przyjechałem studiować we Florencji, jego tam już od pięciu lat nie było. Poznałem tylko ciotkę Laurę, tę jego opuszczoną żonę, i ich małego synka, Tanzina.

Wuj z wielkim zajęciem wypytał Filipa o zdrowie jego matki – swojej starszej siostry – i całej rodziny, o czym mój przyjaciel niewiele mógł mu powiedzieć, nie mając z bliskimi łączności od czasu ucieczki z Rzymu. „Wiem, wiem – zaśmiał się wuj Jacopo. – Dochodziły nas tu zapierające dech w piersiach wieści o twoich wyczynach”. „Ty, wuju, nie masz mi ich za złe?”, upewnił się Filip. „Ja, mój drogi, jestem teraz wiernym Kościoła greckiego”, odrzekł pan Tedaldi.

Kallimach na prośbę wuja opowiedział mu po kolei, co się z nim działo w ciągu roku tułaczki, od chwili, gdy odbił łódką od brzegu przy ruinach Lawinium, tym samym – jak sobie nagle uświadomiłam – niejako wstępując na szlak morskich wędrówek Eneasza, tyle że w odwróconym porządku. Jacopo wysłuchał go uważnie, dopytując o niektóre szczegóły, a na koniec rzekł: „Trzeba cię tu będzie jakoś wprowadzić na dwór, Filippino, jako że z twoją wiedzą, doświadczeniem i przyrodzoną bystrością możesz się okazać bardzo przydatny. To dla ciebie wielka szansa, mój chłopcze”.

Na wstępie uprzedził Filipa o rozmaitych pułapkach czyhających na przybysza nieobeznanego z obowiązującym w Turcji obyczajem. „Przede wszystkim – podkreślał z naciskiem – nie «w Turcji», nie «w Turcji»! Mów zawsze: «w Najdostojniejszym Imperium O s m a n i i»! Bo to nie są, broń Boże, żadni «Turcy», tylko O s m a n i e! «Turkami» nazywa się w tym państwie najpodlejszy plebs, wsiową hołotę z Anatolii. Nie uchodzi tu nawet mówić po turecku, o ile chcesz, by cię traktowano jak kogoś dystyngowanego. Osmanin bowiem posługuje się na co dzień językiem o s

m a n s k i m, to jest przemyślną miksturą, hm, za przeproszeniem, tureckiego z perskim i arabskim. W meczecie obowiązuje go klasyczna arabszczyzna, czyli tak jak u nas łacina, za to w poezji – czysta mowa perska”.

„Ależ drogi wuju – wtrącił Filip z niepokojem – przecież nauczenie się tych wszystkich języków może mi zająć długie lata. Mój umysł nie jest już tak chłonny jak za młodu, a nawet gdyby...” „Nie, nie! – przerwał mu ze śmiechem pan Tedaldi. – To ci nie będzie potrzebne, chyba że zamierzasz przejść na wiarę Proroka. Możesz mówić do nich po naszemu albo, jak wolisz, po łacinie czy w grece, najlepiej w tej gminnej – wtedy rozumieją bez tłumacza – ale zrobisz lepsze wrażenie, posługując się klasyczną”. „A ty, wuju, kiedy mówisz, dajmy na to, do sułtana, to w jakim języku?” „Och, byłbym zapomniął! – zakrzyknął wuj Tedaldi. – Nie mów nigdy «sułtan»! To tytuł niższej rangi, dobry może dla despotów jakiegoś Ak Kojunlu, czy najwyżej Egiptu, ale wszechwładnego pana Najdostojniejszego Imperium tytułujemy zawsze, i to sobie zapamiętaj, padyszachem!”

Miał pan Jacopo już w głowie pewien zamysł, jak przybliżyć siostrzeńca do najwyższych kręgów władzy. Postanowił mianowicie polecić go na nauczyciela łaciny i literatury łacińskiej wychowawcom najmłodszego z synów padyszacha, księcia Dzema. „Chłopak nie ma jeszcze dziesięciu lat, ale jest nad podziw zmyślny – zapewniał Filipa wuj Tedaldi. – Pod twoim kierunkiem na pewno będzie robił szybkie postępy. A wtedy jego ojciec, padyszach, zwróci na ciebie uwagę”. „Jak to, wuju – zdziwił się Kallimach – czyż nie mówiłeś dopiero co, że u nich językiem poezji jest perszczyzna? Na co im moja łacina?” „Już ty się o to nie martw” – odrzekł wuj Jacopo z wielką pewnością siebie, po czym nachyliwszy mu się do ucha, wyjawiał w sekrecie, że Mehmed II, odkąd zawładnął Bizancjum, uważa się za spadkobiercę imperium rzymskiego, i że wielce mu leży na sercu idea zjednoczenia wszystkich dawnych ziem cesarów, oczywiście ze stolicą w Rzymie. Gdy to się stanie, łacinie przypadnie rola jednego z języków urzędowych Najdostojniejszego Imperium, na równi z językiem osmańskim, a może nawet zamiast niego. „A właśnie mały Dzem – dodał Jacopo – jest tym, którego miłościwie nam panujący Mehmed Zdobywca przygotowuje do urzeczywistnienia w przyszłości tej misji. To on ma z łaski Allaha zasiąść na Palatynie”. „Czemu nie któryś z jego starszych braci?” – zaciekał się Filip. Pan

Tedaldi z uśmiechem rozłożył ręce na znak, że na to pytanie nie ma prostej odpowiedzi. „Może dlatego – rzucił półgębkiem, mrużąc oko – że Dżem jest synem najmłodszej z Jego Światłości małżonek”. „Chcesz przez to powiedzieć, wuju, że tej najbliższej jego sercu?” – chciał się upewnić Kallimach. Wuj na to nieoczekiwanie spoważniał. „Tego wiedzieć nie mogę – zastrzegł i pośpiesznie zmienił temat: – Chciałbym ci natomiast przedstawić moją żonę i nasze dwie córki, a twoje kuzynki. Pozwól tylko, że je uprzedzę”, dodał, znikając za drzwiami.

Do tej chwili mój przyjaciel był przekonany, że wuj jego żyje samotnie, albowiem nic nie wskazywało na obecność w domu jakiegokolwiek rodziny. Lecz po dłuższym oczekiwaniu, kiedy już zaczynał się obawiać, że o nim zapomniano, wuj powrócił, prowadząc ze sobą trzy wielce spłoszone młode osoby. Była to jego małżonka Tekla i ich dwie córki, czternastoletnia Eirene i młodsza od niej o dwa lata Athenais. Wuj wyjaśnił mu później, że wprawdzie osmańscy władcy Bizancjum nie narzucają innowiercom właściwych mahometanom obyczajów, jednakże siłą rzeczy nie pozostały one bez wpływu na zachowania tutejszych chrześcijan. „Bo pomyśl – tłumaczył wuj Filipowi – jak ma kobieta pokazać się na ulicy z odsłoniętą twarzą i bez opieki mężczyzny, kiedy wiadomo, że każdy muzułmanin będzie w niej wtedy widział bezwstydnicę, którą mu wolno, jeśli nie pohańbić, to przynajmniej znieważyć?” Z czasem przyjęło się, że tak samo jak u wyznawców Proroka, w domach tamtejszych chrześcijan jest oddzielona część dla kobiet, gdzie co prawda obcy również mogą zachodzić, o ile ich się zaprosi, ale raczej nie jest to przyjęte. I tak samo kobiety na ogół nie opuszczają swojej części domu, szczególnie gdy pan domu ma gości. „Tylko że ty, Filipie – zapewnił go wuj Jacopo – nie jesteś zwykłym gościem: należysz do rodziny”.

Dodam tu od razu, choć to się okazało nieco później, że również pan Francesco Ugolini, z którego gościny Filip korzystał, miał żonę i gromadkę dzieci, lecz i w jego domu nie było w zwyczaju, aby się rodzina gospodarza pokazywała gościom.

Córki wuja Jacopa nie rozumiały po włosku, więc po krótkiej prezentacji ojciec pozwolił im się oddalić. Natomiast Tekla, ich matka, zasiadła z mężem i jego siostrzeńcem, by wysłuchać z powagą dobrze sobie znanej opowieści o tym, jak do tego doszło, że wuj Filipa opuścił

swą florencką żonę, matkę jego synka, i rozpoczął nowe życie w dalekiej Perze.

Po raz pierwszy pan Jacopo przybył tam, gdy miał siedemnaście lat, towarzysząc swemu ojcu Gualfredo Tedaldiemu – dziadowi Filipa. Wyprawili się tam nie bez obaw, jako że działo się to niespełna rok po klęsce zadanej przez Osman zjednoczonym siłom chrześcijańskim pod Warną i chociaż włoskie potęgi rozsądnie uchyliły się od udziału w owym nieszczęsnym starciu, nikt nie miał pewności, czy rozzuchwalony świeżym zwycięstwem ówczesny padyszach Murad nie zechce w następnym ruchu sięgnąć po posiadłości genueńskie i weneckie na Morzu Egejskim, a malutka Pera, oddzielona od Konstantynopola tylko wąskim pasmem wód Złotego Rogu, była podówczas kolonią Genueńczyków, łaskawie tolerowaną na resztkach terytorium potężnego niegdyś cesarstwa greckiego. Okazało się jednak, że osmańscy sąsiedzi w najmniejszym stopniu nie utrudniają tam nikomu ani interesów, ani żeglugi, nie mają też żadnych zastrzeżeń, gdy ktoś, dla nawiązania stosunków handlowych, pragnie odwiedzić któreś z ich miast. Panowie Tedaldi, ojciec i syn, wybrali się tedy najpierw do Bursy, a potem do Adrianopola – i wszędzie po dobrych cenach skupywali duże ilości dóbr poszukiwanych w ich stronach, takich jak korzenie, macica perłowa, kość słoniowa czy perskie dywany. Robili interesy, z kim się tylko dało – z Turkami, Grekami, Ormianami, Żydami – i z wieloma z nich udało im się zaprzyjaźnić. Nic tedy dziwnego, że przejąwszy po kilku latach z rąk ojca zarząd firmy, wuj Jacopo ponownie wybrał się nad Bosfor, nie tylko z jeszcze większą ilością gotówki na zakup lewantyńskich towarów, ale także wioząc ze sobą spory ładunek dóbr z północy, zwłaszcza miedzi i sukna, do spieniężenia z zyskiem na miejscu.

Tak się jednak złożyło, że dotarł do Pery na krótko przed Wielkanocą 1453 roku, był więc świadkiem, jak w poniedziałek wielkanocny Złoty Róg zaroił się od uzbrojonych w ciężkie działa okrętów floty osmańskiej. Jacopo opowiadał Filipowi z przejęciem, jak stał z innymi mieszkańcami na nabrzeżu, przecierając oczy ze zdumienia i zachodząc w głowę, w jaki sposób wrogie jednostki mogły wpłynąć na wody zatoki, do której wstępu bronił potężny żeliwny łańcuch. Okazało się, że młody, zaledwie dwudziestojednoletni wówczas padyszach Mehmed II kazał oślimi zaprzęgami przeciągnąć kadłuby statków lądem, po specjalnie w tym celu

położonych drewnianych podkładach wysmarowanych dziegciem, na odległość półtorej mili, aż do niewielkiej rzeczki wpadającej do Złotego Rogu przy jego ślepych końcu. I tą właśnie rzeczką udało mu się wprowadzić całą swą flotę na wody zatoki.

Mieszkańcy Pery na ten widok nie mieli już żadnych złudzeń; wiedzieli, że to koniec cesarstwa, a wielu było też przekonanych, że także ich własny los na tym skrawku ziemi jest przesądzony. Wuj Filipa widział, jak w popłochu wsiadali na łodzie, licząc, że uda im się przedostać na wody Bosforu, a stamtąd na Propontydę, i w ten sposób ocalić życie. Wielu z nich napastnicy jednak dopadli. „Widziałem, jak wyciągali z łodzi matki, zostawiając dzieci, a czasem na odwrót, gdy im tak pasowało – opowiadał wuj Jacopo. – A spośród tych łodzi, które zdołały się przedostać na pełne morze – mówił dalej – większość się wywracała pod naporem fal i ludzie tonęli na moich oczach. Widziałem też, jak wydzierali sobie nawzajem kosztowności, i to tak zawzięcie, że nieraz perły i drogie kamienie z zerwanych naszyjników toczyły się po dnie łodzi albo wpadały całymi garściami do wody”.

Tymczasem burmistrz Pery zrobił coś, co według wuja Jacopa było najrozsądniejszym możliwym wyjściem: padł na twarz przed dowodzącym osmańską flotą kapudanem paszą i uroczyście wręczył mu klucze do bram miasta. „Byli, pamiętam, i tacy, co mu to wtedy mieli za złe – mówił pan Tedaldi, kiwając głową do swoich myśli – ale z czasem chyba i oni zmienili zdanie”.

Wojska osmańskie weszły zatem do Pery, zajęły kilka budynków na koszary, rozstawiły strażę i wyznaczyły urzędników odpowiedzialnych za dostarczanie dla nich zaopatrzenia i furazu, ale w gruncie rzeczy skupiły się odtąd już wyłącznie na szturmie Konstantynopola. Stolica cesarstwa broniła się dzielnie, mimo że miała nie więcej niż pięć tysięcy żołnierza, zresztą całej ludności było w mieście najwyżej pięćdziesiąt tysięcy, podczas gdy padyszach ściągnął pod mury ze dwieście tysięcy wojska, o ile wuj Tedaldi dobrze liczył. Tylko że te mury były potężne i opasywały miasto trzykrotnie, więc sforsować je nie było łatwo nawet największymi siłami, dlatego oblężenie zajęło Turkom prawie pełne dwa miesiące. Ale wreszcie, w dniu Zesłania Ducha Świętego, wdarli się do miasta.

„I wtedy...” – zaczął wuj i zamilkł. „I wtedy co?” – podchwycił Filip. „Mój drogi – zastrzegł się wuj – tego, co się tam działo, za murami, widzieć nie mogłem. Przebywałem tu, w Perze, gdzie było, powiedzmy,

w miarę spokojnie. Ale dochodzące stamtąd upiorne krzyki mężczyzn, kobiet i dzieci przelatywały nad murami i niosły się po wodzie aż tu, do nas, chociaż zatoka ma w tym miejscu dobre pięćset łokci szerokości. Co widziałem? Potoki krwi spływające przez bramę strumieniem tak wartkim jak woda w czasie ulewnego deszczu; maleńkie figurki obrońców skaczących z murów, żeby się nie dać wziąć żywcem; trupy żołnierzy jednej i drugiej strony spływające zgodnie do Bosforu całą szerokością Złotego Rogu. To mogę powiedzieć, że widziałem. I słyszałem. Przez trzy dni i trzy noce. A potem nagle nastąpiła cisza. I w tej ciszy rankiem czwartego dnia zaczęli wyprowadzać z miasta ludzi, ładować ich na statki i wywozić, jak się później okazało, do ujścia rzeki Ewros, którą dalej te same nawy pożeglowały w górę aż do Adrianopola. Chyba celowo przepływały tamtego dnia tuż koło naszego brzegu, żebyśmy sobie mogli zobaczyć z bliska, co czeka każdego, kto się ośmieli sprzeciwić woli Najświętszego Władcy. Kobiety miały na sobie poszarpane szaty, mało co już zakrywające, wielu młodych chłopców też...” Przy tych słowach wuj Jacopo zadął głowę, próbując powstrzymać cisnące mu się do oczu łzy.

Filip, gdy mi o tym mówił, tak samo skierował twarz ku powale i głos mu się z lekka załamał.

– Widzisz, poznałem tam niebawem pewną Bizantyjkę, Charmian miała na imię – starał mi się wyjaśnić powód swojego wzruszenia – którą wtedy, szesnaście lat wcześniej, żołdacy sułtana gwałcili jeden po drugim, dopóki dawała oznaki życia. Potem porzucili ją na progu splądrowanego domu. Nie dobili jej, pewnie po to, aby jeszcze długo konała w bólach i wstydzie. Ona jednak przeżyła, jedyna z całej rodziny, bo to miał być dopiero początek jej długiej niedoli. Była wtedy jeszcze dzieckiem, można powiedzieć, czternaście lat sobie liczyła, z czego wynika, że kiedy mi ją przedstawiono, musiała mieć lat trzydzieści, ale była tak wychudła i poorana od zgryzot, że mógłbyś jej śmiało dać sześćdziesiąt. Chcesz wiedzieć, co ją jeszcze spotkało? Zaraz się dowiesz, tylko najpierw opowiem ci o przejściach jej kuzynki Tekli, żony mego wuja.

Tekla, jak mi wyjaśnił, miała nieco więcej szczęścia od Charmian, bo nikt jej nie zgwałcił – oddział janczarów, który wdarłszy się do jej domu, posiekał szablami jej ojca, matkę i trzech starszych braci, ją tylko spętał i uprowadził w niewolę. W myśl prawa jedna piąta zdobytych

niewolników przysługiwała padyszachowi – to właśnie tych widział wuj Jacopo odwożonych statkami do Adrianopola – zaś cała reszta należała do Najdostojniejszego Imperium i miała być wystawiona na sprzedaż. Kogo tylko było na to stać, mógł sobie takiego niewolnika kupić lub zapłacić za niego okup, przywracając mu w ten sposób wolność. Przez kilka tygodni na placu przy kolumnie Konstantyna wystawiane były na sprzedaż coraz to nowe partie wziętych w niewolę, podczas gdy ci, których zdobywcom nie udało się pochwycić w ciągu trzech pierwszych dni, powoli wychodzili z kryjówek i nie niepokojeni wracali do swoich domów, o ile te wciąż nadawały się do zamieszkania. Niektórzy z nich odważali się nawet przychodzić na targ, aby wykupić kogoś ze swoich bliskich.

Za Teklę okup zapłacił zaprzyjaźniony z jej rodzicami pan Elias Komatiano, Żyd z Pery, dobrze znany także wujowi Jacopowi jeszcze z czasów jego pierwszego pobytu nad Bosforem. Podobno – tak powiedziano Filipowi – pan Komatiano, gdy tylko z daleka zobaczył ogrodzony sznurami plac, na którym stało w ścisiku około trzech setek ludzi zupełnie nagich, osłonił sobie ramieniem oczy, aby nieszczęśników nie zawstydząć, i zbliżywszy się, zaczął głośno wołać: „Czy jest tu ktoś z rodziny Mawrogenis?”. Na co zaraz odpowiedział mu rozpaczliwy krzyk Tekli wzywającej go po imieniu. Elias natychmiast udał się wtedy do urzędującego tuż obok muzułmańskiego sędziego i wpłacił mu żądany okup (nigdy nikomu nie powiedział, w jakiej kwocie), dzięki czemu zaraz wydano mu dziewczynę, byle jak okrytą jakąś poplamioną chustą. Niestety, kuzynkę Tekli, Charmian, tę wielokrotnie zgwałconą, już wcześniej zdążył sobie kupić na własność pewien obleśny staruch, jej współwyznawca, zapisując w księgach u kadiego, że warunkiem jej uwolnienia będzie jego naturalna śmierć. Aby zaś nikt z Greków nie mógł mu z tej okazji nic zarzucić, powiódł ją przed ołtarz, by uzyskać błogosławieństwo prawosławnego Kościoła. I jak na złość, łaskawca ów żył jeszcze, gdy po szesnastu latach przybył tam Kallimach, i przez wszystkie te lata gwałcił Charmian niemal każdego dnia, wciąż nie mogąc się dość nasycić jej upodleniem.

Tymczasem państwo Komatiano otoczyli Teklę w swym domu czułą rodzicielską opieką, na równi z ich trzema rodzonymi córkami, z tą tylko różnicą, że przez wzgląd na pamięć jej rodziców bardzo dbali o to, by nadal mogła swobodnie wyznawać swoją wiarę, chociaż przypuszczam,

że nie było im łatwo znosić w swoim domu chrześcijańskie modlitwy czy choćby noszone przez nią wisiorki z krzyżykiem. A tak się złożyło, że wkrótce po tym, jak przyjęli Teklę do siebie, w ich domu pojawił się wuj Kallimacha, by prosić Eliasa o jakąś przysługę. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat, a wzięwszy pod uwagę jego rodzinne podobieństwo do siostry, matki Filipa, uderzające nawet dla mojego przyjaciela, przypuszczam, że mógł się podobać. A Tekla była ponoć bardzo urodziwa i, czemu trudno się dziwić, nad wiek poważna. A jako że, co też zrozumiałe, upadek Konstantynopola wprowadził sporo zamieszania w interesach prowadzonych przez wuja Tedaldiego nad Bosforem, więc ich uporządkowanie wymagało czasu, dlatego też jego pobyt w Perze przedłużał się coraz bardziej i, dziwnym trafem, coraz częściej jego sprawy wymagały wizyt w domu Komatianów.

Krótko mówiąc, wuj Jacopo zakochał się w Tekli i nic nie mógł na to poradzić. Kallimach nie miał mu tego za złe, a teraz, po latach, uważa, że tym, co wuja musiało zauroczyć, były nie tyle wyraziste, greckie rysy twarzy Tekli, tak bardzo odmienne od raczej mdłej urody jego tokańskiej żony, ile ów niespotykany dar, który pozwalał jej łączyć zniewalającą słodycz i żywy dowcip z niezłomnymi zasadami. Skoro tak to Filip widzi, to wygląda mi na to, że on sam nie bardzo lubił ciotkę Laurę, chociaż ciepło wyraża się o jej synku, z którym dziś często do siebie pisują.

Żeby móc poślubić Teklę, wuj Filipa przyjął obrządek wschodni i uzyskał od patriarchy Gennadiosa II coś, co oni określają jako „zdjęcie błogosławieństwa” – czyli po prostu rozwód z Laurą. Tenże hierarcha osobiście udzielił mu ślubu z Teklą w cerkwi Świętych Apostołów, która, odkąd Turcy zamienili Świątynię Mądrości Bożej w meczet, przejęła po niej rolę kościoła metropolitalnego.

Jak widzisz, Enneleyn, zamiast mi mówić o swoich własnych w Bizancjum przygodach, rozgadał się Filip szeroko o dawniejszych losach wuja Jacopa i jego rodziny, lecz uznałam, że i tymi opowieściami warto się z tobą podzielić, bo nie wiem jak tobie, ale mnie się one wydają wielce pouczające – oprócz tego, że ściskają za serce.

Chcąc jednak zwrócić znów rozmowę na właściwy trakt, zapytałam Filipa, czy zdołał mu wuj Tedaldi załatwić obiecaną posadę nauczyciela sułtańskiego syna.

– O tak, i dużo by można o tym mówić – ożywił się. – Pamiętam, że kiedy pierwszy raz zaprowadził mnie do Jenisaraju, tego ich paskudnego pałacu monarszego, ja akurat, przybity świeżo otrzymaną wiadomością o straceniu Marcantonio, zupełnie nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. Dlatego też nie wiem, nie pamiętam, jak żeśmy przeszli te wszystkie pilnie strzeżone bramy i kolejne dziedzińce.

Zresztą Filip i jego wuj szli tamtędy owego ranka w tłumie śpieszących do pracy, bo jak się okazuje, sułtański seraj zatrudnia tysiące ludzi, z których tylko niewielka część mieszka na stałe w zabudowaniach pałacowych.

Zaprowadzono ich do przestronnego, jasnego pomieszczenia biblioteki, gdzie ich przyjął niejaki Nasuch, młodszy z dwóch braci Dzelebich, wychowawców księcia Dżema. Przyjrzał się Kallimachowi krytycznie, wypytał go, skąd pochodzi, co go łączy z Jakub-Bejem, czyli panem Jacopem, czy to prawda, że zamierzał zabić papieża, na co Filip odpowiedział, że to były tylko młodzieńcze rojenia, i czy jest gotów przyjąć wiarę Proroka, na co także odpowiedział przecząco.

– Na koniec próbował mnie ów Nasuch przyłapać na nieznajomości łaciny. – Filip uśmiechnął się blado do tych wspomnień. – Co, jak się możesz domyślać, mu się nie udało. Prawdę mówiąc – dodał – jego samego mógłby z łatwością przegadać po łacinie byle dzieciak z jakiejś polskiej szkółki parafialnej. No, ale to nie jego wina, tylko moje szczęście.

Przesłuchanie wypadło widocznie pomyślnie, gdyż niebawem zaprowadzono Filipa i jego wuja do budynku szkoły, gdzie wpuszczono ich do wielkiej, pustej izby i kazano czekać. Po jakimś czasie otworzyły się drzwi i wszedł przez nie szczupły, czarnowłosy chłopiec w towarzystwie brodatego mężczyzny w białym turbanie, którym był, jak się dopiero później okazało, starszy z braci Dzelebich, Sulejman. Kallimach spostrzegł kątem oka, że wuj Jacopo pada przed przybyłymi na twarz, więc niewiele się zastanawiając, poszedł w jego ślady. Chłopiec – był to oczywiście książę Dżem – powiedział wtedy w swoim języku coś, co brodacz przetłumaczył na kulawą łacinę: „Możesz powstawać”. Wstali więc obaj, a Sulejman, objaśniwszy coś po osmańsku, podszedł do Kallimacha i z szacunkiem podprowadził go bliżej małego księcia. Wówczas nieoczekiwanie chłopiec ujął rękę Filipa i podniósł ją do ust. Mój przyjaciel, rzecz jasna, próbował do tego nie dopuścić, ale brodacz i wuj pokazali mu nieznacznym skinieniem głów, że wszystko jest dobrze,

że tak właśnie ma być, po czym brodaty preceptor uroczyście wręczył mu różgę i wygłosiwszy kilka pożegnalnych formułek, które nic Kallimachowi nie powiedziały, a także złożywszy trzy głębokie ukłony, w czym wuj Jacopo się do niego przyłączył, oddalił się, zabierając pana Tedaldiego ze sobą. W drzwiach jeszcze się Sulejman obrócił i zerkając porozumiewawczo na Filipa, dał mu bardzo czytelnym gestem do zrozumienia, aby pod żadnym pozorem nie czynił z otrzymanej różgi najmniejszego użytku. Miała ona, jak się mój przyjaciel domyślił, pozostać wyłącznie symboliczną oznaką nauczycielskiej władzy.

Sam książę Dżem okazał się na szczęście chłopcem bardzo miłym i bystrym. Szybko przełamali z Filipem lody i siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, wdali się w ożywioną rozmowę w klasycznej grece (którą książę władał bodaj czy nie lepiej niż Kallimach) z dodatkiem tych kilku znanych już Dżemowi słów łacińskich i niezastąpionego języka gestów. Dzieciak naprawdę chwycił wszystko w lot, natychmiast zapamiętywał nowe słowa i na wyczucie trafnie odgadywał, jak je należy odmieniać, więc już po miesiącu takich lekcji mówili ze sobą prawie wyłącznie po łacinie, bo tak im było po prostu najłatwiej.

– Rozmawialiśmy o wszystkim, byle tylko nie o polityce – wspominał Filip nie bez rozczenia. – Powiesz może: „No przecież! Jakżeby tu o polityce z dziesięciolatkiem?”. Otóż z takim dziesięciolatkiem jak on, to czemu nie. Na pewno wiele rozumiał i wiedział więcej, niżby się można było spodziewać, tylko że myśmy tego rodzaju tematy obchodzili obaj z daleka, świadomi, że ściany mają uszy, a już w zabudowaniach pałacu padyszacha to na pewno. Za to z wielką przyjemnością zabrałem się do przerabiania z nim Owidiuszowych Przemian, ciesząc się, że sam mogę sobie przypomnieć to rozkoszne dzieło, a on w zamian pokazał mi opasły arabski rękopis zatytułowany Alf lajla ualajla – tak to przeczytał – o pewnym sułtanie, który z zasady nie wierzył w wierność kobiet, toteż za każdym razem, gdy posiadał kolejną żonę, posyłał ją na śmierć, żeby nigdy nie miała szansy go zdradzić. Streszczam ci to dzieło w wielkim skrócie na odpowiedzialność Dżema, gdyż, jak wiesz, po arabsku nie czytam i chyba już się nie zdążę nauczyć. Ale myślę, że możemy tu na moim uczniu polegać, bo przy całej swojej błyskotliwości nie byłby chyba w stanie na poczekaniu wymyślić mistrzowskiego chwytu, na jakim opiera się konstrukcja tego dzieła. Otóż, mój drogi, któraś z kolei żona owego upiornego sułtana wzięła się na sposób i zaczęła mu opowiadać w łóżku

jakąś niesłychanie zajmującą historię, a że nie zdołała jej skończyć do rana, małżonek, chcąc koniecznie poznać zakończenie, zachował ją sobie przy życiu na następną noc. I rzeczywiście, ta jej opowieść miała bardzo frapujący finał, ale zaraz po niej zaczęła sułtanowa snuć następną i... Rozumiesz. Tak to się ciągnęło przez tysiąc i jedną noc. Aż w końcu sułtan złagodniał i przestał żony mordować. Mały Dżem streścił mi po łacinie niektóre z tych opowieści sułtanowej i wtedy mu powiedziałem, zupełnie szczerze, że się jej mężowi nie dziwię. „Że zabijał te wszystkie żony?” – zapytał mały ze śmiechem. Też mi się śmiać zachciało, ale uznałem, że lepiej będzie wyplenić w nim myśl, iż w zadawaniu śmierci może być coś zabawnego, dlatego odrzekłem z powagą: „Nie, to akurat budzi moją odrazę. Ale – dodałem, już nie wstrzymując uśmiechu – podoba mi się, że go tak te opowieści wciągnęły. Tu go rozumiem”.

Szczerze mówiąc, Enneleyn, wydaje mi się, że te ich wspólne lektury wystawiały niewinną duszyczkę dziesięciolatka na zbyt trudne próby – ale cóż ja w końcu mogę o tym wiedzieć? Nigdy przecież nie byłam małym chłopcem. Ani też nie miałam żadnego małego chłopca na wychowaniu.

Filip wyznał mi, że wcale nie miał pewności, czy starając się zaszczepić w małym księciu wstręt do zabijania, nie wyrządza mu przez to krzywdy. Rzecz w tym, że podczas gdy w Polsce i wszędzie indziej tron dziedziczny się zwykle po starszeństwie, u Osmanów, jak mu to wyłożył wuj Jacopo, trzeba go sobie wywalczyć. Panujący sułtan, owszem, może dać do zrozumienia, który z jego synów powinien przejąć po nim władzę, przydzielając mu w zarząd jakiś powiat bliższy stolicy niż te oddane pozostałym książętom, ale to wcale nie znaczy, że wszyscy oni, zwłaszcza ci bardziej krewcy, tak łatwo się z tym pogodzą, toteż po śmierci prawie każdego padyszacha dochodzi tam do krwawej wojny między pretendentami do tronu, chyba że najsilniejszy zdąży w zarodku zdławić możliwe spory, zabijając wszystkich rywali, zanim ktokolwiek zdąży się za którymś z nich opowiedzieć. Mówiąc mi o tym, Filip wspomniał, że kiedy w kilka lat później znów przybył do Konstantynopola, tym razem w składzie poselstwa polskiego, Mehmed wydał właśnie specjalny dekret, w którym stwierdzał wprost, iż ten z jego potomków, który z woli Allaha

odziedziczy tron Najdostojniejszego Imperium, powinien w imię zachowania powszechnego ładu pozbawić życia swoich braci.

Mijały miesiące, lecz wbrew temu, co sobie roił wuj Tedaldi, mimo zadziwiająco szybkich postępów czynionych przez Dżema pod kierunkiem Kallimacha, padyszach wciąż nie zwrócił uwagi na osobę nowego nauczyciela swego syna. Filip cierpliwie czekał na tę chwilę, a tymczasem żył skromnie i ciułał na czarną godzinę akcze za akcze z nauczycielskiej pensji. Tych akcze mu płacono dwadzieścia pięć tygodniowo, co daje mniej więcej pięć groszy, z czego ponad połowę udawało mu się zawsze odłożyć. Nie były to może jakieś krocie, ale sumy pozwalające mu myśleć bez obaw o najbliższej przyszłości. Nadal mieszkał u pana Ugoliniego, prawie nie widując jego żony ani dzieci, odwiedzał wuja i zaprzyjaźnił się z panem Eliaszem Komatianem, tym Żydem, który był wykupił ciotkę Teklę z niewoli.

Pan Komatiano miał za cesarstwa dobrze prosperującą hurtownię wosku, smoły i dziegciu, lecz w trakcie walk o Konstantynopol jego składy towaru spłonęły, wobec czego zajął się opróżnianiem miejskich latryn. Zdziwiłam się, że tak dobry człowiek, i chyba niebiedny, zmuszony był podjąć się tak niemiłego rzemiosła, lecz Filip uspokoił mnie, że jego przyjaciel bardzo sobie swoje nowe zajęcie chwalił. „Ktoś to musi robić – mówił pan Elias z łagodnym uśmiechem – a ja i moi ludzie przynajmniej wiemy, jak się do tego zabierać, żeby, kiedy już zrobimy swoje, nikt od nas nic nie poczuł”. Co rano zasypywali latryny kopną ziemią, suto zaprawioną wapnem i drzewnym popiołem, po czym powstałą w ten sposób mieszaninę wygarniali szuflami na fury i wieźli na wieś, gdzie rolnicy chętnie kupowali ją od nich na nawóz – za całkiem dobre pieniądze.

Filipa pan Komatiano z miejsca polubił i zapraszał często do swojego domu na pogawędki, częstując dziesiątkami żydowskich facecji, z których mój przyjaciel zapamiętał tylko jedną, o taką: pewien bogaty Żyd ma córkę na wydaniu i wzywa swata, by mu znalazł dla niej odpowiedniego narzeczonego – jako że u nich bez udziału swata to nie ma prawa się obejść – i mówi temu swatowi tak: „Posłuchaj, on nie musi być piękny – ona sama jest piękna. On nie musi być mądry – ona sama jest mądra. On nie musi być pobożny – ona sama jest pobożna. On nie musi być bogaty – ona sama jest bogata. Ale on musi być porządny człowiek!”.

I mówiąc to, zerkał znacząco na swoją najmłodszą córkę Ester, jedyną, której jeszcze nie wydał za mąż – i na gościa. A Ester ponoć naprawdę była przeurocza i spoglądając na nią, Kallimach czuł, że ogarnia go znów to znajome radosne oszołomienie, którego tak często doznawał w swych dawnych, beztrudnych czasach w Wenecji i w Rzymie.

– Kiedy nazajutrz siedzieliśmy z Dzemem nad Owidiuszem – przypomniał sobie Filip – doszliśmy akurat do tego ustępu księgi pierwszej Przemian, w którym Apollo, dumny z siebie po pokonaniu Pythona, widzi napinającego swój łuk Kupida i mówi: „Cóż ci, swawolny chłopcze, po tak silnej broni? Ona przystoi nam, którzy walczymy z potworami, nie tobie”. Na co Amor, odszczeknąwszy się zuchwale, trafia go strzałą miłości, a Dafne strzałą niechęci, pamiętasz to, Georgiuszu? Ja wtedy nagle pomyślałem, że właśnie mnie trafiło tak samo jak Apolla. I w drodze do domu zacząłem sobie w głowie układać słowa wiersza o tym, że skoro ja widzę Asterii urodę – Asterii, to jest Ester, bo Filip w wierszach zawsze jakoś imiona tych swoich wybranek przeinacza – tak, skoro ja się na tę jej urodę potrafię zapatrzeć, a ona, chyba bardziej niż by wypadało, chce mi się podobać, to czuję, że nadchodzi znajomy mi ból. Gdzieś chyba mam ten wiersz – zastanowił się przez chwilę, po czym, cicho parsknąwszy śmiechem, przyznał: – Ale niezbyt mi się udał.

Następnego dnia znów odwiedził pana Komatiana i, dziwnym trafem, gospodarz na jakiś czas pozostawił go z Ester samego. Rozmawiali ze sobą w narzeczu weneckim, którym dziewczyna posługiwała się zupełnie swobodnie. Filip zaczął jej coś mówić o tym, jak bardzo jest nią zauroczony, a ona słuchała go uważnie, na przemian spuszczać oczy, ocienione długimi rzęsami, i podnosząc je na niego, by mu się badawczo przyglądać. Wydało mu się wtedy, że w jej łagodnym spojrzeniu dostrzega aprobatę. To było trochę za mało, ale uznał, że aby uzyskać coś więcej, musi się pierwszy odsłonić. Oznajmił więc, że ją kocha i zastygł w oczekiwaniu. Ale Ester wciąż milczała, tylko już nie patrzyła mu w oczy. „A ty? – zapytał w końcu. – Co ty czujesz? Czy jestem ci miły?” Zamiast odpowiedzieć, zapytała spokojnie: „Pan chce być żydem, panie Kallimachu?”. „Żydem? Nie zastanawiałem się nad tym – odrzekł, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo go to pytanie zdumiało. – A czemu pani o to pyta?” Wtedy znów spojrziała mu prosto w oczy. „Bo mogę wyjść tylko za kogoś mojej wiary” – oznajmiła, prostując się dumnie na krześle.

Kallimach nie wiedział, co jej na to powiedzieć, gdyż do tej chwili nie przyszło mu do głowy, że miałby ją pojąć za żonę. Tylko nie myśl sobie od razu, Enneleyn, że zamierzał ją uwieść – to nie takie proste. Widzisz, jemu się wtedy wydawało – o ile go dobrze zrozumiałam – że oprócz plugawej drogi hańby i nudnej drogi cnoty istnieje jeszcze trzecia droga, na której kochankowie stają się podobni bohaterom mitów i eposów, wzlatając w jakieś podniebne sfery, w których zwykłe ludzkie osądy nie mają zastosowania. Być może od tego czasu trochę wydorósł, chociaż jego niedawna pruska eskapada wskazuje na to, że niekoniecznie. Jeśli chodzi o Ester, przez chwilę nawet rozważał, czy by nie warto przystąpić do izraelskiego zakonu i rzeczywiście pokłonić się o jej rękę, ale na razie wstrzymał się od podejmowania jakichkolwiek zobowiązań, wypytując zamiast tego, na czym by to właściwie miało polegać. Wyjaśnień udzielił mu chętnie jej ojciec, który w odpowiedniej chwili znów się zjawiał w izbie. Z jego słów wynikało, że obowiązujące w takich przypadkach procedury zajmują wiele miesięcy, a ze strony tego, kto się chce ubiegać o przyjęcie do domu Izraela, wymagają bardzo usilnych starań – bo z zasady Żydzi nie dążą do pozyskania nowych współwyznawców. „A ty się, przyjacielu, nie śpiesz – mówił mu pan Komatiano. – Dobrze się zastanów, zanim coś postanowisz. Oczywiście, byłbym szczęśliwy, widząc cię mym zięciem, ale tylko wtedy, gdyby i tobie miało to przynieść szczęście, w przeciwnym bowiem razie unieszczęśliwiłbyś moją córkę. Oj, gdyby to tak miało wyglądać, to stanowczo wolałbym cię widzieć szczęśliwym u boku jakiejś innej kobiety”.

Na tym stanęło, ale zanim miał się Filip czas dobrze zastanowić, zaszły w jego położeniu nieoczekiwane zmiany. Pewnego ranka jego dostojny mały uczeń zjawiał się na lekcji nie sam, jak to miał w zwyczaju, lecz w towarzystwie Nasucha Dzelebiego. Ten oschle oznajmił Kallimachowi, że dzisiejsza lekcja będzie jego ostatnią, gdyż jego książęca mość jeszcze tego samego dnia opuszcza stolicę, aby podjąć obowiązki zarządcy powiatu Kastamonu. Po jego wyjściu Dzem położył palec na ustach i poprowadził Filipa za rękę do mapy ziem Najdostojniejszego Imperium, po czym wzięwszy do ręki cyrkiel, wbił jedną jego nóżkę w miejscu, które mój przyjaciel rozpoznał jako Konstantynopol, a drugą odnalazł na mapie jakiś punkt na północy Anatolii, mniej więcej w połowie jej długości. „Kastamonu – odczytał dla Kallimacha arabski napis. – Widzisz? A teraz... – wysuwając koniuszek języka, naprowadził wolną nóżkę cyrkla

w inne miejsce, bliżej południa Anatolii, i odwracając się z szelmowskim uśmiechem, szepnął: – Konya! Powiat Mustafy! Widzisz? To niemal o sto mil dalej!” I po chwili znalazł jeszcze jeden punkt, położony dość blisko tego jego Kastamonu, acz odrobinę bardziej oddalony od Bosforu. „Różnica niewielka – przyznał Dżem, mrużąc oko – ale jednak jest. To powiat Bajezyda, Amasja” – wyjaśnił, wciąż szeptem. „Czy mam przez to rozumieć – odszepnął Kallimach – że to Waszą Księżęcą Mość wskazuje Jego Światłość na swego następcę?” Dżem złożył cyrkiel i odniósł go na miejsce, zanim odpowiedział samym tylko gestem, który znaczył: któż to może wiedzieć, ale...

Filip zapytał go jeszcze, czy cieszy się, że jedzie do Kastamonu. „Sam nie wiem – odrzekł chłopiec, nagle posmutniały. – Będę daleko od mamy. Do tej pory co kilka dni mogłem ją odwiedzać. Nie wiem, jak to z tym teraz będzie”.

Bo mimo całej swej bystrości i zaawansowania w naukach księżę chyba jednak był w głębi duszy zwykłym dzieciakiem, tęskniącym za mamą, od której go zabrano trzy lata wcześniej, kiedy rozpoczął nauki. Wuj Jacopo zdradził Filipowi, że matka Dżema, Cweta, była prawosławną chrześcijanką z Serbii i dopiero w haremie przyjęła bardziej osmańsko brzmiące imię Cziczek. Rzecz jasna, mieszkała wraz z innymi żonami i nałożnicami Mehmeda w haremie, osobnym budynku, do którego nie tylko nie mógł nikt wejść, ale nawet nikt zbliżyć się nie miał prawa. Dżem chyba naprawdę był do matki bardzo przywiązany, bo kiedy po śmierci ojca walczył ze starszym bratem Bajezydem o sukcesję, ją wywiózł do Egiptu i oddał pod opiekę tamtejszego sułtana.

– Zmarli oboje w zeszłym roku – westchnął Filip. – Dżem w Neapolu, w tym czasie, kiedy ja jeszcze byłem przy Olbrachcie w Prusach, a Cziczek latem w Kairze, na czarną śmierć. Jego, zdaje się, kazał otruć obecny papież, żeby pokrzyżować plany królowi Francji, który go do swoich celów szykował, chociaż jestem pewien, że Dżem by na żadne kombinacje ani jednego, ani drugiego z nich nie poszedł; nie on. Szkoda, doprawdy szkoda, że nie został sułtanem. Świat byłby inny. Albo i nie.

Kiedy upłynął wyznaczony czas lekcji, do sali weszli bracia Dzelebi. Sulejman polecił Kallimachowi, aby podniósł walającą się w kącie różgę. Gdy tak się stało, brodacz stanął przy drzwiach, wyprężony jak struna, a wtedy jego brat Nasuch padł na twarz przed Dżemem, pociągając za sobą Filipa. Mały księżę z powagą skinął im obu głową i wyszedł,

a Sulejman za nim. Gdy się drzwi zamknęły, Filip odważył się wstać, a wówczas Nasuch, stanąwszy tuż przed nim, z zachowaniem zawilego ceremoniału, w milczeniu odebrał mu różgę. Następnie ze słowami: „Idziemy, Kallimach-hodża”, odprowadził go aż do bramy zewnętrznej zabudowań pałacowych.

Filip uznał, że musi natychmiast powiadomić o utracie posady wuja Jacopa. Traf chciał, a może był w tym palec Boży, że w domu Tedaldich zastał Eliasa Komatiana, swego niedoszłego teścia. „I bardzo dobrze się składa – oznajmił mu wuj, wysłuchawszy jego opowieści – bo nie od razu zauważą, że cię nie ma, kiedy nagle znikniesz”. „Jak to? – nie zrozumiał Filip. – Dlaczego miałbym zniknąć?”

Wtedy Elias z wielką troską podzielił się z nim sekretnymi wieściami, które zdobył dzięki swoim znajomościom w kręgach urzędników wielkiego wezyra – czyli tak jakby kanclerza imperium. Otóż podobno na ostatnim posiedzeniu wielkiego dywanu, w obecności samego padyszacha, kapudan pasza Weli Mahmud, tłumacząc się z niepowodzenia dowodzonej przez siebie marcowej wyprawy na Chios, wyjawiał, że przeprowadzone w tej sprawie śledztwo wykazało, iż Genueńczyków ostrzegł o nadciągającej flocie osmańskiej pewien niewierny Toskańczyk, który z pokładu kutra gołębiarskiego widział armadę Najdostojniejszego Imperium wpływającą z Propontydy na Hellespont, i natychmiast po przybyciu do Pery wysłał pocztą gołębią wiadomość na Chios, co pozwoliło naszym wrogom ściągnąć zawczasu na wyspę swoje okręty w przeważającej sile.

„Co?! – zdumiał się Filip. – Że niby to ja miałem zniweczyć ich plany? Ja genueńskim szpiegiem? Toż biednego Marcantonio Genueńczycy powiesili w świętym przekonaniu, że on, ze mną do spółki, chciał wydać Chios na pastwę tureckiej grabieży!” „A naprawdę jak to z tym było? – zapytał wuj. – Chcieliście czy nie?” „Nie, wuju, pewnie że nie”, zaprzeczył żywo Filip. „I twoje wielkie szczęście! – zakrzyknął na to pan Komatiano, wznosząc ręce do nieba. – Gdybyś miał z tym cokolwiek wspólnego, już byś nie żył, przyjacielu. Co innego, oczywiście, gdyby to się udało. A jeśli chcesz wiedzieć, nie dam też złamanego miedziaka za życie kapudana paszy. Ale to już nie nasze zmartwienie”.

Po burzliwej naradzie zapadła decyzja, że Kallimach jeszcze tego samego dnia, przed zmrokiem, dołączy do taboru dobrego znajomego Eliasa, pana Dawida Abudentiego, Żyda weneckiego od lat osiadłego

w Perze, który wyruszał z ładunkiem różnych towarów wzdłuż wybrzeży Morza Czarnego na zachód. Dzięki temu, nawet gdyby ktoś z miejscowych zwrócił uwagę na Filipa słabą znajomość tutejszych języków, złoży to najpewniej na karb jego przynależności do weneckich izraelitów.

Nie było czasu na długie przygotowania. Filip pobiegł do pana Ugoliniego, aby się z nim pożegnać, po czym wrócił do wuja, gdzie przebrał się w ubiór, który mu tymczasem przyniósł pan Elias, aby się za bardzo nie odróżniał od swych współtowarzyszy podróży, a w tym czasie wuj Jacopo tłumaczył mu, że musi się przedostać do Polski, do Lwowa, gdzie jest jego kuzyn Ajnolfo i ponoć świetnie tam sobie radzi. Pan Elias następnie zaprowadził mojego przyjaciela w miejsce, gdzie czekał, już uprzedzony, pan Abudenti ze swoimi wozami zaprzężonymi w osły.

– Kiedy już miałem wsiadać na wóz – wspominał tę chwilę Filip – Elias powiedział: „Mam tu coś jeszcze dla ciebie. Od Ester”. I błysnął mi przed oczami amulecikiem w kształcie rozwartej dłoni, misternie splecionym ze srebrnego drutu. Zawieszając mi go na szyi, objaśnił, że drobiazg ten symbolizuje powierzenie się opiece Opatrzności, po czym, nachylając się do mego ucha, dodał: „Prosiła, żebyś to stale nosił i pamiętał o niej”. Ja wtedy, uszczęśliwiony i niepocieszony zarazem, uświadomiłem sobie ze wstydem, że nie mam żadnego drobiazgu, który bym mógł tej niezwyklej dziewczynie podarować w zamian! Powiedziałem o tym panu Eliasowi, gotów zaraz biec na miasto w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego dla niej, lecz zacny Żyd w porę mnie powstrzymał, przypominając, że nie mam chwili do stracenia, po czym, wzruszony, otworzył ramiona, ze słowami: „Ucałuj mnie, a ja ją ucałuję od ciebie!”. Odjeżdżając, obiecałem sobie solennie, że gdy tylko zdołam, prześlę Ester równie piękny i znaczący prezent. W końcu nic jej nie przesłałem, ale gdy po sześciu latach znów przybyłem do Konstantynopola, miałem ze sobą piękną gwiazdę Dawida, też srebrną, inkrustowaną bursztynem, którą specjalnie kupiłem u Lewka złotnika na Szpiglarskiej. Tylko że...

Zamilkł.

– Wyszła za mąż i nie mogła przyjmować klejnotów od obcych mężczyzn? – próbowałam zgadnąć.

– Tak, ale nie w tym rzecz – odezwał się zdławionym głosem. – Nie żyła już od trzech lat. Zmarła przy porodzie. Nie chciałem wiedzieć, kto był jej mężem. Poprosiłem tylko, by mi pokazano jej grób, i na nim złożyłem tę

gwiazdę dla niej, pod kopczykiem usypanym z kamyków, jak to jest w żydowskim zwyczaju.



Wybrałam się w odwiedziny do moich Żydów w Kazimierzu, chociaż nie w poniedziałek, jak sobie obiecywałam, ale dopiero wczoraj, w czwartek. Spotkałam się z Chanką, moją dobrą przyjaciółką i, jak umiałam, utuliłam ją w jej nieszczęściu – biedaczka straciła ojca i dwoje z trojga swoich dzieci. Ona sama też chorowała, ale już dochodzi do siebie, nawet nie bardzo zeszpecona. Żyje jej mąż Szmulik Klejnot i żyją też jego starsi bracia: Neftali, co się chciał ze mną żenić, i Zalman, mąż Salci Fiszlówny – ale ta Salcia umarła. Szejna, młoda żona Neftalego, też żyje i dobrze się ma, tak samo jak jej dorodna siostra Fruma. Nic się też nie stało, na szczęście, rabinowi Jakubowi Pollackowi, zaraza zabrała jednak wielu spośród dobrze mi znanych Żydów, zupełnie nie dbając o to, czy ktoś był miły czy odpychający, zmyślny czy tępy, pobożny czy nie dość gorliwy.

Skoro już przy tym jestem, to w Krakowie, odkąd plagę mamy już, można powiedzieć, po większej części za sobą, namnożyło się takich, którzy chcieliby całą zasługę za to przypisać własnej pobożności. Wychodząc dziś przed wieczorem na przechadzkę po mieście, natknęliśmy się z Filipem na dość szczególne widowisko. Akurat mijaliśmy kościół Świętego Andrzeja, jeden z najstarszych w tym mieście, gdy doszły nas zza tej szacownej budowli ponure pienia, na przemian grubymi i cienkimi głosami zawodzone, a za chwilę wylał się stamtąd na Grodzką ulicę pochód co najmniej dwustu osób – mężczyzn i kobiet – całkiem gołych od pasa w górę, każda z zapaloną gromnicą w jednej ręce i ciężkim biczem w drugiej. Szli, śpiewając coś po polsku, czego zrozumieć dokładnie mi się nie udało, ale było to na pewno coś pobożnego, i raz po raz z trzaskiem smagali się nawzajem trójżyłowymi biczami, aż cali byli w krwawych pręgach, ale to zdawało się im nawet sprawiać przyjemność, bo miny mieli rozanielone, zapatrzeni gdzieś w chmury, jakby tam podziwiali jakieś cudownej piękności zjawisko, trudno powiedzieć jakie, skoro słońce ani razu się dziś nie pokazało i w ogóle nastały chłody, bo mamy już przecież koniec października, Dzień Świętego Tadeusza Judy. Z niektórych pokutników te opuszczone do lędźwi koszule spadały pod

ciężarem razów jeszcze niżej, odsłaniając nawet słabiznę, ale im to raczej wcale nie przeszkadzało, przeciwnie, skoro już tak wyszło, to dalej się po zadkach batożyć!

– A jednak wciąż są! – rzekł mi Kallimach z ożywieniem. – Popatrz, już będzie ze sto pięćdziesiąt lat, jak Rzym takich swawoli zakazał, a oni ciągle swoje!

– Kto to taki? – spytałam.

– Zwyczajni ludzie. Tylko taką sobie narzucili pokutę.

– Dobrze, ale za co?

– Za wszystko. Za grzechy swoje i chyba cudze też, ale to by ich trzeba dopytać.

– Patrz! – wyrwało mi się. – Agnieszka!

Naprawdę, wierz mi, Enneleyn, wśród tych biczowników kroczyła dumnie nasza gospodyni Agnieszka, podświetlając gromnicą te swoje wielkie piersi, teraz całe spływające krwią.

– Co? Gdzie Agnieszka? Nie widzę. – Filip daremnie wyteżał wzrok, mrużąc oczy. – Muszę jednak sobie sprawić okulary. – Tu zerknął na mnie z ukosa. – Myślisz, że to wiek? Nie, chłopcze, ja tak mam od dziecka. Na szczęście z bliska widzę nawet lepiej niż inni, ale na trzy sążnie to już z trudem rozpoznaję twarze. Pytałeś, jak mnie przezywali w Rzymie? No to ci powiem. Kajkus. Ślepy. I co ty na to?

– Zabawnie – odrzekłam, wzruszając z lekka ramionami. – Nie wiem, po co się z tym kryłeś.

– Dobra, dobra, pokaż mi, gdzie ta Agnieszka – przynaglił mnie, dziwnie rozbawiony.

– Już jej nie widać – odparłam zgodnie z prawdą. – Zasłonili ją. Ale wiesz, ona nas widziała. I nawet przesłała nam promienny uśmiech, tak się przy tym zamachując biczem, że aż jej cycki pod brodę skoczyły.

Kiedy to mówiłam, z trzech stron naraz natarły na pochód strażę, okładając pokutników kijami, na co podniósł się wśród nich straszny krzyk, bo to widocznie co innego, gdy ktoś ci zadaje ból, dlatego że tak sobie życzysz, a co innego, kiedy robi to dla swoich wyłącznie celów. W końcu udało się wiertelnikom sprawić, że w zapadającym zmroku golasy rozpierzchnęły się po przyległych uliczkach, gubiąc w popłochu swoje baty i gromnice.

– Pewnie się niedługo tu i ówdzie odnajdą po ciemku i nawzajem uwolnią od grzechu – zaśmiał się Filip. – Życzymy tego Agnieszce. A wiesz

– dodał po chwili – widziałem w Tracji wyznawców pewnej innej herezji, także skłonnych do życia na golasa.

– Tak jak ci filozofowie z wyspy Gaudos? – przypomniałam mu.

– Podobnie – zgodził się. – Tylko że tamci nie szukali dla swojej nagości uzasadnienia w religii; chcieli po prostu tak żyć, bo tak im się podobało. Ci zaś, których mi pokazał w trackiej wiosce Konak pan David Abudenti, hurtownik przedży jedwabnej, należeli do potężnej niegdyś, dziś prawie zupełnie wytępionej, sekty bogomiłów, a właściwie jakiegoś jej odłamu, w którym przebywanie nago wśród współwyznawców zaleca się jako drogę prowadzącą ku zbawieniu, o ile dobrze zrozumiałem ich grekę.

– Czytałem coś niecoś o bogomiłach w dziele Eutymiusza Zygabena – pochwaliłam się. – On pisze, że ich zdaniem Bóg ma dwóch synów, starszego, Szatana, i młodszego, Logosa. Cały świat materialny, w tym i człowiek, jest według nich tworem Szatana, zaś Logos pod postacią Jezusa zstąpił na ziemię, aby ratować dusze ludzkie.

– Ratować, czyli że coś tym duszom zagraża? – zaciekał się Filip.

– Tak, bo oni, ci bogomiłowie, chyba wychodzą z założenia, że ten ich Szatan, chociaż to on jest Stwórcą, jest jednak zły, jak to Szatan. Dla nich, jak zresztą dla wielu innych szkół mistycznych, świat sprowadza się do pola walki, na którym ścierają się od początku czasu dwie nadprzyrodzone siły, dobra i zła.

– Prawda, znam te koncepcje – uśmiechnął się Filip. – Nieraz się nad nimi zastanawiałem, ale szczerze powiedziawszy, dwie siły to dla mnie już za dużo.

– O jedną? – dopytałam niewinnie.

– Co najmniej – parsknął w odpowiedzi.

Przez chwilę spacerowaliśmy w milczeniu.

– Pamiętasz – odezwałam się pierwsza – mówiłeś kiedyś, że ciało ludzkie nie może być winne grzechu, tylko duch, gdyż to on posiada wolną wolę. O to ci chodziło, prawda?

– No tak – potwierdził z roztargnieniem.

– Tak sobie myślałem, patrząc, jak tamci się chłuszczą – mówiłam dalej – że skoro duch jest niematerialny, to może tylko za pośrednictwem ciała cierpieć męki piekielne, na które sobie zasłużył.

– A nie wiem – zaoponował. – Ja to widzę raczej tak, że ciało, bez ducha martwe i nieczułe, nie może czuć ani bólu, ani przyjemności samo w sobie, a jedynie poprzez ducha, który je przenika, ożywia i to on coś

odczuwa, choć zwykle za tego ciała pośrednictwem. Ale może wcale tego pośrednictwa nie potrzebuje. Zobacz, co się dzieje we śnie: człowiekowi się wydaje, że jeździ konno, spada z wysokiej skały, tonie albo fruwa. Jego ciało nie bierze wcale w tych przygodach udziału.

– Tak, ale jeśli mu się śni, że go coś boli, to najpewniej coś go boli naprawdę, to znaczy cieleśnie. Tak samo jak kiedy śni, że doznaje rozkoszy. Wtedy zazwyczaj też coś się dzieje z jego ciałem.

– Prawda, to wszystko nie takie proste – zgodził się Kallimach i zaraz dodał: – Ale jednak ciała przecież nie bierzesz ze sobą na tamten świat, bo ono zostaje w grobie i stopniowo się rozkłada, więc nie nadaje się już w żaden sposób, by duch mógł coś za jego pośrednictwem odczuwać. Słuchaj, a może to Kordula miała słuszość, przeczuwając, że karę ponosi się jeszcze za życia?

– Nie sądzę – stwierdziłam sucho.

– No tak – przyznał – codzienne doświadczenie temu przeczy. Małoż to się widzi ludzi, którzy popełniają straszne czyny i żadna kara ich nigdy nie spotyka?

Jak choćby mnie – uświadomiłam sobie – uszło na sucho zabicie człowieka. Chociaż to właśnie wydaje mi się sprawiedliwe, jako że nie poczuwam się w tej rzeczy do żadnej winy.

– Chyba że – podjął powoli Filip, jakby w odpowiedzi na to, co mi chodziło po głowie – dla sił wyższych grzechem nie jest to, co mnie i ciebie oburza, tylko jakieś zupełnie inne rzeczy...

Urwał i z bolesnym grymasem przetarł dłonią czoło.

– Wracajmy do domu, Georgiuszu – wychrypiał. – Głowa mi już pęka od tej metafizyki.

Jednak gdyśmy już uszli kilkanaście sążni, odezwał się znowu:

– Czy ci mówiłem, że kiedy uciekałem z Konstantynopola, to był grudzień? Jakoś tuż przed Bożym Narodzeniem. A zima w Tracji to może nie jest jeszcze polska zima, ale wierz mi, że też potrafi dać w kość. Wspomniałeś o Gaudos. Mój drogi, w tamtych stronach zimy właściwie wcale nie ma. A ja tam byłem w ogóle w październiku, tak że wiesz...

Rozwodził się dalej nad kilkudniową podróżą taborem kupieckim pana Abudentiego do wioski Konak. Tam jego i Filipa drogi musiały się rozejść, gdyż Wenecjanin, po odebraniu ładunku nici jedwabnej od miejscowych hodowców, śpieszył się z powrotem do Pery, a memu przyjacielowi doradził z dziwnym uśmiechem, żeby przenocował u gnieźdzących się

nieopodal bogomiłów, gdyż oni z pewnością go nie wydadzą. Zalecił mu też, by nazajutrz z pierwszym brzaskiem wyruszył na północny wschód, aby zdążyć przed wczesnym, grudniowym zmierzchem dojść do Sozopola. „I jeszcze jedno – rzekł Filipowi na pożegnanie. – Przed tymi bogomiłami lepiej pan z siebie Żyda nie rób, bo cię mogą źle potraktować”.

Filip poszedł więc przez dąbrowę mocno zarośniętą ścieżką, którą mu pan Abudenti wskazał, i już był prawie pewien, że zabłądził, kiedy w zapadającym zmroku ujrzał pomiędzy drzewami blask ogniska, wokół którego majaczyły postacie ludzkie, zajęte jakąś krzątaniną. Ludzie ci, zupełnie nadszy, brodzili boso po przyprószonej śniegiem ściółce z dębowych liści, zdając się w ogóle nie czuć przejmującego zimna – ani też wstydu na widok przybysza, którego powitali z daleka przyjaznymi gestami. Mężczyźni mieli długie brody, pozaplatane w warkoczyki, podobnie jak i włosy, zaś kobiet warkocze były pojedyncze, grube i tak długie, że spadały im na ich gołe pośladki. Wszyscy prawie nieustannie odmawiali po grecku Pater hemon, to jest Pater noster. Nawet częstując Filipa upieczonym na ognisku plackiem, wypowiadali znacząco słowa: ton arton hemon ton epusjon dos hemin semeronIX. W niedługich przerwach między kolejnymi pacierzami chętnie wdawali się z gościem w rozmowę w najczystszej klasycznej grece, z której dowiedział się, że chodzą nago, aby powrócić do bezgrzesznego stanu sprzed wypędzenia z rajskiego ogrodu. Namawiali go, by też pozbył się szat, ale ze zrozumieniem przyjęli jego tłumaczenie, że chętnie to zrobi, gdy ich odwiedzi następnym razem, w jakiejś cieplejszej porze. Ich domem była pobliska pieczara, którą nazywali Drako Lako, co jest dla mnie o tyle zabawne, że tu, przy wzgórzu wawelskim, jest jaskinia o tej samej nazwie: Smocza Jama. W tym trackim Drako Lako było trochę cieplej niż na zewnątrz, bo na kamiennym dnie groty rozrzuconych było mnóstwo skór baranich, na których można się było położyć, ale i też się nimi okryć – przed czym, nie wiedzieć czemu, jakoś się bogomiłowie nie wzdragali. Dodatkowo nieco ciepła dawały tam rozgrzane w ognisku kamienie, które przed ułożeniem się na spoczynek golasy wносиły do pieczary w miedzianych kociołkach, ale mimo wszystko Kallimach wspomina noc tam spędzoną jak coś na kształt wizyty w trzecim kręgu piekieł, tak jak go Dante przedstawia, tym przeznaczonym dla żarłoków i pijaków, gdzie lodowate wichry się srożą.

– Nigdy przedtem tak nie zmarzłem, nawet w lochach Krety – podsumował z przekonaniem. – A swoją drogą – dodał, wzdrygając się – coś się zimno robi. Ty nie marzniesz?

– Opowiadasz tak obrazowo, że i mnie dreszcz przeszedł po plecach – przyznałam.

Dlatego po kolacji kazaliśmy sobie zaparzyć kwiatu lipy z dodatkiem jagód bzu, miodem osłodzonego i, żeby sobie jeszcze bardziej dogodzić, zasiedliśmy na ławie blisko paleniska, z wełnianymi chustami zarzuconymi na ramiona. Wtedy dopiero wrócił Filip do opowieści o swych wędrówkach po zakarpackich krainach.

Jeszcze w Perze umyślili byli dla niego przyjaciele, że powinien się starać jak najprędzej dostać drogą morską do księstwa Mołdawii, sąsiadującego z Polską i związanego z nią przymierzem. Dzięki temu omijał leżące po drodze krainy wcielone do Najdostojniejszego Imperium, jak też i te mu podporządkowane, jak księstwo Wołoszczyzny – gdzie wszędzie roiło się od tureckich urzędników, którzy mogli w nim rozpoznać poszukiwanego szpiega i albo na miejscu pozbawić go życia, albo odesłać w tym celu do Konstantynopola. Dlatego też Elias i wuj Jacopo zalecili mu jechać z panem Abudentim w okolice Sozopola, który uznali za port wystarczająco od Konstantynopola oddalony, a zarazem na tyle bliski, by Kallimach zdążył odpłynąć stamtąd na północ, zanim jeszcze do miejscowych władz dotrą dotyczące go listy gończe.

Tak też się stało. Filip szybko dogadał się z szyprem statku przewożącego różne dobra pomiędzy Sozopolem a Kilią u ujścia Dunaju, jeszcze wtedy należącą do Mołdawii. Żegluga zajęła im cztery dni, gdyż na noc zawijali do leżących po drodze portów, których nazwy nic ci chyba nie powiedzą. W Kilii za prawie wszystkie posiadane pieniądze – sto tureckich akcze i osiem weneckich groszy, które mu jeszcze zostały z subwencji otrzymanej od króla Cypru, co, jak się okazało, stanowiło łącznie równowartość dwudziestu czterech akcze mołdawskich – kupił małego, ale silnego konika miejscowej rasy, na którym zaraz puścił się najpierw brzegiem Dunaju w górę jego biegu, a gdy dojechał do rzeki Prut, zgodnie ze wskazówkami przyjaciół podążył wzdłuż niej na północ, aż do wsi Sculeni, gdzie się przeprawił na drugi brzeg. Droga przez cały czas prowadziła przez rozległe pustkowia, grubo zasypane śniegiem, i niejednokrotnie przegradzały ją głębokie, strome jary, które trzeba było

objeżdżać, więc raz po raz gubił się, czasem wiele mil jadąc na oślep, rozglądając się rozpaczliwie za jakąś żywą duszą, żeby zapytać o drogę. W dodatku miejscowi znali tylko swój język, wołoski, wobec czego musiał się z nimi dogadywać głównie za pomocą rąk, chociaż chwilami, tak jak mu obiecywano, rzeczywiście coś niecoś rozumieli po włosku. Na szczęście wszystko to byli ludzie nastawieni do obcych przyjaźnie i nie tylko chętnie wskazywali mu drogę, ale też, gdy zbliżał się zmrok, a prawie zawsze tak było, oferowali nocleg, zwykle w szopie na sianie, a bywało nawet, że we własnej izbie mieszkalnej.

Pod koniec stycznia 1470 roku dotarł wreszcie do stolicy kraju, Suczawy, która okazała się miastem solidnie ufortyfikowanym, ale też tętniącym życiem dzięki kupcom z całego świata, których drogi tam się właśnie krzyżują. Odnalazł polecanego mu przez wuja Jacopa finansistę genueńskiego, Giuliana Gebeleta, który na stare lata przeniósł był się na stałe do Suczawy z rodzinnej Kaffy na Krymie, skąd pochodził. Ten jednak potraktował przybysza dość obcesowo. Owszem, list od Jacopa przeczytał i zadał nawet parę grzecznościowych pytań o stan zdrowia wuja, polecił też gościowi najlepszą w mieście gospodę i posłał tam służącego, żeby zapłacił za nocleg i wyżywienie zarówno dla samego Kallimacha, jak i jego konia, lecz od razu, powołując się na stos zaległych rachunków, które jakoby ma do podliczenia, zastrzegł się, że nie będzie mógł towarzyszyć rodakowi przy posiłku, najwyraźniej nie życząc sobie wdawać się z nim w bliższe stosunki. Dlatego też Filip, nieco urażony, nazajutrz z samego rana wyruszył w dalszą drogę do Lwowa, która, z tego, co mu w gospodzie powiedziano, miała mu zająć około dziesięciu dni. Przejeżdżając przez północną bramę Suczawy, starał się wyliczyć, czy aby gdzieś na siódmy dzień nie zabraknie mu pieniędzy na obrok dla konia.

Stało się coś innego. Na trzeci dzień teren wokół, i bez tego mocno pofałdowany, zaczął się gwałtownie wznosić. Po obu stronach drogi, a właściwie krętej, stromej ścieżki, słabo widocznej pod grubą warstwą świeżego śniegu, wyrosły gęste lasy, na przemian bukowe i jodłowe. Dzielny konik Filipa wspinał się po tej ścieżce coraz wolniej i coraz mniej pewnie stawiał na niej kopyta, jakby się obawiał, że się zaraz potknie lub pośliznie – a tu zaczęło się ściemniać.

– Jechać dalej, myślę, czy zawrócić? – opowiadał mi. – Ostatnie osiedle ludzkie minąłem co najmniej godzinę wcześniej, dużo niżej, zanim jeszcze

przebyłem taką zamarznąętą rzeczkę. Mógłbym zawrócić, ale chyba bym musiał konia sprowadzić za uzdę po tej zdradliwej stromiźnie. Czułem, że jestem już blisko grzbietu wzniesienia i pewnie za chwilę tak czy owak czeka mnie zejście w dół, uznałem więc, że zawsze lepiej posuwać się do przodu, niż się cofać. No to wspinamy się z moim konikiem dalej, ostrożnie, krok za krokiem, aż tu zza zakrętu wynurza się niewielka, dość łagodna przełęcz, a na jej szczycie czernieje szałas, byle jak zбитy z drewnianych bali. Uff, mówię, koniku, jesteśmy uratowani! Podjeżdżam do tej budowli, zsiadam z konia, chcę go wprowadzić do środka, aż tu nagle gdzieś z tamtej strony gór dobiega z dołu wycie! Jedno, drugie, trzecie i zaraz cały chór wilczych głosów. Podchodzę kawałek i widzę w dole rozsypane figurki wilków zbiegające się ze wszystkich stron, żeby sformować watahę. I czy mnie one zobaczyły tam z dołu, czy co, nie wiem, ale zaraz popędziły w górę, ku mnie. A wtedy mój koń jak nie szarpnie za uzdę! Wyrwał mi ją z dłoni i od razu w galop, tam, skąd żeśmy przyjechali, po tej stromiźnie, w dół! Jeszcze przez chwilę widziałem, jak go znosi na zakrętach, jak miejscami się zsuwa na zadzie, zapierając się przednimi nogami, ale zaraz zniknął mi z oczu i tyle go widziałem. A te wilki jeszcze daleko były, ale zbliżały się szybko, więc pobiegłem do szałasu, z trudem uchyliłem drzwi, pokonując opór śniegu, którego tam było po kolana albo i więcej, wcisnąłem się do środka, namacałem po ciemku skobel i te drzwi za sobą zawarłem. Zaraz też usłyszałem dochodzące z zewnątrz odgłosy wilków: szuranie łap na śniegu, głośnie sapanie i powarkiwanie, raz nawet któryś poskrobał w drzwi, jakby chciał sprawdzić, czy nie ustąpią. Potem nagle czmychnęły stamtąd, jeszcze prędzej, niż się pojawiły. Pomyślałem ze smutkiem, że widocznie zwęszyły trop mego konika i pognały jego śladem. Chciałbym wierzyć, że biedak zdołał dotrzeć do siedzib ludzkich, zanim go wataha dopadła, o ile wcześniej nie złamał sobie nogi, pędząc w popłochu w dół po śliskiej ścieżce.

Filip do samego rana nie odważył się uchylić drzwi, żeby wpuścić do wnętrza choć trochę światła, ale udało mu się po omacku odnaleźć palenisko, a obok kilka porąbanych bierwion i siekiere. Długo usiłował skrzesać ogień, niestety hubka, którą wiozł ze sobą jeszcze z Pery, musiała gdzieś po drodze złapać wilgoć, bo okazała się do niczego. Skulił się więc w rogu szałasu, żeby choć samym sobą się ogrzać, i próbował spać. A gdy tylko przez szpary między balami przesączyło się do środka pierwsze,

blade światło dnia, zerwał się na równe nogi i zaczął skakać i wymachiwać rękami, żeby się choć trochę rozruszać przed czekającą go długą, pieszą wędrówką. Otworzył drzwi i wyjrzał na przełęcz. Była cała zryta wilczymi śladami. Choć tego się właśnie domyślał, zdjął go wielki żal, gdy zobaczył, że prowadziły one dalej ku ścieżce, którą się był tu wspinał, czyli tropem jego dzielnego konika. Ale cóż, miał do wyboru: iść dalej albo zostać na miejscu i czekać na śmierć.

Zszedł więc z przełęczą na dół, modląc się, by wilki pozostały tymczasem po tamtej stronie gór, i brnąc przez śnieg sięgający mu prawie po pas, dotarł do doliny, której dnem płynęła górską rzeka o nurcie tak wartkim, że tylko przy brzegach gdzieniegdzie skuła ją kra. To się zgadzało z tym, co mu mówiono w Suczawie, więc poszedł dalej brzegiem tej rzeki, szukając jakiejś przeprawy lub brodu. Szedł więc i szedł, a wokół wciąż nie widać było żywej duszy. Coraz bardziej opuszczały go siły, gdyż od dnia wyjścia z mołdawskiej stolicy, chcąc zaoszczędzić na obrok, sam prawie nic nie jadł, a teraz na dodatek był przemarznięty i miał za sobą nieprzespaną noc.

– Wlokłem się zygzakiem jak pijany marynarz po porcie – wspominał tę chwilę. – W głowie mi się kręciło i w ogóle było mi już wszystko jedno. A przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki niespodziewanie z lasu, który tam rósł nad brzegiem rzeki, nie wypadła prosto na mnie zgraja rozszalałych wilków. Czy to była ta sama wataha co na przełęcz, czy jakaś inna, nie wiem, być może była trochę mniejsza, w sam raz na takiego jak ja przeciwnika, nawet kija niemającego do obrony, dość że, w nagłym przypływie woli, bez namysłu rzuciłem się do tej bystrej rzeki, a jej parząca z zimna woda podziałała na mnie jak smagnięcie batem. Trzeba ci wiedzieć, że wilk, chociaż tak samo jak pies pływać umie, przecież głupi nie jest: wie, że jak przemoczy futro na takim mrozie, to ono już go grzać nie będzie. Ja wtedy nawet nie zdążyłem się nad tym zastanowić; skoczyłem, a potem już tylko chodziło o to, żeby nie utonąć. W tym miejscu rzeka rozlewała się nieco szerzej, opływając tworzące się na jej środku łachy z naniesionego piasku i łu, i to mi trochę pomogło, bo kiedy się wdrapałem na taką wysepkę, mogłem nieco odsapnąć, zanim zebrałem się na odwagę, żeby wkroczyć do drugiej odnogi, równie rwącej jak pierwsza i równie lodowatej, po to, by jakoś pokonać tych pięć czy może nawet dziesięć sążni dzielących mnie od przeciwległego brzegu. Nie

wiem zupełnie, jak mi się w końcu udało wytoczyć z kipieli, wspiąć na przybrzeżną skarpe i ruszyć w stronę majaczących w oddali zabudowań.

Na chwilę zamilkł, zapatrzony gdzieś w górę, marszcząc czoło z wysiłku, jakby starał się dotrzeć do jakiegoś trudno dostępnego zakątka pamięci.

– Następne, co pamiętam – odezwał się zdławionym głosem – to twarz Marii.

Spojrzałam na niego zdziwiona, myśląc w pierwszej chwili, że ma na myśli Matkę Bożą.

– Patrzyła surowo – ciągnął powoli – brwi mając ściągnięte, aż jej się od tego, pamiętam, takie dwie zmarszczki rysowały na czole, jak u lwa, jakby mi miała coś za złe. Ale to było tylko skupienie i powaga, bo była zajęta przywracaniem mnie do życia.

Ta Maria, nazwiskiem Tirab, była wdową. Po śmierci męża sama zajęła się gospodarstwem, czasami tylko zatrudniając na samo lato dwóch miejscowych parobków do pomocy przy wypasie. Potrafiła, jak było trzeba, naprawić dach, strzygła też owce, wyrabiała sery, nie mówiąc już o takich prostych rzeczach jak rąbanie drewna. Oprócz owiec trzymała kilka koni i dwa wielkie psy pasterskie, których się wilki bały. A przy tym, jak twierdzi Filip, była bardzo piękną kobietą, o kształtach posągowych i rysach twarzy godnych monarchini.

Akurat wracała wozem z lasu, gdzie się wybrała po zapas opału, kiedy znalazła Filipa leżącego w śniegu prawie już bez życia. Wcześniej dobiegł ją zza rzeki jazgot wilków i pewnie dlatego pojechała bliżej brzegu, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Wrzuciła nieprzytomnego na wóz i zawiozła do siebie do domu, gdzie go rozebrała z zamarzniętych ubrań i okryła wełnianymi kocami. Potem, gdy tylko otworzył oczy, wlała mu powoli, małymi łykami, jakiś gorący napój na miodzie do gardła, a gdy go wypił, zaczęła mu z impetem ugniatać dłonie i stopy swoimi silnymi rękami.

Spędził w jej domu prawie dwa miesiące, aż do początku kwietnia, kiedy to wyprawiła go do Lwowa, ubrawszy w koszulę, kubrak i buty po swym nieboszczyku mężu i użyczywszy mu własnego konia. Ale o tym już ci pisałam.

Czy coś ze sobą mieli? Filip temu zaprzecza, ale kto go tam wie. Była wprawdzie o kilkanaście lat od niego starsza, ale te jego opowieści o jej urodzie i wrodzonej dystynkcji... Nie dam głowy, zwłaszcza że czasami,

kiedy o niej mówi, nazywa ją Kirke. Ale twierdzi też, że była dla niego jak matka. Odwiedził ją po kilku latach, w drodze do Konstantynopola, kiedy tam jechał z poselstwem, ale chyba już nie miał wtedy tego konia, którego był od niej pożyczył. Pewnie jakoś inaczej postarał się jej odwdzięczyć.

Dziś już nic więcej z niego nie mogłam wyciągnąć, bo okropnie rozboleła go głowa, więc posłałam go spać. Jutro go dokładniej przepytam.



Boże jedyny, nie żyje mój Filip!

Nie żyje! Wiesz, Enneleyn, on nie żyje! Zamknął swoje cudne oczy na zawsze! Przed chwilą zesłam na dół, żeby móc ucałować jego kochane usta, póki jeszcze nie całkiem ostygły, dotknąć ich choć raz w życiu swoimi wargami, ale nie, to już nie był on; to tylko, tak jak sam często mówił, pusty zewłok, przez chwilę jeszcze zachowujący kształt tego człowieka, któregośmy znali, ale jego już tam nie ma wcale. A gdzie jest?

Boże, kto by pomyślał, że teraz, kiedy już wszystko idzie w Krakowie zwykłym trybem, jakby żadnej zarazy tu nigdy nie było, wciąż jeszcze można złapać krościcę i w ciągu czterech dni na nią umrzeć, a zwłaszcza że może się coś takiego przydarzyć człowiekowi tak pełnemu życia jak Kallimach, który przecież już z tylu straszliwych terminów wyszedł obronną ręką.

A jednak. Wprost wierzyć się nie chce.

Bolała go trochę głowa, kiedy ostatnio rozmawialiśmy o jego dawnych czasach, i było mu zimno, na co ja, głupia, wcale nie zwróciłam uwagi, chociaż to jest zwykle jeden z pierwszych objawów. Kiedy jednak nazajutrz pojawiły się dreszcze, bóle w plecach i wymioty, to już się zaniepokoiłam i wtedy wezwałam kilku znajomych lekarzy na konsylium: doktora Velscha, doktora Seliga, doktora Ursyna i nawet tego młodego pyszałka Karpigę, choć się z Kallimachem nie lubią – bo jednak na medycynie to on się zna lepiej od wielu innych. Wystarczyło mu zajrzeć choremu do gardła, żeby orzec z całym przekonaniem:

– Przykro mi. Krościca. Jutro go całego obsypie.

I rzeczywiście, w niedzielę rano go obsypało, a jak pod wieczór zobaczyłam, że bąbelki zaczynają się zlewać w większe bąble, to już wiedziałam, że jest źle. Od razu, mimo późnej pory, pobiegłam do Garlickich i wzięłam od Lukrecji jej koszulę, bo pomyślałam, niechby tam i oślepl, byleby tylko przeżył. Zaraz też go w tę koszulę ubrałam, ale cóż – nic to nie pomogło. W poniedziałek zaczął rzygać krwią i powiedział, że się chce wypowiedać, więc mu sprowadziłam księdza Heydeckego i zostawiłam ich samych, dopóki mnie zacny karzełek nie zawołał, oczyściwszy wpierw chorego z wszystkich grzechów i namaściwszy świętymi olejami. Czy z tego powodu, czy z innego, Filip noc z poniedziałku na wtorek przespał tak spokojnie, że już zaczynałam być dobrej myśli, tylko że nad ranem spostrzegłam, że nie żyje. Nie wiem nawet, kiedy to się stało. Musiałam zasnąć.

Enneleyn droga, dziś już ci nic więcej nie napiszę, nie dam rady. Siedzę tu i płaczę. Jutro odchodzi poczta. Nie wiem, co z pogrzebem, nie wiem, gdzie ja będę teraz mieszkać i co w ogóle mam ze sobą począć. I nie wiem też za bardzo, po co ja mam dalej żyć.

Straciłam Filipa i teraz już mam tylko ciebie, kochana.

Dbaj więc o siebie i, jeśli potrafisz, módl się za jego duszę. Ja też próbuję, chociaż, jak wiesz, nie jestem w tych rzeczach mocna – za mało jest we mnie pokory.

Bądź mi więc zdrowa i pozwól mi płakać.

Dałam w Krakowie

rankiem w środę,

2 listopada

1496 roku.

LIST XII

Przyjaciółko kochana, niezawodna, nie mam słów, by ci wyrazić moją wdzięczność za twoje słowa wsparcia i pokrzepienia, którymi tak szczerze mnie w swym ostatnim liście obdarzasz. Nawet nie wiesz, jak bardzo ich potrzebowałam! Zwłaszcza że, jak pamiętasz, wcale nie byłam pewna, czy będziesz zdolna wejść w moje położenie na tyle, by w duchu choć trochę usprawiedliwić straszny czyn, którego się dopuściłam.

Czy dasz jednak wiarę, że w pierwszej chwili, czytając twoje słowa, nie mogłam zmiarkować, do czego się one odnoszą, gdyż nowe nieszczęście na tyle przysłoniło mi wszystko inne, iż tamta sprawa prawie zupełnie wyleciała mi z głowy, jak jakiś zły sen sprzed miesiąca. A właściwie już sprzed dwóch.

Bo choć zawsze myślałam o sobie jako o silnej kobiecie, nie umiem się wciąż podnieść po stracie Filipa i, wierz mi, z trudem zbieram strzępy myśli, próbując się z tobą podzielić tym wszystkim, co się dzieje – tak we mnie, jak i wokół mnie.

Tydzień minął właśnie od pogrzebu, wcale wystawnego, choć nie zaszczycił go swoją obecnością nikt z rodziny królewskiej – ani król Olbracht, ani brat jego Zygmunt – obaj od miesiąca siedzą w Sandomierzu i ani myślą się stamtąd ruszyć. Wielki książę Aleksander, wiadomo, miał z Wilna za daleko, a po najmłodszym z nich, Fryderyku, kardynale, nawet bym nie oczekiwała, żeby chciał zmarłemu oddać hołd, skoro dwa lata temu z taką pasją na niego natarł za wstawianie się za Żydami.

A swoją drogą, Żydzi stawili się licznie na pogrzeb, chociaż zobaczyłam ich dopiero po zakończeniu uroczystości, gdyż szli sobie skromnie na końcu konduktu, który, zanim ruszył, szczelnie wypełnił całą naszą Kanoniczą ulicę, a jego ogon wylewał się na podzamcze i stamtąd dalej, aż na Most Królewski, gdzie właśnie oni dołączyli, idąc z Kazimierza. Do kościoła oczywiście nie weszli – zostali na zewnątrz i, jak się domyślam, popatrując w bok, mruzczyli pod nosem własne modlitwy. Wiem, że na

odejście kogoś sprawiedliwego spoza domu Izraela mają przewidzianą jakąś odpowiednią formułkę, ale jak ona brzmi dokładnie, w tej chwili ci nie powiem. Ma się rozumieć, kiedy potem, wyszedłszy na plac przed kościołem, zobaczyłam ich wszystkich, stojących skromnie z boczku, zaraz podeszłam się z nimi wyściskać, dając przy tym swobodny upust mojej rozpaczy i zupełnie nie dbając o rozdziawione gęby przechodniów.

Chanka zapytała mnie z troską, co ja teraz zrobię. Odpowiedziałam, że nie wiem, muszę pomyśleć, bom się wciąż jeszcze nie całkiem w sobie pozbierała. Wszyscy wokół kiwali ze zrozumieniem głowami.

– Hindele, pamiętaj, w razie czego zawsze możesz zamieszkać w Kazimierzu – zapewniła mnie Raszka Fiszłowa, ta bogata Żydówka, która cieszy się u nich powszechnym posłuchem. – Znajdziemy ci dach nad głową u jakiejś porządnej rodziny i, jak zechcesz, będziesz sobie mogła nadal chodzić do Krakowa, póki swoich studiów nie skończysz.

Mówiąc to, obejrzała się pytająco na swojego zięcia, rabina Pollacka, a on z aprobatą skinął głową.

Umówiliśmy się z Chaną na czwartek do łaźni. Pomyślałam, że dobrze mi zrobi, jeśli po tylu tygodniach byle jakiego ochlapywania w cebrzyku wreszcie będę się mogła do woli wymoczyć w ciepłej wodzie, a zwłaszcza pogadać od serca z kimś miłym, kto też stracił kogoś bardzo drogiego.

Wybiegłam nieco do przodu, żeby ci opowiedzieć, jak Żydzi zgromadzili się nieopodal kościoła, żeby po swojemu oddać Filipowi hołd, wypadałoby jednak, żebym zdała ci też pokrótce sprawę z przebiegu oficjalnych uroczystości żałobnych, w których oni uczestniczyć nie mogli. Tak więc, jak już mówiłam, nie wziął w nich udziału nikt z domu panującego, a z ważnych urzędników państwowych stawił się jedynie ksiądz kanonik Drzewicki, sekretarz kancelarii królewskiej, który w dawnych latach, jeszcze przed moim do Krakowa przybyciem, Kallimachowi sekretarzował i, o ile mi wiadomo, to właśnie utorowało mu drogę do obecnych zaszczytów. Ale to wypróbowany przyjaciel, na którego życzliwość Filip zawsze mógł liczyć, bez względu na humory monarchy i intrygi różnych wpływowych osobistości.

W kondukcje żałobnym zauważyłam też obecnego arcybiskupa lwowskiego, który znał się z Filipem jeszcze z czasów rzymskich, kilku jeszcze innych biskupów, jak również sporo drobniejszego duchowieństwa. Ze szlachty był kasztelan krakowski i jeszcze garstka

innych, dość znacznych postaci. Byli rajcy w komplecie, burmistrz Mornstein i nawet burmistrza Thurzona wypatrzyłam, jak ocierał krokodylcę łzy, wspierając się na ramieniu syna! Naliczyłam też ze dwa tuziny szanowanych profesorów z Akademii i około setki szkolarzy. Co mnie jednak najbardziej poruszyło i ujęło za serce, to ciągnący za konduktem nieprzebrany tłum krakowskich mieszczan – nie tam żadnych patrycjuszów, tylko zwykłych, prostych ludzi, nieraz nawet całkiem ubogich. I nie myśl, że ściągnęli ze wszystkich końców miasta, nie wiedząc po co, tylko zbiegowiskiem zwabieni – nie, oni byli wszyscy odświętnie ubrani, jak do kościoła w niedzielę, a to był piątek, w południe.

Nas, służbę – bo ja, okazuje się, do zmarłego służby się zaliczam – ustawiono w pochodzie zaraz za najbliższą rodziną, to jest panami Tedaldimi – Giannozzem i Pierozzem – oraz ich kuzynem panem Guccim i paroma jeszcze ich podwładnymi. Naszej ósemce Kallimachowej służby przydali do towarzystwa ze trzy albo i cztery tuziny ich własnej czeladzi. Tak nam, jak i tym swoim kazali się panowie Tedaldi ubrać w jednolite szaty, ponoć specjalnie z Wenecji sprowadzone, w tym krótkie, przepasane, rozszerzane u dołu kaftany z pikowanego błękitnego sukna, które nam jednak, łaskawcy, zaraz po pogrzebie odebrali.

Kanonik Drzewicki koncelebrował mszę żałobną razem z proboszczem od dominikanów, jak też i przemawiał nad otwartą trumną, składając Filipowi hołd szczery i gorący, choć w moim przekonaniu niepełny. Po nim mówiło jeszcze wielu innych, jedni po łacinie, inni po polsku, aż chwilami mnie samą prawdziwie wzruszenie ścisnęło za gardło i łzy mi się strumieniem puszczały po policzkach. Chwilami, mówię, bo głównie to zbierało mi się na wymioty. Nienawidzę pogrzebów. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że trzeba jakoś zmarłemu oddać hołd, że mu się to należy jako zadośćuczynienie za wszystkie przykre chwile, jakie przeżył na tym świecie, ale co ja poradzę, że przy każdej takiej uroczystości – poczynając jeszcze od pochówku mojego taty – słabo mi się robi od unoszących się nad tłumem żałobników oparów fałszu i źle skrywanej nadziei zysku.

Złożyli Kallimacha do grobu w kaplicy, tuż obok jego wuja Ajnolfa. Kiedy go nieśli na marach w tej otwartej trumnie, wydał mi się obcym jakimś człowiekiem, zupełnie niepodobnym do tego Filipa, którego znałam i kochałam. Czy to śmierć go tak odmieniła, czy rozmaite zabiegi

sprowadzonego przez panów Tedaldich mistrza upiększania zwłok – trudno mi powiedzieć. Nie, nie wyglądał Filip źle, tylko że to nie był on. Ubrali go ładnie: futrem z soboli okryli, a na głowę mu dali ten czarny kapelusz z główką jak kapusta i rondem ozdobionym złotym sznurem, który wisiał u nas na ścianie koło mapy. Trumnę potem grabarze zamknęli, postawili w wąskiej jamie wydrążonej w podłodze kaplicy i nasunęli na nią z wierzchu płytę z miejscowego kamienia.

W tamtą sobotę, kiedy dopiero zaczynał się czuć naprawdę źle, bolały go plecy, a ja dotknąwszy jego czoła wargami, poczułam, że jest cały rozpalony i posłałam po doktorów, on przywołał mnie do siebie, kazał zamknąć drzwi i po raz pierwszy zaczął mi mówić o śmierci. Zachnęłam się, nie chcąc, by się pogrążał w czarnych myślach, bo to niechybna droga ku owej śliskiej pochyłości, z której już nie można zawrócić, lecz on dał mi ręką uspokajający znak, mówiąc:

– Nie, nie, nigdzie się nie wybieram, ale gdyby jednak sprawy przybrały niepomyślny obrót, dobrze, żebyś o czymś wiedział, miły chłopcze. – Tu skinął na mnie palcem, abym się jeszcze bardziej przybliżyła. – Kiedy zaraza dotarła do naszego domu i zabrała nam Szymka, stajennego – wychrypiał mi do ucha – doszedłem do wniosku, że warto, tak na wszelki wypadek, spisać testament. – Umilkł, a ja wsłuchiwałam się z niepokojem w jego ciężki i nierówny oddech. – Długo myślałam nad tym – podjął z wysiłkiem – co by tu tobie zapisać. Jesteś mi najbliższą duszą, dlatego ciebie w pierwszym rzędzie chciałbym godnie obdarować, a przecież... No wiesz, jacy ludzie są. Zaraz by gotowi dopatrywać się w tym czegoś zdroźnego. Mnie, umarłemu, to już tam będzie wszystko jedno, najwyżej mi na grób naplują, ale tobie mogłoby to bardzo zaszkodzić, rozumiesz?

Potwierdziłam, choć nie boję się obmowy, ale przecież w istocie, gdyby jakieś czynniki uznały, że trzeba sprawę bliżej zbadać, łatwo by mogły dotrzeć do czegoś, co by przeszło wszelkie ich oczekiwania.

– Ale toż bym nie chciał – mówił dalej świszczącym głosem – abyś został bez środków do życia, jeśliby jednak coś się ze mną stało. Dlatego kilka dni temu odwiedziłem kantor Bonerów i z mojego rachunku u nich przenieśli na twój dziesięć czerwonych złotych.

– Wielki Boże! – wyrwało mi się. – Na co mi tyle pieniędzy?

– Georgiuszu – odrzekł z czułością – dałbym ci więcej, ale bałem się wzbudzić czujność panów egzekutorów mej ostatniej woli. A tobie, wierz mi, przyda się coś na rozpęd, kiedy prędzej czy później będziesz zaczynał życie na całkiem własny rachunek.

Chciałam mu ucałować rękę, ale on mi tą ręką umknął i jakoś tak ją obrócił, że ujął mnie oburącz za skronie, tak jak ojciec ujmuje rozdokazywane dziecko.

– Mój drogi – przemówił dobrotliwie, gdy już mą głowę uwolnił – chciałym ci też bardzo moją bibliotekę zostawić, ale z pewnych względów byłem zmuszony zapisać ją któremuś z braci Jagiellonów; zdecydowałem się na Fryderyka w nadziei, że może jak trochę w księgach posiedzi, to mu przybędzie rozumu. Ale ty, jak masz ochotę na coś z moich zbiorów, weź to sobie teraz, a ja ci na stronie tytułowej wpiszę dedykację, żeby ci potem nikt nic nie mógł zarzucić.

Oczywiście niejedno dzieło z jego kolekcji miałabym wielką chęć mieć na własność, ale jakoś mi było niezręcznie tak je sobie u niego zaklepywać na wypadek jego śmierci. Dopiero po długich naleganiach wydusił ze mnie, że jestem bardzo przywiązana do kolchidzkiego manuskryptu, który nabył kiedyś od handlarza starzyzną w Konstantynopolu.

– Dobry wybór – ocenił. – Przynieś, zaraz ci wpiszę, co trzeba.

Pomyślałam, że nie można się sprzeciwiać człowiekowi w jego stanie, więc posłusznie przyniosłam tę nieco sfatygowaną książeczkę i przybory do pisania, a on drżącą ręką napisał: „Georgiuszowi Starkfaustowi, memu przyjacielowi, daruję w podziękę za wszystkie dobrodziejstwa”.

Chciałam zaprotestować, że to ja jestem mu winna wdzięczność, a nie on mnie, ale nie miałam jak, bo niespodzianie zjawili się obaj młodzi Tedaldi, Giannozzo i Pierozzo, prowadząc ze sobą jeszcze tego swojego pociotka Gucciego. Filip nawet się ożywił na ich widok, zwłaszcza serdecznie przywitał Pierozza, który i mnie wydaje się nieco od Giannozza miłszy, a na pewno jest o wiele bardziej bezpośredni w obejściu. Może więc to i prawda, co mu przed laty zarzucał nieboszczyk Ajnolfo, że lubił zaszaleć w podejrzanym towarzystwie, ale nie mnie go za to osądzać.

Kallimach, wspierając się na łokciu, przemówił do nich po włosku, wcale dźwięcznym głosem.

– Miło mi was widzieć, chłopcy – mówił. – Tylko że, przykro mi, jeszcze nie umieram.

– Wiemy, wuju – roześmiał się Pierozzo. – Ty nas wszystkich przeżyjesz.

– O, tego bym nie chciał – zastrzegł Filip pogodnie. – Lepiej zachować przyrodzony porządek rzeczy. Ale, tak czy owak, nie ma z tym pośpiechu. Nie trzeba jeszcze wzywać do mnie pana Libnaua, żeby się przymierzył do konterfektu na moje epitafium.

– Ależ, wuju... – zaprotestował Giannozzo, że niby nawet mu to przez myśl nie przeszło.

– A zresztą – dorzucił Filip, poważniejąc – już dawno się na taką okoliczność zabezpieczyłem. W razie czego szukajcie w dolnej szufladzie mojego pulpitu. Tuż pod kartami z zapisem mej ostatniej woli. Z całym bowiem szacunkiem dla umiejętności mistrza Libnaua, moi drodzy, mnie sam pan Stoss uczynił ten zaszczyt, że narysował mnie takiego, jaki jestem, a w każdym razie jakim ja się widzę. Jeśli więc kiedyś...

Nie dokończył, gdyż właśnie zaczęli się schodzić wezwani doktorzy, jeden po drugim, o czym ci już chyba w moim poprzednim liście wspominałam, z czego włoscy kuzyni skorzystali, żeby się pożegnać.

Po ich wyjściu medycy poddali Filipa dość starannym oględzinom i wtedy właśnie Karpiga orzekł z wielką pewnością, że to krościca, a pozostali, przychyliwszy się do tej opinii, pochwalili mnie, że poję chorego naparem z kwiatu lipy i jagód bzu, obiecali przysłać z rana cyrulika, aby pacjentowi krwi upuścił – i czym prędzej się zwinęli.

Gdy tylko wyszli, Filip dostał torsji, aż mu ledwie zdążyłam garniec podstawić, żeby nie zachlapał całej posadzki. Obejrzałam zwróconą treść, wypatrując zwłaszcza, czy tam robaków różowych nie znajdę, co się czasem zdarza, ale nie, to była prawie sama woda, tyle że mocno spieniona i ostro zalatująca kwasem.

– To przez to – wykrztusił Filip – że on mi tę drewnianą szpatułkę pchał do gardła, baran. Mało brakowało, a bym wprost na niego chlusnął.

– Trzeba było tak zrobić – stwierdziłam. – Ulżyłoby ci.

Tak sobie żartowaliśmy, żeby odpędzić od siebie złe myśli, ale przecież widziałam dobrze, że on słabnie, mówi coraz mniej wyraźnie i coraz trudniej mu składać ze słów zdania.

Na jego życzenie przysunęłam do łóżka skrzynię pełną różnych starych papierów, które chciał przejrzeć. Ale zanadto mu oczy łzawiły, by mógł czytać, zwłaszcza że dzień miał się już ku końcowi i trzeba było zapalić

świece. Poprosił więc, żebym ja mu w tym przeglądaniu pomogła. Tak trafiłam na list od jakiegoś Piattina Piattiego, napisany po włosku. Zaczęłam mu go odczytywać, a on mi zaraz wszedł w słowo.

– A, to ten mediolańczyk, poeta – zaświszczą. – W życiu go na oczy nie widziałem, aleśmy pisywali do siebie, tak, tak... To jest chyba ten list, w którym mi cytował raport mediolańskiego posła... Jak się ten dureń nazywał... De Rossi! Swojemu księciu donosił z Rzymu, że my, akademicy od Pomponiusza, zabawialiśmy się na naszych zebraniach spółkowaniem, tak z kobietami, jak i z mężczyznami, i jeszcze niezliczonych innych bezeczeństw żeśmy się dopuszczali. O mnie się najbardziej rozpisuje ten pan poseł, zobacz sam – ciągnął Filip słabym głosem, ale z kpiącym błyskiem w zażawionym oku. – Po mojej ucieczce, powiada, znaleziono w moim domu nader świńskie wiersze opiewające miłość sodomską.

– A było w tym coś z prawdy? – Nie mogłam się wstrzymać od pytania.

– Och, Georgiuszu – próbował się uśmiechnąć. – No, wiersze były. Ale tylko taki matoł jak De Rossi mógł je do mojego życia stosować. Wszystko to były – chrypiał – naśladowania z Marcjala. – Stęknął boleśnie, zanim z wysiłkiem podjął przerwana myśl: – Mój drogi, dla każdego, kto się chce w sztuce epigramu doskonalić, Marcjalis... no, on jest tym najwyższym wzorem. No to jak każdy, tak i ja go trochę podrabiałem, zanim w końcu... zanim swój własny głos odnalazłem. Ale – dodał po chwili poważniej, podnosząc na mnie wzrok – nie chcę przez to zaprzeczać, że... żeśmy wtedy próbowali po trosze żyć jak starożytni. Czasem z lepszym, czasem z gorszym skutkiem... Sam Pomponiusz, nasz mistrz... ojciec nasz przenajświętszy... Takie żeśmy mu przydomki nadawali. – Filip zaśmiał się bezgłośnie. – Oj, w Wenecji wpadł nasz arcykapłan w niegorsze tarapaty. Pojechał tam wykładać, ale wkrótce jakiś zacny obywatel, ojciec dwóch synów, oskarżył go, że próbuje tych uroczych młodzieńców sprowadzić na złą drogę. No to zaraz Rada Dziesięciu wtrąciła Pomponiusza do lochu. A w Wenecji za takie rzeczy grozi publiczna chłosta... w najlepszym razie! Tylko że, szczęściem dla niego w nieszczęściu, akurat Pia Maryja zażądał, by mu go przysłali, dla osądzenia w tej naszej sprawie. No i z tego, co wiem, w Rzymie w końcu jakoś mu się upiekło, bo też na zdrowy rozum, jak miał brać udział w naszym straszliwym sprzysiężeniu, kiedy od trzech miesięcy siedział na lagunach. I nawet nie mam mu za złe, że broniąc się, psy wieszał na mnie ile wlezie, bo przecież walczył o życie, ale... – Filip pokręcił głową. – Niby

tak samo Platina wszystko na mnie zwał, ale to było co innego. Pomponiusz, hm... Już potem nigdy nie szukałem jego towarzystwa. Ani on mojego.

Odczytywałam Filipowi dalej te papiery po kawałku, a on jedne z nich kazał odkładać na prawo, a drugie na lewo. Dość szybko się połapałam, że chce w ten sposób oddzielić te ciekawsze od tych mniej ciekawych, więc wkrótce sama już go pytałam: „To na prawo?”, „A to na lewo?”. W końcu powiedział:

– Zostaw to, Georgiuszu. Szkoda czasu. Potem może, jak znajdziesz wolną chwilę, wybierz z wszystkich moich papierów te, które warto zachować. I weź je sobie. A resztę zostaw. Niech je, tak jak to napisałem w testamencie, spalą.

To powiedziawszy, zamknął oczy. Buchało od niego żarem, dlatego położyłam mu na czoło okład zwilżony bardzo zimną wodą. Wzdrygnął się, ale wkrótce poczuł, że mu to ulgę przynosi, więc uniósł lekko powieki, by mi przesłać spojrzenie pełne wdzięczności – i znów je opuścił. Ja przez ten czas, zgodnie z jego życzeniem, przebierałam w jego papierach. Tylko bardzo nieliczne uznałam za nadające się do spalenia.

Wtem, nie otwierając oczu, zaczął coś mamrotać po włosku, czego nie mogłam zrozumieć, możliwe więc, że to było narzecze weneckie. Raz po raz dawało się rozróżnić tylko słowo „laura”, więcej nic. Może pod wpływem tego, co mi ostatnio opowiadał, powróciła do niego we wspomnieniach ciotka Laura, porzucona żona Jacopa Tedaldiego? Nie bardzo to do mnie przemawiało, bo zdawało mi się, że dla Filipa ona niewiele znaczyła, ale nagle powiedział dość wyraźnie: „Nie jesteśmy tu mile widziani, Marino”.

Marino... Marino... – szukałam w pamięci i wreszcie przypomniałam sobie, że ów Glaukus, ten, co kiedyś Filipa odwiedził w Dunajowie, miał Marino na imię i – prawda! – przecież bywali razem u jakiejś dziewczki publicznej w Wenecji, a ta miała Laura na imię!

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spróbować czegoś się od Filipa o tej Laurze dowiedzieć, bo skoro mu się po tylu latach zwiduje w gorączce, myślałam, to widać musiała go obchodzić bardziej, niż to do tej pory przede mną ujawniał – a czemuś nie umiałam się pogodzić z myślą, że wszystkich jego sekretów i tak nigdy nie przeniknę. Nachyliłam się więc nad nim i zaczęłam mu szeptać do ucha, po włosku:

– Filipie, to ja, Laura. Co mi chciałeś powiedzieć?

Ale on, jak na złość, milczał. Dopiero kiedy powtórzyłam to samo po łacinie, znów zaczął coś mówić, powoli kiwając w lewo i w prawo trzema złożonymi palcami prawej ręki, jakby poddawał takt niewidzialnej kapeli. Nie potrafię ci dokładnie przytoczyć słów, które przy tym wygłaszał, dość bezładnych, ale żeby ci dać o nich pojęcie, przytoczę to, co udało mi się zapamiętać. Prawdę mówiąc, najpierw tylko mruczał, ale w końcu wymamrotał coś mniej więcej takiego:

– Oto Sylwiella chwali moje wiersze... a ja unoszę te jej piersi białe... i przywołując dawnych wieszczów prochy... mym światłem cieszę otwartych na nowe...

Przytaczam ci tu tylko nieliczne w miarę zrozumiałe urywki z tego, co wtedy mówił – ot, choćby taki jeszcze:

– Chwałą zabawki me czułe dziewczęta... do łon swych miękkich łaskawie je tulą... liter kajdany muskają palcami... Wieszczka niecnoty nadając mi miano...

Nagle otworzył oczy, a ja się złękłam, że może uzna za coś niestosownego, że się w jego majaczenia tak wsłuchuję. Ale on zdawał się w ogóle mnie nie widzieć, albo raczej na moim miejscu widzieć kogoś innego, bo nie odrywając ode mnie oczu, przełknął ślinę, by po chwili, bardzo powoli, podjąć przerwana deklamację, jakbym to ja była ową Sylwią, do której zdawały się skierowane te słowa:

– Upływa miesiąc, Sylwio, za miesiącem... i już niebawem wróci, Sylwio, zima... śniegiem pobieli trawę na wzgórz zboczach... zwiędnie twa mina dumna i surowa... i drzwi twych opór osłabnie, gotowych... wdzięcznie już wtedy przez próg mnie przepuścić... Lecz ja, wzywany, spóźnię się, nie myśląc... z tego spóźnienia nawet się tłumaczyć...

Westchnął i zamrugął oczami.

– Wybacz, Georgiuszu – sapnął. – Coś chyba bredzę.

– Nie, tylko mówiłeś przez sen – uspokołam go i zajęłam się przygotowaniem świeżego okładu na czoło, bo tamten już prawie całkiem wysechł. Kiedy mu go przykładalam, odetchnął z ulgą i przytomniejszym już głosem zapytał, co takiego mówił. Powiedziałam mu, że recytował chyba jakiś wiersz, do Sylwii.

– Och – skrzywił się z niesmakiem – Do Sylwii... Co też człowiekowi chodzi po głowie... Wszystkie wiersze do niej: do spalenia.

– A kto to taki? – rzuciłam lekko.

– Sylwia? – upewnił się z wyraźnym zakłopotaniem. – Co mam ci powiedzieć... Taka miła pani z Wenecji. Wydawało mi się kiedyś, że się w niej kocham. Ale nic z tego nie wyszło.

– Nie chciała cię?

– Właściwie... – Zastanowił się. – Trudno powiedzieć. Chyba nawet trochę jej się podobałem.

– Więc czemu?...

– Ha, była mądrzejsza ode mnie. Powiedziała: „Nic z tego, Filipie”. No to przynajmniej miałem temat do wierszy. Tylko że raczej marnych. Sam słyszałeś. – Przeciągnął językiem po spierzchniętych wargach. – Masz tam coś do picia?

Podaliśmy mu w kubku resztkę naparu z lipy i bzu i przypilnowałam, żeby pił małymi łykami. Potem zasnął.

Miałam nadzieję, że jeśli spokojnie prześpi do rana, to mu się przez ten czas polepszy. Ale, jak wiesz, tak nie było. W niedzielę rano był już cały w krostach, szczególnie na twarzy. Zjawił się cyrulik nasłany przez doktorów, upuścił mu krwi, wziął za to cztery denary i poszedł. Dorota nagotowała mocnego rosółu, wmusiłam w Filipa cały garneczek i przez chwilę wyglądało na to, że mimo wysypki czuje się trochę lepiej.

Ni stąd, ni zowąd zaczął mi opowiadać, jak gdy kończył nauki w niższym konwikcie w Sienie, jego ojciec, Piero Buonaccorsi, przyjechał go stamtąd odebrać.

– Wsiadliśmy do kolebki, ruszamy i wtedy ojciec mówi mi tak: „Przyglądam ci się, Filipie, od dnia twoich narodzin, tak jak i twoim młodszym braciom, i oto, co widzę. Możesz być kupcem jak ja i jak mój ojciec, jak twój dziad ze strony matki i twoi wujowie. To ci zapewni dostatnie życie, a może nawet bogactwa”, tak mi mówił. „Ale ty, Filipie – wywodził dalej – do czegoś innego będziesz się w życiu skłaniał. Czegoś, co twemu imieniu zapewni chwałę jeszcze za grobem. A żebyś mógł podążać tą drogą, którą ci, widzę, sam Pan Bóg wyznacza, musisz się jeszcze wiele, wiele nauczyć. Dlatego jest moją wolą posłać cię teraz na nauki do Ferrary, do szkoły pana Guarina”. – Filip, wspominając tę chwilę, rozkaszał się ciężko, aż mu się łzy puściły z oczu. – Tylko trzy dni... – wykrztusił w końcu. – Tylko trzy dni dał mi na to, bym się nacieszył domem rodzinnym. A czwartego znów wsiadliśmy do kolebki i – do Ferrary! Georgiuszu, ja wtedy miałem ledwie jedenaście lat! Przez pierwsze dni płakałem. Bo to już nie było jak w Sienie. Siena jest tuż obok

San Gimignano, a do Ferrary, mój drogi, trzeba jechać trzy, cztery dni. Dlatego czułem się porzucony, zdany tylko na siebie, w obcym mi zupełnie świecie. Spędziłem tam sześć lat... – Zamyślił się. – Kto wie, czy nie najszcześniejszych lat mojego życia...

– Więc nie było tam tak źle? – dopytałam.

– Było... było wspaniale – odrzekł po prostu. – Guarino, kiedy tam się zjawiłem, był już starym człowiekiem, dobrze po siedemdziesiątce, ale choć porany na twarzy, trzymał się krzepko i umysł miał tak jasny, że niejeden młody mógłby mu pozazdrościć. Był dla nas jak ojciec; nie, on był nam naraz ojcem i matką! Doskonaliśmy się, rzecz jasna, w łacinie, ale były też greka, historia naturalna i wiele innych przedmiotów, uprawialiśmy się w dysputach i dowodzeniach, ale też były lekcje tańca i fechtunku, jeździliśmy polować... Wszystko tam było. Oprócz może kobiet. Ale na nie też mogliśmy popatrzeć co rano, gdy nas prowadzili do kościoła. Tylko że cóż, w końcu dopełniłem mych nauk i powróciłem do San Gimignano... – Filip opadł ciężko głową na poduszkę. – Duszno mi – wyznał.

Uchyliłam okiennicę. Dłuższy czas milczał, ciężko oddychając.

– Mając w pamięci dawne ojca słowa – podjął w końcu, nie unosząc głowy – myślałem, że mnie teraz wyśle na uniwersytet. Do Bolonii, powiedzmy. Albo nawet bliżej, do Florencji. Tam, mówiono, powstało właśnie Studio w willi Medicich. Ale ojciec obmyślił dla mnie co innego. „Filipie – powiedział mi – jesteś już prawie dorosły, masz siedemnaście lat. Nie cofam tego, co ci kiedyś mówiłem, że masz podążać za głosem powołania, lecz zanim na tę drogę wstąpisz, musisz się wpierw nauczyć zarabiać pieniądze. Tak, pieniądze. Bez tej umiejętności zatrzymasz się bowiem w pół drogi między pacholeństwem a dojrzałością i do końca życia będziesz zdany na mnie. No, chyba że się uwieszisz u czyjejś klamki, synu. Ale tego ci robić nie radzę, bo wtedy nie będziesz już panem samego siebie”.

– Zdaje mi się – wtrąciłam z uśmiechem – żeś zdołał w sztuce zarabiania pieniędzy dojść do pewnych umiejętności.

– Och, nie na miarę mego ojca oczekiwań – zaproponował słabym głosem. – A już na pewno nie tymi metodami, które mi chciał wpoić. Przez cztery lata trzymał mnie w San Gimignano, próbując podzielić się ze mną swym doświadczeniem w hurtowym handlu szafranem i winem vernaccia, produktami, którymi się moje miasto szczyci i które cieszą się

dużym wzięciem w całych Włoszech i nie tylko. Więc, wzięwszy pod uwagę wieloletnie stosunki mojego ojca z wytwórcami obu tych rarytasów, powinienem pod jego okiem dojść w tym szybko do pełnego mistrzostwa. Niestety, jak ci już chyba mówiłem, ja się po prostu do tego zupełnie nie nadaję. Wciąż popełniałem jakieś błędy, i to ciągle te same, a zapewniam cię, że starałem się, jak mogłem, wywiązać z wszystkich zadań jak najlepiej. Ojciec już dawno powinien był to odczytać jako znak od niebios, że jeśli chodzi o te sprawy, ja, jego syn pierworodny, jestem zupełny cep, i nic na to nie można poradzić.

– Ale w końcu to do niego dotarło?

– W końcu mi wyznaczył skromną pensyjkę. – Filip zaczął się śmiać, ale ten śmiech od razu przeszedł w atak kaszlu, aż go musiałam unieść na posłaniu i wygrzmocić pięścią między łopatkami. – Pensyjkę – wysapał – niby za moje czteroletnie zasługi w handlu szafranem... Najważniejsze, że mi pozwolił ruszyć w świat. A co do umiejętności pozyskiwania grosza – wrócił po chwili do przerwanej myśli – to wyznam ci szczerze, Georgiuszu: z tego, com przez całe życie samodzielnie zarobił, udało mi się dotąd odłożyć jakieś dwieście dukatów. A może i mniej. A kiedy ojciec umarł, jedenaście lat temu, ze spadku po nim na mnie przypadło, zgadnij ile?

– Tysiąc dukatów? – próbowałam podjąć wyzwanie.

– Sześć tysięcy! – wychrypiał triumfalnie. – A to ledwie czwarta część, bo mam trzech braci. Z tego wciąż trzymam u Bonerów dwa tysiące. Bo cztery pożyczyłem Olbrachtowi, kiedy się starał o koronę. Te już chyba przepadły na amen. Daruję mu je w testamencie. Niech zna pana. Pana Kallimacha, który niejednego doświadczył.

Znów się rozkaszał, więc go ponownie podniosłam, żeby mu plecy z lekka otłuc, i wtedy nagle z bliska spostrzegłam, że mu się te krosty na twarzy zlewają. Zmartwiałam, ale nic po sobie nie dałam poznać, tylko zaraz zawołałam Jakuba, żeby mnie przez jakiś czas zastąpił przy panu, i – o czym ci już pisałam – popędziłam do Garlickich po Lukrecji koszulę.

Kiedy go w nią przebrałam, on przespał w miarę spokojnie do południa, aż mi od tego zaczęła powracać nadzieja, zwłaszcza że się obudził z miną wcale różną i nawet bez wielkich oporów dał się nakarmić rosołem. Potem zaczął mi coś opowiadać, jak to przybył do Florencji, chcąc wstąpić tam na studia, ale czemuś nie znalazł łaski w oczach tamtejszych profesorów. Dlaczego, nie zdążył mi wyjaśnić, bo nagle

złapał go kaszel tak straszny i rzęzący, że tylko go pochwyciłam w ramiona, utrzymując w pozycji siedzącej, żeby się nie zadławił tym, co miał do wykrztuszenia, i wtem jakby mu coś pękło w płucach, zaczął wyrzucać z siebie w konwulsjach żywą krew, aż mi się zdawało, że to już jego ostatnie chwile.

Ale nie, z wolna rżenie ucichło i zaczął prawie normalnie oddychać. Posadziłam go ostrożnie, opartego plecami o kilka sienników ułożonych jeden na drugim, zdjęłam z niego tę nieszczęsną koszulę Lukrecji, całą zakrwawioną, jako tako go obmyłam i ubrałam w czystą, świeżo ze skrzyni wyjętą. Wtedy przywołał mnie palcem i szepnął, by mu księdza sprowadzić. Posłałam zaraz Agnieszkę po prezbitera Heydeckego. Jakoż przybył niebawem i zrobił co do niego należało.

Kiedy po czterech dniach przemawiał nad Filipa płytą grobową, skrapiając ją obficie strugami gorących łez, to całą powagą swego kapłańskiego powołania zaświadczył – o ile by ktoś wątpił – że Filip dokonał żywota prawdziwie po chrześcijańsku, z nabożną czcią przyjmując z jego rąk Najświętszy Sakrament, by następnie łagodnymi słowami zapewnić o swej szczerzej skruszce za wszystkie odstępstwa od drogi cnoty, których się był w życiu dopuścił – jak to się zdarza każdemu z nas, wszak ułomnymi jesteśmy istotami – i ronił nad tym łzy tak obfite, że nikt z obecnych na ten widok nie mógł się od płaczu powstrzymać.

Rzeczywiście, przyznaję, prawdę ksiądz Heydecke mówił, i pamiętam, że także i ja w tamtej chwili płakałam razem z całą służbą – bo nikogo więcej przy tym nie było – ale tylko ja wiem, co było dalej, i tobie jednej to powiem, moja Enneleyn.

Otóż popłakawszy sobie, Filip przymknął oczy i wyglądało na to, że błogo zasypia, więc ksiądz, położywszy palec na ustach, wyprowadził nas wszystkich z izby. Żegnając się, zalecił mi, abym do chorego jednak co jakiś czas zaglądała – czego doprawdy nie musiał mi wcale mówić, widziałam bowiem dobrze, że mój przyjaciel tylko udawał śpiącego. Dlatego gdy już zamknęłam za księdzem drzwi, czym prędzej powróciłam do Filipa łoża i przysiadłszy przy nim, szepnęłam:

– Jestem.

On uniósł powieki, nie powiem, że bez wysiłku, ale całkiem przytomnie, po czym słabym głosem zapytał:

– Już po wszystkim?

– Tak – potwierdziłam. – Ksiądz już nawet poszedł.

– Pocziwy... – westchnął. – Widzisz, tak było trzeba.

Zapatrzył się niewidzącym wzrokiem przed siebie.

– Mama – odezwał się nagle – była, o, bardzo żarliwą chrześcijanką... Prowadzała mnie, wystrojonego malca, za rękę do kolegiaty, rankiem zawsze rozpalonej od słońca. Lubiłem oglądać te freski tam w środku... Tu Stary Testament... – wskazał ręką w lewo. – Tam – wskazał w prawo – Nowy. A mama mi szeptem tłumaczy, o co w tym wszystkim chodzi. Wtedy... Wtedy wydawało mi się, że to dobrze rozumiem. Lepiej niż teraz...

Zamilkł. Czekałam, co powie dalej. Przymrużył jedno oko, jakby chciał się czemuś lepiej przyjrzeć, wciągnął ze świstem powietrze i znów zaczął mówić, chwilami prawie bezgłośnie.

– Prawda, była z nami jeszcze ciotka Bonizella z Ducciem, moim kuzynem, młodszym ode mnie chyba o rok. A obok, po drugiej stronie przejścia... – uśmiechnął się do swoich wspomnień – siadała pani Salvucci. A przy niej... Orelia. Och, Orelia... Chyba była odrobinę ode mnie starsza. Na pewno poważniejsza. Bo ja – zaśmiał się cichutko – ja ciągle do niej stroiłem miny, kiedy nikt z dorosłych nie patrzył. A Orelia – nic. Buzia w ciup, minka skupiona, rączki splecione pod piersią... Której tam jeszcze nie było, bo Orelia wtedy mogła mieć najwyżej osiem lat...

Znów zamilkł.

– Ale czasem jednak... A może sobie to wymyśliłem? Nie, chyba nie, zbyt wyraźnie to pamiętam. Czasem jednak popatrywała w bok, na mnie. I, wiesz, wcale nie musiałem stroić tych min. I tak strzelała okiem na mnie, na pewno. – Zamyślił się, wpatrzony gdzieś w przestrzeń, więc milczałam, żeby mu przypadkiem nici wspomnień nie splątać. – Hm, a potem – podjął po dłuższej chwili – byłem cztery lata w Sienie. I kiedy wróciłem, to zanim mnie ojciec zawiózł do Ferrary, zdążyłem się wybrać z mamą do tej naszej kolegiaty. I znów zobaczyłem Orelię! Prawda, że to był raz ostatni... – Przerwał i jakie pół pacierza tylko pomrukiwał coś do siebie pod nosem, nim znów zaczął mówić. – Bo później, gdy po dalszych sześciu latach znów wróciłem, jej już w San Gimignano nie było. Podobno wyszła za jakiegoś żupnika z Volterry... Ale wtedy – podjął, z lekka ożywiony – za tym ostatnim razem, kiedy miała może dwanaście lat, popatrzyliśmy na siebie trochę dłużej... Ha! – Prychnął. – Wiesz, skądś się

muszą brać te nasze pojęcia o urodzie. A co, jeśli każdemu z nas podoba się w kobietach coś, co nas oczarowało, kiedy byliśmy dziećmi?

– To możliwe – zgodziłam się bez zapału. – Przypominam sobie, że Celtis snuł kiedyś przy mnie dość podobne rozważania.

– Ach, Celtis... – Filip nieznacznie machnął ręką i wykrzywił wargi. – Ale czekaj. – Rozpogodził się nagle. – Coś jeszcze ci powiem ciekawego. Dziwna rzecz, ale... – Zawahał się. – Tak... Wiesz, kto mi Orelię Salvucci bardzo przypomina z rysów twarzy?

Pokręciłam głową, na znak, że nie mam pojęcia.

– Ty, mój chłopcze! – oznajmił cicho, jakby mi jakąś tajemnicę powierzał, okraszając ją bolesnym uśmiechem. Zaraz potem przymknął oczy i opadł głową na poduszkę.

A ja wtedy przełknęłam ślinę i niespodziewanie dla samej siebie wyrzekłam przez ściśnięte gardło:

– Nie jestem chłopcem.

Wiesz, Enneleyn, poczułam chyba, że muszę mu raz wreszcie prawdę powiedzieć i że – pojmujesz – potem może już nie być po temu okazji.

Nie byłam zrazu pewna, czy w ogóle dosłyszał, co powiedziałam, i już się zaczęłam zastanawiać, czy nie lepiej jednak odłożyć to wyznanie na później, kiedy po paru chwilach uniósł powieki i spojrzał na mnie pytająco, widocznie niepewny, jak ma moje słowa rozumieć.

– Nie jestem chłopcem – powiedziałam raz jeszcze, odchrząknąwszy. – Zobacz.

Zapaliłam po kolei wszystkie świece w dwóch trójramiennych lichtarzach, postawiłam je oba na skrzyni koło jego łóżka, po czym trzęsącymi się rękami zdjęłam z siebie kaftan i koszulę, odsłaniając się całkiem od góry. Piersi moje miał on okazję widzieć już wcześniej, jak może sobie przypominasz, i zdaje mi się, że wtedy nie dostrzegł w nich nic podejrzanego. Tyle że teraz, po tym, com mu powiedziała, mógł patrzeć na nie już inaczej. Widziałam, że nie zważając na bolesny obrzęk powiek, rozwarł szeroko swoje mądre oczy i spoglądał nimi na mnie, oniemiały, może niepewny, czy to nie jakieś majaki podsuwane mu przez gorączkę, a ja, nie wiedząc, co też on sobie może myśleć, w duchu trzęsłam się ze strachu – ale chyba nie było tego po mnie widać. Przykucnąwszy, pośpiesznie zzułam buty i ściągnęłam nogawice, potem jeszcze gacie płócienne zrzuciłam, i na koniec, prostując się, odpięłam mieszek.

Podeszłam z wolna bliżej do jego pośłania, tak blisko, żeby nawet on, Kajkus, który na trzy sążnie nie umie rozpoznać twarzy, w świetle sześciu świec nie mógł już mieć wątpliwości, kto właśnie przed nim stoi.

W jego spojrzeniu nie widziałam gniewu. Ani nawet rozżalenia. Tylko wielkie zdziwienie. A nawet, jak mi się zdawało, jakąś tkliwą iskierkę.

– Jesteś... – zaświszcział – jesteś kobietą.

– Tak, Filipie – przytaknęłam cicho, jakby nieswoim głosem. – Nie nazywam się Georg, tylko Gredechin. I mam już dwadzieścia trzy lata. Pochodzę z Heidelbergu. Mój ojciec był żołnierzem. Ale cała reszta jest prawdą.

Wpatrywał się we mnie błyszczącymi oczami.

– Jesteś naga – wychrypiał. – Diana. – W jego umęczonym oku niespodziewanie dostrzegłam figlarny błysk. – Ale chyba mnie psami nie poszczujesz?

Zamiast odpowiedzieć, podeszłam jeszcze bliżej i wzięłam go za rękę.

– Żadna ze mnie Diana, Filipie – szepnęłam. – Żadna bogini. Zwykła kobieta, która cię całą sobą miłuje.

On wtedy z widocznym wysiłkiem uniósł obie ręce z pośłania i położył je na moich biodrach. A ja przycisnęłam piersi do jego twarzy – tak, te moje wątłe piersi – szepcząc mu nad głową po niemiecku wszystkie czułe słowa, jakie mi się same na usta cisnęły, bom już nad sobą wcale nie panowała. On wtedy opuścił głowę jeszcze niżej, tuląc się policzkiem do mojej czuprynki, aż mimo woli, pamiętam, wyrwało mi się westchnienie.

– Georgino moja... – zaszemrał po swojemu, ale głosem drżącym ze wzruszenia.

– Gredechin – poprawiłam i ucałowałam czubek jego przepeconej głowy.

– Gredechin – powtórzył posłusznie. – Gre-de-chin... – wyrzekł znów z wolna, jakby to moje imię smakując. – Dziewczyno, przecież ja cię od dawna... – tu urwał i rozkasłał się tak strasznie, że znów zaczęłam go grzmocić po plecach, drętwiąc ze strachu, czy i tym razem krew mu się z płuc nie puści. Jakoś obeszło się jednak bez tego.

Gdy w końcu atak kaszlu mu przeszedł, ułożyłam go wygodnie w pościeli, przyłożyłam mu na czoło świeży okład i złożywszy na jego policzku nieśmiały pocałunek, kazałam mu spać.

Kiedy się ubierałam, wymamrotałam, nie otwierając oczu:

– Kocham cię, Gredechin.

Czy potrafisz sobie wyobrazić, co się w owej chwili działo w mojej duszy? Bo ja nie podejmuję się przedstawić ci tej plątaniny przeciwstawnych uczuć, które mną wówczas miały.

– I ja ciebie od dawna kocham, Filipie – powtórzyłam moje wcześniejsze wyznanie i dodałam: – Jak nikogo na świecie.

Nachyliwszy się, ucałowałam go raz jeszcze, tym razem w te jego biedne, spieczone usta. A on otworzył oczy i powiedział ledwie słyszalnie:

– Uważaj, miła, na świecie. Szkoda by nam było spłonąć w takiej chwili...

– Śpij, ukochany – odrzekłam czule, gasząc kolejno wszystkie płomyki oprócz jednego. – Nic nam nie grozi.

Zamknął oczy i po chwili usłyszałam, że oddycha równo, leciutko pochrapując.

Wysłałam, odszukałam Jakuba i nakazałam mu czuwać przy panu do rana.

O świecie obudziły mnie krzyki służby. Pobiegłam do Filipowej sypialni, ale jego już nie było wśród żywych.

Tak więc to wyglądało, droga Enneleyn. Takim właśnie żalosnym sposobem dobiegły końca moje dni z Kallimachem, mężczyzną mego życia jedynym.

Wiem, co powiesz: że jestem wciąż całkiem młoda i nie mogę przewidzieć, co mi się jeszcze w życiu przytrafi. Ale ja dziś to wiem na pewno, że nikogo innego nie chcę i nigdy nie będę chciała.



Właśnie się zbieram do drogi, kochana moja przyjaciółko. W Krakowie za wiele już zastawiłam na siebie samą pułapek, a zresztą miasto bez niego straciło dla mnie cały urok, choć może to dlatego, że mamy zimny i dżdżysty listopad.

Z domu Kallimacha musiałam się wyprowadzić, gdyż zgodnie z jego ostatnią wolą nieruchomości przeszła na własność księcia Zygmunta, a ten pewnie będzie ją chciał jak najprędzej spieniężyć. Wiedziałam o tym z góry, dlatego jeszcze przed pogrzebem zabrałam z domu te Filipa papiery, których moim zdaniem palić się nie powinno. Z pieniędzy dla służby na mnie przypadło 75 groszy, co mi wraz z moimi oszczędnościami

całkowicie wystarczy na pierwsze wydatki w podróży. Do tego mam w banku dziesięć czerwonych złotych, tych, co mi je Filip przekazał przed śmiercią, więc powinnam sobie jakoś poradzić.

W czwartek wybrałam się do Kazimierza, tak jak byłam z Chanką umówiona, bo chciałam się z nią jak należy pożegnać. Jak na złość, na moście zdybał mnie Tür Pauwels, ów Brabantczyk, co karty do gry wyrabia. Zwierzył mi się, że idzie do kościoła Augustianów, gdzie się zgodził do pomocy trzem innym malarzom, pracującym nad obrazami mającymi tam zdobić nowy ołtarz główny. Myślałam, że zaraz za mostem się pożegnamy i dryblas pójdzie swoją drogą, ale on, zamiast skrócić w prawo, w stronę remontowanej świątyni, ciągnął za mną i już nie wiedziałam, co mam zrobić, żeby się w końcu odczepił. To z tej, to znów z tamtej strony mnie zagadywał – rzecz jasna o Kallimacha, ale też o zarazę, czy nie wróci, o pogodę, o to, ile można zaoszczędzić, robiąc zakupy u Żydów, a do tego, choć go wcale nie pytałam, dużo mi o swoich sprawach mówił, jakby nie miał się z kim nimi podzielić – że go tamci trzej starsi malarze źle traktują, w czym są zgodni, chociaż poza tym każdy z nich by dwóch pozostałych chętnie utopił w łyżce wody. To wszystko było może i ciekawe, ale tak podlane żółcią, że nie miałam ochoty jego wynurzeń wysłuchiwać. W końcu powiedziałam mu wprost, że muszę się pożegnać, bo mam za chwilę ważną sprawę do załatwienia. Na to zrobił wielkie oczy, bo przecież widział, że ja się wprost do żydowskiej dzielnicy kieruję.

– Tutaj? – pyta z niedowierzaniem.

– A tak, tutaj – ja na to. – Bywaj, niech ci się wiedzie.

To powiedziawszy, obróciłam się na pięcie i zniknęłam mu w tłumie. Pewnie sobie pomyślał, że chcę pieniędzy pożyczyć pod zastaw jakiegoś fanta, albo może mam kochankę Żydówkę – mało o to dbałam, bo choćby się i całej prawdy domyślił, to zanimby mi zdążył w Krakowie zaszkodzić, mnie by tam i tak już nie było. Ale raczej się nie domyśli, bo i jak, na jakiej podstawie?

Do łaźni wpadłam w ostatniej chwili. Chanka już na mnie czekała. Była przemiła, jak zwykle, chociaż już mniej niż kiedyś skora do wesołości. Kiedyśmy się wycierały po kąpieli, powróciła do pomysłu Raszki Fiszlowej.

– Mogłabyś przecież zamieszkać tutaj na stałe, a tylko studiować w Krakowie – przekonywała. – Nie będą chyba za tobą chodzić krok w krok, żeby pilnować, gdzie mieszkasz i co robisz. Rozmawiałam z moim Szmulikiem: u nas w domu masz miejsce w każdej chwili.

Przytuliłam ją, wzruszona tym oddaniem, a potem wyznałam szczerze:

– Nie wiem, Chanele, może by i tak się dało żyć, chociaż wiesz, Kraków jest małym miastem, co rusz natykam się na kogoś znajomego i prawie każdy stamtąd nieraz do Kazimierza zachodzi. Ale nie w tym rzecz – mówiłam dalej – tylko że odkąd zabrakło Filipa, nic mnie już w Krakowie nie trzyma. Prawda, mam tu ciebie, która mi jesteś tak bliska, mam też wśród chrześcijan jedną serdeczną przyjaciółkę, ale zrozum, jestem tak bardzo jego śmiercią zdruzgotana, że wszystko wokół wydaje mi się odpychające i ponure, do tego stopnia, że żadna z was ani nawet obie naraz nie zdołacie rozjaśnić mroku, który panuje w mojej duszy. Czuję, że muszę oddalić się z tych miejsc, żeby móc z czasem o wszystkim zapomnieć.

– Ach! – pojęła nagle. – Toś ty go kochała!

– Ja wciąż go Kocham, Chanele – odrzekłam po prostu.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś – zauważyła ze zdziwieniem, zapatrzony się na palce własnych nóg. – A tyleśmy ze sobą gadały...

– Teraz ci mówię.

– Więc... wyjeżdżasz? – Podniosła na mnie wzrok. – Dokąd?

– Sądzę, że wrócę do Niemiec. Wyruszam w niedzielę.

Klasnęła w dłonie.

– Uch, dobrze przynajmniej, że nie w szabes! – wykrzyknęła.

Obie zaśmiałyśmy się gorzko i znów padłyśmy sobie w ramiona. Potem, na ulicy, poprosiła:

– A daj mi znać, jak ci się tam wiedzie.

– Napiszę – powiedziałam. – Ależ wybałuszy oczy ten gbur od Fuggerów, jak mój list do was przyjdzie!

I wtedy napatoczył się rabin Pollack.

– Jedziesz, Cewijo? – zagadnął. – Chcesz może list polecający do niemieckich rabinów?

– Nie wiem, czy się odważę tam takie życie jak tutaj prowadzić – odrzekłam.

– Racja – przyznał. – Lepiej się nie wystawiać na zgubę. To, że jesteś Żydówką, to sprawa między tobą a Najwyższym. Ludziom nic do tego.

Zapewne nie wszyscy rabini się ze mną zgodzą, ale przecież, zauważmy, że Tora, mówiąc nam: Zochor unkejwo boro ojsom, „mężczyzną i kobietą stworzył ich”, nie wspomina wcale, że kobieta nie ma studiować. Bądź więc sobie dla świata, kim chcesz, i żyj swoim życiem, byleś tylko przestrzegała przykazań i bliźniego jak siebie samą miłowała, jak nakazuje Tora w Księdze Wajikra, a Wszechmocny przecież i tak będzie wiedział, kim jesteś i jaka jesteś. Niechże twa moc podąży prostą drogą.

I z takim właśnie błogosławieństwem wyprawił mnie w świat.

Nie wiem, co ty na to powiesz, moja droga, ale podjęłam decyzję, że nigdy nie powrócę do kobiecej postaci. Nie jest mi już ona do niczego potrzebna. Jeśli chodzi o utrzymanie ciała w czystości, dam sobie radę. Mam teraz dość grosza, żeby, jeśli wreszcie gdzieś się zatrzymam, sprawić sobie balie, a z czasem może nawet nająć służbę, by mi do niej nanosił zagrzanej wody.

Będę więc mężczyzną – nie szkodzi, że nie w pełni wyposażonym – ze wszystkich męskich przywilejów ten akurat, do korzystania z którego owe brakujące mi instrumenty bywają przydatne, w ogóle mnie nie interesuje. Nie będę też już szukać pomocy u żadnej szeptuchy, żeby się pozbyć włosów na twarzy – już dziś zgoliłam brzytwą odrastający meszek, a jeśli z czasem zamieni się on w szczecinę, jak u mojej dawnej sąsiadki z Semmelgasse, pani Holzknecht, to kto wie, może i wyhoduję sobie na gębie jakiś twarzowy zarost.

Wracam do Niemiec i tam się spróbuję dostać na którąś z lepszych uczelni – może w Erfurcie, może w Ingolstadt, zobaczymy. Mam dyplom quadrivium z Krakowa, to powinno wystarczyć, żebym mogła rozpocząć przewód doktorancki z medycyny, albo szerzej, z historii naturalnej. Może jeszcze później podejmę studia teologiczne, ale nie jestem jeszcze pewna, czy w ogóle tego chcę.

Postanowiłam też skrócić sobie moje przybrane nazwisko, bo dla mnie samej Starkfaust brzmi wciąż jakoś nienaturalnie: będę się odtąd nazywać po prostu Faust, Georg Faust. Podoba ci się? Dobrze w tym będzie choćby to, że ci, co mnie znali jako Starkfausta, zasłyszawszy o doktorze Fauście, nie wpadną na to, że to może być ich znajomy. Łatwiej dzięki temu przetnę wszelkie nitki wiążące moje nowe życie z tym, które wiodłam wcześniej – tak będzie i wygodniej, i bezpieczniej. Jedyne możliwa komplikacja z tym związana jest taka, że jakiś nadgorliwy kanclerz

uniwersytetu może nie chcieć uznać mojego magisterskiego dyplomu, widząc, że nazwisko się różni, ale w najgorszym razie poradzę się jakiegoś bardziej doświadczonego skryby, jak by to sprytnie przerobić, albo lepiej udam, że dyplom został mi skradziony w czasie zarazy, i poddam się egzaminom – mojej dzisiejszej wiedzy wystarczy, by pomyślnie wypaść przed nawet najmniej życzliwie nastawionym gronem profesorskim.

Nie mogłam stąd odejść bez pożegnania z Lukrecją. Byłam u niej dziś rano. Bałam się, że nadal nie jestem przez Garlickich mile widziana – ale nie, pani domu przyjęła mnie całkiem ciepło, a i młodsze siostry Lukrecji pokazały się na chwilę, żeby się ze mną przywitać, z czego wnioskuję, że rodzina przestała mnie w duchu obwiniać za żałosny stan ukochanej córki i siostry. Nie wiem tylko, czy dotyczy to także jej braci, bo ich w domu nie było.

Lukrecję zastałam ubraną i obutą. Krzątała się po izbie bibliotecznej, przestawiając drobniejsze przedmioty z miejsca na miejsce. Jak mi wyjaśniła, pieczenie oczu ustało, a ona sama stara się nauczyć radzić sobie ze swoją ślepotą, aby móc żyć dalej.

Miałam wielką ochotę ją przytulić, ale przecież nie mogłam tego zrobić – no chyba żebym ją poprosiła o rękę i została przyjęta – więc tylko najczulej, jak umiałam, ujęłam ją za obie dłonie i zaczęłam przekonywać, że z czasem odzyska normalne widzenie, a w najgorszym wypadku można sprowadzić dla niej z Wenecji okulary, które zaradzą na jej przypadłość. Najlepiej będzie, jak wybierze się do Serenissimy osobiście, żeby tamtejsi majstrowie mogli na miejscu dobrać odpowiednie dla niej szkła.

– Jesteś bardzo kochany, Georgu – rzekła mi na to. – Ale nie wydaje mi się, żeby szkła tu mogły na coś zaradzić, skoro widzę jednakowo źle z daleka i z bliska, i ty przecież dobrze o tym wiesz. Ja moje nadzieje opieram na czym innym.

– Na czym? – zapytałam, spodziewając się, że w odpowiedzi usłyszę jakieś nabożne wyznanie wiary.

– Na ćwiczeniu własnego umysłu – odrzekła jednak. – Platon przekonuje, że zmysły nas zwodzą, a prawdziwego poznania możemy dostąpić dopiero, gdy się uwolnimy od mylących pozorów, które podsuwają nam wzrok, słuch czy dotyk.

– Zamierzasz to osiągnąć? – zapytałam z podziwem. – W jaki sposób?

– Cóż, życie samo podpowiedziało mi właściwą drogę. Wzrok już straciłam. Trzeba się następnie, na ile się da, odgrodzić od świata dźwięków, zapachów, słowem wszystkiego, co odwraca naszą uwagę od prawdy.

– Ale jak to zrobisz? Chyba nie chcesz sobie uszu poprzebijać?

– Nie. – Uśmiechnęła się. – Aż taka szalona nie jestem. Ale będę się starała żyć w ciszy.

– Lukrecjo, ależ to będzie gorsze niż życie klasztorne!

Westchnęła.

– Nawet się zastanawiałam, czy nie wstąpić do jakiegoś zakonu, jak moja siostra Benigna. Ale to jednak nie dla mnie. Bo mniszki w swych dążeniach stawiają sobie zupełnie inne cele niż ja. Znajdę jakiś sposób, żeby opisać to, co odkryję w tym moim widmowym świecie, przeczuwam, że wcale nie tak znowu strasznym. A może ty byś mi w tym pomógł? – rzuciła pytanie w przestrzeń przed sobą.

Przełknęłam ślinę, szukając odpowiedzi, gdy ona nagle wzdrygnęła się.

– Ach, ja ci tu moimi fantazjami głowę zawracam, zamiast złożyć wyrazy współczucia! – ofuknęła samą siebie. – Krótko znałam twego przyjaciela, ale dość długo, żeby wiedzieć, jak wielką stratę poniosłeś.

– Dziękuję – odrzekłam ze ściśniętym gardłem.

Teraz z kolei ona ujęła mnie za rękę i trwałyśmy tak przez czas dłuższy, a jej opuchnięte wciąż i przekrwione oczy zdawały się utkwione w mojej twarzy, jakby jednak coś w niej widziały.

– I co ty teraz poczniesz, Georg? – zapytała łagodnie.

– Wracam do Niemiec – z trudem wydobyłam z siebie głos. – Jutro.

Zdumiała się.

– Jak to? A twoje studia?

– Tam ukończę.

– Ale czemu nie tu? Jeśli nie masz gdzie mieszkać, porozmawiam z braćmi...

– Niestety, muszę jechać, Lukrecjo. Sprawy rodzinne – dodałam nieoczekiwanie dla samej siebie.

– Ach tak... – rzekła, nie kryjąc zaskoczenia. – Myślałam, że nikogo tam nie masz.

– Cóż, Niestety, to takie dawne zobowiązania – brnęłam w kłamstwo.

– Będziesz się żenił? – dopytała z niepokojem.

– Chyba nie uda mi się od tego wykręcić.

– No to... – Próbowała się uśmiechnąć – Życzę ci szczęścia.

Zamilkłyśmy. Mało brakowało, a byśmy się obie rozryczały.

– Lukrecjo – odezwałam się w końcu – chcę ci coś ofiarować na pamiątkę.

Zdjęłam z siebie ukryty pod koszulą mój ulubiony naszyjnik ze srebrnego filigranu, wysadzany maleńkimi kryształami górskimi, i ostrożnie otoczyłam nim jej szyję.

– Co to? – zapytała, niepewnie wodząc po nim palcami. – To, zdaje się, coś bardzo ładnego?

– Tak, wierz mi. I bardzo ci w tym do twarzy.

Uśmiechnęła się.

– Dziękuję.

– Noś to – poprosiłam. – I... pamiętaj o mnie.

– Och, Georg, ja bym cię zapomnieć nie mogła – wyznała bez tchu.

– Ani ja ciebie.

Wzięłyśmy się znów za ręce i długo ich nie rozłączałyśmy. W końcu ja skłoniłam się i cicho odeszłam.

To było dla mnie trudne, wierz mi, Enneleyn, bardzo trudne.

Tak czy inaczej, jutro wyruszam w twoją stronę, moja droga. A jakże, wcale nie wykluczam, że los mnie zanieśie aż do Heidelbergu, chociaż wydaje mi się, że wciąż jestem do siebie zanadto podobna, by móc się bezpiecznie dopuszczać aż takiej brawury. Ale zobaczymy, jak to dalej będzie. Może zarost mi się pojawi prędzej, niżbym się spodziewała, może mi sadła przybędzie na niemieckim piwie albo coś jeszcze innego się zdarzy, któż to może wiedzieć. Nie mam pewności, czy nie wypisuję tego w złą godzinę, bo czuję właśnie, że mnie gorączka bierze i mgli mnie, co może oznaczać początki krościcy. Cóż, wiozę ze sobą na taki wypadek jedną z koszul, które zdjęłam z Filipa, przebierając go w czystą bieliznę. W razie czego założę ją na siebie, a czy mi to co pomoże, zobaczymy. Najwyżej umrę, wielka mi rzecz. Nie myślę wcale tak się kurczowo życia trzymać jak ów Jakusz Rejbik, o którym ci kiedyś pisałam. Nie warto.

Kupiłam mocnego konia zaprzęgowego i wóz z plandeką, bo jednak mam już dużo własnych rzeczy, których szkoda by się było wyrzekać. Z nich najcenniejsza wydaje się prawie cała pierwsza księga Picatrix przepisana moją ręką. Jeśli żyć będę, spodziewam się trafić z czasem na resztę tego dzieła i dostąpić zawartych w nim wtajemniczeń. Kto wie, czy

nie więcej jeszcze wskazówek w tym przedmiocie znajdę w darowanym mi przez Filipa manuskrypcie, jeśli tylko uda mi się odcyfrować tekst, zapisany, jak ci już wspominałam, dziwnym jakimś pismem, którego nie udało mi się dotąd zidentyfikować, a zwłaszcza gdy zdołam odgadnąć, o co może chodzić w dziesiątkach dziwacznych miniatur, którymi rękopis ów jest ozdobiony. Coś mi mówi, że wszystko to może dotyczyć najbardziej mrocznych obszarów alchemii, tych, których zgłębianie może łatwo ściągnąć uwagę ojca Kramera ze Schlettstadt. Ale ja się nie boję ani jego, ani innych, jemu podobnych – sama nie wiem dlaczego, ale nie boję się.

Z samego rana wyruszam z Krakowa na zachód, w stronę czeskiej granicy. Gdy już dotrę do Wrocławia, zdecyduję, czy wolę kierować się dalej na Pragę, Ratyżbonę i Ingolstadt, czy raczej ruszyć trasą północną, w stronę Lipska i Erfurtu.

Odezwę się do ciebie, gdy tylko warunki na to pozwolą. Mam nadzieję, że czujesz się dobrze z tym nowym wielkim brzuchem, w którym się kryje wielka radość. Uważaj na siebie, proszę, Enneleyn – życie ludzkie jest strasznie kruche, wierz mi. A skoro takie jest, doceńmy każdą chwilę i nadajmy jej jakieś znaczenie.

Dałam w Krakowie,
w sobotę,
12 listopada
1496.

KONIEC
Warszawa, 11.04.2022

Zacytowany na s. 73 wiersz Kallimacha ad Septumuleium Campanum, oryginalnie napisany po łacinie, to filologiczny przekład Blanki Maruszewskiej w redakcji autora, dotąd niepublikowany.

Tłumaczenie fragmentu Ewangelii wg Świętego Mateusza na s. 89 (Mt 5, 19–20) przytoczono za Biblią Tysiąclecia, a na s. 112 (Mt 5, 37) za Biblią gdańską (w wariancie z 1881 roku).

Fragmenty Tristana autorstwa Gotfryda ze Strasburga, które pojawiają się w liście V (na s. 121–122 oraz 134), zostały przełożone z niemieckiego przez autora, podobnie jak i – tyle że z włoskiego – czterowiersz z Zakochania Rolanda (znanego również pod tytułem Roland zakochany, wł. Orlando innamorato), poematu rycerskiego Mattei Marii Boiarda, na s. 197.

PRZYPISY

I Bądź pozdrowiony, poeto laureacie, chwało literatury i wymowy!
(łac.)

II Herszel (jid., z niem. Herschel, zdrobn. od Hirsch) – jeleń.

III Cwi (hebr.) – jeleń.

IV Hinde (jid., z niem.) – łania.

V Cewija (hebr.) – łania.

VI Kanea (gr.) – wieczorem.

VII Retymnon (gr.) – blisko.

VIII Hellespont i Propontyda to starożytne nazwy – odpowiednio – cieśniny Dardanele i morza Marmara.

IX Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj (greka klasyczna).

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

List I

List II

List III

List IV

List V

List VI

List VII

List VIII

List IX

List X

List XI

List XII

Źródła cytatów

Przypisy